

FELIKS W.

KRES

GROMBE

LARDZKA

LEGENDA

SERCE GÓR

KSIĘGA

CAŁOŚCI

TOM 3



Spis treści

Karta tytułowa

Księga całości

Prawo sępów (Czyn wojownika)

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Przełęcz Mgieł

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Prawo gór

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Czarne miecze

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Epilog

Królowa Grombelardu

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Epilog
Mapa

Feliks W. Kres

Księga całości

Karta redakcyjna

F E L I K S W.

K R E S

GROMBELARDZKA
LEGENDA

SERCE GÓR

K S I Ę G A
C A Ł O Ś C I

T O M 3

ILUSTRACJE
PRZEMYSŁAW TRUŚCIŃSKI

fabryka słów®

LUBLIN - WARSZAWA

KSIEGA CAŁOŚCI

1. Północna Granica
2. Król Bezmiarów
3. Grombelardzka legenda. Serce Gór
4. Grombelardzka legenda. Wstęgi Aleru
5. Pani Dobrego Znak. Wieczne Cesarstwo
6. Pani Dobrego Znak. Wieczny pokój
7. Porzucone królestwo
8. Żeglarze i jeźdźcy
9. Tarcza Szerni
10. Szerń i Szerer





*Jej Dostojność N.R.M. Werena
Pierwsza Namiestniczka Najwyższego Sędziego Trybunału Imperialnego
w Grombie*

Wasza Dostojność!

Najpierw proszę o przebaczenie, iż nie stawiam się przed Waszą Dostojnością osobiście. Uczynię to tak szybko, jak tylko będzie możliwe, teraz jednak, złożony dolegliwościami właściwymi wiekowi podeszłemu, w żaden sposób nie mogę ruszyć do Waszej Dostojności, albowiem naraziłbym Jej oczy na widok naprawdę nader przykry. Nie skarżę się, przeciwnie, bo tylko usprawiedliwiam. Wiem, jak ważny jest dla Waszej Dostojności czas, spieszę więc przekazać owoce zleconej mi pracy, licząc, że sama moja osoba nie jest tu najważniejsza.

Wasza Dostojność, zgodnie z odebranych rozkazem nie szczędziłem trudu i wysiłku, by zebrać jak najwięcej pożądanym przez Nią wiadomości, dotyczących życia wiadomej Osoby. Niech mi będzie wolno nieskromnie zapewnić, że w ciągu zaledwie dwóch lat – bo tyle Wasza Dostojność przydzieliła mi czasu – nikt nie zdołałby dowiedzieć się więcej, a przecież moim obowiązkiem było jeszcze staranne spisanie wszystkich zebranych historii. Ogromną większość tego czasu pochłonęły liczne podróże, szczególnie podróż do Dartanu, choć nie ukrywam, iż ta część zadania była dla mnie najprzyjemniejsza. Ciężkie Góry – Wasza Dostojność to przyzna – nie są miejscem, które można by jakkolwiek przyrównać do dartańskiej Złotej Rollayny. Lecz nie mogę czuć się pokrzywdzony i nie śmiałybym narzekać, albowiem dla skromnego kronikarza zlecone przez Cesarską Córkę zadanie samo jest już

dostatecznym wyróżnieniem, a nie sposób przecież zapomnieć także o Jej wielkiej hojności.

Pozostaje mi teraz już tylko prosić Waszą Dostojność o przebaczenie, że posyłam tak krótki list. Lecz nie ważyłbym się rozciągać go na wiele stronic, wiedząc, jak cenny jest czas Pierwszej Namiestniczki Sędziego. Setki zapisanych kart, które położy przed Waszą Dostojnością mój posłaniec, dostarczą zapewne dość zajęcia Jej oczom.

Na sam koniec pozwalam sobie dodać staranne i rzetelne wyliczenie wszystkich kosztów, których nie pokryła wypłacona mi przez skarbnika Waszej Dostojności zaliczka.

Z nadzieją, że Wasza Dostojność nie zapomni o mej skromnej osobie, gdyby jeszcze kiedyś zechciała zlecić podobną do tej pracę, kreślę się z największym szacunkiem, dziękując za niezwykle wyróżnienie.

*C.Zerizes
– kronikarz*



Prawo sępów (Czyn wojownika)

ROZDZIAŁ 1



Izby oficerów garnizonu znajdowały się na piętrze; wiodły do nich strome, wiecznie pogrążone w mroku schody. Nadsetnik sforsował je i pokonał krótki korytarz.

Wnętrze budynku mocno przywodziło na myśl armektański zajazd z pokojami gościnnymi. Od pewnego czasu setnicy i podsetnicy Legii Grombelardzkiej w Badorze żyli sobie dosyć wygodnie; każdy miał ciasną, ale własną izdebkę – wielka rzadkość w innych garnizonach. Znalazłszy właściwe drzwi, komendant otworzył je bez żadnej zapowiedzi. Oślepiło go, wciąż mocne pomimo wieczoru, światło dzienne wpadające przez szeroko otwarte okno. Półnaga dziewczyna, wsparta rękami o framugę, obejrzała się przez ramię, mając chyba na języku jakieś ostre słówko. Zamiast tego odwróciła się i wyprostowała z nieudawanym szacunkiem. Z szacunkiem – prawie goła...

Przez długą chwilę patrzył, nic nie mówiąc. Nie potrafił postępować z... kimś takim. Niepotrzebnie wchodził na górę, należało posłać dyżurnego legionistę. Ba, lecz kiedy właśnie chciał wejść. Miał zamiar rozporządzić wolnym czasem podkomendnej i chciał pokazać, że nie jest to rutynowy obyczaj. Ale w wojsku nie było miejsca na takie grzeczności. Zresztą choćby i nawet...

Poirytowany, uświadomił sobie z całą jasnością, że sytuacja jest niezręczna i krępująca tylko dla niego. Ta tutaj armektańska łuczniczka po prostu czekała na rozkazy. Chyba nawet nie wiedziała – a na pewno nie pamiętała – że jest rozebrana.

– Przyjdiesz do mnie. Zaraz. Ubrana – podkreślił z naciskiem, rozzłoszczony nie na żarty, bo вина była tylko i wyłącznie po jego stronie; po służbie, we własnej kwaterze miała prawo chodzić w stroju najzupełniej dowolnym. – Dość mam widoku tych waszych gołych cycków. To jest wojsko, miejski garnizon w Badorze, w Grombelardzie. W Grombelardzie! Czy dotarło to do ciebie, Armektanko?

Odwrócił się, wyszedł i hałasując buciorami, zbiegł po schodach.

Nie zdążyła nawet potwierdzić przyjęcia rozkazu. Wykrzywiła się ze złością, tupnęła i pokazała pustym drzwiom język.

Była równie wściekła jak komendant Argen.

Tak, to była prawda, niestety, znalazła się w Grombelardzie. Armecka swoboda nie pasowała do tego wstrętnego, ponurego kraju; zresztą nie pasowała do żadnej prowincji imperium. Czasem silono się na nią w Dartanie, lecz kaprysy dartańskich magnatów także pasowały do gór Grombelardu niczym pięść do nosa.

Dzicz! Tu była zwykła dzicz! W Armeckie oficer po służbie chętnie pił piwo lub wino w towarzystwie prostych żołnierzy – i potrafił jakoś zachować autorytet. Tutaj – rzecz zupełnie nie do pomyślenia. Miała stale paradować w mundurowej tunice, sypiać w strasznej nocnej koszuli (a jakże, dostała z przydziału!), a może i udawać, że nigdy nie chodzi za potrzebą, bo to pewnie oficerom nie wypada.

Nie myślała, że będzie tak ciężko.

Przysłano ją na czele dziesięciu łuczniczek, by szkoliły Grombelardczyków w posługiwaniu się łukiem; była to broń rzadko tutaj używana i niepopularna. Nie wiadomo, kto wymyślił, by posłać same dziewczyny – dość, że był to pomysł chory, ech! głupi! Wydumano zapewne, że kobiety, prawie całkiem nieobecne w Legii Grombelardzkiej, zawstydzą miejscowych wojaków i skłonią do zacieklej rywalizacji. I faktycznie, dwie już zaczęły tyć (komendant jeszcze o tym nie wiedział...). Szczytna misja armeckańskich łuczniczek miała się zakończyć blamażem i kompletną kompromitacją.

Nadsetnik Argen od początku nie taił obaw.

„Przysłano mi was tutaj do pomocy, ale czuję, że będę miał kłopot” – powiedział na powitanie. I dodał jeszcze: „Pilnuj się, podsetniczko, i pilnuj swoich podkomendnych. Znam Armekt, to zupełnie inny kraj niż Grombelard”.

I miał rację. Ale jednak nie myślała, że będzie aż tak ciężko.

Siedząc na łóżku, nerwowo obgryzała paznokcie. Nagle przypomniała sobie rozkaz komendanta i zerwała się na równe nogi. „Przyjdź zaraz” – powiedział. U Argena „zaraz” oznaczało: zaraz.

Mundurową spódnicę miała na szczęście na sobie, koszula leżała na łóżku, ale przesywanica gdzieś się zapodziała; znalazła tylko kolczugę i wciągnęła ją wprost na koszulę. Oficerska tunika wisiała na kołku wbitym w ścianę i pospieszne, nieostrożne szarpnięcie zrobiło w niej sporą dziurę. Buty były na miejscu. Pas z mieczem dopinała już na schodach, klamra stawiała opór.

Żołnierze na dziedzińcu chyba nie zauważali obrzydliwej mżawki, za to z wielką ciekawością spoglądali na biegnącą podsetniczkę. Zapewne powinna kroczyć z godnością i dostojnie. Wpadła do budynku komendantury i wycelowała palec w wartownika.

– Melduj mnie u komendanta, już!

Zatrzymała się w sali odpraw. Żołnierz zniknął za drzwiami

sąsiedniej izby i natychmiast wrócił. Chwilę później znalazła się w izbie Argena. Tkwił przy oknie, z rękami założonymi za plecy. Musiał widzieć jej szarżę przez dziedziniec.

– Nie melduj – powiedział, odwracając się ku niej.

Popatrzył badawczo... i pojęła, że jak zawsze, tak i teraz żaden szczegół mu nie umknie. Oczekiwała surowej reprimendy, lecz nadsetnik westchnął tylko i powiedział nadspodziewanie troskliwie, zupełnie niesłużbowo:

– Na wszystkie moce świata, córeczko.

Po czym dodał wciąż z tą samą troską:

– Bez przeszywanicy, a w tunice dziura. Spódnica wymięta i brudna, a buty, idę o zakład, niesmarowane od miesiąca. Jesteś pośmiewiskiem i fatalnym przykładem dla żołnierzy, Kareniro. Zrobię wszystko, by przerwać twoją wojskową karierę, bo ubliża mi, że oboje jesteśmy oficerami. Poślę raport do twojego komendanta w Rinie.

Jakieś ciemne siły zdecydowały, że ją zniszczą – oto bowiem źle dopięta klamra pasa puściła, miecz o mały włos byłby upadł na podłogę. Przytrzymała go w ostatniej chwili. Argen nawet nie zareagował, tak jakby gubienie rynsztunku przez jego oficerów było czymś normalnym. Patrzył tylko, jakby oczekiwał, że zaraz odpadnie jej ręka lub odepnie się noga.

– Koniec szkoleń – powiedział. – Nie będzie już strzelania z łuku, odsyłam was. Mam dla ciebie ostatni... – Nie powiedział „rozkaz”. – Mam jeszcze jedną prośbę. Jestem w kłopotcie i chciałbym, żebyś mi pomogła.

– Tak, panie – powiedziała cicho, nawet nie kryjąc rozpacz.

– No to siadaj.

Na stole leżały jakieś zapisane stronicie i wielki dziennik garnizonu. Odsunął wszystko na bok. Usiedli po obu stronach blatu.

– Jesteś kiepskim oficerem, Kareniro, ale dość porządną i niegłupią dziewczyną – rzekł i zrozumiała, że rozmowa będzie miała charakter zupełnie nieoficjalny. – Chcę powiedzieć, że czuję się winny, bo mogłem zrobić z ciebie żołnierza, ale niezbyt próbowałem. Od samego początku założyłem, że twoja misja tutaj skończy się... spełnie na niczym. No dobrze. Mam dla ciebie zadanie, które jest chyba za trudne dla niektórych moich oficerów. A przynajmniej dla tych, których mam pod ręką. Więc pomyślałem o tobie.

Wytrzeszczyła oczy.

– Otrzymałem list od mędrca Szerni – ciągnął, udając, że nie widzi jej miny. – Od Dorlana-Przyjętego.

Było to imię człowieka, o którym słyszano wszędzie. Jej zdumienie przerodziło się w osłupienie. Komendant Argen otrzymywał listy od największego mędrca świata. Od najpotężniejszego ze wszystkich ludzi kiedykolwiek przyjętych przez Szerni.

– Z jakichś przyczyn Dorlan-Przyjęty nie może pojawić się w Badorze. Nie wiem dlaczego, to jego sprawa, nie powinna obchodzić ani ciebie, ani mnie. Wyświadcza mi wielką przysługę, wyjaśniając powody, dla których sępy upodobały sobie ostatnio te rejony gór. – Skrzywił się nieznacznie, wspomniawszy o skrzydlatych rozumnych. – Przez kilka najbliższych dni będzie bawił w okolicach Krzywych Skał, to dwa dni drogi stąd, zresztą dostaniesz przewodnika. Tam nic nie ma, nie wiem, dlaczego mędrzec Szerni... ale to też nas nie obchodzi. Mam sporo wątpliwości i pytań do Dorlana. Doręczysz mu list ode mnie. – Wziął ze stołu zapieczętowane pismo i uniósł znacząco. – Pochodzisz z dobrego domu, znasz trochę historię Szereru, o ile wiem, mówisz trochę po dartańsku, czy tak? – wyliczał.

– Przez rok służyłam w dartańskim garnizonie... właściwie na pograniczu.

– Pamiętam, znam przebieg twojej służby. Takie więc są powody, dla których wolę posłać do Dorlana ciebie niż niedźwiedzia znajdującego tylko regulaminy i potrafiącego wymachiwać mieczem. A najważniejsze, że niewiele wiesz o Ciężkich Górach i sępach. Wątpię, żeby Dorlan-Przyjęty miał czas i ochotę bawić się w pisaninę. Odpowiedzi na moje pytania przekaże zapewne ustnie, a ty je zapamiętasz i powtórzysz mi słowo w słowo. Moi oficerowie od dawna mają wyrobioną opinię o tych wszystkich sprawach, więc gdy pošlę takiego, to zapamięta wyłącznie te rzeczy, które sam uzna za ważne, bo tak działa ludzki rozum. Liczę, że ty zapamiętasz wszystko bez wyjątku i powtórzysz mi wiernie, a ja sam ocenię, co jest ważne. Wezmiesz pięciu legionistów jako eskortę. W górach spokój, ale chcę, żebyś była bezpieczna. Ta misja, chociaż nie ma wojskowego charakteru, jest dla mnie bardzo ważna. Ponadto jako przewodnika i do pomocy dostaniesz dziesiątnika Barga z kuszników. Zdaje się, że mimo wszystko dość dobrze wam się współpracowało.

– Tak, ja bardzo... – Zająknęła się. – Bardzo go lubię – dokończyła niegłośno, bo nie miało to przecież znaczenia.

– Tak myślałem. To wszystko. Tu masz pismo, wymarsz jutro po porannym apelu.

Zerwała się z miejsca.

– Tak, panie. Ja... dziękuję.

Była już przy drzwiach, gdy powiedział:

– Wywiąż się.

Zrozumiała, że dano jej szansę. Że nadsetnik z jakichś powodów nie chce pisać raportu do Riny.

Bardzo starannie i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 2



LS. I. Rbit, ogromny bury kocur z rodzaju gadba, wojownik, którego imię głośne było w całym Grombelardzie, przyjaciel i zastępca Basergora-Kragdoba, Króla Gór i górskich rozbójników, leniwym truchtem pochłaniał miłe. Miał do spełnienia bardzo ważną misję – tak ważną, że nie mógł jej powierzyć żadnemu ze swoich podkomendnych. Musiał odszukać kryjówki trzech dużych miejscowych oddziałów, ocenić ich siłę i sposób, w jaki były dowodzone. Zakończona jakiś czas temu wojskowa oblawa w znaczący sposób zmieniła układ sił w okolicach Badoru. Rbit chciał wiedzieć, kto tu teraz rządzi; od jakiegoś czasu docierały doń rozmaite pogłoski i plotki.

Wbrew powszechnemu mniemaniu dzikie górskie bandy tłukące się po grombelardzkich wertepach ujęte były w karby dyscypliny. Od niepamiętnych czasów zawsze istniał silniejszy od innych wódz rozbójników, którego – przynajmniej nominalnie – wszystkie grupy uznawały za przywódcę. Lecz przywództwo to sprawowane było z niejednakową siłą. Ustna tradycja przekazywała imiona kilku zbójceckich hersztów, którzy rządili w Ciężkich Górach żelazną ręką – lecz stu innych na zawsze przepadło w mrokach niepamięci.

Jednak teraz od kilku lat Ciężkimi Górami władał człowiek używający przydomka Kragdob – co znaczyło: pan albo król. Niemal każdy zbójcecki przywódca sięgał po to miano; prawie żaden nie potrafił zmusić podkomendnych, by powszechnie tego miana używali... Lecz tym razem nosił je człowiek będący legendą już za życia. Nikt nigdy nie rządził Górami tak zdecydowanie; nikt wcześniej nie cieszył się tak powszechnym uznaniem i szacunkiem.

Rbit pojawił się pod Badorem, by sprawdzić, czy władza jego przyjaciela nie doznała żadnego uszczerbku. Zdarzało się czasem, że jakaś grupa zbyt urosła w siłę; bywało, że dowódca takiej grupy zaczynał snuć dalekosiężne plany.

Drobna plamka zawieszona tuż pod niskimi chmurami nie zwróciłaby zapewne niczyjej uwagi w żadnym kraju świata. Ale tutaj, w sercu Ciężkich Gór, ptaki były rzadkością. Szczególnie wielkie ptaki...

Rbit przypadł do ziemi i znieruchomiał; bure futro bardzo nieznacznie odcinało się barwą od okolicznych skał, a dość szeroki i długi, niezbyt wypchany worek przymocowany do grzbietu stapał się z nimi jeszcze bardziej.

Rbit zobaczył sępa.

Rozumny skrzydłak nie mógł mu poważnie zagrozić; sępy prawie nigdy nie atakowały wędrowców, obojętne: czworonożnych czy dwunożnych. Lecz dla tych drugich stanowiły śmiertelne zagrożenie – bo potrafiły się bronić. Dziwny kaprys Szerni sprawił, że żaden człowiek nie potrafił się oprzeć mocy sępiego spojrzenia i głosu.

Z kotem rzecz wyglądała inaczej. Koci rozum, będący chyba nieudanym dziełem Pasm, nie pojmował istoty sił rządzących światem. Nie czując Szerni, koty wręcz ostentacyjnie okazywały jej swą niechęć. Żaden kot nigdy nie został przyjęty przez Pasma – było to niemożliwe. Ale owa dziwna ułomność, niemożność zrozumienia spraw niekonkretnych, dawała czworonożnym rozumnym swoistą niezależność i odporność. Na armeckańskiej Północnej Granicy, gdzie Szerni graniczyła z inną zawieszoną nad światem Potęgą, Alerem, ludzie trafiający pod obce niebo tracili panowanie nad sobą. Poczucie bycia nie na swoim miejscu było tak dojmujące, że najdzielniejsi wojownicy upadali na duchu. Koty niczego podobnego nie czuły. Tutaj zaś, w dżdżystej prowincji, nazywanej czasem Krajem Chmur, nie mogła im zagrozić siła sępich oczu. Do walki z kotem ścierwożerny skrzydłak miał tylko swoje szpony i dziób. A gdy na ziemi czekał wielki grombelardzki gadba – taki oręż mógł nie wystarczyć.

Rbit nie miał pewności, czy sęp zdążył go dostrzec. Ukrył się nie z obawy przed spotkaniem, przeciwnie – miał nadzieję, że ptaszysko opadnie na ziemię, może gdzieś niedaleko... Z napuszonym ogonem i zjeżonym na grzbiecie futrem, tuląc uszy, gotów był odłożyć na później wszystkie swoje sprawy; mógł przez cały dzień, a może dwa lub trzy dni kręcić się po okolicy i czatować, byle tylko pochwycić pazurami opierzone paskudztwo. Nienawidził sępów z całej siły. Jak każdy kot.

Bez powodu.

Wielki ptak pomimo niezwykłej bystrości oczu chyba nie zauważył rozpląszczonego na ziemi wroga, bo spokojnie zataczał wielkie kręgi. Zapewne wypatrywał żeru. W Ciężkich Górach zwierzyny było bardzo niewiele, a więc brakowało i padliny. Rbit nigdy nie zastanawiał się nad tym, w jak skrajnym niedostatku żyją nieliczne sępie plemiona, obywające się bez wszystkiego, co potrzebne nie tylko człowiekowi, ale nawet kotu. Skrzydłaci rozumni, w setkach praw zaklinający odkryte prawdy o Szerni, żyli jak ich zwierzęcy przodkowie. Potrzebowali tylko pożywienia.

Lecz świat skąpił im nawet tego.

Niedaleko rósł karłowaty laszek. Roślinność w Ciężkich Górach była czymś równie rzadkim jak zwierzyna. Trawy, mchy, krzewy i drzewa nie przypominały zresztą niczego, co można by zobaczyć w innych krainach Szereru. Wszystko to nauczyło się odżywiać samą tylko wodą, bo tej w Ciężkich Górach na pewno nie brakowało: pokraczne sosenki oplatały korzeniami skały w miejscach, gdzie trudno było dojrzeć choć ślad gleby...

Rbit, zgodnie ze swą kocią naturą, ani myślał dziwić się tym cudom. Z doskonałą obojętnością przyjmował świat takim, jakim go zastał, i ani w głowie mu było dociekanie „po co” i „dlaczego”. Obserwował laszek, bo sęp, zataczając swoje kręgi, czasem zniknął za koronami drzew... Gdy stało się tak znowu, kocur, sprężony i przygotowany, wyprysnął spomiędzy swoich skałek i pognał, jakby go ścigały wszystkie legie imperialne razem wzięte. Dotarł do lasku i zaszył się w kępie rachitycznych krzewów nie krzewów. Tutaj sęp nie mógł go dojrzeć.

Gdy koci rozum pojawił się w Szererze, świat już od dawna urządzony był na ludzką modłę. Nowy rodzaj rozumnych bez żadnego trudu znalazł sobie miejsce, biorąc to, co mu się spodobało, odrzucając zaś z pogardą wszystko inne. Teraz czworonożny kosmaty rozumny z mozołem, trochę niezręcznie i niezgrabnie, za pomocą pazurów i zębów odpinał rzemienie, którymi przymocowany miał do grzbietu płaski worek z lnianego płótna. Przedmiot starannie wykonany przez człowieka – dla kota. I sprzedany za wymyślone przez człowieka pieniądze.

W worku znajdowała się kolczuga, o której można było powiedzieć to samo: wykonał ją zbrojmistrz specjalnie dla kociego wojownika.

Metodycznie, bez pośpiechu, z kocią starannością Rbit wpełzał do swojej zbroi. Przepchnął łeb przez dziurę na końcu i znalazł krótkie rękawy dla przednich łap. Dopasowana kolczuga prawie ściśle przylegała do grzbietu i boków, nieznacznie tylko zwisając pod brzuchem. Pokrywała niemal całe ciało kocura – od karku aż do nasady ogona.

Porzuciwszy niepotrzebny już worek, Rbit wyjrzał ze swoich krzaków i szukał ptaka, spoglądając między koronami karłowatych sosen. Gdy wielkimi susami pomknął na skraj lasku, zbroja raz i drugi zadzwoniła o kamienie – głośno dla kota, niegłośno dla człowieka i bardzo cicho dla sępa.

ROZDZIAŁ 3



Do przełęczy Hogrog, przez którą wiódł szlak do Krzywych Skał, dotarli późnym wieczorem. Rozłożyli biwak na skraju lasu; w okolicy rosło sporo takich nędznych kęp. Żołnierze sprawnie sporządzili z patyków i wojskowych płaszczy trzy małe namioty; w każdym z niejakiym trudem położyć się mogło dwóch ludzi. Armeктаńska łuczniczka też potrafiła zbudować taki namiot... lecz miała tylko jeden płaszcz. Z nagłą przykrością pomyślała, że w tym kraju nic nigdy jej się nie udało. Powinna teraz pytać swoich oddanych na krótko pod komendę legionistów, z którego namiociku wyjdzie na wartę pierwszy żołnierz, żeby mogła zająć jego miejsce...

– Podsetniczko – rzekł, podchodząc, stary dziesiętnik.

Małe i drobne sprawy wyzwalają czasem bardzo silne uczucia. Przełknęła ślinę i niemal z rozrzewnieniem wzięła do ręki wojskową pelerynę. Ten stary wojak niósł w swym żołnierskim worku zapasowy płaszcz dla niej; aż z Badoru targał zupełnie zbędny mu przedmiot, bo wiedział, że ona zapomni. I będzie musiała spać – kobieta i oficer – z mężczyznami-legionistami, co w Grombelardzie nie było czymś zwyczajnym.

– Dziękuję, Barg – powiedziała.

Żołnierze ze słabo skrywaną ciekawością patrzyli, jak dowódczyni stawia swój namiot. Zrobiliby to za nią, na rozkaz. Ale była armeктаńską łuczniczką w gronie grombelardzkich kuszników. W garnizonie przekonali się już, że i ona, i pozostałe dziewczyny znakomicie strzelają z łuków. Lecz teraz byli w górach i przyszła kolej na prace obozowe.

Przygotowała sobie schronienie na noc równie sprawnie jak oni. I zyskała mały kęs uznania.

Barg wyznaczył kolejność wart. Potem rozpalono małe ognisko z wilgotnego chrustu; ci ludzie podpaliliby nawet wodę, gdyby nic innego do palenia nie było. Zdziwiła ją podobna niefrasobliwość, bo przecież słyszała o górach tyle złego. Ogień w starannie wybranym miejscu mógł być niewidoczny, ale zapach dymu rozchodził się z pewnością na milę. Myślała o tym, dołączając do kręgu posilających się

przy ognisku podkomendnych.

Barg, jak się zdawało, potrafił czytać w myślach.

– Jeszcze niedawno palenie ognia na biwaku było nie do pomyślenia. Ale odkąd zrobiliśmy obławę, zbóje siedzą cicho. Jeszcze przez miesiąc, może dwa miesiące, będzie tutaj spokój.

– Mimo wszystko ostrożność chyba nie zaszkodzi?

– Zaraz każę to zgasić, tylko powiedz, pani.

– Nie. Jesteś bardzo doświadczony, na pewno jest tak, jak mówisz. Trzeba słuchać rad starych żołnierzy.

Pochlebiła mu, podkreślając jego doświadczenie w obecności pozostałych legionistów. Odpiął miecz i położył przy nodze. Uśmiechnął się do młodziutkiej dowódczyni.

– Jak to jest w Armeckie, wasza godność? – zapytał. – Z kim walcycie? Żołnierze rozmawiali z twoimi legionistkami, i ja też. Ale legionistki zmyślają, wiadomo, jak to żołnierze i żołnierki między sobą... Jak jest u was naprawdę?

Skupieni przy ognisku kusznicy nadstawili uszu.

– Lekka służba – powiedziała. – U was... nie wiem, bo pierwszy raz posłano mnie w góry, ale chyba cięższa, z tego, co widziałam i słyszałam. Nie mamy rozbójników.

– Mówi się o Jeźdźcach Równin.

– Jeźdźcy są jak wiatr. – Machnęła ręką i się zaśmiała. – Dzisiaj tu, jutro tam. Po prostu jeżdżą, byli na Równinach zawsze i nikt nie chce, żeby ich nie było, bo to... – Nie wiedziała, jak wytłumaczyć. – No, oni byli zawsze, jak Armekt. Ale rzadko robią coś naprawdę złego, no, spalą dom albo kogoś zabiją. Polują w lasach, chociaż im nie wolno, dla mięsa i dla futer. Chłopi dają im jedzenie, trochę z dobrej woli, trochę z musu, ale Jeźdźcy często pomogą, narąbią drewno, postawią szopę albo drewnutnię, bo nie chcą mieć wszędzie wrogów. Tacy to rozbójnicy. Czasem nawet pomagają legionistom.

– Jak to?

– No bo najlepiej znają Równiny. Wszystkie strumienie i rzeki, wszystkie przeprawy i brody. Kiedyś, jak spod szubienicy w Sar Soa uciekli prawdziwi bandyci, Jeźdźcy pokazali nam ich kryjówkę. Bo nie chcieli, żeby uczyńki tych ludzi poszły na ich rachunek.

Barg pokręcił głową z niedowierzaniem, ale zaraz zmarszczył brwi.

– U nas też się zdarzało – powiedział. – Słyszałem, jak gadali, że w Grombie do garnizonu ktoś przywłókł kiedyś pomyleńca, co wyrznął swoją rodzinę, wszystkie dzieciaki. Nikt go nie mógł złapać, aż przyprowadził go ktoś od Kragdoba, tak mówili.

– Od tego... Króla Gór? A widzisz.

Postawiony na ogniu maleńki kociołek zaczął wydawać bulgoczące odgłosy. Już wcześniej wsypano do wody trochę sproszkowanego mięsa

i teraz każdy z żołnierzy mógł wypić dwa łyki gorącego wywaru. Napiła się i podsetniczka.

– Po co to? – zapytała, trochę ubawiona. – Ładnie pachnie i dobre, ale po co?

Barg najpierw nie zrozumiał.

– A... że tak mało? – domyślił się po chwili. – Dzisiaj, pani, nie pada, ale jeszcze może zacząć. Tutaj zawsze wszystko jest mokre, każdy śpi w mokrym. Taki łyk to niby niewiele, ale jednak rozgrzewa jak gorzałka, a wcale nie idzie do głowy. Jeśli tylko można, to każdy chce się napić zupy. Chociaż parę łyków.

Skinęła głową.

– To co wy robicie w tym Armekcie? – zagadnął, odstawiając opróżnione naczynie na bok.

– To samo co i wy, kiedy nie jesteście na patrolu w górach. Pilnujemy porządku w miastach i na traktach.

– My też pilnujemy traktu – wtrącił jeden z żołnierzy.

– Tak, ale w Armekcie mamy wiele dróg, bardzo dobrych – wytłumaczyła. – Takich, po których można jeździć nawet w największym deszczu, utwardzonych.

– Dużo dróg? Znaczy jak: utwardzonych? – Żołnierz nie uwierzył, bo w całym swoim życiu widział tylko jedną przyzwoitą górską ścieżkę, łączącą miasta Grombelardu; ścieżkę nazywaną szumnie traktem.

Zaśmiała się i wzruszyła ramionami, bo niewiele wiedziała o budowie dróg. Były zawsze. I prawie wszędzie, bo wiodły do wszystkich wielkich miast Armektu.

– No, ale mamy jeszcze wojnę, prawdziwą wojnę – powiedziała. – Na Północnej Granicy, tam gdzie Szerer styka się z Alerem. Tam trzymamy stаницe. Wiecie, co to jest Aler?

Legioniści popatrzyli po sobie. Coś słyszeli.

– Kraj za Armektem – powiedział jeden, widać najbardziej rozgarnięty i bywały. – Alem słyszał, że tak samo nazywa się coś takiego jak nasza Szerń, tylko wrogie. Była kiedyś wielka wojna Szerni i Aleru.

– Bardzo dobrze – pochwaliła. – Na Północnej Granicy Szerer styka się z Alerem, a Pasma Szerni ze Wstęgami Aleru. Legia Armektańska na północy bije się z tym wszystkim, co przychodzi zza granicy. To nie są ludzie ani koty, tylko stwory... Nigdy ich nie widziałam, nie byłam tam – przyznała.

– Nasz komendant był – powiedział Barg.

– Tak, bo każdy oficer legii, obojętne, z jakiej prowincji, żeby dalej awansować od setnika w górę, musi odbyć służbę na Północnej Granicy.

– Nasz komendant tam był? I widział tych... znaczy te stwory? – dopytywał się jeden z żołnierzy.

– Co ty, głupi, nie wiedziałeś? – obruszył się inny.

– Nie wiedział żem. Niby skąd?...

– Bo każdy wie.

– A u was? – zapytała Karenira. – Jestem tutaj już długo, ale nie wytknęłam nosa z garnizonu. Tylko strzelanie i strzelanie, nadsetnik bardzo goni.

Wszyscy uśmiechnęli się, bo każdy wiedział, że to prawda. Komendant Argen nikomu nie pozwalał na zbijanie bąków, nie pobłażał, był wymagający wobec swoich oficerów, ci zaś, chcąc nie chcąc, wobec swoich żołnierzy.

– I jeszcze nauka języka. Wiecie, jaki trudny?

Tego akurat nie wiedzieli. Rozpowszechniony w całym cesarstwie kinen, uproszczony armecktański, którego jako tako musiał się nauczyć każdy żołnierz – to dopiero był trudny język.

Wyśmiałyby ich, gdyby to powiedzieli. Szkielet. Może dwieście, może trzysta podstawowych słów.

– Słyszałam o obławie. Ciągłe o niej słyszę. Że obława, że...

Nie bardzo chciała się przyznać, iż wstyd jej było wypytywać o to innych podsetników, którzy zresztą patrzyli na nią jak na intruza. Armecktanke, zadzierając nosa, szkolącą ich żołnierzy w sztuce, której oni sami nauczyć nie potrafili.

– Była obława – rzekł Barg. – Poprzedni komendant Legii Grombelardzkiej, całej Legii, ten z Grombu, ten, co był bardzo krótko, chciał się wykazać... Tak mówią. Przyszedł i zarządził obławę. Wszyscy byli przeciwni, wszyscy komendanci garnizonów, nasz też. No bo jeżeli na trakcie i w miastach spokój albo prawie spokój, to czego szukać po górach? Zbóje tłuką się między sobą, to i dobrze. Ale były takie racje, że spokój jest tylko dlatego, że zbóje zapuszczają się na niziny, a w górach wszyscy się okupują Kragdowowi. Kupcy wiozący towar, a w miastach kramarze, nawet byle szewc albo krawiec... Może to i prawda. Jak było, tak było, ale poszła w góry obława. Myśmy też poszli. – Skinął głową do swoich żołnierzy, a trzech odpowiedziało mu tym samym. – Co żołnierza było w górach, pani, to aż dziw. Ale nie szło od samego początku – przyznał. – Niby tajemnica była o tej obławie, ale wszyscy w garnizonie wiedzieli. A Kragdob to chyba nawet wiedział wcześniej niż my wszyscy... Tam gdzie szliśmy, to albo nikogo nie było, albo czekali przygotowani w takiej sile, żeśmy zmykali na łeb na szyję, taka prawda. A najbardziej brakowało łuczników – powiedział i widać było, że nie po to, by zrobić jej przyjemność. – Ja, pani, nie umiem strzelać z łuku, ale wiem, co to za broń, wiedziałem nawet, zanim przyszedł do Badoru. Kusza, o! – Poklepał dłonią masywny samostrzał, położony w zasięgu ręki. – To, pani, machina niechybna i bije tak mocno, że żaden łuk nie wyrówna. Zwykle w górach, pani, łatwiej dojrzeć kogoś, niż go złapać, no bo jak idzie taki krętym szlakiem, jeszcze po trudnym stoku, to ile

czasu musiałyby czekać, żeby do niego dojść? Ale kusza, pani, ciężka kusza, jak się dobrze przyłożysz, to na pięćset kroków trafisz smroda w sam krzyż, i na nic wtedy kolczuga! Ale to nie może być tak jak my wtedy: bitwy, zasadzki, ucieczki a pościgi...

Przerwał na chwilę i wypił łyk wody z bukłaka.

– Myśmy raz obsadzili taki wąwóz niedaleko Egdorbu. – Wskazał gdzieś na wschód. – Wyszli nam pod nosy jak po sznurku, pani, a my żeśmy tak strasznie pokpili! Czy to był jakiś kamień, co uciekł któremuś spod nóg, czy ktoś nie wytrzymał i za wcześnie posłał im bełt... Nikt już nie wie, ale zbóje zawrócili i zaczęli zmykać. Posłaliśmy im wszystko, cośmy mieli, ale potem, pani... Gdyby weszli głębiej do wąwozu, byłoby więcej czasu. Mocnej kuszy nie napniesz tak jak łuku, bo to trzeba lewara albo korby. Nawet te lekkie, nic niewarte, hakowe ze strzemieniem... trzeba czasu! Twoje łuczniczki, pani, wszystkich by ich wytlukły, co do ostatniego! A my żeśmy kręcili korbami naszych kusz.

Potrząsnął głową.

– I wyszło podczas całej tej obławy, że kusza rzecz najlepsza w górach – kończył – ale trochę łuczników też by się przydało. Żeby osłonili kuszników, kiedy ci napinają cięciwy i kładą bełty, albo nie dali żyć zbójom, którzy uciekają.

– Niewiele was nauczyłam – powiedziała.

– Ci nowi, z tego klina, co złożyli go z nowego naboru, to już całkiem dobrze strzelają – zaoponował dziesiątnik. – A ja, pani, będę już umiał poprowadzić dziesiątkę, gdzie jedna trójka będzie łuczników. Wiem, co takim potrzebne i jak ich postawić. To się przyda.

– Może. – Nie chciała mówić, że w Armeckie klin łuczników strzelających „jak ci nowi z nowego naboru” ubrano by w kirysy i przesunięto do formacji toporników. – Lepsze to niż nic.

– Oni się douczą. Potrafią już tyle, żeby dalej ćwiczyć. Nawet bez ciebie, pani.

To akurat było zgodne z prawdą. Wytrwale ćwiczenia rzeczywiście mogły przemienić tych żółtodziobów w zupełnie niezłych strzelców. Lecz wątpiła, by ktoś w Badorze poważnie myślał o dalszym szkoleniu.

Ognisko zgasło. Rozmawiali dalej w ciemnościach – wprawdzie nie tak głębokich, jak zwykle w Grombelardzie, bo dzień był bardzo pogodny.

– Dlaczego... no, łuczniczki? – zapytał Barg. – Nie bierz tego do siebie, pani. Ja wiem, że w Armeckie dziewczyny idą do legii. U nas też czasami... ale rzadko i najczęściej do służby miejskiej, czasem tylko trafi się jakaś... Ale u was łuczniczek pełno. I najlepsze. Mówi się, że łuczniczki lepsze od łuczników.

Legioniści patrzyli pytająco.

– Nie tak wiele ich, jak tu myślicie. Ale są, bo w Armeckie patrzymy

tylko na to, czy żołnierz się nadaje – wyjaśniła. – U nas w każdej wiosce dzieciak uczy się strzelać z łuku, tak było zawsze. Każdy może się zgłosić, gdy legia ogłasza pobór. Ale co może pokazać dziewczyna? Siłę? Silniejsza będzie od chłopaków, będzie machać toporem? Wytrzymała? Nikt nie strąci jej włócznią z konia, jeśli pójdzie do jazdy? Naprawdę rzadko która. I przyjmują do wojska tylko takie, które chociaż słabsze, jednak się nadają.

– To znaczy: strzelają z łuku tak jak nikt? Że już nawet mogą być słabe, bo za takie strzelanie je przyjmą?

– To znaczy, że strzelają z łuku tak jak nikt – powtórzyła jak echo. – Mogą nawet być słabe, a i tak je przyjmą.

– I ciebie tak, pani, przyjęli?

Zaśmiała się.

– Jeźdź konno. Mój ojciec kochał konie. Jeździłam konno jak nikt, od razu zostałam kurierką dowódcy garnizonu. Do łuczniczek przesłam później, gdy już awansowałam. Ale nigdy nie byłam najlepsza.

– Ale... przecież bardzo dobrze strzelasz z łuku, pani?

– Ach, popisać się? – zapytała.

Sięgnęła po łuk, nałożyła strzałę i nie wstając, wypuściła w mrok. Stuknął grot...

– Drugie drzewko, to ze złamaną gałęzią – powiedziała. – Jest bliźniutko.

Żołnierze spojrzeli po sobie; drzewka wcale nie było widać. Jeden wstał pospiesznie – i zaraz wrócił, z nietęgą miną niosąc w ręku strzałę.

– Tak, pani – powiedział. – Pod samą gałęzią... Musiał zem macać, żeby znaleźć!

– Wcale nie strzelam wyjątkowo dobrze, bo niektóre z moich dziewczyn są lepsze, a to drzewko stoi blisko – powiedziała. – Ale mam oczy, których bym na żadne nie zamieniła. Widzę w nocy jak kot, jestem... nocną łuczniczką. – Znowu się zaśmiała.

– Jak się robi widno – rzekł rozochocony dziesiętnik – to ja też się popiszę przed tobą, wasza godność! Ja mam stare oczy i w ciemności mało co widzą. Ale w dzień wybierzemy najdalsze drzewko, najdalsze, jakie tylko będzie widać. I zobaczymy, czy trafię!

ROZDZIAŁ 4



Ocknęła się natychmiast, gdy tylko poczuła na ramieniu rękę wartownika.

– Już wstaję – powiedziała ochryplym od snu głosem; odkaszlnęła. – Budź dziesiątnika.

– Już nie śpi, pani.

Wypelzła ze swojego namiotu. W nocy spadł niezbyt obfity, ale jednak przykry deszcz i ziemia była bardzo wilgotna. Znowu pomyślała o wojskowym płaszczu Barga, dzięki któremu zbudowała sobie dach nad głową.

Żołnierze zwijali biwak; nie mieli dużo pracy. Odłożywszy na później złożenie swego namiotu, ruszyła w stronę pobliskich krzewów.

– Podsetniczko!

Zatrzymała się.

– Zaraz wracam – powiedziała, uśmiechnąwszy się do Barga.

Dogonił ją na skraju zagajnika.

– Pójdę przodem, wasza godność.

– Nie, ja idę tylko... Zaraz wrócę.

– Wasza godność, jesteś oficerem i dowodzisz. Nie możesz zostawić swoich ludzi i odejść, nie mówiąc słowa. Gdy między drzewa idzie zwykły żołnierz, to najwyżej utną mu ptaka. Ale gdy idzie dowódca, to ktoś najpierw musi zbadać to miejsce.

– Dziesiątniku – powiedziała – od wczoraj opowiadasz mi, że w górach panuje spokój. Pozwalam rozpalić ognisko. Teraz słyszę, że między drzewami ktoś może uciąć mi ptaka. Wracaj do żołnierzy.

– Tylko sprawdzę...

– Wracaj do żołnierzy – rozkazała.

Zrozumiał, że dziewczyna postanowiła mu pokazać, kto rządzi.

Spór rozstrzygnął ktoś inny.

Wydarzenia nastąpiły po sobie tak szybko, że pojęła, co się dzieje, dopiero wtedy, gdy już leżała na ziemi. Barg wyciągnął miecz i rzucił się ku czemuś, co było szybkie i ruchliwe jak płomień – o ile istniał bury płomień okryty stalowoszarą zbroją... Oskoczywszy na bok, wielki kocur błyskawicznie wdrapał się na drzewo, z którego wcześniej skoczył, prychnął i powiedział niskim, mrukliwym głosem, w którym

jednak wyraźnie pobrzmiwało uznanie:

– Schowaj miecz, gruby legionisto! Skąd w dużym ciele taka szybkość? Słusznie dziwię się waszej ochocie do żartów, bo swój własny mógłbym dziś przypłacić życiem. Chciałem dać nauczkę kobiecie. Nie jesteście wrogami.

Z miejsca biwaku nadbiegali żołnierze. Barg zatrzymał ich gestem. Czujny, z nastawionym mieczem, wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że kot chwalił go mocno na wyrost. Szybki czy powolny – dziesiętnik nie był w stanie sprostać ruchliwości przeciwnika. Mógł go może odpędzić, ale nie dosięgnąć.

– Schowaj miecz, legionisto – powtórzył gadba. – To na pewno jedyny dzień w twoim życiu, kiedy Basergor-Kobal przyszedł do ciebie nie po to, żeby zabić. Chcę rozmawiać. Nawet więcej: chcę wam oddać przysługę.

Armektanka, przestraszona i oszołomiona, pozbierała się z ziemi. Z niedowierzaniem patrzyła na ogromne kocisko, pod którym skrzypiała gałąź. Widziała już koty gadba. Ale cztery takie jak ten tutaj mogły ważyć więcej niż ona.

– Basergor-Kobal – powtórzył legionista. – Gdyby jakikolwiek nieznany mi człowiek posłużył się tak sławnym imieniem...

– Człowieka byś wyśmiał – rzekł Rbit, siedzący na swej krzywej gałęzi. – Lecz kotu przecież nie zarzucisz kłamstwa. Jestem tym, za kogo się podaję, i nie prosz, bym powtórzył raz jeszcze.

Barg schował miecz.

– Nie wiem, panie, o czym chcesz rozmawiać – rzekł do kota. – Ale oczywiście wysłuchamy cię. Skieruj swoje słowa do mojej dowódczyni.

Kocie gesty nigdy nie są tak wymowne jak ludzkie – lecz wszyscy, od podsetniczki aż do ostatniego żołnierza, bez trudu zrozumieli, co oznaczają stulone uszy i niecierpliwy ruch ogona.

– Mam rozmawiać z tobą, Armektanko? Ale sprawa jest bardzo poważna.

Dziewczyzna poczerwieniała. Najpierw musiała gramolić się z ziemi, po tym jak olbrzymi kocur skoczył jej na plecy. Potem patrzyła na swojego dziesiętnika, który tytułował obcego kota panem, a gotów był chyba mianować „godnością”. Teraz, w obecności żołnierzy, ten kot ostentacyjnie okazywał jej lekceważenie. Albo zgoła politowanie.

– Obojętne mi, co mówi mój dziesiętnik – powiedziała z wysiłkiem. – Będziesz rozmawiał ze mną, kocie, albo z nikim.

– Każdy ma swoje miejsce, a miejsce łuczniczki w armektańskiej tunicy nie jest w Ciężkich Górach. Jesteś tu gościem, podsetniczko. Mam rozmawiać o odwiecznych prawach rządzących tym krajem z kimś, kto wczoraj przyszedł, a jutro odejdzie?

Kimkolwiek był ten gadba, jego sposób wysławiania się dowodził obycia. Na gałęzi pokracznego drzewka (obojętne, jak dziwaczne to było)

siedział nie jakiś koci złodziejasek albo goniec zarabiający w ludzkiej służbie lada grosz. Przypomniała sobie dziwne imię i zmarszczyła brwi, bo coś przecież kiedyś słyszała. Prawie nie zdarzało się, by mówiąc o Kragdobie, Królu Gór, ktoś nie rzucił imienia: Kobał, Basergor-Kobał.

Nie wiedziała nawet, co to znaczy.

– Nie możesz wiedzieć, kocie, czy jestem tu od wczoraj i czy jutro rzeczywiście odejdę.

– Mogę i wiem, podsetniczko, albowiem gdyby na stałe przeniesiono cię do Legii Grombelardzkiej, miałabyś na sobie zieloną tunikę, tak jak ci żołnierze. Lecz nosisz niebieską. Wziąwszy pod uwagę, że w Badorze uparli się szkolić łuczników, mogę łatwo zgadnąć, z kim mówię. Dowódczyni oddziału armektańskich łuczniczek. Dziesięć kobiet, o ile pamiętam.

Zatkało ją; z wysiłkiem przełknęła ślinę. Ten gadba wiedział najdokładniej, co działo się w badorskim garnizonie. Legia Grombelardzka chciała walczyć z rozbójnikami, których wodzowie znali nawet szczegóły wojskowych szkoleń.

– Zresztą to nieważne i nudne – rzekł kot. – Nie wiem, czego szukacie w górach, ale idziecie szlakiem, który jest zamknięty. O półtorej mili stąd siedzi całe stado skrzydłaków. Nie widziały was, bo przyszliście wieczorem. Chciałem dostać jednego, ale znalazłem aż kilkanaście i zrezygnowałem z polowania.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wybawił ją Barg.

– Pozwól mi, pani.

– Mów – poleciła ze starannie skrywaną ulgą, sama zaś zwróciła się do żołnierzy: – Kończyć zwijanie biwaku!

Ociągając się, spełnili polecenie. Niepotrzebnie wydała ten rozkaz... ale już wydała i udowodniła coś przeciwnego, niż pragnęła udowodnić – wyszło na jaw, jak niechętnie słuchają. Legioniści, ledwie żywi z przejęcia, chłonili każde słowo rozmowy. Na własne oczy widzieli żywą legendę, naj słynniejszego kocura w Grombelardzie. Lecz kazano im zwijać zwinięty już obóz... i niestety, musieli posłuchać.

Rbit siedział na gałęzi, spoglądając w dół. Podobnie patrzył na nią jej dowódca, nadsetnik Argen. Z troską i powątpiewaniem.

Miała ochotę wrzasnąć.

– Wiemy, że sępy znajdują się w tych stronach, lecz nie wiedzieliśmy, że właśnie na szlaku. Czy na samym szlaku? – pytał Barg.

– Tak, na samym szlaku. Nie powiem ci, legionisto, dlaczego wybrały to miejsce, bo nikt nie wie, co powoduje skrzydłakami. Niewiele mnie to zresztą obchodzi – rzekł kot i była to prawda.

– Dlaczego ostrzegasz nas, panie?

– Bo to są skrzydłaki. Niczego szczególnego nie odczuwam, kiedy widzę ludzi. Lecz gdy widzę skrzydłaka, zawsze coś odczuwam i zawsze

chcę coś zrobić. Żaden ścierwojad nie będzie miał pożytku z czegokolwiek ani kogokolwiek, jeśli mogę temu zapobiec. Koniec pytań „dlaczego” – oznajmił, przeciągając się, aż zadzwoniła zbroja. – Prowadź dalej tych żołnierzy, Armektanko. Z powrotem, prosto do Badoru.

Zeskoczył z gałęzi i nie powiedziawszy ani słowa więcej, leniwie polazł w głąb zagajnika.

– Dziękuję, panie, żeś nas ostrzegł! – zawołał Barg.

Usłyszeli coś w rodzaju prychnięcia, a potem odległe:

– Drobnostka.

o o o

– Co powiedziałaś? – zapytała z niedowierzaniem.

– Powiedziałem, że nie ma innego szlaku, pani. Musielibyśmy okrążyć pół łańcucha.

Przyzwyczajona do szerokich równin, gdzie istniały zawsze setki jakichś szlaków – obojętne, utwardzonych traktów czy szlaków wiodących przez bezdroża – z trudem pojmowała, że... naprawdę mogło nie być innej drogi. Że na przeszkodzie stały nie jakieś wysokie trawy, spowalniające marsz koni, albo las, uciążliwy do przebycia, lecz góry: kamienne ściany, niedostępne dla nikogo od wieków i po wiek wieków; rozpadliny, których dna nie sięgał wzrok; zbocza tak strome, że nie do pokonania.

– Ale musimy iść.

– Najwyżej powietrzem, pani – rzekł, chyba trochę zniecierpliwiony. – A i tam coś może nas spotkać... Może więc lepiej: pod ziemią.

– Dostałam rozkaz od komendanta. Muszę go wykonać. To jest bardzo ważne zadanie.

– Jeśli nawet zależą od niego losy Grombelardu, to nie wykonamy go, pani.

– Ale dlaczego? Sępy?

– Sępy, pani. Całe stado.

– Może to nieprawda?

Westchnął.

– Powiedział nam o tym kot.

Słabo znała koty. Ale wiedziała to, co wszyscy: że nie kłamią nigdy, bo po prostu tego nie potrafią. Nawet surowe imperialne sądy uznawały kocie świadectwo za dowód. Człowiek mógł być świadkiem niewiarygodnym – kot przynosił z sobą dowód: własne słowa. I tak to traktowano.

– Co mogą nam zrobić sępy?

– Nie przepuszczą nas.

– W jaki sposób?

Cierpliwie opowiedział jej o władzy sępich oczu nad wolą każdego

człowieka.

– Chyba w to nie wierzysz? – zapytała z największym zdumieniem.

– W co miałbym nie wierzyć, pani?

– W to, co mi opowiedziałeś! To przecież bajka, nic więcej!

Zniżył głos, by nie usłyszeli żołnierze:

– Posłuchaj, pani... Jestem ci winien posłuch i wypełnię każdy rozkaz. Ale rację miał kocur: jesteś tutaj gościem. Jesteś Armektanką. Nic nie wiesz o Ciężkich Górach, więc posłuchaj, co mówi stary żołnierz. Powiedziałaś wczoraj, że trzeba takich słuchać. Wracamy.

– Wypełnisz każdy rozkaz – powtórzyła.

– Ale nie taki.

– Nie zawrócę. To już prędzej pójdę dalej sama.

– Żartujesz sobie, pani?

– Nie żartuję. Nadsetnik... komendant obdarzył mnie zaufaniem.

– Komendant, gdyby tu był, natychmiast kazałby ci wracać, wasza godność.

– Pójdę dalej. – Zacięła się. – Możecie mi towarzyszyć albo nie. Czy każdy grombelardzki włóczęga na czterech łapach może zmusić cię do złamania rozkazu?

– Ten grombelardzki włóczęga, pani – rzekł Barg, już wyraźnie rozeźlony – to najbardziej znany kocur Szereru, mający przed imieniem trzy monogramy imion wielkich przodków, których wywyższył sam cesarz. Powiadają, że jego ród wygrał wojnę z całym Wiecznym Cesarstwem, bo dowodził Kocim Powstaniem. A tutaj tego włóczęgę, jak mówisz, nazywają Księciem Ciężkich Gór i jest to odwieczne miano drugiego po Kragdobie. Zawrócił, gdy ujrzał stado sępów, chociaż nie musi bać się ich oczu, bo koty nie czują tego, co ludzie. Lecz ty, pani, pójdiesz dalej? Zrobisz to, przed czym cofnął się bez ujmy sam Basergor-Kobal?

– Pójdę dalej – rzekła, głucha na wszelkie tłumaczenia.

– Nie pozwolę na to, wasza godność.

– W jaki sposób?

– Nie wiem.

– Więc zatrzymaj mnie – powiedziała, sięgając po swoją sakwę z prowiantem i różnymi drobiazgami.

– Zwiążę cię, pani, i zabiorę do Badoru. Komendant ukarze mnie najpierw za bunt, a potem nagrodzi za roztropność.

Wyjęła łuk i nałożyła strzałę na cięciwę.

– Spróbuj, dziesiętniku. Nie, co mówię, nie próbuj! – ostrzegła tak groźnie, że nie odważył się sprzeciwić. – Możesz sobie myśleć, co chcesz, bohaterze... Jeśli spróbujesz dotknąć mnie choćby palcem, zastrzelę jak wściekłego szakala.

Z napiętym łukiem cofnęła się o kilka kroków.

– Hej! – zawołała. – Kto idzie ze mną?

Legioniści, od dłuższego czasu gotowi do drogi powrotnej, z ciekawością śledzili rozmowę dowódców, próbując odgadnąć przyczynę zwłoki. Teraz zobaczyła ich zdumienie i zaskoczenie.

– Kto ze mną?! – powtórzyła.

– Nikt nie idzie! – zawołał Barg, dodatkowo powstrzymując żołnierzy gestem. – Dalej, pani, strzel do mnie. Jeśli nawet podsetniczka mnie zastrzeli – znów zawołał do legionistów – niech nikt nie waży się z nią iść!

– Dobrze, idę sama... – powiedziała niegłośnie, nie opuszczając jednak łuku. – Wracajcie do Badoru. Poprowadź ich, dziesiątniku.

Zrobiła tyłem jeszcze kilka kroków, wciąż ze strzałą przyłożoną do cięciwy, a potem odwróciła się i pobiegła przed siebie.

ROZDZIAŁ 5



Rbit wierzył swoim zmysłom, bo z kocim słuchem, wzrokiem i wrażliwością na dotyk prawie nic nie mogło się równać. Lecz był właśnie kotem, nieudanym dziełem Szerni – i zyskawszy rozum, nie postradał tego, co mieli zwierzęcy przodkowie: instynktu. To, co mówił mu instynkt, było równie ważne jak to, co widział i słyszał.

Zatrzymał się, bo był obserwowany. I nie z góry; nie śledziły go sępie oczy.

Oskoczywszy w szczelinę między kamieniami, nasłuchiwał. Rozpoznał człowieka, bo odgłos ludzkich kroków nie przypominał niczego innego. Nie kryjąc się, zmierzał ku niemu człowiek, szedł po stoku – i w dół stoku, o czym świadczyły zarówno osypujące się kamyki, jak i długość kroków. Posłyszawszy oddech, Rbit rozpoznał niemłodego mężczyznę.

I usłyszał jeszcze, że idący poklepał się rękami po głowie.... Plaskanie dłoni o owłosioną czaszkę. Ktokolwiek szedł ku niemu, wiedział, jak koty myślą i poznają świat. To klaskanie było dowodem, że idący nie trzyma w rękę, ani nawet pod pachą, kuszy ani żadnej innej broni. Chyba że miał cztery ręce.

Rbit wyszedł ze swojej kryjówki i patrzył wyczekująco. Stary, lecz rzeński człowiek zmierzał prosto ku niemu. Nic nie mówiąc, wykonał oszczędny gest, jakby chwycił coś tuż przed sobą. Koci gest, Pozdrowienie Nocy.

Rbit oderwał łapę od ziemi i wysunął pazury, zagiął je, a następnie wciągnął z powrotem.

– Niejeden kot biega po tych górach – rzekł mężczyzna, przysiadając na dużym kamieniu – ale tylko jeden, o jakim słyszałem, jest tak duży, przy tym bury i nosi tak dobrą zbroję. Pozwól, panie, że odpocznę – ciągnął, przykładając dłoń do piersi, jakby chciał w ten sposób uspokoić oddech, a może silne kołatanie serca. – Czuję już swoje lata. Nie chciałem hałasować, nawołując.

Trudny język grombelardzki, obfitujący w liczne akcenty i przydechy, pozwalał każdej myśli wyrazić na wiele sposobów. Grombelardzki góral

rozbójnik znał tylko sposoby najprostsze. Lecz ten człowiek nie był rozbójnikiem ani jakimś włóczęgą – i nie chodziło tylko o sposób, w jaki posługiwał się językiem.

– Wiem już, że rozumiesz kota, wasza godność – rzekł Rbit – więc nie zdziwisz się, gdy powiem: nienawidzę zagadek.

– Jestem Dorlan-Przyjęty – rzekł mężczyzna.

– Pierwszy raz spotykam Przyjętego. O Dorlanie słyszałem, jak każdy. Co robisz w Ciężkich Górach, mędrco Szerni? Sądziłem, że siedzicie w Złym Kraju, zajmując się tym, co tam wisi lub leży.

Przyjęty uśmiechnął się lekko, słysząc lekceważenie, z jakim kocur mówił o rozpostartej nad światem Potędze. Lecz wiedział, że to lekceważenie nie rozciąga się na jego osobę.

– Wielu przez całe życie nie opuszcza granic Romogo-Koor – przyznał. – Lecz jeśli naprawdę słyszałeś o Dorlanie, to wiesz, że mówią o mnie lah’agar-wędrowiec lub podróżnik. Bywałem w Armekcie i Dartanie, zaś po Ciężkich Górach przechadzam się wcale często. Wcale często, za pozwoleniem. Książę.

Koci śmiech brzmi dość nieprzyjemnie dla ludzkiego ucha, lecz Przyjęty widocznie był przyzwyczajony.

– Próbowałem dogonić cię, koci wojowniku, żeby ostrzec. Zajmuję się tutaj czymś, co na pewno uznasz za niewarte uwagi, poprzestańmy więc tylko na tym, co cię może obchodzić. Niedaleko znajduje się teren zajęty przez stado sępów. Być może już o tym wiesz? Wprawdzie nie zmierzasz w tamtą stronę...

– Stamtąd przybywam. Wiem o sępach, lecz jestem wdzięczny.

– Biegłem więc niepotrzebnie – rzekł Przyjęty bez żalu, powstając ze swojego kamienia. – Pożytek taki, że poznałem istotę niezwykłą. Przekonany jestem, że masz tutaj własne ważne sprawy, wasza godność, więc nie proszę, byś poświęcił mi swój czas. Historia Szereru niezwykle mnie zajmuje, twój ród zaś, o ile mi wiadomo, tworzył tę historię. Lecz skądinąd mam świadomość, iż kota nie obchodzą takie sprawy. Wielka szkoda.

– Grzebanie w starych dziejach istotnie uważam za mozolne i na ogół zbędne, choć zdaje mi się, że czasami coś z tego wynika – uprzejmie powiedział gadba. – Lecz być może, mędrco, który tak dobrze znasz koty, nie doceniasz jednak kociej ciekawości. Żadne sprawy nie są dla mnie teraz aż tak ważne, bym odmówił rozmowy z Dorlanem. Czy gdzieś tutaj mieszkasz, masz biwak?

Przyjęty uradował się, wcale tego nie kryjąc.

– Więc zostawmy sępy i ich sprawy – powiedział. – Zapraszam cię do siebie, wasza godność. W samej rzeczy, przy Krzywych Skałach znalazłem wygodną wnękę, wystarcza mi takie schronienie, więc zapewne wystarczy i tobie. Ale, ale. – Uniósł brwi. – Nie idziesz wprost

od Hogrogu, lecz mówisz, że wiesz o sępach, a nawet że stamtąd przybywasz... Jest tu zatem szlak, o którym nie wiem. Czy to tajemnica?

– Jest szlak, ale nie dla ludzi. Gdy pomyślisz, panie, łatwo zrozumiesz, że w górach szlaki kocie i ludzkie to nie zawsze są te same szlaki.

– Nigdy nie patrzyłem na to z tej strony. Ale tak, to prawda. Znam koty, przyznam, najbardziej z równin Armektu.

Przyjęty wskazał kierunek. Ruszyli.

Lecz po kilku krokach lah'agar zatrzymał się nagle, przymykając oczy i dotykając czoła dłonią.

– To dziwne – rzekł – ale mam poczucie, że nie znalazłem tego, kogo miałem ostrzec... Nie pytaj mnie, wasza godność, skąd wiem takie rzeczy. Otóż sępy są niejako częścią Szerni... jak ja sam...

– Nie pytam, bo na nic mi ta wiedza – uprzejmie przerwał kot z właściwą swemu rodzajowi szczerością, która nie każdemu człowiekowi była miła. – Jest ktoś jeszcze w tej okolicy. To żołnierze. Ale już ich ostrzegłem.

– Ostrzegłeś ich?

Kot nie odpowiedział. Rzekł swoje i to musiało wystarczyć.

– Lecz sępy właśnie sposobią się do walki, wypatrzyły kogoś – rzekł Przyjęty, wciąż z dłonią przy czole. – Nie neguję twoich słów, kocie. Lecz nie posłuchano twojego ostrzeżenia. Powiedziałaś: żołnierze? Posłałem list dowódcy Badoru przez człowieka godnego zaufania. Ostrzegałem właśnie przed posyłaniem patroli. Prawda, że pisałem nie o tym miejscu, nie było wówczas sępów na tym szlaku. Szlaku do Krzywych Skał! – zauważył. – Czyżby posłał kogoś do mnie, dziękując za mój list?

– Nie wiem, mędrze – rzekł kot, chyba zniecierpliwiony. – Tych żołnierzy prowadziła Armektanka, nic niewiedząca o górach. Może to ona wpadła w pułapkę, ale, prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi.

– Ci ludzie... – zaczął Przyjęty.

– Nie obchodzi mnie, co to za ludzie – przerwał kot. – Ale jeśli można im pomóc, to pomogę. Nie chcę ścierwojadów w moich górach. Im mniej skrzydłaków, tym lepiej.

– Nie wiem, czy można im pomóc.

– Także nie wiem. Dotrzymaj mi kroku, panie, jeśli zdołasz. Albo lepiej poczekaj tu, aż wrócę.

ROZDZIAŁ 6



Nie zostawię jej – powiedział Barg. – Nie mogę. Nie zostawię.

Żołnierze spoglądali w milczeniu.

– Więc co mamy zrobić, dziesiątniku?

Stary legionista spoglądał to na nich, to na przełęcz, z której już schodzili.

– Macie wracać do Badoru – powiedział. – Albo poczekajcie tutaj na mnie. Wrócę sam albo z nią. A jeżeli nie wrócę... to wtedy wróćcie do Badoru.

Trójkowy, najstarszy funkcją, obrócił się ku czterem pozostałym.

– Dziesiątnik idzie, to my też – powiedział niepewnie jeden.

– Z podsetniczką żaden nie poszedł! – rozgniewał się Barg.

– Bo zakazałeś. Bo i ty żeś nie poszedł, bo tylko głupi by poszedł. Na sępy, he!

– To czemu teraz chcecie iść?

– No, bo z tobą. Ona... znaczy podsetniczka... Armektanka! Co ona wie o górach? Ale jak ty gadasz, że idziesz...

– To trza iść – dokończył trójkowy.

Barg, jak wielu mężczyzn w sile wieku skłonny do nagłych wzruszeń, popatrzył na żołnierzy z prawdziwie ojcowską czułością.

– Wy głupki – powiedział z lekką chrypką.

Żołnierze otoczyli go półkręgiem.

– Szkoda czasu. Idziemy? Dogonimy ją!

– Młoda koza i zdrowa, a nogi ma jak koń. I rozeźlona. Może być już daleko.

– No to gońmy ją!

Dziesiątnik spoglądał po twarzach. Raz powziąwszy postanowienie, legionieści wyzbyli się wahań. Nikt nigdy nie szedł na sępy, dobrze. Ale oni pójdą. Tylko oni, jak wcześniej przed nimi nikt inny.

No bo – trzeba.

– Napiąć kusze, nałożyć bełty – rzekł Barg.

Wykonali rozkaz.

– Marsz.

Ruszyli szybko, tak szybko, jak potrafią chodzić po górach żołnierze

Legii Grombelardzkiej. Wkrótce osiągnęli szczyt przełęczy i minęli miejsce nocnego biwaku.

Wszyscy rozglądali się po niebie.

o o o

Przyjęty nie mógł nadążyć.

Rbit wiedział, na co go stać. Był kotem; nie został stworzony, jak wilk albo pies, do długich, niekończących się biegów. Nie popędził przed siebie – lecz ruszył z miejsca tym drobnym kocim truchtem, który sprawia, że grzbiet i całe ciało zdają się zupełnie nieruchome, a pod brzuchem prawie nie widać poruszeń miękkich łap. Lecz ten wytrwały trucht był dość szybki, by zasapany niemłody mężczyzna musiał wkrótce przystanąć, łapiąc oddech z ręką na piersi. Rbit nie zatrzymał się i nawet nie obejrzał; biegł pod górę, nie zwalniając tempa, z podniesionym ogonem, spowity w cichy chrzęst swojej kolczugi.

Tak pokonał pół mili.

Potem dojrzał z daleka rozrzucone rumowiska skalne i gdzieniegdzie przyczepione do nich rachityczne krzewy. To było miejsce, do którego zakradł się w nocy i policzył śpiące jeden przy drugim sępy.

Wydało mu się, że usłyszał krzyk, a w jego tle klekot sępiego dzioba. Nie było już daleko...

Drobny trucht zmienił się w rozfalowany koci bieg.

Dobrze obliczył siły. Gdy między wątlymi krzakami dojrzał czarnobiałe pióra ścierwojada, był zmęczony – lecz daleki od zupełnej utraty tchu. Usłyszał krzyki ludzi, świsnął w powietrzu wystrzelony z kuszy pocisk – był to dźwięk doskonale znany kociemu wodzowi rozbójników. Sępie głosy zły się w monotonne, złowrogie klekotanie.

Rozfalowany bieg przemienił się w długie skoki, wynoszące całe ciało w powietrze. Okryty żelazem wielki kocur wystrzelił spomiędzy skał jak pocisk wyrzucony z gardzieli okrętowej bombardy. Klekotanie dzioba przeszło w dziwaczny skrzek, urwany bardzo wysoko i ponowiony jeszcze wielokrotnie; kot i ptaszysko, skotłowani między kamieniami, przez chwilę stanowili niedającą się rozpoznać kupę futra, żelaza, piór i skrwawionego pierza. Z kłębowiska wyrwał się skulony bury kształt, dzwoniący stalową kolczugą, odbił potężnie od ziemi – i pazurami porwał z powietrza drugiego sępa, który właśnie zerwał się do lotu. Ściągnięty na ziemię ciężarem kociego wojownika, sęp szarpnął szponami, próbując odeprzeć atak – gdy tymczasem pierwsze pokraczne ptaszysko, porzucone między skałami, wciąż skrzeczało z połamanymi skrzydłami, trzepiąc się niezdarnie w kręgu wyrwanych piór i posoki. Rozdarta, prawie oderwana naga szyja nie mogła utrzymać ciężaru łba, który leciał do tyłu... Sęp skonał z głową odrzuconą na grzbiet, z wyprężonymi szponami, podparty na resztkach przetrąconych

skrzydeł, jakby siedział.

Cztery wielkie ptaki z łopotem oddalały się od ziemi, dźwigając ku niskim chmurom. Klekot sępich dziobów umilkł, rozbrzmiewało tylko bulgotliwe, niewyraźne sapanie ścierwojada, którego wielki kot trzymał zębami za gardło. Sęp zakrywał go niemal zupełnie, lecz kocur, leżąc pod nim, mocno trzymał przednimi łapami. Ptakiem nieustannie podrzucało; Rbit schował naraz pazury przednich łap i puścił sępią szyję, a wtedy ostatnie potężne wierzgnięcie odrzuciło padlinożercę, odsłaniając skrwawione tylne pazury kota, który jednym ruchem przekreślił się na ziemi – i znów stał na wszystkich czterech łapach. Leżące w odległości dwóch kroków ptasie ścierwo wystawiło na widok rozerwany brzuch, z którego wydostały się podarte wnętrzności. Połamane o zbroję szpony jeszcze zaciskały się kurczowo.

Za pobliskich skał wynurzył się człowiek w zielonej tunice legionisty. Trzymając się za głowę, zrobił kilka kroków i ukląkł, a potem upadł twarzą na ziemię. Zaraz nadbiegł drugi – ten był przytomny, choć rozdygotany. Lecz cały czas trzymał w ręku kuszę i teraz niezręcznie próbował nałożyć nowy bełt na cięciwę. Raz już zrobił użytek ze swej broni, on lub któryś z jego towarzyszy – albowiem poza kręgiem skał leżał wielki biało-czarny ptak przebity pociskiem na wylot.

Nieco dalej spoczywał na boku zwinięty w kłębek legionista, z dłońmi zaciśniętymi na mieczu, który chyba sam sobie wbił w brzuch.

Jeszcze dwaj żołnierze wyszli zza skał chwiejnym krokiem, wodząc dokoła nieprzytomnymi oczami. Ten, który zdołał na nowo załadować kuszę, powiedział coś do nich i podbiegł do krawędzi szerokiej rozpadliny. Rbit ruszył za nim. Usłyszał ciężkie westchnienie legionisty...

Na dnie głębokiego skalistego dołu siedział, wtłoczony między dwa kamienie, jeszcze jeden nieruchomy sęp, a przed nim spoczywały dwa ciała w mundurowych tunikach. Jedna z tunik była niebieska, z oznaczeniami podsetnika legii.

– On strzelił i trafił... ale próbował szybko zejść do niej... – chrapliwie powiedział żołnierz. – Wtedy spadł.

Usłyszeli za plecami ciężki oddech. Spocony i czerwony na twarzy, ledwo żywy Dorlan podszedł do krawędzi rozpadliny.

– Zejdźmy tam – powiedział.

– Czy możesz dotykać silnych Geerkoto, mędrco?

Przyjęty w milczeniu spoglądał na kocura.

– Nie pochwalam tego – odparł. – Porzucony Przedmiot nie służy do zabawy.

– Toteż nie do tego chcę go użyć. Pomóż mi go wyjąć spod zbroi, tylko tyle.

Przyjęty pociągnął zawieszony na kociej szyi rzemień i z niedużej płaskiej sakiewki wytrząsnął symbol jednego z Ciemnych Pasm: Srebrne

Pióro. Wbrew swej nazwie połyskujący metalicznie przedmiot o kształcie długiego liścia był prawie biały. Marszcząc brwi, Przyjęty patrzył na kota, który chwyciwszy w zęby potężny Geerkoto, skoczył w dół – i nienaturalnie wolno, jakby ważył tyle co puch, zbiegł po stromej ścianie skalnej na dno rozpadliny. Kocie szlaki w górach na pewno istniały – ale istniały też Przedmioty, które wynoszono z Bezmiennego Obszaru, które sprzedawano i których używano, czy podobało się to mędrcom Szerni, czy nie.

Wylądowawszy na dole, kocur pobiegł do nieruchomych ciał, wciąż trzymając w zębach swoje Pióro.

– Nie mamy takich rzeczy, więc zejdziemy inaczej, tak jak robią to ludzie – rzekł Dorlan. – Legionisto, na pewno masz jakiś sznur, ty lub któryś z twoich towarzyszy. Wojsko zawsze ma wszystko, co trzeba.

Nadchodzący żołnierz ze zboląłą twarzą był już chyba całkiem przytomny i dosłyszał, co powiedziano, bo od razu sięgnął do worka.

– Ja, ja niosę linę – wybełkotał.

– Jestem Neden, żołnierz Legii Grombelardzkiej – opowiedział się legionista stojący przy Dorlanie. – Kim ty jesteś, panie?

Przyjęty docenił starania prostego wojaka, który – sam przecież w mundurowej tunice – przedstawił się tylko po to, by następnie bez ujemy zapytać o tożsamość nieznanego, będącego chyba ważną osobą.

– Jestem Dorlan-Przyjęty – rzekł krótko.

W oczach legionisty pojawiło się zdziwienie, lecz podano mu sznur i znów myślał tylko o swoim dziesiętniku i leżącej obok podsetniczce.

– Przyjęty. Więc znasz się, panie, na ranach? – zapytał; w oczach prostych ludzi Przyjęci uchodzili za magów, znających się na wszystkim. – Skoro nie chcesz użyć swojej mocy, to zejdz pierwszy, spuszczę cię na linie.

Dorlan natychmiast przepasał się sznurem. Nie był ciężki; legionisci bez trudu popuszczali linę, łokieć za łokciem.

– Oni żyją! – wrzasnął z dołu kot. – Kobieta nie ma oczu!

Dorlan zawisł w bezruchu. Wstrząśnięci żołnierze na krawędzi rozpadliny zapomnieli o spuszczeniu liny. Krzyknął na nich i po chwili wylądował na dnie dziury. Odwiązał szybko sznur i podszedł do ciał na ziemi. Kocur siedział między nimi.

– Wojownicy – rzekł ze szczerą nienawiścią, której nie mogło stłumić niewyraźne brzmienie niskiego kociego głosu. – Wojownicy przeciw ścierwojadom. To jest świat pod niebem twojej Szerni.

– Tylko Szerni – odpowiedział sucho Przyjęty. – Nie mojej i nie naszej. Niczyjej.

Pochylił się nad dziewczyną, a zaraz potem nad żołnierzem. Gruby legionista był przytomny.

– Nie czuję ciała – powiedział powoli, bardzo spokojnie i wyraźnie. –

Nic nie boli... ale nie czuję.

Dorlan przygryzł usta.

– Co z dziewczyną? – zapytał Barg.

Dorlan znów spojrział na leżącą. Pod uchylonymi powiekami ziały dwie szkarłatne jamy, z których sączyły się wąskie strużki krwi. Posłuchał oddechu i dotknął tętniącego miejsca na szyi. Obejrzał rozciętą skórę na głowie.

– Oślepiły ją – powiedział. – Nieprzytomna. Potłukła się, ale to nic wielkiego.

– Oczy. – Legioniście zadrżał głos. – Jedno... i drugie?

– Tak.

Pierwszy z żołnierzy opuścił się na linie i podbiegł do grupki na dnie skalnego kotła.

– Dziesiątniku – powiedział.

Barg nie słuchał.

– Kim jesteś, panie? – zapytał Dorlana.

Przyjęty opowiedział się po raz trzeci tego dnia.

– Jej oczy – nalegał legionista. – Ona by ich na żadne nie zamieniła... To jest nocna łuczniczka, czarodzieju. Uratuj jej oczy.

– Nie jestem czarodziejem – rzekł Dorlan.

– Com ja się w życiu napatrzył na takich, co skręcili kark na wertepach. – Żołnierz wciąż mówił spokojnie i wyraźnie. – A siebie nawet obejrzeć nie mogę... I co mi po tych oczach? Ja bym jej oddał te oczy. Nie takie dobre jak te, co zabrał sęp... ale lepsze takie niż żadne. Mnie tam się już na nic nie przydadzą.

Dorlan z trudem panował nad wzruszeniem. Siedzący przy swoim dziesiątniku żołnierz głośno przełknął ślinę.

– Dasz jej moje oczy, mędrcze Szerni? – pytał Barg. – Mówią, że wy wszystko możecie... Ale to pewnie tylko takie bajki?

– Tak, mój przyjacielu. To są bajki. Nikt nie potrafi zrobić tego, o co prosisz.

– Ale to jest nocna łuczniczka, panie. Ten dzieciak... pokazywał naszym, jak się strzela z łuku.

– Powiadam ci, żołnierzu – głucho powiedział Przyjęty – że gdzie indziej, w Romogo-Koor, mógłbym może coś zrobić. Ale tutaj Pasma Szerni nie działają. One tylko wiszą nad światem.

– Jeśli chcesz coś zrobić, to zrób – rzekł kot tak niewyraźnie i mruklawie, że prawie go nie zrozumieli. – Działa Pióro, dlaczego ty nie możesz?

Przyjęty i siedzący przy Bargu legionista obejrżeli się nań. Kot aż dygotał, wstrząsany tym wszystkim, co go przepełniało.

– Bo nie jestem Przedmiotem – odrzekł Dorlan.

– Wojownicy zabijają wojowników, to dobrze – rzekł kot głosem

jeszcze niższym niż dotąd. – Ale ścierwojady... Ścierwojady i wojownicy. To nie są prawa wojny, tu masz tylko prawa sępów. Daj jej oczy tego legionisty.

– Zrób to, panie – rzekł Barg.

– Gdybym mógł – szepnęła Przyjęty, powstając w odruchu bezsilności.

Wtłoczony w wąską szczelinę między kamieniami, przebity bełtem sęp ożył niespodziewanie, słabo klekocząc dziobem. Dyszący nienawiścią kocur zasyczał i skoczył w górę, jakby kopnięto go w brzuch, lecz nim spadł na wyprężone łapy, z których już wysunęły się pazury, leżący na ziemi Porzucony Przedmiot zalśnił nagle. Siedzący przy Bargu żołnierz krzyknął i zerwał się na równe nogi, gdy turkusowy wir zaszumił na dnie rozpadliny; z suchym trzaskiem strzeliły z tego wiru dwie lub trzy zielone błyskawice, trafiając zdychającego ptaka. Wytrysnęły spomiędzy skał spalone pióra, kłęb dymu przyniósł odór zwęglonego mięsa. Jednocześnie leżąca na ziemi dziewczyna, podrzucona jakąś siłą, targnęła się, wygięła w łuk i z krzykiem usiadła, przyciskając dłonie do twarzy.

Turkusowy wir wsiąkł w Srebrne Pióro.

Wstrząśnięci ludzie spoglądali po sobie. Kocur dyszał, rozcapierzony na ziemi, wciąż gotowy do ataku na sępa, dygoczący i oszołomiony.

Armektanka oderwała ręce od twarzy – i ujrzeni błysk przerażonych szarych oczu. Wciąż krzycząc, rzuciła się na Przyjętego, pierwszego człowieka, jakiego zobaczyła, i przywarła doń z płaczem.

– Sęp! – powtarzała roztrzęsiona. – Sęp, sęp...

Przyjęty objął ją, lecz nie mógł wykrztusić słowa.

– Dziękuję, panie – rzekł Barg. – A więc czasem... może się jednak ziścić niemożliwe. Teraz już mogę umrzeć. Wiem, że warto było tu przyjść.

Dziewczyna raz jeszcze krzyknęła przeraźliwie, ujrawszy ponad ramieniem Dorlana bladą twarz dziesiątnika i sączące się z pustych oczodołów dwa wąskie strumyczki krwi.

– Barg! – powiedziała z płaczem. – Barg... o nie!...

– Czy pomożesz mi, stary przyjacielu? – zapytał nieszczęsny żołnierz, zwracając się najwyraźniej do swego towarzysza. – Ja już nawet tego sam nie zrobię...

Trójkowy zrozumiał – lecz nie mógł wykrztusić słowa, jął tylko potrząsać głową.

– Pomożesz?

– Ja – powiedział Rbit. – Odejdźcie wszyscy.

– Basergor-Kobal... – rzekł mężny dziesiątnik. – To zaszczyt.

– Dla mnie – rzekł kocur. – Nie dla ciebie, wojowniku, lecz dla mnie.

Po czym raz jeszcze zwrócił się do Przyjętego i płaczącej dziewczyny:

– Idźcie stąd.

Osobno zaś przemówił do stojącego jak posąg, wyłamującego sobie palce żołnierza:

– Pozwól mi, legionisto. Albo zrób to sam.

Mężczyzna nie wiedział, co powiedzieć. Wreszcie stare, zahartowane w bojach serce zabiło mocniej – i trójkowy zapłakał, jak czasem płaczą wojownicy: roniąc tylko dwie, najszczerze w swoim życiu łzy.

– Przebacz mi, dziesiętniku – powiedział. – Pozwalam ci, kocie... Tak trzeba.

Po czym odwrócił się i podszedł do skalnej ściany, z której zwieszała się lina. Pomógł Przyjętemu obwiązać w pasie ciągle płaczącą podsetniczkę.

Wspiął się na górę ostatni.

o o o

Po niskim niebie Deszczowego Kraju przesuwały się kłęby chmur. Kocur patrzył na chmury i powiedział o nich legionście.

– Zawsze były i będą – rzekł Barg. – Pożegnajmy się, panie. Już czas.

– Czy teraz?

– Teraz, kocie. Już... tak.

Szarpnięta pazurami tętnica na szyi trysnęła szkarłatną krwią.

– Będę o tobie pamiętał, wojowniku.

Rbit czuwał przy żołnierzu – do końca.



Przełęcz Mgieł

*Jego Godność R.W.Ambegen
Nadtysięcznik-Komendant Legii Grombelardzkiej
Honor-Setnik Gwardii Grombelardzkiej w Grombie*

Zawsze obecny w mej pamięci Towarzyszu i Przyjacielu!

Wspomniawszy dawne wspólne przejścia w służbie dla chwały i bezpieczeństwa cesarstwa, polecam się względem Waszej Godności, prosząc o pomoc w niezwykle ważnej, acz osobistej sprawie. Oto dwudziestu wiernych i wypróbowanych ludzi z mojego prywatnego pocztu udaje się w podróż, której niebezpieczeństwa i trudności Wasza Godność sam najlepiej będziesz umiał ocenić, jako Grombelardczyk i doświadczony żołnierz. Chodzi mianowicie o dotarcie do granic Bezimiennego Obszaru, zwanego zwykle u was Złym Krajem. Liczę bardzo na wskazówki, jakich Wasza Godność zechcesz udzielić dowódcy wyprawy, a polecam go Twoim szczególnym względem, jako mego syna, przyjaciela i dziedzica. Wszystkie wątpliwości skieruj Wasza Godność do niego, a uzyskasz odpowiedzi szczere i wyczerpujące, tak jakbym ja sam ich udzielił...

Przyznam, panie – rzekł R.W.Ambegen, wojskowy komendant Grombu – iż ciągle pozostaję pod wrażeniem. Mam na myśli zarówno samo przedsięwzięcie, jak i jego rozmach.

Oveten, syn B.E.R.Lineza, komendanta Legii Armeckańskiej w Rapie, był dość wysokim, ciemnowłosym jak jego ojciec mężczyzną w wieku lat trzydziestu, o śmiałej i szczerzej twarzy żołnierza. Zgodnie z armeckańską modą nie nosił brody, a tylko wąsy, z których jeden unosił się nieco ku niewielkiej bliźnie na policzku. Odziany był skromnie (zbyt wyraźne okazywanie zamożności było w Armeckie źle widziane; nadmiernie zadbany mężczyzna mógł łatwo narazić się na śmieszność) – miał na sobie dobrą lamelkową zbroję, a na niej brunatną kurtę skórzaną, spiętą pasem, u którego z jednej strony wisiał myśliwski nóż, z drugiej zwykły gwardyjski miecz, krótki i dość szeroki, z pochylonym w dół jelcem. Spod zbroi wystawała prosta czarna spódnica, a jeszcze niżej sukienne nogawice, wpuszczone w cholewy wysokich butów. Ambegen z dużą przyjemnością dostrzegał u młodego mężczyzny cechy urodzonego wojownika, co czyniło go podobnym do ojca nie tylko z rysów twarzy.

Siedzieli przy dużym prostokątnym stole, w pomieszczeniu kojarzącym się nieco z celą w twierdzy więziennej. Lecz tak właśnie wyglądały zwykle „apartamenty” cesarskich dowódców w Grombelardzie. I komendantura stołecznego garnizonu nie była tu wyjątkiem.

– Łatwo pojmuję – rzekł znowu stary żołnierz – że jakiś awanturnik idzie do Złego Kraju po skarby, nie oglądając się na nikogo i na nic. Ale

przecież jego godność Linez – Ambegen postukał palcem w leżące na stole pismo – ma możliwości i środki. Czemu nie morzem? Prawda, że wody przybrzeżne leżą już w granicach Obszaru, ale jednak łatwiej przebyć parę mil wodą, niż przemierzyć całe Ciężkie Góry!

Oveten skinął głową.

– Były wyprawy morzem – odparł zwięźle. – Dwie. Żadna nie wróciła. Komendant sposepniał.

– Jednak pomimo tego prowadzisz, panie, trzecią wyprawę.

Oveten potwierdził.

Ambegen, nachmurzony, wziął list do ręki i raz jeszcze przebiegł wzrokiem treść, szczególnie zaś początkowe zdania, gdzie jego godność Linez, powołując się na starą przyjaźń (bo walczyli razem pod Północną Granicą), prosił o udzielenie jego ludziom wszelkiej możliwej pomocy.

Zamyślił się.

Linez był Armektańczykiem znakomitego rodu, człowiekiem bogatym i wpływowym. Dla jakiegoś kaprysu (bo chyba nie dla złota?) słał oto trzecią z rzędu wyprawę w granice Romogo-Koor – Bezimiennego Obszaru, zwanego nie bez kozery Złym Krajem. Czas płynął tam inaczej niż w pozostałych częściach Szereru, a ponadto szalały niepojęte moce. Jednak Porzucone Przedmioty, za które dawano niebotyczne sumy, kusily. Ambegen rozumiał, że będąc poważnie chorym, warto może ryzykować życie dla zdobycia Listka Szczęścia, chroniącego skutecznie przed wieloma dolegliwościami, choć akurat ten najpospolitszy z Porzuconych Przedmiotów łatwiej było kupić, za sumę... no cóż, jakoś jeszcze wyobrażalną. Pojmował nawet, że można pożądać Przedmiotów dla pieniędzy. Jednak człowiek tak bogaty jak Linez mógł właśnie sobie kupić Przedmiot, jakiego potrzebował, pomnażanie zaś bogactwa w równie ryzykowny sposób było niedorzecznością. Oto przepadły dwa statki; teraz to samo stać się mogło z owym poczem zbrojnych. Straty przewyższyły już chyba spodziewane zyski.

O co więc chodziło w tej grze? Oveten wyjaśniał, że ojcu nie zależy na żadnym konkretnym Przedmiocie, lecz zdobyciu pokaźnej ich liczby. Czemu miało służyć prowadzone z takim rozmachem przedsięwzięcie?

– W moim wieku nieokiełznana ciekawość to rzecz rzadka – powiedział w końcu komendant. – Myślę jednak, panie, że łatwo ją zrozumiesz. A zatem...?

Oveten skinął głową.

– Nie ma tu żadnej tajemnicy, wasza godność. Ojciec upoważnił mnie, bym powiedział prawdę. Może wyda ci się to, panie, niezwykle lub nawet zabawne, ale chodzi o... przegrany zakład.

Stary komendant zdumiał się.

– Przegrany... zakład?

– Tak właśnie.

Ambegen pomyślał, a konstatawał to nie po raz pierwszy w życiu, że Grombelard i Armekt rozdzielone są bezdenną przepaścią. Oto siedział przed nim syn człowieka, któremu podobało się przegrać zakład. Tonęły statki i ginęli ludzie, których co prawda na pewno nie zmuszono do wyprawy, a za ryzyko po królewsku zapłacono... Ten tutaj, junak, właśnie żegnał się z życiem (Ambegen w głębi duszy był tego prawie pewien) – ale próżno było w nim szukać choć cienia wątpliwości co do racji, którymi kierował się ojciec. Mało tego: Ambegen wiedział coś jeszcze, albowiem spędził w Armekcie wiele lat. Wiedział mianowicie, że zwycięzca owego zakładu był najpewniej człowiekiem niepokieszonym. Nie dane mu było uczestniczyć w takim pięknym szaleństwie!

Oto właśnie był Armekt. I Armektańczycy.

– No cóż, panie – rzekł po namyśle, usiłując zapanować nad twarzą – może wymienięś jedyny powód, który potrafię zrozumieć. Mimo że jestem Grombelardczykiem... – Parsknął na koniec krótkim śmiechem i zaraz przeprosił gestem. – Czasem niezmiernie żałuję, że moja młodość minęła – dodał jeszcze i była w tych słowach cicha akceptacja dla zuchwałych poczynań.

Ale wypowiedział je człowiek, który kilkanaście lat wcześniej, mając kilkuset żołnierzy, uderzał na tysiące alerskich najeźdźców.

Oveten zrozumiał.

– Ojciec zawsze powtarzał, panie, że masz armektańską duszę.

Była to bodaj największa pochwała, jaką mógł wygłosić syn narodu rządzącego Szererem.

– Rozumiesz oczywiście, wasza godność – rzekł Ambegen, jeszcze raz unosząc pismo przyjaciela – że mimo sentymentu, jaki żywię dla twego ojca, niepodobna, bym wsparł przedsięwzięcie prywatne siłami cesarskich żołnierzy? Bo powody, dla których tam idziesz, niech lepiej zostaną między nami. Tu jest Grombelard, nie Armekt.

Oveten rozłożył ręce.

– Na Szerń, panie – powiedział szczerze – nawet mi do głowy nie przyszedł taki pomysł! Legie imperialne nie służą do kwitowania zakładów.

– Jak więc mogę pomóc? Nie mam w garnizonie nikogo, kto wiedziałby o Obszarze coś więcej, niż wie w Grombelardzie każdy. Wyprawa do Kraju to hazard. Żadna wiedza nie uchroni cię, panie, przed tym, co tam czyha. Ale muszę powiedzieć, że sam Obszar jest chyba mniej niebezpieczny niż droga tam... i z powrotem.

– Rzecz w tym, wasza godność, że ta droga to jedyny mój kłopot. Ojciec zlecił mi, bym niczego przed tobą nie taił, a zresztą... nie chcę, byś pomyślał, że pragnę schlebiać ci, panie, ale ojciec często, bardzo często polecał mi twoją osobę jako niedościgły wzór. Nie znając cię, nauczyłem się szanować i ufać całkowicie.

Komendant dołożył starań, by ukryć przyjemność, jaką sprawiły mu słowa gościa.

– Do czego zmierzasz, panie? – zapytał.

– Do sedna tajemnicy. Mówiłem o dwóch morskich wyprawach, otóż druga powiodła się... częściowo. Duża liczba Porzuconych Przedmiotów została wyniesiona z Obszaru. Utraciwszy okręt, siedmiu ludzi ruszyło lądem, przez góry. Jednak wydostawszy się z granic Złego Kraju, nie mogli nieść swej zdobyczy, dotknięci wcześniej jakąś tajemniczą chorobą. Prawie wszyscy zmarli, skarb zaś został ukryty. Do Armektu powrócił tylko dowódca wyprawy, mając u boku jednego towarzysza, obaj bardzo osłabieni dolegliwościami. Przeżyli tylko dlatego, że mieli Przedmioty zwane Listkami Szczęścia, i nie myśl, wasza godność, że nie próbowali ratować nimi swoich towarzyszy... Lecz te rzeczy potrzebują sporo czasu, nim zaczną służyć osobom, które je stale noszą. Przeżyli tylko właściciele, bo to ich Listki chroniły najlepiej. Ci ludzie przynieśli wiadomość o schowanych Przedmiotach. Moja misja polega na odszukaniu ich i dostarczeniu do Armektu. Oto cała sprawa.

Ambegen milczał, oszołomiony wieścią.

– Na Szerń, panie – rzekł w końcu – czy wie o tym ktoś jeszcze oprócz ciebie? Twój ludzie?

– Nie, nikt.

– A ci, co przynieśli wiadomość?

Oveten pociągnął zawieszony na szyi rzemyk, pokazując płaski zielony kamyk, kształtem przywodzący na myśl liść.

– To ja i jeden z moich żołnierzy. Ale on pozostał w Armekcie, nie jest już człowiekiem młodym i wyprawa zużyła jego siły.

Stary żołnierz niemal chwycił się za głowę. Wstał i zaczął chodzić po komnatce.

– Posłuchaj mnie, panie, uważnie – przemówił po długiej chwili. – Jesteśmy w Grombelardzie. Nie chcę mówić źle o własnym kraju, ale jednak to ojczyzna rozbójników. Gdy jakiś śmiałek rusza do Obszaru, to zwykle nikt o tym nie wie, a jeśli nawet wie, to lekceważy taką jednoosobową wyprawę, która z całą pewnością nie wróci. Czasem jednak rusza niezłe wyposażona i przygotowana grupa, taka, weźmy, jak twoja. Oddział dobrze dowodzonych, zdecydowanych i odważnych ludzi ma niejakię szansę na sukces. Wieść roznosi się szybko, a potem do granic Złego Kraju ściągają bandy łotrów, rzezimieszków i awanturników, pragnących cudzymi rękami wyciągać kasztany z ognia. Wyprawa jest tropiona zajadłe, a gdy wraca (o ile wraca), bandy owe już czekają w gotowości, by wydrzeć cenny łup.

Zatrzymał się przed Ovetenem.

– Teraz dowiaduję się, że skarb (a nawet nie chcę słyszeć, ile jest tych Przedmiotów!) leży sobie w górach, w jakimś miejscu, gdzie byle pastuch

może dotrzeć i wziąć sobie tyle, ile zdoła unieść. Pochwalasz, panie, zakłady? Lecz jeśli wieść o tym przedostanie się do obcych uszu, twoje życie nie będzie warte zakładu o kwartę piwa. Czy rozumiesz? Pięć mil za murami Grombu czekać będą na ciebie i twoich ludzi wilcze stada, które porwą was wszystkich i obedrą ze skóry, byle poznać prawdę o miejscu, gdzie jest skarb. Mało tego: nawet jeśli tajemnica nie wyjdzie na jaw, tropić was będą tak czy owak. Jak zamierzasz zabrać te Przedmioty? Jak zamierzasz je przenieść przez całe Ciężkie Góry?

– Wasza godność, jestem pewien, że moi ludzie...

Żołnierz wybuchnął niespodziewanie i gwałtownie:

– Bredzisz, chłopcze! To nie są twoi ludzie, tylko twoje trupy, jeszcze żywe, ale już prawie zimne!

Oveten umilkł skonsternowany. Ambegen jednak uspokoił się równie nagle, jak się rozzłościł.

– Wybacz mi, panie. Nie znasz Ciężkich Gór. Tak, rozumiem, przemierzyłeś je, mając u boku tylko jednego towarzysza. Rozumiem i podziwiam, to niemała rzecz. Ale ta sama sztuka rzadko udaje się dwa razy. Którędy szliście?

– Nie wiem. Najmowaliśmy przewodników, a gdy nie było to możliwe, szliśmy po prostu na zachód. Błądziliśmy. Mieliśmy bardzo dużo szczęścia, dziś to wiem. Pomogło nam kilka Przedmiotów, które zabraliśmy ze sobą.

– Czyżbyś podczas tej wędrówki, panie, niczego się nie nauczył? Przewodnicy, powiadasz?

– Przeważnie mieszkańcy dzikich wiosek. Jeden nas okradł, drugi wyprowadził na bezdroża. Dwaj uciekli.

– Otóż to. Tu nie Armekt! Znam twoją ojczyznę niezgorzej, wiesz przecież. Jeźdźcy Równin, których tam nazywacie zbójami, to po prostu wesołe gromady rozbrykanych urwisów w porównaniu z mordercami Mavali, rzeźnikami Hageny czy wyborną, na wojskowy sposób urządzoną gwardią Basergora-Kragdoba. Niech już będzie tylko ten ostatni, a w istocie najpierwszy ze wszystkich. Czy wiesz, panie, ilu ludzi mu służy? Trybunał Imperialny – postukał palcami w stół – szacuje ich liczbę na blisko dwa tysiące! Dwa tysiące, panie, dwa tysiące szpiegów, wywiadowców, złodziei, włóczęgów, skrytobójców i uzbrojonych po zęby wojowników w kolczugach. Czy rozumiesz teraz, panie, o czym mówię? Jeśli chcesz porównania, to powiem, że twoje Przedmioty są równie łatwo osiągalne, jakby leżały na terytorium Aleru. To już powinieneś zrozumieć, twój ojciec przesłużył na granicy wiek życia, a wciąż, jak mi się zdaje, macie tam spore majątki. Szczęście? Nie mieliście szczęścia, wasza godność. To cud.

Oveten milczał, marszcząc brwi.

– L.S.I.Rbit – rzekł jeszcze Ambegen. – Książę Gór, prawa ręka

Kragdoba. To kot. Ma całe tuziny donosicieli i szpiegów. Powiadają, że nawet w legiach, nawet wśród ludzi Trybunału, nawet na samym dworze Księcia Przedstawiciela. Szepnij komu na ulicy „wyprawa”, a on jutro będzie o tym wiedział.

– Co mi radzisz, panie? – zapytał Oveten. – Mam dwudziestu pewnych, bardzo dobrze wyszkolonych ludzi, dobrą broń, swoją odwagę i... sporo złota. To wszystko. Doradź mi, co z tym począć, a na pewno posłucham twych wskazówek.

– Nie zrezygnujesz?

– Nie mogę i nie chcę.

Zafrasowany komendant usiadł, podpierając czoło ręką.

– Najpierw potrzebny będzie przewodnik. Nie, nie taki, jakich braliście... Są tu ludzie żyjący z łażenia po górach. A potrzebny jest ktoś, kto zna Ciężkie Góry na wylot, kto was przeprowadzi każdym szlakiem i potrafi zgubić idącą w trop bandę.

– Wasza godność znasz kogoś takiego?

– Hm... Może znam.

– Gdzie szukać tego człowieka?

Ambegen myślał jeszcze przez chwilę, po czym niespodziewanie uśmiechnął się lekko.

– A jednak los ci nieco sprzyja, przyjacielu. Gdzie szukać? No cóż, jeszcze wczoraj powiedziałbym, że nie wiem, ale dzisiaj mówię: akurat tutaj, w Grombie.

ROZDZIAŁ 1



LS.I.Rbit nie wybuchał gniewem prawie nigdy – cyniczny i chłodny, jak każdy kot. Jednak stulone uszy były dla tych, co go znali, wyrazem ponurej wściekłości.

– To nie sprawka Armektańczyków. To sprawka Hageny – powiedział, gdy zebrano zwłoki do kupy; nieforemny stos złożonych na tułowiu rąk i nóg, uwieczony rozłupaną głową, właściwie trudno było nazwać trupem. – A raczej nie samego Hageny, tylko jego ludzi. Czy dano mu znać, że Kragdob przejmuje tę armektańską wyprawę?

– Tak – odpowiedziano krótko.

– Ale – rzekła Kaga, malutka, zielonooka brunetka, śliczna jak czarny obłok – wiadomość mogła nie dotrzeć. Nie wierzę, żeby Hagen wydał nam wojnę.

– Wydał jednak. – Rbit odwrócił się od poćwiartowanego zwiadowcy. – Tylko jego grupy są w tej okolicy. A musieli przecież wiedzieć, kogo zarzynają. Pierwsze, co od niego usłyszeli, to moje imię.

Dziewczyna kręciła głową.

– Hagen polega często na przypadkowych najemnikach. Ci, co to zrobili, ledwie pewno wiedzą, komu służą. A już że Hagen przyjął zwierzchnictwo Kragdoba i twoje, to w ogóle nie mają pojęcia. Zresztą każdy, kogo tutaj złapią, od razu zaczyna krzyczeć, że jest waszym żołnierzem, bo to może ocalić mu głowę. Sama takich łapałam, co bez przerwy przysięgali, że służą, no, w moim własnym oddziale i pod moją komendą, bo tutaj Kragdob znaczy tyle, co Delen albo ja.

Powszechny pomruk poparł jej wypowiedź.

Rbit pomyślał krótko. Pod nieobecność Delena, który był w Rahgarze z Basergorem-Kragdobem, Kaga dowodziła grupą. Dobrze знаła okolicę i wiedziała, o czym wiatr w górach szumi. Mogła mieć rację, i pewnie ją miała.

– Pochowajcie go – polecił krótko. – Kaga, jak odnaleźć Hageny?

Rozłożyła ręce.

– W Badorze albo w Grombie. Ale raczej w Badorze. Tam siedzi jego człowiek. Jeśli o czymś trzeba powiadomić Hageny, to przez niego. Tutaj,

w górach, możemy go szukać sto lat.

Rbit znów stulił uszy.

– Więc wybierz paru dobrych zwiadowców, niech mi dogonią ten oddział. To nasza wina, Kaga, byliśmy zbyt pewni siebie. Jakim sposobem przez tyle dni nie zorientowaliśmy się, że ci ludzie przed nami to nie są Armekańczycy? Chcę mieć wieści, bez przerwy. Obojętne mi, czy to ludzie Wer-Hagena, czy nie. Jeśli mi się nie podporządkują, to wyrzniemy ich, Kaga. Do nogi.

Skinęła głową, bardzo zadowolona. Nie lubiła Hagena. Jego ludzie zbyt często wchodzili jej w paradę.

Kocur stał i obserwował grupę, nieruchomy. Znała Rbita dobrze i wiedziała, że potrafi tak tkwić bardzo długo, z zastygniętymi tarczami żółtych oczu i uszami zwracającymi się bez przerwy ku źródłom różnych dźwięków, których najczęściej mogła się co najwyżej domyślać. Lubiała koty, na pewno bardziej niż ludzi. Wychowała się na ulicy w Badorze i znała koty od zawsze; właściwie to złodziejska kocia szajka była jej rodziną.

Po grombelardzku „kaga” znaczyło „kotka”.

– Lubię wasz oddział – rzekł Rbit. – Delen zrobił z tych ludzi wojowników, a ty zaprowadziłaś porządek. Dlaczego ludzie boją się ciebie, Kaga?

Wzruszyła ramionami, zbyt zdziwiona i zaskoczona pochwałą, by udzielić jakiegokolwiek odpowiedzi. Kocur bardzo rzadko wyrażał komuś uznanie.

– Nie pójdziemy już dzisiaj dalej, nie warto. Zarządź, co trzeba.

Wykonała rozkaz bez zwłoki.

Wiadomość przyjęto z dużym zadowoleniem. Forsowne marsze przez góry były chlebem powszednim, ale teraz już od kilku dni pędzili niemal bez wytchnienia. Ktokolwiek wiodł oddział, za którym podążali, wybornie znał wszystkie szlaki, a zawsze i niezawodnie wybierał drogę najkrótszą, nie przejmując się wcale, jeśli wiodła akurat środkiem lodowatej górskiej strugi. Brodzili tak ostatnio na odcinku pół mili, wciąż pod górę, pogrążeni w straszliwie wąskim, choć płytkim żlebie, którego dnem rwał lodowaty potok. Zahartowani w wędrówkach przebiegacze gór co rusz musieli przystawać, by rozetrzeć stopy, odmrożone niemal, sztywne jak kawałki drewna.

Sprawnie rozłożono obóz, wystawiono czaty. Nie rozmawiano dużo, chyba tylko, z żalem, o zamordowanym zwiadowcy – i z pogardą o ludziach Wer-Hagena, którzy chcieli ich zastraszyć, zostawiając zwłoki na samym środku szlaku.

Kaga wróciła do Rbita, wylegującego się pod skalnym okruczem.

– Ale zwiadowców, tych, co chciałeś, posłałam – oznajmiła, siadając. – Im szybciej znajdziemy Hagenowych, tym lepiej.

– Dobrze.

Milczeli. Wstała i przyniosła bukłak z winem oraz wędzone mięso. Zjedli. Napila się z bukłaka, po czym bez ceremonii wylała trochę wina na dłoń i dała kocurowi.

– Zmieniłaś się – rzekł z pogardliwym pomrukiem, bo wino było bardzo marne.

– Niedojrzała – potwierdziła skrzywiona, kwitując smak napitku. – Zmieniłam się? A, już wiem, no tak... – Skinęła głową, znów się krzywiąc. – Jestem w ciąży. Nie myślałam, że już po mnie widać.

– Zobaczyłem ja, więc niedługo zobaczą inni. Z kim?

– Skąd mam wiedzieć? – Spojrzała zdziwiona. – Najpewniej z Delenem.

Kocur poruszył łbem i w wieczornej szarówce zobaczyła jego okrągłe źrenice.

– Za stara już jestem – powiedziała z uśmiechem, łatwo odgadując jego myśli. – Mam piętnaście lat, Rbit, a połowę z tego wzięły Góry. Muszę mieć je bez przerwy.

– Nie chcesz pomieszkać trochę w Grombie?

– Po co? Nie pierwszy to taki kłopot...

– Nie pierwszy, bo drugi – przerwał. – W ciągu półtora roku, a nawet nie.

– Wiedziałaś? No tak. Poskaczę po wertepach i zgubię pewnie tak samo jak poprzednie. – Machnęła ręką ku szczytom. – A jak nie, to pomyślimy później.

Zmarszczyła nagle brwi.

– Miałabym zostawić Góry? – zapytała z niebotycznym zdziwieniem, poirytowana. – Tak sobie, bez powodu? Przecież nie straciłam władzy w nogach!

Rozbawiła go jej złość. Ale pojmował łatwo, że bez Gór nie da się wytrzymać, kiedy już zdążyły zająć pół życia.

– Zawsze chciałam być mężczyzną – powiedziała posępnie. – Szkoda, że nie jestem. A najbardziej to kocurem gadba. – Spojrzała ponuro i zupełnie poważnie. – Chciałabym być taka jak ty. Wiesz?

– Jesteś, siostrze – rzekł tak samo poważnie jak ona. – Tylko jeszcze tego nie widzisz. Bo niełatwo to zobaczyć, trzeba czuć.

Wyciągnęła rękę i podrapała prężny, aksamitny kark.

– Warto pospać.

– Warto. Jutro pewnie znów ruszymy biegiem. A jak znajdziemy tych od Hageny, może bitwa.

– No. Bitwa.

ROZDZIAŁ 2



Oveten spojrział na czoło pnącego się krętą ścieżką oddziału – i omal nie runął w dół stromego zbocza, wraz z lawiną kamieni uciekających spod stóp. Z trudem utrzymał równowagę.

Oglądano się na niego. Uniósł dłoń, dając znak, że wszystko w porządku, po czym ruszył, bacznie patrząc pod nogi. Oto kraj, w którym każdy krok mógł być ostatnim. Morderczy marsz zabił już dwóch jego ludzi. A on sam przedwczoraj skręcił nogę. I miał szczęście, bardzo dużo szczęścia, bo mogło skończyć się gorzej.

Zimny wiatr przybrał na sile. Oveten spojrział w niebo. Na twarz spadły mu pierwsze grube krople; nadciągała wieczorna ulewa.

Kobiety, lekko schrypnięty głos od czoła zawołał:

– Dalej! Tu jest rozpadlina, chroniąca dobrze przed wiatrem! Czwierć mili!

Żołnierze ruszyli żwawiej. Przepuściła ich, czekając na Ovetena.

– Jak noga? – zapytała.

– Dokucz – rzekł szczerze. – Ale nadążam.

– Ledwo, ledwo.

Skinął głową, ogarniając spojrzeniem jej zgrabną sylwetkę. Chyba nie wiedziała, co to chłód – oprócz mocnych butów miała na sobie tylko rozchełstany pod szyją futrzany kaftan, brudny i tłusty tak, że deszcz nie chciał przezeń przenikać, oraz wojskową spódnicę do kolan, trochę rozciętą z boku, by nie krępowała ruchów. Skrzyżowane na piersi pasy przytrzymały dużą sakwę oraz łubie z łukiem i kołczan ze strzałami.

– No to zostaw mnie, pani.

Roześmiała się, pokazując zęby.

Mówiono na nią: Łowczyni. Ovetena dziwił trochę ten przydomek, ale stary komendant, jeszcze w Grombie, wyjaśnił mu, że kobieta, która tropi i zabija sępy, w pełni nań zasługuje.

W okolicach Badoru i Grombu znano ją doskonale. Z gór od jakiegoś czasu płynęły wieści o niezwykle tępicielce ścierwojadów. Raz i drugi pokazała drogę zabłąkanym ludziom; pojawiała się przy ogniskach

wojskowych patroli... Wraz z kupieckimi karawanami schodziła czasem z gór aż do Riksu. Wcale nierzadko bywała w miastach – posterunki przy bramach zwracały na nią uwagę, bo samotna, uzbrojona kobieta w sercu Grombelardu nie była zjawiskiem codziennym. Oficerowie garnizonów szybko nauczyli się doceniać wieści, jakie czasem przynosiła.

Los chciał, że rankiem tego samego dnia, gdy Oveten przybył do Grombu, Ambegenowi zameldowano o pobycie łuczniczki w mieście. Rozpoznali ją żołnierze z posterunku przy bramie. Oveten pomyślał, że wtedy jeszcze nie umiał ocenić, jak bardzo łaskawy w istocie był ten uśmiech szczęścia.

– Nie patrz na mnie, panie, jak na chmurę deszczową – powiedziała, pokazując jednocześnie, że trzeba gonić oddział. – Chodźmy.

Ruszyli śladem żołnierzy. Zrobili ledwie paręnaście kroków, gdy niebo smagnęło góry ulewą. W strugach dżdżu pięli się wąską ścieżką, uczęszczaną chyba tylko przez kozice. Nie rozumiał, skąd brały się podobne szlaki w miejscach, gdzie ludzka noga nie postąpiła może nigdy. Pośród górskich szczytów nie było żadnych wiosek, bo nie było terenów, na których dało się pasać owce. Kozice? Ale nawet one musiały coś jeść. Żywiły się może tymi skałami? Mimo wilgoci nawet mchy nie bardzo na nich rosły. Tylko w niektórych miejscach widział kępy wątłej roślinności.

– Było kiedyś wielkie i liczne plemię – powiedziała, jakby widząc jego myśli. – Bardzo potężne, właściwie to było wiele plemion, tworzących wielki naród. Pozostały po nim ruiny przedziwnych budowli, tutaj, wśród szczytów. Zdaje się, że niektóre z tych ścieżek to ślady dawnych dróg Shergardów.

Spojrzał zdziwiony. Nie po raz pierwszy popisywała się wiedzą, której źródeł próżno dociekał.

– Skąd to wiesz, pani? – zapytał. – To i wiele innych rzeczy?

Wzruszyła ramionami.

– Moim opiekunem... a właściwie jakby przybranym ojcem... jest człowiek, który widział narodziny sępiego rozumu.

Popatrzył zdumiony.

– Był kiedyś mędrzem-Przyjętym – wyjaśniła. – Teraz żyje tu, w Ciężkich Górach, zajmując się tylko historią Szereru. Nazywają go Starcem.

– Mędrzec-Przyjęty – powtórzył.

Znów wzruszyła ramionami.

– W Armeckie wiemy o nich tyle, że są – skonstatowała; była wyjątkowo rozmowna, rzecz rzadka. – Lah’agar, człowiek przyjęty przez Szerń. Pojmujący istotę Smug i Pasm Szerni. To nie żaden czarownik, żaden mag. Istota z krwi i kości. Obcowanie z Szernią czyni

długowiecznym, tylko tyle. Ponadto Przyjęty większość życia spędza w granicach Obszaru, gdzie czas płynie inaczej, prawie dziewięć razy wolniej. To znaczy, że gdy Szerer posunie się o lat dziewięćdziesiąt, Przyjęty w Złym Kraju przeżyje ich dziesięć. Nic więcej nie powiem ci, panie, bo nic więcej nie wiem. A jak nawet wiem, to nie rozumiem – wyznała z całkowitą szczerością.

Pokręcił głową i unióśł brwi.

– Armektanka w Ciężkich Górach. Jak do tego doszło? – zapytał, zachęcany dobrym nastrojem dziewczyny.

Uchyliła się od odpowiedzi.

– To bardzo długa historia.

Szli w milczeniu. Odległość dzieląca ich od grupy przestała się powiększać, ale skręcona w kostce noga Ovetena nie dawała szans na jej zmniejszenie.

– Daleko jeszcze? – zapytał.

Popatrzyła uważnie. Miała niezwykle oczy – nie pasowały do twarzy i wydawały się w jakiś sposób... stare.

– Do granicy Obszaru niedaleko. Ale może pora, byś powiedział mi, panie, coś więcej?

– Czy złoto, które wzięłaś, nie stłumiło twojej ciekawości?

Płacił po królewsku. Bo królewska była cena, jaką wyznaczyła. I nie pozwoliła na żadne targi.

„To uczciwy układ” – oświadczyła jeszcze w Grombie. „Nie wodzę wypraw po górach. Jeśli już mam to robić, to trzeba mnie przekonać, że warto”.

I na tym stanęło.

– Złoto, które biorę... Dobrze, panie. Ale czy pomyślałaś, że chcę je może zarobić... hm, uczciwie?

Popatrzył pytająco.

– Dlaczego chcesz dotrzeć do granicy Kraju w tym akurat, a nie innym miejscu? Jakie to ma znaczenie? Widzę, że znasz trochę Grombelard i same Góry, dlaczego nie przyznajesz się do tego? – pytała.

– Mam was nie tylko doprowadzić do celu. Mamy jeszcze wrócić. Czy nie byłoby lepiej, gdybym wiedziała wszystko?

Pokręcił głową.

– Nie to nie – rzekła sucho. – Od wczoraj jesteśmy tropieni.

Wiadomość przyszła tak nagle, że najpierw nie uwierzył.

– Tu są góry – przypomniała z naciskiem. – Czasem masz człowieka w zasięgu wzroku, ale dzieli was tak naprawdę pół dnia drogi lub więcej. Powtarzam: jesteśmy tropieni, podąża za nami jakiś oddział. I raczej nie zdołam go zgubić.

– Dlaczego? – zapytał rzeczowo.

Machnęła ręką w nieokreślonym kierunku.

– Droga przez Przełęcz Mgieł jest jedyna. Przynajmniej ja innej nie znam. Potem Morskie Dno i już Zły Kraj. Jeśli pójdziemy tak, jak tego żądasz, trafią za nami jak po sznurku. Do miejsca, gdzie chcesz wejść do Obszaru. Bo żądasz, byśmy szli przez Morskie Dno, czy tak?

Zagryzł wargi.

– Jaka rada?

Pokazała ręką przed siebie, odgarniając z czoła zlepione deszczem włosy.

– Tam Przełęcz Mgieł. Na Przełęczu łatwo się ukryć. I przepuścić ich. A potem zawrócić, wybrać inną drogę i wejść do Obszaru bardziej na południe od Morskiego Dna. Stracimy trochę czasu.

– Musimy iść przez Morskie Dno. Zresztą czy twój plan na pewno się uda?

– Na pewno to wiem tylko jedno – rzekła niecierpliwie. – Za mało mi płacisz, wasza godność. Moja ciekawość wciąż żyje, złoto wcale jej nie zadusiło. Co ty tam masz? W Morskim Dnie?

o o o

Pótleżąc pod skałą, wsparta na łokciu, obserwowała krzątanie żołnierzy. Zmierzchało już, ale wciąż wyraźnie było widać ich żółtoniebieskie tuniki, skrojone na wzór munduru legionisty. Nie nosili jednak kolczug, jak armektańska lekka piechota, lecz zbroje lamelkowe, a pochwy mieczy okute były mosiądzem, nie żelazem. Z mosiądzu też wykonano klamry pasów.

Piękny poczet. I z dobrych ludzi złożony.

Już w Grombie oceniła grupę. Nie tworzyli jej chłopcy. Pomimo tego nie przyjęłaby pewnie przedłożonej oferty, gdyby nie to, że byli Armektańczykami.

Armektańczycy. Jak przyjemnie było rozmawiać!

Usiadła pod swoją skałą, podciągając nogi i obejmując je ramionami. Oparła podbródek na kolanach.

Wciąż padało, ale wiatr rzeczywiście nie docierał do rozpadliny. Posilano się przed snem. Zastępca Ovetena wyznaczył warty. Sam dowódca porozmawiał chwilę z żołnierzami i pokuśtykał ku łucznicze. Usiadł obok i milczał, z zamyślonym spojrzeniem tępo wbitym w jaśniejące w półmroku mocne udo dziewczyny.

– Mm? – zagadnęła po chwili, podciągając spódnicę, tak że rozcięcie przesunęło się wyżej.

Ujrzał okrągłe biodro i cofnął się odruchowo, zdezorientowany.

Parsknęła śmiechem.

– Na Szerń, panie, jeśli już musisz patrzeć tak bezmyślnie, to może lepiej na jakąś skałę, pełno ich wokół – rzekła sarkastycznie. – Cóż takiego trapi dowódcę wyprawy?

– Jej cel – odparł krótko. – Jak sądzisz, co za ludzie nas ścigają?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. I właściwie to nawet nie wiem, od jak dawna idą za nami. Zauważyłam ich wczoraj. Najpierw nic nie mówiłam, bo nie byłam pewna.

– Czy możliwe, że wiedzą o celu naszej wyprawy?

– Nie wiem. Może.

– Czy to liczna banda?

– Nie wiem.

– A czy jest coś, co wiesz, wasza godność?

Zdziwiła się.

– Oczywiście, panie. Wiem, jak doprowadzić twój oddział do Złego Kraju. Płacisz mi za to. I chyba tylko za to?

Odwrócił głowę, przygryzając usta.

– Czego mogą chcieć od nas?

Znowu wzruszyła ramionami; ulubiony gest.

– Jeśli wiedzą albo domyślają się celu naszej wyprawy... – po czym z grubsza powtórzyła to wszystko, co już mówił Ambegen. – Przychwycenie powracającej wyprawy nie jest wcale takie trudne – kończyła. – Porzuconych Przedmiotów szuka się na Czarnym Wybrzeżu, prawda? Tylko szalenie wracałby z głębi Obszaru inną drogą niż ta, którą już przebył, narażając się na sto nowych niespodzianek i pułapek. Wyprawa wychodzi więc z Kraju przeważnie w pobliżu miejsca, gdzie weszła. Wystarczy rozstawić czaty i czekać. Prawda, że dość długo, bo czasem kilka tygodni. Ale widać opłaca się.

– Nie idziemy do Obszaru – rzekł nagle, bez namysłu; gdyby znów zaczął rozważać, czy powiedzieć jej, czy też nie, pewnie by się nie zdecydował.

Pokiwała głową.

– Ślicznie. A dokąd?

– Do samej wodnej ściany.

Opowiedział jej wszystko.

ROZDZIAŁ 3



Przełęcz Mgieł była miejscem niezwykłym. Krążyły o niej niezwykle opowieści; nie zawsze dało się ocenić, ile zawierają fałszu, a ile prawdy. Białozółte tumany, spowijające Przełęcz i spływające dalej, aż na Dno Morza, nie były właściwie mgłą, nie były też parą buchającą z gorących źródeł czy gejzerów. Najbardziej może przywodziły na myśl dym, bo w powietrzu wisiała nieustannie wyraźna woń spalenizny – ale jeśli były dymem w istocie, to szczególnym, bo niedrażniącym oczu ani gardła.

Z historii opowiadanych o Przełęczy Mgieł najczęściej może powtarzały się dwie: o skrzydlatych wężokoniach, przed wiekami przeklętych przez Szerń, i o sinoczarnych zjawach.

Silny oddział, pośród grombelardzkiej mżawki przedzierający się przez niezwykle opary, tworzyły jednak nie zjawy, lecz istoty z krwi i kości. Była to grupa Rbita i Kagi – dwudziestu kilku mężczyzn oraz dwie kobiety, nie licząc pary przywódców. Z pewnej odległości łatwo można było wziąć oddział za silny wojskowy patrol, tak rzucały się w oczy karność i porządek w szyku. Nikt nie rozmawiał ani o nic nie pytał, nikt nie przystawał. Złudzenie było tym większe, że wszyscy wydawali się podobnie odziani, uzbrojeni i wyposażeni; brakowało oczywiście mundurowych tunik, ale każdy miał mocną kolczugę, na plecach kuszę okrytą natłuszczonym skórzanym pokrowcem i worek z bełtami przy biodrze. Wszyscy też nosili miecze i przewieszane przez ramię lub pierś sakwy z koziej skóry.

Rbit, dość rzadko używający uzbrojenia, bo krępowało ruchy i hałasowało, czego nie znosił, także miał na sobie kolczugę, podobną do tych, jakie nosili członkowie kociego oddziału gwardii w Rahgarze. Prowadził grupę pewnie i szybko, co nie było wcale sztuką łatwą. Ludzkie drogi w górach rzadko są wygodne dla kota – i odwrotnie. Dwudziestołkciowa ściana, pełna różnych uchwytów dla człowieczych dłoni, bywała dla kocura bardzo trudną przeszkodą, ale znów skalna półka szerokości trzech palców widziała mu się niczym gościnniec. Ogromne rumowisko wielkich głazów, na które ludzie pięli się mozolnie, ze skały na skałę, Rbit błyskawicznie forsował potężnymi skokami,

z których każdy trwał tyle co kłaśnięcie w dłonie.

Na Przełęczy Mgieł teren nie był, na szczęście, bardzo trudny, a już zejście wschodnią stroną – całkiem łatwe, choć ciągnące się omal bez końca, bo aż w dolinę nazywaną Dnem Morza, czy też – Morskim Dnem.

Dno Morza było nim kiedyś naprawdę. Przed wiekami, gdy nad niebem Grombelardu Szerń zmagala się z podobną do niej, lecz wrogą potęgą – Alerem, jedno z Jasnych Pasm miało upaść na ziemię, odparowując całą zatokę. Morska woda, należąca do Bezmiarów, obcego i nieprzyjaznego Szerni żywiołu, nigdy nie wróciła do miejsca dotkniętego przez Pasma. Tyle mówiła jedna z najstarszych legend Grombelardu.

A co nie było legendą? Z całą pewnością nie była nią kilkusetłokciowa ściana wody, trwająca nieruchomo na granicy Złego Kraju, jakby odgradzona od doliny niewyobrażalnie wytrzymałym, przezroczystym murem. Ścianę spowijały, podobnie jak całą lądową i morską granicę Obszaru, kłęby białozółtej mgły nie mgły, takiej samej jak ta na Przełęczy, ale nieporównanie gęściej się ścielącej.

Rbit znał doskonale Morskie Dno i Przełęcz Mgieł, widział też Ścianę Wody. Ale tajemnice tych miejsc obchodziły go akurat tak jak zeszłoroczny śnieg, i to śnieg armektański lub dartański, bo Grombelard nigdy śniegu nie widział, wiecznie chłostany deszczem, którym Szerń chciała obmyć skalaną przez Aler ziemię. Niepojęta zagadka wodnej ściany zaistniałaby dla kota dopiero wówczas, gdyby ściana owa miała runąć mu na głowę.

Dlaczego jednak miałyby runąć? Równie dobrze mogłoby runąć niebo, tak samo – bo od tysiącleci – wiszące nad Szererem.

Rbit, choć postać ze wszech miar nieprzeciętna, nosił w sobie jednak typowe kocie cechy: obchodziło go to tylko, co bezspornie wiązało się z samym życiem, zagadki zaś i tajemnice natury uważał za beznadziejnie nudne, podobnie jak dumanie o nich – za zbędne. Przedzierając się przez dymy na przełęczy, nie poświęcił im też oczywiście nawet najmniejszego skrawka myśli. Były. Miał problemy poważniejsze niż jakieś cuchnące opary.

Nie udało się odnaleźć oddziału Wer-Hagena. A przecież gdzieś musiał krążyć. Zwiadowcy, których Kaga rozesłała, byli wytrawnymi przebiegaczami gór. Donieśli tylko tyle, że poprzedzający ich ludzie są bez żadnej wątpliwości Armektańczykami – tak jak uważano od początku. Gdzie zatem kryła się grupa Hagenowych rzeźników? Którędy przedzierała się przez góry? A może nie było jej wcale? Czyżby poćwiartowane zwłoki porzucili Armektańczycy?

Nieprawdopodobne. Armektańczyk nie okaleczał zabitego w walce wroga, prawa wojny były dlań uroczyście i święte. Masakrowano tylko Alerów na północy, celowo podkreślając w ten sposób, że potworów

szlachetne reguły oręża nie dotyczą; Alerowie byli dla Armektańczyków parszywymi półzwierzętami. Rbit znał dobrze siłę armektańskich obyczajów i tradycji. Nie łamano ich prawie nigdy.

Kto więc zabił zwiadowcę?

Koci wódz rozbójników wiedział doskonale, że podkomendni Kagi uczynili wszystko, co w ludzkiej mocy, by odnaleźć tajemniczy oddział.

Postanowił, że ruszy na zwiady sam.

Tymczasem z wolna zbliżał się wieczór. Osiągnęli już prawie szczyt przełęczy i Rbit zarządził postój. Ludzie porzysiadali się na ziemi, sięgnięto do zapasów żywności. Kaga napiła się wody i porozmawiała krótko z podkomendnymi, by ocenić nastroje, choć i bez tego widziała, że są dobre. Ci ludzie kochali złoto, walkę, wino i zabawę, ale najbardziej kochali Ciężkie Góry. Przypominali trochę armektańskich Jeźdźców Równin, dla których galop konia i bezkresne, pocięte rzekami przestrzenie były treścią życia. Tak u jednych, jak i u drugich, dopóki mogli robić, co chcieli, w Górach lub na Równinach – wszystko było w porządku.

Kaga czuła to samo i tak samo.

– Rozmyślasz – oceniła, podchodząc do Rbita.

Wyciągnęła rękę, chwytając powietrze palcami w kocim Pozdrowieniu Nocy, geście będącym zarówno powitaniem, jak życzeniem szczęścia, czy też wreszcie oznaką: wszystko dobrze. Było to u niej równie naturalne jak skinienie głową; gdyby miała pazury, wysunęłaby je po kociemu.

Rbit milczał.

– Mam niejasne przeczucie, Kaga – rzekł wreszcie – że wydarzy się coś złego. I to przeczucie pochodzące z dwóch źródeł.

Popatrzyła czujnie.

– Pióro – wyjaśnił krótko.

Zmarszczyła brwi. Wiedziała, że Rbit posiada najpotężniejszy ze wszystkich Geerkoto – Ciemnych Porzuconych Przedmiotów, zdobyty kiedyś w Obszarze. Noszenie go było niebezpieczne, ale zapewniało też mnóstwo korzyści. Rbit ukrywał Pióro w małej sakiewce na brzuchu, teraz schowanej pod zbroją.

– Drugie źródło to ja sam – dorzucił po chwili, niepotrzebnie zresztą, bo odgadła natychmiast.

– O co chodzi? – zapytała.

– Nie wiem, Kaga. Powiedziałbym, że to sprawa tego oddziału Hageny, ale Pióro nie zajmuje się takimi bzdurami. To coś poważniejszego.

Poczuła się nieswojo. Nie lubiła Szerni i jej sił.

– Posłuchaj – rzekł z namysłem – pošlij ludzi na zwiady. Znowu. Wszędzie. Szczególnie do tyłu. Ja pójdę na szczyt przełęczy i, jeśli będzie

trzeba, jeszcze dalej, tam gdzie stara twierdza. Nie wiesz? Może to i dobrze, to złe miejsce. Nie ruszymy się stąd tak długo, aż stanie się jasne, o co chodzi. Potoku nie szukaj, nałap deszczówki. Może trzeba będzie zostać tu dłużej.

Popatrzyła na snujące się opary.

– Przecież nie są trujące – powiedział, odgadując jej myśli. – Miejsce dobre jak każde inne, a może i lepsze, bo z pewnej odległości nawet w biały dzień nikt nas nie wypatrzy. Rozstaw czaty i zarządzaj wszystko, jak zwykle.

– Pójdiesz sam? – zapytała obojętnym głosem, ale leciutko przygryzając wargę.

– Tak, Kaga. Ktoś musi tu rządzić.

To nie był prawdziwy, czy też raczej – to nie był jedyny powód. Owszem, gdyby była kocicą, poszliby we dwoje.

Skinęła tylko głową ze starannie skrywaną goryczą.

o o o

Pośród skalnych rumowisk, spowite kłębamii tajemniczych mgieł, leżały ruiny starodawnej fortecy. Mało kto o nich wiedział. Po tej okolicy nikt nie włóczył się dla przyjemności; szło się do Dna Morza bądź wracało przez Przełęcz. Nikt nie zbaczał ze szlaku, bo po co?

Rbit jednakże wiedział o ruinach. Zmierzał teraz ku nim – nie dlatego wcale, że spodziewał się znaleźć tam coś szczególnego. Powód był prosty: pośród skalistej pustyni, jaką była ta część Ciężkich Gór, stara twierdza Shergardów stanowiła jedyne konkretne miejsce, ku któremu mógł się udać, jeśli nie chciał chaotycznie biegać po okolicy.

Wiekowe gruzowisko pośród ścielących się pasm mgły było jak wyjęte z baśni, ale baśni ponurej. Kontury murów i resztki rozpadających się wieżyc nie przypominały żadnych innych budowli na kontynencie Szereru; prędzej można by je odnieść do najstarszych budowli garyjskich, tak samo pozbawionych wszelkich załamań linii. Dominowały łuki; wieże i baszty budowano na planie okręgu lub półokręgu. Stara twierdza tak właśnie wyglądała. W poszczerbionych murach ziały czarne kontury półkoliście zakończonych bram, drzwi i okien, przez które przesączały się cuchnące spalenizną opary.

Rbit nie uległ nastrojowi miejsca. Czujny i ostrożny, zapuścił się pomiędzy martwe mury, z każdą chwilą bardziej przekonany, że trafił gdzie trzeba.

Pióro prawie parzyło mu myśli.

Warownia wydawała się całkowicie opuszczona. Niewielki dziedziniec, zawalony gruzem, ział ciszą. Rbit jednak, zamiast przemierzyć go w poprzek, wołał obejść dokoła, kryjąc się w cieniu pogryzionego przez wichry i deszcze muru. Dotarł do rozsypujących się

zabudowań mieszkalnych.

Przemawiały pustką.

Ostatnie światła dnia tylko gdzieś tam przenikały w głąb budowli, choć wszystkie stropy dawno się zapadły. Kocurowi jednak ciemność wcale nie przeszkadzała – tylko źrenice przemieniły się w dwie lśniące tarcze, osiągając największe rozmiary. Mimo zbroi w razie konieczności wódz rozbójników potrafił poruszać się bezszelestnie, choć wolniej i mniej swobodnie, niż czynił to zwykle. Żadna żywa istota nie powinna nawet podejrzewać jego obecności.

A jednak czuł się śledzony.

Wciąż z tą samą cierpliwą i ostrożną powolnością badał zakamarki korytarzy i komnat. Odnalazł ciasne, bo do połowy zasypane wejście do podziemi. Zapуścił się w nie bez wahania. Kręte stopnie wiodły w dół i w dół – zrujnowane, pełne szczelin... W kompletnej ciemności nawet koci wzrok przestał być zmysłem jakkolwiek przydatnym i Rbit zdał się całkowicie na słuch oraz dotyk. Co jakiś czas lekko tarł zbroją o ścianę, nasłuchując, jak rozchodzi się dźwięk, łowiąc ślady echa. Przeszkody na drodze – małe i większe pryzmy gruzu, dziury w stopniach – rozpoznawał dotykiem, wystawiwszy naprzód wrażliwe wibrysy. Poruszał się niesłychanie powoli, lecz pewnie.

Stopnie się skończyły. Kocur uczynił dwa powolne kroki i przystanął. Nie wierząc pierwszemu odczuciu – bo zetknął się z czymś doskonale znanym, czymś będącym niemal częścią jego duszy – pochylił łeb, wodząc nosem po tym, co mu zagradzało drogę. Potem usiadł i z niejakim mozolem wyciągnął spod zbroi zawieszoną na rzemieniu sakiewkę. Przygniótł ją łapą i zębami wydobył swoje Pióro. Nosił je od tak dawna, że pomimo znanej kociej niewrażliwości na aurę Pasm nauczył się wyczuwać, kiedy przepełniające Przedmiot moce zaczynają się burzyć.

Tak było w tej chwili.

Wyrzekł krótką Formułę, jedną z najprostszych. Pióro natychmiast połączyło jej brzmienie z odpowiednim obszarem tych Pasm Szerni, które Przedmiot symbolizował. Na krótką chwilę łagodna zielonożółta poświata rozjaśniła otchłań lochu i Rbit ujrzał to, co spodziewał się ujrzeć.

Powróciło wrażenie obcej obecności. Kocur odwrócił się zwinnie, po raz drugi używając Formuły. Jeszcze raz blade światło posłusznie rozlało się po lochu, ukazując pełznące w dół po krętych stopniach coś czarnego niczym cień... coś, co mogło być żywą istotą równie dobrze jak – żywą rzeczą...

Pochwyciwszy w zęby swoje Pióro, Rbit wykonał nieprawdopodobny skok, wysoko na ścianę lochu, i odbiwszy się od niej wszystkimi czterema łapami, jak sprężyna wystrzelił ku schodom, próbując

osiągnąć jak najwyższe stopnie.

ROZDZIAŁ 4



Spośród licznych zwiadowców rozesłanych przez Kagę dwaj mieli już nigdy nie wrócić do obozu. Byli to ludzie posłani do tyłu, w kierunku Badoru. Wytrawni przebiegacze gór trafili tym razem na równie dobrych albo i lepszych od siebie. Wpadli bowiem w ręce wyglądającej ich straży przedniej silnego oddziału Gwardii Grombelardzkiej.

Zaskakująca obecność żołnierzy na bezdrożach, w części Gór, gdzie niczego do pilnowania nie było, miała bardzo prosty powód: żołnierze ci tropili właśnie grupę Rbita i Kagi, od dawna – bo właściwie od samego początku – wiedząc o jej istnieniu.

Oddział w największej tajemnicy wyruszył z garnizonu na osobisty rozkaz nadtysięcznika R.W.Ambegena. Stary komendant, który istotnie nie mógł wzmocnić armektańskiej wyprawy wojskiem imperialnym, miał przecież ochotę upiec przy tak wielkim ogniu swoją pieczeń – a i wspomóc (choć pośrednio) syna starego przyjaciela. Komendant był pewien, że jedna lub kilka rozbójniczych band puści się w trop za pocztem Ovetena. Uważał, że trafiła się doskonała okazja do zlikwidowania tych oddziałów, oczywiście przy zachowaniu jak najdalej posuniętych środków ostrożności. Główna trudność polegała na tym, że jego żołnierze działać mieli poza własnym rewirem, na terytorium innego garnizonu. Do miejsca, które wskazał Oveten, można było dotrzeć tylko z Badoru. Nadtysięcznik nie przedstawił więc swych zamysłów Armektańczykowi, bo najpierw musiał porozumieć się z badorskim dowódcą. Będąc komendantem stołecznego garnizonu, a zarazem naczelnym dowódcą całej Legii Grombelardzkiej, Ambegen nie mógł jednak, a przede wszystkim nie chciał, panoszyć się na podwórku swego podkomendnego – zwłaszcza że tysięcznik Argen był człowiekiem zasługującym na najwyższe uznanie i szacunek. Ambegen uzgodnił więc z nim zasady współdziałania, ale wtedy syn Lineza był już w górach, a próby nawiązania kontaktu mogły zdemaskować grę.

Nadtysięcznik miał w garnizonie ludzi, którym mógł zlecić każde zadanie wymagające wojskowej sprawności. Grombelardzkie wiarusy, zaprawione do walk z wszelkimi mętami, znały Góry wybornie. Wybrał

najlepszych. W trzydziestoosobowym oddziale znalazły się dwie dziesiątki elitarniej Gwardii Grombelardzkiej, resztę stanowili najbardziej doświadczeni legionieści z garnizonu Badoru. Całością dowodził Sehegel, stary setnik, mający za sobą niejedną podobną eskapadę.

Ambegen, podsunąwszy młodemu Armektańczykowi przewodniczkę, zyskał możliwość wybadania jej – pozornie mimochodem. Pytał o drogę, jaką zamierza poprowadzić oddział. W ten sposób poznał szczegóły, które niewiele mówiły Ovetenowi, za to wszystko Sehegelowi. Dzięki temu żołnierze bezpiecznie, bo w dość znacznym oddaleniu, posuwali się za grupą Ovetena, a potem także za oddziałem kocura i Kagi. Dopiero w pobliżu Przełęczy Mgieł zmniejszyli odległość, planując starcie z rozbójnikami w sprzyjających warunkach, właśnie pośród legendarnych oparów. Co więcej, w stosunkowo niewielkiej odległości od przełęczy, bo w dolinie Dno Morza, znajdowała się stacja legii, gdzie można by zawlec znaczniejszego jeńca, gdyby udało się pojmać takiego.

(O istnieniu tej stancy, sprawującej pieczę nad kilkoma położonymi w dolinie wsiami, Oveten dowiedział się dopiero od Ambegena... Wracając z nieudanej morskiej wyprawy, której omal nie przypłacił życiem, nie miał najmniejszego pojęcia, że nieopodal miejsca, gdzie ukrył swój skarb, znajduje się wojskowa placówka, której komendant wskazałby mu przynajmniej najdogodniejszą drogę do Dartanu albo do Badoru, a może i wynalazł jakiegoś przewodnika...)

Zwiększając tempo marszu, a więc zbliżając się do poprzedzających ich oddziałów, żołnierze przygotowani byli na możliwość zetknięcia się ze zwiadowcami obu grup. W tym stanie rzeczy przychwycenie ludzi Kagi nie było żadnym cudem, ani nawet szczególnym uśmiechem losu.

o o o

– Mówią, Maveder?

Przesłuchujący jeńców dziesiątnik uniósł smagłą, ozdobioną dużym, grombelardzkim nosem twarz.

– Nie – odparł z flegmą. – Już nie.

Sehegel pochylił się bardziej, zaglądając w nieruchome oczy leżącego.

– Tamten też? – upewnił się.

– Też, panie.

Maveder powstał i mogło się wydawać, że czeka na słowa nagany. Lecz Sehegel dobrze znał dziwaczne poczucie humoru cechujące dziesiątnika. I wiedział, że Maveder nigdy nie zabił jeńca, który mógł być jeszcze przydatny.

– Dwudziestu pięciu ludzi, setniku – zameldował teraz, widząc, że żart się niestety nie udał. – Obozują niedaleko, będę umiał odnaleźć to miejsce. Ale na ich czele stoi naprawdę nie byle kto...

Oficer gestem ponaglił legionistę.

– Basergor-Kobał, panie.

Sehegel cmoknął i mruknął coś niewyraźnie. Dziesiątnik nie dostrzegł niczego, co mogłoby świadczyć, że wiadomość zdeprymowała dowódcę.

– Powiedzieli – rzekł jeszcze – że kocura nie ma w obozie. Poszedł na rekonesans. Na szczęście nie ku nam, ale w drugą stronę.

– Wróci.

– Tak. Jeśli mogę, panie...

Sehegel przyzwolił skinieniem.

– Radzę, żebyśmy się pospieszyli. Gdy Kobał wróci, nie uda nam się podejść pod obóz. Pojmanie lub zabicie tego kota byłoby wielkim czynem, ale nie damy rady. Nie w takich warunkach, setniku.

Oficer pokiwał głową. Sam dobrze znał koty, a Maveder był najlepszym zwiadowcą badorskim, i co więcej – przesłużył parę lat w garnizonie rahgarskim, mając za towarzyszy kocich gwardzistów gadba. Potem Sehegel przez rok miał go pod komendą w Grombie i wiedział, że ponury dziesiątnik nie rzuca słów na wiatr. Zawsze warto go było wysłuchać.

– Zwołaj odprawę – polecił. – Wybicie oddziału dowodzonego przez Kobalą będzie wielką rzeczą nawet wtedy, gdy sam herszt nam umknie.

Maveder ucieszył się, że służy pod dowódcą potrafiącym przytomnie myśleć. Chwilę później Sehegel, jego zastępca i trzech dziesiątnicy odbyli krótką naradę. Niebawem dano sygnał do wymarszu. Przodem poszło ubezpieczenie pod wodzą Mavedera.

Była noc, gdy dotarli do celu. Oddziałek Mavedera miał zgładzić wartowników, rozstawionych wokół zbójeckiego biwaku. Wiarusy Legii i Gwardii Grombelardzkiej wywiązały się z zadania najlepiej jak umiały – ale nie dość dobrze. Tym razem zabrakło szczęścia, zawsze niezbędnego na wojnie. By osiągnąć pełne zaskoczenie, należało nie dopuścić do zaalarmowania obozu przez placówki. Nie udało się. Rozpaczliwa walka czujnego wartownika sprawiła, że ludzie Kagi, wyrwani ze snu, chwycili za broń. Zaraz potem trzydziestu żołnierzy runęło na ich obóz.

Nocna walka pod chmurnym grombelardzkim niebem, na dodatek wśród spowijających przełęcz oparów, nie miała nic wspólnego ze sztuką wojenną. Pośród krzyków potykający się na skałach ludzie chwyтали niewyraźne, chybotliwe cienie, zderzali się, przewracali, bili pięściami i gryźli, kłuli nożami, tłukli głowicami mieczy... Nikt nie strzelał, bo nikt nie widział celu, brano się za bary, dopiero dotykiem poznając, czy ten drugi to przyjaciel, czy wróg. Żołnierze mieli hełmy i tuniki – rozbójnicy ich nie nosili. Pośród nieopisanego zamieszania zderzały się czasem parosobowe grupki, by poznać, że swoi atakują swoich; to znów dalej dwaj śmiertelni wrogowie ramię przy ramieniu

odpierali czyjeś ciosy, by nagle dostrzec omyłkę i chwycić się wzajem za gardła... Spośród tych, co mieli przeżyć starcie, nikt nie zdołałby przysiąc, czy nie atakował czasem w tym boju przyjaciela.

Walka nie trwała długo. Przekleństwa i bojowe okrzyki milkły, coraz gęściej za to ścieliły się jęki i skowyty rannych. Wreszcie bój ustał.

Nie było z czego rozpalić ognisk – rzecz zwykła w Ciężkich Górach – wiązano więc jeńców i opatrywano rany towarzyszy po ciemku. Zresztą nawet gdyby rozpalenie ognia było możliwe, zwycięzcy nie śmieliby tego uczynić, bo nikt nie mógł przewidzieć, czy w ciemności nie kryją się niedobitki pokonanego oddziału, z kuszami w dłoniach czekając na blask płomienia.

Rozstawiono silne posterunki i wyglądano świtu.

ROZDZIAŁ 5



Gdy przewodniczka wróciła z rekonesansu, Oveten natychmiast pokazał jej odkrytego przed chwilą trupa wartownika.

– Nie pojmuję tego – powiedział.

Odwróciła spojrzenie od rozkawałkowanych zwłok, nad którymi tańczyły białozółte opary.

– Czego? Tego, że Wer-Hagen szarpie nasze czaty? Zmarszczył brwi.

– Właśnie. Niewiele wiem o Ciężkich Górach i zbójceckich sposobach. Ale słyszałem, że na ataki naraża się dopiero wracająca z Obszaru wyprawa. Komu może zależeć na osłabieniu nas teraz? Im słabsi wejdziemy do Kraju, tym większe ryzyko, że nie powrócimy. A przecież chodzi o to, żebyśmy wrócili. I to z łupem, czy tak?

Kiwała głową, zamyślona. Potem spojrzała na otaczających ich żołnierzy.

– Trzeba go pogrzebać – mruknęła. – Chodź ze mną na spacer, wasza godność. Za dużo tutaj uszu.

Odwrócili się i poszli niespiesznie.

– Wszystko, co mówiłeś, było słuszne. Ale pod warunkiem, że Hagen-Rzeźnik wie o twoim zamiarze dotarcia do Obszaru. Może nie wiedzieć. Albo przeciwnie, może wiedzieć zbyt wiele... – zawiesiła głos.

Popatrzył badawczo.

– No właśnie – przytaknęła. – Czy na pewno nikt nie wie, że wcale nie idziemy do Obszaru?

Myślał długo.

– Od wczoraj ty wiesz.

Przystanęła na chwilę.

– Czy chcesz...

– Nic nie chcę! – przerwał gniewnie. – Wiedzą cztery osoby: stary wojak, z którym tu byłem i który ze sto razy stawał przy moim ramieniu, potem mój ojciec, jeszcze komendant Ambegen i ty. Gdyby zapytano, kogo z tej czwórki obdarzam najmniejszym zaufaniem, powiedziałbym: przewodniczkę! Czy to niezrozumiałe? Cóż w końcu wiem o tobie oprócz tego, że znasz góry?

– Przecież wiedziałeś, że prędzej czy później poznam prawdę.

– Co nie znaczy, że naraz miałaś stać się dla mnie bardziej godną zaufania niż własny ojciec albo wierny żołnierz, którego znam od dziecka.

– A komendant?

Oveten wzruszył ramionami.

– On? Jeden z najsłynniejszych żołnierzy w całym Szererze? Piastujący wojskowe stanowisko, które sam sobie wybrał, bo nikt mu nie śmiał odmówić? Ten stary człowiek wygrał kiedyś prawdziwą wojnę. Uważasz, że teraz zechciałby się bawić w złodzieja, okradając syna dawnego towarzysza broni?

Wzruszyła ramionami. Też była Armektanką i wiedziała równie dobrze jak Oveten, że nadtyśnięcznik, będący Grombelardczykiem co najwyżej w połowie, nigdy nie naruszyłby świętego Przymierza Arilory, zawartego na polu walki. Zresztą to nie był człowiek ubogi, jego ambicje zaś dawno zostały zaspokojone. Po co miałyby się wdawać w haniebną awanturę?

– Przemierzaliśmy w poprzek całe Ciężkie Góry – dodał jeszcze Oveten. – Gdyby jego godność Ambegen pożądał Porzuconych Przedmiotów, zginęłaby już pewnie połowa moich ludzi. Ale nie, zginął jeden, bo dwóch, co spadli w przepaść, nie liczę. Zginął jeden. Zaraz po tym, jak ty poznałaś tajemnicę.

– W związku z czym poćwiartowałam tego biedaka, bawiąc się w Hagen Rzeźnika – powiedziała, przystając. – Wystarczy. Nie masz już przewodniczki.

– Kobieto – rzekł, zatrzymując się jak i ona – co trzeba zrobić, żebyś zaczęła myśleć? Chwycić ten twój długi, brudny warkocz i potrząsnąć?

Wyciągnął rękę. Uchyliła się odruchowo.

– Pytałaś, czy nikt nie zna celu wędrówki. Wymieniłem cztery osoby. Z tych czterech tobie ufam najmniej. Ale gdybym naprawdę sądził, że zdradziłaś, to zabiłbym na miejscu, nie szukając specjalnych dowodów. Wiem, że to nie ty. Od kiedy powierzyłem ci tajemnicę, nie spuszczo cię z oka nawet na chwilę.

– Zauważyłam. I domyśliłam się, po co mi towarzystwo twoich ludzi na zwiadach.

Przygryzła wargę i nagle uśmiechnęła się lekko.

– To nie jest zabawne – oznajmiła wbrew uśmiechowi.

– Bycie obserwowaną? Cena zaspokojenia ciekawości – skonstatował.

– No dobrze, zapytam ponownie, ale trochę inaczej: czy oprócz tych czterech osób ktoś jeszcze mógł poznać tajemnicę?

– Wątpię. Ale mógł, oczywiście, poznać ją każdy, komu by przyszło do głowy przyłożyć ucho do właściwych drzwi... we właściwej chwili. Raz wyjawisz pewną tajemnicę, nigdy już nie można być pewnym, czy

jest tajemnicą nadal.

Przytaknęła.

– Ale, ale... czy twój rekonesans przydał się na coś? – zagadnął.

Pokiwała głową.

– Hm... Myślałam, że już nie zapytasz. Wiem, gdzie są.

– Rozbójnicy?

– A któż by? Dosyć blisko: tuż pod szczytem przełęczy, z drugiej strony. Jest ich coś dwudziestu.

Oveten zaświstał.

– Dwudziestu, mówisz. I dosyć blisko, mówisz...

– Najwyżej mila. A teren prawie równy.

Stał długo, zamyślony.

– Co radzisz?

– A co ja mogę radzić? Jestem twoją przewodniczką, nikim więcej. Przyniosłam wiadomość i rób z nią, co chcesz, wasza godność.

– A gdyby ich zaatakować?

Rozłożyła ręce.

– Atakuj. Ja się do tego nie mieszam. Nic nie mam do rozbójników. I oni do mnie też nic nie mają... zazwyczaj.

Popatrzył przeciągle.

– Jak więc sobie to wszystko wyobrażasz?

– No... nijak. Mówię: chcesz, to ich atakuj, wasza godność. Pokażę ci, gdzie są, zresztą twoi ludzie byli ze mną i też to wiedzą. Usiądę sobie gdzieś i poczekam. Jak zwyciężysz, to przyślesz kogoś po mnie. No a jeśli przegrasz, to moja misja się skończy. Pójdę sobie wtedy szukać sępów.

– Albo moich Przedmiotów.

Wzruszyła ramionami.

– Po śmierci też zamierzasz ich, panie, pilnować? – zapytała sarkastycznie.

Zastanowił się.

– A jednak, pani – rzekł poważnie – mam wrażenie, że zbyt wąsko pojmujesz swoje obowiązki. Zapłaciłem naprawdę niemało. I wydaje mi się, że mam prawo żądać przynajmniej twojej opinii na każdy temat związany z naszą wyprawą, górami i tym wszystkim, co się w nich dzieje albo dzieć może.

Przygryzła usta.

– A więc tak, wasza godność: myślę, że warto spróbować szczęścia. Po tym, co spotkało twojego wartownika, raczej wątpię, by zostawili nas w spokoju. Obojętne, jakie powody nimi kierują. Gdybym ja dowodziła twoją wyprawą, starałabym się uprzedzić atak. Czy coś jeszcze?

– Owszem. Jak oceniasz nasze szanse?

Z namysłem przechyliła głowę.

– Raczej nieźle... Będą zaskoczeni. Twoi ludzie może i nie znają gór,

ale walka jest walką, a do tej, tak w ogóle, są przygotowani chyba nieźle. Gdybyś miał na czele swego pocztu bawić się z góralami w chowanego, to sprawa inna. Ale walka oko w oko... Myślę, że to powinno się udać. Choć straty na pewno będą, bo nie ruszasz przeciw chłopcom z wierzbowymi witkami w rękach.

Mruknął coś pod nosem.

– Potrafisz więc radzić, jeśli chcesz. Powiedz no mi, pani, dlaczego stale usiłujesz zachować... dystans?

– Szczerze? – zapytała.

– Oczywiście.

– Przyczyn jest kilka. Pierwszą już wymieniłam: nic mi do twoich spraw, panie. Czasem potrzebne mi pieniądze, dlatego postanowiłam zarobić ich trochę. Ale, prawdę mówiąc, gdy pominąć wątlą nić sympatii, jaką czuję dla swoich rodaków oraz ich przystojnego dowódcy, jest mi prawie obojętne, czy spotka cię kłeska, czy też odniesiesz sukces. Staram się o to drugie, ale dla zasady.

Przyjął rzecz do wiadomości.

– A po drugie i ważniejsze – ciągnęła – nie przywykłam do wodzenia żółtodziobów po górach. Szukasz guza, panie, w tym kraju i może być, że go znajdziesz. Złości mnie to, śmieszy, a przede wszystkim tworzy przepaść nie do zasypania. Bo nie pochwalam głupich awantur. Czy chcesz usłyszeć coś jeszcze, wasza godność? Jeśli nie, puść mnie wreszcie. Jestem głodna.

o o o

Wcale nie żartowała, mówiąc, że ręki do tej walki nie przyłoży. Oveten próbował ją przekonać, trochę nawet groził, ale dał spokój, gdy zapowiedziała, że zwróci mu pieniądze i odejdzie. Pozostawił ją jakieś ćwierć mili przed obozem rozbójników, w towarzystwie dwóch żołnierzy, sam zaś z resztą swoich ludzi poszedł dalej.

Długo czekała na jakiegokolwiek odgłosy, które mogłyby świadczyć, że skradający się Armeктаńcacy zostali wykryci. Nic jednak nie usłyszała. Cóż – wiedziała dobrze, iż nocne podchody pod wrogi obóz zawsze są hazardem. Doświadczony wartownik tkwiący bez ruchu pod skałą był niesamowicie trudny do wykrycia. Ale znów – wrogich obozów nie podchodziły przecież gromady niesfornych dzieciaków, lecz ludzie, którzy sami nie raz i nie dwa razy trzymali straż w podobnych warunkach, dzięki czemu doskonale wiedzieli, co czatownik może usłyszeć lub zobaczyć, a czego raczej nie.

Łucznicy Ovetena tworzyli naprawdę znakomity zbrojny oddział. Zorientowała się, że niemal wszyscy w niebiesko-żółtej drużynie służyli wcześniej w wojsku cesarskim, i to nie byle gdzie – bo na północy Armektu. Przeszedłszy na prywatny żołd (sporo wyższy), wcale nie

odbywali parad, przeciwnie. Jeszcze w Grombie, gdy pytała o ludzi, których ma prowadzić, Oveten wyjaśnił, że jego ojciec, komendant wojskowy Rapy, potrzebował doborowego pocztu, którego mógł użyć w każdym miejscu i czasie, według własnego uznania. Majątki B.E.R.Lineza rozrzucone były po całym okręgu, a Jeźdźcy Równin lubili jednak czasem puścić z dymem parę zagród... Znała przecież świetnie stosunki panujące w Armeckie, domyśliła się więc w pół słowa, że komendant legii cesarskich znajdował się w szczególnie niewygodnym położeniu, bo choć legie winny ścigać Jeźdźców, przecież zaraz zarzucano mu prywatę, gdy posyłał wojska imperialne do ochrony własnych majątków. Dumny magnat nawet myśleć nie chciał o wysłuchiwaniu podobnych pomówień. Wystawił więc własne poczty, w tym kilka doborowych.

Gdy noc zszarzała na tyle, że dało się rozróżnić kontury większych skał, z dali dobiegł jakiś wrzask, potem znów. Wychwyciła coś jak bojowe okrzyki... a może były to ryki wściekłości, rozpacz, bólu...

Wkrótce wszystko umilkło.

A zatem prawdopodobnie Oveten nie odważył się na nocne forsowanie linii czat. Począł do świtu i – jak się domyślała – wystrzelał napadniętych z łuków, gdy tylko dało się odróżnić ich sylwetki. Niedoceniany w Grombelardzie łuk, niezawodny i szybkostrzelny, był w takich warunkach bronią znacznie lepszą niż kusza.

Towarzyszący przewodniczące żołnierze, niespokojni o wynik walki, kręcili się niecierpliwie, patrząc na swą podopieczną z narastającą złością. Jednak instrukcje, jakie odebrali, były aż nadto wyraźne: „Nie spuścić z oka, nie odstępować na krok”.

Było już całkiem widno, gdy niespodziewanie dziewczyna podniosła się z kamienia, na którym siedziała. Nie po to jednak, by iść na plac boju.

– Sęp – powiedziała prawie szeptem.

Żołnierze wymienili spojrzenia, a potem skierowali wzrok ku niebu, za jej wyciągniętym ramieniem. Na próżno jednak. Jeśli w pasmach mgły była dziura, to zasklepiła się szybko; z trudem dało się zobaczyć skrawki pochmurnego nieba, co dopiero sępa – hen, gdzieś między warstwami chmur.

Łuczniczka wysypała strzały z kołczana i zaczęła pospiesznie je przebierać. Minęła długa chwila, nim do żołnierzy dotarło, co właściwie znaczą te przygotowania.

– Na wszystkie Pasma Szerni – rzekł ze zdumieniem jeden z nich – nie powiesz chyba pani, że chcesz odszukać tego ptaka? Czy go w ogóle widziałaś?!

– Widziałam – odparła z zawziętością, a zarazem trochę nieprzytomnie. – Był tam. Skrzydłak, widziałam.

Znów popatrzyli po sobie.

- Posłuchaj, pani... Mamy rozkaz towarzyszyć ci bez przerwy...
- No to co?
- Nie możesz stąd odejść!
- To weź łuk i mnie zastrzel, baranie.

U jej stóp leżało już wszystko, co uznała za zbędne, trzymała tylko łuk i zostawiła kilka wybranych strzał w kołczanie. Odpięła nawet miecz i porzuciła ciężkie, zszyte z kilku warstw skóry łubie.

- Nie możesz odejść, pani! – powtórzył tępo żołnierz.

Odwróciła się i bez słowa ruszyła przed siebie.

– Idź z nią – rzekł starszy żołnierz nerwowo. – No idź! Mieliśmy mieć ją na oku, i tyle... Ja tu będę czekał na naszych.

Żołnierz zaklął i ruszył za dziewczyną. Dogonił ją szybko. Zobaczyła go, ale nie powiedziała ani słowa. Po chwili zboczyła ze szlaku, nie zmniejszając tempa. Teren stał się trudniejszy, stromizna była coraz bardziej znaczna... Łowczyni skakała po kamieniach jak kozica, łucznik nie mógł dotrzymać jej kroku. Zawołał raz i drugi, ale dopiero gdy kobietę pochłonęła mgła, zrozumiał, że wywiedziono go w pole.

ROZDZIAŁ 6



Wieść o zniknięciu łuczniczki wyzwoliła u Ovetena wybuch niepohamowanego gniewu. Miał dość kłopotów i bez tego! Historia o sępie, dostrzeżonym gdzieś między chmurami i pasmami mgły, brzmiała tak niewiarygodnie, że nawet relacjonujący ją żołnierze to czuli. Dość było spojrzeć na ścielące się wszędzie dymy, by zrozumieć, jak nikła była szansa dostrzeżenia poprzez nie czegokolwiek, a jeszcze gdzie? – na grombelardzkim niebie!

– Durnie! – wykrztusił tylko Oveten, ciskając na ziemię dobytek łuczniczki, który żołnierze przynieśli do obozu. – Durnie i durnie! Precz mi z oczu! Pięć wart poza kolejką, głupcy! I bez żołdu za dwa tygodnie!

Było jasne, że został wystrychnięty na dudka. Niechęć łuczniczki do wzięcia udziału w potyczce stała się nagle zrozumiała i Oveten mógł tylko dziwić się sam sobie, iż jakimś cudem dał wiarę tak mętnym tłumaczeniom. Ta kobieta właśnie dowiedziała się o ukrytych w dolinie bogactwach! Prawda, że nie podał żadnych szczegółów, ale jeśli ktoś mógł pokusić się o prowadzenie poszukiwań na ślepo – to właśnie ona.

Co należało zrobić? Wyszedł na głupca, tego już nie dało się zmienić. Ścigać ją? Za późno. Zresztą czy miał w oddziale choćby jednego człowieka zdolnego pochwytać dziewczynę – tutaj? W tych przeklętych górach?

Mógł zrobić tylko jedno: iść dalej, i to szybko. Od Przełęczu Mgieł droga była łatwa, dolinę Morskie Dno znał przecież z poprzedniej wyprawy – choć wracał wówczas przez góry inną drogą, najpierw wzdłuż wybrzeża, w kierunku Dartanu, aż się okazało, że to droga nie do przebycia.

Więc wymarsz. I to natychmiast. Co jednak robić z rannymi? Miał ich wielu; atakując o brzasku, zapewnił sobie zwycięstwo, poniósł jednak spore straty.

A co z jeńcami? Ba! To był największy problem! Wpakował się w straszliwe kłopoty i zupełnie nie wiedział, jak z nich wybrnąć.

Zarządził jednak przygotowania do wymarszu.

Miejsce, nad którym krążył sęp, nie było bardzo odległe. Zgubiwszy żołnierza, Łowczyni szybko wróciła na szlak i poszła, a właściwie pobiegła dalej, ku szczytowi przełęczy. Pochłaniała drogę z wytrwałością wilczycy, przystając co jakiś czas i przepatrując niebo poprzez dziury między wstęgami mgły.

Ptaka jednak nie było. Zaiste graniczący z cudem przypadek zwrócił wtedy jej spojrzenie we właściwym kierunku.

Była jednak całkowicie pewna swego. Widziała sępa.

Sępa.

Czas mijał i oddech dziewczyny stawał się coraz cięższy, bo przepełniony zmęczeniem – i bezsilną złością. Zdawała już sobie sprawę z tego, że przegrała. Czy możliwe, żeby znienawidzony ptak wisiał tak długo nad jednym okrytym mgłą miejscem? Cekał może na nią?

Była jednak inna możliwość: mógł opaść na ziemię, odkrywszy żer. Sępy żyły na sposób swoich zwierzęcych przodków; w Szererze człowiek budował, kot to niekiedy akceptował, sęp zaś – tylko odrzucał. Skrzydlate obrzydlistwa wciąż pożerały padlinę i niełatwo dawały się odstraszyć od wypatrzonego posiłku. Tym bardziej że umiały go bronić.

Jeśli dobrze zdołała ocenić, ptak krążył wprost nad szlakiem wiodącym przez Przełęcz. Wskazywać to mogło, że nie czyhał na śmierć zwierzęcia. Górskie zwierzęta, rzadkie w tych stronach, nie korzystały ze szlaków. Tym bardziej zwierzę chore, konające, szukało raczej najdzikszych, najmniej dostępnych miejsc, by złożyć swoje kości.

A zatem to był człowiek. Ranny? Może martwy?

Pomyślała, że na pewno pakuje się w kłopoty.

Niezwykła scena rozegrała się zupełnie nagle, nieopodal. Pośród skłębionych oparów rozbrzmiał naraz doskonale jej znany klekot sępiego dzioba, potem dało się słyszeć jakiś przenikliwy świst, zakończony serią trzasków, jakby ktoś przełamał kolejno kilka strzał. Równocześnie turkusowozielony sztych światła przemknął jej nad głową, drugi trysnął w górę, potem trzeci w bok, i czwarty, i następne... Odruchowo przypadła do ziemi, wiedząc już, że te błyski niosą śmierć; trafiona skała dymiała, rozkruszona w drobny żwir.

Potem wszystko się uspokoilo.

Leżała nieruchomo z łukiem w rękach. Czekala.

Gdzieś w pamięci odżyło niewyraźne wspomnienie. Klekot sępiego dzioba... podobny, dziwny świst... taki sam trzask... Przypomniała sobie nagle i strach chwycił ją za gardło. Jednak wciąż leżała, czekając na łaskawy powiew wiatru, który rozerwie opary.

Doczekała się.

Sęp był krwawą miazgą, ulepioną z przypalonego mięsa,

potrzaskanych kości, krwi i biało-czarnych piór. Wstała i powoli, a potem coraz szybciej ruszyła ku miejscu, gdzie u stóp skalnej piramidy leżał nieruchomy kształt. Przyklękła, odkładając łuk. Olbrzymi kocur próbował się podnieść, ale uspokoiła go stanowczym ruchem. Przesunęła dłońią po rozszarpanej w wielu miejscach kolczudze, spod której wyzierały krwawe rany.

– L.S.I.Rbit – powiedziała z wyraźniejszą niż zwykle chrypką.

Ku jej zdumieniu zaśmiał się nieprzyjemnym dla ludzkiego ucha śmiechem, brzmiącym trochę jak charkotliwy kaszel.

– Mała Armektanka... nieznająca Grombelardu – rzekł z pomrukiem.

– Nie wierzę. Czy to o tobie mówią Góry, Łowczyjni?

Znów się zaśmiał.

– Nie mam nic... – powiedziała bez sensu, myśląc o szarpiach i wodzie do przemycia ran. – To... ten sęp?

Wiedziała, że nie. Sępy mogły wiele, ale nie było takiego dzioba czy szponów, które rozdarłyby żelazny pancerz.

Nie odpowiedział. Poruszył łapą i zobaczyła migoczący lekko podłużny przedmiot, który wbrew swej nazwie przypominał raczej płaskie dłuto z białozłotego metalu niż srebrne pióro. Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i znów przesunął łapę.



TRUST 21

– Nawet na to nie patrz – ostrzegł. – Sam nie wiem, co ta rzecz potrafi i co może wyzwolić niektóre jej moce. Zabiła sępa... już dwa razy. Wtedy

sprawił to gniew, ale dzisiaj... nie wiem... – Poruszył łbem.

– Nie mów tyle. Czy gdybym cię poniosła...?

Parsknął pogardliwie.

– Łowczyni, czy ty myślisz, że ja zaraz skonam? Bez obaw. Daj mi jeszcze trochę poleżeć, to wszystko. Potem... tu niedaleko mam swój obóz...

Tknęła ją nagła myśl.

– Na zachód stąd – rzekła. – Niedaleko, jakieś dwie mile.

– Wiesz?

Przygryzła usta.

– Byłam pewna, że to ludzie Hageny. Myślałam... że tylko oni zostawiają swoje ofiary w takim stanie.

– Więc wiesz i o Hagenie? Łowczyni, gdybym wiedział, że to ty prowadzisz tę wyprawę...

Urwał.

– Gdzie są twoi ludzie? – zapytał nagle.

– Nie moi, ja ich tylko prowadzę. Właśnie o to chodzi, kocie. O świcie napadli na twój obóz.

– Z jakim skutkiem?

– Nie wiem. Czekałam z boku na wynik tej całej awantury. A potem zauważyłam sępa i...

Rbit stulił uszy. Zdawało się, że zbiera siły.

– Weź je – rzekł, odsłaniając Pióro. – Ale przez coś, nie gołą ręką.

Oddarła brzeg spódnicy i ujęła Przedmiot. Był ciepły.

– Włóż do tej sakiewki. A teraz pod zbroję... Dobrze.

Milczeli przez chwilę.

– Zanieś mnie do moich, Łowczyni.

Skinęła głową.

– Ale jeśli... jeśli przegraliście, zostaniesz jeńcem, Rbit.

– Zanieś mnie tam.

Podniosła kota z ziemi i z niejakim wysiłkiem położyła sobie na karku. Gadba były największymi kotami Szereru, a ten imponował rozmiarami nawet wśród swoich pobratymców. Sięgnęła ręką, zabierając jeszcze z ziemi swój łuk. Nie mogła przewiesić broni przez plecy, więc wzięła łączysko w zęby. Przytrzymała kocie łapy na piersi i wstała.

Po kilkunastu krokach poczuła, jak wzdłuż szyi cieknie wąska, ciepła strużka.

– Hak będę szła... wykrwawisz się... – wymamrotała z trudem, nie wypuszczając łuku z zębów. – Hak pobiegnę... hożesz krwawić bardziej...

– Jeśli możesz biec, to biegnij – powiedział niegłośnie i pojęła, że jest bardzo niedobrze.

Więc pobiegła.

Oveten marudził jeszcze trochę i zwlekał, licząc wbrew zdrowemu rozsądkowi, że przewodniczka wróci. Że historia o wypatrzonym sępie nie jest czczym wymysłem. W końcu jednak dał za wygraną.

Podniósł się, by wydać rozkazy, i w tej samej chwili we mgle od strony przełęczy doleciał niewyraźny okrzyk. Oveten nie wierzył własnym uszom. Okrzyk jednak powtórzył się, już bliżej – i to była ona.

Wynurzyła się z tumanów mgły i w pierwszym odruchu Armektańczyk ruszył na spotkanie. Jednak po dwóch krokach zamarł w miejscu, osłupiały ze zdumienia. Podobnie zareagowali żołnierze.

Nie mogła już biec dalej. Uklękała na ziemi bez tchu, wypuściwszy łuk, trzymany dotąd w zębach. Na szyi miała zakrzepłą i świeżą krew, ale chyba nie własną. Była bez spódnicy – podarta na strzępy, posłużyła do opatrzenia ran olbrzymiego kocura, leżącego teraz bez ruchu na ziemi. Pokazała tylko gestem, że trzeba się nim zająć, i opadła ciężko na plecy, zamykając oczy. Oddychała chrapliwie.

– Dajcie jej wody! – rozkazał Oveten, przytomniejąc. – Zająć się kotem!

Jeden z żołnierzy, najbardziej biegły w opatrywaniu ran, natychmiast pochylił się nad burym olbrzymem w kolczudze. Ktoś przyniósł opatrunki, ktoś wodę i wódkę. Z najwyższym trudem, ostrożnie zdejmowano poszarpaną zbroję.

Oveten kucnął przy dziewczynie. Piła chciwie z utrzymanego oburącz wora. Ręce i nogi wciąż drżały jej ze zmęczenia.

– Co się stało? – zapytał, podtrzymując wór, ale zaraz dał znak, że poczeka, aż będzie mogła mówić.

– To nad nim... ten sęp... – wyjaśniła urywanie. – Stracił mnóstwo krwi... Ci tutaj... to jego oddział nas gonił.

Oveten zmarszczył brwi.

Dochodziła do siebie.

– To nie ludzie Wer-Hagena – wyjaśniła już spokojniej i bardziej rzeczowo. – To jego oddział wybiłeś, wasza godność. To L.S.I.Rbit, najbardziej znany kocur Szereru, choć może tobie nic to nie mówi.

Słyszał to nazwisko, a jakże. Z ust Ambegena, a i wcześniej. Lecz nazwisko kocura było teraz dla Ovetena mało ważne.

– Jego oddział wybiłem, powiadasz – rzekł ponuro. – Chciałbym, żeby to była prawda... Wiesz, pani, kogo wybiłem? Grombelardzkich gwardzistów.

Nie zrozumiała.

– Kogo? – zapytała ze zdumieniem, sądząc, że się przesłyszała. – Gwardzistów?

Potwierdził z westchnieniem.

– Nie mogliśmy wypatrzeć wartowników – zaczął ciężko. – Czekaliśmy na zmianę warty, żeby się ruszyli, ale bądź jej nie było, bądź przegapiliśmy. Ciemna noc i ta przekłeta mgła, wszystko jest możliwe. Dałem sygnał o brzasku.

Zadumał się ponuro.

– Nawet w biały dzień mógłbym się pomylić – powiedział. – Wojskowe płaszcze, lub podobne, wszyscy tutaj noszą, a hełmu spod kaptura nie widać. Ale to żołnierze jakich mało... – Pokręcił z podziwem głową. – Zaraz dostrzegłem pomyłkę, ale było za późno. Ledwie poszło do nich parę strzał, a wszyscy poderwali się z ziemi. Moim ludziom zdawało się pewnie, że nie widać ich, jak ledwo, ledwo wychylają się spoza skał... A ci tutaj ponapinali te swoje kusze tak prędko, że nigdy bym nie uwierzył, gdybym nie zobaczył. Raptem może dziesięć bełtów zdążyli nam posłać, a położyli trupem trzech moich i ranili czterech. Potem wzięli się za miecze i choćbyśmy nawet nie chcieli, musieliśmy wystrzelać ich do ostatniego. Pojmałem ośmiu, wszyscy ranni. My rannych mamy tyle samo, no i tych trzech zabitych.

Zaległa cisza.

– Jestem pewna – zaczęła – że gdy byłam na zwiadach...

Przerwał jej.

– Wiem, wiem... Przed północą rzeczywiście byli tu rozbójnicy. I są nadal – machnął ręką – zabici albo powiązani jak balerony. Gwardia urządziła im to, co ja potem gwardii.

Mruknęła coś do siebie, a po chwili zaczęła się cicho śmiać.

– Cóż ci tak wesoło, pani? – zagadnął, nawet nie próbując maskować złego humoru.

– Siedzisz po uszy w kłopotach, wasza godność – stwierdziła. – No, zostałeś rozbójnikiem. To jest szubienica. A w najlepszym razie twierdza. Co teraz zamierzasz?

Podniosła jeszcze raz wór, przepłukała usta i wypluła wodę na ziemię. Ochlapała sobie szyję, zmywając zaschniętą kocią krew.

– A co z jeńcami?

– Właśnie – mruknął.

Znowu milczeli.

Żołnierz, który kawałek dalej opatrywał kosmatego rozbójnika, uniósł głowę.

– Będzie żył – zawyrokował z niezachwianą pewnością. – Rany bardzo niepiękne, ale powierzchowne, tylko że dziwne takie, bo jakby go co pogryzło. Ten zwierz musiał mieć mocne i ostre, ale krótkie zęby, o takie jakby. – Pokazał na palcu. – Stracił dużo krwi, to tyle, wasza godność. Odpocznie i niedługo będzie biegał, znam koty, wasza godność.

Wrócił do opatrunków. Ale po krótkiej chwili pokazał jeszcze kolczugę.

– Temu zawdzięcza życie, wasza godność. Niech tu trupem padnę, jeśli widział kiedy lepszą kolczącą plecionkę. Ta zbroja była warta więcej niż nasze wszystkie razem, wasza godność.

Oveten sięgnął po kolczugę i ocenił ją okiem znawcy. Potem podjął z ziemi podłużną skórzaną sakiewkę.

– Geerkoto – ostrzegła przewodniczka. – Lepiej je zostawić w spokoju. Od wielu lat to Pióro należy do niego i jeżeli uzna, że chcemy zrobić krzywdę temu, komu służy... nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Odzyskała już werwę i zwykłą pewność siebie.

– Widziałam, jak ten Przedmiot zrobił miazgę z sępa i pokruszył skały – dorzuciła.

– Znasz tego kota – raczej stwierdził, niż zapytał, zamyślony.

– Tak – przyznała krótko, powstając. – Daj mi, panie, jakąś spódnicę. Zimno mi.

Skinął głową, mając przed nosem jej silnie umięśnione uda i miejsce, gdzie się zbiegały, a potem muskularne pośladki, gdy odwróciła się, rozglądając po obozie. Przyszło mu na myśl, że tutaj, w tych przeklętych przez ludzi i Szerń górach, nawet nagość może być tylko nagością. Cieleśną i powierzchowną, odartą z tych wszystkich znaczeń, jakie miewała w Armeckie. Tu nie mogła symbolizować szczerości i dobrej woli, otwartości... A żołnierze nie siadali w krąg na ziemi, by przed walką podzielić się troskami, wyznać winy wobec towarzyszy broni.

Zatęsknił nagle do swego pięknego kraju.

– Popytaj żołnierzy – powiedział. – Własnej spódnicy na pewno żaden ci nie odda, ale może któryś ma jeszcze zapasowe nogawice, jeśli nie podarł na tych przeklętych wertepach.

Znów zwróciła się ku niemu, skrzywiona.

– Chcę spódnicę. Obejrzę sobie twoich jeńców, wojsko ma dobre sukno.

– Nie waż się zabierać nic jeńcom! – zaprotestował gniewnie i zaraz spochmurniał jeszcze bardziej. – Jeńcy...

Przykucnęła na powrót, opierając łokcie na kolanach i splatając dłonie. Zakołysała się na piętach.

– No właśnie. Więc co z nimi?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem – wyznał bezradnie. – Puszczę wolno, to Trybunał dobierze się do mnie. Nie zawisnę, bez obaw... Ale jaki skandal! Ojciec natychmiast będzie musiał odejść ze stanowiska, bo przecież nie zaprzeczy, że wiedział o tej wyprawie. Miałaś rację, że znajdę tutaj guza.

Pokręcił głową.

– Ale czy jest inne wyjście, niż ich puścić? – zapytał. – Przecież nie pozabijam! A i to jeszcze pytanie, czy sprawa by się nie wydała. Zbyt wielu ludzi wie o tym. Moi żołnierze... ty...

– O żołnierzy możesz być spokojny, będą milczeć we własnym interesie – zauważyła nie bez racji. – Ale ja? Przyznam, że nie wiem, jak miałabym milczeć w takiej sprawie. Masakra jeńców? I to żołnierzy? Czy możliwe, żebyś w ogóle rozważał coś podobnego?

– Nie rozważałem, no skądże... tak tylko... – odparł szczerze, choć nieporadnie.

Nawet nie bardzo słuchała. Znow się podniosła.

– Sama służyłam w legii! – powiedziała z narastającą złością. – Zresztą kto miałby to zrobić? Zabrałeś ze sobą kata?

Odwróciła się i odeszła rozgniewana poszukać jakiejś spódnicy w bagażach rozbójników.

ROZDZIAŁ 7



Po śmierci całej starszyny gwardyjskiego oddziału komenda należała do dziesiątnika Mavedera. Co prawda nie bardzo miał kim dowodzić. Z trzydziestu dwóch ludzi, jacy wyruszyli z Grombu i Badoru, pozostała ledwie czwarta część – w tym kilku poważnie lub zgoła śmiertelnie rannych. Nie wszystkich nawet wiązano.

Nie będąc wcale skłonny do snucia filozoficznych rozważań, Maveder (którego – trzeba trafu – ułożono akurat obok dowódczyni zbójckiego oddziału) nie miał nic lepszego do roboty, jak dumać nad krzywymi uśmiechami losu. Narastała w nim wściekłość, po części pobudzana bólem ranionego boku, głównie zaś postawą dowódcy armektańskiego pocztu. Wiedząc już o fatalnej pomyłce, której ofiarami padli on i jego towarzysze, Maveder dobrze rozumiał sytuację dowódcy łuczników, jednocześnie jednak zachodził w głowę, na co jeszcze czeka ten człowiek. Wbrew pozorom podobne nieporozumienia w Ciężkich Górach nie były czymś wyjątkowym – chociaż prawdę mówiąc, Maveder nie słyszał, by którekolwiek skończyło się tak krwawo. Ale uparte trzymanie żołnierzy jako jeńców w żaden sposób nie mogło poprawić sytuacji Armektańczyków.

Wszyscy pojmani oprócz najciężej rannych, zarówno rozbójnicy, jak i żołnierze, trzymani byli w odległości jakichś czterdziestu kroków od obozu. Pilnowało ich dwóch ludzi, milczących i niezadowolonych ze swej funkcji. Maveder, będąc dziesiątnikiem, musiał kiedyś porządnie nauczyć się kinenu (zwykłym żołnierzom wystarczała znajomość stu czy dwustu słów). Teraz próbował skłonić wartowników, by przywiedli swego dowódcę. Nic z tego jednak nie wyszło. Strażnicy zachowali się tak, jak powinni się zachować pełniący służbę żołnierze, co dziesiątnik zmuszony był sam przed sobą przyznać. Jeden powiedział mu:

– Nie możemy stąd odejść, panie. Skoro dowódca wyznaczył nas dwóch do tej służby, to znaczy, że tyłu jest tu stale potrzebnych. Dowódca wie, że leżysz tu, panie. Gdy uzna, że trzeba przyjść, to przyjdzie. Powiadomię go, że chcesz rozmawiać, gdy przyjdzie zmiana warty.

Maveder sklął go głośno – i pochwalił w duchu.

Ku swojemu zdziwieniu usłyszał, jak leżąca obok rozbójniczka, kalecząc mocno kinen, mówi to, co on sam pomyślał:

– Dobry żołnierz.

Po czym zwróciła się wprost do Mavedera, już po grombelardzku:

– Powiedz, legionisto, dlaczego tacy dobrzy wojownicy wyrzynają się wzajemnie, zamiast wspólnie wymieść z Szereru wszystkich ścierwojadów i tchórzy?

Nie odpowiedział. Ale po chwili prawie bezwiednie skinął głową. Już raz i drugi, kiedyś, sam sobie zadał to pytanie.

Ból w ranie zaczął pulsować i dziesiętnik zacisnął zęby. Zamarzył o wódce, którą miał w bukłaku – i znów wróciła wściekłość. Oddałby żołądek za kilka tęgich łyków.

Nagły ruch w obozie nie uszedł uwagi jeńców, w żaden jednak sposób nie mogli się domyślić, że przyczyną wzmożonej krzątaniny było przybycie Łowczyni z rannym kocurem na plecach. Potem znów wszystko się uspokoiło.

Maveder z ukosa spojrział na dziewczynę. Bardzo młoda i ładna, co zauważył już wcześniej. Głowę, mocno rozbitą, przechyliła na bok, tak by lekka mżawka, wzmagająca się niespiesznie, chłodziła ranę. Wiedział już, bo ustalono to natychmiast po potyczce z rozbójnikami, że to ona właśnie przewodziła grupie pod nieobecność Kobala. W jaki sposób to dziecko uzyskało tak wysoką pozycję w oddziale?

Mavederowi płacono za ściganie zbójów. Ale, jak każdy żołnierz grombelardzki, nie wszystkich traktował jednakowo. Oficer takiego Basergora-Kragdoba nie był w oczach badorskiego legionisty pierwszym lepszym rzeźmieszkim. Dziesiętnikowi zrobiło się jakoś... dziwnie, gdy dotarło do niego, że już wkrótce po uwolnieniu będzie przesłuchiwał tę, leżącą teraz w pętach jak i on, rozbójniczkę, obdzierając ją żywcem ze skóry.

Myśli dziewczyny, zdawało się, biegły w podobnym kierunku. Z zamkniętymi oczami, bo deszcz padał już mocno i grube krople ciekły jej po twarzy, powiedziała:

– Słyszałam, jeszcze w nocy, że wiecie, kto nas prowadzi. Bój się, legionisto. On wróci. A gdy wróci, to zaraz potem będę wolna, a wtedy wyjmę i pokażę ci twoje własne flaki. Za moich zwiadowców.

Tym razem odpowiedział:

– Widziałem już swoje flaki. Pod Rahgarem trzy lata temu.

Leżeli dalej w milczeniu.

o o o

Żywotność kocura była zaiste zdumiewająca – ocknął się wkrótce i pytał o swoich rozbójników. Uważnie wysłuchał historii o porannej walce,

wypił trochę wody i zjadł porcję wędzonki. Ledwie skończył, zażądał rozmowy z Ovetenem.

Armektańczyka zdumiewał sposób bycia tego herszta zbójców, najwyraźniej świetnie czującego się wśród ludzi, których ścigał na czele zbrojnej gromady i którzy o tym wiedzieli. O swoje życie najwyraźniej wcale się nie obawiał.

Jednak rodowe monogramy przed imieniem tego gadba wywierały duże wrażenie. Oveten pamiętał ledwie kilka, może kilkanaście równie znanych nazwisk. Bo też owo nazwisko było w istocie czymś więcej, miało znaczenie dartańskiej tarczy herbowej.

Lava. Sahja. Trzeciego imienia Oveten nie pamiętał. Zasłużonych dziadów i pradziadów miało wielu, są jednak zasługi – i zasługi. Ilu ludzi znało pełne imiona jego własnych przodków? A pochodził ze świetnej rodziny.

Przodkowie L.S.I.Rbita kierowali ponoć słynnym Kocim Powstaniem i wzięli swoją pozycję z rąk samego Imperatora, jako potwierdzenie wywalczonych praw. Ovetenowi z trudem mieściło się w głowie, że ostatni chyba, a na pewno jedyny znany potomek tego rycerskiego rodu bawi się w wodza grombelardzkich oprychów.

A jednak. W Armeckie, szczególnie zaś w Rinie i Rapie, dobrze znano koty. Było najzupełniej wykluczone, by ten tutaj posługiwał się fałszywym imieniem. Koty nie kłamały, a to z tej przyczyny, że wymyślenie najprostszego kłamstwa przekraczało możliwości zdrowego kociego umysłu. Rbit na pewno nie był kocim pomyślnym; gdyby chciał zataić swą tożsamość, posługiwałby się najwyżej samym swoim imieniem, dość zresztą popularnym w Armeckie. Wiele kotów w ogóle nie używało imion, czy też raczej zmieniał je kilka razy w życiu, jednak samo imię nic nie znaczyło, a inicjały przed nim – tak. Skoro ten tu podawał monogramy rodowe, to na pewno miał do nich prawo. Z tego powodu żołnierze niebiesko-żółtego pocztu odnosili się do ранnego kocura z dużym szacunkiem, choć bez uniżoności, ich dowódca zaś gotów był rozmawiać jak równy z równym. Szybko jednak wyszło na jaw, że nie bardzo jest to możliwe.

– Posłuchaj mnie, wasza godność – rzekł kot, przerywając Armektańczykowi w pół słowa – pozostawmy moje nazwisko w spokoju. Tu są Ciężkie Góry, a w górach nazwiska, o których mówisz, nie bardzo się liczą. Noszę pewien przydomek i prawda o mnie zawarta jest nie w monogramach rodowych, ale w tym przydomku. Pomyśl więc o mnie raczej jako o jednym z władców Grombelardu, o sobie zaś jako o wodzu dwudziestu idących po łupy awanturników, któremu winien jestem wdzięczność za posiłek i opatrunek. To nam ukáže właściwe proporcje.

Oveten spąsował.

– Z tej pozycji patrząc – dodał Rbit – Łowczyni jest dla mnie

najważniejszą osobą w tym obozie. Chcę, żeby była przy naszej rozmowie. Nie znieważam cię, armektański wojownik. Przedstawiłem porządek rzeczy, więc najlepiej pogódź się z tym.

– Nie będę rozmawiał w ten sposób – rzekł Oveten.

– Czy fakty ci ubliżają? Czego więc szukasz w tych górach? Może należało zostać tam, gdzie twoja pozycja nie budziła żadnych wątpliwości?

Oveten patrzył w milczeniu.

Rozmowa trochę jednak zmęczyła kocura. Przymknął ślepie, układając się wygodniej na płaszczu, który mu podłożono.

– Czy wysłuchasz mojej oferty? – zapytał, nie otwierając oczu. – Ty uwolnisz moich podkomendnych, ja zaś nie tylko, że pozostawię cię w spokoju, ale jeszcze tutaj pomogę zdobyć to, po co chciałeś iść aż do Obszaru. Potem podzielimy się i jeśli nie jesteś wyjątkowym chciwcem, nie dojdzie do zwady przy podziale zdobyczy.

Armektańczyk zdumiał się.

– Na Szerń... Co ma oznaczać ta „oferta”?

– Prosiłem o obecność Łowczyni – rzekł ze znużeniem kot. – Jest przy tej rozmowie niezbędna. Powiedz, wasza godność – żółte ślepie załśniły na powrót – dlaczego usilnie próbujesz mnie przekonać, że twoja duma jest większa niż twój rozum?

Oveten siedział jeszcze przez chwilę, po czym podniósł się i odszedł. Wrócił wkrótce, prowadząc przewodniczkę.

– Niedaleko stąd – powiedział bez wstępów Rbit, wyciągając na widok dziewczyny łapę w Pozdrowieniu Nocy – jest miejsce Shergardów, gdzie znalazłem sporo Przedmiotów. Domyślasz się, Łowczyni, o jakim miejscu mówię?

Zmarszczyła brwi i krótko skinęła głową.

– Ja jednak się nie domyślam – oświadczył sucho Oveten.

Rbit zwrócił ślepie ku niemu.

– Przecież ona jest twoją przewodniczką? Zaprowadzi cię tam, wasza godność, tak czy nie?

Armektańczyk przygryzł wargę.

– Tam trzeba walczyć – podjął kot. – I nie z ludźmi, a raczej: nie tylko z ludźmi. Połączywszy siły, na pewno zwyciężymy. Może warto? Tym bardziej że przez Przełęcz i Dno Morza nie dojdziecie do Obszaru.

– A to dlaczego?

– Dno Morza jest teraz dnem morza. Ściana Wody runęła. Myślę, że ledwie parę dni temu.

Nie uwierzyli.

– Co to za bzdura? – rzekła wreszcie kobieta.

– Panuj nad językiem, Łowczyni – upomniał ją łagodnie kot.

Ale tym razem Oveten okazał się przytomniejszy. Choć wieść była

nieprawdopodobna, to jednak Armektańczyk nigdy nie widział kota, który rzuciłby słowa na wiatr.

– Może mylisz się? – rzekł z naciskiem. – Wierzę, kocie, w twoją szczerłość. Ale czy sprawdziłeś, że naprawdę jest tak, jak mówisz? Może... ktoś cię oszukał?

Rozbójnik docenił starania mężczyzny, ostrożnie dobierającego słowa, by nie zarzucić kotu kłamstwa.

– Nie, panie. Jeśli pytasz, czy widziałem morze w dolinie, to nie, nie widziałem. A jednak bez żadnej wątpliwości wiem, że tak jest. Nie potrafię tego wyjaśnić. Noszę Porzucony Przedmiot, mający swoje kaprysy... niekiedy. W kwestiach dotyczących Szerni i jej spraw mówi do was moje Srebrne Pióro, ja tylko wydaję dźwięki, których nie rozumiem – skwitował z cierpkim humorem. – Za rok albo dwa lata tutaj, na Przełęczu Mgieł, będzie granica Obszaru, wiem na pewno. Te opary szybko gęstnieją, a już teraz siedzą tu geh-egy. Strażnicy Obszaru, walczyłem z jednym z nich – wyjaśnił, bo Armektańczyk spoglądał pytająco.

– Geh-egy nie są bardzo groźne, ale żywotne – powiedziała Łowczyni, dając znak Rbitowi, by pozwolił dokładnie wytłumaczyć. – Żywotne, o ile można tak nazwać coś, co nie ma ciała, krwi ani mózgu i jest ruszającą się strugą czarnego piasku nafaszerowaną ostrymi jak zęby skałami. Można je zabić, albo raczej... no, rozsypać, rozrzucić ten piach na wszystkie strony, on się już nie zbierze z powrotem. Tylko że zanim to się uda... – Wymownym gestem pokazała poszarpaną kolczugę Rbita. – A mówię, że są żywotne, bo geh-egy jako jedyni Strażnicy mogą wydostawać się z Obszaru i nie umierają od tego.

Oveten chciał powiedzieć, że nie spotkał w Kraju nic takiego, ale ugryzł się w język. Nikt nie musiał wiedzieć, że był już kiedyś w Obszarze.

– Są tam ludzie Hagena, ale odebrano im wolę – rzekł znów Rbit, zwracając się do Łowczyni. – Wiąże ich chyba Formuła Posłuszeństwa, czy tak to się nazywa?

Wzruszyła ramionami.

– Wiem o tych cudach tyle co i ty albo mniej, bo nie noszę Pióra i nic mi się nie objawia – oznajmiła. – Geh-egy kiedyś widziałam i pytałam o nie Dorlana, stąd cała moja wiedza i mądrość. O Formułach nic nie chcę wiedzieć. Mogę pokazać w górach miejsca, gdzie leżą szkielety tych, co mieli Porzucone Przedmioty – dorzuciła. – Jesteś, kocie, jedyną znaną mi istotą, która ma to paskudztwo od lat... i jeszcze żyje. Może warto zatrzymać Listek Szczęścia, ale chyba nic więcej.

Oveten zamyślił się. Bez względu na to, jak chaotyczna stawała się rozmowa, nie należało już wątpić, że Rbit powiedział prawdę o morskiej wodzie w dolinie. Oznaczało to, że wszystkie plany wzięły w łeb. Mógł

wracać.

– Wyjaśnij mi to, Rbit – zażądała nagle przewodniczka, pomyślawszy o tym samym co Oveten. – Morze? Jakim cudem? Ściana Wody była tam od zawsze! Co mówi przez ciebie twoje Pióro?

– Łowczyni, czy ty wzięłaś to dosłownie?

– No... nie. Ale wyjaśnij mi.

Kocur znowu przymknął ślepią.

– Oto ludzie – rzekł cierpko. – Stała się rzecz nieodwracalna. Zamiast uznać ją i działać, lepiej zadać najważniejsze i najmędrze ze wszystkich pytań: „Dlaczego?”

Armektanka zdenerwowała się.

– Oto kot – powiedziała tym samym tonem co rozbójnik. – Zamiast odpowiedzieć krótko na zadane pytanie, będzie biadał, że ludzie są inni niż on!

Nieoczekiwanie – rozbawiła go.

– Dobrze, Łowczyni – rzekł po krótkiej chwili. – Nigdy nie zaprzęgam sobie głowy próżnymi dociekaniem. Ale dobrze, spróbuję dziś myśleć jak człowiek. Będziemy dociekać, dlaczego woda, która dotąd stała, teraz leży jak każda inna. Dociekajmy.

Nie próbował ukryć sarkazmu.

– Powiedziałbym – kontynuował po chwili – że w dolinie pojawiło się coś, co rozproszyło moc utrzymującą Ścianę. Ale skąd wzięły się Przedmioty w starej twierdzy ani dlaczego są tam Strażnicy, nie wiem i nie domyślałem się.

– Te Porzucone Przedmioty, o których mówisz, kocie – zagadnął nagle Oveten – jakie są?

Rbit popatrzył z uwagą.

– Dość niezwykle, to prawda. Same Geerkoto. Widziałem Latarnie, kilka Drzew i bardzo dużo Piór. Nie oszacuję, jaką to wartość przedstawia. Ogromną.

Twarz dowódcy Armektańczyków pomroczyła jeszcze bardziej.

– A gdyby – indagował z wymuszonym spokojem – te Przedmioty leżały kiedyś w dolinie, niedaleko Ściany Wody?

Armektanka zaczęła pojmować, o czym myśli Oveten.

– Nie jestem Przyjętym, wasza godność – powiedział kot, coraz bardziej znudzony upartym drażnieniem tematu. – Wiem, że w Obszarze Przedmioty przywabiają Strażników. Może mogłyby przywabić ich także, leżąc tuż poza jego granicami. Jest ich dużo, więc chyba wołają potężnie, a nie były zabezpieczone. Leżały razem.

Zaległo długie milczenie.

Porzucone Przedmioty miały zwykle niewielkie rozmiary; Gorące Drzewa, sięgające kolan człowieka, należały do największych. Ale każdy Przedmiot trzeba było zabezpieczyć tak, by nie stykał się z innymi,

nawet tego samego rodzaju. Podobno ci, którzy tego nie przestrzegali, źle kończyli.

Legenda? – być może.

Kto wolał nie sprawdzać, ten otulał zdobycz wełną i umieszczał w osobnym woreczku, a dopiero te woreczki wędrowały do wspólnej sakwy. Z braku wełny używano piasku, ale miał on przecież swoją wagę. Poszukiwacze skarbów wychodzili z Obszaru nierzadko objuczeni jak muły.

– Czy to były twoje Przedmioty? – zapytał kot.

– Tak. Ukryłem je w dolinie. Nie wiem, skąd się wzięły w miejscu, o którym mówisz, ale skoro przywołały Strażników, to chyba wiele wyjaśnia.

Kocur nawet nie otworzył oczu. Jak dla niego, Armektańczyk mógł wyciągnąć wnioski jakiegokolwiek, byleby je wyciągnął i koniec.

– Rozważ wreszcie, panie, moją ofertę. I pozwól mi chwilę odpocząć.

Oveten próbował zebrać myśli. Niespodziewanie z pomocą przyszła mu przewodniczka.

– Rzecz w tym – powiedziała pozornie bez związku – że z zachodu na wschód wiedzie przez Góry bardzo niewiele szlaków. Po prostu nie da się iść tam, gdzie się nie da. Pojedynczy człowiek, obeznany z tajnikami wspinaczki, objuczony kilkusetłokciową liną, przejdzie oczywiście wszędzie albo prawie wszędzie. Ale oddział? Twoi ludzie, panie, pomijając oczywiście rannych, to silni i wytrzymali mężczyźni, wątpię jednak, by więcej jak połowa z nich przeżyła takie igranie z górami. Tu nie chodzi nawet o wspinaczkę. Jeśli chciałbyś teraz – zaakcentowała – przejść na najbliższy szlak wiodący do Obszaru, to porwiesz się na rzecz niemożliwą. Dwa dni temu, gdy doradzałam, żeby tak zrobić, owszem. Ale teraz, gdy zginęło już sześciu twoich ludzi, a ośmiu masz rannych, nie widzę, jak i po co mielibyśmy pchać się dalej. Pozostaje ci, wasza godność, wrócić do Badoru, a stamtąd do Grombu albo lepiej prosto do Armektu. Z Obszaru żywy nie wyjdiesz, jeśli ruszysz po nowe łupy. Dobrze, jeśli tam dotrzesz.

Oveten z rozdrażnieniem zacisnęła usta.

– Przedstaw mi szerzej swą ofertę, panie – rzekł do Rbita, starając się zapanować nad sobą. – Albo raczej propozycję wykupienia się z niewoli, bo skoro tak kochasz fakty, to trzymajmy się ich.

Zmęczony kocur wypowiadał się oszczędnie i zwięźle. Łowczyni obszerniej wyjaśniła te rzeczy, które szczególnie obchodziły Ovetena. Armektańczyk zresztą nie zadawał wielu pytań, poprzestając na uważnym słuchaniu.

Strażników skarbcza było, jak twierdził Rbit, raczej niedużo; sam widział tylko dwóch, choć nie dało się wykluczyć, że w fortecy siedziało ich więcej. Było to jednak niezbyt prawdopodobne, jeśli zważyć, że do

pomocy użyto ludzi Wer-Hagena. I to oni, zdaniem Rbita, stanowili główne zagrożenie. Kocur utrzymywał, że w tej chwili nadarza się może jedyna okazja pokonania Strażników; Oveten (który w końcu wyjawiał, że Zły Kraj widział i poznał) przyznał rację temu rozumowaniu. Zdawało się oczywiste, że za rok, a może już tylko za miesiąc czy dwa, Porzucone Przedmioty z Przełęczu albo wrócą na Czarne Wybrzeże, albo też, gdy okrzepnie nowa granica Obszaru i czas spowolni swój bieg, będą strzeżone przez tak potężne siły, że zadarcie z nimi stanie się zbyt ryzykowne.

Rbit czekał na decyzję Ovetena. Ten jednak milczał, pogrążony w ponurych rozważaniach. Wreszcie spojrział na przewodniczkę. Myśleli o tym samym.

– Gwardziści – rzekli prawie jednocześnie.

Rbit czekał, obserwując armektańską parę. Gdy milczenie przedłużało się, powiedział:

– Oto problem.

Wyraźnie usłyszeli kpinę w jego słowach. Oveten miał na końcu języka jakąś ostrą odpowiedź, gdy kocur – już bez cienia szyderstwa – rzekł:

– A przecież w Armekcie istnieje pewna stara tradycja, która może być bardzo pomocna.

Jego rozmówcy wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Mówię o Wyroku Niepojętej – wyjaśnił cierpliwie, wciąż z głęboką powagą.

Przewodniczka lekko rozchyliła usta.

Mężczyzna siedział oniemiały.

W tym niezwykłym dniu, kiedy dokonało się tyle niemożliwych do przewidzenia rzeczy, kiedy powiedziano tyle niezwykłych słów, zdarzyło się coś daleko bardziej niezwykłego: oto grombelardzki kot rozbójnik przypominał Armektance i Armektańczykowi o wojennych tradycjach ich narodu... Dla córki i syna Wielkich Równin nic nie mogło być bardziej zaskakujące – i zawstydzające.

Niepojęta Arilora. Pani Wojna, Los Wojenny, ale też: Śmierć. Przebogaty armektański język miał sto słów na określenie tych rzeczy. Ale Arilora – było to imię opiekuńcze dla konających i żołnierzy. Słowo, które wypowiedzieć mógł tylko idący do bitwy wojownik lub człowiek na łożu śmierci. Zawsze z najwyższym szacunkiem.

Ten zdumiewający kocur nie tylko znał i rozumiał armektańską tradycję, ale potrafił o niej powiedzieć tak, że surowi w sprawach swych zwyczajów Armektańczycy nie znaleźli najmniejszego uchybienia.

– Zawstydziłeś mnie, wasza godność – rzekł poważnie Oveten.

Łowczyni kiwnęła głową na znak, że czuje to samo.

Rbit milczał. Dopiero po długiej chwili powiedział:

– Dowódca gwardzystów może walczyć z moją zastępczynią. Z oczywistych powodów ja sam nie mogę stanąć do walki. Podporządkuję się jednak jej wynikowi. Jeśli wygra żołnierz, uwolnisz go, panie, razem z jego ludźmi, a ja i wszyscy moi podkomendni zostaniemy jego jeńcami. Jeśli wygra moja zastępczyni, stanie się odwrotnie. Do walki może dojść tylko wtedy, jeśli oboje wyrażą zgodę. Tak chce tradycja, a tylko zadośćuczynienie wszystkim jej wymogom może sprawić, że będzie to wyjście honorowe.

Przytaknęli. Nie mogli nic dodać.

– Chodźmy do nich – powiedział Oveten.

Przywołał dwóch ludzi. Żołnierze ujęli płaszcz, na którym leżał Rbit, i ponieśli kota śladem Ovetena i przewodniczki.

Na widok rannego Rbita Kaga rzuciła się na ziemi, desperacko usiłując powstać. Na dziewczęcej twarzy zagrały rozmaite uczucia: rozpacz, przerażenie, niedowierzanie i wściekłość kolejno brały górę.

– Rbit – powiedziała prawie z płaczem. – W jaki sposób...

– Wszystko dobrze, siostrze – przerwał jej z takim spokojem, że dziewczyna zamilkła, chwyciwszy spazmatycznie powietrze. W jej oczach zalśniło sto pytań, lecz milczała.

Dziesiątnik spoglądał chmurnie, zachowując niewzruszony spokój.

– Istnieje armektański obyczaj wojenny, który stał się prawem – powiedział bez wstępów Oveten, po czym w oszczędnych słowach wyjaśnił, o co chodzi.

Na twarzy rozbójniczki odmalowało się niedowierzanie, a potem ogromna ulga. Żołnierz wciąż leżał z nieprzeniknioną twarzą.

– Wiedziała! – zawołała dziewczyna, znów ze łzami w oczach. – Wiedziała, Rbit, że z tobą nic nam nie grozi!

– Potwierdź, panie, warunki tej walki – zażądał Maveder, zwracając się do Rbita. – Jeśli wygram, zostaniesz moim jeńcem?

– Tak, żołnierzu.

– Słowo kota – przypieczętował dziesiątnik. – W takim razie niech będzie.

Straciwszy na moment swoje opanowanie, uśmiechnął się lekko, spoglądając na leżącą obok rozbójniczkę. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

Oboje z ulgą.

ROZDZIAŁ 8



Dzień miał się ku końcowi, gdy żołnierz i rozbójniczka zakończyli przygotowania. Rany opatrzono im starannie; rozbita głowa dziewczyny nie była większym problemem, gorzej miała się sprawa z bokiem Mavedera. Rana, choć niegroźna dla życia, była bardzo bolesna i zaczęła krwawić przy każdym gwałtownym ruchu. Jednak legionista nie przejmował się tym zbytnio.

Ustalono reguły pojedynku, potem przeciwnicy uzbroili się, każde według swej woli i chęci. Nie umawiając się, wybrali to samo: wzięli kusze, miecze i noże. Żołnierz zostawił hełm, uznając go za niepotrzebny.

Powiadomiono wszystkich jeńców o mającej się odbyć walce i jej celu, po czym zapytano, czy wyrażają zgodę, by dowódcy walczyli o ich życie. Wobec decyzji przełożonych była to nieledwie formalność, ale armektańska tradycja rządziła się swoimi prawami. Potem Maveder i Kaga stanęli przed Ovetenem.

– Zanim zaczniecie, chcę coś powiedzieć – rzekł Armektańczyk. – Szczególnie tobie, żołnierzu. Zły los zapragnął, by nasze drogi skrzyżowały się w ten sposób. Po stokroć wolałbym walczyć razem z tobą, a nie przeciw tobie. Stało się. Nic już nie można zmienić.

Dziesiątnik milczał. Po chwili skinął głową.

– Nie jestem mówcą, panie – powiedział bardziej szorstko chyba, niż zamierzał. – Powiem tylko, że nie chowam urazy. Sprawiedliwość kazała zwrócić nam wolność bez żadnych warunków. Zrobiłeś inaczej i nie wiem, czy to jest sprawiedliwe. A jednak dzięki temu mam szansę pojmania największego rozbójnika Gór, co inaczej nie mogłoby się udać. Mnie to wystarcza.

Zmarszczył brwi.

– Każdy ma wielką chwilę w swoim życiu. Moja nadeszła teraz, bo jeśli mi się powiedzie, to moje imię będzie w tym kraju nieśmiertelne. Dzięki tobie, panie. Ale wdzięczny ci jestem tylko w swoim imieniu, bo jeżeli zginę, to moi ludzie pójdą pod nóż. Im nie dałeś szansy walki o życie, a ja mogę zawieść. Pojednaj się z nimi, nie ze mną.

– Zrób to – wtrąciła rozbójniczka, po swojemu kalecząc kinen. – Bo potem będzie za późno.

Oveten spojrzał jej w oczy.

– Życzę ci śmierci – powiedział – choć nie leży to w moim interesie. Nie jesteś warta, by walczyć z cesarskim żołnierzem o cokolwiek.

Pokazał na dłoni srebrną monetę, po czym położył ją na płaskim kamieniu, wy dobył miecz i przeciął jednym uderzeniem. Połówki prysnęły na boki.

– Odszukajcie je – polecił.

Poszli za wezwaniem.

– Najpóźniej jutro rano – rzekł, chowając miecz – jedno z was przyniesie mi obie połówki tej monety. Teraz idźcie.

Przeciwnicy raz jeszcze zmierzyl się wzrokiem. Dziewczyna uniosła kuszę, ogromną na tle jej drobnej sylwetki, palcami drugiej ręki robiąc ruch, jakby zwalniała mechanizm spustowy broni. Potem odwróciła się i poszła w mrok.

Żołnierz ruszył w przeciwnym kierunku.

o o o

Łowczyni i Rbit siedzieli razem w milczeniu. Badorski legionista był przy rozbójnicze prawdziwym olbrzymem, jednak Armektanka lepiej niż ktokolwiek wiedziała, że w tego rodzaju walce wzrost i siła nie mają wielkiego znaczenia. Pocisk, szczególnie wystrzelony z broni tak potężnej jak kusza, nie czuł przed mięśniami żadnego respektu. Co innego, gdyby miało dojść do walki wręcz. Było to jednak mało prawdopodobne.

Kocur leżał na boku, z doskonałą obojętnością czekając na wynik pojedynku. Przewodniczka sądziła, że to tylko pozór. Wszystko jedno, jak bardzo ufał swojej podkomendnej, grano tutaj o jego życie. Nawet kot gadba miał je tylko jedno.

Podszedł do nich Oveten.

– Zrobiło się późno – powiedział, siadając przy milczącej dwójce.

Jak dotąd nikt w obozie nie zasnął. Ludzie Ovetena, choć to nie o ich los chodziło, byli zbyt podnieceni, by udać się na spoczynek. Siedzieli w grupkach, rozmawiając. Oceniano szanse walczących i powszechnie stawiano na dziesiątnika, choć wcale nie lekceważono małej rozbójniczki. Armektańscy łucznicy widzieli w życiu niejedno, a zresztą nie byli głupi... To jasne, że śliczne dziewczątka nie zostało komendantką sporego oddziału dla swoich zielonych oczu. Mimo młodego wieku musiała mieć jakieś cechy, które imponowały twardym wojownikom Gór.

Wreszcie jednak, gdy czas płynął, a wokół nic się nie działo, ten i ów odszedł na bok, by znaleźć schronienie przed dokuczliwym wiatrem, po

czym, otulony płaszczem, zasypiał. Ci, co nadal czuwali, milkli.

Nic już nie było do powiedzenia.

Oveten także zapadł w drzemkę. Wyrwał się z niej raz i drugi, wreszcie ocknął na dobre. Jął przepatrywać niebo, ale był w Grombelardzie, nie w Armekcie. Nic mu nie podpowiadało, jaka jest pora nocy.

– Niedługo świt – rzekł leniwie kocur, widząc, że Armektańczyk nie zdoła tego ocenić.

Mężczyzna przetarł twarz dłońmi. Przez chwilę myślał o niezwykłym kocim wojowniku, który, ciężko poraniony, nie poskarżył się dotąd nawet słowem, choć musiał odczuwać nieustanny ból; mało tego, znajdował siły, by czuwać przez całą noc. Rozejrzawszy się, odszukał w mroku kontur ciała śpiącej przewodniczki, po czym zapytał niegłośnie:

– Dlaczego trwa to tak długo? Zaczynam sądzić, panie, że twoja młoda przyjaciółka wzięła nogi za pas.

Oczy kota zalśniły w ciemnościach.

– Mów takie rzeczy ciszej, wasza godność. Nie możesz mieć żadnej pewności, czy nie stoi tutaj, za tą skałą. Nie, nie stoi, bo gdyby stała, oglądałbyś właśnie bełt tkwiący w piersi. Zarzucić możesz jej wszystko, tylko nie kłamstwo i tchórzostwo. Za takie słowa nawet ludzie gotowi są czasem zabić. Cóż dopiero grombelardzka kocica.

– Co przez to rozumiesz, panie?

– To, co powiedziałem. Rodzą się czasem mężczyźni obdarzeni naturą kobiet, bywa też odwrotnie, czy nie tak, wasza godność? Ale rodzą się też ludzie mający duszę kota. Ta dziewczyna to kot, jest nim tak samo jak ja.

Oveten milczał.

– Jeśli chcesz – mówił Rbit – opowiem ci przebieg tej walki w ciemnościach. Kaga robi dokładnie to samo, co ja bym zrobił, będąc na jej miejscu. Przede wszystkim jest cierpliwa.

Mężczyzna słuchał uważnie.

– Gdzieś w tym mroku – kontynuował kocur – krąży mężczyzna z kuszą w rękach, mający się za doświadczonego zwiadowcę. Według oceny, jaką ty byś mu wydał, jest mistrzem podchodów. Już dwa razy podszedł pod obóz, nie alarmując wartowników. Nikt poza mną nie widział go i nie słyszał, bo widzieć ani słyszeć nie mógł. Był ostrożny, uważny i czujny, ale zdenerwowany i bardzo zmęczony. Mocno doskwiera mu rana.

Oveten przelknął ślinę.

– Kaga idzie wciąż za nim, krąży i nie pozwala odpocząć, bo gdy żołnierz siada gdzieś na chwilę, natychmiast opodal pada rzucony kamień, czasem szczeka żelazo. To go zmusza, by ruszył dalej. Stale jest czujny i spięty. To już trwa prawie całą noc. Kaga nie chce ryzykować,

bo chodzi nie tylko o jej życie. Cokolwiek myślisz na jej temat, panie, ta mała kobieta dałaby się zabić za ludzi, których jej powierzono. Teraz mogłaby strzelić już dawno, ale ciemności nie pozwoliłyby dokładnie ocenić efektu. Poczekaj więc do świtu, gdy jej przeciwnik będzie otępieła ze zmęczenia. Pokaże mu się wtedy, a on, szczęśliwy, że ją widzi, od razu strzeli, nie chcąc marnować upragnionej okazji. Podniecony i wyczerpany, na pewno nie trafi. Kusza to broń wolna w ładowaniu. Kaga podejdzie więc blisko, a gdyby próbował uciec, ukryć się i zyskać na czasie, dogoni go, bo jest młodsza i zwinniejsza. Strzeli z takiej odległości, jaką uzna za pewną. Może pięć lub sześć kroków?

Oveten wciąż milczał.

– Gdybym to ja walczył zamiast niej – dodał jeszcze kot – tak samo najpierw zmęczyłbym przeciwnika. Potem wyrwałbym mu oczy. Albo w dogodnym momencie podciął nogi lub skoczył i zepchnął w jakąś dziurę, żeby skręcił kark, mógłbym zresztą próbować wiele razy, aż do skutku. Może udałoby mi się poszarpać mu żyły? Kaga jednak nie potrafi chodzić dość cicho i gorzej niż ja widzi w nocy, nie wspominając o słuchu. Dlatego zakończy rzecz inaczej.

– Opowiesz mi o egzekucji, nie o pojedynku.

– Nie było tu żadnego oszustwa, wasza godność. Oboje przyjęli warunki tej walki, a każde liczyło na swoje umiejętności. Ale to prawda, że moja zastępczyni od zawsze, bo od dziecka, wraz z kocimi przyjaciółmi podchodziła ludzi. Wyłącznie w nocy. I chociaż nie słyszy tak jak kot, to jednak polega na słuchu daleko bardziej niż ludzie. Wbrew temu, co myślicie, koty lepiej słyszą, niż widzą, wasza godność. Uszy mówią mi więcej niż oczy. Może kiedyś ta wiedza pozwoli ci zachować życie, więc zapamiętaj, co powiedziałem, bo nie jestem dziś twoim wrogiem.

Kropiący od jakiegoś czasu deszcz zmienił się w zwykłą poranną ulewę. Śpiąca dotąd twardo Armektanka obudziła się i usiadła. Spojrzała na wschód, gdzie niebo przybierało z wolna szarą barwę.

– Świt – wymruczała niewyraźnie, przeciągając się, aż chrupnęły stawy.

W tej samej chwili z miejsca, gdzie trzymano jeńców, dobiegł przeraźliwy okrzyk. Wszyscy w obozie poderwali się na nogi.

– Idź tam, panie! – rzekł Rbit, tracąc nagle swój spokój. – No idź! Zdaje się, że twoi wartownicy posnęli.

Oveten ruszył biegiem, potykając się w rzednących ciemnościach. Łowczyni zdołała go wyprzedzić.

Związanych żołnierzy pozarzynano. Wszystkich bez wyjątku, także rannych.

– Wasza... godność! – Jeden z trzymających straż ludzi bełkotał przerażony. – My... Wasza godność, myśmy zdrzemnęli się... krótko,

może chwila!

Oveten nie zapanował nad wybuchem wściekłości; wyrwał miecz i zdawało się, że zabije nieuważnych strażników, ale zgrzytając zębami, zamachnął się, chcąc tłuc płazem. Przewodniczka, wstrząśnięta jak wszyscy, ale lepiej panująca nad sobą, pochwyciła go za rękę i odciągnęła na bok, dając popis nieoczekiwanej siły.

– Przestań! – powiedziała. – Słyszysz mnie?

Oveten dyszał ciężko. Za jego plecami żołnierze w milczeniu spoglądali po sobie. Pochmurny ranek przydał ich bladym twarzom odcień szarości. Armeckański dowódca odwrócił się nagle, wyrrywając z uścisku Łowczyni, i podążył ku miejscu, gdzie leżał Rbit.

– Ty! – mówił już z daleka, urywanym głosem. – Ty mi podsunąłeś... ten pomysł! A ja chciałem tradycje swego kraju... Komu? Zbójcom, mordercom, skrytobójcom... Bądź przeklęty, kocie!

Nagle stanął jak wryty.

– Połówki twojej monety, łuczniku. Obie – rzekła wrogo dziewczyna.

Pod nogi Ovetena upadły dwa drobne przedmioty.

– Sprawdź, czy pasują – dorzuciła pogardliwie. – Jeńcy byli moi, więc zrobiłam z nimi, co chciałam. A czego żeś się spodziewał? Że wyleczę i wyposażę?

Postąpił krok naprzód. Uniosła kuszę z nałożonym bełtem.

– Zabiję! – ostrzegła. – Czego chcesz ode mnie? To nie ja wymyśliłam tę walkę.

– I nie ja – rzekł chrapliwie.

– Przedstawiłeś mi reguły i przeciąłeś monetę. Ty, nikt inny. Teraz oddaj wolność moim ludziom. Żołnierz leży tam. – Wskazała ręką kierunek. – Może jeszcze żyje. Zapytaj go, czy wygrałam uczciwie, pozwałam!

Oveten krzyknął na swoich ludzi.

Wkrótce odnaleziono Mavedera. Konał.

Otoczono go kołem. W brzuchu tkwił miecz; legionista zaciskał na nim dłonie, kalecząc je o głównię. Przebicie kolczugi wymagało siły – drobna kobieta prawdopodobnie uderzyła z góry, gdy przeciwnik leżał na ziemi, i dodała do ciosu całą wagę ciała. Spod obojczyka sterczał grot ciężkiego bełtu, który przeszedł na wylot przez łopatkę. Znaczyło to, że rozbójniczka wcześniej strzeliła dziesiętnikowi w plecy. Lecz Oveten miał na szczęście dość rozumu, by nie nazwać tego tchórzostwem.

Leżący zobaczył i poznał Kagę, gdy przyklęła obok. Poruszył głową i wolno wypłuł z ust krew.

– Czemu... tacy dobrzy wojownicy... – szepnął charkotliwie. – Nawzajem...

Nieznacznie przesunął rękę. Położyła na niej swoją i skinęła głową.

ROZDZIAŁ 9



Padało. Było wczesne popołudnie, gdy na grani górskiego grzbietu pojawił się oddział, złożony z kilkunastu ludzi. Oprócz broni i zwykłego ekwipunku prawie wszyscy mieli spore zawiniątka, niesione ze szczególną ostrożnością.

Po chwili do oddziału dołączyła jeszcze jedna istota: potężny gadba, poruszający się dość ociężale, jak na kota. Utykał mocno na tylną łapę.

– I to wszystko – rzekła przewodniczka, siadając na mokrej ziemi i kładąc łubie z łukiem w poprzek kolan.

Oveten zamyślonym wzrokiem spoglądał w dół, na rozmazane przez deszcz kontury otoczonego murem miasta.

– Uczciwie zarobiłaś swoje złoto – powiedział.

Po chwili dorzucił:

– Pytanie, czy ja równie uczciwie zdobyłem swoje trofea.

Wydobył pokaźny woreczek, rozsypał i wysypał na dłoń kilka monet. Przeliczył i podał dziewczynie.

– Druga część zapłaty. Nie musisz iść ze mną do samego Badoru ani później do Grombu. Daję ci śmieszłą sumę – zauważył – w porównaniu z wartością twojej części zdobyczy.

Zamiast odpowiedzi podała mu tobolek.

– Weź je. Nie chcę Przedmiotów.

Uniósł brwi.

– Jeśli nie chcesz, możesz je przecież...

– Kilka sobie wzięłam i sprzedam – ucięła, wskazując mniejsze zawiniątko. – Te, co pójdą od ręki. Nie mam głowy do handlowania. I nie będę całymi miesiącami tego nosić, aż trafi się jakiś chętny. Zresztą Dorlan urwałby mi za to głowę, Przyjęci mają swoje zdanie na temat wynoszenia Przedmiotów z Obszaru. Weź to, mówię, i daj Ambegenowi. Rodziny żołnierzy, których posłał w góry, będą potrzebować wsparcia... Albo zresztą sama mu dam. Też idę do Grombu, należy mi się mały odpoczynek.

Milczący dotąd Rbit powiedział:

– Pora się rozejść. I tak zbyt daleko zapuściliśmy się razem. Byle patrol i będziesz miał, wasza godność, nowy kłopot.

Zwrócił się do Kagi, ale ta już wydawała rozkazy. Rozbójnicy odłączyli się od armektańskiego pocztu i ruszyli na północ, wzdłuż grzbietu.

– Moi podkomendni będą od jutra trąbić wszem wobec – powiedział jeszcze kot – że pobili cały legion gwardii na Przełęczy Mgieł. Możecie mówić, żeście o tym wydarzeniu słyszeli. Z jednym zastrzeżeniem: mnie i Kagi w to nie mieszajcie. Nie chcemy, by sławny czyn żołnierzy Basergora-Kragdoba przypisywano Kadze lub Kobalowi. I nie chcemy, by nas o to pytano.

Oveten skinął głową.

Rbit podszedł do siedzącej na ziemi przewodniczki.

– Góry są wielkie – powiedział. – Ale my też, Łowczyni, nie jesteśmy mali. Spotkamy się kiedyś.

– Na pewno.

– Pamiętasz, co mówiłem o człowieku w Grombie?

– Pamiętam.

Uniósł łapę w Pozdrowieniu Nocy.

Patrzyli za nim, gdy gonił swoją grupę. Zatrzymał się jeszcze.

– Armektanko! – zawołał swoim niskim, mrukliwym głosem. – Jakie jest twoje imię?! Chcę je poznać!

Roześmiała się.

– A.J.Karenira.

Teraz rozbrzmiał kaszlący śmiech kota.

– Kobieta Czystej Krwi? W Ciężkich Górach?!

Ponad głową Rbita przeleciał wysokim łukiem niezgrabny tobołek i gruchnął u stóp Ovetena.

– Ten dziesiętnik służył w Badorze, więc oddaj to w badorskim garnizonie! – doleciał dziewczęcy głos. – Powiedz, że spotkałeś rozbójniczkę, która z powodu tych śmieci zabiła dobrego żołnierza!



Prawo gór

*Policz rany, nie rachuj krzywd.
Zapomnij,
zapomnij.
Zostanie w sercu ból.
Gdy czas nadejdzie, porachuj krzywdy.
Przypomnij,
wspomnij,
że zemsta jest prawem gór.*

(pieśń rozbójników grombelardzkich)

ROZDZIAŁ 1



Dzień był chłodny. Żołnierze trzymający straż przed bramą garnizonu w Badorze dreptali w miejscu, próbując się rozgrzać. Obaj byli młodzi, jasnowłosi, mocno zbudowani, o typowych dla Grombelardczyków grubo rzeźbionych rysach twarzy. Przytupując i rozcierając dłonie, z rzadka zamieniali kilka słów. Bardziej zajęci walką z zimnem, sennością i nudą niżli pełnieniem służby, dostrzegli zmierzającego ku bramie człowieka, dopiero gdy był o kilkadziesiąt kroków.

– Obwieszony bronią – mruknął jeden z żołnierzy, dostrzegając na biodrach nieznajomego pas z mieczem i nożem, a ponad ramieniem łuk.
– Łucznik?

Rzadko tutaj widywano ten oręż; zresztą w służbie miejskiej nie używano nawet kuszy. Bronią rażącą na odległość mógł być od biedy krótki i masywny oszczep, którego drzewca na ogół używano jak pałki.

Człowiek podszedł blisko i zatrzymał się. Gruba wojskowa opończa z kapturem chroniła go od deszczu i chłodu. Zapięty na niej pas z mieczem nabijany był żelaznymi łuskami. I pas, i sam miecz nie różniły się zbyt od tych, jakie mieli wartownicy. Wojskowego ekwipunku nie można było kupić. Można było tylko ukraść go bądź zdobyć.

Przybysz zsunął kaptur, uwalniając czarne jak smoła warkocze, i rzekł kobiecym, lekko schrypniętym głosem:

– Chcę zobaczyć się z komendantem.

Żołnierze popatrzyli po sobie.

– Kim jesteś? – zapytał surowo wyższy, kalecząc nieco kinen, język, w którym odezwała się kobieta.

Odpowiedziała uważnym spojrzeniem szarych oczu, dziwnie niepasujących do reszty twarzy.

– Niezbyt długo w Legii Grombelardzkiej, co? – zagadnęła. – Ale dwaj tacy na warcie to jakiś nowy obyczaj. Przynajmniej jeden powinien być doświadczony i starszy.

Żołnierze znowu wymienili spojrzenia.

– Chcę zobaczyć się z komendantem – powtórzyła kobieta. – Zameldujcie o tym komu trzeba.

Wyższy żołnierz wzruszył ramionami, lecz skierował się ku niewielkim drzwiom w skrzydle bramy.

– Miej na nią oko – rzekł jeszcze po grombelardzku do swego towarzysza; wojskowy, a więc zapewne nielegalnie zdobyty ekwipunek przybyłej nie wzbudzał zaufania.

Wartownik przechadzał się powoli wzdłuż bramy, czasem zerkając badawczo. Kobieta była młoda, miała regularne rysy twarzy; byłaby nawet ładna, gdyby nie dziwny wyraz tych ołowianoszarych oczu.

– To może potrwać – uprzedził. – Trzeba najpierw...

– Wiem – przerwała. – Najpierw do oficera służbowego.

Wzruszył ramionami i kontynuował swój spacer.

– Skąd pochodzisz? – zapytał i zaraz, jakby przewidując, że mu nie odpowie, dorzucił: – Nie mówisz po grombelardzku, a tutaj mało kto zna kinen. Będziesz miała kłopoty ze zdobyciem noclegu...

– Kończysz służbę i masz dzisiaj wolne, więc chętnie zakisiłbyś ogórka – dopowiedziała w jego języku, wydymając wargi. – Od kiedy to w Badorze mało kto zna kinen?

Zamilkł i poczerwieniał nieco.

Minęło jeszcze sporo czasu, nim wyższy wartownik wrócił w towarzystwie podsetnika.

– Do komendanta? – zapytał krótko oficer. – Kto i w jakiej sprawie?

– Skąd was takich nabrali? – zdziwiła się nie na żarty; odwykła od żołnierzy (a cóż dopiero oficerów!), którzy nie umieli jej rozpoznać. Ten tutaj na pewno nie był wychowankiem badorskiego garnizonu. – Skąd przeniesiony, z Londu? Tak, do komendanta.

– W jakiej sprawie?

Rozejrzała się dokoła, szukając chyba świadków wojskowej tępoty.

– Zaraz narobię kłopotów – ostrzegła. – Naprawdę, czyżbym prosiła o audiencję u cesarza? Jestem Armektanką Czystej Krwi. Chcę mówić z tysięcznikiem Argemem. Koniec. Maszeruj, podsetniku, do swojego dowódcy.

– Twoja Czysta Krew, wasza godność – zatytułował ją z wyraźną kpiną – nie budzi zaufania. Czy jesteś rozbójniczką?

W niesamowitych oczach przybyłej zamigotał długo wstrzymywany gniew.

– Co za dureń – powiedziała przez zęby.

Postąpiła krok naprzód i walnęła niższego wartownika kolaniem między uda, po czym cofnęła się natychmiast i ruchem tak płynnym, że aż łagodnym, uniosła nogę na wysokość szczęki drugiego. Nie było w tym wysiłku, lecz obrót całego ciała z wielką szybkością powiódł jej stopę po okręgu – i żołnierz zaryczał głucho, chwytając się za wybitą z zawiasów żuchwę. Podsetnik chciał dobyć miecza, lecz skrzyżowanymi w nadgarstkach rękami chwyciła go za mundurową tunikę przy szyi i zaczęła ciągnąć dłonie na zewnątrz, aż oczy oficera wyszły z orbit. Próbował oderwać jej ręce, ale były jak odlane z żelaza. Puściła podduszonego, pchnęła silnie i raz jeszcze zakręciła się wokół własnej osi, powalając go kopnięciem w głowę, które zabolaloby niedźwiedzia. Wartownik podtrzymał rękami przetrąconą szczękę, roniąc łzy bólu i jęcząc; drugi prostował się, więc z całej siły walnęła go piętą w stopę, aż zaryczał i usiadł. Zostawiła pokonane wojsko przed bramą, otworzyła małe drzwi i weszła na teren garnizonu.

Na dziedzińcu kręciło się sporo żołnierzy, ale nikt jej nie zatrzymał, bo skoro przepuściła ją warta przy bramie... Zresztą przemknęła bokiem; wiedziała, którędy i dokąd ma iść. Po chwili forsowała stopnie wiodące do niezbyt obszernego budynku. W sali odpraw siedział na ławie pod ścianą wartownik.

– Tysięcznik u siebie? – zapytała. – Przysłał mnie oficer służbowy, melduj komendantowi, no już!

Machinalnie skinął głową i spełnił żądanie. Jednak gdy tylko przekroczył próg pomieszczenia, wparadowała tam za nim.

Na szerokim blacie leżały jakieś dokumenty. Siedzący za stołem pięćdziesięciodwuletni mężczyzna, z piórem w jednej i baranią łopatką w drugiej ręce, uniósł zdziwioną twarz. Przez chwilę patrzył jej w oczy, słuchając chaotycznych wyjaśnień wartownika, po czym odprawił go skinieniem. Wrzucił łopatkę do stojącej obok miski i sięgnął po kubek z winem.

– Co to za wrzaski za oknem? – zapytał.

– Nie chcieli mnie wpuścić – wyjaśniła. – Na warcie przy bramie stały dzieci, a oficer to jakiś nowy.

Rzucił nieprzychylnie spojrzenie, odstawił kubek i wstał.

– Czekać – rzekł, wychodząc.

Rozejrzała się po izbie.

Wszystko tu było jak dawniej, jak kilka lat temu, gdy przysłano ją z Armektu, by szkoliła w Grombelardzie łuczników. Dziś już wiedziała,

jak kiepskim była wtedy żołnierzem. Fatalnym oficerem.

Krzyki za oknem ucichły. Usłyszała spokojny, surowy głos tysięcznika. Uśmiechnęła się, odpięła pas z mieczem i ściągnęła oponkę. W kominku płonął ogień; w izbie było prawie gorąco.

Trzasnęły drzwi.

– Chciałbym się dowiedzieć – zażądał ze zwykłym spokojem – co to wszystko ma znaczyć?

Odwróciła się ku niemu, wyprostowana, z szacunkiem.

– Tak, panie! – powiedziała.

Po raz pierwszy w życiu ujrzała na twarzy dawnego dowódcy coś w rodzaju uśmiechu.

o o o

W zamyśleniu smakowała znakomite wino. W górach zdążyła już odwyknąć od takich napojów. W gospodach piła piwo, w bukłaku miała wódkę. Teraz smak szlachetnego trunku przypominał o wielu, bardzo wielu utraconych rzeczach. Kojarzył się z domem. Z delikatnym dotykiem sukni. Blaskiem świec, płonących w lichtarzach, cichym brzękiem bransolet... Gwarem zdawkowych rozmów.

– Dziwne – rzekł Argen.

– No dobrze, dziwne – powiedziała z westchnieniem, wyrwana z miłego świata wspomnień. – Cóż ja na to poradzę? Sępy wielokrotnie napadały na ludzi... – Urwała, przygryzając wargi.

– Napadały? Rzadko. Nie słyszałem. Zresztą nawet nie to mnie dziwi, że napadły, tylko że pojechały. Nigdy tego nie robią. Zwykle wystarcza... – Zawahał się, widząc zmarszczkę na jej czole.

– Oślepienie pokonanego – dokończyła ponuro. – Ale teraz jest inaczej.

Argen powoli spacerował po izbie.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć?

Nachmurzyła się jeszcze bardziej.

– A dlaczego miałabym kłamać?

Milczał.

– Sępy odebrały mi wzrok – powiedziała dobitnie. – Znasz przecież tę historię i nie muszę jej opowiadać. Żołnierz z tego garnizonu oddał mi swoje oczy, a największy z Przyjętych został odtrącony przez Pasma, gdy przekazał jego dar. Winna coś jestem sępom. I spłacam dług bardzo sumiennie.

Zadziornie spojrzała mu w twarz.

– To był twój żołnierz, komendancie. I, o ile wiem, dobry żołnierz. Więc może tylko mi się zdaje, że i ty masz jakiś dług wobec sępów?

Argen wytrzymał spojrzenie.

– Nie jestem tu po to, by się mścić – rzekł spokojnie. – Podsetniczka

legii, która odeszła ze służby bez prawa do zachowania stopnia, może sobie na to pozwolić, choć uważam, że i ona nie powinna. Ale jednak wolno ci krążyć po górach i tępić wszystko, co lata, choć tego nie pochwalam. To ciebie nazywają Base-Krehiri, zgaduję? – zapytał z niezwykłym u niego sarkazmem. – Jakim cudem co druga istota biegająca po wertepach jest tu zaraz „królem” albo „księciem”?

Królowa Gór... Istotnie, gdzieniegdzie tak ją zwano.

– Nie ja wymyśliłam to miano – odparła ze złością. – Częściej jeszcze zapewne słyszałeś o Łowczyni. Zresztą mniejsza o nazwiska, komendancie. I mniejsza nawet o zemstę. Przyszłam, myśląc, że obchodzi cię los sześciu ludzi w zielonych tunikach Legii Grombelardzkiej. Pomyliłam się i żałuję.

Wstała.

– Jedna dobra rada – rzekła jeszcze, nie kryjąc rozdrażnienia. – Żółtodziobom trzeba przydawać doświadczonych żołnierzy. Jeśli cały ten patrol składał się z takich chłopców jak ci, którzy wartują przed bramą, no to masz odpowiedź, komendancie, dlaczego wpakowali się w tarapaty.

– Nie pouczaj mnie. Siadaj.

Podszedł do okna i otworzył je. Do izby wtargnęło chłodne powietrze.

– Siadaj, mówię. Jeszcze raz, po kolei.

Wzięła oddech.

– Jest miejsce, niezbyt daleko, parę mil na wschód od Ladory, które nazywają Czarnym Lasem. Karłowaty las skamieniałych drzew, jest mnóstwo legend o powstaniu tego miejsca. Drzewa i skały są rzeczywiście czarne, więc łatwo zrozumieć, skąd wzięła się nazwa...

– Dalej.

– Ostatnio ten teren zajęło duże stado sępów. Wiem, że są tam trzymani twoi żołnierze.

– Związani? Zamknięci?

Popatrzyła ciężko.

– Człowiek pozostający we władzy sępich oczu nie musi być związany. Po prostu jest posłuszny. Znam w Badorze kilku ludzi, którym sępy wydłubały oczy. Każ odszukać któregoś z nich i zapytaj, jeśli mi nie wierzysz.

Argen w zamyśleniu pocierał czoło dłonią.

– Wiem, gdzie jest to miejsce. Prawie trzy dni drogi stąd, bliżej Grombu niż Badoru. Nie dość, że jest to teren sporny między okręgami, to jeszcze nic tam nie ma. Żadnych wiosek ani nawet, o ile mi wiadomo, żadnych zbójceckich sadyb, choćby tymczasowych. Wyłumacz mi, co mój patrol robił w tamtej okolicy?

– Mnie pytasz, panie?

Patrzył badawczo i znów ujrzała nieufność na jego twarzy.

– Może ścigali kogoś? – podsunęła. – Czy to był rutynowy patrol?

Nie odpowiedział.

– No dobrze – mruknął po chwili. – Rozumiem, że masz jakiś plan?

Uniosła do ust kubek z winem.

– Za trzy dni jest pełnia księżyca. W dniu poprzedzającym pełnię sępy nie latają. Myślę, że to jest jakaś ich tradycja czy obyczaj. Chociaż Dorlan mówi, że obyczaje sępów odnoszą się do Pasm Szerni i służą zgłębianiu Praw Całości. Ale nie wie, w jaki sposób, a to znaczy, że nie wie nikt w całym Szererze.

– Dorlan? Mędrzec Szerni? Co cię teraz z nim łączy?

– To moja sprawa. Już nie jest mędrce Szerni. Mam opowiadać o Dorlanie?

– Nigdy o tym nie słyszałem. O takim obyczaju. Że przed pełnią sępy nie latają.

– Ile razy widziałeś sępa, panie?

Zmarszczył brwi.

– Tylko raz – przyznał niechętnie.

– I był pewnie bardzo wysoko – powiedziała z politowaniem, prawie obraźliwym. – Możesz kpić sobie, komendancie, z Królowej Gór, ale biegam po nich od lat i o górach, sępach, rozbójnikach, deszczach i całym tym waszym paskudnym kraju wiem więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

– Dalej.

– To wszystko. Potrzebuję dziesięciu łuczników.

– Mam dwóch. Kiepskich. Przysłano tu kiedyś oddział nauczycielek strzelania, ale nauczyły żołnierzy tylko tego, jak majstruje się dzieci.

Dość miała jego sarkazmu. Udała, że nie słyszy.

– Więc oprócz tych dwóch łuczników chcę jeszcze dziesięciu kuszników – powiedziała.

Skinął głową.

– W dniu przed pełnią sępy nie latają – powtórzyła. – Zdołamy niepostrzeżenie przeniknąć w pobliże Czarnego Lasu. W nocy zapuścimy się między drzewa i otoczmy ich siedlisko. Raczej nas nie usłyszą. O świcie trzeba będzie tylko szybko i celnie strzelać. Połowę tej roboty wykonam sama.

Znów miał na języku jakieś cięte słówko, ale tylko skinął głową. Była kiedyś kiepskim oficerem – lecz strzelać potrafiła znakomicie. Widział to.

– Prosty plan, trudno mu coś zarzucić – mruknął. – Ile ich jest?

– Pięć, sześć. Może siedem.

– Czarny Las to szmat ziemi. Jak chcesz tam odnaleźć ich siedlisko? Na dodatek w nocy?

– Nie muszę odnajdywać. Wiem, gdzie jest.

Widząc pytające spojrzenie, wyjaśniła:

– Byłam tam.

Powstała nagle, podciągając kaftan. Odwróciła się, ukazując plecy. Widniały na nich świeże jeszcze, głębokie ślady szponów.

– Ale sama nie dałam rady. Zmniejszyłam tylko liczebność stada.

Patrząc na rany, zapytał:

– Byłaś tam z powodu moich żołnierzy?

Opuściła kaftan.

– Raczej z powodu swego długu – powiedziała szczerze. – Chociaż zawsze pomogę człowiekowi, któremu zagroził sęp. A jeśli będzie za późno na pomoc, to go pomszczę. Będę się starała.

– Nie wyniosą się stamtąd, wiedząc, że je odkryto?

– Może się wyniosą. Któż to wie, co zrobi sęp?

– Nawet ty? Która o sępach, deszczach i całym tym kraju wiesz więcej, niż mogę sobie wyobrazić?

– Zwłaszcza ja. Polowanie na sępy nauczyło mnie jednego: pokory. Tak, wiem coś, czego ty nie wiesz, panie. Wiem lepiej niż ktokolwiek na świecie, jak mało o sępach wiemy. Właściwie to mamy tylko swoje wyobrażenia.

Jeszcze raz podszedł do okna.

– Nie możesz tutaj nocować, przyjdź jutro o świcie. Jeszcze dziś wyznaczę ludzi.

ROZDZIAŁ 2



Był ranek – pochmurny i zimny, jak zwykle w Ciężkich Górach. Podkowy ostro szczękały na bruku głównej ulicy. Muły dyszały parą. Kilkunastoosobowy oddział w milczeniu zdążył ku północnej bramie miasta. Od bramy ciągnął się szlak, wiodący aż do Grombu, Rahgaru i Londu. Jedyna droga przez góry, wiodąca z południa na północ.

Prowadził oddział Argen, mając tuż za sobą łuczniczkę. Siedziała w siodle po męsku, na sposób armektański: skrócone strzemiona wysoko uniosły jej kolana. Żołnierze pokpiwali po cichu z tej dość niestabilnej pozycji, ale szybko się okazało, że dziewczyna powoduje koniem równie sprawnie, jak oni swymi mułami, więc strawy dla żartów zabrakło. Poza tym dosiadała naprawdę dobrego górskiego wierzchowca i okazało się, że to jest jej własny koń. Ta kobieta Czystej Krwi nie była wcale uboga; żołnierzom trochę imponowało, że ktoś taki ma zachciankę przemierzać Ciężkie Góry i potrafi w nich sobie radzić. Nawet Argen był trochę zdziwiony, gdy rano zobaczył łuczniczkę w siodle, bo już kazał wybrać dla niej wojskowego muła.

„Nie trzeba” – rzekła obojętnie. „Trzymam tu bydłę w miejskiej stajni, a drugie w Grombie, bo czasem schodzę z gór i chcę szybko przemierzyć szlak. Ale nie opłaca się i chyba sprzedam”.

Prawdopodobnie w zamian za utrzymanie pozwalała właścicielowi stajni wynajmować zwierzęta podróżnym.

Wieczorem, gdy Argen wyznaczał ludzi mających wziąć udział w wyprawie, okazało się, że chętnych jest wielu – więcej, niż potrzebował. Wśród żołnierzy rozeszły się już słuchy o niezwykłej bójce przed bramą garnizonu, a nazwisko Łowczyni było doskonale wszystkim znane; nieszczęśni młodzi wojacy, których poturbowała, nie mogli się opędzić od bezlitosnych docinków. Ponadto monotonia ulicznych patroli, okraszona szarpaniną z drobnymi łapserdakami, zawsze dawała się żołnierzom we znaki; niemal każdy wolał patrolować góry niż ulice miasta.

Co prawda tym razem nie chodziło o zwykły patrol. Miała to być raczej karna wyprawa, choć podjęta nie przeciw rozbójniczej bandzie.

Lecz wieść, że tym razem przeciwnikiem będą sępy, sprawiała, iż tym bardziej palono się do wymarszu. Rozbójnicy byli ludźmi. Sępy – sępami... I komendant Argen musiał odprawić blisko połowę ochotników chcących ruszyć na „polowanie”.

Trudno pojąć, dlaczego tak ogromną niechęć żywiono do trzeciego z rozumnych gatunków Szereru, najmniej licznego, niekonkurującego z człowiekiem na żadnym polu. Obecność sępów w najdzikszych partiach gór nikomu nie mogła przeszkadzać. Ale i na odwrót – zabłąkany wędrowiec nie stanowił zagrożenia dla stada, osiadłego na jakimś terytorium. O co więc toczono boje?

Nie wiadomo. Lecz вина była obustronna, bo defensywna postawa sępów nie wynikała bynajmniej z ich pokojowej natury, ale ze słabości. Liczba stad w górach zawsze była niewielka, nawet wtedy, gdy skrzydlaci padlinożercy byli jeszcze tylko ptakami. Odkąd Szerń darowała im rozum, gatunek zaczął wymierać, i to nie z powodu wrogości człowieka. Przedziwne obyczaje i obrzędy sępów, które znało niewielu, a już nikt nie potrafił zrozumieć, powodowały powolną agonię gatunku. Dziesiątki praw mówiły o łączeniu się w pary, o zakładaniu gniazd... Część potomstwa z jakichś przyczyn mordowano. Sępów ubywało; sięgająca stu pięćdziesięciu lat długowieczność niewiele mogła tu pomóc.

Oddział przejechał przez bramę i niemal natychmiast skręcił na wschód. Nierówna ścieżka, okrzyknięta gromko traktem, wiodła ostrymi zakosami na szczyt masywnego grzbietu, górującego nad miastem.

Jechano gęsiego.

Grzbiet osiągnęli koło południa. Ścieżka, która nań prowadziła, stała się nieco szersza i niemal wygodna – biegła dalej, niczym gigantyczny kręgosłup, na północ. Mieli trzymać się szlaku do wieczora. I to była najłatwiejsza część drogi.

Posilono się w siodłach. Niezbyt silny, jednostajny wiatr – Oddech Gór, jak go tu nazywano – wiał w twarze.

Armektanka jechała pogrążona we własnych myślach, co jakiś czas obrzucając spojrzeniem wiodącego oddział Argena. Nurtowało ją pytanie, czemu ta niewielka wyprawa zawdzięcza osobiste dowództwo komendanta garnizonu. Czemuż to uznał, że musi wziąć w niej udział? W prowincjach komendanci okręgów miejskich byli osobami postawionymi niezwykle wysoko, ale dzielili władzę z cesarskimi urzędnikami i różnymi radami miejskimi. Lecz w Badorze, który podobnie jak inne grombelardzkie miasta, miał status stolicy okręgu wojskowego, nie miejskiego, Argen nie podlegał nikomu, liczyć się zaś musiał co najwyżej z urzędnikami Trybunału Imperialnego, a dalej z naczelnym dowódcą Legii Grombelardzkiej i samym Księciem Przedstawicielem Cesarza w Grombie. Ktoś taki prowadził teraz

kilkunastu żołnierzy w dzikie góry...

Gdy ujrzała go rano, z kuszą na plecach i gwardyjskim mieczem przy boku, w narzuconym na kolczugę prostym wojskowym płaszczu, bez białej tuniki tysięcznika legii, w której zwykle paradował, wydał się jej jakimś przebierańcem. Ten szpakowaty, starzejący się powoli, od lat zakopany w raportach i regulaminach mężczyzna – wyruszał w góry. Nigdy nie widziała go z bronią. Nigdy też, nawet w czasach, gdy służyła pod jego komendą, nie zdarzyło się, by prowadził jakiś patrol czy wyprawę. Dlatego teraz nie bardzo chciała wierzyć, że w razie potrzeby będzie umiał zrobić użytek z broni, którą dźwigał. Dlaczego uparł się wziąć udział w awanturze z sępami?

To proste: nie ufał jej.

Uśmiechnęła się nieznacznie, trochę gniewnie, lecz zarazem z czymś w rodzaju niechętnego uznania.

Było jeszcze widno, gdy zatrzymali się na nocleg. Stanęli nieopodal traktu, na poboczu – tak by strażę mogły mieć na oku wszelkich wędrowców, zwabionych smużką dymu z ogniska. Dyktowała to ostrożność – chociaż może raczej rutyna, bo na trakcie między Badorem a Grombem stosunkowo silnemu oddziałowi żołnierzy na pewno nic nie groziło.

Wiążąc naderwany rzemień kolczanu, Łowczyni patrzyła, jak żołnierze sprawnie krzątają się przy koniach, inni rozpalają ogień z drewna, które trzeba było wieźć aż z Badoru. Dziesiątnik i jeden legionista rozpakowywali juki. Dziesiątnik twarz miał przewiązaną w poprzek czarną chustą. Zgadywała, że stracił nos w walce; mógł dokonać tego miecz rozbójnika.

Człowiek ten rzucał na nią częste spojrzenia. Zostawił juki i podszedł do głazu, na którym siedziała.

– Nie poznajesz mnie, pani?

Zmarszczyła lekko brwi.

– Pewnie dlatego... – Dotknął opaski na twarzy. – Zresztą nikt nie pamięta prostych żołnierzy, a minęło już sporo lat. Byłem kiedyś pod twoją komendą, pani. Razem z Bargiem.

Mignęło jej przed oczami przerażająco wyraźne wspomnienie: leżący na ziemi żołnierz z czerwonymi jamami zamiast oczu; pochylony nad nim legionista w zielonej tunice... W spojrzeniu legionisty była groza i żal. Teraz znad czarnej chustki patrzyły na nią te same oczy.

– Wtedy sami sprowadziliśmy na siebie nieszczęście – powiedział.

Nie była to prawda. Nieszczęście sprowadziła ona, ich dowódczyni.

– A teraz, jak tylko usłyszałem – ciągnął żołnierz – że idziemy ratować naszych i że przeciw sępom, zgłosiłem się od razu. To dobrze... to jest właściwe, pani. Ja chcę powiedzieć, że nikt z nas nigdy nie winił cię za tamto. Ale teraz to jednak dobrze, podsetniczko, że prowadzisz nas

przeciw sępom, a naszym na ratunek.

Powściągnęła gorzko-drwiący uśmiech. Nikt jej nie winił... ale jednak dobrze, że zamierzała spłacić dług.

– Nie jestem już podsetniczką. I nie jestem tą dziewczyną, która wtedy prowadziła was w góry, nic o nich nie wiedząc – powiedziała.

– Wiem, pani. Jesteś bardzo sławna...

– Ta sława bierze się głównie z bajek i wymysłów – przerwała trochę zbyt ostro. – Mówią na mnie Łowczyni. I cała prawda kryje się w tym przydomku, legionisto. Nie wierz, gdy słyszysz o mnie coś, co nie pokrywa się ze znaczeniem tego słowa. Łowczyni! Jestem tępiciełką sępów, nikim więcej. Rozumiesz?

– Tak, pani.

Nie, nie rozumiał. Zresztą... co miał zrozumieć? Co właściwie chciała mu powiedzieć?

Skinęła głową. Żołnierz oddalił się.

Niewielkie ognisko przytłumiono, gdy tylko posiłek był gotów. Obozowisko powoli tonęło w gęstniejących ciemnościach, lecz małe czerwone płomyczki wabiły spojrzenia. Żołnierze niespiesznie pili gorący wywar z drewnianych kubków. Ktoś poszedł z kociołkiem do wartowników. Do gorących posiłków przywiązywano w górach dużą wagę.

Jeden z legionistów zaczął cicho śpiewać starą żołnierską piosenkę. Podparły go inne głosy. Ci ludzie bardzo rzadko mogli sobie pozwolić na korzystanie z nielicznych uroków wojskowego biwaku. Dalej w górach zarówno obozowe ogniska, jak i śpiewy były nie do pomyślenia. Mogłyby zwabić wroga. Lecz na trakcie między dwoma najsilniejszymi garnizonami Grombelardu banda rozbójników nie mogła się panoszyć.

Gdy piosenka dobiegła końca, zaraz rozbrzmiała inna. Żołnierzom, którzy przed chwilą śpiewali o trudach życia w garnizonie, przypomniano nagle o czymś innym... Gdzieś w mroku oparta o skałę kobieta śpiewała swym niskim, lekko schrypniętym głosem słowa, które doskonale do głosu pasowały. Była tam mowa o krzywdzie, zemście i śmierci. Ponura pieśń górskich rozbójników, stara jak sam Grombelard. Przypominała o surowych prawach gór, w imię których orężni ludzie, w mundurach i bez mundurów, przemierzali bezdroża, nierzadko tracąc na nich życie.

Ktoś nieśmiało zawtórował dziewczynie, ale zaraz umilkł, zerkając na dowódcę; żołnierzom nie wypadało tego śpiewać. Lecz inny legionista, odważniejszy lub po prostu mający mniej wyczucia, zaśpiewał głośniejsze – i po chwili tysiącnic Argen słuchał kilkunastu męskich głosów, prowadzonych przez głos kobiety. Wszyscy znali tę pieśń; wszyscy ją rozumieli i uważali, że mówi samą prawdę. Może jedyną wspólną prawdę, którą mogły przyjąć wszystkie istoty

przemierzające szlaki Ciężkich Gór.

o o o

Trzeciego dnia wędrówki zjechali w obszerną dolinę, między lustra dwóch dużych stawów. Od czasu gdy porzucili trakt, wierzchowce były w równej mierze pomocą i kłopotem. Czasem trzeba było prowadzić je za uzdy, zdarzały się jednak odcinki, gdzie jazda była możliwa. W dolinie, po zejściu na jej dno, muły raz jeszcze okazały się przydatne. Na krótko – bo po ominięciu mniejszego stawu jeźdźcy natknęli się na teren niezwykle trudny, usiany skalnymi złomami. Rozłożono obóz i po krótkiej przerwie na posiłek rozdzielono część bagaży, wiezionych dotąd w jukach. W dolinie, przy zwierzętach, zostać miało dwóch ludzi. Reszta oddziału ruszyła dalej pieszo, prowadzona przez tysięcznika.

Łowczyni wciąż uważnie, chociaż dyskretnie, obserwowała Argena, powoli zmieniając o nim zdanie. Miniony dzień to już nie była wygodna jazda po drodze. Jednak komendant prowadził oddział spokojnie i pewnie. Zdziwiła się, widząc, że zupełnie nieźle zna szlaki w górach. Był to najlepszy dowód, że nie całe życie spędził nad raportami, z piórem w dłoni. Miała przed sobą weterana – starego żołnierza, który musiał kiedyś osobiście wodzić patrole po bezdrożach.

Właściwie nie było w tym nic dziwnego. Armekańscy wojskowi – a z nimi wszyscy inni w prowincjach – bardzo poważnie traktowali służbę; sama przecież wiedziała doskonale, że nikt nie rodzi się oficerem. Do najwyższych godności i stopni wiodła w imperialnych legiach tylko jedna droga: od prostego żołnierza, stojącego na warcie przed bramą. Pewnie, że urodzenie czyniło tę drogę krótszą i znacznie łatwiejszą... Nie każdy biegał po górach albo galopował po równinach, wielu nie wytknęło nosa poza mury swojego miasta.

Obserwując tysięcznika Argena, zyskała pewność, że ten człowiek uczciwie zapracował na swoją białą tunikę. Trudy dwudniowego marszu nie odcisnęły na nim większego piętna niż na którymkolwiek z żołnierzy. Od pewnego czasu wspinali się na nieprzyjazne, strome zbocze doliny – i dopiero to odsłoniło pewien brak gibkości u niemłodego już w końcu komendanta. Lecz potrafił nadrobić jej brak, bo oceniła, że był człowiekiem naprawdę wytrzymałym, a do tego niepospolicie silnym.

Odkryła nagle z niejakim zdziwieniem i zakłopotaniem, że zaczyna widzieć w nim mężczyznę... Przystojnego, bez dwóch zdań. Dużego i silnego. To nie był chłopiec na warcie.

– Dlaczego taki nigdy mi nie powie, że słabo znam grombelardzki? – mruknęła do siebie. – Mógłby udzielić paru lekcji.

Uciekła od niewczesnych pomysłów, wysuwając się na czoło oddziału.

– Pozwól mi, komendancie – powiedziała. – Prowadzisz bardzo dobrze, ale ja tutaj mieszkam. Znam każdy kamień.

Nie do końca było to prawdą, bo w okolicach Ladory i Czarnego Lasu bywała rzadko. Ale przecież częściej niż Argen.

Pokazał, żeby szła przodem. Począł, aż miną go żołnierze, chciał teraz zamykać pochód. Zauważył, że legionistom imponowała wytrwałość i odporność Łowczyni. Radziła sobie jak górską kozica; przekonywano się, że półlegendarne opowieści o tej kobiecie zawierały prawdę. Odkąd objęła prowadzenie, myślała już tylko o tym, co robi. Kilka razy przystawała, wybierając spojrzeniem drogę, zostawała z tyłu, a potem bez wysiłku i oznak zmęczenia doganiała oddział, znowu wysuwając się na czoło.

Byli już prawie u kresu wspinaczki, gdy znów pozwoliła się wyprzedzić. Wkrótce usłyszano jej ciche wołanie. Mierzyła wzrokiem odległość od skalnej grani, ku której dążyli.

– Tutaj się zatrzymamy – powiedziała, podchodząc do tysięcznika. – W tym miejscu nie zdołają nas wypatrzeć. Musimy poczekać do zmroku.

Argen popatrzył badawczo.

– Podobno przed pełnią sępy nie latają – zauważył.

– Co nie znaczy, że ślepną – odparowała złośliwie. – Zaraz za tym grzbietem, na przeciwległym stoku, rozciąga się Czarny Las. Sępy zawsze pilnują swojego terytorium. Oczywiście, że dziś nie latają. Gdyby latały, już dawno bylibyśmy śledzeni z powietrza. Dalej jednak posunąć się nie możemy. Na tej grani będziemy widoczni jak na stole.

Stojący obok żołnierz ze zdumieniem spoglądał na drogę, którą jeszcze mieli przebyć, by osiągnąć grzbiet.

– Przed nami najgorszy kawałek – powiedział, zapominając, że nie powinien się wtrącać do rozmowy prowadzonej przez dowódcę. – Chcesz powiedzieć, pani, że będziemy wspinać się tędy po ciemku?

Przytaknęła kpiąco.

– Tam jest skalny żleb, stąd nie bardzo widać – wytłumaczyła. – Poprowadzi nas.

– Moglibyśmy zatrzymać się tuż pod granią, trochę wyżej.

– Czyli gdzie?

Żołnierz popatrzył na stok.

– Widzisz tam jakieś miejsce, gdzie kilkunastu ludzi zmieści się bez kłopotów? – pytała. – Chcesz czekać do wieczora, kurczowo trzymając się ściany?

– Wystarczy – uciął Argen. – Zatrzymamy się tutaj.

Żołnierze poskładali bagaże na kamieniach. Armektanka przewiązała czoło skórzaną opaską, upychając pod nią warkocze, by nie majtały się na plecach. Wyglądała jak straszycło. Odłożyła na bok łuk i strzały, odczepiła od pasa pochwę z mieczem i skinęła głową.

– Pójdę się rozejrzeć – oznajmiła krótko.

Argen rzucił kilka słów do żołnierzy. Beznosy dziesiętnik natychmiast podniósł się z ziemi.

– To dla bezpieczeństwa. Nie chcę, by coś ci się przytrafiło, nikt z nas nie ma pojęcia, gdzie trzymani są jeńcy.

– Bzdura. Nie potrzebuję niczyjego towarzystwa – powiedziała niechętnie.

– Lecz otrzymasz je.

– Wasza godność, nie ufasz mi?

– Tyle o ile – rzekł otwarcie. – Ale teraz myślę o twoim bezpieczeństwie, przede wszystkim o tym. Po górach nie łązi się samotnie.

– Zawsze łązę samotnie.

– Ale dzisiaj nie będziesz.

Zdenerwowała się.

– Nie potrzebuję i nie chcę opieki! – powiedziała. – Nie jestem twoją podkomendną, wasza godność!

Argen uniósł lekko brwi – i zrozumiała, że zdania nie zmieni. Już choćby ze względu na obecność żołnierzy, słuchających gorszącej sprzeczki.

Obrzuciła spojrzeniem dziesiętnika.

– No to chodź! – powiedziała z jadowitą babską złością.

W odległości kilkuset kroków wznosiła się stroma, prawie pionowa ściana, sięgająca samej grani. Para zwiadowców ruszyła w tamtym kierunku. Obserwowano ich, lecz dopiero po pewnym czasie stało się oczywiste, że łuczniczka obrała tę ścianę za swój cel. Legioniści jęli spoglądać po sobie, pojmując z wolna, że będą świadkami zdumiewającego pojedynku, jaki rozegra się za chwilę między Armektanką a ich najlepszym zwiadowcą.

Argen też to odgadł.

– Zatrzymać ich! – polecił, wyznaczając gestem dwóch żołnierzy. – Ty i ty! Szybko, tylko bez wrzasków.

Żołnierze natychmiast ruszyli śladem pierwszej pary. Rychło stało się jasne, że ich szanse są bardzo niewielkie. Łuczniczka znakomicie umiała wybierać drogę; tam gdzie ona i jej towarzysz posuwali się do przodu dość łatwo, posłani za nimi żołnierze rozpaczliwie czepiali się skał, usiłując utrzymać się na stromym zboczu.

Argen bezradnie patrzył, jak Armektanka i jego dziesiętnik docierają do podnóża ściany i rozpoczynają wspinaczkę.

Zgromadzeni wokół dowódcy żołnierze jak zaczarowani oglądali niesamowite, karkołomne popisy kobiety. Łowczyni pokonywała ścianę w tempie graniczącym z niemożliwością. Jej towarzysz desperacko i mozolnie piął się w górę, radząc sobie wcale nieźle, ale nie mogąc

nawet marzyć o utrzymaniu tempa narzuconego przez towarzyszkę.

Niesamowity wyścig trwał i trwał. Legioniści wstrzymali oddech, widząc, jak dziewczyna forsuje przewieszkę. Przez chwilę kołysała się z nogami nad przepaścią, potem podciągnęła z łatwością, która dawała wyobrażenie o sile jej ramion. Zadarła nogę w bok, tak wysoko, że zdawało się to niemożliwe, zaczepiła stopę o jakiś drobny występ i jednym rzutem ciała posunęła się wyżej. Przez krótką chwilę leżała płasko na skale, czekając na idącego za nią żołnierza, a może tylko odpoczywając. Potem ruszyła dalej.

Nikt nie zauważył momentu, gdy dziesiętnik odpadł od ściany. Ujrzano lecącego w dół człowieka, lecz nie rozległo się wołanie o pomoc. Głuchy łomot uderzającego o kamienie ciała zmieszał się z krzykiem patrzących na to legionistów.

Wszyscy bez wyjątku rzucili się do podnóża ściany, gdzie doszło do tragedii. Argen ruszył z innymi, nie próbując zatrzymać podkomendnych. Gdy dotarli na miejsce, dwaj żołnierze wysłani w ślad za pierwszą parą pochylali się nad nieruchomym dziesiętnikiem.

– Żyje – rzekł jeden. – Wołaliśmy, żeby wracał, ale on nie słyszał. Albo nie chciał.

Argen przyklęknął obok funkcyjnego. Z ust i spod czarnej chusty płynęła krew.

– Połamał zębra i nogi – powiedział drugi żołnierz. – Może i coś popękało mu w środku... Strasznie spadł.

Tysięcznik wstał powoli.

Musieli trochę poczekać, aż Armektanka zejdzie ze ściany i stanie u jej podnóża.

– Nie chciałam tego – powiedziała. – Przysięgam, że... ja myślałam, że on zawróci. Przecież ja... nie znam nikogo, kto mógłby wejść na tę ścianę razem ze mną.

Argen zgrzytnął zębami. Żołnierze patrzyli ze strachem, jak krew napływa do twarzy ich zawsze spokojnego dowódcy. Podszedł do łuczniczki i pchnął ją tak, że wpadła na skalny mur.

– Słuchaj mnie, suko – rzekł ochryple. – Jesteś jak zaraza, zabijasz ludzi samym oddechem. Znowu przez twoją głupotę tracę dobrego legionistę. Wtedy straciłem dwóch, z których jeden tak samo połamał sobie kości... Pilnuj się, bym już nigdy nie stracił przez ciebie żadnego żołnierza. Bo wtedy, Królowo Gór... wyczerpie się moja cierpliwość.

Raz jeszcze zrobił ruch, jakby chciał ją popchnąć, ale uniósł tylko palec w geście groźby, odwrócił się i znów przysiadł przy umierającym.

ROZDZIAŁ 3



Ktoś musiał zostać przy rannym, więc tuż przed nastaniem zmroku już tylko osiem osób ruszyło ku celowi wyprawy.

Prowadziła łuczniczka. Żołnierze, pomagając sobie nawzajem, podążali jej śladem. Przed wymarszem wszyscy przewiązali się liną, i była to uzasadniona ostrożność. Będący przewodnikiem wspinaczki wąski, kamienisty żleb, głęboko werżnięty w zbocze, pełen był żwiru i okruchów zwietrzałej skały, które nie dawały dobrego oparcia stopom. Uciążliwość terenu i konieczność zachowania ciszy sprawiły, że tempo marszu było niezwykle powolne. Osiągnęli w końcu grzbiet, po cichu i bez wypadku, ale trwało to tak długo, że należało natychmiast ruszać dalej, by nadrobić stracony czas. Na odpoczynek, choćby krótki, nie mogli sobie pozwolić.

Posuwając się za milczącą przewodniczką, schodzili teraz ostrymi zakosami. Teren był bardzo łatwy, dość łagodne zbocze nie miało nic wspólnego z tym po drugiej stronie grzbietu. Dotarli prawie na miejsce: tuż przed nimi na stoku leżał, ciemniejszy niż zbocze i noc, Czarny Las.

Wkrótce minęli pierwsze drzewa.

Było to miejsce niesamowite za dnia, ale teraz, w nocy, wręcz upiorne. Powoli i ostrożnie przesuwali się między kamiennymi pniami, spoglądając niepewnie dokoła. Karłowate niby-dęby nisko nad ziemią wyciągały nieforemne, bezlistne konary, gdzieś trzeba było niemal pełzać. Objuczeni bronią żołnierze z trudem odnajdywali przejścia w koszmarnym labiryncie.

Powłoka chmur, zwykle okrywająca grombelardzkie niebo szczelnym całunem, rozdarła się nagle i na ziemię spłynął blask księżyca. Ale światło, miast udzielić tak potrzebnej pomocy, wypełniło las setkami dziwacznych, tajemniczych cieni, dezorientując ludzi już bez reszty. Jeden z żołnierzy zaczął kląć szeptem.

– Dalej! – ponagliła łuczniczka.

Zanurzali się w las coraz głębiej. Porośnięty martwymi pniami stok, na szczęście dość łagodny, zdawał się ciągnąć bez końca.

Dziewczyna przystanęła.

– To już niedaleko – rzekła cicho, podchodząc do Argena. – Duża polana, zavalona skalnymi złomami...

Zacisnęła dłoń na ramieniu komendanta.

– Muszę iść się rozejrzeć. Ale lepiej będzie, jeśli tym razem pójde sama, panie.

Milczał przez bardzo krótką chwilę.

– Idź – pozwolił.

Odwróciła się i zniknęła w płataninie konarów i cieni.

Żołnierze posiadali na ziemi, trzymając gotowe do strzału kusze i łuki. Wstrzymując oddech, próbowali wypatrzeć między pniami oznaki niebezpieczeństwa.

Cisza była przerażająca.

Prawdziwy las nigdy nie jest zupełnie cichy. Zawsze gdzieś w głębi trzaskają gałązki, szeleszczą liście, wiatr szumi w konarach drzew... Czasem rozbrzmiewa krzyk nocnego zwierzęcia. Wszystkie te dźwięki, choć brzmiące niesamowicie, świadczą jednak o tym, że las żyje...

Ale Czarny Las był martwy. Skończenie i całkowicie martwy, pogrążony w ciszy tysiącletniej śmierci.

Księżyc skrył się za chmurami, jednak tylko na chwilę. Wkrótce wyjrzał ponownie i wtedy przysłonił go olbrzymi cień. Załopotwały skrzydła. Przerażeni legioniści spoglądali na wielkiego ptaka, zataczającego kręgi nad ich głowami. Jęknęła cięciwa, sęp poderwał się i zaraz runął w dół. Ujrzeli Armektankę z łukiem w dłoni, przedzierającą się ku nim przez pajęczynę cieni. Gdzieś niedaleko trafiony sęp bił skrzydłami o kamienne pnie, miotając się w agonalnych drgawkach.

– Odkryły nas! – powiedziała głosem bardziej schrypniętym niż zwykle. – Polana jest opuszczona.

Spojrzała na trupio blade w księżycowej poświacie, śmiertelnie przerażone twarze i nagle parsknęła dzikim śmiechem. Mogło się wydawać, że pogubiła klepki.

– Cóż to, wojownicy? Trzeba będzie walczyć, ależ to zatrważające!

Żołnierze nieco oprzytomnieli.

– Prowadź – rozkazał Argen. – Potrafisz je odnaleźć?

– Same nas odnajdą! – rzekła, znowu chichocząc; komendant zyskiwał coraz większą pewność, że dziewczyna jest pomyłona. – Na polanę, szybko! Tam nas nie zaskoczą.

Poprowadziła; ruszyli za nią prawie biegiem. Wkrótce otwarła się przed nimi wolna przestrzeń. Zdyszani stali wokół skalnego rumowiska.

Gdzieś na skraju polany rozległ się krzyk żołnierza, który nie nadążył za grupą. Po tym krzyku usłyszeli niewyraźny, szczęśliwy głos, układający się w niezrozumiałe, monotonna powtarzane słowa. Dwaj żołnierze chcieli pobiec w tamtym kierunku, ale Argen zastąpił im drogę.

– Gdzie są moi ludzie? – zapytał, szukając wzrokiem łuczniczki.

Jej głos doleciał gdzieś z mroku:

– Jeńcy? Nie wiem, komendancie, tutaj już ich nie ma...

– Nigdy ich tutaj nie było! – rzekł z największym gniewem.

– Ech, byli – powiedziała, lecz miał niemal pewność, że kłamie; zresztą wszystko tu było kłamstwem, wiedział już prawie na pewno. – Byli, ale teraz ich nie ma, są tylko sępy... Tylko sępy i wy.

Zabrzmiało to tak, że żołnierzom zaczęły chodzić ciarki po plecach.

– Dziwka, przekłeta dziwka... – rzekł ktoś bezradnie, z gniewem.

– To największe stado, jakie w życiu widziałam, i muszę je dostać – powiedziała z innego miejsca i z jeszcze większej odległości niż poprzednio. – Naprawdę myślałam, że zdołamy je podejść, ale teraz najlepiej zostańcie tam, gdzie jesteście. One przyjdą!

Gdzieś w lesie po raz drugi rozbrzmiał okrzyk nieszczęsnego żołnierza i monotony klekot sępiego dzioba. Po chwili wyraźniej usłyszeli wrzaski, legionista przedzierał się ku polanie, aż wypadł z gąszczu i wyjął jak zwierzę, z dobytym mieczem ruszył ku towarzyszom. Argen widział, że ten człowiek jest szalony; zresztą nie on jeden znał opowieści o sile sępich spojrzeń...

– Nie strzelać! – zawołał, lecz było już za późno; ktoś bez rozkazu zwolnił cięciwę, ciężki bełt uderzył legionistę w pierś i powalił. – Powiedziałem: nie strzelać!

Miał ochotę przywołać strzelca i potraktować tak, jak na to zasługiwał legionista bez namysłu mierzący do towarzysza broni. Powstrzymał się.

– Nie strzelać, bo wszyscy wymordujemy się nawzajem! – rzekł dobitnie. – Poczekamy tutaj do rana, a potem wyjdziemy z lasu i wrócimy do Badoru. Zrozumiano?

Spokojny głos tysięcznika podzialał; żołnierze opanowali strach. Miejsce było niesamowite, a wróg inny niż zawsze, lecz wciąż było ich sześciu, mieli broń i mieli dowódcę. Argen wskazał stanowiska wśród skalnych okruchów, każdy żołnierz miał obserwować inny wycinek terenu. Wydawał ostatnie rozkazy, gdy nad polaną mignął duży, złowrogi cień, za nim drugi i trzeci... Szczękliwe, niewyraźne głosy rozbrzmiały wszędzie wokół.

– Ludzie, ludzie – mówił monotonna głos z przodu – jesteście zgubieni, ludzie, przeszkadzacie, rzućcie waszą broń...

– To ziemia dotknięta alerską Wstęgą, jesteście tu intruzami, ludzie, to nasze miejsce, ludzie – wtórował mu drugi gdzieś z tyłu.

Dwaj żołnierze posłali pociski na oślep między drzewa.

– Nie strzelać! – rzekł Argen. – Tylko na rozkaz.

Klebotliwe głosy nie milkły i komendant przypomniał sobie, że opowieści o sępich oczach to tylko część prawdy. Słowa przeklętych

ptaków także miały ponurą, obezwładniającą moc. Jeden z legionistów bezmyślnie odłożył kuszę, drugi zaraz uczynił to samo... Tysięcznik poczuł, że sam ma coraz większą ochotę posłuchać wydawanych z mroku poleceń, odrzucić broń i usiąść, i czekać...

– Powstań! – krzyknął. – Marsz w górę stoku! Broń do ręki!

Żołnierze pobierali się raz jeszcze. Prowadzeni przez komendanta, zanurzyli się w upiornym lesie. Najpierw szli zwartą grupą, otoczeni przez monotonne głosy. Lecz okazało się zaraz, że utrzymanie szyku jest niemożliwe: żołnierze przystawali, rozchodzili się... Argen próbował skupić oddział, ale po chwili zdał sobie sprawę, że sam jest jednym z maruderów; że nie robi tego, co chce robić.

– Przyjdźcie do nas, ludzie, przyjdźcie teraz, zostawcie waszą broń, ludzie...

Gdzieś niedaleko jeden z klekoczących głosów zamarł nagle w przeszywającym skrzeku – i sępy zamilkły. Argen próbował zebrać myśli. Przywołał żołnierzy.

– To ona – powiedział ktoś ze śmiechem. – Ona je pozabija...

– Hu! ha!

Tysięcznik pojął, że komenderuje oddziałem pomyleńców.

Wydając dzikie okrzyki, jeden z kuszników pobiegł przed siebie; zaraz zawadził w ciemności głową o konar kamiennego dębu i upadł, jęcząc. Lecz dwaj inni pochwycili go pod ręce i powlekli, a trzeci, z napiętą kuszą w rękach, rozglądał się dokoła, wypatrując celu. Argen zaczął zdawać sobie sprawę, że nie wszyscy w równym stopniu ulegają sile sępich głosów.

– W górę stoku! – zarządził głośno. – Nie zatrzymywać się!

Niewyraźne głosy ptaków rozbrzmiały znowu. Żołnierz, który przed chwilą szukał celu, przepadł gdzieś. Tysięcznik rozglądał się wokół, poszukując go w plamach księżycowego światła, bo liczył, że ten przytomnie wyglądający legionista pomoże mu w dowodzeniu. Przeszli kilkadziesiąt kroków, gdy po raz drugi rozległ się chrapliwy skrzek – i znów zaległa cisza. W tej ciszy gdzieś daleko rozbrzmiał jeszcze jeden śmiertelny krzyk sępa...

Było niemożliwe, by jedna osoba zabiła dwa ptaki naraz.

– Nie zatrzymywać się! – rzekł Argen. – W górę, cały czas pod górę, marsz!

Przystanął i przez długą chwilę spoglądał do tyłu. Po niedługim czasie w ciemności zamajaczyła sylwetka goniącego oddział kusznika. Żołnierz niemal wpadł na nieruchomego Argena i przeraził się.

– Wasza god... – zaczął stłumionym głosem. – Idź, panie, ze wszystkimi, ja poczekam! Widać je, kiedy leżą między drzewami albo jak fruną i siadają na gałęzi, wtedy można się podkraść... – tłumaczył gorączkowo. – Idź, panie, a ja ich tutaj...

Argen klepnął kusznika w ramię, dając tym gestem do zrozumienia, że akceptuje plan. Zaskrzypiała korba, żołnierz napinał cięciwę. Zostawiwszy jednoosobową ariergardę, tysięcznik ruszył w ślad za swoimi żołnierzami.

Sępy milczały bardzo krótko. Otoczony przez wrogie głosy, Argen zaczął wątpić w możliwość dogonienia oddziałku. Odsunął na bok wszystkie myśli, starał się pamiętać tylko o tym, że goni swych podkomendnych, osłaniany przez mężnego, samotnego legionistę. Nasłuchiwał agonálního krzyku sępa, lecz zamiast tego wydało mu się, że słyszy krzyk człowieka. Potem zdał sobie sprawę, że już donikąd nie idzie, że siedzi u stóp kamiennego drzewa, nie ma kuszy... Podniósł się, wyjął miecz i stanął oparty o drzewo. W ciemnościach majaczyły jakieś cienie.

– Usiądźcie, ludzie, odpocznijcie, zostawcie waszą broń, zostawcie, zostawcie na alerskiej ziemi, której dotykała Wstęga...

– Zostawcie broń, ludzie, usiądźcie...

Argen czekał. Zdało mu się, że gdzieś bardzo daleko usłyszał nowy śmiertelny krzyk sępa, a w jego tle – triumfalny kobiecy śmiech.



Czarne miecze

ROZDZIAŁ 1



Słumiwszy ziewnięcie, jej godność A.B.D.Leyna przeciągnęła się w ogromnym fotelu i niechętnie, ospale niemal, cisnęła w niewolnicę ogryzkiem jabłka. Dziewczyna nie ośmieliła się uchylić, jednak odruchowo przymknęła powieki, gdy mokra resztką owocu pacnęła ją prosto w policzek.

Nie powiedziano jej: „Złap”.

Magnatka odrzuciła głowę w tył i potrząsnęła rudymi włosami.

– No? – ponagliła, przechylając się do tyłu jeszcze bardziej.

Zwiesiła głowę ku podłodze; pokój widziany do góry nogami wyglądał o wiele zabawniej. Postanowiła częściej zwieszać głowę w ten sposób.

– Hm? – zapytała po chwili, bo zajęta oglądaniem pokoju, zapomniała o słuchaniu niewolnicy. – Jeszcze raz.

Dziewczyna powtórzyła wiadomość.

– Co ty opowiadasz? – zdumiała się Leyna.

Usiadła normalnie, czując leciutki zawrót głowy; zwisanie nie było dobre dla krążenia krwi.

– Co ty opowiadasz? – powtórzyła. – Teraz? Od kiedy przyjmuję gości o tej porze? Nikt nie przyjmuje gości o tej porze. Czy w całej Rollaynie jest ktoś, kto przyjmuje gości o tej porze? A właściwie jaka jest pora?

– Popołudnie... zaraz wieczór, pani.

– Niech przyjdzie wcześniej. Albo później, powiedz mu. Nie, czekaj. Jak się nazywa?

– L.F.Gold, wasza godność. Z Grombelardu.

– Gold, śmiesznie. Z Grombelardu, Grombelardu, Grom-be-lar-du – powtarzała, bezmyślnie bawiąc się słowem; było nudno. – Grom-be-lar... Dobrze, wpuść go.

– Tak, pani.

Niewolnica wyszła. Leyna podniosła się leniwie i podeszła do dużego, zawieszzonego na ścianie zwierciadła. Kilkoma drobnymi ruchami doprowadziła do porządku bujne włosy. Wygładziła suknię. Po raz setny, a może tysięczny zdumiona własną urodą, zmrużonymi

z zadowolenia oczami badała odbicie pełnych ust, delikatnej linii nosa i wygiętych łuków brwi. Nie zwracając uwagi na stojącego w drzwiach gościa, odwróciła głowę i – patrząc z ukosa – podziwiała swój profil. Z namysłem rozburzyła nieco włosy na skroni; uniosła lekko głowę.

– Wiem, pani, że to wbrew dobrym obyczajom... jeśli jednak, jako gość, odzywam się pierwszy, to nie po to, by obrazić panią domu, lecz dlatego, że oboje mamy mało czasu.

Gdy zaczął mówić, spojrzała z bezbrzeżnym zdziwieniem. Głos miał głęboki i spokojny, pasujący do szerokiej twarzy i głęboko osadzonych szarych oczu. Wyraźny gardłowy akcent zdradzał Grombelardczyka. Posługiwał się bardzo dobrym kinenem.

Patrzyła w milczeniu. Obejrzała z rosnącym zdumieniem zakurzony podróżny strój przybysza, wiszący przy boku wojskowy miecz, długie skórzane buty do konnej jazdy, wreszcie powiedziała:

– No nie, tego już doprawdy za wiele... Co ty sobie wyobrażasz, mój panie?

Z dziwną łatwością wytrzymał jej spojrzenie. Ale po krótkiej chwili schylił głowę.

– Wybacz, pani – powiedział prawie pokornie, choć widać było, że nie przychodzi mu to łatwo. – Nie chciałem cię obrazić.

Powoli wróciła spojrzeniem do zwierciadła. Uniosła rękę i musnęła małym palcem gęste, wygięte ku górze rzęsy.

– Wyjdź teraz – powiedziała od niechcienia, używając armektańskiego w pełnym brzmieniu. – Zostaw swoje prostackie maniery za drzwiami i przyjdź po raz drugi. Przez ten czas zastanowię się, czy na pewno chcę z tobą rozmawiać.

Nie oglądając się, widziała, jak drgnęły mu mięśnie szczęk. Odwrócił się bez słowa i wyszedł.

Wydęła lekko wargi, przywołując na twarz wyraz niejakiego lekceważenia, potem zmrużyła oczy i rozchyliła usta w uwodzicielskim uśmiechu. Ściągnęła brwi i to był gniew, potem w szeroko otwartych oczach załśnił nieklamany zachwyt. Delikatne nozdrza rozwarły się, wraz z uniesionym kącikiem ust tworząc pogardliwą ironię, potem kolejno przemknęły przez twarz: niedowierzanie, naiwna dziewczęca ciekawość, uwielbienie, odraza, przerażenie, namysł, kpina...

Przeciągnęła się beztrąsko i zmarszczyła brwi.

– Zasnąłeś tam, panie, za tymi drzwiami? A może czekasz, żebym wyszła do ciebie?

Drzwi rozchyliły się ponownie. Stał w nich tak samo jak przedtem. Pochylił głowę i czekał.

– Witaj, panie, w moim domu – powiedziała swobodnie po długiej, nienaturalnie długiej chwili milczenia. – Wejdź dalej, proszę.

Zrobił dwa sztywne kroki.

– Witam waszą wysokość – przemówił lekko stłumionym głosem. – Jestem L.F.Gold, z Grombelardu.

Pokiwała głową.

– Z Grombelardu, no tak.

Unióśł głowę, myśląc, że nawiązuje do jego poprzedniego zachowania. Ale nie. Z dezaprobatą patrzyła na zakurzone buty i wiszący u pasa miecz.

– Jestem prosto z podróży, pani – wyjaśnił. – Wybacz, że rażę twoje oczy takim ubiorem...

– Dobrze już – ucięła. – Czemu zawdzięczam wizytę waszej godności?

Prawie położyła się w fotelu. Powściągnęła chęć zwieszenia głowy, jak wcześniej; nie chciała, by krew napłynęła do twarzy. Oparła policzek na dłoń.

– Pytałam. I czekam.

Wydobył spod kurty niewielki rulon pergaminu, mocno wygnieciony. Podszedł i wyciągnął rękę.

– Oto list, który wyjaśni cel mojej wizyty, pani.

Z wahaniem rozwinęła zwoik. Przebiegła wzrokiem równe linijki kształtnego pisma. Wyprostowała się gwałtownie. Pobladła.

– To jakiś żart, głupi żart – powiedziała. – Baylay wyjechał do Armektu, miał tam... miał swoje sprawy.

– Znam te sprawy, wasza wysokość.

– Wiesz o... małżeństwie mojego brata?

– Jej godność Ilara nie przedłużyła ślubnego kontraktu. Baylay pojechał za nią do Armektu, licząc...

– Wystarczy – ucięła. – Znasz treść tego listu?

– Tak, pani.

W skupieniu przeczytała pismo po raz drugi i trzeci. Bładość ustąpiła miejsca rumieńcom.

– Nie wierzę. Nie wierzę temu listowi ani tobie, panie. Co mój brat mógłby robić na tym... Czarnym Wybrzeżu?

– Pojechał szukać swojej żony, pani.

Patrząc badawczo, uniosła wyżej rękę z listem, jakby z niego właśnie wynikało to, co powiedział.

– Pojechał szukać żony? Na Czarne Wybrzeże?

– Została uprowadzona.

– Na Czarne Wybrzeże? A przez kogo?

– Zdaje się, że przez Przyjętego.

Wciąż patrzyła z najwyższą uwagą, ale był to ten rodzaj spojrzenia, jakim ocenia się pomyłkę.

– Oszalałeś, panie – stwierdziła spokojnie na koniec.

– Nie, wasza wysokość. Ten list...

Z całkowitym spokojem przedarła pismo na pół i upuściła na

posadzkę.

– Żegnaj cię, panie. Nie wiem, co to za list, kto go pisał i w jakim celu. Nigdy więcej nie przychodź do mojego domu.

Ku swojemu zdumieniu ujrzała, że oparł dłoń na rękojeści miecza.

– Nie, pani. Baylay jest moim przyjacielem. Zrobię wszystko, by jego życzenie zostało spełnione. Pojedziesz ze mną dobrowolnie albo z przymusu. Wybieraj.

Nie wierzyła własnym uszom.

– Co słyszę? – powiedziała powoli, z jakimś złowrogim grymasem. – Grozisz mi... porwaniem?

Ogorzała twarz Grombelardczyka pozostała niewzruszona.

Minęło parę chwil, nim zrozumiała, że naprawdę ma przed sobą pomyleńca. Ze złością przygryzła usta. Krzyknęła na służbę i w drzwiach komnaty pojawił się niewolnik.

– Odpraw go, pani – rzekł Gold łagodnie.

Zignorowała ostrzeżenie.

– Żegnaj waszą godność – powiedziała, czyniąc gest w kierunku służki.

Niewolnik stanął za plecami Golda. Gdy stało się jasne, że przybysz wyjść nie zamierza, oparł dłoń na jego ramieniu. Grombelardczyk uwolnił się ruchem tak nieznacznym, że trudno było dojrzeć w tym choć cień wysiłku. Sługa stracił równowagę, dopomogła w tym silna dłoń, która ucapiła go za kark. Gold zrobił kilka szybkich kroków, niewolnik nabrał rozpędu i zderzył się ze ścianą. Przybysz, wciąż trzymając za kark, jeszcze kilkakrotnie rąbnął jego głową o ścianę, a potem puścił i rozłożył bezradnie ręce, odstępując w bok. Sługa leżał nieruchomo, z głową rozbitą do krwi.

Leyna stała z otwartymi ustami i językiem dotykającym górnych zębów. Nigdy dotąd nie widziała czegoś podobnego. Nie rozumiała... nie sądziła, że ktoś może... To nie był turniej, zapasy! To nie była arena ze słabo widocznymi figurkami kaleczących się niewolników...

Z czoła nieprzytomnego służki ściekała czerwona strużka i Leyna mimowolnie zrobiła krok ku leżącemu. Skonsternowany Grombelardczyk dojrzał w oczach dartańskiej magnatki, obok strachu, wyraz jakiejś... lubieżnej fascynacji.

– Przebierzesz się, pani? – zapytał z wymuszonym spokojem, usiłując pokryć zaskoczenie i narastającą niepewność. – Czy pójdziemy zaraz, tak jak stoisz?

Wymruczała coś niewyraźnie i cofnęła się – ale byłby przysięgł, iż ten mały krok wstecz uczyniony został raczej po to, by go sprowokować, niżli z rzeczywistej chęci ucieczki.

Przestał rozumieć sytuację. Gdy Dartanka zrobiła drugi mały kroczek, podszedł szybko i pochwycił rękaw jej sukni. Szarpnęła się, tkanina

pękła z suchym trzaskiem i dziewczyna zatoczyła się, a potem upadła na posadzkę. Pochwycił ją znowu, doszło do szarpaniny... i zyskał pewność, że ona wcale nie chce uciec, pragnie tylko walczyć, więc dał jej do tego sposobność. Uderzył ją – niezbyt mocno, ale jednak serio. Rozburzone włosy spadły na oczy. Wolno podniosła rękę do policzka, z niedowierzaniem patrząc na mężczyznę. Po raz pierwszy w życiu została uderzona! Potraktował ją tak samo jak służę... jak niewolnika...

Przestała stawiać opór. Trzymał ją za ramię, gdy zbiegali po szerokich, pokrytych kobiercem schodach. Stęknęła głucho, próbując uwolnić się z uścisku.

– Puść... – powiedziała. – No puść, boli!

Przed domem stały dwa konie, jeden był objuczony. Kiepsko знаła się na koniach; gdyby było inaczej, natychmiast rozpoznałaby wytrzymałe górskie wierzchowce, które tak ceniono we wszystkich krainach imperium. Wsadził ją na grzbiet osiodłanego. Ciągle milcząc, zebrał wodze i poprowadził.

Na schodach przed domem pojawiła się służba. Zdesperowany Grombelardczyk oparł dłoń na rękojeści miecza... i zmarszczył brwi, widząc drobny gest swojej branki. Służba cofnęła się; byłby przysiągł, że kazała im iść precz! Po chwili, niezatrzymywani przez nikogo, przemierzali ulice miasta.

– Jesteś szalony – powiedziała. – Wszyscy mnie tu znają, spójrz.

Rzeczywiście: ostatni uciekający przed zmierzchem przechodnie zatrzymywali się, patrząc ze zdumieniem. Na pewno przesadzała; wątpił, by każdy napotkany mieszczuch wiedział, jak wygląda jej wysokość A.B.D.Leyna, jedna z pierwszych kobiet stolicy... Niemniej widok jadącej w męskim siodle wielkiej pani, ubranej w kosztowną, choć poszarpaną suknię, nie był czymś zwyczajnym.

– Zatrzyma nas pierwszy napotkany patrol – powiedziała pewnym głosem, w którym jednak więcej było rozbawienia i złości niż zamierzonej pogardy. – Zresztą nie wydostaniemy się z miasta. Bramy o tej porze są już zamknięte.

Obrońne mury miast Wiecznego Cesarstwa dawno straciły znaczenie. Bramy zamykano dla zadośćuczynienia tradycji, zatrzymywano też w ten prosty sposób kupieckie wozy, żeby nie hałasowały na uśpionych ulicach. Pieszy, nie wspominając już o kocie, mógł pokonać mur w dziesiątkach miejsc, korzystając z dobudowanych schodków, zwykle bardzo wygodnych, albo niewielkich furtek.

Jednakże dwoje jeźdźców musiało jechać do bramy.

Spojrzał przez ramię.

– Nie strasz, pani – powiedział spokojnie. – Bramy są po to, żeby je otwierać, a co do żołnierzy... Nie pierwszy raz jestem w Dartanie i doskonale wiem, ile są warci. Dobrze, jeśli co dziesiąty rozumie, że

mieczem się rąbie, a nie rzuca.

Szybko odwrócił głowę, bo pokazała mu plugawy gest, jaki widywał dotąd tylko u karczemnych dziwek. Nie miał pojęcia, skąd w ogóle wiedziała, co to znaczy.

Rozglądał się dokoła. Drogę znał... ale niepokoiła go zagadkowa, zdumiewająca bierność Dartanki. To porwanie było szaleństwem; gdy podstęp z listem zawiódł, uprowadzenie dziewczyny nie mogło się udać... Spróbował tylko dlatego, by na własnej skórze odczuć, że się nie uda; chciał chyba mieć poczucie, iż zrobił wszystko, co było w jego mocy...

I oto był porywaczem. Jechała za nim kobieta, za którą okup wypłaciłby sam Książę Przedstawiciel Cesarza. Gdyby, rzecz jasna, została porwana dla okupu.

Nie rozumiał, jak do tego doszło. Poturbował niewolnika... potem ją uderzył... Teraz rozglądał się, odruchowo szukając drogi ucieczki.

Lecz najpiękniejsze, najbogatsze miasto Szereru nie obfitowało w mroczne, dające schronienie zaułki.

Rollayna nie powstała tak jak inne miasta, które zmieniały się i rozwijały przez wieki, dorosłały, starzały... Legenda podawała, iż wzniesiono ją od razu, w ciągu kilku lat. Była miastem, które sama Szerń pomagała zbudować i które miało stać się pomnikiem dla Rollayny – wspaniałej córki Jasnych Pasm. Najstarszej, najpiękniejszej i najpotężniejszej z Trzech Sióstr, które przed wiekami Szerń zesłała do walki ze złem.

I Rollayna stolica była właśnie taka: najpiękniejsza i najpotężniejsza spośród wszystkich miast świata. Wzniesiono masywne białe mury, które teraz już niczemu nie służyły, bo imperium ogarnęło cały Szerer i nie miało żadnych wrogów, chyba że alerskie półzwierzęta. Mury tworzyły dwa pierścienie, jeden w drugim. Wzdłuż murów zewnętrznych biegła szeroka, brukowana (jak i wszystkie inne w tym mieście) ulica, poprzegradzana bramami i mostami: Obwodnica Królewska. W samej rzeczy, wielokrotnie przemieszczał się tędy orszak królewski, przy okazji licznych uroczystości; było to jeszcze wtedy, gdy Dartańczycy mieli swój kraj i swego króla. Teraz otoczona wewnętrznym murem dzielnica zwała się Książęcą miast Królewską, a najświetniejszy pałac świata zamieszkiwał Armeктаńczyk, Książę Przedstawiciel Cesarza, otoczony dworem. Obwodnicę też przemianowano, ale prawie nikt nie nazywał jej Wielką.

Piękne miasto. Jakże różne od ponurych, kamiennych miast Grombelardu! Tu budowano z cegły, ściany tynkowano i bielono, zdobiły je wymyślne płaskorzeźby, gzymsy i freski, wszędzie rzucały się w oczy kolumny, balkony, tarasy, delikatne ogrodzenia, otaczające liczne, choć małe parki i ogrody... Gold wiedział, że rozmach, z jakim

Dartańczycy wznosili swoje miasta, próbowano naśladować, zwykle dość nieudolnie, w niemal wszystkich krainach Szereru, odkąd nastąpiło Wieczne Cesarstwo. Nawet w Armekcie – a może najbardziej w Armekcie. Doprawdy, Armektańczycy zawojowali Dartan mieczem, Dartańczycy zaś wzięli odwet, narzucając wszystkim i wszędzie swą architekturę, sztukę. Znający pojęcie Czystej Krwi Armekt przejął nie tylko rodowe monogramy – to już działa się wcześniej, jeszcze przed nastaniem imperium – ale i tytuły: godności, wysokości... Na dartańską modłę pojawili się rycerze i magnaci. Jeśli kraj Jeźdźców Równin jeszcze nie był drugim Dartanem, to tylko dlatego, że broniły go odwieczne tradycje, zakłute w potężne armektańskiego języka.

Dotarli do Obwodnicy Królewskiej. Wciąż spotykali wielu przechodniów. Gold przywykł już, że wszyscy oglądają się za nim i jego branką, więc sam zaczął czynić obserwacje. Kłuło w oczy bogactwo i wdzięk zwykłych nawet, mieszczańskich strojów. Kobiety szeleściły pięknymi sukniami, mężczyźni pobrzękiwali srebrnymi klamrami trzewików. W modzie były maseczki – tutaj nikt nie chciał być rozpoznany, każdy miał jakąś, zazwyczaj śmieszna, tajemnicę: siedł gdzieś, a powinien jechać; coś kupował (dlaczego właśnie to?); bawił się w czymś towarzystwie, a na pewno powinien w innym...

Goldowi jednak wszyscy ci ludzie wydawali się prawie nadzy. Nikt nie nosił broni. Choćby lekkiego, paradnego miecza, choćby sztyletu. Legioniści postukiwali w bruk lakierowanymi na czerwono lub czarno drzewcami halabard, których srebrzone żeleźca nie zasługiwały na miano oręża; dowódcy patroli podpierali się laskami, czerwonymi albo czarnymi, tak jak drzewca halabard. Gold marszczył brwi, myśląc, że zdobyłby to miasto, gdyby powierzono mu półsetkę Legii Grombelardzkiej.

Dotarli do Bramy Pani Delary, nazwanej tak na cześć młodszej siostry Rollayny (była jeszcze Brama Seili i trzecia – Brama Królewska, teraz oczywiście: Książęca). Czterej gwardziści w błyszczących od ozdób napierśnikach kręcili kołowrotem; okuta mosiądzem brona opuszczała się powoli. Z niedalekiej wartowni wyszedł szczupły dziesiętnik i szybkim krokiem ruszył w kierunku przybyłych. Gold zatrzymał konie i poszedł mu na spotkanie. Powiedział coś półgłosem i wyciągnął zza pazuchy jakiś dokument. Dziesiętnik obejrzał go uważnie, po czym spojrzał na Leynę... rozpoznając ją od pierwszego rzutu oka – funkcyjny Gwardii Dartańskiej nie mógł nie znać kobiety stale bywającej w Dzielnicy Książęcej. Skłonił się; odpowiedziała lekkim uśmiechem. Gold także spojrzał na dziewczynę, marszcząc groźnie brwi... Wzruszyła ramionami i odwróciła głowę. Usłyszała, że Grombelardczyk mówi coś ostro, z naciskiem. Odpowiedział mu niepewny głos dziesiętnika. Padło jeszcze parę słów, po czym dartański gwardzista zbliżył się do

wierzchowca, na którym siedziała kobieta.

– Wasza wysokość, proszę o przebaczenie...

Popatrzyła wyczekująco, dostrzegając kątem oka wyraźny ruch Golda, stojącego za plecami dziesiętnika – gotów był zamordować gwardzistę. Zaczęła się zastanawiać, czy warto zobaczyć taką bitwę. Lecz żołnierzy było aż pięciu, walka byłaby niezbyt długa, a co za tym idzie niespecjalnie ciekawa.

– Gotów jestem otworzyć bramę, ale chcę się upewnić, czy wasza wysokość na pewno chcesz wyjechać z miasta?

– Nie, nie chcę – powiedziała niecierpliwie. – Zostałam porwana, zniewolona, przywleczono mnie tu siłą i nie wiem, co tutaj robię. Co jeszcze chcesz wiedzieć, gwardzisto? W jakim celu jadę na przedmieście? I co ze mną zrobi mój towarzysz? Też bardzo chciałabym wiedzieć!

Skonsternowany żołnierz skłonił się i wycofał. Krzyknął na podkomendnych; opuszczona już prawie brona zaczęła powoli pełznąć w górę. Gold znowu ujął wodze zwierząt, pozdrowił gwardzistę gestem i ruszył ku bramie.

Po chwili wraz z Leyną znajdowali się za murami, przemierzając Wschodnie Przedmieście.

Dziewczyna milczała. Gold skręcił w pierwszy zaułek i zatrzymał wierzchowce.

– Czy wyjaśnisz mi, wasza wysokość... – zaczął i urwał. – Dlaczego nie uciekałaś, pani? To była okazja, która może się już nie powtórzyć. I wcześniej, na ulicach... A teraz? Dlaczego? Okłamałaś tego żołnierza, mimo że...

– Okłamałam? – przerwała. – Powiedziałam durniowi, że zostałam porwana! I gdy tylko wrócę, dopilnuję, żeby wyrzucono go z wojska.

– Powiedziałaś to tak, że nie uwierzył!

– A, nieprawda. Powiedziałam to tak, żeby myślał, że będę tej nocy kurwić się na przedmieściu. Przywykł do tego. To jest miasto kurew, wszystkie się tu kurwimy, każda prędzej czy później trafia na przedmieście, żeby załatwić jakąś sprawę, swoją albo męża. Choć faktycznie rzadko która wybiera się konno i po zamknięciu bram, bo to zbyt zwraca uwagę. No i nie mam maski na twarzy. Opowiedzieć ci więcej, wasza godność?

Gold zamilkł, zapomniawszy języka w gębie.

– Nie... – rzekł wreszcie. – Nic nie chcę wiedzieć, to wystarczy.

Było już niemal całkiem ciemno, ale widziała jego twarz na tyle wyraźnie, by ogarnąć wszystkie rozterki. Ten człowiek gotów był... zawrócić. Bo udało mu się porwanie.

– Czego nie rozumiesz, wasza godność? – zapytała. – Nudzę się! Może chcę być porwana? Tyle co dzisiaj nie wydarzyło się w moim życiu przez

ostatnie dwa lata. A ty na pewno nie jesteś człowiekiem, który zrobi mi krzywdę. Możesz chcieć okupu, wtedy ci go wypłacę, bardzo dobrze. Zdobędę za te pieniądze wspaniałą legendę, której wszystkie tutaj będą mi zazdrościć.

Wyjęła mu wodze z ręki, przełożyła nad głową konia. Ruszyła przodem i rad nierad podążył jej śladem. Wiódł już tylko luzaka.

– Tylko nie zapomnij mnie zgwałcić. Bo i tak będę mówiła, że zgwałciłeś. Co za dokument pokazałeś temu gwardziście przy bramie? – zapytała, zmieniając temat tak nagle, że przez długą chwilę nie rozumiał, o co chodzi.

W jej głosie nie było wyższości, złości, pogardy... Była tylko zwykła ciekawość. Tak mogłaby pytać kupca o pochodzenie szlachetnej tkaniny. Gold dopiero co poznał tę kobietę, ale już wiedział, że jej nie rozumie i pewnie nigdy nie zdoła zrozumieć.

– Patent – odpowiedział po długiej chwili. – Nie jestem rzezimieszkiem, wasza wysokość. Jestem setnikiem Gwardii Grombelardzkiej.

Nie zdołała powściągnąć okrzyku zdumienia. Jak każda kobieta wysokiego rodu, doskonale знаła wartość wszelkiego rodzaju funkcji i stanowisk. Setnik gwardii! Nie legii, lecz gwardii! Nie znała stosunków panujących w dzikim Grombelardzie, ale to była właśnie dzicz, więc przyjęłaby zakład, że w całym tym kraju siedziało najwyżej dziesięciu wojskowych, którym jej porywacz musiałby oddać honory.

– Nie mogę uwierzyć – powiedziała uszczęśliwiona. – Oficer gwardii, niezwykle! Zniszczysz sobie karierę.

– No to zniszczę, wasza wysokość – rzekł zrezygnowany. – Jestem zmęczony... i nie wiem, co robię.

ROZDZIAŁ 2



Baylay dorzucił do ognia. Iskry strzeliły w niebo.
– Jesteś rozbójniczką?

Jej twarz pozostała obojętna.

– Nie.

– Nie?

Cisza.

– Więc kim?

– Kimś, kto ci powie: nie podsycaj tak ognia, bo

umrzesz.

– Rozbójnicy? – zapytał, wzruszając ramionami. – W tych okolicach jest spokojnie, niedawno była wojskowa oblawa. Chcę nacieszyć się ogniem jeszcze dzień lub dwa i już nie będę go palić. Tym bardziej że pogoda na pewno się zepsuje.

Rozmawiali po armektańsku. Bardzo dobrze znał ten język, ona też, ale nie potrafił ocenić, czy jest to jej mowa ojczysta. Raz wtrąciła grombelardzkie słowo, którego znaczenia tylko się domyślił.

Przez długą chwilę przyglądała mu się uważnie, potem odwróciła spojrzenie.

– Powiedziałabym ci o oblawach... Ale ci nie powiem.

Nie próbując już nawiązać rozmowy, zapatrzył się w ogień. Dziwne nocne spotkanie. Dziwna kobieta... Przyszła z nocy, przyglądała mu się przez długą chwilę tak badawczo... Usiadła przy ognisku, zjadła kawałek suszonego mięsa. Odpowiadała półsłówkami, traktowała go niemal jak powietrze – choć to w końcu był jego biwak i jego ogień.

Miała niski, leciutko zachrypnięty głos. Ten nieustanny cień chrypki był w jakiś sposób denerwujący; Baylay miał ochotę odkaszlnąć lub odchrząknąć po każdej jej wypowiedzi.

Spojrzał z ukosa. Zdecydowany, wyraźny profil, ładne małe usta i długie rzęsy. Ale nie dbała o siebie; chyba od dawna przebywała w górach. Paznokcie u rąk miała połamane i zaniedbane, czarne włosy brudne i pozlepiane w strąki. Jej odzienie było kupą śmierdzących łachmanów, spódnica i koszula ledwie, ledwie okrywały zgrabne, bardzo silnie umięśnione ciało. Leżący na ziemi kaftan także był dziurawy, podobnie peleryna. Tylko buty miała nowe i mocne.

– Co robisz w Górach? – zapytała tak nieoczekiwanie, że przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

– Wędruję – rzekł wreszcie.

Popatrzyła z powątpiewaniem.

– Do Badoru?

– Nie do Badoru. Zmierzam do Złego Kraju.

Po raz pierwszy jej twarz nabrała wyrazu. Spojrzała mu szybko w oczy. Miała drobny podbródek, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i szerokie czarne brwi. Ale jednak nie była piękna; chyba nawet nie była ładna...

– Do Złego Kraju. Po co?

Zwlekał z odpowiedzią.

– To długa historia.

Nadal patrzyła mu prosto w twarz. Miała dziwny, niesamowity wręcz wzrok. Nie potrafił go wytrzymać.

Odwrócił głowę.

– Dlaczego tak patrzysz? – zapytał z rozdrażnieniem, którego źródła nie znał.

Nie odpowiedziała. Dopiero po długiej chwili mruknęła jakby do siebie:

– Do Kraju... Tak po prostu. Po sławę? Bogactwo? A może po śmierć? Znałam takiego, co siedł tam, bo jego ojciec przegrał pewien zakład.

– Nie przegrałem zakładu. Idę po żonę – rzekł ze złością. – Czy już wiesz wszystko, nieznajoma?

Cisza. Potem jej głos, w którym pobrzmiwało zdziwienie:

– Po żonę?... Nie powiesz mi nic więcej?

Zatrzymał wzrok na skaczących po gałązkach płomieniach.

– Po co? Dlaczego pytasz o moje sprawy?

– Mogłabym pomóc.

– Nie potrzebuję pomocy. Nie od ciebie.

Czuł wzbierający gniew, pojmując jednocześnie jego bezzasadność. Po co rozpoczął rozmowę, skoro nie chce jej prowadzić? Sam zaczął wypytywać dziewczynę, gdy milczała – teraz złości go jej zainteresowanie. I po co udaje bohatera, skoro nim nie jest? Ledwie rozpoczął swą straceńczą wyprawę, a już zmylił drogę, czuje się zagubiony i bezradny. Cóż dopiero, gdy przekroczy granicę Złego Kraju! Ba, pytanie, czy w ogóle do niej dotrze...

Kobieta wstała. Schyliła się, podniosła kaftan, pelerynę i oparty o skałę sajdak z łukiem i strzałami. Obrażona.

– Rano idź na wschód – powiedziała. – Trafisz na urwisko i wiodącą wzdłuż niego ścieżkę. Kieruj się wtedy na północ. Ścieżka zaprowadzi cię do niewielkiej chatki, choć właściwie trudno tak to nazwać, no w każdym razie będzie to ludzka sadyba, na pewno nie zabłądzisz. Tam

znajdziesz człowieka, który ci pomoże.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Potrzebujesz. Nie masz pojęcia, gdzie jesteś. Gdzie jest wschód? No, gdzie jest wschód, wędrowcze zmierzający do Złego Kraju?

Odruchowo spojrział w niebo i, rzecz jasna, nie zobaczył ani jednej gwiazdy. Wprawdzie nie padało, pogoda była wręcz piękna – ale tylko na miarę tego kraju. Nad głowami miał skłębioną opończę chmur.

– Rano, gdy słońce wzejdzie, poznasz, która strona nieba jest jaśniejsza.

– Nie zawsze można poznać – rzekł ponuro.

– Jutro poznasz. Poproś właściciela chatki o gościnę i pomoc. Powiedz, że przysłała cię Łowczyni.

Odwrociła się i zniknęła w ciemnościach. Przez długą chwilę siedział oniemiały. Potem zerwał się i chciał zawołać – ale zrezygnował.

Już za późno... już było za późno. Obraził ją. Właśnie ją, skończony głupiec.

Łowczyni. Pani Gór.

Usiadł i znów patrzył w płomienie. Bezwiednie ujął w dłoń gałązkę i wzruszył nią węgle w ognisku. Trysnęła fontanna iskier.

Zagryzł lekko wargi.

Właśnie zraził swą opryskliwością kobietę, której szukał. Którą Gold polecił mu jako wyborną przewodniczkę.

„Jest kapryśna, mówią też, że trochę złośliwa” – wspomniał przestrogi i rady przyjaciela. „Niektórzy oficerowie znają ją osobiście, ja akurat nie, słyszałem tylko tyle, co każdy grombelardzki żołnierz. Droga, którą ci opisałem, prowadzi do człowieka mającego podobno wielki wpływ na tę kobietę. On doradzi ci, gdzie jej szukać, jeśli w ogóle będzie to miało sens. A potem... albo zyskasz przewodniczkę, która jak słyszałem, prowadziła już ludzi do Obszaru, albo może chociaż usłyszysz jakieś wskazówki. W każdym razie poznasz jedyną istotę w Ciężkich Górach, która nie jest zepsuta i zła do szpiku kości. Dałbym ci przewodnika z legii, ale nie mogę. A każdy inny przewodnik zadźga cię pewnie już na pierwszym noclegu w górach. Znajdź więc tę kobietę lub idź sam... a najlepiej zrezygnuj z tej wyprawy”.

I dalej następowało to, co zwykle: że szaleństwo... że Ciężkie Góry... że poczekaj, że wracaj do Dartanu.

Łowczyni.

Jakim cudem nie rozpoznał jej od razu? O czym myślał? Gdzie miał oczy i rozum? Prawda, że było to aż nazbyt fantastyczne: oto na samym początku wyprawy miał spotkać, nie wiadomo dlaczego, kogoś, kogo akurat najbardziej potrzebował. Kobietę, której można było szukać w Górach przez całe życie i nie znaleźć. Nikt zdrowy na umyśle nie uwierzyłby w podobnie szczęśliwy przypadek. Tyle się nasłuchał

o kłopotach, jakie będzie miał z jej odszukaniem; miał uzbroić się w cierpliwość, nie rezygnować... A spotkał ją na samym początku drogi, trzy dni po wyruszeniu z Grombu. I nie poznał.

Prawda, że nie tak ją sobie wyobrażał. Przede wszystkim myślał, że to Grombelardka: jasnowłosa, masywna i krępa, o topornych rysach... Zdawało mu się też, że ta słynna grombelardzka baba będzie starsza: dość leciwa wiedźma z jakimś wielkim toporem... Skąd takie wyobrażenie? Gold nic nie wspominał, jak wygląda Łowczyni. A tymczasem była wcale ładna. Zaniedbana i brudna... ale młoda i zgrabna. Niebrzydka.

Co teraz? Wskazała mu chyba drogę do człowieka, o którym mówił Gold. Drogę, którą zgubił. Ale ten człowiek potrzebny był tylko do odszukania jej, Łowczyni. Czy teraz... to w ogóle miało sens?

Cisnął patyk w ogień, otulił się peleryną i ułożył na ziemi.

Świtało, gdy po źle przespanej nocy ruszał w dalszą drogę. Szedł równym, niezbyt szybkim krokiem, przytrzymując na biodrze przewieszony przez ramię worek z prowiantem, zapasowymi butami i kilkoma drobiazgami. Miecz, grombelardzkim zwyczajem, niósł na plecach – Gold wyjaśnił, że w przypadku krótkiego miecza wojskowego nie ma to takiego znaczenia, ale miecz dłuższy, zawieszony zwyczajnie u pasa, potrafi stać się prawdziwym utrapieniem w wędrownie po górskich bezdrożach.

Uważnie rozglądał się dokoła. Góry jeszcze spały.

Przyzwyczał się już do nich. Do gór. Nie były wcale aż tak groźne, jak powiadano... Owszem, w pierwszej chwili mogły się takie wydawać. W promieniach słońca były nawet piękne, ale pod ciężkimi, grubymi chmurami wyglądały ponuro. Najbardziej męczył go wieczny grombelardzki deszcz. Wieczna wilgoć spadająca z góry, szmer uderzających o ziemię kropel. Była jesień i padało niemal bez przerwy. Siąpiło od rana do wieczora, potem mżyło przez całą noc, o świcie zwykle spadała mgła – i znów wszystko od początku. Ale od dwóch dni nie spłynęła z nieba nawet kropla. Cieszyło go to, choć dziwiło, bo już przywykł do bezustannego dżdżu.

Zamyślony, przestał zwracać uwagę na otoczenie. Oszczędzając siły, powoli i ostrożnie, tak jak uczył go Gold, szedł pod górę. Dotarł do przepaści, o której mówiła Łowczyni. Opanowując zawrót głowy, spojrział w dół, a potem na boki. Stroma, pionowa niemal ściana ciągnęła się tak daleko, jak sięgał wzrokiem. Jakby wielki, wiedziony ręką olbrzyma topór przerąbał masyw na pół. Zrozumiał, że ma przed sobą słynną Paszczę, o której Gold tak wiele mu opowiadał. Okolice po drugiej stronie – odwiedzane przez sępy, pełne zbójeckich kryjówek – cieszyły się bardzo złą sławą.

Po chwili poszukiwań odnalazł coś, co mogło być ścieżką, o której

mówiła kobieta. Poprawił miecz na plecach i ruszył na północ.

ROZDZIAŁ 3



Zeskoczył z konia i wyciągnął ręce. Zsunęła się w nie i z ulgą stanęła na ziemi. Nie była przyzwyczajona do tak długiej jazdy, na dodatek w męskim siodle. Piekły ją uda i pośladki, a przy każdym poruszeniu odzywał się ból w plecach. Spojrzała z nadzieją na jasne, szeroko otwarte okna wielkiej gospody, z których buchał gwar rozmów zmieszany z zapachem jadła. Kiedy indziej propozycja spędzenia nocy w podobnym domu byłaby dla niej obelgą, teraz jednak czekała z niecierpliwością. Zapytała sama:

– Czy tu zanocujemy?

Spojrzał, trochę rozbawiony.

– O nie, pani. Kupię tu siodło, bo już bolą mnie nogi. Wszystko kupię, gospodarz prowadzi całkiem ładny kram.

– Nie możemy przenocować?

– Rano twoja służba podniesie alarm, a najpewniej już podniosła. Nie możemy sobie pozwolić na odpoczynek ledwie parę mil od stolicy. Musimy uciekać, jeszcze kawałek traktem, a potem lasami.

Lubiła słuchać jego głosu, choć za żadne skarby świata nie przyznałaby się do tego. Nawet przed sobą.

Przed gospodę wybiegł posługacz. Gold cisnął mu drobną monetę i odprawił ruchem ręki. Wielkopański gest. Zdumiona, musiała przyznać, że pasował do niego... do tego Golda.

Cóż, był w końcu mężczyzną Czystej Krwi. I oficerem gwardii.

– Poczekaj tu na mnie, wasza wysokość. Kupię co trzeba i wrócę.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, co to oznacza. Rozzłoszczona i przerażona możliwością spędzenia nocy w siodle, nie odpowiedziała. Gdy odszedł, podeszła do swego wierzchowca i lekko pogładziła go po szyi. Nie wiedzieć czemu polubiła to zwierzę.

Miała wreszcie chwilę na uporządkowanie wrażeń. Było ich wiele, zbyt wiele! I przecież...

Zamyśliła się.

Zdumiewał ją ten człowiek. Zdumiewał jego sposób bycia, słowa, szybkość, z jaką podejmował nieodwracalne decyzje. Oto, nie zwracając

żadnej uwagi na służbę, porywa najpiękniejszą kobietę Dartanu z jej własnego domu, przy czym robi to z godną podziwu zimną krwią i pewnością siebie, by nie rzec – z wprawą. Wartujących przy bramie gwardzistów zbywa kilkoma słowy. Ech, pozdrawiają go jeszcze, zamiast krzyczeć, pojmać i wtrącić do lochu...

Potrząsnęła lekko głową, jakby nie dowierzając własnej pamięci. Czy to się mogło zdarzyć? Ona, piękna Leyna, porwana, uprowadzona... Gdzie tam uprowadzona. Zabrana! Zabrana z własnego domu wbrew woli, wbrew... O, naprawdę, jakże daleko już było spokojne (nudne!), gładko płynące życie! Uciekło gdzieś, odpłynęło – może bezpowrotnie.

Przeraziła się, że to może być prawda; po raz pierwszy zastanowiła się, jak daleko jest koniec tej przygody. Przygryzła lekko usta, czując dreszcz.

Znów wróciła pamięcią do chwili, gdy wezwała niewolnika. A wtedy on...

Przesunęła językiem po wargach, wbijając oczy w ciemność.

Porwanie, została naprawdę porwana. To było prawdziwe porwanie.

Usiadła na dużym, do połowy ukrytym w ziemi kamieniu, wsunęła ręce pod suknię i korzystając z mroku i samotności, zaczęła masować obolałe uda. Znów z gniewem pomyślała o czekającej ją męczącej podróży. Porwał, no dobrze... Ale mógł przecież zadbać o jakiś zaprzęg, jeśli już nie stać go na lektykę.

No i była głodna.

Fascynował ją. Ten Grombelardczyk. Żołnierz. Setnik gwardii. Uświadomiła to sobie w jednej chwili i od razu z przerażającą jasnością. Był mężczyzną... mężczyzną, który...

Nie знаła dotąd takich mężczyzn. Mężczyzn, którzy wyzywająco patrzyliby jej w oczy, hamowali gniew, wykonując jej polecenia. Ci, których znała, wszyscy byli tacy sami. Zupełnie tacy sami. Przyjmowała ich hołdy, ale nudziły.

Znów poczuła ciarki na plecach. Policzki poczerwieniały.

Mężczyznę z mieczem przy boku w jej domu, bijącego ją po twarzy jak pierwszą lepszą niewolnicę – widziała po raz pierwszy. To było... Och, bała się go po prostu! Bała się po raz pierwszy w życiu, ale zarówno ten strach, jak i ból były zbyt niezwykle, zbyt podniecające, by od nich uciekać, być może raz na zawsze...

Gold wynurzył się z mroku, niósł siodło i jakieś pakunki. Prędko obciągnęła suknię i wstała.

Zwałił siodło i pakunki na ziemię. Podał jej spore zawiniątko.

– To męski strój podróżny – wyjaśnił. – Przebierz się, wasza wysokość, za węglem budynku. Ja w tym czasie osiodłam konia i przepakuję juki.

Z wahaniem wzięła pakunek do ręki.

– Męski strój... – powiedziała niepewnie.

– Cóż w tym złego? W sukni kiepsko się siedzi na koniu. Poza tym podróżująca kobieta bardzo zwraca uwagę. Co prawda nie istnieje taki przyodziewek, który dość dobrze ukryje twoją płęć, wasza wysokość – skonstatował i nie wiedziała, czy to ma być jakiś... grombelardzki komplement?

Popchnął ją lekko ku narożnikowi gospody. Dopiero wtedy dotarł do niej sens polecenia.

– Mój panie, tyś się chyba upił! – powiedziała lodowato. – Zapominasz, do kogo mówisz. Miałabym się rozbierać pod ścianą jakiejś podejrzaney rudery? Jak pierwsza lepsza ulicznica?

– Zrozumiałem, że kurwisz się czasem, pani, na przedmieściach?

Czarna mgła zasłoniła jej wzrok, poczuła narastającą w gardle dziką furię. Wyobrażał... pozwalał sobie... Trzasnęła go w twarz z całej siły i zamierzyła się do nowego ciosu, ale zatrzymał jej dłoń. Patrzył spokojnie, z ironicznym uśmiechem na ustach.

– Nie bij mnie, pani.

Stęknąwszy, wyrwała nadgarstek z jego dłoni.

– To dartańska oberża, prowadzona na dartańską modłę – powiedział.

– Tak? No i co z tego? – zapytała gniewnie, ale zupełnie zbita z tropu.

– Nigdzie w całym Szererze nie ma tak podłych gospód jak u was – wyjaśnił. – Jest tu tylko jedna wspólna izba noclegowa, gdzie podróżni sypiają na sianie. Armektańska moda przyjęła się w całym Szererze, ale gdy idzie o Dartan, to tylko w niektórych miastach. Nawet Grombelard zapewnia podróżnym większe wygody. Możesz mi wierzyć, pani, bo bardzo wiele podróżowałem.

Puścił jej rękę.

Rozwścieczyło ją, że dziki kraj zbójów i pastuchów śmie w czymkolwiek przewyższać Dartan.

– Więc nie będę mogła się przebrać?

– W zajeździe? Raczej nie, chyba że w wielkiej wspólnej izbie, o której mówiłem. Ale ostatecznie możesz, wasza wysokość, podróżować w tej pięknej sukni.

Stała przez chwilę nieruchomo, wreszcie odwróciła się i poszła w stronę budynku. Schowała się za węglem, szybko rozejrzała na boki i zaczęła rozsznurowywać suknię, po omacku szukając wiązań na plecach. Nie umiała tego robić, zawsze korzystała z pomocy służby. A w ogóle ktoś umiał rozsznurować wiązaną z tyłu suknię?! Rozzłoszczona, potargała i podarła materiał; bardziej zwlekła z siebie szatę, niż ją zdjęła. Po omacku wyciągnęła z zawiniątka obcisłe nogawice. Chłodny wiatr spływający po nagim ciele także był czymś nowym, niezwykłym; po raz pierwszy w życiu rozebrała się pod gołym

niebem... Zagryzając wargi, szybko wciągnęła krótką spódnicę, uporała się z nogawicami, wbiła drobne stopy w skórzane trzewiki. Wszystko, o dziwo, pasowało, może tylko obuwie... Ale nie było aż tak ciasne, by nie dało się rozchodzić. Narzuciła jeszcze cienką, jedwabną koszulkę, na to szorstki, wciągany przez głowę futrzany kaftan. Włosy związała w gruby węzeł i przepasała aksamitną wstążką.

Czuła się jak w obcej skórze. Z odrazą wzięła do ręki zimny pas z metalowych kółek i przytwierdzony doń wąski, lekki mieczyk.

– O nie – mruknęła do siebie. – Co to, to nie.

Pochyliła się jeszcze i oddarła od sukni duży kawał materiału. Zwinęła go starannie i po krótkim namyśle zatknęła za spódnicę, pod kaftanem.

Wróciła na majdan. Gold obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– No, nie wyglądasz pani szczególnie pociągająco – zawyrokował ze szczerością, która sprawiła, że zapałały jej policzki. – Ale na pewno będzie ci wygodniej. I cieplej.

Wyciągnęła przed siebie rękę z mieczem.

– Zabierz to! – powiedziała ze złością. – Nie zamierzam potykać się o jakieś żelastwo!

Odebrał broń i przyczepił przy kulbace.

Konie były już gotowe do drogi. Umiejętnie, zapewne po wojskowemu rozłożony bagaż nie obciążał ich zbyt i nie utrudniał jazdy.

– Czas w drogę, pani.

– Jestem głodna.

– Później.

– Jestem głodna!

– Ruszamy w drogę.

Obrażona, nie przyjęła pomocy, którą jej ofiarował. Sama niezdarnie wdrapała się na bydlę, udając, że nie dostrzega uśmiechu setnika.

– Zachowujesz się jak dziecko, pani – powiedział wprost; chyba zawsze wszystko mówił wprost. – Wyjaśniłem już, dlaczego nie możemy sobie pozwolić na zwłokę.

– Ale ja zostałam porwana i nie muszę ci pomagać.

– Nie musisz pomagać, pani, ja zaś nie chcę kneblować cię i wiązać.

– Ośmieliłbyś się?

– Jestem porywaczem.

Wskoczył na siodło.

Zjechali na gościniec, zadudniły kopyta na belkach wąskiego mostu, przerzuconego nad leniwą rzeczulką. Leyna znów poczuła ból w plecach. Monotonny chód konia nużył ją, ale bardzo wątpiła, czy uda jej się zasnąć w siodle. Ziewnęła głośno, wręcz ostentacyjnie.

Gold uśmiechnął się pod wąsem. Chyba znał tylko jeden rodzaj

uśmiechu: lekko ironiczny. Nie widziała go wprawdzie, bo noc była dość ciemna, lecz usłyszała w głosie mężczyzny.

– Widzę, pani – powiedział – że naprawdę traktujesz naszą wyprawę jak jakąś nową rozrywkę, będącą lekiem na trapiącą cię nudę. Ale to nie jest rozrywka i nie zabawa. Prędsiej gra. Już teraz grasz o życie Baylaya, a kto wie, może i swoje własne. I zrozum wreszcie, że nie jestem w tej grze twoim przeciwnikiem.

– Jak to o życie Baylaya? Co mu grozi?

– Jego własna głupota – rzekł ponuro.

– Licz się ze słowami, gwardzisto, mówisz o moim bracie – upomniała zimno. – To ktoś stojący trochę wyżej od ciebie.

– Nie dał mi tego odczuć. Przeciwnie, stale podkreślał, że jestem dlań wzorem do naśladowania. Ale za to wielokrotnie wspominał o twoim przykrym usposobieniu, wasza wysokość.

Nie wiedziała, co na to powiedzieć.

– Dokąd mnie właściwie wieszysz? – zapytała, starając się, by wypadło to zupełnie obojętnie.

– Do granicy Obszaru, wasza wysokość. Do miejsca, gdzie będzie czekał twój brat. Przeczytałaś w liście.

Pokręciła głową.

– Nie pojmuję, dlaczego wciąż kłamiesz? Przecież jestem w twojej mocy, zdana na twoją łaskę i niełaskę... – Urwała nagle, spostrzegłszy, że nieomal lubuje się brzmieniem tych słów.

Rozzłoszczona odkryciem, mówiła głośniej i gniewniej:

– Powiedz wprost, że porwałeś mnie dla siebie, nie opowiadaj mi więcej o Baylayu. Przecież prędzej albo później prawda i tak wyjdzie na jaw.

Światła gospody pozostały daleko za nimi. Było zupełnie ciemno, ale mogłaby przysiąc, że długo patrzył w jej kierunku, nim wreszcie powiedział niegłośno i jakby do siebie:

– Czyżbyś naprawdę była aż tak próżna, pani? Nie jesteś w stanie uwierzyć w żadne wytłumaczenie poza takim, że porwano cię dla twojej urody?

– Owszem, mogę uwierzyć.

– A więc...

– A więc podaj mi, panie, jakieś wiarygodne wytłumaczenie.

– Powinność wobec przyjaciela to nie jest wystarczający powód?

– Powód? Zgódźmy się na chwilę, że Baylay napisał ten list, że naprawdę znasz mojego brata. Rozumiem, że opłacił twoją podróż do Rollayny... Ale zresztą, wasza godność, to wszystko jest tak głupie, że naprawdę szkoda mi słów. Po co Baylay miałby zlecać porwanie własnej siostry?

Wyglądało na to, że Grombelardczyk nie potrafi odpowiedzieć.

– No dobrze. Gdzie i kiedy poznałeś mojego brata? – zapytała z westchnieniem. – List, który mi pokazałeś...

– List rzeczywiście jest fałszywy – odrzekł ciężko.

– O, proszę – powiedziała. – List od...

Wpadł jej w słowo:

– Nie będziemy więcej rozmawiać na ten temat. Opowiem ci, pani, jak było, ale tylko raz. Potem możesz wierzyć w cokolwiek lub nie wierzyć w nic. Mam dosyć słuchania o tym, kto i za ile zlecił mi porwanie.

Zamilkł na moment. Chciała coś powiedzieć, ale znów wpadł jej w słowo:

– Pierwszy raz zobaczyliśmy się w Grombie, w garnizonie. Miałem służbę i przyprowadzono go do mnie, bo żądał rozmowy z komendantem. Zaprosiłem go do siebie, tłumacząc, że musi wystarczyć zastępca. Nawet nie usiadł, tylko od razu zaczął pytać, jak trafić do Złego Kraju. Obejrzałem go sobie od góry do dołu. Wiesz, pani, doskonale, że nie wygląda na zabijakę. Powiedziałem mu o tym i jeszcze coś takiego: „Trzy rzeczy ci wyjaśnię, wasza godność. Po pierwsze, do Kraju nie idzie się w aksamitnych pantalonach, tylko w zbroi i z toporem na ramieniu. Po drugie, jak już ma się ten topór, to trzeba jeszcze umieć nim machać. A po trzecie, do Złego Kraju nie idzie się tak sobie, tylko z jakiegoś powodu. Jeśli chcesz, bym pomógł ci zginąć, powiedz chociaż, w imię czego mam to zrobić”.

Gold przerwał i zamyślił się. Leyna jechała z lekkim, niedowierzającym uśmiechem na ustach. Kopyta końskie stukwały monotonnie.

– Rozzalił się i rozlazł jak baba – podjął po chwili. – To był widok, jakiego nie zapomnę. Widziałem łzy u ojca, gdy umierała moja matka, ale to co innego. Łza nad ciałem kobiety, nad trupem przyjaciela... to nie przynosi ujmy mężczyźnie. Lecz takich kwękań i ubolewań, jakimi uraczył mnie twój brat, nie zniósłbym nawet u dziecka. Nie wierzyłem własnym oczom ani uszom, w końcu powiedziałem, że obojętne mi jego nazwisko i pochodzenie, ma natychmiast wynieść się z terenu garnizonu, zanim zawołam żołnierzy, żeby go wyrzucili.

Gold potrząsnął głową.

– I poszedł. Myślałem, że na tym koniec sprawy. Ale on przyszedł znowu, nazajutrz. Był w nowej lamelkowej zbroi, a w garści trzymał całkiem niezły, chociaż lekki topór. Najpierw ogarnęło mnie zdziwienie, potem złość, a wreszcie śmiech. Ostatecznie wysłuchałem go. Historia uprowadzenia jej wysokości Ilary brzmi niewiarygodnie, ale w Grombelardzie zdarzają się i takie, i daleko dziwniejsze historie.

– Jej godności Ilary – poprawiła chłodno. – Nie przedłużyła małżeństwa, więc wygasło. Uzyskała...

– Pozwól mi skończyć, wasza wysokość! – przerwał ostro. –

Powiedziałem, że nie chcę rozmawiać na ten temat. Przedstawiam powody, dla których jesteś tu ze mną, bo masz prawo i powinnaś je znać. To wszystko.

Zaległo krótkie milczenie.

– Twój brat, pani – podjął, starannie ważąc słowa – ma... ogromny dar zjednywania sobie ludzi. Nie zwykłem ofiarować przyjaźni każdemu, kogo spotkam. A jednak ten człowiek zdobył ją. W Grombelardzie, mówiąc „Dartańczyk”, myślisz „śmieszny tchórz”. Ale on...

Setnik urwał. Nie potrafił mówić o uczuciach i zdawał sobie z tego sprawę.

– Wiesz, pani, że pojechał do Armektu. Nie odnalazł tam żony, wyjechała z pewnym człowiekiem, podobno dobrowolnie. Nie potrafię wyjaśnić, co mędrzec Szerni robił w armektańskiej Rinie, ale wygląda na to, że twój brat, pani, bardzo dokładnie sprawdził uzyskane wiadomości. Brul-Przyjęty, to imię jest dobrze znane w Grombelardzie. Szukając żony, Baylay trafił aż do Grombu. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby skłonić go do porzucenia myśli o wyprawie. Daremnie. Więc pomogłem mu, jak umiałem.

Gold zamilkł na chwilę. Przed rokiem zmarła mu żona. Nie chciał mówić, jak bardzo wspomnienie o niej zaważyło na wszystkich decyzjach, które podjął, by wesprzeć nowego przyjaciela.

– Nie mogąc zmusić go do pozostania w Grombie, ułożyłem plan. Może zły, może głupi... To prawda, pani, sfałszowałem list, Baylay nigdy go nie napisał. Ale opowiadał mi o tobie, więc myślałem... Jeszcze tego samego dnia, gdy wyruszył, poprosiłem o zaległy urlop i pojechałem do Dartanu. Posłałem twego brata do miejsca, gdzie powinien czekać na najlepszą przewodniczkę, jaką znają Ciężkie Góry. Może spotka się z nią, może nie, ale na pewno zajmie to trochę czasu. Tak czy inaczej, najkrótszy obecnie szlak do Złego Kraju zaczyna się w Badorze, a kończy w miejscu, gdzie niedawno wzniesiono silną stanicę obsadzoną przez garnizon Legii Grombelardzkiej. Raczej nie zdążymy przed Baylayem, lecz posłałem list do komendanta tej placówki. Zatrzyma twego brata choćby siłą. Nakazałem, by go zamknął i trzymał, na moją odpowiedzialność, jeśli uzna, że nie ma innego wyjścia. Chcę, byś spotkała się z Baylayem i odwiodła go od tej wyprawy. Jedyne, co może znaleźć w Złym Kraju, to śmierć. Nie wierzę, że ktokolwiek zawiózł tam kobietę. W jakimkolwiek celu.

Zamilkł na moment.

– Ale jednak jeśli i twoja perswazja zawiedzie – podjął – pójdziemy do Obszaru razem z nim. Mój urlop wkrótce się kończy, ale zorganizowałem wszystko w taki sposób, że na Czarne Wybrzeże wyruszy z Baylayem oddział wojska. I ty, pani. To najważniejsze.

– Ja? – zapytała z nieskrywanym rozdrażnieniem.

Przygryzł wargi; nie wierzyła mu.

– Ja? – powtórzyła gniewnie i wyzywająco. – A cóż ja miałabym robić na jakimś Czarnym Wybrzeżu, skoro nawet nie wiem... Jestem kobietą! Przed chwilą usłyszałam: „Nie wierzę, żeby ktoś tam zawiózł kobietę”, zdaje się, że tak powiedziałaś? Mam wywijać mieczem? To akurat Baylay potrafi wybornie, chociaż może o tym nie wiesz, mój panie! – zakończyła z pogardą, śmiejąc się nerwowo.

– Wiem.

Zmarszczył brwi.

– Za to wy, Dartañczycy – dorzucił – nie wiecie nic o niczym, a już zupełnie nie znacie Szerni.

– No dobrze, ale co to ma do rzeczy?

– W Złym Kraju Szerń dotyka ziemi. Sięgnąć do Pasm może tylko Przyjęty albo człowiek mający Porzucony Przedmiot. Jednak Porzucone Przedmioty w Złym Kraju niewiele pomagają, wręcz przeciwnie, ściągają Strażników Obszaru. Przyjętym zaś żadne z nas nie jest. Istnieje jednak trzecia potęga, umożliwiająca wezwanie sił Szerni. Nikt nie wie dlaczego, ale Pasma w obliczu niebezpieczeństw bardzo chętnie wspierają siostry i braci. Przecież jesteś, pani, córką ulubionego kraju Szerni... mieszkasz w mieście noszącym imię najpotężniejszej z jej wysłanniczek. Czyżbyś nigdy nie słyszała o misji Trzech Sióstr? Jak sądzisz, dlaczego Szerń kazała być im właśnie siostrami?

Nic nie powiedziała.

– Powiedz, pani, czy chcesz uratować swego brata? Czy chcesz mu pomóc?

– Posłuchaj mnie, Grombelardczyku – odrzekła poważnie po długiej chwili ciszy. – Ja ci nie wierzę. Nie wierzę. Nigdy w życiu nie słyszałam tak nieprawdopodobnej historii. Porwałś mnie, jak mówisz, żebym porozmawiała z Baylayem? Ależ, mój dobry żołnierzyku (o ile w ogóle nim jesteś, w co zaczynam wątpić), przecież Baylay oddałby cię w ręce Trybunału na pierwszą wzmiankę o tym, że zamierzasz podnieść na mnie rękę! Mam wierzyć, że skazałeś się na twierdzę, byle tylko zmusić mnie do rozmowy z bratem?

– Gdy dojdzie do tej rozmowy, będę oczekiwał raczej twoich podziękowań, pani, nie oskarżeń.

– Gdy dojdzie! Jeśli dojdzie! Jeśli! – zawołała. – Ale czy dojdzie? Rozmowa, bardzo pięknie!

Gold milczał.

Poniekąd miała słusność. Inaczej wyobrażał sobie wszystko, a właściwie... wcale sobie nie wyobrażał. Pojechał do Dartanu właściwie tylko po to, by przypieczętować swą klęskę. Sfałszował list – tylko po to, by mieć czyste sumienie. Chciał powiedzieć sobie: zrobiłem wszystko, co mogłem. W głębi duszy był przekonany, że Dartanka wezwie kilku

służących, którzy srodze go poturbują, a następnie oddadzą w ręce zawezwanych żołnierzy. Wykpiłby się jakoś i wrócił do Grombelardu...

Lecz wszystko potoczyło się inaczej; wszystko zrobiło się samo. Już wtedy, w jej domu w Rollaynie. Co mu strzeliło do głowy? Niemniej jej książęca wysokość A.B.D.Leyna dała się porwać tak skwapliwie i ochoczo, jakby tylko na to czekała.

Bo chyba rzeczywiście tak było. Jak ona to powiedziała?... „Kupię sobie historię, której wszystkie będą mi zazdrościć”.

To nie był świat normalnych ludzi.

– Prędzej czy później – stwierdziła – będziesz sądzony, wasza godność. Ale wciąż masz szansę uniknięcia kary. Nie muszę oskarżyć cię o nic, bardzo wiele mogę puścić w niepamięć. Nie wiem, jakie plany snujesz względem mnie, ale jestem jedyną twoją nadzieją. Spraw, żebym była zadowolona, a... zobaczymy. No? Czy powiesz mi wreszcie prawdę? Kim jesteś i w jakim celu wymyśliłeś tę historię z moim bratem? Widzę, że naprawdę musiałeś go znać. W jakich okolicznościach się zetknęliście? Słucham, nie zamierzam ukrywać, że jestem bardzo ciekawa!

Nagle zaczął rozważać, czy istotnie nie skorzystać z uchylonej furtki. Może naprawdę powinien wymyślić jakąś historię, która spodobałaby się pięknej brance. Mógł jeszcze wycofać się i uciec...

Mógł uciec.

o o o

Gdy zeskoczył z konia i wyciągnął do niej rękę, raczej spadła, niż zsunęła się z siodła. Była nieludzko, potwornie zmęczona. Bolało ją wszystko: nogi, plecy, kark. Powieki miała ciężkie, jak z kamienia. Prawie nie pamiętała, jak ją zaprowadził do straszliwie biednej, na szczęście dość czystej izby, pomógł ściągnąć buty, położył na twardej pryczy i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Wymamrotała coś niewyraźnie i przekręciła się na bok. Zasnęła natychmiast.

Gold obserwował ją przez szparę w niedomkniętych drzwiach, potem wyszedł przed chatę i porozmawiał z drwalem, do którego chata należała. Żaden z nich nie był człowiekiem zamożnym, choć oczywiście zarobki drwala miały się całkiem nijak do żołdu oficera wojsk cesarskich... Targowali się dość zawzięcie, w końcu właściciel chaty odszedł, unosząc sztukę srebra – nie było to dużo, zważywszy, że musiał podzielić się pieniędzmi z pracującym w lesie towarzyszem.

Gold oporządził konie. Nie mógł pozwolić sobie na głęboki i krzepiący sen, w grę wchodziła najwyżej żołnierska drzemka na siedząco. Ale też setnik nie był człowiekiem, którego powaliłaby doba spędzona w siodle; owszem, odczuwał pewne znużenie, ale przecież nie leciał z nóg.

Zbliżało się południe, rozpakował więc juki i przygotował sobie suty

posiłek. Potem przyniósł jeszcze bukłak z winem i usiadł na zrobionej z grubo ciosanego pnia ławie, postawionej przy ścianie domu. Jadł, pił i rozmyślał, wodząc spojrzeniem po szczytach okolicznych drzew.

Zdecydował już, że się nie podda. Nie wycofa. Ale ta Dartanka... Jeśli miał wytrwać w swym postanowieniu, to powinien zachowywać się inaczej. Był wobec niej zbyt uległy, niepotrzebnie pozwalał na kaprysy.

Szorstki grombelardzki setnik umiał zdobyć się na szczerą wobec siebie. Hardość tej władczej pani imponowała mu, choć jednocześnie gardził jej wielkopańskimi nawykami. Nie znał takich kobiet. W jej postępowaniu było coś nieomal... lubieżnego. Piękna kobieta, która wiedziała, że jest piękna, i oczekiwała tylko tego, by to uznawano, podziwiano, żądała hołdów, tak jak cesarski poborca podatków. Złościły go kaprysy, ale znowu – jakże podniecająca była kobieta, która tak kaprysiła! Jednak ten jej obrzydliwy stosunek do przyjaźni, która dla niego była uczuciem prawie świętym; potrafił być w przyjaźni bezinteresowny. Wiedział doskonale, dlaczego w przypadku Dartanki jest inaczej. Ona po prostu nie potrafiła zrozumieć, że ktoś z Domu A.B.D., ktoś taki jak jej brat, mógłby się zaprzyjaźnić z człowiekiem niżej stojącym, choćby mężczyzną Czystej Krwi, choćby nawet oficerem gwardii.

Nigdzie w całym cesarstwie nie przywiązywano do urodzenia tak wielkiej wagi jak w Dartanie, a już w Rollaynie... Armekt wraz z architekturą i sztuką przejął także dartańskie formy towarzyskie, stworzył dwory magnackie w swoich miastach, to prawda. Jednak zawód żołnierza, uświęcony przez tradycje armeckańskie, podwyższał status człowieka. Stopień setnika gwardii stawiał Golda niemal na samym szczycie drabiny; księżęta prowincji, ba, nawet sam cesarz bez żadnej ujmy mogli prosić kogoś takiego do swych stołów. I prosili! Gold dziwił się, że Leyna nie pamięta o tym. Może po prostu nie chciała pamiętać? Pragnęła zachować dystans, patrzeć na niego z góry...

Miała piękne ciało i zepsutą duszę. Chciałby wierzyć, że tak nie jest, a przynajmniej – że tak nie będzie zawsze.

Była siostrą Baylaya. Porwał ją, ale nie potrafiłby spojrzeć Baylayowi w oczy, gdyby jego siostrze spadł włos z głowy. Czuł się za nią odpowiedzialny, lecz nie lubił jej, chwilami prawie nienawidził i... z jakichś powodów nie chciał, by pozostała taką, jaką była.

Zdawał sobie sprawę, że jest intruzem w życiu tej kobiety, że nie ma prawa żądać od niej czegokolwiek. A jednak miał ochotę zażądać.

Zjadł, wytarł ręce o brzeg spódnicy i wygodnie rozparł się na ławie. Oparł plecy o ścianę domu. Przymknął oczy i zdrzemnął się trochę, potem ocknął, zmienił pozycję i znów zasnął.

Był późny wieczór, gdy wszedł do ubogiej izdebki, niosąc zapalony kaganek, jedzenie i bukłak z winem. Zły na siebie, że uległ słabości

i przybiegł do niej z posiłkiem jak służący, położył chleb i wędzone mięso na stole. Uniósł kaganek i przez chwilę patrzył na twarz dziewczyny. Spała jak dziecko, z policzkiem opartym na przedramieniu. Wyglądała tak spokojnie i niewinnie, że nagle odniósł wrażenie, iż widzi ją po raz pierwszy. Ale wygnieciona i podwinięta spódnica odsłaniała długie i kształtne nogi, opięte nogawicami; nie były to nogi dziecka. Zdał sobie sprawę, jak niebezpieczna jest taka uroda. Jej godność A.B.D.Leyna zupełnie jawnie uważała się za najpiękniejszą kobietę Rollayny – i niestety, miała chyba słuszność. Nigdy dotąd nie widział kobiety o takich kształtach, takich włosach, takich rysach twarzy. Nieomal uradował się, znalazłszy skazę: miała zbyt wysoki, nieprzyjemnie brzmiący, ostry głos. Głos jędzy (a zatem w sam raz). Nie była to wada urody – ale jednak.

Dał jej zbyt mało czasu, by mogła należycie wypocząć. Miał poczucie winy. Zbliżył się i lekko dotknął ramienia śpiącej. Potrząsnął. Mruknęła coś, nie otwierając oczu, i przetoczyła się na plecy. Fala gęstych włosów spadła mu na dłoń.

– Czas... czas w drogę, pani – powiedział tak tkliwie, że aż przygryzł usta, zaskoczony brzmieniem własnego głosu.

Raz jeszcze wyciągnął rękę. Mocno, zbyt mocno chyba potrząsnął jej ramieniem. Otworzyła oczy i gwałtownie usiadła na pryczy.

– Jak śmiesz mnie dotykać bez pozwolenia? – zapytała. – Kim ty jesteś? Jeśli chcesz mnie obudzić, to zawołaj, ale ręce trzymaj z daleka!

Jakieś ciepłe, przyjazne słowo, które już miał na języku, spłynęło do żołądka wraz ze śliną.

– Czas w drogę – powiedział szorstko. – Za chwilę masz być gotowa, pani. Na stole jest chleb, mięso i wino, gdy będziesz wychodziła, zabierz bukłak. Czekam przy koniach.

Nagle uśmiechnął się szyderczo, widząc jej zapuchnięte od snu oczy, które chciały być władcze i groźne. Obudzona, wyglądała jak każda inna kobieta: nie najpiękniej. Odkrył, że cieszy go najmniejsza nawet rysa dostrzeżona na tym klejnocie...

Zobaczyła jego uśmiech i wpadła w gniew. Nie miał natury dworaka i nigdy dworakiem nie był – teraz udzielano mu bardzo brutalnych lekcji, jak powinien się uśmiechać, co i kiedy mówić, jak wyglądać.

– Wyjdź stąd – powiedziała. – Nie będę jadła przy tobie.

– O, a dlaczego? – zapytał drwiąco.

– Bo to niemożliwe. W twojej obecności mogłabym najwyżej...

Spokojnie i dokładnie opowiedziała, jak ceni jego towarzystwo i co mogłaby przy nim robić. Nie wierzył własnym uszom; nie rozumiał, jak podobne słowa mają się do Złotej Rollayny, starych dartańskich Domów, sukni, form towarzyskich i wszystkich tych baśniowych historii... Mogłaby iść o lepsze z odbywającymi patrol żołnierzami.

– Będę czekał przy koniach – powiedział, zanim skończyła.

I wyszedł.

Wierzchowce stały osiodłane i gotowe do drogi. Popatrzawszy w rozgwieżdżone niebo, Gold oddalił się nieco od chaty i zawołał. Miał pewność, że drwale dawno już wrócili z lasu i teraz czekali gdzieś nieopodal. Nie pomylił się. Z mroku nocy wynurzyły się dwie czarne sylwetki.

– Możecie wracać do swojego domu – powiedział. – Jeszcze nie teraz, dopiero gdy odjedziemy.

Machnął ręką, ucinając potok podziękowań. Brzydzili go ci ludzie. Doprawdy stokroć wolał dzikich wieśniaków grombelardzkich; nie byli głupszy niż ci tutaj, bo było to niemożliwe, ale przynajmniej mogli stać się niebezpieczni. W Dartanie spotykał tylko głupie wieprze.

Wrócił do koni, myśląc o tym, jak niewiele znaczy pochodzenie. Służąc w Armeckie, pod Północną Granicą, poznał wieśniaków armeckańskich. To nie były zwierzęta! Szanował tych ludzi tak samo jak swoich żołnierzy. Bo też byli w jego oczach raczej jakimś wojskiem nieregularnym niżli chłopstwem. Mieli swoją godność, słuchali starszego wioski, wobec obcych zachowywali się powściągliwie, lecz na uniżoność ci obcy musieli zasłużyć. A przecież pochodzenie wszyscy mieli takie samo: chłopci dartańscy, chłopci grombelardzcy i chłopci armeckańscy. Od czego zależy szacunek, jakim darzy się drugiego człowieka?

Wzruszył ramionami.

Ostatnio zbyt często rozmyślał o sprawach niemających żadnego znaczenia.

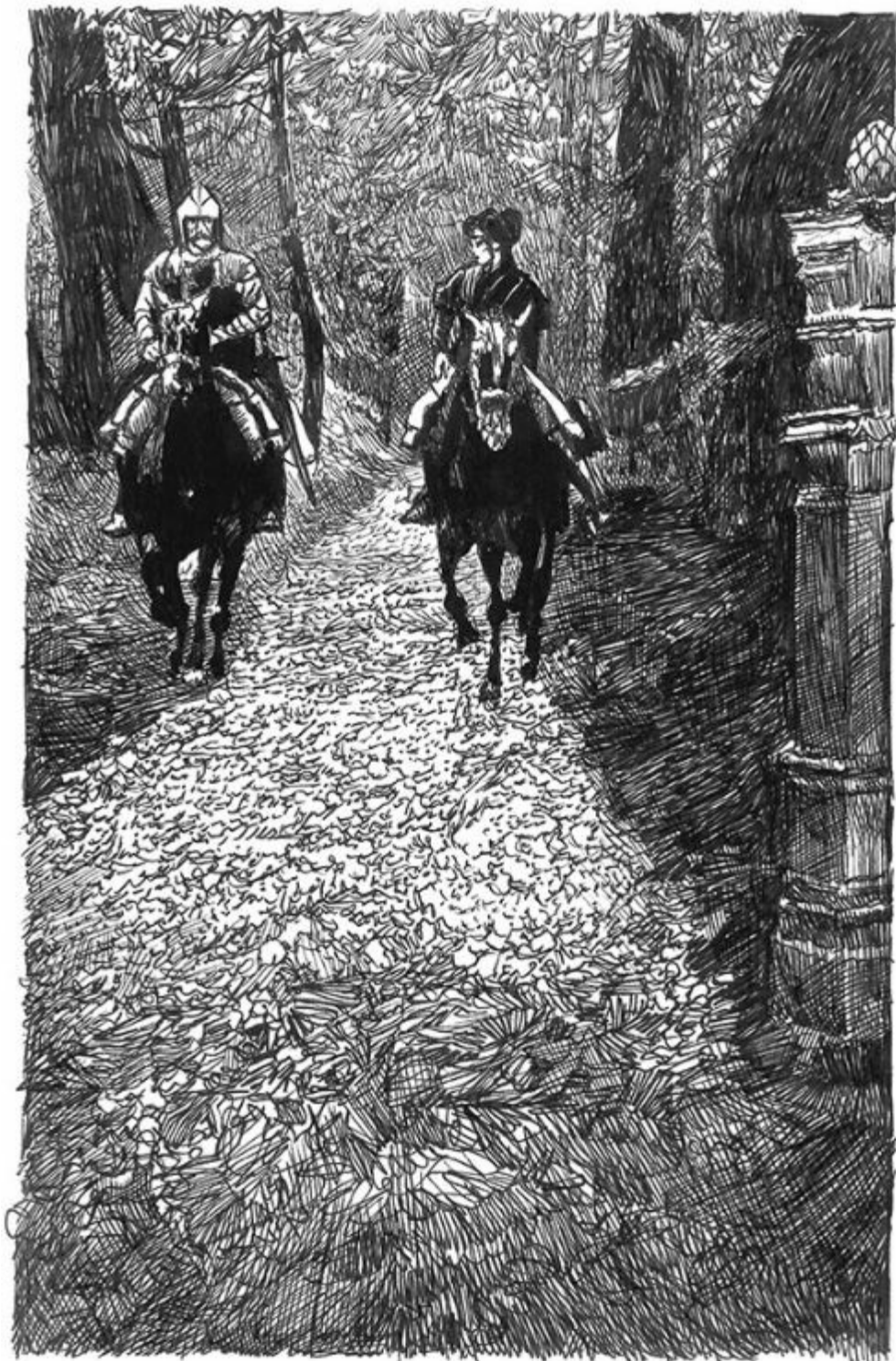
o o o

Z obawy przed pościgiem porzucili główny gościniec. Otaczały ich pola, a jeszcze częściej lasy. Najpiękniejsze lasy Szereru. Liściaste, ale suche, przestronne. Jasne i pełne polan, obfitujące w zwierzynę, gibkie sarny niejednokrotnie zrywały się do biegu, śmigając tuż przed końskimi łbami.

Leyna zachwycała się urodą tych lasów. Tradycja wielkich polowań zastrzeżona była w Dartanie dla mężczyzn, choć nie wszystkie rody tego przestrzegały. Rycerskie rzadziej; magnackie prawie zawsze. Dom A.B.D. nie był wyjątkiem i jego pierwsza dama nie знаła krajobrazów swego kraju.

Prawie nigdy nie podróżowała. Podróże zawsze uważano tutaj za przykrą konieczność; dartański rycerz podróżował tylko wtedy, gdy musiał – nie musiał zaś prawie nigdy, a tym bardziej w towarzystwie małżonki. Jej wysokość A.B.D.Leyna znała tylko Dartan Złotej Rollayny i majątków położonych przy stolicy: Dartan świetnych domów, wielkich nazwisk, hucznych balów i wystawnych uczt; ostatecznie Dartan

zapaśniczych zawodów, konnych wyścigów, turniejów i krwawych aren, gdzie szkoleni do walki niewolnicy zmagali się z dzikimi zwierzętami bądź podobnymi sobie straceńcami. Dartan bezkresnych lasów, szeroko rozrzuconych pól i leniwych rzek był jej zupełnie obcy. Lasy? pola? – ależ miała jakieś dobra tu i tam; pola uprawne dostarczały plonów, a więc złota, lecz trapił się tym jej zarządca lub co najwyżej mąż (jeszcze zanim szczęśliwie owdowiała i wróciła – bogatsza! – do Domu A.B.D.). Ona sama przez dwadzieścia dwa lata życia nigdy nie była w swoich majątkach, bo i po co? Miała oglądać swoich chłopów? Czy patrzeć, jak rośnie zboże?



TPUJ 24

Nigdy nie widziała wielkiej rzeki, morza ani gór.
Gold spokojnie i pewnie wiódł po bezdrożach. Leyna od dawna już

straciła orientację, nie wiedziała, dokąd jada; mogliby kręcić się w kółko.

Często mijali wioski – zwykle dość duże, ale biedne. Chłopi na ich widok pospiesznie odpędzali chmary brudnych dzieciaków, bojąc się, by wrzaski i bieganina nie obraziły podróżnych. Gold ze stale powracającą niechęcią spoglądał na tych zahukanych niewolników – bo byli właśnie niewolnikami, i to najpodlejszego sortu. Dało się ich sprzedać najwyżej razem z wioską i ziemią, bez tej ziemi nikt by nie kupił.

Leyna brzydziła się nawet patrzeć. Letnia chata drwali, w której przenocowali, nie była zwykłym domem, dwaj samotni mężczyźni, uwolnieni od bab, a przede wszystkim od gromady śmierdzących dzieciaków, potrafili utrzymać jaki taki porządek. Zresztą była tak zmęczona, że nawet nie obejrzała wnętrza domu. Ale teraz przerażała ją myśl, że następny nocleg wypadnie w jakiejś wsi.

– Pod gołym niebem – krótko odparł Gold, gdy zapytała. – Będziemy nocować pod gołym niebem, wasza wysokość.

– A jeśli spadnie deszcz? – zapytała, przerażona do tego stopnia, że zapomniała się obrazić.

– Zbuduję szałas – powiedział.

Zrozumiała, że mężczyzna kpi sobie z niej – i wpadła w gniew. Spokojnie przeczekał wybuch.

– To moja wina – powiedział na koniec. – Przyzwyczaiłem cię do słowa „pani”, tytułowałem wysokością, a nie należało tego robić. Jedziemy do Grombelardu, a ty wciąż zachowujesz się tak, jakbyś była na przyjęciu wydanym przez któryś z wielkich Domów Rollayny.

Patrzyła z otwartymi w bezbrzeżnym zdumieniu ustami.

– Spójrz. – Wskazał przed siebie. – Czy widzisz jakąś drogę? Nie widzisz, bo jej nie ma. Ale wkrótce wrócimy na gościniec, a wtedy zobaczysz, jak bardzo jest popękany i nierówny. A od grombelardzkiej granicy będzie to jedyny szlak, łączący cały Szerer z Badorem, Grombem i Rahgarem. Trakt, owszem, ale za Sępią Przełęczą już tylko z nazwy. Jest to taka droga, na której konie łamią nogi, a wozom pękają koła. Niedaleko zresztą mogą dojechać, bo tylko do Badoru. Potem już nie ma żadnej drogi, jest tylko ścieżka, a dokoła góry. Zresztą nie jedziemy nawet do Badoru, ścieżka zacznie się wcześniej... i skończy. Będą bezdroża.

– Czy ty... naprawdę chcesz mnie zawieźć do tego Grombelardu?

Uśmiechnął się ironicznie i już miał odpowiedzieć, gdy spojrzał na jej twarz. Zrozumiał nagle, że gotowa jest mu wreszcie uwierzyć i... rzucić się do ucieczki. Gotowa krzyczeć, walczyć i płakać, gryźć i kopać, gdy ją pochwyci. Dotarło doń, że podróżują tak spokojnie, bo dartańska piękność wciąż sądzi, iż została porwana dla okupu albo z powodu urody. Naprawdę wierzyła w istnienie jakiegoś świętego domu, do którego trafi już jutro, a najdalej pojutrze wieczorem, i będzie tam

więziona rozkosznie i uroczo, jak księżniczka z dartańskiej legendy. Otoczona niewolnikami, adorowana. Szorstki porywacz-rozbójnik przeobrazi się w wykwintnie odzianego mężczyznę, stosującego straszliwą przemoc w sypialni...

Wezbrał mu w piersi dziki śmiech; nie wyobrażał sobie dotąd, że istnieją na świecie aż tak próżne kobiety! A przychodziło na myśl lepsze słowo: głupie. Przecież historia Baylaya, w którą nie umiała uwierzyć, była aż siermiężnie wiarygodna na tle tego, co sobie uroiła jej wysokość Leyna!

Przyjął wreszcie do wiadomości, że oto dotarł do rozstajnych dróg: albo po raz kolejny potwierdzi, że jadą na pomoc Baylawowi, a wtedy będzie zmuszony wieźć ją związaną i zakneblowaną – albo w końcu zacznie kłamać.

– Przebacz mi, wasza wysokość – powiedział, odwracając spojrzenie. – Bałem się powiedzieć ci prawdę, bo czeka nas jeszcze długa podróż. Czy obiecasz mi, że jeśli powiem, dokąd jedziemy, nie spróbujesz ucieczki?

Nie był przygotowany na tak żywiołową reakcję. Piękność poróżwiała na policzkach i zdawało mu się, że słyszy, jak mocniej uderza jej serce.

– Zastanowię się – powiedziała mocno stłumionym głosem. – To będzie zależało od tego, co powiesz.

Przymknął na chwilę oczy, a potem zaczął wygadywać niesłychane głupstwa, które koniecznie chciała usłyszeć jego branka.

ROZDZIAŁ 4



Baylay przeskoczył wąski, zmierzający ku przepaści strumień i stanął przed czymś, co Łowczyni nazwała najpierw chatką, a potem ludzką sadybą. Druga nazwa była o wiele trafniejsza: miał przed sobą drewnianą ścianę z drzwiami i krzywym oknem; owa ściana wbudowana była w litą skałę, zamykając, jak się zdawało, wylot jaskini lub obszernego zagłębienia.

Okolica nie była ani mniej, ani bardziej ponura niż zazwyczaj w tych stronach. Jak wszędzie w Ciężkich Górach: skały, skały i skały. Ale ta ściana z poczerniałych od wilgoci desek, zbudowana nie wiadomo jak dawno i przez kogo, wydała się Baylawi dziwnie niesamowita. Nieprzyjazna.

Zrobił dwa kroki w stronę drzwi. Chciał zawołać, ale naraz wydało mu się to niewłaściwe.

Stare deski patrzyły nań krzywymi ślepiami sęków.

– Hej, jest tam kto? – raczej zapytał, niż zawołał.

Użył kinenu. Grombelardzkiego nie znał; zapamiętał dotąd tylko kilka słów.

Drzwi otwarły się po chwili i Baylay zobaczył przed sobą siwowłosego starca. Twarz i oczy budziły szacunek dla sędziwego wieku, ale wyprostowana sylwetka przywodziła na myśl raczej mężczyznę w średnich latach.

– Witaj, podróżny, kimkolwiek jesteś. Raduję mnie każde odwiedziny.

Baylay starał się nie okazać zmieszania. Nie próbował dociekać, kim jest gospodarz domu-jaskini, ale od razu zyskał świadomość, że to postać nietuzinkowa. Słowa zostały wypowiedziane w języku, którego sam użył przed chwilą, czyli w kinenie, uproszczonym armeckańskim, ale ten człowiek niewątpliwie znał także wysokie formy armeckańskiego. Bo mowa zdobywców Szereru, bardzo piękna i trudna, miała liczne odmiany. Armeckański, którego używano na co dzień, bardzo różnił się od tego, który służył do podniosłych opisów; ten drugi, wysoki armeckański, zawierał setki, o ile nie tysiące słów używanych tylko przy specjalnych okazjach. Powiadano, że nikt na świecie nie zna wszystkich

uroczystych i odświętnych określeń występujących w tym języku... Ale starzec z górskiej chaty na pewno obcował z wysoką mową, a przynajmniej czystym armektańskim. Zbudował zdania tak, jakby to był kinen, ale już pierwsze słowo, którego użył, nie należało do tego szkieletowego języka.

Inti, wykładane jako „witaj”, było czymś więcej niż tylko powitaniem i zaproszeniem. Także zapewnieniem: nie przeszkadzasz, dysponuj moim czasem. Tak się wita oczekiwanego przyjaciela.

– Pozdrawiam cię, panie – rzekł Baylay, posługując się armektańskim w pełnym brzmieniu. – Zdaje mi się, że niewygodny kinen możemy zostawić na użytek grombelardzkich górali... Czy się mylę?

Starzec uniósł brwi i roześmiał się szczerze.

– Żaden prawdziwy grombelardzki góral nie umie porządnie mówić nawet w swoim własnym języku – odparł. – Wejdz, wejdz do mnie, wędrowcze, zapraszam! Nigdy dotąd nie gościłem Dartańczyka!

Baylay skorzystał z zaproszenia.

– Czy to akcent mnie zdradził? – zapytał, przekraczając próg.

– Prawie nieuchwytny – potwierdził Starzec. – Ścisłe mówiąc, domyśliłem się tylko, że nie jesteś, panie, Armektańczykiem. A ponieważ nie jesteś też synem tego oto miłego kraju, to kim możesz być?... Przyznasz słuszność mojemu rozumowaniu?

Baylay skinął głową z uśmiechem.

– W tej części gór nazywają mnie po prostu Starcem – powiedział gospodarz, zamykając drzwi. – Ostrożnie, młodzieńcze... Łatwo tu się potknąć i przewrócić.

Baylay posłuchał ostrzeżenia i poczekał przy drzwiach, aż oczy przywykną do panującego w jaskini półmroku. Bo istotnie była to jaskinia, i to nawet bardzo obszerna, chociaż zagospodarowano tylko jej kawałek. Kwadratowe okno wpuszczało sporo światła, więc już po chwili Baylay mógł przyjrzeć się wyposażeniu „izby” – bo tak chyba należało nazywać mieszkalną część sadyby. Tuż przy oknie stał wielki, mocny stół, zasłany gęsto zapisanymi kartami. Obok kart leżały cztery grube księgi; następne cztery położono na solidnym zydlu, stojącym przy stole. Baylay, nie kryjąc zaskoczenia, rozglądał się dokoła. Zwoje wyglądały z otwartej skrzyni, postawionej pod ścianą, a na szerokiej ławie ułożono je w piramidki. Na półkach wielkiej szafy, postawionej w głębi, zebrano garyjskie pliki – stosy kart w specjalnych stelażach, rzadko widywane poza Morską Prowincją. Baylay ledwie zauważył szerokie i chyba dość wygodne łóżko, palenisko pod skalnym kominem, jeszcze kilka ław i parę zamkniętych skrzyń. Całą jego uwagę pochłoneły zwoje, pliki i księgi. Szczególnie te ostatnie stanowiły okazały majątek! Kim był samotny starzec z gór, nieobawiający się o swoje zdrowie i życie w dzikim kraju, gdzie dla sztuki srebra człowiek gotów był zabić

drugiego?

– Jak zdołałeś zgromadzić tyle ksiąg, panie? – wyrwało się Dartańczykowi. – Nie obawiasz się o swoje życie? Trzymasz tu istną fortunę!

Starzec spoczął na ławie i uśmiechnął się wyrozumiale.

– Istnieją na świecie daleko obszerniejsze księgozbiory – powiedział, puszczając mimo uszu drugie pytanie. – Dziś w Armeckie zwłaszcza zwoje są bardzo rozpowszechnione, a i księgi nie mają takiej wartości jak kiedyś. Ale usiądź, młodzieńcze. Czy jesteś głodny lub może spragniony? Niestety, wino skończyło mi się przed paroma dniami, może być tylko woda.

Baylay usiadł na niskim zydelku i podziękował za poczęstunek. Rozejrzawszy się dokoła, położył swój worek i miecz na wieku stojącej obok skrzyni.

– Aż dwoje ludzi skierowało mnie do ciebie, panie – powiedział – a mimo to nie wiem, czy dobrze zrobiłem, przychodząc.

Starzec ożywił się.

– Nie zbłądziłeś więc tutaj przypadkiem, szedłeś do mnie.

– Tak, panie. Drogę do ciebie wskazał mi przyjaciel, ale zbłądziłem. Lecz wczoraj wieczorem spotkałem kobietę, która... powiedziała, żebym się na nią powołał. – Baylay nie wiedział, jak wyjaśnić, że Gold skierował go tutaj, by pytał o przewodniczkę, którą właśnie obraził przy wieczornym ognisku.

Na wzmiankę o spotkanej kobiecie Starzec spojrzał uważniej.

– Ach, więc to tak... – powiedział z lekkim zdziwieniem. – No, prawdę rzekłszy – mruknął zrzędlawie, jakby sam do siebie – najwyższy już czas, by pokazała, że żyje. Kim jesteś, panie – zapytał głośnie, z ledwie uchwytną ironią – że sama Królowa Gór jest ci przyjazna? Bo to ona, Łowczyni, czy tak?

Baylay potwierdził.

Starzec pokręcił głową.

– Pierwszy raz podejmuję u siebie jej protegowanego – mruknął żartobliwie. – Ale słucham cię, panie, słucham cię!

– Kiedy to już wszystko. Bardzo potrzebuję przewodnika albo przewodniczki. Szedłem do ciebie, panie, by prosić o pomoc w odnalezieniu Łowczyni.

– Ale zdaje się, że już ją odnalazłeś? Czy nie powiedziałeś...?

– Nie od razu ją rozpoznałem – pospiesznie wyjaśnił Baylay. – Dopiero gdy odeszła.

– Wybierasz się dokądś?

– Do Złego Kraju, panie.

Starzec zmarszczył się.

– To dziwne – rzekł. – Nie wydaje mi się, byś był, panie, człowiekiem

wędrującym do Romogo-Koor... do Złego Kraju po skarby albo dla przeżycia byle jakiej przygody.

– Rzeczywiście, nie idę tam bez powodu. Bo skarby i przygody znaczą dla mnie tyle co nic. Jestem, wasza godność, zamożny, a nawet bogaty, przygód zaś szczerze nie lubię. Uważam, że przeżyłem ich w życiu aż nadto.

Zaległa krótka cisza.

– Wasza godność, otóż jestem człowiekiem naprawdę bardzo ciekawskim – rzekł wreszcie bez ogródek Starzec. – Ale jeśli pytam o cel twojej drogi, to przede wszystkim dlatego, że może mógłbym ci pomóc. Tak się składa, że wiem bardzo dużo o Romogo-Koor (wybacz, panie, ale ów „Zły Kraj” nigdy nie chciał mi przejść przez gardło). Mogę pomóc.

Baylay pochylił głowę. Z jakichś powodów wydawało mu się, że do mieszkańca tej jaskini warto mieć zaufanie. Zagryzł wargi, a potem rzekł krótko, po męsku, tak jak powiedziałby Gold:

– Jak już wiesz, wasza godność, pochodzę z Dartanu. Miałem... mam żonę, którą mi porwano. Porzuciła mnie przed rokiem. To Armektanka, nie potrafiła przywyknąć do dartańskiego sposobu życia...

Starzec przerwał mu łagodnie:

– Powoli, synu... Do życia nie mogła przywyknąć? Czy do ciebie?

Przenikliwość tego człowieka sprawiła, że Baylay poczuł się śmieszny. Poczzerwieniał.

– Do mnie. Masz rację, panie. Pogardzała mną.

Zamilkł. Starzec nie ponaglał go.

– Chciała – rzekł Baylay – żebym był taki jak Armektanci. Ale ja... nie rozumiem i nie cenię armeктаńskich zwyczajów i tradycji, nie imponuje mi kult miecza i łuku, oręża. Miała mi to za złe, kpiała ze mnie. Uważała, że nie mam w sobie nic z mężczyzny. Ale czy żeby być mężczyzną, trzeba koniecznie nosić miecz?

Patrzył Starcowi w twarz, szukając potwierdzenia wątpliwości. Ten jednak pokręcił głową.

– Nosić? Nie, nie trzeba. Ale w razie potrzeby trzeba umieć go trzymać, młodzieńcze.

Dartańczyk skinął głową.

– Nauczyłem się trzymać miecz, panie – rzekł z nieoczekiwaną godnością i spokojem. – Umieję go trzymać, ale na co dzień nosić nie będę. Ożeniłem się z Armektanką świadom różnic między naszymi krajami. Ale nie może być tak, wasza godność, że i w Armeckie, i w Dartanie będę miał tylko Armekt. Zrobiłem wszystko, czego ode mnie żądała, prosząc w zamian tylko o jedno: by nie wystawiła mnie na pośmiewisko.

– I zostałeś wystawiony, wasza godność, niech zgadnę.

– I zostałem wystawiony. Nasze małżeństwo wygasło po okresie

próbny, tylko tyle miała mi do powiedzenia. Że już nie jest moją żoną i wraca do Armektu. A ja... ja zostałem w Dartanie. Żonaty mężczyzna bez żadnej władzy nad żoną...

Starzec skinął głową, przyjmując upokorzenie Dartańczyka.

Była to historia żalсна, a jednocześnie banalna. Armekt narzucił swoje prawa wszystkim podbitym krajom; większość tych praw respektowano, ostatecznie nie były takie złe. Najgorzej rzecz się miała ze sprawami tyczącymi obyczajów. Dartańczycy nigdy nie przyjęli do wiadomości rozwodów, a już armektańskie małżeństwo na próbę w Pierwszej Prowincji istniało tylko formalnie. W Armekcie młodzi wiązali się najpierw na okres roku, nikt nie mógł nikogo poślubić dożywotnio. Po roku każde małżeństwo wygasało samo i należało je przedłużyć (tym razem już bezterminowo) albo nie, nieprzedłużenie zaś uważano za rzecz całkiem normalną. W zamian raczej krzywo spoglądano na parę, która w okresie próbnym decydowała się na potomstwo – dla Armektańczyka był to przejaw niefrasobliwości, nieodpowiedzialności albo wręcz głupoty. Lecz w prowincjach inaczej widziano te sprawy. Garyjczycy tradycyjnie negowali wszystko, co kontynentalne, a zwłaszcza narzucone przez Armekt, i powiadano, że gdyby istniał dowód, iż nogi do chodzenia wymyślili Armektańczycy, to wyspiarze chodziliby na rękach. Natomiast w starym Dartanie armektańskie obyczaje małżeńskie miano za dziwaczne, a sposoby spędzania płodu – jeśli mimo starań doszło do niechcianej ciąży – za niesmaczne i przeciwne naturze; już choćby tylko dlatego małżeński okres próbny w ogóle nie miał sensu, skoro przychodziły wówczas na świat dzieci i małżonków łączyły powinności rodzicielskie. Dożywotni związek mężczyzny i kobiety pieczętowała w Dartanie przysięga, w której powoływano się na honor i pamięć o przodkach; o żadnych okresach próbnych, a później listach rozwodowych nie było nawet mowy. Kosztem niesłychanych starań i pieniędzy dało się czasem małżeństwo unieważnić. Niemniej armektańskie prawo jednak istniało i było jedno dla całego Wiecznego Cesarstwa, stąd dochodziło czasem do skandali, zwłaszcza w małżeństwach mieszanych – a najczęściej wtedy, gdy z Armektu pochodziła kobieta. Starzec rozumiał położenie młodego Dartańczyka, który w oczach swoich ziomków był zwyczajnym rogakzem; był nikim dla swojej kobiety! Prawowita żona, powołując się na cudaczne, narzucone prawa, porzuciła go i robiła, co tylko chciała... i z kim tylko chciała. Najzupełniej bezwstydnie i jawnie. Tak to postrzegano.

– Pojechałem do Armektu, żeby ją odzyskać. I odzyskałem, wasza godność. Może los to sprawił, lecz nadarzyło się kilka okazji, gdy mogła oprzeć się na mnie. To bardzo piękna i lekkomyślna dziewczyna. – Baylay żarliwie usprawiedliwiał postęпки żony, które w oczach Starca

usprawiedliwienia wcale nie wymagały, a nawet nie były postępami. – Pomogłem jej pozbyć się... wielu różnych kłopotów. Ale nie ustrzegłem przed prawdziwym niebezpieczeństwem. Została uprowadzona.

– I sądzisz, że zabrano ją tutaj? Akurat do Grombelardu?

– Tak uważam, choć nie mam pewności.

– Ale podejrzenia? Skąd się wzięły?

– Znam tożsamość człowieka, który uprowadził Ilarę.

– I któż to taki?

– Grombelardzki mag, panie. Mędrzec-Przyjęty.

Gospodarz jaskini odchylił się na zydlu, oparł o ścianę i jął spoglądać tak, jakby usłyszał dziwaczny dowcip.

– Czyś tego pewien?

– Niestety tak. Znam nawet jego imię.

– I brzmi ono...

– Brul.

Starzec w milczeniu oglądał Dartańczyka.

– Przypuśćmy – rzekł po długiej chwili – że nie mylisz się, młody panie. Bo jest coś, co sprawia, że mógłbym uwierzyć w twoje słowa. Więc przypuśćmy, że nie mylisz się. Lecz teraz? Czy dobrze rozumiem, że zmierzasz do Romogo-Koor, by rozprawić się tam z lah'agarem, który zabrał ci żonę? Czy jesteś zdrow na umyśle, młodzieńcze? Czy jesteś zdrow na umyśle? Nie obrażaj się o to pytanie.

– Skierowano mnie, panie, do ciebie – rzekł z wysiłkiem Baylay – bym pytał o przewodniczkę... Zdaje się jednak...

– Zdaje się jednak – rozbrzmiał spokojny głos od drzwi – że potraktowałeś ją wczoraj niczym śmieć.

Obejrzeni się – Baylay szybko, gospodarz niespiesznie. Kobieta uśmiechnęła się do Starca i złożyła na stole swoje rzeczy, a potem podeszła do rozmawiających.

– Brul-Przyjęty, czy dobrze słyszałam? – mruknęła, po czym ciągnęła po grombelardzku: – Sam powiedz, ojcze, czy myślałeś, że z ust tego tu chłopca usłyszysz potwierdzenie niektórych swoich przypuszczeń? Brul naprawdę oszalał!

– Co się stało? – zapytał Starzec, puszczając mimo uszu to, co powiedziała. – Podejź.

Obejrzał jej głowę. Dopiero teraz Baylay zauważył, że na policzku kobiety widnieje mała smużka zaschniętej krwi, o której chyba nie wiedziała. Zaraz się okazało, że włosy na potylicy też ma zlepione krwią.

– Przewróciłam się – wyjaśniła z nieokreślonym grymasem. – O kamień.

– Nie pleć głupstw! – powiedział karcąco, po czym też przeszedł na grombelardzki. – Mogłabyś pojawiać się tu nieco częściej – napomniął. – Kto ci rozbił głowę? Przecież chyba nie on?

– To żółtodziób, ojciec – odpowiedziała, spoglądając na Baylaya. – Palił tak wielkie ognisko, że aż poszłam do niego, by na własne oczy zobaczyć największego głupca w Ciężkich Górach. Ktoś mu naopowiadał, że to bezpieczna okolica. I dobrze, że uległam ciekawości. Pewnie już by nie żył.

– Rozbójnicy?

– Kilku. Wielka rzadkość o pół dnia drogi od Paszczy, prawda? – mruknęła sarkastycznie. – Pobiłam się z hersztem, potem zobaczył mój łuk... No, a jak już mnie poznał, to poszli.

– I to wtedy cię ranili?

Wzruszyła ramionami i nagle parsknęła śmiechem.

– Nie. Ja dzisiaj rano naprawdę wyrznęłam głowę w skałę.

Popatrzyła na Dartańczyka. Rozglądał się po izbie, nie pokazując po sobie, iż rozmowa prowadzona w obcym języku jest mu przykra.

– Podśluchiwałam pod drzwiami – wyznała bez skrępowania. – Ale opowieść, hi!... Gdyby mówił to ktoś inny, pomyślałabym, że zmyśla bądź oszalał. Ale taki... Dartańczyk? – Znowu się zaśmiała z właściwą sobie chrypką. – Okropnie musiał zależeć za skórę tej dziewczynie. A jednak może i go poprowadzę do Obszaru.

Starzec popatrzył pytająco.

– Pierwszy raz spotykam człowieka – wyjaśniła – który idzie tam z jakiegoś naprawdę ważnego powodu. To nawet obojętne, czy rzeczywiście tam jest jego żona. Ważne, że szuka żony. Chodzą tam różni, najczęściej po skarby, po sławę albo z głupoty... Ale po żonę? – Pokręciła głową. – Bawiłam się już parę razy w przewodniczkę, przecież wiesz. Teraz też przydałoby mi się trochę srebra. A i cel szlachetny... – zakpiła, ale nie złośliwie.

– Cel szlachetny, a mężczyzna niebrzydki – skwitował Starzec. – Takich nie spotyka się w górach. Przydałoby się trochę srebra i kawałek mężczyzny też.

Zarumieniła się lekko, ale nie obraziła.

– No pewnie – przyznała bezwstydnie.

– Idź do Grombu, Armektanko, albo do Badoru.

– Tak, tak... – mruknęła. – Idź się wyszumieć, Karo, bo armektańskie głupoty ci w głowie. Ale Kara nie może iść do miasta, bo nie ma srebra, ojciec. Nie ma nawet tyle, żeby się upić, a cóż dopiero wyszumieć.

– Ja też nie mam srebra, bobym ci dał.

– Widzisz więc, że muszę zapracować. I to tyle, żeby starczyło dla nas dwojga, bo jak jutro skończą ci się zapasy, to będziesz jadł swoje księgi, ojciec.

– Ten chłopiec idzie po śmierć – zauważył Starzec.

– Może to nieprawda, że Brul zabrał mu żonę?

– Kiedy otóż, widzisz, wiem, że Brul naprawdę był teraz w Armekcie.

Pomysł, że udał się tam po kobietę, jest co prawda zupełnie bez sensu – przyznał. – Nie bardziej jednak niż jakikolwiek inny powód. Nie bardziej niż inny powód, córeczko. Czy wiesz, kiedy wcześniej Brul był w Armeckie? – zagadnął, nie oczekując wszakże odpowiedzi. – Wtedy co i ja.

Nawet nie próbowała dociekać, przed iloma laty mogło to mieć miejsce. Na pewno jeszcze zanim przyszła na świat. Zmarszczyła brwi, rozważając coś w skupieniu.

Starzec zaczął chodzić po swojej jaskini.

– Od wielu lat – powiedział – nurtuje mnie podejrzenie, że on oszalał. Notatki, które mi przysłał... Oszalał! Szerer widział już prawie wszystko. Ale jeszcze nie widział szaleństwa człowieka przyjętego przez Pasma.

– A Moldorn? – zapytała.

Zachnął się.

– To bajka, zmyślenia... Zadurzył się i tyle.

– W Przyjętej.

Niecierpliwie machnął ręką.

– Przestań, dziecko. Slava-lah’egri istotnie żyła na świecie i o niej akurat wiem sporo. Wiem sporo. Lecz nigdy nie miała takiego znaczenia, jakie się jej przypisuje, a Moldorn... Zostaw te bajki i daj mi pomyśleć o Brulu.

Wyjęła strzałę z kołczanu i z namysłem obracała ją w palcach. Po długiej chwili, gdy cisza przedłużała się, rzekła:

– Mówiłeś, ojcze, że powinieneś jeszcze iść do Obszaru. Chciałeś porozmawiać z Brulem.

– Zdaje mi się, że do czegoś zmierzasz?

– Jesteś Przyjętym, ojcze – powiedziała, wciąż bawiąc się strzałą. – Gdybyś zechciał...

– Byłem Przyjętym, dziecko. Byłem, lecz już nie jestem.

– Ale mówiłeś, że chcesz jeszcze raz iść do Obszaru. Może teraz?

Uśmiechnął się nieoczekiwanie.

– Może teraz – odparł ironicznie, ale zaraz spoważniał. – Ale może lepiej kiedy indziej. Jakże to sobie wyobrażasz? Pójdziemy we troje, tak? Ty poprowadzisz przez góry, a ja przez Obszar, czy tak? Po czym powiemy: to tutaj, chłopcze, masz zginąć, tu oto siedzi Brul. Załatw zatem szybko swoją sprawę, bo Dorlan i Brul mają do pomówienia.

– Nie mówiłam, że wejdziemy do Obszaru razem z nim – powiedziała zmieszana.

– Twoim zdaniem powinniśmy rozstać się z tym chłopcem na granicy?

– Nie... nie wiem... Myślałam, że może mógłbyś porozmawiać z Brulem o tej dziewczynie... no, o tej jego żonie.

Starzec westchnął.

– Wygląda na to, że Brul naprawdę oszalał. O czym mogę rozmawiać z szaleńcem? Pomyśl tylko: największy z żyjących mędrców Szerni jeździ do Armektu, by porwać jakąś dziewczynę!

– Największym mędrcem Szerni jesteś ty, ojciec – powiedziała szybko.

– Byłem! – odparł z gniewem, którego nie oczekiwała. – Byłem! Musiałem odstąpić od Szerni i dobrze wiesz dlaczego!

Zacisnęła usta.

– Tak, wiem.

Starzec złagodniał.

– Przebacz mi, córeczko – powiedział, dotykając dłonią jej policzka. – Nie powinienem tak mówić. Ale oto kolejny dowód, że nie jestem tym, kim byłem kiedyś.

Zaległa cisza. Łowczyni bawiła się strzałą, Starzec obserwował milczącego Dartańczyka. Jakby to wyczuwając, Baylay uniósł na chwilę spojrzenie. Stary mędrzec ujrzał poważne, skupione oczy młodego człowieka, który wiedział, że mówią o nim, choć nie rozumiał słów. Była w tych oczach dawno powzięta, niewzruszona decyzja... Ten mężczyzna szukał przewodniczki i potrzebował wsparcia, ale było oczywiste, że jeśli nie znajdzie jednego ani drugiego, to i tak pójdzie swoją drogą, by uczynić, co postanowił. Obojętne mu było, jak bardzo dziwaczne i nieprawdopodobne są przyczyny, dla których wyruszył w swoją podróż.

– Dziwny los zesłał tu tego człowieka – rzekł, wciąż po grombelardzku, Starzec. – Nie wierzę w przeznaczenie, ale wierzę w szczęśliwe przypadki. Oczywiście masz rację, Kareniro: jeśli zamierzam iść do Romogo-Koor, tak jak zapowiadałem, to teraz albo nigdy. Skoro można załatwić dwie sprawy w miejsce jednej, to należy tak właśnie uczynić. Czy na pewno chcesz prowadzić Dartańczyka przez góry? Ja już jestem na to za stary i powiem wręcz, że sam potrzebuję przewodniczki, albo raczej opiekunki. Bo nie tyle kogoś, kto pokaże mi drogę, ile życzliwej a pomocnej dłoni, ciągnącej po bezdrożach moje stare gnaty. Zaprowadzisz mnie do Obszaru, córeczko? Już dawno chciałem o to poprosić, ale zawsze byłaś taka zajęta.

– Przecież ty żartujesz sobie ze mnie, ojciec? – powiedziała.

– Bynajmniej.

– No to... przecież ty nie jesteś mędrcem, tylko... – powiedziała ze złością. – Dlaczego nie kazałeś się prowadzić? Czym byłam tak bardzo zajęta?

– Życiem, córeczko, samym życiem. W moim wieku inaczej widzi się sprawy młodych. Twoje bezcelowe włóczęgi po górach są może stokroć ważniejsze od wszystkich wypraw starych dziadów.

– Nie, nie będę tego słuchać – powiedziała. – Zajęta. Włóceniem wielkiej, grubej dupy po skałach.

Uśmiechnął się. Wielkiej i grubej?...

– Powiedz temu Dartańczykowi – wskazała palcem – że znalazł przewodniczkę i zyskał sojusznika wartego tyle, co wszystkie legie cesarskie razem wzięte.

Znowu uśmiechnął się pod nosem i spojrzawszy na Baylaya – nieoczekiwanie przemówił po dartańsku:

– Pójdziemy z tobą, synu.

Młody mężczyzna drgnął i uniósł rozjaśnioną nagle twarz, nie próbując ukryć przyjemności, jaką sprawiło mu brzmienie ojczystego języka. Ale zaraz dotarł doń sens wypowiedzi i dla odmiany zmieszał się wyraźnie, bo pomyślał, że gospodarz prawdopodobnie słabo zna dartański i stąd przejęzyczenie...

Starzec uśmiechnął się, widząc te rozterki, i mówił dalej, już po armektańsku:

– Jutro czeka nas ciężka praca. Trzeba będzie zabezpieczyć moje księgi i zapiski. Cały ten majątek, który tak cię zdumiał. Jest tu miejsce, gdzie można to ukryć.

Wątpliwości zostały rozwiane i teraz Baylay, nieznający przecież treści dopiero co przeprowadzonej rozmowy, patrzył z największym zdumieniem na ludzi, którzy nagle podjęli decyzję, że rzucą wszystkie swoje sprawy i zajęcia, by iść na niebezpieczną wyprawę z człowiekiem, którego w ogóle nie znają.

– Nie... nie pojmuję tego – powiedział.

Spojrzał na przewodniczkę; chciał rozmówić się z nią o zapłacie, ale wyczuł, że nie teraz, że będzie na to czas później.

– Zamierzacie więc oboje zostawić wszystko i iść ze mną? Dlaczego, na Szerń? Dlaczego to robicie?

Kobieta wzruszyła ramionami, uznając widać, że tak błahe pytania nie są warte odpowiedzi. Starzec uśmiechnął się i wyjaśnił:

– Zostawić wszystko, powiadasz? Co zostawić, mój młody przyjacielu? Te księgi? Poczekają! Moja wolność polega na tym, że w każdej chwili mogę iść choćby do Kirlanu, by zakupić sobie gęsie pióro. Oprócz tej wolności właściwie nic więcej nie mam. Zabiorę ją ze sobą, młodzieńcze. Zabiorę ją ze sobą.

Łuczniczka pokazała gestem, że jest to i jej wyjaśnienie.

– Ponadto, a nawet przede wszystkim, znam człowieka, którego imię wymieniłeś – dorzucił już mniej beztrzesko Starzec. – Brul-Przyjęty, hm... Może być, że mam mu coś do powiedzenia.

ROZDZIAŁ 5



Gold poznawał nowe prawdy o ludziach. Przede wszystkim dowiedział się, jak łatwo można okłamać kogoś, kto chce być okłamany. Jej godność A.B.D.Leyna, kobieta próżna, ale przecież zupełnie zdrowa na umyśle, dawała wiarę oczywistym bredniom. Opowiadał jej historie tak wydumane i głupie, że nie umiał ich nawet spamiętać; toteż każdego dnia potykał się na jakimś oszustwie lub kłamstewku – które wszelako prostował bez trudu, bo sama mu podpowiadała sprostowanie. Prowadził oto ze sobą kobietę, która znosiła liczne niewygody, protestując i skarżąc się o tyle tylko, o ile wynikało to z odgrywanej roli. Gold poważnie zaczął się zastanawiać, czy grombelardzkie góry otrzeźwią Dartankę i pomogą jej zejść z obłoków na ziemię.

Wkrótce po przekroczeniu granicy Drugiej Prowincji natknęli się na oczekujący ich oddział legionistów – i setnik z dnia na dzień przestał odgrywać zakochanego durnia-porywacza. Był tak wyczerpany udawaniem kogoś takiego, że niewiele, a byłby upił się z radości; otoczony trzydziestką podkomendnych nie musiał już kłamać, mógł wlec dalej Leynę choćby siłą. Nie obchodziło go, co Dartanka sobie pomyśli, miał nadzieję, że po spotkaniu z bratem zmieni swoje zapatrywania na owo nieszczęsne porwanie i samą osobę porywacza. Nie chciał wcale traktować jej źle; wręcz przeciwnie. Musiał jednak rozstać się z najśłodszą historią o porwaniu pięknej magnatki dla jej wdzięków; musiał rozstać się albo oszaleć.

Więc od razu się rozstał.

o o o

Stary jak świat zajazd na Sępiej Przełęczy nie zapewniał specjalnych wygod. Izby noclegowe były dwie – jedna mała, dla bardzo ważnych (i bardzo majątnych) gości; druga wielka, dla zwyczajnych podróżnych, którym za posłanie musiała wystarczyć wiązka słomy.

Gold wynajął dla Leyny małą izbę i zapłacił z góry. Suma była porażająca; gwardzista, odprowadziwszy dziewczynę, z nieskrywaną

ciekawością oglądał wewnątrz opłaconej „komnaty”. Nie po raz pierwszy gościł w sędziwym Pogromcy, bo tak z jakiegoś powodu nazywał się zajazd na Przełęczy, ale nigdy dotąd nie nocował. Poprzestawał zwykle na zjedzeniu posiłku, a czasem tylko pił piwo.

– Jestem człowiekiem niebogatym – rzekł, ogarniając wzrokiem siermiężne (choć dość czyste i porządne, trzeba przyznać) wyposażenie izdebki. – Może cię to rozbawi, ale rad jestem, że to ostatni wydatek. Myśl o marszu przez Ciężkie Góry na pewno przyprawia cię o dreszcze, ale ja czuję tylko ulgę. Prawdziwe rzezimieszki wcale nie siedzą w górach. Siedzą we własnych gospodach i bezkarnie łupią podróźnych.

Nie bardzo potrafił żartować.

Dartanka bez uśmiechu podeszła do łóżka, a może raczej dość przyzwoitej i solidnej pryczy. Usiadła i zagryzła usta, uporczywie wpatrując się w twarz oficera. Gold zdał sobie sprawę, że od jakiegoś czasu kobieta jest wyjątkowo cicha, przygaszona.

– Chcę wracać do Dartanu – powiedziała bardzo spokojnie, z westchnieniem.

Nie był przygotowany na tak jasno przedstawione żądanie.

– Nie wiem, wasza godność – ciągnęła – czy sprawi ci przyjemność, gdy przyznam, że wyleczyłeś mnie ze złudzeń... Nie, nie ze złudzeń. Wyleczyłeś mnie, wasza godność, z głupoty. Powinnam być wściekła i nienawidzić cię za to. Ale chyba wolę podziękować.

Nigdy dotąd nie mówiła do niego w taki sposób.

– Nie wiem, do czego mam się odwołać – ciągnęła. – Do żołnierskiego honoru? Do męskiej godności? A może do życzliwości, bo wydaje mi się, panie, że jesteś mi życzliwy, choć nie umiesz tego okazać. Chcę wrócić do Dartanu. Nie żywię urazy o to, że mnie porwałeś, ani o to, że zostałam okłamana. Nauczyłam się bardzo wiele, ale teraz już chcę wracać do domu.

– Nie przywiozłem cię tu po to... – zaczął z chrypką i odkaszlnął. – Nie przywiozłem cię po to, by teraz odwieźć z powrotem. Zaczynamy od początku, tak? Więc powtórzę to, co tyle razy mówiłem: przy granicy Złego Kraju jest niewielka stacja Legii Grombelardzkiej, gdzie będzie czekał na nas twój...

– Dobrze – przerwała. – Wierzę, że jest tak, jak mówisz, wasza godność. Ale ja chcę wracać do domu.

Bezradnie rozłożył ręce.

– Co mam zrobić, żebyś wreszcie mi uwierzyła. Baylay...

– Wierzę! – przerwała znowu, tym razem ostro. – Baylay nic mnie nie obchodzi, a raczej: obchodzi tyle o ile. To mój brat. Dorosły brat, głupi brat, nielojalny brat. To człowiek, z którym trudno wytrzymać, ani Dartańczyk, ani Armektańczyk... nie wiadomo kto i nie wiadomo co. Zawsze taki był, a Ilara odmieniła go do reszty. Mówiłam, że tak będzie!

Ostrzegałam go przed tą armektańską wywłoką. Nigdy mnie nie słuchał, może mnie i kochał, ale zawsze uważał za pustą i głupią. Teraz ma, na co zasłużył. Chcesz mnie zawieźć do niego? Bardzo dobrze! Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go umocnić w przekonaniu, że czyni dobrze, że powinien jechać do tego Złego Kraju. Doradzę mu tę wyprawę choćby tylko po to, żeby zemścić się na tobie. On i tak robi po swojemu, bo jeszcze nigdy nikogo nie posłuchał, a już na pewno nie posłucha moich rad. Chyba że wyjdą naprzeciw jego oczekiwaniom. A teraz, wasza godność, pozwól mi wrócić do Dartanu.

– Czy twój brat naprawdę...

Przerwała mu po raz trzeci.

– Tak, mój brat naprawdę nic mnie nie obchodzi. Obchodzisz mnie ty, setniku Gwardii Grombelardzkiej. Strzeż się, bym nie miała powodu do szukania zemsty na tobie! Odeślij mnie do domu, a ja zapomnę o wszystkim, co się wydarzyło. Albo wlecz mnie dalej, ale nie odwracaj się plecami i nie śpij, bo cię zamorduję przy pierwszej okazji. I nie spadnie mi za to włos z głowy, bo dla każdego sądu, bo w ogóle dla każdej istoty w Wiecznym Cesarstwie jesteś tylko nędznym porywaczem!

Uczuł napływ gniewu. Lecz zarazem jasno zdał sobie sprawę, iż przyparła go do muru. Właściwie co mógł odpowiedzieć?

Przeszedł się po izbie. Jedna krótka rozmowa – i oto całe przedsięwzięcie zostało sprowadzone do właściwych wymiarów. Było szaleństwem, głupstwem. Miał pod komendą trzydziestu ludzi, z którymi mógł ruszyć na pomoc Baylayowi. Leyna była tylko ciężarem.

– Nigdzie nie pojedziesz – powiedział.

– Dlaczego? – zapytała sucho.

Spojrzał na nią i po chwili uczynił niejasny gest uniesionymi dłońmi. Odwrócił się ku drzwiom, czując, że jeszcze chwila, a opowie jej o tym wszystkim, co właśnie odkrył. O przedziwnym kaprysie losu, który kazał mu jechać do Rollayny z przeświadczeniem, że jedzie na próżno, tylko po to, by powiedzieć sobie, że nie zaniedbał niczego. O kaprysie losu, który sprawił, że spotkał tam kobietę wcale nie podobną do zmarłej żony, bo inaczej gestykującą, o zupełnie innych oczach, innej twarzy i innym uśmiechu... O nie, tamta – strawiona gorączką, wychudzona – już się wcale nie uśmiechała i nie miała siły gestykulować. Lecz właśnie chodziło o to, że ta tutaj, bujnowłosa zjawa dartańska, pełna życia, młoda, wbrew wszystkiemu przypomniała mu dziewczynę, którą poznał przed dwudziestu laty. Niczym innym, jak tylko młodością. Myślał już, że nie ma młodych, pełnych życia kobiet.

– Nigdzie nie pojedziesz – powtórzył, nie oglądając się za siebie.

Chciał wyjść, ale stał jeszcze przez chwilę, mając na końcu języka jakieś słówko...

Nie żartowała. Ten sam los, który wcześniej kazał mu popełniać jedynie głupstwa, teraz podarował mu życie lub przynajmniej ustrzegł od poważnej rany. Odwrócił się i ujrzał Dartankę w momencie, gdy zamierzała się do uderzenia. Odruchowo pochwycił rękę trzymającą nóż; szamotali się przez chwilę, aż wyrwał broń i odepchnął dziewczynę tak, że z krzykiem wpadła plecami na ścianę. Oszołomiony, zamierzył się – a wtedy z rozpazą i wściekłością napluła mu w twarz.

Opuścił rękę i powoli otarł ślinę.

– Przebrałaś miarę – powiedział niewyraźnie. – Powiniennem przysłać tu kogoś, żeby cię oćwiczył.

– Obroń mnie, panie – powiedziała ze łzami. – Proszę, obroń mnie...

Setnik obejrzał się ku drzwiom. Stał w nich jeden z jego dziesiętników.

– Idź stąd, synu.

– Przyniosłem juki, setniku – rzekł żołnierz. – Trzeba trafu, zobaczyłem dowódcę grożącego nożem kobiecie. Krążą plotki, wasza godność, że cię uprowadzono? – zapytał ponad ramieniem zwierzchnika.

– Wtrącasz się w nie swoje sprawy, Rbal – rzekł Gold, siłą narzucając sobie spokój.

– Nie po raz pierwszy. I nie po raz ostatni.

Leyna, nie kryjąc łez płynących po twarzy, gorączkowo zastanawiała się, co znaczy ta dziwna rozmowa. Niezbyt znała się na wojsku; przecież jednak miała pojęcie, że wymiana zdań, której jest świadkiem, niewiele ma wspólnego z wojskowym regulaminem... Rbal – słyszała to imię z ust żołnierzy Golda. Dziesiętnika zaś łatwo poznała: bez wątpienia najmłodszy członek oddziału, chłopiec, prawie dzieciak. Dlaczego pozwalał sobie na tak wiele wobec surowego, nieznanego się na żartach dowódcy? Koniecznie należało to sprawdzić.

– Wracaj na służbę, Rbal – rozkazał setnik.

– Jestem na służbie – kpiąco odparł funkcyjny. – Dopiero co kazałeś mi, panie, przynieść tutaj juki i dopomóc we wszystkim jej godności. Czy będzie potrzebna jakaś pomoc, pani?

– Tak, tak! – powiedziała spieszenie, ścierając dłonią łzy z policzków. – Tak, zostań, panie, bardzo potrzebuję pomocy... – mówiła gorączkowo.

– Nie będzie potrzebna żadna pomoc – rozstrzygnął Gold.

– Zacznę krzyczeć – zapowiedziała groźnie, ale znowu ze łzami. – Będę wyła, aż usłyszysz mnie w Dartanie. No, gwardzisto? Uderz mnie, zwiąż i zaknebluj!

Gold wymierzył palec i otworzył usta, jakby chciał coś rzec. Zamiast tego wzruszył ramionami i postąpił ku drzwiom. Wyciągnął rękę i podał nóż swojemu dziesiętnikowi.

– Nie wiem, komu go ukradła, ale nie odwracaj się do niej plecami.

A gdyby wyła, zacznij wyć razem z nią.

To powiedziawszy, wyszedł.

o o o

Zabiłaby Golda bez wahania, gdyby tylko umiała to zrobić. Nie umiała jednak i dlatego potrzebny był jej Rbal. Nie, nie zamierzała przedzierzgnąć go w skrytobójcę – coś takiego było najzupełniej niemożliwe, albo może raczej: owszem, możliwe, lecz nie w takich warunkach. Gdyby miała dość czasu, to kto wie?... Lecz nie miała i dlatego chciała uciec. Korzystając z pomocy młodego dziesiętnika.

Najpierw tylko się nim bawiła, bo nie miała innych rozrywek. Z grombelardzkimi legionistami nie dało się rozmawiać, w jej oczach była to nieledwie banda zbójców w mundurach. Zastępca Golda, podsetnik P.Daganadan, wyglądał jak niedźwiedź, takie same miał maniery i podobnie obrotny język. O reszcie legionistów nie warto było nawet mówić. Tylko Rbal nie pasował.

Dziesiętnik pochodził z rodziny o żołnierskich tradycjach, cieszył się też opinią dobrego legionisty; zdaje się, że zdążył już dokonać jakichś chwalebnych czynów. Lecz miał zaledwie osiemnaście lat i pod jej wzrokiem rumienił się jak panienka. No cóż, może istotnie był znakomitym rębajłą i wybornym dowódcą, lecz poza tym stanowił wcielenie naiwności. Nie wiedziała, co o tym sądzić. Wyglądało na to, że jest w niej śmiertelnie zakochany!

Leyna, urodzona, wychowana i mieszkająca w zepsutej Rollaynie, z najwyższym trudem mogła uwierzyć w istnienie kogoś takiego. Przedstawiono jej narzeczonego, gdy miała trzynaście lat; wyszła za mąż dwa lata później, natychmiast po osiągnięciu pełnoletności, a od trzech lat była wdową. Jeden mąż; pięciu kochanków; pięciuset wielbicieli. W zasięgu ręki pięćdziesięciu narzeczonych. Gorące porywy młodzieńczej miłości miała za poetycki mit; armektańskie i dartańskie pieśni pełne były takich rycerskich, patetycznych a wzniosłych, zadurzeń od pierwszego wejrzenia. Lecz czy naprawdę mogło dojść do czegoś podobnego?

Powoli przekonywała się, że mogło. Ten chłopiec nigdy dotąd nie widział takiej kobiety jak ona. Nigdy dotąd taka kobieta nie okazała mu względów.

Myślała o tym, jadąc wierzchem przez grombelardzkie góry. Monotonny chód konia był niezmiernie nużący; gdy uporczywy deszcz przybrał na sile, poprawiła na ramionach przemoczoną pelerynę. Nie mogła przywyknąć do takiej pogody. Marzła bez przerwy. Nie pomagały płaszcze, kaptury, bo deszcz wciskał się wszędzie. Spoglądając dokoła, widziała, że żołnierze w ogóle nie zwracają na to uwagi. Deszcz wyraźnie był dla nich niczym, nie widzieli go ani nie czuli. Nie widzieli

też jej ciężkich od wilgoci włosów, ciągłych dreszczy i szczękania zębami.

Jechali przez coraz dziksze strony. Droga była właściwie wąskim kamienistym żlebem, przywodziła na myśl koryto strumienia, może zresztą to naprawdę był strumień. Konie brodziły w wodzie po pęciny. Z posłyszanych rozmów Leyna zrozumiała, że wkrótce zjadą z tego „traktu”, a niedługo później zostawią wierzchowce w jakiejś stancy i ruszą dalej pieszo. To przerażało ją najbardziej. Marsz. A dokoła góry. Góry i góry. Tylko.

Jeśli miała uciekać, musiała to zrobić niezwłocznie.

Zadrzała; było bardzo zimno. W tej samej chwili ktoś podał jej płaszcz. Suchy.

– Weź, pani – nieśmiało rzekł młody dziesiętnik.

Podziękowała smutnym uśmiechem. Zrzuciła pelerynę i owinęła się дарowanym płaszczem.

– Czy daleko jeszcze? – zapytała.

– Dokąd, pani?

– No... tam dokąd jedziemy.

Chłopak spieszył się, jakby to on był wszystkiemu winien: temu, że zabrano ją z domu, i temu, że pada deszcz. Zdała sobie sprawę, że dziesiętnik boi się jej; to nie był ten sam zuchowaty młodzieniec, który zadziornie sprzeciwiał się dowódcy! Jak to możliwe, by w jednym ciele mieszkały dwie tak różne istoty?

– Wkrótce zboczymy z drogi i ruszymy przez góry – rzekł przepraszająco.

Zrozumiała, że nie chciał powiedzieć wprost, jak długą drogę mają jeszcze przed sobą. Jęknęła.

– Nie wytrzymam tego – powiedziała cicho, zrezygnowanym głosem.

– Jak tu można mieszkać? Czy są tu w ogóle jakieś ludzkie sadyby?

– Tutaj? Nie. Najwyżej jakieś gniazda rozbójników.

– Już tu można ich spotkać? – Przestraszyła się nie na żarty.

Rbał pojął, że palnął głupstwo.

– Dość rzadko – powiedział, lecz jednak nie chciał kłamać. – To Góry Wąskie, zapuszczają się tu czasem różne gromady. Właściwie od Gór Wąskich zaczyna się prawdziwy Grombelard. Ale my nie pojedziemy znanym traktem do Riksu, Badoru i Grombu, tylko zejdziemy aż do podnóży Ciężkich Gór i pójdziemy wzdłuż południowych ich stoków, a potem, gdy zagrodzą nam drogę – przez nie, aż do samego Złego Kraju. Tam już rzadko spotyka się rozbójników.

– W Złym Kraju?

– Nie... U jego granic.

– Myślałam, że najwięcej rozbójników jest właśnie w Ciężkich Górach – powiedziała z przymusem.

– Tak, ale w okręgach Badoru, Grombu i Rahgaru.

– Gromb to przecież wasza stolica.

Najpierw nie zrozumiał. Może dlatego, że kinen, choć umożliwiał porozumiewanie się w najprostszycy sprawach, to jednak do bardziej skomplikowanych rozmów niezbyt się nadawał.

– Tak, stolica Grombelardu – potwierdził.

– Ale mówisz, panie, że tam są rozbójnicy?

– W okolicach Grombu, na terenie okręgu, bo w samym Grombie nie. Chociaż różnie mówią. – Nachmurzył się nieoczekiwanie.

Znowu pomyślała, że oto znalazła się w dzikim kraju na końcu świata; pod murami stolicy tego kraju hasały bandy rzezimieszków i morderców, a pilnujący porządku żołnierz przyznawał, że i na ulicach bywa niebezpiecznie.

– Gdzie ja jestem? – szepnęła sama do siebie.

– Pytałaś, pani...?

– Boję się – powiedziała głośniej.

– Czego, pani? Rozbójników? Niepotrzebnie mówiłem... – Zafrasował się. – Jesteś, wasza godność, wśród żołnierzy, nic ci nie grozi.

– Wiem, ale jednak boję się. Na pewno wzgardzisz mną za to, że nie potrafię być dzielna. Ale nie potrafię.

Zaniemówił na chwilę.

– Ja miałbym tobą gardzić, pani? Ja?

– Jeśli nawet nie ty, panie, to inni.

– Kto taki, powiedz, wasza godność? Który z nich?

Nie poprawiła: wysokość. Gold już się tak do niej nie zwracał, w ogóle przestał ją tytułować, więc nikt nie wiedział, że „godność” to za mało. A ten tutaj umierał ze strachu i gdyby się nagle dowiedział, że właściwie powinien mówić „wasza księżęca wysokość”... spadłby z konia.

– Leyna – poprawiła go nieśmiało. – Tak mam na imię.

Wyciągnęła rękę i przechyliwszy się w siodle, dotknęła kolana żołnierza.

– Leyna, Rbal, dobrze? Proszę.

– Nie mogę, pani.

– Ale ja proszę. Mam tutaj tylko ciebie, Rbal.

Zesztywniał pod delikatną pieszczotą smukłych palców. Przełknął ślinę. Dłoń pięknej Dartanki wciąż muskała mokry od deszczu, okrywający jego udo materiał wojskowej spódnicy.

Spojrzał na nią szybko i ujrzał wilgotne dziewczęce oczy, gotowe znów wezbrać łzami. Zrobił ruch, jakby chciał pochwycić jej dłoń, ale się pohamował.

Leyna widziała w życiu wielu mężczyzn, ale tak daleko posunięta, prawdziwie dziewicza wstydlivość nie była jej znana. Odgrywanie tej niedorzecznie ckliwej roli przychodziło jej, prawdę mówiąc, z niemałym

wysiłkiem. Wolałaby pewnie, by miejsce Rbala zajął jakiś pogromca kobiecych serc z Rollayny; całe tuziny takich wodziła za nos w swoim życiu. Ale nie. Skazana była na posłuszenie się dzieciakiem, który bez namysłu i wahania każdą łzę w jej oku uważał za zrodzoną z rozpacz, każde skrzywienie ust za przejaw strachu, a zmarszczenie brwi za ból. Przybierając coraz to płaczliwsze miny, drżała za każdym razem, że przeciągnie strunę albo też że legionista wyprostuje się nagle, uśmiechnie i powie: „Słowo daję, malutka, że bawiłem się świetnie. Setnik dobrze radził, żeby cię podpuścić”.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. I powoli Dartanka zaczęła wierzyć, że naprawdę wpadł jej w ręce diament podatny na każdą obróbkę; diament, który zdoła uczynić dość twardym, by zarysował nawet tak twarde żelazo jak to, z którego wykuty był Gold.

Teren stał się nieco trudniejszy, tempo marszu osłabło. Nie dało się już jechać obok siebie, konie musiały iść jeden za drugim. Żołnierze z przodu zaczęli śpiewać jakąś smutną pieśń, podjęli ją ci z tyłu. Leyna, nie mając nic lepszego do roboty, słuchała niezrozumiałych grombelardzkich słów. Musiała przyznać, że gardłowy język tego kraju bardzo wiele zyskiwał, gdy słowom towarzyszyła melodia.

ROZDZIAŁ 6



Baylay przetarł zaspane oczy i usiadł na posłaniu, urządzonym wprost na podłodze. Spojrzał w okno. Był dzień.

Przez chwilę porządkował myśli; gdy się budził, miał odczucie, że wszystko, co pamiętał, było snem.

Ale nie.

Zauważył zdziwiony, że w izbie nikogo nie ma. Gospodarz i Łowczyni wstali pewnie dość dawno.

Dlaczego go nie zbudzili?

Leżał jeszcze przez chwilę, potem podniósł się, podciągnął spódnicę i założył koszulę. Wbił nogi w buty i sięgnął po miecz. Chyba jednak polubił tę broń.

Gold nie wierzył, że Dartańczyk może mieć pojęcie o mieczu. „Ach, turnieje!” – mówił z politowaniem. Baylay zapewniał, że pobierał lekcje u człowieka, który uchodził za mistrza; będąc delikatnym, nie wspomniał ubogiemu setnikowi, że stać go było na sprowadzenie owego mistrza z Armektu... i że mógłby sobie kupić stu takich mistrzów.

Doszło do próby. Gold był szczerze zdumiony i uradowany. „Na wszystkie Pasma Szerni, to prawda, że niczego nie możesz się ode mnie nauczyć, bo jest zupełnie na odwrót!” – rzekł otwarcie. „Zadźgałbyś mnie! W całym garnizonie mam tylko dwóch ludzi, którzy lepiej machają ode mnie, ale wątpię, by dali ci jakieś cenne wskazówki. Nie zgub jednak swoich zdolności. Codziennie rano poświęć trochę czasu na zabawę z żelazem, choćby twoim przeciwnikiem miało być powietrze. I nie bądź zbyt pewny siebie. Co innego wywijać mieczem, a co innego ciąć nim człowieka”.

Te słowa głęboko zapadły w serce Baylaya. Znał swoją wartość, lecz nie był pewny siebie. I ćwiczył codziennie. Zwłaszcza że to samo zalecał armekański nauczyciel.

Otrząsnąwszy się z zamyślenia, wyciągnął broń z pochwy. Głownia załśniła czysto. Położył pochwę na ławie, obok zdjętej wieczorem zbroi, i wyszedł przed jaskinię. Zmrużył porażone dziennym światłem oczy. Chwilę potem zauważył Łowczynię i chciał się cofnąć, lecz było już za późno.

Wychodziła właśnie z lodowatej strugi; machnęła ręką na powitanie i ruszyła ku niemu. W miarę jak się zbliżała, coraz wyraźniej widział sprężyste ciało: mokre ramiona i małe, śmiesznie sterczące na boki piersi, silne uda i szeroką czarną plamę na podbrzuszu. Zdrowe mięśnie wyraźnie rysowały się pod smagłą skórą; aż wzdrygnął się na ich widok. Niejeden mężczyzna mógłby pozazdrościć tej kobiecie muskulatury. Wczoraj widział tylko budzące respekt ramiona, ale nie sądził, że wszystko tak wygląda.

Wyglądało.

Stała przed nim i wyzymała włosy, uśmiechając się z lekką kpina. Odwrócił głowę i mruknął coś, czując się niezręcznie i głupio.

– Oto mężczyzna, który przestraszył się widoku nagiej kobiety – powiedziała. – Biegam po tym kraju od lat, ale wciąż zapominam, że tutaj trzeba się kąpać w kaftanie i spódnicy. Podobam ci się, dartański rycerzu?

Stała na palcach, uniosła ramiona nad głowę i obróciła się dookoła, pokazując ze wszystkich stron. Mimowolnie ogarnął spojrzeniem okrągły, spięty jak u klaczy zad.

– Wynająłeś przewodniczkę, więc musisz dokładnie obejrzeć, co wynająłeś. Podoba ci się przewodniczka? A prowadzić po górach też umiem.

– Karenira!

Obejrzała się. Nadchodzący Starzec karcąco potrząsał głową.

– Nie sądziłem, że jesteś taka głupia – powiedział z naciskiem. – Nie sądziłem, że jesteś taka głupia. I pusta.

Zaczerwieniła się gwałtownie.

– Czego chcesz ode mnie?

Zmitygowała się zaraz. Odwróciła wzrok.

– Wybacz, ojcie. I ty też, Dartańczyku.

Szybko przeszła obok Baylaya i zniknęła w drzwiach domostwa.

– Nie miej jej tego za złe – rzekł niegłośnie Starzec. – Wcale nie jest głupia. Ale pusta i owszem.

– Nic złego się nie stało – mruknął Baylay. – Jest... niebrzydka.

– Masz szczerze dosyć wszystkich armektańskich dziwactw, nieprawdaż?

– Jest Armektanką? Gdy mówiła, nie byłem pewien. Ten język ma sto odmian.

Starzec uczynił skąpy gest, który miał chyba oznaczać: „Jak nie ona, to kto?”. Bo rzeczywiście: niewysoka, czarnowłosa i smagła Łowczyni swoje armektańskie pochodzenie miała wręcz wypisane na skórze. Tylko szare oczy nie pasowały, powinna mieć czarne lub ciemnobrązowe. Zdarzały się też zielone. Jednak w Dartanie i Armekcie bardzo wiele było mieszanych małżeństw, widywało się najdziwniejsze

połączenia.

– Ale nie mówmy już o tym – rzekł gospodarz jaskini. – Jej pochodzenie i losy to jej sprawa. Jeśli zechce, sama opowie ci o sobie.

Zmienił temat.

– Miecz?

Baylay ze zdziwieniem spojrzał na trzymaną w ręku broń, po czym uśmiechnął się lekko.

– Tak, panie, wiem, o czym myślisz... Chyba go polubiłem.

– Znam Dartan i wiem, ile warte są krzywdzące mity. W tych górach każdy, kogo zapytasz, uważa, że jedną ręką pokonałby dziesięciu Dartańczyków. A prawda jest taka, że bardzo wiele rodów kultywuje u was orężne tradycje przodków i syn rycerskiego Domu pokonałby dziesięciu miejscowych łapserdaków...

– Rycerskiego Domu, nie magnackiego – sucho powiedział Baylay. – Obojętne mi tradycje bezmózgich i niepiśmiennych rębajłów. Nauczyłem się walczyć mieczem, ale nie zamierzam nosić broni w swoim własnym mieście, we własnym domu. Teraz to co innego. Mój przyjaciel przykazywał mi, bym w górach zawsze trzymał broń pod ręką.

– Bardzo dobrze ci radził. Kim jest twój przyjaciel, czy to ktoś miejscowy?

– Oficer Gwardii Grombelardzkiej. – Baylay oparł się o ścianę za plecami. – Wybacz mi, wasza godność, ale chcę się upewnić, czy nie byłem wczoraj zbyt zmęczony... Wyruszamy razem, czy tak? Wszyscy troje?

Starzec roześmiał się.

– To dlatego przegraliście wojnę – rzekł odrobinę kpiąco. – Nie z powodu braku serca do walki.

– Wojnę?

– Wojnę z Armektem. Przegraliście, bo żaden Dartańczyk nigdy nie umiał wstać i po prostu wyjść z domu. Zawsze macie jakieś sprawy, które trzeba załatwić, nim wreszcie możliwe będzie udanie się w podróż. Dartańscy rycerze całymi miesiącami zbierali się na wojnę z Armektem, choć król wzywał, by natychmiast stawili się konno i zbrojnie. Król zresztą też nie wyruszył.

– Król był stary, bardzo stary – zaprotestował Baylay. – Mądry, waleczny, lecz niestety, zniedołężniały. Rycerstwo ruszyło w pole pod wodzą jego syna. Który nie był nawet cieniem swojego ojca.

Starzec nie krył zaskoczenia.

– Kim jesteś, wasza godność? Skąd ta rozległa wiedza? W czasach gdy nikt nie pamięta najważniejszych wydarzeń z historii! Najważniejszych wydarzeń! Dartańczyk znający historię, niepojęte.

– To łatwo wytłumaczyć – rzekł Baylay. – Moi przodkowie odegrali

przed wiekami bardzo znaczną rolę w wojnie, o której mówimy. Nie znam historii, znam tylko dzieje swojego Domu.

– A pochodzisz, wasza godność, z Domu...?

Młody człowiek pojął nagle, że gospodarz górskiej sadyby nie zna dotąd nawet jego imienia, cóż dopiero mówić o monogramach rodowych. Przy powitaniu, zaskoczony zasobem słów gospodarza, chyba zapomniał się przedstawić. Chyba, a nawet na pewno.

– Przebacz mi, wasza godność – rzekł poważnie. – Jestem A.B.D.Baylay.

– Devin! – wykrzyknął Starzec. – Chłopcze! Nie wierzę w wyroki losu, ale istnieje coś takiego jak zdumiewający przypadek! W środku Ciężkich Gór przychodzi do mnie potomek A.B.Devina! Przecież się nie mylę?

– Istotnie, to monogram jego imienia dodano do dwóch innych.

– Ależ, wasza wysokość, pochodzisz z jednego z najstarszych i największych Domów dartańskich.

– Nie tytułuj mnie, panie, wysokością. W Dartanie to co innego. Ale nawet w Dartanie prawie nikt już nie używa tytułu „książę”. Poza władcą Puszczy Bukowej, może i dziwakiem, ale... Tanie to zresztą tytuły, gdy co drugi rycerz zostawał zaraz księciem.

– Co drugi rycerz, lecz to nie dotyczy twoich przodków, panie, bo mówimy tu o prawdziwych zasługach. Porozmawiajmy – rzekł Starzec z niezwykłym ożywieniem, ujmując młodego człowieka za łokieć. – Czy wiesz, czym zajmuję się tutaj? Jestem historykiem, zaś twoja osoba...

– Jego osoba – przerwała Łowczyni, stając w otwartych drzwiach domu – należy teraz do mnie. Nie pozwól, panie, sprowadzić się do roli jednej z ksiąg naszego gospodarza – powiedziała, zwracając się z kolei do Baylaya. – Zostaw go, ojcie, proszę.

Nie była już naga, a chciałoby się rzec: na szczęście nie była już naga. Miała na sobie nowe i porządne odzienie, wyjęte prawdopodobnie z którejś z przepastnych skrzyń Starca. Uniosła do góry wojskowy miecz.

– Twój gość zamierzał rozprostować kości, ja zaś skorzystam z okazji i sprawdzę, czy jeszcze potrafię tym wywijać. Skrzyżujesz ze mną żelazo, wędrowcze?

Baylay ucieszył się.

– To o wiele lepiej, niż walczyć z powietrzem.

– Więc poszukajmy jakiegoś równego miejsca.

Baylay zwrócił się do gospodarza, lecz ten machnął ręką.

– Idźcie, idźcie! Nie uciekniesz mi, panie, zdążymy jeszcze porozmawiać.

Poszli w stronę strumienia. Na drugim brzegu wskazała miejsce ostrzem.

– Może tu?

Gwardyjski miecz, którego używała, był bardzo dobrą, wytrzymałą

bronią, wytwarzaną jednak z myślą o zwykłych żołnierzach. Broń Baylaya, dłuższa o dobre dwie dłonie, nawiązywała wzorem do czasów, gdy walka na miecze nie była tylko siłową rąbaniną. Jednak Łowczyni wiedziała, co robi, nosząc oręż gwardzistów. Baylay nie był przygotowany na tak silny cios; niewiele brakowało, a miecz wypadłby mu ze zdrętwiałej ręki. Cofnął się i z najwyższym trudem sparował następne dwa ataki. Tutaj potrzebna była solidna tarcza! Przyjął na zastawę jeszcze dwa uderzenia, mając przykrą świadomość, że ostrze jego miecza, obojętne, jak wytrzymałe, przemieni się od tego w jakąś zębatą piłę, a Starzec chyba nie miał szlifierni... Lecz broniąc się, szybko odzyskiwał pewność siebie. Łowczyni atakowała mocno, ale niewyszukanie. Cała sztuka polegała na tym, by utrzymać żelazo w dłoni. Ta kobieta mogła wykończyć każdego; Baylay miał całkowitą pewność, że po dziesięciu lub dwunastu takich ciosach każdy jej przeciwnik zostawał bezbronny.

Następne uderzenie przepuścił, zamiast sparować, i napastniczka straciła równowagę. Znacząco klasnął ją płazem w bark. Spojrzała z uznaniem, zaatakowała raz jeszcze... i wylądowała na czworakach, gdy zrobił szybki zakrok i pochwycił lewą ręką nadgarstek jej orężnej dłoni, pociągnął, wykorzystując impet uderzenia. Solidnie trzasnęła płazem przez pośladki.

– Au! Jak to zrobiłeś? – zapytała zdumiona.

Podniosła miecz i wstała, wolną ręką masując tyłek. Patrzyła nieco spode łba, ale jednak z respektem.

– Jesteś, pani, silna jak... kowal – powiedział. – Nie musisz napierać na miecz całym ciałem, sama siła twojego ramienia wystarczy, by przeciwnik miał się z pyszna. Wykorzystuj tylko siłę ręki. Wtedy, jeśli nawet nie trafisz, to przynajmniej nie stracisz równowagi.

Pokazał jak. Powtórzyła.

– Bardzo dobrze – ocenił.

Wzięła miecz pod pachę, a drugą rękę oparła na biodrze.

– Mam na imię Karenira, nie mów do mnie pani. Nie poznałam się na tobie, wasza godność.

– Baylay – powiedział. – Tu są Ciężkie Góry, na tytuły jest miejsce w Rollaynie.

Roześmiała się.

– Dobrze, że zgodziłam się na przewodniczkę. To może być udana wyprawa.

Znów ujęła miecz za rękojeść.

– Jak mam to... Tak?

– Mniej więcej.

– Tego nie uczyli w legii.

– Byłaś, pa... byłaś w legii?

– Byłam. Dawno temu.

ROZDZIAŁ 7



Deszcz padał nieustannie. Dzień po dniu dokuczała wstrętna mżawka, zmieniająca się wieczorem w deszcz, a najczęściej ulewę. Leyna nie rozumiała, w jaki sposób taka masa wody może nie powodować powodzi, zwłaszcza że skalisty grunt nie chciał przyjmować wilgoci.

– Gdyby taki deszcz spadł na równiny Armektu albo w Dartanie, byłaby powódź – tłumaczył jadący obok niej Rbal. – Ale tu są góry. Wszędzie mnóstwo stawów, strumieni, małych rzeczek, wszystko to spływa do Wód Środkowych albo do mórz na wschodzie. Albo w kotliny górskie. W Ciężkich Górach jest bardzo dużo jezior, to dlatego tak trudno je przemierzyć. Byłby może szlak przez kotlinę, ale jest jezioro. Nigdy nie byłem w Dartanie czy w Armeckie, ale ci, co byli, mówią, że grombelardzkie góry wyglądają zupełnie inaczej niż wszystkie góry Szereru.

– Nie wiem, jak można żyć w takim deszczu.

– Można, pani – zatyłował ją po swojemu; wciąż nie miał dość odwagi, by używać imienia Leyna. – Można nawet pokochać ten kraj i te deszcze. Zresztą nie zawsze pada bez przerwy. Latem tylko wieczorem, zimą wieczorem i w nocy. Ale teraz mamy jesień, a jesienią i wiosną... sama widzisz.

Jakby na potwierdzenie słów, deszcz przybrał na sile. Dartanka poprawiła kaptur na głowie.

– Myślę, że koło południa zrobimy długi postój – powiedział Rbal. – Tu niedaleko są jaskinie, w których zatrzymywałem się raz i drugi, by rozpalić ogień i wysuszyć odzienie. Setnik, on też zna te jaskinie. To bardzo ciekawe miejsce. Zwyczajowe prawo zabrania tam dobowania broni. Zdarza się, że siedzą tam przy jednym ogniu żołnierz i rozbójnik, rozbójnik i jakiś wędrowiec albo dziki pastuch... Zwykle jest w tych jaskiniach zapas drewna. Zobacz, pani. – Odwróciwszy się w siodle, wskazał juczne muły idące na końcu oddziału. – Niosą drewno. Każdy, kto tam jedzie, zbiera lub kupuje trochę opału. Wprawdzie drewno jest mokre, ale gdy wyschnie, przyda się innym. Dzięki tej tradycji w jaskiniach prawie zawsze można się ogrzać.

– I wszyscy dotrzymują tej umowy?

– Może nie. Chyba nie wszyscy. Ale Grombelard to surowy kraj, pani. Ludzie zabijają się tu często, ale gdy się nie zabijają, to największym ich wrogiem są góry i deszcz. Bez takich miejsc jak te jaskinie i bez takich tradycji życie byłoby tu całkiem niemożliwe. Sam widziałem w tych jaskiniach grupkę ludzi, którzy prawie na pewno byli rozbójnikami. Obwiesie nie mieli ochoty wozić ze sobą drewna, żeby zostawić dla innych. Ale przywódca trzymał ich krótko. Ten człowiek miał rozum i swoje wiedział.

– Żołnierze i zbóje razem, przy jednym ogniu? – nie dowierzała.

– To Grombelard, pani.

– Dziesiątnicy, do mnie! – zagrzemiał od czoła silny głos podsetnika.

Rbał odwrócił się.

– Belgon! – zawołał.

Chudy żołnierz ponaglił konia. Gdy się zbliżył, Leyna spojrzała nań spod oka. Młoda twarz nie była jej obca, wielokrotnie widziała tego człowieka w towarzystwie Rbała.

– Belgon to mój przyjaciel – zarekomendował dziesiątnik. – Dotrzymaj ci, pani, towarzystwa. Możesz zdać się na niego we wszystkim, tak jak na mnie.

Ścisnął wierzchowca kolanami i pojechał na czoło oddziału.

Belgon uśmiechnął się niepewnie, ale jakby z ukrytą ironią.

– Pewnie nie zechcesz ze mną rozmawiać, wasza godność – powiedział wyraźnym, przyjemnie brzmiącym głosem; posługiwał się znośnym kinenem. – Nie mam w żyłach Czystej Krwi jak Rbał, nie należę więc do twojego świata.

Przemogła niechęć.

– Mylisz się, żołnierzu – odparła uprzejmie. – Rozmowa z legionistą imperium nikomu nie może przynieść ujmy. Ponadto jesteś przyjacielem pana Rbała, a to znaczy dla mnie niemało.

– O, domyślam się, pani. Rbał mówił mi o wszystkim.

Spojrzała spod kaptura, zaskoczona i trochę zaniepokojona.

– O wszystkim? Co to znaczy?

Znów uśmiechnął się z maskowaną ironią.

– Widzisz, wasza godność – rzekł, nie odpowiadając na pytanie – dziesiątnik Rbał, mój przyjaciel, to jakby... dwaj ludzie w jednym ciele. Rbał jest znakomitym, nieznanym strachu żołnierzem i bardzo dobrym dowódcą, poza tym zuchwalcem i śmiałkiem, przed którym każdy mężczyzna winien mieć się na baczności. Ale jest jeszcze chłopiec Rbał, śmiertelnie bojący się kobiet, płochliwy, zakochany w tobie, wasza godność... i niemający żadnej wartości jako twój kochanek.

Zaniemówiła.

– Jak śmiesz mi... takie rzeczy... – wykrztusiła wreszcie.

– Śmiem, wasza godność – powiedział, już nie kryjąc ironii – bo nie boję się kobiet, ani nawet twoich rodowych monogramów. Śmiem, bo chcę usłyszeć od ciebie, dlaczego mącisz Rbalowi w głowie.

Milczała z gniewem na twarzy, a obawą w duszy. Belgon był człowiekiem spostrzegawczym i niegłupim, a więc bardzo niebezpiecznym.

– Wasza godność – powiedział, rozglądając się dokoła, czy na pewno nikt nie słyszy – nie powiedziałem przecież, że przeszkodzę w twoich zamiarach. Ale wiem zbyt mało, by stanąć po twojej stronie.

– Zamiary? Stanąć po mojej stronie? – zapytała pogardliwie. – Chcesz więc stanąć przy mnie, u mojego boku? Pani A.B.D.Leyna i legionista... jak? Belgon?

Żołnierz milczał przez chwilę.

– Nie lubię setnika – rzekł wreszcie. – Nikt go nie lubi. Rbal powiedział mi, że zostałaś porwana, wasza godność, z własnego swojego domu. Czy chcesz uciec? Możemy ci pomóc.

Milczała.

– To jest bardzo dziwna wyprawa – ciągnął. – Nikt nie wie, dokąd prowadzi nas dowódca. Mówi się, że do Złego Kraju. Nikt nie chce tam jechać. Stamtąd się nie wraca. Dlatego pomogę ci uciec, bo może uda mi się pokrzyżować w ten sposób plany setnika.

– Tylko o to ci chodzi?

– O życie. Czy to mało? Nie chcę jechać do Złego Kraju.

Zamyśliła się, marszcząc brwi.

Niedługo potem wrócił Rbal.

– Od teraz idziemy marszem ubezpieczonym – rzekł niechętnie. – Twoja trójka, Belgon, ma dzisiaj iść w ariergardzie, pozostałe dwie trójki z naszej dziesiątki idą do straży przedniej. Pod moją komendą.

Spojrzał błagalnie na Leynę.

– Przebaczysz mi pani, prawda?

Zbyt podniecona rozmową z Belgonem, zdobyła się tylko na skinięcie głową.

– Jedź – dodała zaraz. – I wracaj szybko.

Belgon uśmiechnął się krzywo.

o o o

– Co? Jak myślisz? – zapytał Gold, oglądając się przez ramię na jadący oddział.

Flegmatyczny Daganadan długo kręcił głową.

– Nie wiem – wymruczał wreszcie. – Obojętne. Zabiegałeś o dowództwo takiej wyprawy. Twój pomysł. Twoja służba.

Gold skinął głową. Istotnie, wyprawa do granic Bezmiennego Obszaru była jego własnym pomysłem. Nadtysięcznik R.W.Ambegen,

stary komendant Legii Grombelardzkiej w Grombie, wcale nie ukrywał, że w jego oczach takie przedsięwzięcie nosi wszelkie znamiona niemądrej awantury.

„Po co?” – pytał. „Po co chcesz angażować siły stołeczne do załatwiania spraw w okręgach Riksu i Badoru?”

Gold tłumaczył, że wie o zbrojeckich kryjówkach przy granicy Obszaru. Przedstawił fałszywe dowody. I fałszywych świadków.

„Dobrze” – rzekł na koniec Ambegen. „Jesteś cenionym i odpowiedzialnym oficerem, muszę poważnie traktować twoje racje. Zgadzam się na tę wyprawę, masz tutaj rozkazy dla komendantów Riksu i Badoru. Lecz nie chcę, Gold, żebyś miał mnie za głupca, a więc prywatnie ci powiem: otóż sądzę, że masz tam do załatwienia jakieś własne sprawy. I ostrzegam cię, że jeśli zmarnujesz ludzi, to przeprowadzę szczegółowe dochodzenie. To nie są twoi żołnierze, tylko imperialni i mają pilnować spraw imperium, nie twoich”.

Na tym stanęło. Teraz Gold przypomniał tę umowę swojemu zastępcy.

– Jednak... jeśli ruszymy z Baylayem do Obszaru... – nalegał, patrząc na Daganadana.

Chciał usłyszeć coś, co go podtrzyma.

Podsetnik wzruszył ramionami.

– To twój przyjaciel – powiedział. – Wspieraj go, gdy żyje. Pochowaj, gdy zginie.

Gold odetchnął.

– I tak właśnie chcę zrobić. Ale to jest Zły Kraj, Dag.

– A to jest miecz, Gold. Tylko po co ta dziewczyna? Że jego siostra? Co ci wpadło do głowy? Trzeba było od razu samemu. Szkoda na nią czasu. Pieniądzy. Będą kłopoty. Myślisz, zatrzyma brata? Nie. Nic nie wskóra.

W ustach Daganadana pięć słów wypowiedzianych jednym ciągiem było prawdziwą przemową. Gold zagryzł wargi. Jego przyjaciel i zastępca uderzył w czuły punkt.

– Stało się – powiedział. – Ale teraz...

– Co teraz?

Gold nie wiedział.

– No a co mam zrobić?! – wybuchnął.

Zaraz obejrzał się nerwowo na żołnierzy. Ściszył głos:

– Niepotrzebnie ją tu przywlokłem. Ale co mam teraz zrobić? Odesłać? Muszę teraz doprowadzić do jej spotkania z bratem! Inaczej ona odda mnie w ręce urzędników Trybunału i wiesz, co ze mną będzie?

– A jednak trzeba ją odesłać. Tylko że teraz to nie takie proste.

– Co masz na myśli?

– Nic.

Gold zirytował się.

– Mów mi, o co chodzi! Jeśli jeszcze my dwaj zaczniemy robić do siebie tajemnicze miny...

– Otóż to. Rbał i jego dziesiątka. Spójrz za siebie.

Gold obejrzał się na pozór mimochodem. Między luźno jadącymi żołnierzami dostrzegł zwartą trzyosobową grupkę.

– Co z tego?

– Co z czego? – zapytał Daganadan. – Ile czasu minęło od chwili, gdy kazałeś wysunąć awangardę i ubezpieczyć tył? Rbał zawsze był zdyscyplinowany. To gorący łeb, awanturnik. Ale dobry żołnierz. A teraz? Owinęła go sobie dookoła palca. W ciągu kilku dni.

Gold zamyślił się. Podsetnik mógł mieć rację. Jemu też nie bardzo się podobało, że Dartanka robi słodkie oczy do jednego z funkcyjnych. Ale jak miał zareagować?

– Co mam zrobić? Przegonić rywala? – zapytał sarkastycznie.

Daganadan nie zrozumiał ironii. Zawsze był wielkim wrogiem kobiet, tak w szeregach legii imperialnych, jak i w ogóle. Niczego o nich nie wiedział ani wiedzieć nie chciał.

– Była sama – rzekł. – Potem dwoje. Teraz jest ich troje, Gold. Jeśli żołnierz nie słucha dowódcy, to źle. Ale gdy zamiast dowódcy słucha obcego, to bardzo źle. To bardzo źle, Gold.

– Mówisz poważnie? Czego się obawiasz?

– Wyznacz jedną lub dwie trójki, ale nie z dziesiątki Rbała. Niech eskortują ją do Dartanu.

– Przez pół Grombelardu i... Nie, Dag. Ona musi spotkać się z Baylayem.

– Gold. Ona nigdzie nie pojedzie. Rbał nie dopuści. Albo będzie chciał uciec razem z nią. Zobaczymy, co knują.

Daganadan nie umiał żartować. Ale setnik nie mógł uwierzyć, że jego zastępca naprawdę wietrzy spisek.

– Ty to mówisz poważnie?

– Co? Nie mam racji? Zobaczysz.

– A jeśli jednak... pojedzie do Dartanu?

– To pojedzie. Będzie nienawidzić cię z daleka. Aż przywieziesz jej brata. Wtedy poczuje się winna. Jak chcesz kogoś porwać, to lepiej Baylaya.

– Stracę przyjaciela.

– Zdobędziesz kobietę.

– Ty myślisz, że ja... chcę ją zdobyć?

Daganadan zmarszczył brwi i powiedział coś, co śmiertelnie przeraziło Golda. Bo być może jego przyjaciel nie znał się na kobietach, lecz potrafił dostrzec co innego.

– Ja wiem, Gold, jak brakuje ci Elwy. To nic złego, że po roku od jej śmierci... Jesteś samotny, rozumiem. I zakochałeś się. Ale teraz myśl

trzeźwo. Nie możesz niewolić kobiety dlatego, że wracasz do życia. Nie możesz jej mieć. Tutaj. Bo możesz zdobyć w Dartanie.

o o o

Podobne ulewy były rzadkością nawet w Grombelardzie. Deszcz tłukł z taką siłą, że niemal przyciskał ludzi do ziemi. Na kilka kroków nie było nic widać.

– Kto idzie?!

Zza ściany deszczu wynurzył się ociekający wodą wartownik. Rbał dał znak swoim ludziom, by zsiadli z koni, i sam uczynił to samo.

– Ze zwiadu! – zawołał, przekrzykując szum ulewy.

Wartownik machnął ręką ku wejściu do jaskini. Po chwili Rbał i jego żołnierze znaleźli się w suchym, bardzo przestronnym wnętrzu. Płonęły dwa małe ogniska, siedzieli przy nich półnaczy żołnierze, susząc odzienie. Rbał rozejrzał się, szukając dowódcy. Zamiast niego z ciemnego kąta jaskini wynurzył się podsetnik.

– Powrót z patrolu – zameldował dziesiętnik. – Niczego...

– Dobrze – przerwał oficer. – Odprawa, tam. – Wskazał palcem. – Wciągnij coś suchego i przyjdź.

– Tak, panie.

Daganadan odszedł. Rbał stał przez chwilę nieruchomo, potem rozejrzał się dokoła. Wypatrzył Leynę niedaleko złożonych na ziemi bagaży. Poszedł szybko.

– Dobrze, że już jesteś – powiedziała i wtedy spostrzegł z przerażeniem, że dziewczyna płacze. – Nie odchódź nigdy na tak długo...

– Co się stało? – wykrztusił.

– Twój dowódca! – powiedziała z goryczą, nie tając lęku. – Zdaje się, że odsyła mnie gdzieś. Powiedział, że do Dartanu, ale jestem pewna, że nie.

– Odsyła cię?

– Tak powiedział.

Wyglądała tak nieszczęśliwie i bezradnie, że zapragnął ją objąć, przytulić, całować po włosach i oczach... Przełknął ślinę.

– Dowiem się, o co chodzi – obiecał.

– Nie zostawiaj mnie samej.

– Muszę iść na odprawę, pani. Przebacz mi.

Odwrócił się i poszedł w kąt jaskini, który wskazał mu Daganadan.

– A otóż i dziesiętnik Rbał – rzekł Gold, ujrawszy podkomendnego. – To oznacza, że zebrała się cała starszyzna. Zaczynajmy.

Wiecznie z czegoś niezadowolony, miewający humory setnik nie był lubiany przez podkomendnych. Jednak sarkastyczne uwagi i zgryźliwy ton w głosie były dla Rbała czymś zupełnie nowym. Na krótką chwilę

skrzyżował spojrzenie z dowódcą, po raz pierwszy myśląc o tym, jakie właściwie kłopoty ma ten człowiek. W co się uwikłał? Jaki był prawdziwy sens tej dziwacznej wyprawy do Złego Kraju?

– Dowódca oddziału zarządza, co następuje – rzekł Daganadan. – Po pierwsze: dyscyplina. Koniec z jazdą kupą. Dziesiątki kolejno obejmować będą służbę w straży przedniej i tylnej. Pozostałe dziesiątki marsz w szyku regulaminowym. Chyba że teren nie pozwoli.

Rozkaz przyjęto do wiadomości.

– Po drugie: jej godność Leyna natychmiast musi wrócić do Dartanu. Jako eskorta pójdzie trójka z dziesiątki Ehdeha, pod komendą swojego dziesiątnika. Wymarsz o świcie.

Rbał drgnął.

– Pytania – rzekł Gold.

– Setniku – powiedział Rbał.

Dowódca skinął przyzwalająco.

– Proszę o powierzenie tego zadania trójce z mojej dziesiątki i pod moją komendą.

– To niemożliwe. Twój kuznicy będą mi bardziej potrzebni niż topornicy Ehdeha.

– Zatem proszę o powierzenie mi komendy nad żołnierzami Ehdeha.

Gold uniósł brwi.

– Nie widzę przeszkód, o ile Ehdeh wyrazi zgodę. Lecz zdaje się, że nawet wtedy będziesz musiał poprosić jego żołnierzy, by zgodzili się pójść pod twoją komendę.

Rbał przełknął ślinę, wiedząc już, że przegrał. Nie był honorgardzistą, a Ehdeh dowodził dziesiątką gwardyjską; jego żołnierze mogli, lecz nie musieli podporządkować się dziesiątnikowi zwykłych oddziałów legii. W dziewięciu przypadkach na dziesięć była to zwykła formalność, prawie zawsze w takich sytuacjach gwardziści skłonni byli posłuchać „prośby”, a w istocie rozkazu swego dowódcy, zdającego komendę – ale Gold właśnie dał do zrozumienia, że nie poprosi ich o to.

– Ehdeh, czy twoi żołnierze zgodzą się pójść pod moją komendę? – zapytał Rbał.

Łysy jak kolano dziesiątnik skrzywił się, nawet nie kryjąc złośliwego uśmiechu.

– Nie wiem. Będziesz musiał ich o to zapytać.

Rbał miał już pewność, że to wszystko zostało ułożone wcześniej. Ehdeh i trzech jego ludzie mieli zawieźć gdzieś Leynę. Nie wiadomo dokąd.

Rbał odmeldował się i wyszedł z jaskini prosto pod strugi siekącego deszczu. Zamknął oczy i wystawił twarz do góry. Był spokojny. Jak zawsze, gdy rzucono mu wyzwanie.

Wiedział już, co robi, choć nie wiedział jak. Leyna ufała mu. Nie

zamierzał oddać jej Ehdehowi. Musiał postawić na szalę... no cóż, wszystko. Swoją wojskową karierę. Może nawet życie.

Wrócił do jaskini i poszedł prosto do miejsca, gdzie siedziała Dartanka.

– Co postanowili? – zapytała gorączkowo, podnosząc się. – Jesteś przemoczony, gdzie byłeś?

– Nigdzie. Rano masz być odwieziona do Dartanu, pani – powiedział.

– Nie powierzono mi komendy nad eskortą, choć zabiegałem o to.

Ciężko oparła się o nierówną ścianę za plecami. W migotliwym poblasku płonącego opodal ogniska widział przygnębienie, smutek i lęk na jej twarzy.

– A więc tak wszystko się skończy – szepnęła.

– Wymarsz o świcie. Czy możesz nie spać tej nocy, wasza godność?

– Dlaczego?

– Bo przyjdę do ciebie i zabiorę cię stąd. Bądź przygotowana do ucieczki w każdej chwili. Sprzeciwiam się rozkazom dowódcy i dezerceruję... – rzekł z krzywym uśmiechem. – To może oznaczać stryczek.

Nie wyglądał na przejętego; przeciwnie. Był dokładnie taki sam jak wtedy, gdy wszedł do wynajętej izby w zajeździe i zażądał wyjaśnień od dowódcy grożącego nożem kobiecie.

– Twój dowódca jest porywaczem! – powiedziała z największą żarliwością. – Żaden sąd nie skaże cię za to, że pomogłeś uciec kobiecie, którą siłą uprowadzono z jej własnego domu. W Rollaynie jestem... wszyscy tam liczą się ze mną! Są świadkowie, że zostałam porwana. Moja służba. Żołnierze pilnujący miejskiej bramy. Jednego z nich rozpoznam, prosiłam go o pomoc, ale myślał chyba, że żartuję.

– Obojętne, uciekniemy tak czy inaczej – rzekł wciąż z lekkim uśmiechem. – Odwiozę cię, pani, do domu. Belgon nam pomoże.

Nagle szybko pocałowała go w usta, wprawiając w osłupienie i niemal przerażenie.

– Dziękuję – szepnęła i rozplakała się.

ROZDZIAŁ 8



Brul-lah'agar był najznamienitszym spośród mędrców Szerni.

Będące jego własnością, przykute łańcuchami do skały psy zaczęły radośnie ujadać i przymilnie skomleć na widok małej pani. Ilara bardzo je lubiła, często siadała na ziemi, otoczona przez nadstawione do głaskania łby i ziejące paszcze, by opowiadać o wszystkim, co było do opowiedzenia. Gdy lizwały ją po rękach i po twarzy, broniła się z całej siły, ze śmiechem, a psy nawet nie czuły uderzeń drobnych pięści. Były wielkie i ciężkie jak cielaki. Zwano je basogami. Niedźwiedziami.

Czasem, w przyływie nagłej czułości, przyciskała swój mały, zadarty i trochę piegowaty nos do olbrzymiego, wilgotnego nosa któregoś z nich. Zaciskała dłonie na wielkich psich uszach i wywijala je śmiesznie na lewą stronę, psy zaś nauczyły się już, że mała istota lubi tę dziwną zabawę, i nie rzucały gniewnie łbami. Nawet Brul był zdumiony miłością i przywiązaniem, jakie okazywały jej te krwiożercze bestie, nieobawiające się nawet niesamowitych Strażników Obszaru. Wreszcie doszedł do wniosku, że ta zażyłość z psami jest niewskazana. Prosiła i błagała, ale był nieugięty.

Podeszła jeszcze bliżej. Psy szarpały grube łańcuchy i nieomal wyły z radości. Olbrzymie kudłate ogony kiwały się zamasyście. Arks, wódz sfory, przypadał do ziemi i poszczekiwał jak mały szczeniak. Rozwinęła swój Bicz i smagnęła kudłate boki. Zaraz potem, nie mogąc znieść rozumnego, przedziwnie ludzkiego spojrzenia Arksa, krzycząc rozpaczliwie, uderzyła go w sam nos. Potem biła na oślep, zupełnie bezpieczna, bo darowany jej przez Brula straszliwy Porzucony Przedmiot nie dopuściłby do niej nikogo i niczego.

Lecz psy nie rzuciły się na nią; skowyczały tylko i szukały schronienia między skałami. Zapłakała nagle, widząc drgawki wstrząsające potężnym ciałem Arksa. Pies leżał na boku i patrzył gasnącymi ślepiami. Jego wielki, paskudny pysk przecięty był Biczem na pół, z mokrego czarnego nosa pozostały tylko krwawe strzępy. Odwróciła się i uciekła niezgrabnie, podtrzymując ręką wyraźnie

widoczny pod odzieniem zaokrąglony brzuch.

„Trzeba było, naprawdę trzeba!” – powtarzała sobie z płaczem.

Była pewna, że postąpiła słusznie, ale świadomość tego nie pomogła. Dobięła do rozpostartych nieopodał ruin starej twierdzy Shergardów i oparła się o resztki kamiennego muru.

Dopiero tam wyplakała się do woli.

Potem weszła w labirynt wielkich, na pół zburzonych korytarzy i komnat. Proste drewniane chodaki głucho stukwały w rytm drobnych, zabawnie statecznych, trochę niepewnych kroków.

W ruinach niepodzielnie królowały kurz i brud. Ogromne, czujące respekt przed Biczem szczury pospiesznie chowały się po kątach.

Poczuła zawrót głowy, oparła ramię o ścianę, przyciskając dłonie do wzdętego brzucha. Dotknęła czołem chłodnego muru, a potem uniosła twarz ku niebu, widocznemu przez dziurę w zerwanym sklepieniu. Obraz zbitych psów na dobre uleciał z pamięci, myślała znów o tym i już tylko o tym, że wkrótce...

O dziecku.

Uśmiechnęła się lekko i przyklękała, by podnieść upuszczony Bicz. Poszła dalej. Posępny Geerkoto włókł się za nią po posadzce jak czarny ogon. Był to może jedyny Porzucony Przedmiot samym swoim wyglądem mówiący, do czego mógł najlepiej posłużyć...

Wkrótce Ilara znalazła się w bardziej zadbanej części starej fortecy. Nie było tu gruzów ani brudu. Stała przed właściwymi drzwiami. Błyszczące radośnie oczy przygaśły nieco, pojawiło się w nich napięcie. Zapukała.

– Wejdz!

Zamknęła za sobą drzwi. Jej wzrok długo błędził wśród stosów ksiąg, kamieni, kości zwierzęcych i tysiący różnych szpargałów, nim wreszcie natknął się na barczystą, prostą mimo wieku sylwetkę.

– Jesteś, dobrze – powiedział swym mocnym, trochę głucho brzmiącym głosem. – Zrobiłaś, co kazałem?

Zawsze pytał, czy wykonała polecenie, choć dobrze wiedział, że nie mogła nie wykonać.

– Tak – odparła cicho. – Chyba zabiłam Arksa.

– Hm, to źle, wielka szkoda. Ale nie czuj się winna. Podejdz do mnie.

Była wobec niego malutka i bezradna. Onieśmielał, górował nad nią jak masywna skała nad drobnym kamykiem. Zawsze zbliżała się doń z odrobiną lęku, choć nigdy nie wyrządził jej krzywdy. Przeciwnie, dał to, czego najbardziej pragnęła: dziecko.

Stała tuż przy fotelu, na którym spoczął. Ujął jej dłoń i ukrył w swoich wielkich dłoniach.

– Usiądź mi na kolanach – polecił.

Posłusznie i skwapliwie zrobiła, czego żądał. Dotknął jej brzucha

i przez moment jakby nasłuchiwał, a potem powiedział:

– Za dwanaście lub trzynaście dni urodzisz syna.

Objęła go za szyję. Zaśmiał się i przez chwilę pieszczotliwie drapał ją po karku.

– No dobrze – powiedział. – Cieszę się razem z tobą, a kto wie, może nawet bardziej niż ty.

– Nie – orzekła z całkowitą pewnością. – Bardziej nie.

Znów się zaśmiał.

– Zostanę trochę z tobą – powiedziała.

– Przecież nudzisz się, patrząc, jak pracuję.

– Będziesz teraz pracował?

– Owszem.

– To lepiej sobie pójdę – rzekła, trochę obrażona.

Wstała i pobiegła do drzwi.

– Powoli! – zawołał, odprowadzając wzrokiem jej niewysoką, wciąż drobną mimo ciąży sylwetkę.

Gdy wyszła, popadł w zadumę.

Jeszcze tylko kilkanaście dni. Mniej niż dwa tygodnie.

Jakie będzie to dziecko? Jego dziecko... Poprzez napiętą skórę jej brzucha wyraźnie wyczuwał aurę Szerni. Jeśli dziecko już teraz miało w sobie treść Pasm... Demon; być może Ilara nosiła demona. Odmieńca.

Była brzemienna dopiero od czterech miesięcy. Cięża miała trwać o połowę krócej niż zwykle. To nie wróżyło niczego dobrego.

Odmieniec, demon. Potwór. To były tylko słowa, ale... niestety, nader często kryły sporo prawdy. Zbyt często. Dzieci Przyjętych rzadko były podobne do innych dzieci, a tym razem na świat przyjść miało dziecko Szerni i Aleru. Nie wiedział, czego oczekiwać. Lecz liczył, że poznanie tej niezwykłej istoty pomoże mu zrozumieć, co łączy, a co dzieli dwie wiszące nad światem Potęgi. Wobec nadciągającej drugiej wojny Szerni z Alerem było to zagadnienie najwyższej wagi.

Brul bał się tylko jednego: że nie zdąży. O, był jeszcze zdrowy i silny! Potrafił wciąż biegać, wspinać się na skały, umiałby strzaskać stół uderzeniem topora. Jeszcze.

Człowiek Przyjęty przez Szerń starzeje się nieprędko, a grzybieje późno, bardzo późno. Lecz zupełnie nagle. Nieomal z dnia na dzień.

Wyglądając przez okno, Brul widział małą Ilarę o twarzy rozpieszczonego dziecka. Ciągnąc za sobą Bicz, szła w stronę morza. Od smutnej, jednostajnie szarej równiny jaskrawo odcinała się jej biała koszula. Przyjęty zmrużył lekko oczy i coś szepnął. Z namysłem patrzył, jak dziewczyna, nie przyspieszając ani nie zwalniając kroku, zaczyna chodzić w kółko. Wciąż był silny, tak... Formuła Posłuszeństwa działała.

Zastanowił się, czy potrafiłby ją jeszcze odwołać. By jej użyć, trzeba ogromnej wiedzy. By odwołać – wiedzy jeszcze większej. Tu,

w Nienazwanym Obszarze, cień Pasm stale leżał na ziemi i wszystko, co się w nim kryło, przesycone było treścią Szerni. Formuły wtopione w ową treść działały szybko i łatwo. Ale by je odwołać, należało rozproszyć cień.

W Szererze powszechnie sądzono, że Formuły składają się ze słów. Nie; Formułą było oczekiwanie skutku. Słowo, gest, czasem zwykle zmarszczenie brwi – to tylko pomagało wyzwolić siłę drżącą gdzie indziej.

Machnął lekko ręką i Ilara, nadal tym samym spokojnym krokiem, poszła dalej w kierunku morza. Rzadko jej rozkazywał. Zwykle tylko przekonywał, pozostawiając dziewczynie pewność, że postępuje zgodnie z własnym zdaniem. Nie chciał jej krzywdzić. Umysł, któremu zbyt często zadaje się gwałt, broni się, tworząc własne światy, wypełnione specjalnymi prawami...

Obłąd.

Patrząc przez okno, pozwolił sobie na dumny, trochę pyszny uśmiech. Tam gdzie inny człowiek ciężko walczyłby o życie, Ilara przechodziła bezpiecznie. W tym rejonie Obszaru wszystko od dawna wiedziało, że małe stworzenie jest własnością Brula. Jeden jedyny Galla zagrażał tak jej, jak i jemu samemu, ale ten rzadko bywał na Czarnym Wybrzeżu. A gdy się pojawiał, mieszkający bardziej w głębi lądu, na granicy Wybrzeża, Moldorn dawał mu o tym znać.

Moldorna nie lubił, ale nie byli wrogami. Żyli po sąsiedzku; gdy zachodziła potrzeba, służyli sobie drobną pomocą. Moldorn był matematykiem i historyk-filozof Brul, aczkolwiek bardzo niechętnie, musiał przyznać, że jest czasem zupełnie bezradny bez matematycznych modeli struktur Szerni. Lecz Moldornem jako człowiekiem pogardzał – był to mężczyzna o słabej woli i po prostu leniwy. A przecież z całą pewnością w gronie matematyków to on właśnie znaczył najwięcej. Stanowił odpowiednik jego, Brula, w gronie historyków-filozofów.

Patrząc przez okno, Brul zobaczył, jak Ilara znika za pasem wydm. Teraz już niczego nie mógł jej nakazać. Wiązały ich tylko niewidzialne nici Formuły Posłuszeństwa.

Brul-lah'agar, największy spośród mędrców Szerni, był człowiekiem obłąkanym. Pomyłencem.

ROZDZIAŁ 9



Wasza godność. Gold obudził się natychmiast i usiadł. Belgon w najgłębszych ciemnościach mógł najwyżej się domyślać zarysu jego sylwetki. Obudził się także podsetnik.

– Tu Belgon, trójkowy F.Rbala...

– Znam imiona swoich żołnierzy. O co chodzi?

W głębokim mroku nie widzieli swoich twarzy.

Belgon milczał przez długą chwilę.

– Mam wiadomość, setniku.

Znow zaległo milczenie. Gold uśmiechnął się domyślnie, ale niezbyt przyjaźnie. Ciemności skryły uśmiech, lecz trójkowy mógł wykryć go w głosie dowódcy:

– Wiadomość, ale nie za darmo, jak rozumiem. Cóż to za wiadomość?

Wiesz, że nie jestem zamożny, Belgon. Czego chcesz?

– Gdyby zwolnił się etat dziesiątnika legii...

– W czasie pokoju trudno o awanse.

– Właśnie dlatego od lat nie awansuję. Wiem na pewno, dowódco, że prędzej czy później uzyskam patent oficerski, lecz nie mogę wystąpić o egzamin bez wykazania się stażem na stanowisku starszego funkcyjnego.

Goldowi zrobiło się niedobrze na samą myśl o tym, że nocny donosiciel, sprzedający dowódcy poufne wieści, stanie się kiedyś jego kolegą oficerem. Milczał, podejmując decyzję.

– Mogę ci obiecać, że gdy zwolni się jakiś etat, będziesz pierwszy na to miejsce. Ale to może potrwać.

– Nie szkodzi. To mi wystarczy.

– Z czym przyszedłeś?

– Dziś nad ranem Rbał i jej godność A.B.D.Leyna uciekną.

Gold spodziewał się czegoś podobnego. A jednak serce uderzyło mu mocno i boleśnie. Kobieta, o której względy zabiegał... Żołnierze, którym ufał... Wszyscy gotowi byli zdradzać.

– Zwierzał ci się?

– Tak. Obiecałem mu pomóc.

– I właśnie złamałeś obietnicę, przeszkadzając, zamiast pomagać.

– To mój obowiązek, setniku.

Gold po raz drugi poczuł, że robi mu się mdło. Z poczuciem, że spełnia obowiązek, trójkowy Belgon wytargował dla siebie nominację na stanowisko dziesiątnika, zwalniane właśnie przez Rbala. Bo było przecież oczywiste, że Rbał przestanie być dziesiątnikiem, a może i legionistą, zaraz po tym, jak wyjdą na jaw jego plany.

– Wynoś się, Belgon. Zostaniesz dziesiątnikiem, pamiętam o obietnicy. Chociaż rozważę, czy nie będzie moim obowiązkiem złamanie jej, tak jak ty złamałeś swoją, daną przyjacielowi. Nie wiem, czy powinienesz zostać dziesiątnikiem, a potem oficerem.

Trójkowy chciał coś powiedzieć, lecz gdy tylko wyrzekł pierwsze słowo, poczuł na ramieniu ciężką dłoń podsetnika.

– Słyszałeś – rzekł Daganadan. – Wynoś się. Bo uderzę. A mam ochotę i może odpaść łeb.

Belgon, upokorzony, zerwał się i zniknął w ciemności.

– Chodź, Dag – powiedział setnik.

Po omacku, starając się zachować jak najciszej, ruszyli ku wyjściu z jaskini. Po jakimś czasie znaleźli się na zewnątrz. Nie padało, powietrze przesycone było zaledwie drobną mżawką. Ale grube chmury wciąż zakrywały niebo i przed jaskinią było niemal równie ciemno jak w środku. Wartownik chyba drzemał, oparty o mokrą skałę, bo dopiero po długiej chwili usłyszeli gwałtowne i groźne:

– Kto idzie?!

– Setnik i podsetnik – rzekł Gold i podał hasło. – Nie melduj.

– Tak, panie.

Oddalili się.

– I co ty na to? – zapytał wreszcie Gold.

– Nic.

– Zupełnie nic?

– Nic – powtórzył podsetnik. – Wszystko, jak przewidziałem.

– Co zrobimy?

– Złapiemy ich.

– A potem? – Gold nawet nie zauważył, że udzielił mu się oszczędny w słowach styl przyjaciela.

– Reszta w Grombie. Teraz zmiana na stanowisku dziesiątnika. Wszystko.

– Służba tego chłopaka była dotąd nienaganna. A nawet wzorowa.

Daganadan nic nie powiedział i miało to taki sam sens, jakby zapytał: „I niby co z tego?”.

Gold usiadł na szorstkiej skale, oparł łokcie na kolanach i zaczął mocno przecierać dłońmi twarz.

– To obłąd – rzekł na koniec niegłośno. – Przywożę tu kobietę, którą

następnie chcę odesłać pod eskortą do Dartanu. Ktoś, kto ma mi za złe porwanie tej kobiety, teraz sam próbuje zrobić coś podobnego. Odeślę dziewczynę i w zamian będę włókł żołnierza, który mi nie ufa, nienawidzi mnie... Czy to jest drużyna, z którą warto ruszać na odsiecz komukolwiek?

– Nie – rzekł Daganadan.

– Więc po co tam jedziemy?

– By spotkać się z Baylayem. Twój przyjaciel – przypomniał podsetnik. – Zwiążesz go i zabierzesz do Dartanu siłą. Jeśli to będzie konieczne.

Gold kiwał głową.

– Zdaje mi się, Dag, że wymyśliłmy najgłupszą rzecz. Stracę wszystko: przyjaciela, kobietę i szacunek podkomendnych. Wszystko.

– Lecz kto nawarzył tego piwa?

– Ja sam – rzekł Gold, powstając. – Sam je nawarzyłem i teraz muszę wypić. Chodźmy, niedługo świt.

ROZDZIAŁ 10



Przewodniczka zatrzymała się na chwilę i spojrzała przez ramię. Baylay wiedział już, co jest nie tak w tej ładnej z pozoru twarzy. Tkwiły w niej – właśnie tkwiły, jakby osadzono je siłą – zupełnie obce oczy. Szare, na to zwrócił uwagę już wcześniej. Ale wydawały się zbyt stare i w jakiś dziwny sposób... męskie.

Zauważyła jego badawcze spojrzenie i zrobiła nieokreślony gest. Podjęła wędrówkę.

– Wiem – powiedziała przed siebie. – Też kiedyś... no, bałam się ich.

Nie zapytał o nic.

– Może kiedyś, kto wie, opowiem ci, jak to było. Ale nie teraz, nie dzisiaj. Dobrze?

Skinął głową, choć nie mogła tego widzieć.

Zaczęło kropić. Grombelardzkie niebo powoli budziło się z kilkudniowego snu. Karenira uniosła ku niemu twarz.

– W nocy będzie ulewa – powiedziała. – Ulewa, jakiej Ciężkie Góry nie widziały.

– Skąd wiesz, że aż taka?

– Oj, wiem.

Zasapany Baylay skonstatował ze zdziwieniem, że idą bardzo szybko. Prowadzący mały pochód Starzec był, jak na swój wiek, wcale żwawy i krzepki. Wiódł ich teraz pod górę, szerokimi zakosami, omijając najbardziej uciążliwe miejsca.

– Idziemy w stronę Paszczy – zorientował się nagle. – Czyżby w tej okolicy była jakaś droga wiodąca na drugą stronę?

Łowczyni zaśmiała się krótko.

– Oczywiście, że tak. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie i jak zabrać się do rzeczy.

– Chyba nigdy nie poznam i nie zrozumieję tych gór.

– Tak myślisz? Jakiś czas temu uważałam podobnie.

Potknął się nagle.

– Patrz pod nogi! – zarządziła z lekką ironią. – Idź przede mną, trochę ci opowiem o Górach. Wygodniej mi będzie mówić do twoich pleców, niż

stale oglądać się do tyłu.

Wysforował się przed nią i podjęli marsz.

– Ciężkie Góry to chyba jedyne miejsce na świecie, gdzie nie ma w ogóle śniegu – zaczęła, jakby opowiadała bajkę. – Nigdy i nigdzie, nawet najwyższe szczyty są zupełnie nagie i czarne. Dorlan mówi, że tutaj jest bardzo ciepło i tylko z powodu wilgoci wszyscy stale marzną. Idziemy przez skalistą pustynię, wszędzie zobaczysz tylko szare, czarne i brunatne skały. Czasem w niektórych rejonach rośnie trochę drzewek i krzaków. Za to wszędzie są chmury: nad tobą, czasem pod tobą, czasem wokół ciebie. Jeśli nie chmury, to mgły. Albo ściany deszczu. Teraz mamy od wielu dni bardzo piękną pogodę, ale niech cię to nie zwiedzie. Przeważnie nic tu nie widać na odległość większą niż strzał z łuku.

– Wiem – powiedział. – Po bezdrożach chodzę od niedawna, ale jestem w Grombelardzie od wielu tygodni. A byłem w górach w Armekcie, w Szczytach Książących. Nigdzie nie ma tak przejrzystego powietrza jak tam. Ale najdziwniejszy tutaj jest wiatr.

– Oddech Gór – powiedziała i usłyszał, że się uśmiecha. – Tak go tu nazywają. Grombelardczycy wierzą, że Ciężkie Góry żyją. Mówią, że są takie miejsca, gdzie wyraźnie słyhać bicie serca, jeśli przyłoży się ucho do ziemi.

– Nie wierzysz w to chyba? – zapytał. – Byłaś w takich miejscach, słuchałaś?

– Słuchałam – powiedziała wciąż z uśmiechem.

– I co? – zapytał, oglądając się przez ramię.

– Słysząc bicie serca.

o o o

Wrócili do tej rozmowy podczas wieczornego biwaku. Maleńki ogienek ledwo, ledwo wyławiał z ciemności twarze.

Karenira powiedziała o sercu Gór.

– Grombelardczycy wierzą – wyjaśnił Starzec – że Ciężkie Góry naprawdę żyją, oddychają i czują. Bardzo dziwne ludy zamieszkują ten kraj. Poniżej gór pastuchy, ledwie znające ludzką mowę, bijące się o swoje stada. A tutaj tylko mieszkańcy wysokich wsi. Jest dla mnie tajemnicą, w jaki sposób powstają i żyją grombelardzkie legendy, takie jak ta o sercu Gór. Trudno uwierzyć, że wymyśla bądź powtarza je półczłowiek pilnujący owiec, może to zresztą owce i barany pilnują swoich pasterzy... A czy znasz legendę o powstaniu Paszczy? – zapytał, zwracając się do dziewczyny.

– Nie, nie słyszałam.

– Bardzo młoda legenda.

Usiadł wygodniej i na chwilę popadł w zadumę.

– Był rok dwieście dwudziesty ósmy ES. Dwie armie – zaczęła – jedna

podążająca z Armektu, a druga z podbitego trochę wcześniej Dartanu, wkroczyły do dzikiego Grombelardu. Grombelard nigdy nie był państwem, ani nawet zlepkiem księstw jak przed wiekami Armekt. Nie było więc mowy o regularnej wojnie, bo kto miał ją prowadzić? Rozbójnicy-rycerze, siedzący w swoich warowniach? Co prawda połączyli swe siły, porozumiewszy się po raz pierwszy i ostatni w historii. Przyjęli bitwę pod murami Brołu, zwanego dzisiaj Riksem. Riks to nazwa armektańska, w wysokim języku oznacza: krwawe, chwalebne i niełatwe zwycięstwo.

– Nie wiedziałem – rzekł.

– Nie wiedziałam – powiedziała w tej samej chwili.

Wymienili spojrzenia i uśmiechy.

– Szacuję – rzekł Starzec – że legło w tej bitwie półtora tysiąca Dartańczyków i Armektańczyków. Ale może więcej lub mniej, trudno dociec. W armektańskich kronikach zawsze jest mowa o „stu setkach zabitych w wielkiej bitwie”, obojętne, czy to była wojna Sar Soa z Królestwem Trzech Portów, czy graniczna awantura armektańsko-dartańska. Ale zostawmy liczby, bo nie mają tutaj znaczenia, dość, że bitwa pod Brolem była pierwszą i ostatnią wielką bitwą tej wojny. Wojny trwającej jeszcze trzydzieści z górą lat, choć i to nie musi być prawdą. Bo niektórzy twierdzą, że wojna grombelardzko-armektańska nigdy się nie skończyła i na dobrą sprawę trwa do dziś. Armekt uwikłał się w długotrwałe okrutne zmagania podjazdowe, gdzie wszyscy biją się ze wszystkimi. Armektańczycy mają szczęście do takich właśnie wojen, najbardziej przez nich znienawidzonych. Mozolnych, nieprzynoszących wielkiej chwały, małych wojen na wyniszczenie. Tak szarpani są przez alerskie hordy na Północnej Granicy. Tak właśnie wygląda morska wojna z piratami na Bezmiarach. Nie inaczej jest tu, w Grombelardzie, gdzie każdy staje przeciwko drugiemu, a wojsko od zawsze stacza w górach i na trakcie potyczki ze zbrojnymi bandami. Potyczki, a czasem małe bitwy, w których bierze udział do kilkuset zbrojnych. Koty mogły wygrać swoje powstanie – rzekł nagle, nawiązując do jeszcze innych wydarzeń – bo Armektańczycy bardzo szanowali taką wojnę. Wprawdzie kocie oddziały także stosowały strategię i taktykę podjazdową, lecz jednak były wojskami, nie bandami. Nie bandami. Istnieli wodzowie, odnoszono zwycięstwa, a na koniec była sława wojenna, bohaterskie czyny, legendy. Liczył się cel wojny. Był szczytny. Wszystko zaczęło się od jaskrawszego od innych aktu niesprawiedliwości. Przodkini biegającego dzisiaj po tych górach rozbójnika, Sahja, ujęła się za skrzywdzonym pobratymcem, stanęły przy niej inne koty z Sar Soa. To był tylko bunt przeciw bezprawiu; wbrew legendzie uważam, że o zasięgu lokalnym. Koty zażądały, by chroniło je ludzkie prawo, ale były gotowe poddać się też jego rygorom,

a Armektańczycy... To nieomal śmieszne, bo właściwie szukali okazji, by przegrać z walczącym o to wrogiem. Przegrali więc wspaniałą wojnę o honor, bo o nic innego przecież nie chodziło. O nic innego nie chodziło. Gdzieś odnieśli zwycięstwo, gdzieś ponieśli klęskę, nawiązali rozmowy i zawarli pokój. Wodzowie wojsk spotkali się, uszanowali. Wspaniała wojna, nie taka jak z alerskimi zwierzętami. Armektańczycy przegrali wojnę o honor, zachowując honor, wspaniale ją przegrali, a zresztą chcieli przegrać, powtórzę, bo wróg zażądał tego, co najbardziej szanują, i po prostu uznawali jego racje. Kto tego nie rozumie, niech pomyśli o rycerskich turniejach w Dartanie. Armektańczycy nigdy nie bawili się w turnieje, lecz zawsze znali pojęcie honorowej wojny i honorowej klęski. Coś takiego jest potrzebne Armektowi jak powietrze, bo ten naród wywodzi się wprost od swojej Niepojętej Pani...

Urwał, widząc, że Dartańczyk niewiele rozumie, Armektanka zaś raczej czuje tradycje swego kraju, zaszczepione jej, gdy była dzieckiem, niżli pragnie o nich rozmawiać.

– Grombelardzka wojna trwa do dzisiaj, tak uważają niektórzy historycy. Ja twierdzę, że trwała trzydzieści cztery lata. Zbrojne niedobitki grombelardzkich armii, najemnicy wybitych rozbójników-rycerzy, świetnie znający góry, z różnych pobudek: czasem dla łupów, czasem dla wojny jako takiej, ale również z czystej nienawiści do obcych, ścierali się z armektańskimi żołnierzami tak zaciekle, że zupełnie wyrzucono intruzów z Ciężkich Gór i prawie całkiem z Gór Wąskich. Garnizony legionistów wykruszyły się w dziesiątkach potyczek i utarczek. Zmieniono całą doktrynę wojenną, bo łucznicy lekkokonni, stanowiący rdzeń wojsk Armektu, użyteczni byli tylko w regularnych bitwach, takich jak bitwa pod Brolem, zupełnie zaś nieprzydatni w gonitwach po górskich wertepach. Grombelardzkim kusznikom przeciwstawiono ciężką piechotę, bo kirys, choć w górach dosyć niewygodny, jednak dobrze chronił od dalekosiężnych pocisków. Dziesiątki niewielkich oddziałów, działających w oparciu o warowne obozy i stacje, zalały Grombelard. Walczono na zbójcecki sposób, skrycie, z zasadzki, równie często posługując się siłą, jak podstępem. Ale Armekt wygrał wojnę dopiero wtedy, gdy cesarskie wojska raz na zawsze uciekły z Ciężkich Gór, i w moim mniemaniu jest to moment, gdy zakończony został podbój tego kraju... Nie rozumiecie? Grombelardem rządzi ten, kto trzyma miasta i łączący je szlak, cała reszta zupełnie się nie liczy. Ściganie różnych łapserdaków po bezdrożach to nie jest zajęcie dla regularnej armii, zresztą nie ma żadnego znaczenia, czy te łapserdaki tam biegają. Dzisiaj Legia Grombelardzka siedzi w miastach, żołnierze patrolują szlak kupiecki, a poza tym istnieje zaledwie parę stanic, tu i tam. Takich jak ta, do której zmierzamy, przy granicy Obszaru. Większy z nimi kłopot niż pożytek, ale wojsko nie chciało

całkowicie wycofać się z gór. Czasem jeszcze z hukiem trąb wszczynają się buńczuczne oblawy, które nie wiem komu i do czego służą. No, mniejsza o to. Dość, że w Grombelardzie nie da się zaprowadzić innego porządku niż taki, jaki jest. Należałoby spalić wszystkie wioski, co do jednej, zwłaszcza niskie wioski pasterskie, bo to one dają oparcie bandom i to w nich przychodzą na świat nowi rozbójnicy. Ale kto wtedy przynosiłby wełnę na sprzedaż? Z czego żyłby Grombelard?

Karenira i Baylay skinęli głowami.

– Pytałem, czy znacie legendę o Paszczy. Otóż gdy w Grombelardzie w najlepsze trwały podjazdowe walki o bezdroża, zdarzyło się, że znaczna, może ponad sto głów licząca grupa górali uchodziła na wschód od Badoru przed ścigającym ich oddziałem Legii Armekańskiej. Położenie uciekających było bardzo trudne, a stawało się beznadziejne z powodu dużej liczby rannych, których stan pogarszał się na skutek forsownego marszu. Powszechnym w Górach zwyczajem postanowiono porzucić niemogących iść o własnych siłach towarzyszy. Pozostało z nimi kilku zdrowych: ktoś, kto nie chciał zostawić konającego brata; inny, co miał przyjaciela. Czekając na nadejście Armekańczyków, ciężko ranni ludzie sposobili się do walki: mozolnie napinano kusze, szykowano ostatnie bełty. Nie było to czcze bohaterstwo. Armekańscy legioniści nie traktowali pojmanych rozbójników jak żołnierzy wrogiej armii, lecz jak pospolitych złoczyńców, poniekąd może i słusznie, więc prawie każdy wolał znaleźć szybką śmierć w walce, niżli zgnieć w twierdzy więziennej lub zadyndać na szubienicy. Zdesperowani obrońcy przepędzili straż przednią armekańskiego oddziału, lecz gdy nadeszły siły główne, wyglądało na to, że dojdzie do masakry. Ktoś w grombelardzkim oddziale zaczął gorzko narzekać na los wojenny, który zawsze służy Armekańczykom, mającym swoją Panią Losu i Wojny. Lecz inny dowodził, że w Ciężkich Górach Pani Wojna nie ma żadnej władzy, a oni przegrywają i zawsze przegrywali, bo nigdy dotąd nie prosili swoich gór o wsparcie. Ktoś znał starą pieśń o tych, którzy krążąc po Górach, stali się ich krwią; pieśń o sercu i oddechu Ciężkich Gór. Gdy śpiewał, przyłączyli się inni, a gdy wreszcie legioniści przypuścili atak, Góry obroniły tych, co im zawierzyli. Pożarły napastników, zaś wszyscy ranni ocaleli. I odtąd zawsze ufali swoim górcom, bo okazały się silniejsze od armekańskiej Pani Losu Wojennego, Arilory.

Starzec zamilkł.

– Ale... w jaki sposób to mogło się wydarzyć? – zdumiał się Baylay. – Czy w tym może być jakieś ziarno prawdy?

– Przepaść, na której dnie legioniści znaleźli swój grób, po dziś dzień nazywana jest Paszczą. Tak, to tutaj właśnie. Wcześniej, przed opisanym przeze mnie wydarzeniem, ta nazwa nigdy nie pada, choć znam wiele

tekstów z czasów przedwojennych. Pisze się najwyżej o „wielkiej przepaści”, występuje też nazwa: Cięcie. Pytasz, młody przyjacielu, ile prawdy jest w legendzie? Nie potrafię ci odpowiedzieć. Może cała ta historia została wymyślona, a może w samej rzeczy jakiś oddział wojska znalazł śmierć w przepaści. Mogło być i tak, że ryczący swoją pieśń górale spowodowali zejście skalnej lawiny, która strąciła atakujących na dno urwiska. Są tu miejsca, w których coś podobnego mogło się wydarzyć. Może zginęli wszyscy napastnicy, a może tylko kilku. Może nikt nie zginął i nawet nie było lawiny... To tylko legenda; pytaliście mnie o serce Gór, a ja obiecałem, że opowiem młodą legendę. Więc ją macie.

Siedzieli w milczeniu, smakując dziwną opowieść. Po jakimś czasie Karenira, rozmyślająca widocznie o różnych wojennych czynach, uniosła lekko brwi i zapytała:

– Czy to prawda, ojcze, że w oblężeniu Grombu brały udział trzy półsetki łuczniczek?

Starzec zdziwił się.

– A ty skąd wiesz o tym? No tak, w Armeckie pełno jest opowieści o Wielkiej Wojnie Górskiej...

Pokręciła głową.

– Każde dziecko wie, że była taka wojna, ale o łuczniczkach pod murami Grombu nic wcześniej nie wiedziałam. Jednak czasem, kiedy mieszkam u ciebie dłużej, przeglądam twoje notatki, ojcze. Te po armektańsku i po grombelardzku, bo teksty starogrombelardzkie... no, wiem już, jak rozpoznać ten język, ale zupełnie nic nie rozumiem. Nie gniewasz się, prawda? Że czytam, co napisałeś?

Starzec uśmiechnął się, patrząc niemal z rozrzewnieniem.

– Nie wiedziałem, że interesuje cię historia Szereru – rzekł. – Czemuś nigdy o tym nie mówiła? Mógłbym opowiedzieć ci o wielu bardzo ciekawych wydarzeniach! O wielu ciekawych wydarzeniach.

– Dlaczego w Armeckie kobiety są przyjmowane do legii? – zapytał Baylay i widać było, że jest to problem nurtujący go od dawna; pytanie zostało zadane poważnie, a nawet trochę gniewnie.

– Chcesz zapewne zapytać, dlaczego Armecktanki podbiły twój kraj, czy tak?

Nie było to prawdą, bo młody człowiek życzył sobie raczej usłyszeć, skąd wzięły się wszystkie różnice w pojmowaniu roli kobiety... Dlaczego małżeństwo Dartanczyka i Armecktanki koniecznie musi być nieudane. Jednak usłyszawszy, co powiedział Starzec, prawie osłupiał.

– Żartujesz sobie ze mnie, wasza godność? Armecktanki podbiły mój kraj?

Starzec uśmiechnął się.

– Trochę żartuję – przyznał. – Że podbiły Dartan, to, rzecz jasna, za

duzo powiedziane... Za duzo powiedziane – powtórzyl swoim zwyczajem. – Ale miały w tym znaczny udział i, muszę powiedziec, udział większy, niż się dzisiaj sądzi na ogół. Czy chcesz o tym usłyszeć?

Baylay skinał głową.

– Armektanki doprowadziły do tej wojny – wytłumaczył Starzec. – I miały w niej znaczny udział. Jednak zanim o tym opowiem, przypomnę wam o czymś ważnym. Otóż nie wiadomo, dlaczego tak jest, ale Armektańczycy na ogół żyją znacznie dłużej i w lepszym zdrowiu niż inni mieszkańcy Szereru. Szerń kocha synów i córę Równin, tak się mówi, nieprawdaż? No więc nie, nie kocha, bo jest martwa i niezdolna do uczuć. Niemniej w Armekcie kobiety rzadko umierają w połogu, a dzieci zawsze chowało się więcej, niż można było wyżywić. To zupełnie inaczej niż w innych krainach, gdzie z każdej piątki dorosłość osiągało jedno, a i teraz jest niewiele lepiej, choć w Wiecznym Cesarstwie mamy wieczny pokój i właściwie powszechny dostatek, bo dobrobyt to na pewno za wiele powiedziane. Już dawno, ale to naprawdę bardzo dawno, w starych erach, armektańskie kobiety wespół z mężczyznami chodziły na polowania, by wyżywić liczne i zdrowe potomstwo. Wszędzie chroniono kobiety, by mogły wydawać na świat nowych wojowników, a w Armekcie nie było takiej potrzeby. Przeciwnie, wprost stawano na głowie, by ograniczyć płodność, i wiele skutecznych sposobów zachowało się do dziś. Przecież znasz niektóre? A jeżeli zawiodą, to inne, na spędzenie płodu?

Niezażenowana wzruszyła ramionami: oczywiście. No właśnie – Armektanka. Bo już dla Baylaya to nie było pytanie jak każde inne.

– To są trudne i ciekawe sprawy – ciągnął Starzec – o których mógłbym prawić i prawić. Według Armektańczyków dzieci znajduje się w kapuście. Rzeczywiście, bo zwyczajowo tam były porzucane – wyjaśnił z krzywym uśmiechem, po czym przypomniał stare jak świat armektańskie powiedzenie: – „Matka rodzi i odchodzi, a tata na lata”. Kto chciał, to sobie brał, myślę, że w dawnym Armekcie najwyżej połowę dzieci wychowywali rodzice, a trud utrzymania reszty rozkładał się na całą społeczność. Niejeden samotny mężczyzna odchowwał trzy wspaniałe córki, z których żadna ani trochę nie była do niego podobna. Tak, w tym samym świecie, w którym Garyjczyk szlachetnego rodu gotów był zabić żonę i dziecko, jeśli wyszło na jaw, że nie on je spłodził. „W Armekcie ludzie chodzą do tyłu” – przypomniał jeszcze jedno przysłowie. – Wszystko to można wytłumaczyć, ale nie w kilku zdaniach. Jeśli kiedyś mi przypomnie...

– Ale co to ma wspólnego z podbiciem Dartanu przez kobiety?

– Wielka Zaraza w Armekcie, w odróżnieniu od bajki o Paszczy, nie jest legendą – rzekł Starzec. – Wprawdzie wątpię, by istotnie naraz zaczęło rodzić się mniej chłopców, uważam, że raczej wzrosła

śmiertelność wśród niemowląt tej płci i trwało to dość długo, zaś stało się problemem dopiero wówczas, gdy dzieci urosły. Bo dzieci to tylko dzieci, lecz przemieniają się w mężczyzn i kobiety... Dartan podbito dla zdobycia mężczyzn, bo w Armeckie zaczęło ich brakować, a z każdym rokiem brakowało bardziej. Żeby odchowac wystarczającą liczbę synów, kobiety musiałyby rodzić bez przerwy, tak jak w innych krainach Szereru, a to było sprzeczne ze wszystkim, co w Armeckie od zarania dziejów uznawano za normalne i pożądane. Sprzeczne z tym, o czym mówiłem przed chwilą. I nie rozwiązałyby problemu nadmiaru kobiet, co najwyżej doprowadziło do przeludnienia i klęski głodu. A były to już czasy silnych armecktańskich księstw, mających stałe armie, złożone z żołnierzy traktujących wojnę jak rzemiosło. Ktoś musiał zasilić szeregi i do legionów zaczęły trafiać kobiety. Bo dzieci, tak w ogóle, nadal było więcej, niż trzeba, kłopot stanowiła ich płeć, a nie liczba. Mimo wszystko Armecktańczycy wyszli z opresji obronną ręką. Tradycja i odwieczne obyczaje sprawiły, że mężczyźni mężczyznomi pozostali, choć kobiety przejęły wiele, bardzo wiele męskich obowiązków i zajęć. Było to dosyć łatwe, przecież w Armeckie kobieta zawsze była człowiekiem i partnerką mężczyzny, nie zaś częścią domowego inwentarza, jak w Dartanie albo za morzem. Szczególnie za morzem, bo do Dartanu zawsze przesączały się armecktańskie... nie, nawet nie obyczaje. Armecktański sposób widzenia świata. Mieliście na tronie i królów, i królowe, niektóre bardzo potężne – rzekł do Dartanczyka. – Półlegendarna Rollayna, pierwsza królowa zjednoczonego Dartanu. Dopuszczacie dziedziczenie po linii żeńskiej... Wszystko to z Armecktu. Mayme vasayla ouroe, mężczyzna może się wydać za kobietę i przyjąć jej rodowe monogramy, nieprawdaż?

– Niekiedy.

– Ale mówisz, ojczu, o czasach księstw. Przecież Armeck był już zjednoczony, gdy ruszono na Dartan.

– Bo zaraza wróciła. Były dwie zarazy, córeczko. Pierwsza uitorowała kobietom drogę do tradycyjnie męskich zajęć, związanych już nie tylko z wyżywieniem potomstwa. Druga, raptem dwa i pół wieku temu, sprawiła, że uderzono na Dartan. Dla zdobycia mężczyzn, jak już rzekłem. Dla zdobycia mężczyzn.

Baylay był szczerze zdumiony. Ale i Karenira wyglądała na prawdziwie zaskoczoną. Co nie znaczy, że darowała Dartanczykowi... Wskazała go palcem i zachichotała.

– Dlaczego nic o tym nie wiadomo? – zapytała.

– Wiadomo, córeczko – powiedział Dorlan z westchnieniem. – Lecz nie głośi się tego przy wtórze trąb i bębnow, bo armecktańskiej tradycji taki powód wszczynania wojny jest najzupełniej obcy. Nie wiadomo, co zrobić z wojną, która zaczęła się dlatego, że kobiety posłały swoich

mężczyzn, by zdobyli dla nich innych mężczyzn... Historia armektańskich wojen i podbojów milczy o takich przyczynach. Świątły Armekt, gdzie każde dziecko uczy się czytać, nie jest aż tak świątły, by wszystkim kładli tam do głowy całą prawdę o meandrach historii. Pytanie zresztą, czy rzeczywiście jest potrzebne, by każdy Armektańczyk był skończonym i kompletnym historykiem. Skończonym i kompletnym historykiem. Kto chce takim zostać, ten zostaje.

ROZDZIAŁ 11



W nocy lało, tak jak zapowiedziała przewodniczka. Ale niezbyt długo i nie zmokli pod skalnym nawisem, gdzie umościli legowiska.

Gdy rano Łowczyni obudziła Baylaya, ten od razu zauważył, że kobieta jest bardzo zła. Być może wszystkie Armektanki marszczyły się podobnie, gdy nie dopisywał im humor... Pewnie były tak zmarszczone, gdy ruszały na Dartan. Na wszelki wypadek Baylay przetarł oczy i od razu skinął głową na zgodę.

– Zjedz coś szybko i idziemy – powiedziała. – Późno już.

Nic nie odpowiedział, choć wyraźnie czekała na jakiegokolwiek słowo. Zaczął wdziawać zbroję.

– Nie zdejmuj jej więcej. Tu są góry, nie gospoda w Rollaynie.

Znów czekała. Lecz Baylay, jakkolwiek krótko, był jednak człowiekiem żonatym i wiedział, że cokolwiek powie, będzie źle. Zdążył jeszcze pomyśleć, że jeśli niczego nie powie, to także fatalnie...

– Obrażony – powiedziała. – Nic nie powie, nawet jednego słowa. Obudził się i od rana obrażony. Zaczynam żałować, że zgodziłam się prowadzić kogoś takiego.

Gdy i tym razem nie zareagował, nabrała powietrza w płuca i aż się skurczył, oczekując wrzasku...

Na szczęście zza niedalekich skał wyłonił się Starzec. Ujrzawszy go, Łowczyni zgrzytnęła zębami, odwróciła się i polazła do swoich kłopotów. Zaczęła grzebać w podróznym worku. Zauważył, że ze złością pogryzła i zjadła owczy ser. Dostał, na co zasłużył, ser jeden.

Dorlan podszedł i pomógł Dartańczykowi dopiąć rzemienie zbroi.

– Zaspała – mruknął – i dlatego jest obrażona. Królowa Gór zaspała, sam rozumiesz... Lecz z tym tutaj – poskrobał zbroję – miała rację. Nie zdejmuj tego więcej.

– Skoro przewodniczka i ty, panie, obywacie się bez zbroi...

– Ona – przerwał Starzec – wie, co robi. A ja, mój chłopcze, wprowadzie noszę na grzbiecie coś w rodzaju worka, lecz pod spodem mam naprawdę solidną kolczugę. Pomacaj. No dalej, śmiało.

Baylay spojrział zaskoczony. Starzec uśmiechnął się.

– Tu są góry – rzekł, nieudolnie naśladowując głos przewodniczki; udała się tylko chryпка.

Baylay powściągnął uśmiech.

Wkrótce ruszyli w dalszą drogę. Znow prowadził Starzec, dziwnie nie lubiący gawędzić w czasie marszu. Baylay maszerował za nim; Łowczyni trzymała się końca.

Jak na przewodniczkę, było to trochę dziwne miejsce w szyku. Dartańczyk obejrzał się i napotkał jej spojrzenie.

Wciąż była w kiepskim humorze.

Zdał sobie naraz sprawę, jak bardzo intryguje go ta młoda kobieta. Właściwie czy bardzo młoda?... Mogła mieć pod trzydziestkę. Kim naprawdę była? Armektanka w Ciężkich Górach. Gold, gdy mu mówił o Łowczyni, opowiadał jeszcze o jakichś sępach, coś jej kiedyś chyba zrobiły, ale prawdę rzekłszy, Baylay niewiele pamiętał. Legenda. Cała jego wiedza o tym kraju składała się z legend. Co łączyło tę kobietę ze Starcem? Wyczuwało się, że wiąże ich jakaś mocna nić, jakieś wspólne, chyba bolesne i przykre wspomnienie...

Przemierzali dno skalnego kotła, częściowo zakryte taflą wody. Uświadomiwszy sobie niezwykłą dzikość miejsca, Baylay zaczął szukać sposobu na wydostanie się z tej gigantycznej dziury.

– Czy jest stąd jakieś wyjście? Poza drogą, którą przyszliśmy? – zagadnął, obejrzawszy się po raz kolejny.

Już nie była tak bardzo zjeżona. Trochę tylko.

– Głupie pytanie. Jest wyjście, oczywiście – burknęła. – Ale rzeczywiście trudne. Wiatr wysuszył wszystko po nocy, ale jeśli znow spadnie deszcz i skały staną się mokre, to będziemy musieli uważać. I zdrowo się namęczyć.

Wzrokiem pokazał jej Starca. Pokręciła głową.

– Martw się o siebie – powiedziała krótko i chciała dodać coś jeszcze, ale urwała w pół słowa i nagle rzuciła się na ziemię.

– Kładź się!

– Co? – zdumiał się Baylay.

Lecz Starzec, który usłyszał okrzyk dziewczyny, zawołał:

– Kładź się, chłopcze!

Baylay zobaczył, że tylko on z całej trójki sterczy jeszcze i się zdumiewa... Szybko legł na ziemi, patrząc to na Starca, to na przewodniczkę – bo nigdzie wokół nie dostrzegł niczego godnego uwagi.

– Jacyś ludzie – powiedziała normalnym głosem przewodniczka, co znaczyło, że dostrzeżeni nie są zbyt blisko. – Zauważyłam ludzi. Myślę, że nas nie widzieli, ale kiedy mówię „kładź się”, to słuchaj od razu.

Skinął głową.

– Pójdę na zwiady – powiedziała.

– Towarzyszyć ci?

Spojrzała z takim zdumieniem, że poczuł się śmieszny. Tym bardziej że zapomniała już o swoim porannym złym humorze i było to zdumienie najzupełniej szczere, nieobliczone na wzniecenie sprzeczki.

– Towarzyszyć Łowczyni? Na zwiadach? Leż cicho i uważaj, żeby ci zadek spomiędzy skał nie wystawał – powiedziała.

Zostawiła swój sajdkak i odpięła pas z mieczem. Wyjęła z worka nóż.

– Może mój? – zapytał Starzec.

Baylay zdumiał się, ujrawszy wyjęty spod szaty oręż. Tutaj, w Grombelardzie, broń tę nazywano półmieczem; wytwarzano ją zresztą właśnie ze złamanych mieczy, formując od nowa sztych i po jednej stronie nacinając głownię – tak że powstawały kwadratowe zęby. Półmiecz umożliwiał wychwycenie broni przeciwnika i – przy pewnej wprawie – wytrącenie jej lub nawet złamanie. Baylay wiedział, że orężem tym posługiwali się tradycyjnie przybrzeżni piraci z okolic Londu... Posiadanie przez Starca podobnego narzędzia świadczyło bardzo wyraźnie, że człowiek ten potrafił dowodzić swoich racji nie samym tylko słowem.

Karenira uśmiechnęła się lekko.

– Nie, ojcze, zachowaj to... coś – mruknęła. – Wiesz, że nawet nie umiem tego trzymać. Nacinaną stroną do góry? Czy na dół?

Baylawowi przyszło na myśl, że Starzec pokazał swój oręż z tego samego powodu, dla którego wcześniej powiedział mu o kolczudze. Tutaj były góry, Ciężkie Góry. Należało traktować je poważnie.

– Czekajcie tu – rozkazała łuczniczka.

Przyglądali się, jak zręcznie przemyka między skałami. Przepadła gdzieś nagle i Baylay nie zauważył, gdzie i kiedy to nastąpiło.

Starzec wygodniej ułożył się na kamieniach.

– To dziewczątko – powiedział – od wielu lat samotnie wędruje po górach. Odbyla dziesiątki takich podchodów. Wiem, że bardzo chcesz jej pomóc. Ale jednak... – Skrzywiwszy lekko usta, uczynił słaby gest ręką i Baylay zrozumiał, że naprawdę jest śmieszny, proponując doświadczonej przebiegaczce gór swoją pomoc na zwiadach; Starzec chciał mu to ogłędnie dać do zrozumienia.

– Wiem, co chcesz mi, panie, powiedzieć.

– To tym lepiej.

Leżeli w milczeniu, marznąc coraz bardziej. Mżyło już od jakiegoś czasu, teraz mżawka zmieniła się w drobny, uciążliwy deszcz. Baylay czuł, jak jego peleryna staje się coraz bardziej mokra i ciężka.

Do spania wybierał zawsze jakieś znośne miejsce – teraz rzucił się na ziemię tam, gdzie stał. Na ostrych i nierównych kamieniach było mu bardzo niewygodnie, lecz nie chciał się wiercić, bo wstyd mu było przed starym człowiekiem, który – za nic mając kamienie pod plecami – wyciągnął się jak długi i chyba sobie drzemał.

Czas mijał i Baylay poczuł wreszcie, że musi poszukać lepszego miejsca do leżenia. Już miał się podnieść, gdy ujrzał wracającą łuczniczkę. Szła swobodnie, nie kryjąc się. Był to znak, że ostrożność nie jest już potrzebna i Dartańczyk – starannie skrywając ulgę – trącił w łokieć swego towarzysza. Starzec otworzył oczy, spojrzął we wskazanym kierunku i zaczął się zbierać.

Baylay usiadł na niedużej skale, walcząc z chęcią roztarcia i rozmasowania wszystkich kości. Przyglądał się nadchodzącej. Gdy odzienie skrywało jej zwierzęce mięśnie, wyglądała bardzo kobieco. Apetycznie. Miała doskonałą figurę: opinający talię szeroki skórzany pas znakomicie podkreślał krągłość bioder, do których przywarła zupełnie przemoczona, ciemnozielona spódnica. Ciężkie od wody warkocze opadały na piersi.

– Odeszli – powiedziała.

Schyliła się i podniosła swój sajdak.

– Kim byli? – zapytał Baylay.

– Co mnie to obchodzi. Odeszli – powtórzyła.

Była właśnie taka jak owej nocy, gdy poznali się przy jego ognisku: małowówna, surowa. Znów zaczęła go drażnić nieustanna chryпка w jej głosie.

– Myślałem, że w górach lepiej wiedzieć wszystko do końca – rzekł z przekąsem.

– W górach nie należy być zbyt ciekawym – ucięła. – Ani zbyt złośliwym i zbyt mądrym, ani... Chodźmy już. Nie będziemy tutaj nocować.

o o o

Zacisnął zęby i podciągnął się na rękach. Prawą stopę wparł w skałę. Posypały się drobne kamyki.

Wąski, kamienisty żleb nie wyglądał z dołu bardzo groźnie – ot, dość stroma, werżnięta w skalną ścianę dróżka. Dopiero w połowie drogi okazało się, że nie warto było ufać oczom. Należało zaufać doświadczeniu – ale nie zaufał. Cudzem doświadczeniu, nie własnemu. Bo przewodniczka uprzedzała, co prawda zdawkowo, że czeka ich niemały wysiłek.

Idąca przodem Łowczyni zatrzymała się, więc przystanął i Baylay. Oparłszy się o skałę, półleżąc, patrzył na podążającego za nim Starca. Radził sobie, ale chyba niemałym kosztem. Mimo chłodu i dokuczliwego deszczu twarz miał poczerwieniałą z wysiłku. Przed rozpoczęciem wspinaczki Karenira odebrała mu podróżny worek. Nie zaprotestował nawet słowem – i Baylay po raz kolejny musiał powiedzieć sobie, że największą wartość w Ciężkich Górach ma rozsądek. Nie było tu miejsca na popisy i zamaszyste gesty; każdy musiał wiedzieć, na co dokładnie go

stać. Starzec wiedział, że nie jest młodzikim, i gdy było trzeba, umiał przyjąć zaoferowaną pomoc.

Okrągły kamyk, tak duży jak paznokieć, zadzwonił o łuski zbroi Baylaya. Dartańczyk spojrział w górę. Karenira, podobnie jak on sam, pólżeła na skale, zębami i jedną ręką wiążąc włosy, z których zsunął się rzemyk. Rozpleciony warkocz przeszkadzał, mokre włosy przylepiały się do policzka i plątały. Dociągnęła węzeł i spojrzała w dół, na mężczyznę. Pokręciła głową: no, no...

Nie wyglądała na zmęczoną. W ogóle.

Pewnie drzemała, pełznąć w górę, byle tylko za nią nadążyli. I nie przyjąłby zakładu, że warkocz sam się rozwiązał... Może chciała mieć pretekst do postoj, który by pozwolił im odetchnąć.

Powiedziała coś, czego Baylay nie dosłyszał, i znów ostro ruszyła w górę. Przez długą chwilę bezmyślnie wlepił wzrok w to wszystko, co miała pod spódnicą, potem podążył za nią. Worek na plecach, a zwłaszcza wystający zeń miecz przeszkadzały mu tak bardzo, że najchętniej byłby się ich pozbył. Pancierz, mimo że giętki, krępował ruchy; przez chwilę zobaczył się na tej skale w pełnej zbroi noszonej przez legionistów dartańskich i omal nie parsknął śmiechem.

Armektanka nie pozwoliła już na żaden postój. Dzień nie mógł trwać w nieskończoność; groziło im, że zakończą wspinaczkę po ciemku, a więc – prawdopodobnie – zakończą tam, gdzie zaczęli, u podnóża skalnej ściany, na dnie przeklętego kotła. Parli w górę. Dotarłszy na szczyt, Baylay położył się na plecach i ledwo żywy łąpał powietrze. Po chwili dołączył doń Starzec.

Łowczyni siedziała na skale, przeciągając się zdrowo.

– Nieźle, zupełnie nieźle, Dartańczyku – powiedziała wesoło.

Zdumiał się i rozżłościł, że chwali jego zamiast starszego o półwiecze Starca. Uwielbiała upokarzać. Miał dosyć.

– Tobie także poszło nie najgorzej – wysapał, nie potrafiąc wymyślić niczego, co mogłoby jej naprawdę dopiec.

– Fraszka – powiedziała, wciąż w dobrym humorze. – Kiedyś, gdy Łowczyni będzie w dobrym humorze, opowie ci, co pokazywała na jednej skalnej ścianie, gdy ściagała się z dziesiętnikiem gwardzistów... – Urwała nagle i nachmurzyła się, jakby przyszło jej na myśl coś niemiłego. – Albo nie, nie opowie. A to tutaj to fraszka.

– Fraszka... Dla Łowczyni wszystko jest fraszka. Wspinaczka to fraszka, zwiady to fraszka, góry to fraszka... Zły Kraj to pewnie też będzie fraszka. Zdecydowałaś już, czy idziesz tam ze mną, czy zostaniesz na granicy?

Wstała ze swojego głazu, podeszła i groźnie stanęła nad nim.

– Czego chcesz ode mnie? – zapytała.

Ucieszył się, że jej dobry humor wsiąkł bez śladu.

– Tylko tego, żebyś wróciła na swoją skałę i znowu tam usiadła – rzekł, spoglądając od dołu na jej silne łydki i uda. – Dość mam widoku tych twoich grubych nóg, napatrzyłem się na nie dość podczas wspinaczki – ciągnął, nabierając coraz większej ochoty do walki.

Starzec, wciąż jeszcze zasapany, obserwował scenę w milczeniu, ale z wyraźnie narastającym zniecierpliwieniem. Karenira przygryzła usta i spojrzała nań.

– Powiedziałaś mi niedawno, ojcze, że jestem głupia... To prawda. Nie wiem, dlaczego pomagam temu człowiekowi.

Baylay wstał.

– Bo płacę ci za tę pomoc. I to znacznie więcej, niż jest warta. A mógłbym kupić dziesięć takich przewodniczek, żeby prowadziły mnie po całym Szererze!

– O, czyżby? Zdaje się, że jedna Armektanka pokazała ci już, co możesz zrobić ze swoim majątkiem i pozycją. Chcesz, żeby druga pokazała ci to samo?

– Przestań – powiedział gniewnie Starzec, lecz było już za późno; z właściwym kobietom brakiem wyczucia dotknęła tej jednej jedynej sprawy, której dotykać nie powinna.

– Tu jest twoje złoto – wykrztusił Dartańczyk, sięgając do swojego worka. – Masz je i wynoś się poza zasięg mojego wzroku, bo inaczej...

Rzucił jej pod nogi pełną garść monet, a wtedy aż zasyczała. Przyskoczyła i trzasnęła go w szczękę tak, że przysiadł. Zaczął się prostować, więc poprawiła i z błyskawiczną szybkością okręciła się wokół własnej osi, przykucając. Jakaś siła podcięła mu nogi, jednocześnie podrywając je w górę; grzmotnął plecami i głową o grunt, aż skały wokół jęknęły. W następnej chwili siedziała na nim z uniesioną do ciosu pięścią.

– Tak, wytłucz mu zęby, rozbij głowę, Łowczyni! – zawołał Starzec, wymachując walecznie rękami. – To świetny pomysł! Ach, czemuż nie jestem młody, zaraz włączyłbym się do bitki!

Dyszała ciężko przez zaciśnięte w gniewie zęby. Wreszcie trzepnęła leżącego otwartą dłonią po głowie, zerwała się i odeszła. Baylay powłókł się do swego worka i wyciągnął miecz.

– Puknij się w głowę tym żelazem – poradził z niesłabnącym gniewem Starzec. – Jeśli uderzenie o ziemię nie pomogło, może drugie odniesie jakiś skutek!

Odchodząca zatrzymała się na moment, odwróciła i zawołała z furią:

– Osioł!

Potem poszła dalej.

Starcowi opadły ręce.

– Goń ją i zarab – powiedział zrezygnowany. – Co za głąby kapuściane, nie wiem... No nie wiem.

ROZDZIAŁ 12



Lejną zbudził straszliwy wrzask i harmider. Usiadła gwałtownie, nie pojmując, co dzieje się wokół niej. Był już ranek, część jaskini wypełniało niewyraźne jeszcze światło wstającego dnia. Widziała sylwetki ścierających się żołnierzy; wrzaski ludzi i szcęk broni zagłuszyły jej własny jęk. Zerwała się, odbiegła na bok i stała nieruchomo, przyciskając pięści do policzków, nie będąc w stanie wykonać żadnego ruchu. Pierwszy raz w życiu widziała całkiem z bliska, jak ludzie pragną zabić się nawzajem, tną mieczami, uderzają... To nie byli szkoleni do walki niewolnicy, lecz ludzie, prawdziwi ludzie! Gdy do jej stóp osunął się młody legionista z rozplatanym barkiem, zawyła ze strachu i obrzydzenia. Cofała się bezwiednie, drżąc na całym ciele. Zawadziła nogą o leżące na ziemi bagaże i upadła. Zakryła twarz dłońmi.

A tymczasem nie był to żaden wielki bój, lecz mała potyczka. Znużona Dartanka zasnęła, czekając na przyście Rbała, i nie widziała, jak został zatrzymany przez gwardzistów pod komendą podsetnika. Obudziły ją dopiero głosy walki – bo doszło do walki, wbrew przewidywaniom i chęciom. Być może nawet młody i porywczy Rbał nie chciał bratobójczej rąbaniny, lecz zatrzymany nagle, w chwili gdy już prawie osiągnął zamierzony cel, stracił panowanie nad sobą, chwycił za miecz i zawołał swoich żołnierzy. Dziesiątka wyrwanych ze snu legionistów rzuciła się z odsieczą swemu dziesiątnikowi – a nikt tam nie wiedział, o co poszło, żołnierze widzieli tylko nie lubianych, stale wywyższających się gwardzistów, przeciw którym wzywał ich funkcyjny. Zatargi pomiędzy żołnierzami różnych formacji nie były czymś nadzwyczajnym; w garnizonach dochodziło czasem do bójek. Lecz tym razem w ruch poszły miecze i dopiero silny głos Golda nakazujący zaprzestanie walki podziałał na rozgorączkowane głowy.



TRUST 21

Tylko Rbal nie odrzucił ani nie schował broni. Osaczony w kącie jaskini wiedział już, w jak fatalną wpłatał się historię, ale nie zamierzał

ustąpić. Nie rzucił miecza; nie uczyniłby tego nawet na rozkaz dowódcy – cóż dopiero, gdy zażądał tego Ehdeh...

Ehdeh nigdy go nie lubił, bo Ehdeh nie lubił nikogo. Był to złośliwy, zamknięty w sobie brzydal, kochający tylko walkę i zabijanie. Rbał miał nadzieję, że jeśli nawet nie zdoła położyć przeciwnika, to poniży go i ośmieszy. Lecz łysy dziesiętnik nie dał mu nawet szansy. Doskonale wiedząc, że Rbał operuje mieczem lepiej niż ktokolwiek inny w garnizonie, zaszachował go tylko i skrzyknął swoich żołnierzy. Otoczony z trzech stron, młody funkcyjny bronił się jednak zajadle i z niewiarygodną skutecznością. Gold próbował zapobiec rozlewowi krwi, lecz uwikłani w walkę żołnierze nie mogli go posłuchać, bo gdy tylko opuścili miecze i cofnęli się, rozjuszony, pokaleczony już młody dziesiętnik natarł na nich z furją. Jeden z gwardzistów krzyknął, ugodzony sztychem – i setnik nie zdołał zapobiec nieuniknionemu. Chłopak, zaatakowany ze wszystkich stron, w jednej chwili otrzymał kilka cięć i pchnięć, których nie mogła już zatrzymać kolczuga.

Żołnierze, usłyszawszy kolejny rozkaz setnika, cofnęli się ponownie i Gold zobaczył swojego funkcyjnego, któremu Szerń dała chwilę życia po śmierci... Młody legionista stał pod ścianą jaskini i chyba nie czuł bólu. Opuścił miecz i z krzywym, zalanym krwią uśmiechem patrzył na swego dowódcę.

Miecz wysunął się z ręki i zadzwonił na kamieniach. Rbał wytarł mokrą od krwi dłoń o brzeg spódnicy, cofnął się chwiejnie i oparłszy plecy o ścianę jaskini, powoli splótł ramiona na piersi. Coraz bardziej zamglonym spojrzeniem wodził po twarzach żołnierzy, ale najwyraźniej nie było wśród nich osoby, której szukał.

Tylko Gold zrozumiał, kogo chce zobaczyć umierający dziesiętnik. Lecz Leyna, ukryta gdzieś w ciemnym kącie, nie przyszła, by zapłakać nad jedynym swoim sojusznikiem, opiekunem i obrońcą... Gold z nieudawaną goryczą i smutkiem jął kręcić głową – i być może konający dziesiętnik zdążył jeszcze zrozumieć, że został beznamiętnie wykorzystany, a potem opuszczony, gdy wyszło na jaw, iż jest nieprzydatny.

Najbliżej stojący żołnierze skoczyli, by podtrzymać padającego. Lecz Szerń cofnęła już swój – jakże szydery – dar.

o o o

Setnik leżał na płaskiej skale przed jaskinią, z dłonią na oczach, nie zważając na siekący deszcz. Musiał słyszeć nadchodzącego, lecz nie poruszył się.

– Czterech pokaleczonych i dwaj ranni, jeden bardzo poważnie – rzekł Daganadan, siadając na skale obok. – Jeden od Rbała, drugi nasz.

Gold usiadł.

– Drugi ranny nasz? – zapytał ponuro, z goryczą. – Wszyscy nasi, Dag. To wszystko nasi żołnierze: jeden zabity, dwaj ranni, czterej pobici i pokaleczeni... Czwarta część oddziału. Ci legionieści z dziesiątki Rbala nawet nie wiedzieli, o co się biją. Przybiegli, bo wołał ich dziesiątnik. A teraz patrzą na mnie, bo to ja przerwałem walkę. Patrzą i chcą mi powiedzieć: nie pozwoliłeś nam, gwardzisto, bronić naszego dziesiątnika. I zaszlachtowano go pod ścianą, nie miał w ogóle szans.

Daganadan milczał.

– Miałeś rację – dodał po chwili Gold. – To ona... ona wszystkiemu winna. Zamiast zabijać świętego żołnierza, należało powiesić tę... wiedźmę.

Podsetnik milczał, bo mógłby powiedzieć najwyżej: „Przywiozłeś ją tutaj – tak, ty, nikt inny”.

– To był twój pomysł – niespodziewanie rzekł Gold. – Ty wymyśliłeś, jak sprowokować Rbala.

– Chciałem ją odprawić. Mówiłem tylko, że Rbal nie pozwoli. Że będzie chciał...

– Nie, nie – powiedział setnik. – Nie opowiadaj mi, co chciałeś. Doszło do zbrojnej utarczki, żołnierze pod naszą komendą porąbali się mieczami. To ty odpowiadasz za porządek i dyscyplinę.

Małomówny podsetnik, może bardziej wstrząśnięty bratobójczą rąbaniną, niż chciał to po sobie pokazać, zawrzał gniewem i wstał ze skały.

– Za porządek! Odpowiadam, tak! Ale w klinie piechoty, nie w burdelu! Gdzie jedna dziwka. I kilku chętnych.

– Odpowiadasz za porządek!

– Zrobiłeś burdel! Z wojska!

– Wymyśliłeś, jak sprowokować tego chłopaka! Zejdz mi z oczu!

Daganadan zaczerpnął tchu... odwrócił się i odszedł równym, odmierzoną krokiem. Niczym na parady.

Gold położył się jak poprzednio i znów zakrył oczy dłonią. Ale zaraz wstał gwałtownie, wyrwał z pochwy miecz i rąbnął nim o skały, a potem zamachnął się i odrzucił broń precz, tak jakby czemuś zawiniła. Pochyliwszy głowę, ruszył wprost przed siebie. Chciał być sam, zupełnie sam; chciał oddalić się od swego wojska, od obrażonego przyjaciela, od porwanej dziewczyny, od zabitego żołnierza...

Chociaż przez chwilę, krótką chwilę musiał być z daleka od tego wszystkiego.

Daganadan zaś wręcz przeciwnie: szukał towarzystwa albo może raczej bliskości innych ludzi, bo na pogawędki nie miał ochoty. Gdy podszedł doń Ehdeh, samym tylko spojrzeniem zapytał go, o co chodzi.

– Czy rozkazy są odwołane? – zapytał dziesiątnik.

– Jakie rozkazy?

– Mamy odwieźć jej godność do Dartanu. Czy nadal? A reszta oddziału? Lodos pyta, czy dać polecenie do wymarszu.

Dziesiątnik musiał doskonale wiedzieć, że nic z tego nie jest wykonalne, a jeśli nawet, to nie ma wcale sensu. Więc Daganadan tylko popatrzył nań ciężko i rzekł:

– Ja nic nie wiem. O wszystko pytaj dowódcę.

Ehdeh odszedł.

Daganadan wydobył z juków trochę wędzonego mięsa i zaczął jeść. Podziałało to nań uspokajająco, po chwili znów mógł myśleć rozsądnie i trzeźwo.

Rozumiał Golda. Tak, chyba rozumiał! Przez rok, przeszło rok, myślał tylko o zmarłej żonie. Teraz odżył, zaczerpnął tchu – i zadurzył się. W młodej i pięknej kobiecie, którą spotkał tak bardzo w porę. Lub może nie w porę... Daganadan szczerze bolał nad takim zrządzeniem losu. Gold nie zasłużył sobie ani na przedwczesną śmierć życiowej towarzyszkii (do której i on, Daganadan, był naprawdę serdecznie przywiązany), ani tym bardziej na to, by w tak gwałtowny sposób wyrwano go z pustelni, którą sobie zbudował po przeżyciu życiowej tragedii. Lecz gdzie w tym wszystkim wina jego najlepszego przyjaciela?

Zacisnął zęby. Oto los! Od czterech lat szedł z Goldem przez dobre i złe, ramię w ramię. Polegali na sobie, rozumieli się, szanowali. Nigdy nie doszło do czegoś takiego jak teraz. Gdzie przyczyna?

Kobieta.

Daganadan bał się kobiet. Dwie tylko były w jego życiu: matka, a potem Elwa, przyjaciółka, prawie jak siostra, żona druha-gwardzisty... Z innymi nie umiał rozmawiać, nie umiał postępować. Nie rozumiał ich, nie pociągały go – w żaden sposób. Bardziej już odpowiadali mu mężczyźni, chociaż, prawdę rzekłszy, gdy chodziło o bliskość cielesną, Daganadan uważał, iż zupełnie spokojnie przez całe życie można obywać się bez tego. Bez tych spraw. I obywatł się, całymi latami. Lecz kobiety wprowadzały zamęt nie tylko swą cielesnością, cała ich natura stała w sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem. Wojsko! Grombelardzki garnizon wojskowy – oto było miejsce, gdzie kobieta zdarzała się zupełnie wyjątkowo. Wojna, wojsko – to były rzeczy, które od zawsze pociągały Daganadana. Nie dlatego, by lubił niebezpieczeństwa, walkę i zabijanie, jak Ehdeh. Chodziło o coś więcej. Armia, legie imperialne – była tam dyscyplina, był porządek, były jasne i klarowne sytuacje. Jeśli gdzieś wkładał się bałagan, należało go zlikwidować. Pedantycznie, spokojnie i dokładnie. Porządek, tak. Porządek Daganadan zawsze kochał najbardziej.

Dlatego nie znosił kobiet.

Kobieta! Przeklęta kobieta; jaki wiatr ją przywiał, z jakim deszczem spadła na ich oddział? Niepotrzebnie odesłał Ehdeha z niczym, należało

potwierdzić wszystkie rozkazy. Gwardziści powinni zabrać dziewczynę do Dartanu, a im szybciej, tym lepiej. Lecz do tego niezbędne było potwierdzenie Golda. Nie mógł decydować sam.

Gniew na przyjaciela minął. Daganadan pozbierał się, przemyślał wszystko i podjął decyzję. Skończył posiłek (nawet o tym nie wiedząc, pochłonął cztery duże kawały mięsa i wypił pół bukłaka wody), a następnie wyszedł przed jaskinię. Postanowił, że tym razem zniesie wszystko, zapanuje nad rozdrażnieniem i wysłucha tyłu przykrych słów, ilu będzie musiał wysłuchać. Potem wyłoży swoje racje.

Lecz Golda nie było tam, gdzie go zostawił. Zagadnął wartownika, a nie uzyskawszy jasnej odpowiedzi, zaczął szukać. Szukał najpierw pobieżnie, potem coraz bardziej nerwowo, dokładnie przepatrując okolice, a nawet nawołując. Po pewnym czasie – już poważnie zaniepokojony – wrócił do jaskini. Żołnierze, ujrawszy, że nadchodzi, przerwali rozmowy.

– Lodos, Ehdeh – rzekł spokojnie i odszedł na bok.

Wezwani podążyli za nim.

– Gdzie dowódca? – zapytał tak, żeby nie słyszeli żołnierze.

Dziesiętnicy pytająco spojrzeli po sobie. Daganadan przygryzł usta.

– Lodos, twoje trójki. Trzeba odnaleźć setnika.

– Tak, panie.

Przypomniawszy sobie o czymś, Daganadan dokładnie przyjrzał się twarzom siedzących nieopodal żołnierzy. Twarzy, której szukał, nie znalazł.

Nie było Belgona. Donosiciela. Podsetnik zastanowił się, czy widział go od chwili, gdy Rbal został zabity. Chyba nie. Wówczas Belgon, niebiorący udziału w potyczce, stał z boku, śmiertelnie blady. Podsetnika uderzyła ta bladeść, dlatego ją zapamiętał. Potem zapomniał.

– Gdzie jest Belgon? Kto teraz rządzi dziesiątką Rbala?

Funkcyjni po raz drugi wymienili pytające spojrzenia. Nikt nie ustalił zwierzchnictwa. Belgon zaś...

Daganadan szybko zmienił rozkazy. Wszyscy oprócz rannych i poturbowanych mieli ruszyć na poszukiwania.

Bardzo szybko znaleziono nieopodal wejścia do jaskini miecz Golda. Niepokój Daganadana wzrósł. Zamienił jeszcze kilka słów z Ehdehem, powiedział mu o swoich podejrzeniach i posłał dziesiętnika na poszukiwania. Potem rozmówił się z Lodosem, wreszcie wziął pod komendę trzech niedowodzonych żołnierzy, którzy zostali z dziesiątki Rbala, i ruszył z nimi na wschód.

Szli pod górę, klucząc między skałami. To jeszcze nie były prawdziwe góry, bo raczej nierówności i wzniesienia. Teren, choć uciążliwy, nie wydawał się specjalnie trudny. Lecz do prowadzenia poszukiwań był to teren najgorszy z możliwych: wszędzie wokół piętrzyły się większe

i mniejsze piramidy skalnych okruchów, osypiska... Żołnierze rozglądali się bacznie, lecz ze świadomością, iż tylko przypadek może im pokazać ukrytego wśród tych skał człowieka.

Krótki świst, a następnie stłumiony odgłos uderzenia – były to dźwięki doskonale znane legionistom. Idący w środku oddziału podsetnik, górujący wzrostem nad swoimi żołnierzami, skulił się nagle, a potem bardzo wolno wyprostował, zaciskając dłoń na tkwiącym pod obojczykiem bełcie. Otworzył usta i powiedział coś, być może chciał jeszcze wydać jakiś rozkaz.

ROZDZIAŁ 13



Po wszystkim, co zdarzyło się u schyłku dnia, Baylay i Karenira nie umieli szybko zasnąć. Najpierw przewodniczki dosyć długo nie było i Dartańczyk w końcu poszedł na poszukiwania, nie pytając Starca o radę ani o zdanie. Krążył trochę w ciemnościach, aż wreszcie usłyszał z jakiejś dziury:

– Już przestań. Tutaj jestem.

Zdał sobie nagle sprawę, że ten niemądry wybuch złości i gniewu miał swoje źródło w czymś... dziwnym i bardzo niebezpiecznym. Podszedł do ukrytej w ciemnościach Armektanki i usiadł obok, a po długiej chwili poczuł jej dłoń w swojej dłoni. Siedzieli tak przez jakiś czas, milcząc, wreszcie wrócili na miejsce biwaku. Starzec spał już lub udawał, że śpi. Położyli się i oni. Blisko siebie. Leżeli na mokrych od deszczu kamieniach, z głowami opartymi na tobołkach, i rozmawiali cicho.

– Kilka lat temu – mówiła niegłośnie, z namysłem – byłam małą, głupią łuczniczką Legii Armektańskiej. Tutaj, w Grombelardzie, znalazłam się zupełnie przypadkowo. Grombelardczycy zakończyli właśnie wielką obławę na górskich rozbójników, to była istna wojna, taka chyba jak ta, o której mówił nam Dorlan. Bo ta niedawna obława, samymi siłami garnizonu badorskiego, to tylko awantura. A wtedy była w górach cała wojna. Kiedy się skończyła, dowództwo Legii Grombelardzkiej uznało, że kampania nie spełniła oczekiwań. Kuszniczy legii, bardzo dobrzy, nie mieli osłony łuczników. I na prośbę komendanta w Grombie mój dowódca wyznaczył oddział łuczniczek, które miały przeszkolić pewną liczbę miejscowych żołnierzy w posługiwaniu się łukiem. Dowodziłam tym oddziałem. Wtedy, no, właśnie wtedy go poznałam, Dorlana. Bo dostałam zadanie od mojego komendanta... Już nie żyje. Tysięcznik P.A.Argen, bardzo dobry dowódca. Wtedy był jeszcze nadsetnikiem. To zadanie, które mi dał..

Zamilkła i przełknęła ślinę. Po długiej, bardzo długiej chwili powiedziała ze skrucą:

– Nie, nie mogę. Naprawdę nie umiem... ja... Naprawdę nie umiem o tym opowiadać. To jest jak zły sen, ja... właściwie prawie nie pamiętam

tego, co się stało. Opowiedzieli mi, najwięcej Dorlan, ale on tak dziwnie o tym mówi. Stało się zresztą coś strasznego, dla ojca... no, dla Dorlana, nie dla mnie. Chociaż dla mnie też, bo...

Znów urwała.

– Ja naprawdę nie umiem o tym mówić – rzekła wreszcie ze smutkiem.

Jakby prosząc o przebaczenie, odszukała dotykiem jego rękę i znów ją przytrzymała, jak wcześniej, w mroku pod skałą. Pogładziła lekko tę szorstką, zniszczoną przez skały dłoń mężczyzny; dłoń, która jeszcze niedawno nie знаła żadnego wysiłku ani bólu. Nagle, nieoczekiwanie dla samej siebie, uniosła ją do ust, a potem szybko odwróciła się plecami do swego towarzysza. Po krótkiej chwili usłyszała, jak przekreślił się na bok, i poczuła ciepły oddech na karku. Gdy ją objął, smutno się uśmiechnęła.

Czas płynął.

Zamyślona Armektanka patrzyła w głęboką czerń nocy. Wciąż czuła gorący, parzący szyć oddech mężczyzny. Było jej dobrze, naprawdę dobrze, pomimo deszczu, pomimo zimna i zmęczenia. Ta wojna, którą stoczyli wieczorem, była potrzebna, bardzo potrzebna. Rzucili sobie w twarze cały gniew, a potem oboje poczuli, jak niedobrze jest, gdy to drugie zostało zranione... Nigdy niczego nie czuła tak wyraźnie. Najbardziej chciała, żeby ten dziwny Dartańczyk nie gniewał się na nią. Chciała, żeby jej ufał, zobaczył w niej kogoś bliskiego.

Przemogła się i powiedziała:

– Dobrze mi z tobą, wiesz? Ja... posłuchaj, ja wiem, że nie mam prawa... Ty przecież masz żonę, Ilarę, prawda? Ale... tylko teraz, dobrze? Tylko trochę! Nie chcę niczego zniszczyć, ja... nie mam nikogo, zupełnie nikogo. Dorlan, on nie jest kimś, to jest... kawałek mojego życia, ale ja nie mam dla siebie żadnego człowieka, rozumiesz mnie? I nigdy nie miałam. Matki nawet nie pamiętam, a mój ojciec, ten prawdziwy... kochał tylko swojego konia. Schorowany wojak z oficerską rentą z imperialnej szkatuły. Posłał mnie do wojska, a gdy zostałam przyjęta, uznał, że zrobił dla córki wszystko, co powinien. Jak umierał, to pytał o swojego konia, nie o mnie.

Poczuła lzy pod powiekami.

– Ja wiem, nie powinnam tego mówić. Nie powinnam męczyć cię tym swoim... nieudanym życiem. Przebacz mi, jeśli możesz. Ale ja jeszcze nigdy, nigdy w życiu nie miałam nikogo. Nawet brata albo siostry. Poszłam do legii, potem umarł ojciec, zostawił mi konia i zrujnowany dom, który zabrali za długi. Potem trafiłam tutaj i nigdy... nigdy nikogo. A teraz ja już nie potrafię sama wyrwać się z tych gór. Wyrwij mnie, dobrze? Zabierz stąd, do Dartanu, do Armektu, gdzie chcesz. Dlaczego – zapytała ze zdławionym gardłem – mężczyzna, który po swoją kobietę

idzie do Złego Kraju... i chce walczyć o nią z samym Brulem-Przyjętym... tak bardzo nie jest moim mężczyzną?...

Rozpłakała się na dobre. Ramiona jej drżały, dłoń Baylaya wysunęła się z jej ręki i opadła bezwładnie...

Wykończony wspinačką, ukołysany cichym brzmieniem kobiecego głosu – spał.

o o o

Świt wstawał mokry i chmurny, jak zwykle w Ciężkich Górach. Ostrożnie wysunęła się spod ramienia śpiącego mężczyzny, usiadła. Przetarła dłońmi czerwone od niewyspania oczy. Wstała.

Spali obaj. Starzec chrapał niegłęboko, Baylay wymamrotał coś przez sen, przetoczył się na drugi bok i zwinął w kłębek. Patrzyła przez chwilę to na jednego, to znów na drugiego, potem odeszła na stronę.

Wróciła wkrótce. Pogrzebała trochę w worku Baylaya, wyciągnęła trzy kawałki solonego mięsa. Zjadła jeden. Zamyślona spojrzała na małeńki kociołek Starca, postawiony wieczorem na kamieniu. Teraz był napełniony deszczówką. Upiła parę łyków i odstawiła na miejsce.

Westchnęła, starym armektańskim zwyczajem szepnęła swoje imię i powiedziała niebu – że jest. W Armekcie każdego ranka mówiło się niebu, że jest piękne. Tutaj nie umiała zdobyć się na to. Tutaj wcale nie było nieba; było coś na podobieństwo nierównego stropu jaskini.

Przeciągnęła się i ziewnęła, z niechęcią myśląc o jakimkolwiek wysiłku. Przykucnęła, oparła dłonie na ziemi, po czym wolno stanęła na rękach, wyprostowanymi nogami mierząc w chmury. Wciąż z tą samą powolnością, nie tracąc równowagi, ugięła ramiona i wyprostowała. Powtórzyła tę czynność wielokrotnie. Poczzerwieniała na twarzy; oddech stawał się coraz cięższy, świszczący. Wróciła wreszcie do normalnej pozycji i dla odmiany stanęła w szerokim rozkroku, coraz szerszym... niewiarygodnie szerokim. Kołysała się lekko, rozciągając ścięgna. Coraz niżej, niżej... Do końca. Tak popisywali się czasem akrobaci na jarmarkach. Znów stanęła prosto, odbiła się od ziemi i wykonawszy pełen obrót w powietrzu, opadła na równe nogi. Powtórzyła to kilka razy, w przód i w tył. Sapnęła z zadowoleniem, przeciągnęła się i zawołała niegłęboko:

– Wstawać! Wstawać, wstawać!

Starzec otworzył oczy i zaraz usiadł na ziemi. Baylaya musiała obudzić potrząśnięciem za ramię. Przemoczony i skostniały, wyglądał na człowieka, którego nic nie zmusi do ruszenia w dalszą drogę. Z niedowierzaniem spoglądał na Starca, który ledwie wrócił zza skałki, natychmiast jął wykonywać rozmaite łamańce. Baylay nie widział, co wcześniej wyprawiała Łowczyni, więc ćwiczenia starego człowieka uznał za karkołomne. Zresztą nawet gdyby widział... Ten mężczyzna

miął swoje lata, a wyczyniał rzeczy niemożliwe. Oto była tajemnica jego prostej, żyłastej sylwetki.

Baylawowi przyszło do głowy, że powinien powywić mieczem.

Pożegnał się z tą myślą szybciej, niż przywitał.

Karenira wetknęła mu w rękę kawałek mięsa z zapasów.

– Pospiesz się.

Mozolnie przeżuwał twarde kęsy. Wreszcie, widząc, że czekają tylko na niego, spakował nieliczne kłamotoy. Posiłek kończył, idąc.

Szli tak jak zwykle: Starzec na czele, Łowczyni na samym końcu. Milczeli zgodnie wszyscy troje, każde zajęte swoimi myślami.

Do południa nie zamienili nawet słowa. Baylaw jeszcze przed rokiem nie uwierzyłby, gdyby mu powiedziano, że można maszerować po górach jak po ulicy w Rollaynie. A jednak choć droga była bez porównania bardziej uciążliwa, nie poświęcał jej więcej uwagi niżli właśnie przechadzce po mieście. Dowodziło to, że naprawdę do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Deszcz padał z przerwami: ustawał na krótko i znów wracał. Nie zauważali go. Baylaw włókł się za Starcem ze wzrokiem wbitym w jego plecy. Zamyślony był tak bardzo, że gdy Starzec obejrzał się i przystanął, wpadł nań całym ciężarem, nieomal zbijając z nóg.

– Zabijesz się, chłopcze... Albo mnie. Cóż to robi nasza przewodniczka?

Baylaw obejrzał się – i nie odnalazł dziewczyny. Dostrzegł ją po długiej chwili w odległości dobrych kilkudziesięciu kroków. Klęczała na skale, gorączkowo grzebiąc w swoich sakwach albo może w kołczanie ze strzałami.

– Chodźmy – ponaglił Starzec.

Zawrócili.

Armektanka zarzuciła sajdak na ramię, poderwała się z ziemi i wybiegła im na spotkanie, trzymając w ręku łuk i kilka strzał. Lecz po chwili stało się jasne, że zmierza wcale nie do nich, tylko gdzieś nie wiadomo dokąd. Wzrok miała utkwiony w niebie. Starzec zagroził jej drogę.

– Sęp! – zawołała dziwnym, skrzeczącym głosem. – Sęp, ojczy! Sęp!

Ominęła Starca i pobiegła dalej.

Oślupiały Baylaw wlepił wzrok we wskazany przez dziewczynę punkt na niebie. Hen daleko, pod samymi chmurami, ujrzał niewyraźną czarną plamkę. Starzec także patrzył w niebo, ale chyba ptaka nie widział. Spojrzał za oddalającą się Karenirą, wyglądało na to, że chce zawołać – lecz zacisnął tylko usta i usiadł na ziemi. Jego twarz była teraz naprawdę, naprawdę stara.

Dziewczyna przepadła gdzieś między skałami. Baylaw spojrział na swego towarzysza, lecz ten tylko bezradnie pokręcił głową.

– Łowczyni – rzekł głucho. – Przecież to stąd jej przydomek.

– Tak słyszałem – niepewnie odparł Baylay. – Ale... nic nie rozumiem.

– Kiedyś sępy wyrządziły jej straszną krzywdę: oślepiły ją zgodnie ze swoim zwyczajem. Tak było, dobrze usłyszałeś. A poszła w góry z mojego powodu, miała spotkać się ze mną, bo próbowałem właśnie ostrzec żołnierzy... Oto jak dobre intencje stają się zarodkiem nieszczęścia. Gdybym nikogo nie ostrzegał, to nie słano by do mnie listów z podziękowaniami i być może nikomu nic by się nie stało... – Starzec machnął ręką, jakby mówił nie to, co powinien. – Tak bardzo chciałem pomóc temu dziecku... i nie wiedziałem jak. Człowiek przyjęty przez Szerń, wbrew temu, co się wygaduje, nie ma żadnej mocy, ma tylko swoją wiedzę. A gdy wiedzy braknie...

Baylay rozumiał coraz mniej. Widział zagubionego starego człowieka, który próbował coś powiedzieć, lecz nie umiał znaleźć odpowiednich słów.

– Lecz Przyjęty przez Pasma to znaczy: będący ich częścią. Kto pojmie Szerń, staje się jak ona sama. A Szerń nic nie robi, nigdy. Wtedy jednak... był tam żołnierz, gotów oddać tej małej swoje oczy. Był tam starzec, który bardzo chciał przekazać dar, choć uważał, że to niemożliwe. Był tam kot, którego nienawiść do paskudztwa, co skrzywdziło wojowniczkę, była wielka jak całe Ciężkie Góry. I był Porzucony Przedmiot, najpotężniejszy z Geerkoto. Tylko wtedy i być może tylko tak... niemożliwe stało się możliwym. Dziewczyna dostała oczy żołnierza. Żołnierz umarł, kot odszedł, a starzec przestał być częścią Szerni. Od tamtego czasu opiekuję się nią, a ona mówi do mnie „ojcze”. Chodzi po górach i szuka swojej zemsty. Nie chcę już więcej o tym mówić.

Baylay nie zrozumiał z tego ani słowa. Najpierw dlatego, że Starzec pokazywał mu jakieś urywki swoich wspomnień, nieukładające się w żaden spójny obraz. Lecz po wtóre i przede wszystkim, zbyt był przejęty zniknięciem dziewczyny. Po długiej chwili milczenia zapytał:

– Co teraz mamy robić?

– Czekać. Co chciałbyś zrobić, mój chłopcze? Nie umiemy jej pomóc. Możemy co najwyżej mieć nadzieję, że wróci. Zapewne niczego nie osiągnie. W górach dość często można zobaczyć sępa. Ale spotkać go to zupełnie inna sprawa. Ta istota może opaść na ziemię w odległości kilku dni marszu. Tu są góry.

– Czy grozi jej niebezpieczeństwo?

– Niebezpieczeństwo? Gdy człowiek w pojedynkę chce mierzyć się z sępem, musi być niespełna rozumu. Ona jedna w całym Szererze ma szansę bez uszczerbku przetrwać takie spotkanie. Śmierć raczej jej nie grozi, lecz może po raz drugi stracić oczy. Zawsze dotąd miała szczęście. Nie lubi o tym mówić, ale wiem, że zabiła już wiele sępów. W całej

historii Szereru nic nie było gorsze dla tych skrzydlatych niż jej obecność w Ciężkich Górach. Ona jest przekleństwem dla całego gatunku. Dla całego gatunku – powtórzył cicho. – Może najważniejszego gatunku na świecie.

Baylay wyjął z worka swój miecz, przerzucił pas na ukos przez pierś. Wyciągnął broń z pochwy, spojrzął na ostrze i bez słowa ruszył śladem dziewczyny.

– Dokąd idziesz, chłopcze?

Nie odpowiedział i nie zatrzymał się. Szybko pokonywał strome skaliste zbocze. Uniósł oczy ku niebu i wypatrywał małej plamki. Chyba była nieco bliżej niż wówczas, gdy wskazywała ją Łowczyni.

Zdwoił wysiłki. Czasem pomagał sobie rękami. Gdy widział, że ma przed sobą kawałek łatwiejszej drogi, unosił głowę i szukał sępa. Potem znów patrzył pod nogi.

Wreszcie gdy znów uniósł spojrzenie, dostrzegł sępa bliżej, znacznie bliżej. Zataczał złowrogie kręgi nad grupą skał położonych w odległości najwyżej ćwierci mili.

Baylay zaczął biec. Zdał sobie sprawę, że dziwaczne ptaszysko musiało go dostrzec ze swego podniebnego królestwa.

Po lewej stronie otwarła się szeroka szczelina. Podążył wzdłuż niej. W pewnej chwili dostrzegł leżący wśród kamieni sajdak i rozsypane strzały – zgrzana biegiem dziewczyna porzuciła wszystko, co zbędne. Baylay ruszył dalej i nagle ją dojrzał. Łowczyni... Biegła pod górę tak szybko, że aż przystanął zdumiony; jak kozica skacząc z kamienia na kamień, naprawdę bardziej podobna do zwierzęcia niż do człowieka, zaczęła pokonywać stos złomów skalnych. Było w tym coś drapieżnego, nieubłaganego...

Znowu odszukał wzrokiem sępa. Ptak zatoczył jeszcze jedno duże koło i poszybował ku ziemi. Baylay biegł, walcząc z bólem rozrywającym płuca. Nagle, czując jakieś dziwne, niezwykajne przerażenie, zaczął krzyczeć głośno:

– Kareniro! Wracaj! Kareniro!

Dziewczyna zniknęła wśród skalnych okruchów, a zaraz potem przepadł także sęp. Dartańczyk odczuł ulgę, tak jakby to złowieszczy widok tej istoty wyzwalał niemożliwy do okiełznania lęk. Jeszcze przez długą chwilę miał przed oczami obraz szeroko rozpostartych czarnych skrzydeł; było w tym coś niesamowicie podłego i groźnego. Odpoczywał przez moment, bo krew tętniła mu w skroniach, potem ruszył dalej. Wdrapywał się na ostre, nieprzyjaźnie spiętrzone skały, te same, po których Łowczyni skakała z taką łatwością. Wreszcie stanął na szczycie rumowiska – i aż rzucił się na ziemię, przerażony, gdy olbrzymie ptaszysko, łopocząc skrzydłami, przemknęło w odległości najwyżej kilkunastu kroków, szybko nabierając wysokości.

– Wraacaaaj!

U podnóża skał rozwścieczona kobieta cisnęła na ziemię łuk, ochryple wyjąc z gniewu i zawodu. Bezsilnie miotła się tam i z powrotem. Baylay ostrożnie zaczerpnął tchu, bo dzika furia, której obraz miał przed oczami, przeraziła go bardziej niż sęp. Zsunął się z rumowiska i przystanął – zamiast przewodniczki i towarzyszki miał przed sobą rozszalałe górskie zwierzę, gotowe połamać mu kości, gdyby tylko nieostrożnie się zbliżył.

– Odleciał! – powiedziała nagle, głośno i wyraźnie, ale z rezygnacją. – Znowu!

Trzęsa się na całym ciele. Baylay słyszał kiedyś, że najdzikszą nienawiść żywią do sępów koty. Lecz ta tutaj, kobieta, była zupełnie opętana. Szukała jakiejś zemsty, no dobrze. Ale to było niczym choroba, niczym nagły atak... czegoś.

– Nie zabiłam go! – wykrztusiła, gotowa wybuchnąć płaczem. – Już widziałam... już mogłam strzelić!

Patrzyła wprost na Baylaya i zaświtało mu w głowie, że jeżeli przyjdzie jej na myśl, iż to on swoim pojawieniem się spłoszył sępa... Gotowa była wpakować za to strzałę.

Na szczęście nie pomyślała.

– Zawsze tak... – rzekła z goryczą, już spokojniej.

Usiadła na ziemi.

– Zawsze... często... – mówiła, biorąc do ręki skalny okruch i uderzając nim lekko o drugi. – Zmieniają swoje siedliska, dzisiaj tu, jutro tam. Rzadko są gdzieś dłużej niż miesiąc, albo dwa. Gdy usłyszysz wieści, że ktoś trafił na ziemię sępów, biegnę tam. I przeważnie jest już za późno...

Przysiadł przed nią.

– A stawać do otwartej walki nie chcą – ciągnęła. – Rzadko kogoś atakują, i nigdy nie wiadomo dlaczego. Chyba że się wejdzie na ich ziemię. A przeważnie tak jak dzisiaj: zniżą się, popatrzą, uciekają... To są ścierwojady. To są tylko śmierdzące, tchórzliwe ścierwojady.

Westchnęła.

– Nie każdy tak samo źle znosi ich głosy. Słyszałeś, jak mówią?

Zaprzeczył.

– Klekotanie. Klekot dzioba – wyjaśniła z namysłem. – I to nie jest mowa... Najpierw zdaje ci się, że mówią, że odróżniasz każde słowo... Ale za którymś razem widzisz, że to dzieje się tutaj, w głowie. Słyszysz... nie, wcale nie słyszysz: masz w głowie ich myśli. Koty normalnie mówią, na pewno słyszałeś kota. Niewyraźnie, ale normalnie. Sępy nie mówią. To jest tylko klekotanie dziobów. Wiem o tym ja jedna... i nikt.

Nie przerywał.

– Nikt poza mną – ciągnęła, przesypując między palcami drobny żwir

– nie słyszał ich więcej niż raz. Ci, co przeżyli, są ślepi i już nie chodzą po górach. Wszyscy, wszyscy w Szererze myślą, że sępy mówią. Że potrafią mówić, tak samo jak ludzie i koty. A to jest nieprawda. One tylko klekoczą dziobami.

Znów westchnęła.

– I patrzę. Te ich słowa, które pojawiają się w głowie, niektórzy słyszą dobrze, a inni słabo, niewyraźnie. Mogą wtedy im się oprzeć, tak jak ja. Ale oczom nikt się nie oparł. Nikt w całym Szererze, tylko ja. Może dlatego, że nienawidzę sępów tak jak wszystkie koty świata razem wzięte. A może dlatego, że patrzę na nie cudzymi oczami? Nikt inny na świecie nie nosi cudzych oczu, tylko ja. To są oczy dziesiętnika Barga, bo moje własne... – Urwała, przełykając ślinę. – Moje własne oczy wydziobał i pożarł sęp.

Zamilkła.

– Dziesiętnik Barg, żołnierz Legii Grombelardzkiej z Wojskowego Okręgu Badoru – powiedziała wolno i wyraźnie. – Zawsze będę o nim pamiętała. Pomyślałam sobie kiedyś, że gdy już będę umierać, to wtedy powiem jego imię. Jeśli zdołam... bo przecież nie wiem, jak będę umierała.

Podniosła się z ziemi.

– Chodźmy już. Trzeba jeszcze znaleźć mój sajdak, gdzieś go zostawiłam i nie pamiętam gdzie.

– Ja wiem.

Przystanąła. Bardzo powoli obejrzała mężczyznę od stóp aż po czubek głowy, dłużej zatrzymała spojrzenie na obnażonym mieczu.

– A co ty tutaj robisz? – zapytała. – Przybiegłeś... Bałeś się o mnie?

W milczeniu skinął głową.

– I przybiegłeś... bo chciałeś mnie ratować?...

Znów potwierdził.

Zbliżyła się bardzo powoli, spoglądając z niemym pytaniem, a potem delikatnie i nieśmiało, z wahaniem, jakby bała się, że ją odpędzi, pocałowała go w usta i objęła za szyję.

o o o

Na nocleg zatrzymali się sporo dalej, w niewielkiej niszy, wyżłobionej w ścianie skalnej przez wodę. Nie padało, a nawet od czasu do czasu wiatr rozrywał opończę chmur i wtedy widzieli czyste niebo. Było jeszcze zupełnie widno, gdy rozkładali biwak, i Baylaya trochę to zdziwiło. Lecz przewodniczka, imponująca zwykle żelazną wytrzymałością, nie tała tym razem, jak bardzo potrzebuje odpoczynku. Dartańczyk, choć nie wiedział, że miniona noc była dla niej bezsenna, zawstydził się, pomyślawszy, że dziewczyna po zajściu z sępem rzeczywiście ma prawo być wyczerpana.

Wcześniej przez całe popołudnie w ogóle nie rozmawiali i Baylay miał mnóstwo czasu, by przemyśleć, dokąd właściwie zmierza, z kim, po co i dla kogo. Z przerażającą jasnością jął uświadamiać sobie, że porwana Ilara jest dlań tylko obowiązkiem. Musiał ją ratować – ale czynił to dla siebie, nie dla niej.

Co takiego zaszło?

Nie był dzieckiem. Rozumiał, że idąc na ratunek jednej kobiecie, spotkał inną. Może ważniejszą. Kilka wspólnych dni w górach, nic więcej. Lecz w tych dniach było miejsce na gniew, poczucie winy, żal, bolesne bicie serca, a wreszcie pożądanie, któremu już nie umiał się oprzeć. Nie umiał i nie chciał. Zagubiony, gotów był uciec od niepotrzebnych myśli, pragnął tylko płynąć z prądem wydarzeń, nic więcej. Gdzieś w duszy stale pobrzmiwało buntownicze, nabrzmiałe gniewem pytanie: dlaczego? Dlaczego miałyby zawsze robić nie to, co robić pragnął, lecz coś innego, co zrobić należało? Czy takie powinno być życie?

Nie potrafił oprzeć się wrażeniu nierzeczywistości. Wszystko to było niemożliwe i nie powinno się zdarzyć. On, syn świetnego dartańskiego Domu, w grombelardzkich górach, z mieczem... Przy nim tajemnicza i dziwna, najbardziej tajemnicza i najdziwniejsza kobieta Szereru. I stary człowiek, którego wielkość w żaden sposób nie dawała się ukryć.

Niemożliwe. To wszystko było zupełnie niemożliwe. I Baylay postanowił śnić dalej, bo nie wiedział, w jaki sposób miałyby się obudzić.

Lecz potem nagle postanowił przywrócić pierwotny porządek wszystkiego. Szedł po Ilarę, swoją żonę, a towarzyszyła mu kobieta wynajęta jako przewodniczka. Szukał okazji, by dać jej to odczuć z całą siłą, lecz w czasie marszu nie bardzo nadarzyła się sposobność. Lecz zamienił z nią kilka spojrzeń i dowiedział się, że nurtują ich podobne myśli. Żałowała tego pocałunku u stóp skalnego rumowiska; chętnie dałaby mu odczuć, że... zaszła jakaś pomyłka.

Szli stale pod górę, powoli i mozolnie; trudno było to nazwać aż wspinaczką, lecz takie ślamazarne pokonywanie stromizny jeszcze dotkliwiej dawało się we znaki. Monotonne, uciążliwe, obrzydliwe łażenie po górach.

Podczas tego marszu Baylay zyskał pewność, że gór po prostu nie lubi. Nie znajdował w nich niczego godnego uwagi.

Przed zaśnięciem trochę rozmawiali, jak zwykle. Dartańczyk jął pytać Starca o granicę Złego Kraju. Lecz odpowiedziała mu Łowczyni, bo Dorlan, dziwnie zadumany i ponury, nie miał tego dnia ochoty na pogawędkę.

– Granica Obszaru? To mgły – rzekła. – Bardzo szeroki tuman białożółtych mgieł. Nieprzeniknionych jak mleko. Ciężko przebyć je przy pełnym świetle dnia, a w nocy nie widać nic. Te mgły przemieszczają się

stale i rzadną, to znów gęstnieją. Czasem wystarczy przebyć kilkaset kroków, żeby zostawić je za sobą, a kiedy indziej można wędrować i wędrować. Bardzo łatwo zablądzić, krążą opowieści o ludziach, którzy na zawsze zostali w tym тумanie, kręcąc się w kółko. Nie wiem, czy to prawda. Ale ty, ojczu, potrafisz nas szybko przeprowadzić?

Starzec bez słowa skinął głową.

– Czy byłaś już tam kiedyś? – zapytał Baylay. – W Obszarze?

– Nie. Nic mnie tam nie ciągnęło. – Zamyśliła się na krótko. – Ale tak się składa, że prowadziłam już raz grupę ludzi do granicy Obszaru. Też szli od Badoru. Tyle tylko, że wtedy jeszcze istniała inna droga, przez Przełęcz Mgieł i dolinę, której dziś już nie ma. Może kiedyś opowiem ci o tym.

– Zawsze mówisz: może kiedyś. Nigdy nie pytasz, czy w ogóle chcę... – zaczął, próbując wreszcie zetrzeć z ust smak tego niechcianego (czy na pewno takiego?) pocałunku.

– Cicho! – syknęła.

Zmierzchało powoli. Wpatrywała się w szare światło gasnącego dnia i nasłuchiwała, a nawet, jak się zdawało, węszyła. Starzec i Baylay spojrzeli po sobie. Także wyteżyli wzrok i słuch.

ROZDZIAŁ 14



O dległy okrzyk zwrócił uwagę Ehdeha. Nasłuchiwał przez chwilę, potem powiedział:

– Wracamy.

– To stamtąd – rzekł jeden z legionistów, wskazując palcem kierunek. – Tam poszedł podsetnik i...

– Zamknij pysk – ostrzegł dziesiątnik. – Wracamy do jaskiń.

Żołnierze spojrzeli po sobie, ale usłuchali. Biegli, omijając odłamy skał. Wkrótce znaleźli się przed wejściem do jaskini. Po niedługim czasie nadciągnął Lodos ze swoimi.

– Krzyki w górach. Słyszałeś?

– Słyszałem – odparł Ehdeh.

Odciągnął tamtego na bok.

– Nie ma Belgona – rzekł. – Podsetnik mi mówił, że to on mógł dowódcę... Wiesz. Znaczy mówił, że Belgon pewno oszalał.

– To ty oszalałeś – powiedział Lodos. – Belgon? Miałby zabić setnika?

– Podsetnik nic ci nie mówił?

– Coś mówił, ale...

– Gdzie jest Belgon? Co? Odlać się poszedł, co? Podobno to on wydał Rbala. O tym też ci podsetnik mówił?

Lodos zaświstał.

– Co robimy?

– Siedź tu – rzekł dziesiątnik toporników. – Pilnuj rudej kurwy. Ja idę zobaczyć, co z podsetnikiem i naszymi.

– Sam?

– Sam. Tam w górach siedzi wariat z kuszą, nie poprowadzę mu zwierzyny. Jednego może nie zauważyć, ale kilku zobaczy na pewno.

Lodos skinął głową.

Ehdeh wrócił do żołnierzy, wziął od jednego z ludzi Lodoso kuszę i worek z bektami, po czym załadował broń i przepadł gdzieś między skałami. Lodos wystawił silne strażę, reszcie legionistów kazał wrócić do jaskini. Sam także wszedł do środka. Rozejrzał się, zamienił kilka słów z rannymi, po czym poszedł zobaczyć, co z Dartanką.

I nie znalazł jej.

Gorączkowo ją biegać po jaskini, penetrując wszelkie zakamarki, wreszcie wrócił do poturbowanych legionistów.

– Dziewczyna – powiedział. – Gdzie ona jest?

Wskazano mu kąć, gdzie siedziała.

– Nie ma jej tam. Uciekła?

Zmieszani żołnierze spoglądali po sobie. Lodos zapieniał się z gniewu.

– Setnik... jak wróci... – wykrztusił i zgrzytnął zębami. – No, nie chciałbym być w waszej skórze!

Przyłożył rękę do czoła i gorączkowo zaczął zastanawiać się, co robić. Poprowadzić ludzi w góry, na poszukiwania? Jak wielu ludzi może biegać między skałami, bawiąc się w chowanego? Mieli szukać dziewczyny, setnika, Belgona... W tym wszystkim tkwił samotny Ehdeh, niemający pojęcia, że ktokolwiek poza nim – i pomylnym Belgonem – może krążyć po górach... Gotów strzelić do każdego, kto nawinie mu się przed kuszę.

Lodos postanowił poczekać. Na powrót setnika, podsetnika, Ehdeha... Kogokolwiek. Nie podobało mu się takie czekanie, ale niczego lepszego nie wymyślił.

Tymczasem Ehdeh prowadził swoje podchody. Powszechnie nielubiany, uwielbiający wojnę dla samego jej okrucieństwa, był jednak żołnierzem lojalnym i nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby pozostawić podsetnika i trzech kolegów legionistów własnemu losowi. Ale miał całkowitą pewność, że uczynił słusznie, wyruszając sam, zamiast poprowadzić większe siły. Wszystko zdawało się wskazywać, że Belgon rzeczywiście oszalał i zaczął wybijać swoich. W pojedynkę Ehdeh miał szansę przemknąć niepostrzeżenie; grupa musiałaby zostać zauważona. Łysy dziesiątnik dobrze wiedział, jak strzelają kusznicy Legii Grombelardzkiej. Nie miał ochoty paść trupem na czele swojej, wyprowadzonej z jaskiń, armii.

Kryjąc się i uważnie przepatrując teren, dostrzegł nagle dwa ciała, leżące opodal. Zachowując jak najdalej posuniętą ostrożność, przekradł się ku nim.

Ale ostrożność nie była już potrzebna.

Podsetnik leżał na ziemi martwy. Znajdujący się przy nim legionista, ujrawszy dziesiątnika gwardzistów, uniósł się na łokciu i usiadł. Z prawego uda sterczał ciężki bełt; Ehdeh rzucił okiem i zobaczył, że żołnierz na pewno ma strzaskaną kość udową.

Bardzo, bardzo niedobrze.

– Melduj mi – rozkazał.

– Stamtąd strzelał – wybełkotał legionista, wskazując grupę skał. – Zabił podsetnika, aleśmy nie wiedzieli, gdzie jest... Wtedy jeszcze trafił mnie.

– Gdzie pozostali?
– Pobiegli, jak tylko żeśmy zobaczyli, skąd strzelał... Nie ma ich! – wrzasnął histerycznie żołnierz. – On tam ciągle musi gdzieś siedzieć. Zabił ich! Słyszałem, jak się bili!
– Znaleźliście setnika?
– Zabity! Wszyscy zabici!
– Widziałeś trupa?
– Tak!
– Trupa setnika widziałeś? Gdzie jest?
Żołnierz przełknął ślinę.
– Setnik? Nie... nie widziałem. Ale musi być zabity!
– Leż tu. Aż wrócę.
– Zabije cię!
– Leż tu! – huknął Ehdeh. – Masz kuszę? To ją trzymaj i leż! Czekaj, aż wrócę, i nie strzelaj do mnie, kiedy będę wracał! Skąd to ścierwo strzelało? Stamtąd?

Legionista odetchnął i pokiwał głową.

Ehdeh zawrócił, schował się między skałami i wielkim łukiem, kryjąc się, zaczął podchodzić do miejsca, które mu wskazano. Trwało to bardzo długo. Dziesiątnik przywołał na pomoc całe swoje doświadczenie i cierpliwość. Wreszcie znalazł miejsce, z którego mógł zajrzeć do domniemanej kryjówki Belgona. Wypatrzył dwa nieruchome ciała. Wyglądało na to, że ranny legionista miał rację: biegający po górach pomylenie z niezwykłą sprawnością dziesiątkował oddział.

Musiało minąć jeszcze trochę czasu, nim Ehdeh, czujny i przygotowany, zbadał miejsce walki. Jeden z żołnierzy miał głowę rozbitą czymś ciężkim, a w piersi tkwił mu miecz; dziesiątnik pomyślał, że legionści zdybali Belgona, gdy ładował swą kuszę, i szalenic użył jej najpierw jako maczugi, ogłuszonego żołnierza zaś dobił dopiero po zwycięskiej walce z jego towarzyszem – wszystkie ślady wskazywały na taki przebieg wydarzeń. Ale ci dwaj zabici nie byli przecież dziećmi; funkcjny odkrył liczne ślady krwi, nawet nie krople, lecz plamy, cały szlak. W odległości kilku kroków leżała porwana na strzępy wojskowa tunika legionisty – część płótna bez wątpienia zużyto na opatrunki. Belgon musiał być poważnie ranny, może nawet śmiertelnie. Zwyciężył, wykorzystując zapewne ten krótki moment, gdy jego koledzy (może nawet podkomendni z jego własnej trójki, przecież tak być mogło!) z niedowierzaniem patrzyli na zabójcę, na towarzysza broni, legionistę, który do nich strzelał... Tylko dlatego trójkowy poradził sobie z dwoma przeciwnikami. Lecz nie wyszedł bez szwanku.

Z gotową do strzału kuszą Ehdeh ruszył za śladami krwi. Przeklęty teren, obfitujący w dziesiątki kryjówek, był jego największym wrogiem. Dziesiątnik zrozumiał, że pełzając od skały do skały, nigdy nie zakończy

swej wyprawy. Lecz wszystko wskazywało na to, że mógł zaryzykować otwarty, szybszy marsz. Ciężko ranny kusznik, nawet gdyby pierwszy go wypatrzył i strzelił, prawie na pewno musiałby chybić. Ehdeh nie był tchórzem; niebezpieczeństwo jawiło mu się wręcz jako miła podnieta, bez której życie straciłoby sens. Aczkolwiek – oczywiście – musiało to być niebezpieczeństwo mieszczące się w granicach rozsądku. Nie szukał przecież głupiej, nagłej śmierci.

Skulona ludzka sylwetka wyłoniła się zza skał zupełnie niespodziewanie. Gwardzista błyskawicznie przyklęknął, w mgnieniu oka zdając sobie sprawę, że ten człowiek nie nosi wojskowej tuniki, nie jest więc zaginionym setnikiem ani kolegą z oddziału. Belgon podarł swoją tunikę. Strzelił i usłyszał okrzyk dowodzący, że trafił. Skoczył przed siebie z dobytym mieczem.

Dziewczyna, trafiona w brzuch, leżała między ostrymi odłamkami skał, płacząc i wijąc się z bólu. Ehdehowi pociemniało w oczach: oto wszystkie wrogie moce tego świata sprzysięgły się, żeby go zniszczyć! Przyskoczył i pochylił się nad leżącą.

– Ja już... nie ucieknę... – powiedziała ze szlochem. – Nic mi nie rób... Aa... jak boli...

Dziesiątnik wyprostował się i bezradnie rozejrzał dokoła. Znieruchomiał, dostrzegłszy zwinięte w kłębek ciało u podnóża nieodległej przysmy skał. Też bez tuniki... Ruszył w tamtym kierunku.

– Nie zostawiaj... aaa! – zawołała dziewczyna.

Nie zatrzymał się.

Belgon leżał na boku, obejmując rękami przyciągnięte do piersi kolana. W szeroko otwartych oczach zastygł ból – nie było tam niczego więcej, a na pewno życia. Podarta tunika, wystająca spod rozerwanej mieczem kolczugi, była niemal czarna od krwi. Ehdeh stał przez chwilę, potem kopnął trupa, poprawił, wreszcie splunął i odszedł.

Kilka chwil. Brakowało kilku chwil, a zobaczyłby martwego Belgona i nie strzelił do tej przeklętej Dartanki.

Skąd miał wiedzieć, że dziwka uciekła?! Miał z Lodosem do pogadania.

Łysy dziesiątnik potrafił używać oczu i rozumu. Widział, że ta kobieta nie była dowódcy obojętna. Klnąc pod nosem, próbował wyobrazić sobie, co będzie, jeśli rudowłosa piękność umrze. Umrzeć zaś mogła bardzo łatwo; mogła, a nawet powinna... Dziesiątnik znalazł się na ranach. Gładkie rozcięcia pochodzące od miecza, nawet jeśli długie i paskudnie wyglądające, goiły się dosyć łatwo. Całkiem inaczej wyglądała sprawa z głębokimi ranami zadanymi sztychem lub właśnie przez pocisk z kuszy. Mała dziurka w ciele niewiele mówiła o spustoszeniach poczynionych wewnątrz. Tkwiący w brzuchu pocisk z ciężkiego wojskowego samostrzału – to była sprawa niemal beznadziejna.

Dziewczyna miała skonać w męczarniach. Niebываłych męczarniach.

Wyobraził sobie setnika, który na to patrzy.

Stanął nad dziewczyną i przyglądał się. Otworzyła zapłakane oczy i próbowała wyciągnąć rękę. Wówczas Ehdeh odkrył, że chętnie by tak stał i patrzył – aż do śmierci. Jej śmierci.

– Wasza piękna godność – powiedział – wie dobrze, że setnik ją kocha. Ale zdaje się, że setnik nie żyje. Jednak co będzie, jeśli żyje? Nikt na razie nie znalazł trupa. Może setnik żyje, i co wtedy?

– Nie zostawiaj mnie... A! Jak boli...

– Nie zostawię – powiedział, klękając obok.

Nagle zakrył jej usta dłonią, chwycił drzewce bełtu i szarpnął z całej siły. Dziewczyna zawyla głucho, wybałuszając oczy. Wyprężyła się i znieruchomiała, nienaturalnie wygięta, wciąż stękając przeciągle; ciężka męska dłoń tłumiała krzyk. Ehdeh starannie schował bełt, bo namalowane na nim dwa czarne paski wyraźnie mówiły, że wystrzelony został z kuszy gwardyjskiej. Legioniści używali bełtów oznaczonych kolorem zielonym, a Belgon był legionistą... Nie zdejmując ręki z twarzy stawiającej beznadziejny, słaby opór dziewczyny, Ehdeh usiadł jej na piersi, wyjął miecz i manewrując bronią – bo było mu niewygodnie – przebił sztychem dolną szczękę, między podbródkiem a szyją. Próbowwała się rzucać, więc całym ciężarem oparł się na dłoni, którą zakrywał usta mordowanej, żeby przycisnąć jej głowę do ziemi i w ten sposób unieruchomić. Powoli wpychał ostrze coraz dalej, przebijając język, potem natrafił na opór podniebienia.. Dziewczyna charczała i stękała, wreszcie wyła głucho, przyduszona ciężarem męskiej ręki, oczy nieomal wyszły jej z orbit. Dziesiątnik czuł, jak oparta na twarzy Dartanki dłoń zaczyna miażdżyć jej wargi i wgniatać zęby do ust. Pchnął mocniej drugą ręką i miecz nagle pokonał opór, dziewczyna rzuciła się pod nim, uderzyła rękami o ziemię i znieruchomiała.

Ehdeh zdjął rękę z jej twarzy i wstał.

Rudowłosa piękność z Rollayny po śmierci wyglądała odrażająco. W półotwartych ustach połyskiwało jeziorko krwi, z którego po chwili wziął początek kręty strumyczek; wytrzeszczone oczy także nabiegły krwią. Twarz nie zachowała nawet śladu urody i Ehdeh pomyślał, że wszystko to marność, nic więcej. Wobec wojny i śmierci nic nie miało znaczenia: Armektańczycy wiedzieli, co robią, głosząc chwałę tej swojej Arilory...

Gwardzista uważnie rozejrzał się dokoła, a nie zauważywszy niczego podejrzanego, wyjął z rany swój miecz, otarł go i schował do pochwy. Potem szybko pobiegł do trupa Belgona, zabrał miecz szaleńca i jeden oznaczony na zielono bełt.

Wracając do jaskiń, niemal potknął się o trupa dowódcy. Setnik leżał spokojny i cichy, jakby spał, bez bólu na twarzy, bez żadnej nienawiści,

gniewu czy strachu w szeroko otwartych szarych oczach. Siedział chyba na dużym kamieniu, może rozmyślał o czymś, gdy trafiono go w sam środek pleców. Ehdeh stał przez chwilę, głęboko zadumany nad wyrokami losu, a potem poszedł dalej. Trzeba było posłać ludzi po rannego żołnierza... i po wszystkich zabitych. A potem urządzić pochówek.

– Czemuś, głupia, uciekała z jaskini? Teraz bym cię zabrał do Riksu, żebyś sobie jechała, dokąd chcesz.

W ten sposób przeprosił Dartankę.

ROZDZIAŁ 15



Karenira wstała, spięta i czujna. W tym samym momencie z za niedalekich skał wyskoczyło kilku ludzi. Dziewczyna schyliła się po łuk, ale było już za późno, zostawiła go więc i tak jak stała, z gołymi rękami, wybiegła napastnikom naprzeciw. Baylay jeszcze nigdy w życiu nie widział takiego skoku; gdyby mu ktoś opowiedział – nie uwierzyłby. Rozpędziła się krótko i wyprysnęła w powietrze jak stepowa pantera. Uderzony nogami mężczyzna runął na ziemię, nie wydając głosu. Zwróciła się ku drugiemu. Natarł na nią z uniesionym mieczem; odwróciła się, przykucając, przechwyciła opadające ramię i poderwała biodra do góry. Napastnik, pchany siłą własnego rozpędu, przeleciał przez jej plecy, wywinął kozła i gruchnął na kamienie jak wór piasku. Wypadki następowały po sobie tak szybko, że Baylay zastygł w osłupieniu. Lecz otrząsnął się zaraz i skoczył z mieczem, ramię w ramię ze Starcem.

Rzucono się na nich. Kątem oka widział Dartańczyk, jak jego siwobrody towarzysz blokuje swym półmieczem wrogie ostrze, po czym nasadą otwartej dłoni zatrzymuje znów ruszającego do natarcia przeciwnika. Efekt był taki, jakby mężczyzna, biegnąc, zaczepił podbródkiem o rozciągnięty między drzewami łańcuch. Baylay poczynił obserwacje niemal mimochodem, bo jego przeciwnik bardzo kiepsko radził sobie z mieczem; został też go pozbawiony prawie natychmiast i sromotnie pierzchnął. Dartańczyk spojrział w stronę, gdzie Łowczyni, błyskawicznie obracając się wokół osi, raz za razem uderzała nogami w twarz krępego draba. Powaliła go! Zdumiewający sposób walki, widziany po raz pierwszy, oszołomił Baylaya. Oprzytomniał jednak natychmiast, gdy wyrósł przed nim kolejny przeciwnik.

Zadźwiewały krzyżowane główne, broń niebezpiecznie zachwiała mu się w dłoni. Tym razem to nie była sprawa z jakimś niezgrabiaszem. Baylay przyjął na zastawę drugi, bardzo szybki cios, odepchnął silnie miecz przeciwnika i próbował przejść do kontrataku, jednak bez powodzenia. Nie upilnował jednego cięcia i jednego sztychu, lecz oba, zbyt lekko zadane, zatrzymały się na dzwoniących płytkach zbroi. Jaki

zbój potrafił tak dobrze używać miecza?... Broniąc się ze wszystkich sił przed niebywale szybkim i pomysłowo atakującym przeciwnikiem, usłyszał nagle zduszony, pełen bólu okrzyk Kareniry. Chwila nieuwagi kosztowała bardzo drogo: wrogi oręż zsunął się wzdłuż ostrza, aż do jelca broni, nieomal łagodnie odsunął ją w bok – po czym zimny sztych dotknął szyi.

– Dobrze, bracie – rzekł z podziwem tamten w kinienie, szykując się do pchnięcia. – Aż szkoda!

Lecz w tym samym momencie rozbrzmiał dziwnie niski, pełen gniewu i zdumienia głos:

– Stać! Dosyć, stać, mówię!

Grombelardzki wymieszany z kinemem – to miało dotrzeć do wszystkich.

Zwycięzca Baylaya cofnął się i opuścił broń, obserwując jednak czujnie twarz wroga. Baylay chciał skoczyć do przodu, ale ktoś chwycił go za ramię. Był to Starzec.

– Nie, chłopcze.

Dartańczyk szybko rozejrzał się dokoła i prawie natychmiast dostrzegł Karenirę. Leżała na ziemi – nieruchoma, z pokrwawioną twarzą. Tuż obok, stękając przeciągle, siedział mężczyzna w postrzępionej krótkiej kapocie. Przyciskając ręce do brzucha, ciężko walczył o oddech. Inny bezskutecznie próbował się podnieść.

Pośród zbrojnych stał mężczyzna o głowę górujący nad wszystkimi, o barach i ramionach porażających samym widokiem. U jego nóg poruszyło się coś, co Dartańczyk w gęstniejącej szarówce wziął najpierw za wielki kamień. To był kocur gadba. I jeśli ten człowiek był olbrzymem wśród ludzi, jego towarzysz musiał być olbrzymem wśród kotów.

– Schować broń! – powiedział z niesłabnącym gniewem gadba, tuląc uszy.

Głos miał głęboki i dosyć wyraźny, jak na kota, chociaż nieodparcie kojarzący się z ochrypłym pomrukiem. Zalśniły żółte ślepie, skierowane na Baylaya i Starca.

– Dorlan-Przyjęty. Byliśmy nieostrożni.

Starzec skinął głową na znak, że to prawda.

– Czy ona żyje? – zapytał niecierpliwie.

Kot bez słowa pobiegł do dziewczyny. Podążyli za nim. Starzec pochylił się i przyłożył wierzch dłoni do ust leżącej. Potem ostrożnie starł krew z bladej twarzy. Obmacał kości czaszki.

– Tylko ogłuszona – stwierdził, oglądając głęboką, idącą po łuku brwi ranę, bardzo obficie krwawiącą. – Nie będzie zachwycona tą blizną... Może brew ją zakryje.

Baylay odetchnął z ulgą. Kot odczuł chyba to samo, bo położone płasko uszy drgnęły i przyjęły normalne położenie.

Olbrzymi mężczyzna także kucnął przy leżącej. Z zaskakującą delikatnością potężnymi palcami musnął brzegi rany i zapytał przez ramię:

– Kto uderzył?

– Ja – przyznał się jeden ze zbrojnych, wskazując okutą żelazem pałkę.

Olbrzym pokręcił głową, jakby dziwiąc się czemuś.

– Wodę, wódkę, opatrunki! – zarządził.

Rzucono się, by spełnić rozkaz. Wielkolud uważnie spojrzał na Baylaya, potem na Starca.

– Dorlan-Przyjęty – rzekł niegłośno.

Starzec zaprzeczył.

– Przyjęty umarł – oświadczył z naciskiem. – Żyje tylko Starzec.

– Słyszałem o tym. No cóż... dobrze, Starcze. Daruj mi ten napad.

– Nie mówmy o tym. Domyślam się, panie, że stoję przed samym Basergorem-Kragdobem?

– Na Szerń, wasza godność – rzekł porywczy wielkolud – pozwól, że podam ci swoje prawdziwe imię! Nazywam się J.I.Glorm. Mój wojenny przydomek jest śmieszny, jeśli wymieniać go w twojej obecności!

Kłęczący przy Łowczyni Baylay uniósł głowę z najwyższym zdumieniem.

– Basergor-Kragdob – powtórzył.

Król Gór spojrzał z uwagą.

– Czyżbyś mnie znał, panie? Nie wyglądasz na przebiegacza gór, a sądząc po akcencie i wyglądzie, nie jesteś też Grombelardczykiem. Dartańczyk?

– Jesteś, panie, bardzo spostrzegawczy. Rzeczywiście, jestem gościem w tych stronach. Ale twoje nazwisko słyszałem wielokrotnie.

Rozbójnik skinął głową i wrócił do sprawy, która najwyraźniej nie dawała mu spokoju.

– Nie było przy mnie Rbita – tłumaczył Starcowi. – Nasze oddziały wyznaczyły sobie spotkanie... tutaj właśnie. Moja grupa natknęła się na was przedwczoraj, szliśmy, zdaje się, tym samym szlakiem. Hm, myślałem, że tylko ja o nim wiem. Ale wasza przewodniczka... to wszystko wyjaśnia.

Obejrzał się na swoich podkomendnych, pobitych przez Łowczynię, jakby dopiero teraz sobie przypomniał, że istnieją. Pozbierali się już, ale miny wciąż mieli nietęgę.

– Ta kobieta to istny demon – rzekł z podziwem, tym razem po grombelardzku, więc zrozumiał go tylko Starzec; osłuchany z językiem Baylay odgadywał znaczenie pojedynczych słów. – Poturbowała ciężko dwóch moich żołnierzy, a kilku innym zdrowo przyłała. Mówisz, Raner, że dopiero tą pałką?...

Mężczyzna, muskularny siłacz, którego potężna budowa ciała mogła ująć uwagi tylko w cieniu jego dowódcy, skinął głową.

– Uchyliła się, szybka jak nie wiem... Sięgnąłem samym końcem, na całe szczęście, bobym ją zabił! – wyznał strapiiony.

– Gdyby Rbit nie zostawił swoich i nie wybiegł nam na spotkanie... – sumitował się Kragdob. – Rzeczywiście mogło dojść do nieszczęścia.

– Zostawmy już to – rzekł po raz drugi Starzec, któremu przyniesiono szarpie i wodę; opatrywał teraz głowę dziewczyny. – Tu są góry. A pomyłki zdarzają się wszędzie. Mogło dojść do nieszczęścia, lecz nie doszło. Lecz nie doszło. Cieszymy się z tego, panie.

Łowczyni jęknęła i otworzyła oczy. Poruszyła się, spojrzała nieco przytomniej i usiadła, przy wydatnej pomocy Baylaya. Olbrzymi rozbójnik natychmiast znowu przykucnął i wyciągnął do niej obie dłonie.

– Podaj mi rękę, Łowczyni – poprosił, używając armektańskiego w pełnym brzmieniu. – Nie wiedziałem, kim jesteś, nie poznałem! Żądaj czegokolwiek, tylko przebac mi ten napad, bo twoi towarzysze już mi przebaczyli.

– A z kim... ale z kim mówię? – zapytała bardzo niepewnym jeszcze głosem, przykładając ręce do bolącej głowy.

– Nazywam się J.I.Glorm, a tutaj, w Ciężkich Górach, Basergor-Kragdob. Siedzimy na jednym tronie, pani – dodał z nieoczekiwaną żartobliwą ironią.

– O... – mruknęła, odzyskując powoli zwykłą pewność siebie. – Basergor-Kragdob. Niech już będzie na jednym tronie... ale nie siadaj mi, królu, na kolanach.

– Rzec jasna.

Przygryzł wargę, hamując wesołość. Kobieta wyglądała przy nim jak wiewiórka przy niedźwiedziu.

Dojrzała kota.

– Rbit! – powiedziała z niedowierzaniem i radością.

Kocur uniósł łapę w Pozdrowieniu Nocy.

– Góry są wielkie, Łowczyni... – powiedział przyjaźnie.

– ...ale my też nie jesteśmy mali – dokończyła, wyciągając rękę. – Pamiętam! Miałeś rację, że spotkamy się jeszcze.

Musnęła samymi końcami palców bure futro. Milczący Baylay pomyślał, że tych dwoje zna się najwyraźniej dobrze i od dawna.

Armektanka wróciła spojrzeniem do Króla Ciężkich Gór.

– A my... – zaczęła – siedzimy jednak na dwóch tronach, a każdy z nich w innym końcu Grombelardu. Wiele lat trzeba było, żebyśmy się wreszcie spotkali. Ciekawa byłam! – dorzuciła tak otwarcie, że zabrzmiało to niemal zalotnie.

Olbrzym odpowiedział szczerym śmiechem.

– Ja także byłem ciekaw. I nie zawiodłem się.

Przez długą chwilę spoglądał tak wymownie, że poróżniewały jej policzki.

Prawdę mówiąc, spowita w opatrunki wyglądała okropnie. Na szczęście nie wiedziała.

– Ależ boli mnie głowa! – westchnęła, by pokryć zmieszanie.

– Zawsze tak mówicie.

Parsknęła śmiechem, jęknęła i znów objęła czoło rękami.

o o o

Baylay nie mógł zasnąć. Wszystkie wrażenia minionego dnia nachodziły go falami, męczyły. Nie potrafił się od nich uwolnić.

Najpierw widział ogromną postać Króla Gór. Nie wiadomo, z jakiego powodu, od pierwszej chwili czuł niechęć do tego człowieka. Przy bliższym poznaniu Kragdob okazał się bezpośredni i bardzo uprzejmy, ale pierwotna niechęć pozostała. Potem znowu się wzmogła.

Był Basergor-Kragdob człowiekiem niepospolitym – co do tego nie miał Dartańczyk żadnych wątpliwości. Lecz w czym tkwiła ta niepospolitość? Nie wiedział. W zachowaniu? W postawie? W sposobie mówienia, bystrym umyśle? A może we wszystkim po trosze? Ten trzydziestoparoletni mężczyzna nie pasował do obrazu herszta rozbójników, obojętne, jak sławnego i znanego. Baylay bez trudu mógł go sobie wyobrazić... zgoła wszędzie. Jako gościa każdego z Domów Rollayny. Na czele wojsk imperialnych. Lub piastującego wysoki urząd. Najmniej w górach, w otoczeniu zbrojnych rzezimieszków.

Choć może... może pasował i tutaj.

Gdy mówił, wydawało się, że wylewa z ust wodę. Słowa płynęły powolne, spokojne, starannie dobrane, pierś rytmicznie brała oddech, oczy patrzyły ze skupioną uwagą. Pytał i odpowiadał krótko, w każdym razie nierozwlekł. Ciekawiło go, co trójka wędrowców robi w tej części gór, choć zastrzegł zaraz, że jeśli to tajemnica, cofa swoje pytanie. Do Starca odnosił się z nieudawanym szacunkiem; do Łowczyni – ze szczerą przyjaźnią i uznaniem. Ta przyjaźń wydała się Baylayowi trochę nie na miejscu, bo przecież tych dwoje znało się ledwie od paru chwil. Potem jednak zrozumiał, że choć Kragdob i Łowczyni nigdy dotąd się nie widzieli, to przecież słyszeli i wiedzieli o sobie bardzo dużo.

Kazało mu to spojrzeć na łuczniczkę innymi oczami; rozumiał oczywiście już wcześniej, że jest postacią w Grombelardzie znaną, nie przypuszczał jednak, że aż legendarną. Ludzie z oddziału Kragdoba odnosili się do niej z najwyższym respektem, do tego stopnia, że ci, których pobiła, przyszli pytać, czy wolno im będzie opowiadać o tym wydarzeniu. Baylay pojął, że walczyć z samą Łowczynią – co tam walczyć? dostać od niej po łbie! – to tutaj nie byle jaki powód do chwały.

Dartańczyk, znający Grombelard i Ciężkie Góry bardzo powierzchownie, nie mógł się nadziwić podobnym... ceremoniałom.

Gdy Kragdob posłyszał, że trójka wędrowców zmierza do Obszaru, nie pytał już o nic więcej. Zagadnął tylko, czy po Porzucone Przedmioty. Gdy Starzec zaprzeczył (z kwaśnym rozbawieniem, którego źródła Baylay tylko się domyślał), rozbójnik skinął głową i rzekł:

– Rbit był w Obszarze – oznajmił krótko. – Gdybyście szli po Przedmioty – zwrócił się wprost do Łowczyni – to być może mógłbym sprzedać lub ofiarować wam te, których potrzebujecie.

Zmarszczył brwi, przypomniawszy sobie o czymś.

– Prawda – rzekł – byłbym zapomniiał... Chcieliście iść najpierw do stancy? Nie idźcie, bo nie warto. Rbit był w złym humorze i ją spalił.

Potem już nie rozmawiali o Złym Kraju.

W okolicy rosło parę drzewek, więc rozpalono małe ognisko; połączone grupy Rbita i Króla Gór liczyły razem blisko sześćdziesiąt głów, co pozwalało czuć się bezpiecznie i zaniechać niektórych środków ostrożności. Zresztą, jak zapewniał kot, opierając się na doniesieniach zwiadowców, okolica była całkowicie spokojna.

Basergor-Kragdob nieoczekiwanie wykazał się talentem gawędziarza. Siedząc przy ognisku, bawił nowych znajomych jedną barwną opowieścią po drugiej. Baylaya uderzyła niezwykła skromność (a może tajemniczość?) olbrzyma: nawet jednym słowem nie wspomniął o swoich własnych czynach, mówił tylko o dokonaniach innych.

Przy ognisku wytworzył się pogodny, przyjacielski nastrój. Przysiadło się kilku ludzi Kragdoba – Baylay zrozumiał, że to starszyzna oddziału. Wszyscy znali kinen, i to bardzo dobrze. Królowała uproszczona budowa zdań, lecz gdy szło o słownictwo, więcej już było w tej rozmowie pełnego armektańskiego niżli szkieletowego języka, wpajanego najniższej rangi urzędnikom i legionistom cesarstwa. Górale brali udział w pogawędce, dodawali szczegóły, śmiali się czasem serdecznie. Nie wyglądali na zbirów, sprawiali raczej wrażenie świetnie wyszkolonych, żyjących na przyjacielskiej stopie z dowódcą żołnierzy. Było coraz mniej zrozumiałe, w jaki sposób tacy ludzie zasilili szeregi górskich zbójów.

A jednak to byli zbóje. Baylay nie mógł zapomnieć chłodnej obojętności, z jaką Kragdob opowiedział o losie wojskowej placówki i jej załogi: „Rbit był w złym humorze, spalił ją...”. Do komendanta tej placówki Baylay wiózł list, napisany przez Golda. Gold znał tego podsetnika i jego legionistów. Lecz „Rbit był w złym humorze...”. Tylko taki powód, żaden inny.

Baylay dość szybko zdołał się zorientować, kto z ludzi Króla Gór ma w oddziale coś do powiedzenia. Po dowódcy najważniejszy był właśnie kocur Rbit. Baylay raz i drugi widział w Badorze kota wojownika, dwa nawet służyły w legii, ale ten tutaj był zupełnie wyjątkowy. Nosił się ze

swobodą właściwą tylko synom najwyższych rodów, mówił mało, ale zawsze do rzeczy. Dartańczyk zauważył, że Rbit i Karenira znają się dobrze i chyba od dawna. Ale w ich wzajemnym stosunku były jakieś cienie, jak pamięć o odległych, przykrych wydarzeniach.

W oddziale Rbita jego zastępcą był Delen – szczupły trzydziestoletni mężczyzna z niebywale zuchwałą, uśmiechniętą, po męsku piękną gębą zabijaki i łowcy przygód. To z nim właśnie Baylay przegrał walkę na miecze. Przy pierwszej sposobności rozbójnik podszedł do Dartańczyka, wyrażając mu swoje uznanie. Dał wprost do zrozumienia, że uważa się za mistrza miecza i podczas krótkiej potyczki zdążył ocenić wielki talent i umiejętności swego przeciwnika. Umówili się na bezkrwawą walkę rano.

Znajdowały się wśród rozbójników dwie kobiety. Jedna, śliczny, rozchichotany głuptas, była dziweczką dla wszystkich, do czego chyba nadawała się świetnie. Przy pierwszej okazji zaczęła Baylaya („czy nie będzie ci zimno tej nocy, rycerzu?...”), lecz podziękował jej sucho. Druga, starsza, zupełne przeciwieństwo pierwszej, najwyraźniej była tylko gościem w górach, chociaż wszyscy uważali ją za swojaczkę. Baylay domyślił się na podstawie różnych półsłówek, że ta kobieta istotnie bardzo rzadko biega ze swoimi kamratami po wertepach; zwykle, jak się zdawało, rezydowała w którymś z miast grombelardzkich, pełniąc tam rolę... może wywiadowczyni? Nie była piękna; trudno powiedzieć, czy była chociaż ładna. Prawdziwa Grombelardka, niezbyt wysoka, szerokobiodra, prawie krępa. Lecz miała najpiękniejsze włosy, jakie Baylay widział w całym swoim życiu – słonecznożółte, poskręcane w setki pierścionków, gęste, bujne. Uśmiechnęła się do Baylaya raz i drugi, wreszcie – zaintrygowany – pochylił się do siedzącego obok rozbójnika, tego samego, który powalił Karenirę pałąką, i zapytał o jej imię. Rozbójnik zmierzył pytającego uważnym spojrzeniem, lecz widocznie nie dostrzegł w pytaniu niczego uwłaczającego, bo uśmiechnął się lekko i odparł:

– To Arma... moja starsza siostra. Ale ona, Dartańczyku, widzi tylko jednego, za to bardzo dużego mężczyznę.

Mrugnął okiem i popatrzył na swojego dowódcę. Baylay, dopiero teraz dostrzegłszy podobieństwo brata i siostry, bąknął coś jak chłopaczek.

Przeniósł wzrok na Karenirę, potem na Króla Gór. Rozbawiona Armektanka, z której w przedziwny sposób uleciało całodniowe znużenie, słuchała kolejnej opowieści wielkiego rozbójnika. Ten zaś najwyraźniej opowiadał tylko dla niej.

Baylay zachnął się w duchu i próbował odwrócić swoją uwagę od słynnej pary. Zaczął rozmowę ze Starcem, lecz ten, dziwnie zamyślony i daleki, zbył go paroma niewiele znaczącymi słowami. Wtedy Baylay

pośród tak wielu ludzi poczuł się nagle sam.

A teraz leżał i nie mógł zasnąć. Rozpamiętywał miniony dzień, chwila po chwili... wydarzenie po wydarzeniu... słowo po słowie.

Zdecydował się wreszcie na nocną przechadzkę. Odrzucił płaszcz, którym był przykryty, i wstał. Wylazł z małej rozpadliny, właściwie dołka, w którym umościł sobie legowisko, i zaczął się przechadzać. Jakiś czujny żołnierz Basergora-Kragdoba uniósł głowę, gdy milcząca sylwetka minęła go w mroku, ale zaraz na powrót skłonił się do snu.

Baylay dotarł aż do linii czat. Chciał zawrócić, ale nagle zmienił zamiar, powiedział hasło, które przed spoczynkiem podano wszystkim, i poszedł dalej, uprzedziwszy wartowników, że wkrótce będzie wracał.

Łaził tak przez jakiś czas bez żadnego celu.

A potem ich dostrzegł.

Pogoda była wyjątkowo ładna; już popołudnie i wieczór nie dały się porównać z innymi, noc zaś – jak na Grombelard – była wyjątkowo piękna. Nie padało i po raz pierwszy, odkąd Baylay przybył do Drugiej Prowincji, spoza chmur wyłaniał się czasem wielki księżyc.

Zajęci sobą, nie widzieli go. Baylay ukrył się pospiesznie między skałami, gdzie zalegał cień. Nie wiedział właściwie, dlaczego to robi, ale zrobił. Nie było odwrotu; znajdowali się zbyt blisko i gdyby zaczął gramolić się z powrotem, tym razem na pewno by go dostrzegli.

Widział ich zupełnie wyraźnie. Karenira siedziała na dużym kamieniu, on stał tuż przed nią...

Całowali się.

Księżyc, słabo dotąd przebijający zza chmury, wyszedł na skrawek czystego nieba i wtedy Baylay zauważył ręce olbrzyma wsuwające się pod kaftan dziewczyny. Poczuł skurcz serca, tak jak wtedy, przy ognisku.

Karenira westchnęła głęboko i powiedziała dość wyraźnym szeptem:

– Król Gór...

Basergor-Kragdob wydał z siebie coś na kształt parsknięcia.

– Królewska z nas para, ani słowa – rzekł półgłosem, ale z wyraźnie słyszalną ironią. – Doprawdy przecież ja cię po prostu nie znoszę. Zarozumiała, złośliwa Armektanka z łukiem.

Rozmawiali po armektańsku. Baylay po raz kolejny uświadomił sobie, że jest jedynym w tej części Gór – a może w całych Ciężkich Górach? – człowiekiem nieznanym grombelardzkiego. Tutaj, jeśli ktoś miał coś do ukrycia, mówił po armektańsku. Jeszcze lepiej by było po dartańsku.

Tych dwoje chyba nie chciało, by podsłuchał ich jakiś krążący wokół biwaku wartownik.

Karenira zaśmiała się cichutko, ale był to śmiech niezmiernie zadowolonej kobiety. Mocniej przycisnęła męskie dłonie do piersi.

– Król Gór nie znosi Królowej Gór – powiedziała z ogromnie

komiczną powagą, naśladowując głębokie brzmienie głosu olbrzyma. – Grombelardczyk z wielkim mieczem... nie znosi Armektanki z małym łukiem. A czy grombelardzki Król Gór wie, do kogo należą te zabawki, które mu się tak bardzo podobają?

– Grombelardzki Król Gór może takich zabawek mieć na kopy...

Prychnęła pogardliwie i próbowała wyszarpnąć jego rękę spod odzienia.

– Skoro tak, to niech te dwie zostawi w spokoju!

Jego ramiona nawet nie drgnęły. Pochylił głowę, do uszu skulonego Baylaya doleciał odgłos pocałunku. Zaciśnął zęby. Mimo nocnego chłodu był spocony.

Basergor-Kragdob opuścił rękę niżej i przyłgnął do kobiety jeszcze bardziej. Teraz jej szept był dziwnie zduszony:

– Nowa... zabawka?...

Przyzwalająco odchyliła się do tyłu, wspierając na łokciach. Jeszcze chwila i Baylay posłyszał jej cichy, rozkoszny pomruk. Nie wytrzymał, zaczął się wolno podnosić. Niegłośne, lecz bardzo stanowcze słowa zatrzymały go w pół ruchu. Poznał niski głos kota:

– Glorm, Łowczyni. Skończcie to.

Wielkolud, zaskoczony, oderwał się od kobiety. Ta krzyknęła cicho, oburzona. Wyprostowała się, odepchnęła mężczyznę i szybko złączyła uda.

– Skończcie to – powtórzył Rbit.

Zabłyśły w mroku żółte ślepie.

– Skończyć? – zapytał zdumiony rozbójnik. – Właśnie próbujemy... Wtrącasz się, Rbit. Czego chcesz?

Mówił bez gniewu, może tylko z pewnym rozdrażnieniem.

– Później, Glorm. Dobrze? – W głosie kocura zabrzmiał odcień usprawiedliwienia. – Wszystko ci wyjaśnię.

– A ja? – zapytała pełnym głosem Karenira; była naprawdę wściekła. – Dla mnie nie ma żadnych wyjaśnień?

– Tobie wytłumaczy ktoś inny. Powinnaś...

– Nie, niczego nie powinnam! Wynoś się stąd, kocie! Żałuję, że nasza przyjaźń tak się kończy.

– Przyjaźń kota nigdy się nie kończy. Rzadko się zaczyna, ale nigdy nie kończy, tego nie można odwołać.

Zwrócił się do rozbójnika:

– Glorm, więc chociaż ty mi zaufaj. Idź do obozu. I ty także, obrażona kobieto.

Milczenie przeciągało się. Wreszcie Kragdob wyciągnął rękę. Karenira wysyczała coś gniewnie, odtrąciła je i nie przyjmując pomocy, sama zeskoczyła ze skały. Nie oglądając się za siebie, szybko poszła w stronę linii wartowniczych placówek. Słysząc było, jak wrzasnęła

strażnikowi hasło; całe góry musiały ją usłyszeć.

Glorm poczekał trochę.

– No więc?

– Idź do obozu. Wszystko jutro – rzekł kot.

– Rzecz jasna.

Groźny Basergor-Kragdob zaśmiał się krótko, pochylił i na chwilę oparł wielką dłoń na kocim grzbiecie. Potem poszedł. Baylay pomyślał, że przyjaźń łącząca tych dwóch przetrwa i wytrzyma każdą próbę.

Skulił się i wstrzymał oddech, gdy rozbójnik mijał jego kryjówkę. Potem wyrzwał ostrożnie i przez kilka długich chwil siedział nieruchomo, wpatrując się w mrok i wytyżając słuch. Drgnął, gdy usłyszał tuż przy uchu rzucone mrukliwym głosem:

– Chcesz się ukryć przed kocim wzrokiem, wojowniku? Dziwny pomysł.

Kocur siedział tuż obok, patrząc swymi lśniącymi oczami. Baylay przełknął ślinę.

– Chodźmy stąd – rzekł kot. – Po co ktoś ma nas widzieć razem. Glorm nie wróci, ale Łowczyni gotowa to zrobić, żeby mnie odszukać, i będzie hałasować po nocy. Chodźmy, mamy do pomówienia.

Odeszli spory kawałek od obozu. Rbit ułożył się na ziemi, starannie i bez pośpiechu, zgodnie ze swą kocią naturą; nie cierpiał leżeć byle jak. Dartańczyk usiadł obok.

– Ludzie to dziwny rodzaj – rzekł kocur. – Patrzą, a nie widzą, słuchają, a nie słyszą, czują, a nie rozumieją.

Po tym niezwykłym wstępie spojrział Baylayowi w oczy.

– Krzywda jest często tym większa, im bardziej niezamierzona. A ile krzywdy płynie z tego, że patrzycie, lecz nie widzicie.

Jak na wodza zbójckiej gromady, były to spostrzeżenia dość niezwykle. Baylay chciał to powiedzieć, ale kot uprzedził go.

– Znam Łowczynię od ładnych paru lat – rzekł – ale przez cały ten czas widzieliśmy się tylko dwa razy. Pierwszy raz wtedy, gdy sęp zabrał jej oczy.

Baylay poczuł ciarki przechodzące po plecach.

– Za drugim razem, całkiem niedaleko stąd, uratowała mi życie.

Kot zamilkł na chwilę.

– Nie chcę cię nudzić, dartański wojowniku. Powiem krótko, co widzę: ona kocha ciebie, ty zaś ją, ale z jakichś powodów wzbranasz się przed tym uczuciem. Ciężka to sprawa, bo takich rzeczy nie można sobie wyperswadować. Uczyni to kot, lecz nie człowiek. Teraz o Glormie, czy też Kragdobie, jeśli wolisz. Łowczyni go denerwuje, bo jest pewna siebie, a co gorsza, ma powody. Chodzi po górach niezależna od nikogo, nieujarzmiona. Glorm nie życzy sobie takich ludzi. Jednak Łowczyni to kobieta, nie może jej złamać siłą, naraziłby się na śmieszność. Więc

próbuję ujarzmić, bo wtedy wszyscy powiedzą: to kobieta Basergora-Kragdoba. Koniec legendy wojowniczkich, która w górach sama sobie radzi. Odtąd będzie tylko nietykalną własnością Króla Gór.

Kot umilkł. Było jasne, że nie lubi dużo mówić. Teraz jednak jeszcze nie skończył.

– Swoją grę muszą rozegrać sami. Zrobiłem dzisiaj coś, czego kiedy indziej bym nie zrobił, bo skoro ją kochasz, Glorm powinien odłożyć swoją rozgrywkę na później. Jest człowiekiem, nie umie patrzeć i dlatego stanął ci na drodze. Nie wie, że to zrobił. On nie jest twoim rywalem, chce pokonać tę kobietę, a nie mieć.

Cisza.

– Teraz jeszcze słowo w jej obronie. Jest bardziej naiwna, niż myślisz. Potrzebuje opieki. Trzeba wziąć ją za rękę i prowadzić, pokazywać życie, bo go nie zna. W górach nauczyła się powalać na ziemię mężczyzn, i to wszystko. Poza tym jest równie niedoświadczona i bezradna jak tamta armektańska legionistka, której skoczyłem na głowę przed laty, ostrzegając przed szponem ścierwojada. To dojrzała kobieta i pewnie musi czasem z kimś sypiać. Ale nad tym trzeba panować, a ona chyba jeszcze nie potrafi.

– Armektańska ładaczka.

– Wiesz, że nie. Po pierwsze, w Armekcie to nic złego. Po wtóre, kobiety tak postępują, wszystkie, Dartanki też. Gdybyś się pojawił, byłaby uszczęśliwiona i wsadziłaby Glormowi nóż w plecy, niechby tylko zwrócił się przeciwko tobie. Nie dziw się, że chcąc temu zapobiec, stanąłem między tobą a moimi przyjaciółmi.

Cisza.

– Może myślisz, że kot nic nie wie o sprawach ludzi, ale to nieprawda. Żyję wśród was, a stojąc z boku ludzkich spraw, mam oczy, które widzą, i uszy, które słyszą, a na koniec mam jeszcze rozum. To wszystko, co chciałem powiedzieć. Teraz się rozliczmy, wasza godność.

– Rozliczmy? Co to znaczy?

– W dobrej wierze, ale jednak wtrąciłem się w cudze sprawy. Glorm podziękuje mi jeszcze, bo potrafi przyznać się do błędu. Łowczyńni zrozumie, a najprędzej zapomni. Lecz tobie jestem coś winien. Powiedz co.

Baylay patrzył w mrok.

– Nic mi nie jesteś winien, wasza godność, choć nigdy i od nikogo nie musiałem przyjąć takich słów – rzekł na koniec. – Ale też nigdy w życiu nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Teraz jednak już odejdz, chcę tej nocy... choć przez chwilę być sam.

ROZDZIAŁ 16



Delen popatrywał z namysłem.

– Czy naprawdę jesteś Dartańczykiem, panie? – zapytał wreszcie. – Dlaczego wszyscy się z was śmieją?

Baylay skinął głową i wolno odsunął ostrze przeciwnika od swej piersi.

– Nie do wiary. – Rozbójnik wciąż nie mógł się nadziwić. – Oprócz Glorma, który przeciąłby mnie razem z moim mieczem na pół, nie znam nikogo, kto zająłby mi tyle czasu.

Baylay nie wiedział, czy to kpina? Zderzyli oręż może dwadzieścia razy.

Delen schował broń i przyjaźnie objął Dartańczyka. Poufały gest, który w Złotej Rollaynie rozgniewałby dumnego magnata, tu usztywnił go tylko, zresztą na krótką chwilę. Ciężkie Góry; byli w Ciężkich Górach. Grombelardzki mistrz miecza przyjaźnie objął ramieniem godnego przeciwnika, który nie był jego wrogiem. Tylko tyle.

– Chodź, panie, musimy porozmawiać. Czy dasz mi do ręki swój miecz? Jest znakomity, wart każdych pieniędzy. I wyłożę je, jeśli dasz mi poznać imię miecznika, który wykuwa taką broń.

Przeszli przez krąg winszujących im widzów i usiedli z boku. Chwilę później gestykulowali, zabijając tuziny niewidzialnych przeciwników.

Rbit, wraz z innymi przyglądający się pojedynekowi, zwrócił się teraz do Kareniry, Glorma i Starca:

– Ma niezwykły talent. Pewną, szybką rękę i wycucie, jakiego nie widziałem u nikogo oprócz Delena. Jeszcze brakuje mu wprawy, pewnej liczby prawdziwych walk, stoczonych w obronie życia.

– Sztuka miecza – uzupełnił Starzec – prawie już umarła. To, co uprawia się zwykle, jest podłą rąbaniną, niczym więcej. Ci dwaj, dostawszy się w ręce starych mistrzów Shergardów, zaśliliby jak brylanty.

Zmarszczył brwi, po czym zwrócił się do Basergora-Kragdoba:

– Ale przecież ty, panie, walczysz dwoma mieczami?

Olbrzym nie dotknął zawieszanej na plecach broni, był to bowiem

zwykły miecz gwardyjski, lecz za to bez słowa wyjął z pochwy u lewego boku niezmiernie długie, wąskie ostrze i podał Starcowi.

– Skąd masz ten oręż, panie?

– Żyje w Grombie człowiek, który kocha żelazo, podobnie jak żelazo kocha jego. Ale walczyć tą bronią nauczył mnie jednoręki starzec, nieustępujący mi wzrostem. Nigdy nie powiedział, kim jest, a ja w końcu przestałem pytać. To najdziwniejsze ze wszystkiego, co spotkało mnie w życiu – przyznał rozbójnik. – Człowiek ten opowiedział mi też, jak połączyć pchnięcia tego miecza z cięciami drugiego, krótkiego. Opowiedział, bo nie mógł pokazać... Ale chyba uczynił to dobrze, bo ciągle jeszcze żyję, a nie raz i nie dwa razy trzymałem swoje miecze w dłoniach. Pochwalę się, bo chcę w ten sposób uczcić mego nauczyciela: zabiłbym mistrza na miarę Delena nie dlatego, że jestem silniejszy.

– Jednoręki starzec... i twojego wzrostu? – Dorlan zamyślił się.

– Znasz go może, panie? – ożywił się Kragdob. – Czasem mi się zdawało, że to może być mędrzec-Przyjęty!

Zaraz jednak uniośł dłoń do czoła.

– Ale nie – rzekł pospiesznie. – Nie, jeśli nawet... Nie, panie. Jeśli nawet wiesz, kim jest, nie mów mi. Uszanuję jego tajemnicę, skoro nie chciał jej zdradzić. Nigdy nie przyjął zapłaty za swoje nauki, a nauczył mnie wielu, bardzo wielu rzeczy, nie tylko walki mieczami. Skoro nic nie dałem, to tym bardziej nie będę odbierał. Ten sekret jest jego własnością.

– Nigdy niczego, panie, nie odbierasz?...

– Komuś, kto przyszedł i mnie obdarował, a ja przyjąłem dar? Nie.

Starzec skinął głową.

– Masz szczere serce, Królu Gór – powiedział zamyślony. – Szczere serce. Czy u kogoś takiego to nie wada?

Rozbójnik zdziwił się.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, mędrcze Szerni, to jestem dumny z pochwały. Jednak rządzą Ciężkimi Górąmi, a mam wady daleko poważniejsze niż moje, jak powiadasz, szczere serce.

Spojrzał na Łowczynię i skinął jej głową, jakby dając coś do zrozumienia. Kobieta wydeła usta i odwróciła głowę.

– Na nas już pora – rzekł Starzec, zmieniając temat. – Powinniśmy...

– Oczywiście, że powinniśmy – wtrąciła się Łowczyni. – Od samego świtu czekam na jakieś zawody. Skoro się skończyły, chodźmy wreszcie. Bez żalu możemy pożegnać naszych nowych przyjaciół.

Basergor-Kragdob wyglądał raczej na ubawionego niżli rozgniewanego. Lecz z za jego pleców nieoczekiwanie wychyliła się słonecznowłosa rozbójniczka.

– Bez żalu i bez radości – rzekła z największym politowaniem. – Na radość z rozstania trzeba sobie zasłużyć czymś ważniejszym niż tylko

deptaniem śpiących w środku nocy.

– Armo – powiedział Rbit.

Zaległa krótka cisza.

– To z zazdrości? Czy z głupoty? – zapytała agresywnie Armektanka.

– Kareniro – upomniał ją Starzec.

Obróciła się ku niemu, rozwścieczona.

– Na wszystko, co śmierdzi w tych górach!... Czy ty także, ojcze, będziesz mnie teraz karmił lub pouczał? Bo od wczoraj stale myśli się i stanowi za mnie, w moim imieniu!

Zbliżył się Baylay, przed chwilą jeszcze rozmawiający z Delenem. Dojrzała go i wskazała na wschód.

– Idziemy tam jeszcze czy zrezygnowałeś? No to bierz swój worek!

Ludzie Kragdoba jęli spoglądać po sobie, nie bardzo wiedząc, kto z kim i o co walczy. Dartańczyk skinął głową.

– Chodźmy – powiedział sucho.

Pożegnanie było chłodne. Tylko Starzec i Basergor-Kragdob podali sobie ręce bez żadnej niechęci, za to z wyraźnym wzajemnym szacunkiem.

ROZDZIAŁ 17



Okonywali milę za milą i nic, zupełnie nic się nie działo. Nie lunął osławiony trujący deszcz; nie zapadli się w żywe piaski; nie zaatakowali ich straszni mieszkańcy Obszaru. Zarówno Baylay, jak i Karenira przygotowani byli na coś zupełnie innego. Byli przecież w Złym Kraju.

Znaleźli tylko nudę i spokój.

Naga, spalona słońcem równina ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Bezimienny Obszar...

Dawno już zostawili za sobą graniczne mgły. Spędzili dwie pogodne noce pod niebem bez jednej chmurki i szli dalej. Prowadził Starzec. A prowadził tak spokojnie i pewnie, że Baylay nawet nie pytał, czy wie, gdzie można znaleźć Brula-Przyjętego.

Przejście od grombelardzkiego deszczu do upału i spiekoty było tak nagłe, że Baylay nie potrafił pogodzić się ze zmianą. Czuł się źle, niemal chorował. Wciąż sięgał do ramion, by poprawić pelerynę, której nie było; stale spoglądał w niebo, szukając chmur – i za każdym razem, na nowo zdumiony, potrząsał głową. Podobnie zachowywała się Karenira. Ona także – widział to – bała się Złego Kraju i nie ufała jego spokojowi. Jeden Starzec szedł naprzód nieodmiennie obojętny, zadumany. Mówił tak samo niewiele jak w Ciężkich Górach; przyzwyczaili się już dawno do jego milczenia, lecz tutaj, w Obszarze, znów było czymś nowym. W Ciężkich Górach milczał stary człowiek. Tutaj – mędrzec Szerni. Lah'agar.

Wielki Dorlan, Dorlan-Przyjęty. Tak nazwał Starca Król Gór, a wcześniej tego samego imienia użyła Łowczyni. Baylay słyszał kiedyś imię bardzo podobne. Może to samo imię? Ale mędrce Szerni jawili mu się nieledwie postaciami z baśni. Rozumieli prawa rządzące wiszącą nad światem Potęgą, rozumieli tak bardzo, że stawali się niejako częścią tej Potęgi. Przyjmowała ich i uznawała za część swej istoty.

Lecz Przyjętym był także Brul.

Baylay próbował zebrać razem wszystko, czego dowiedział się od Starca, gdy Łowczyni poszła zmierzyć się z sępem; chciał dodać do tego wiadomości uzyskane od niej samej... Nic z tego nie wychodziło.

Zupełnie inaczej wyobrażał sobie mędrca Szerni. Na pewno nie jako wiecznie milczącego i zadumanego dziadka w nijakiej szacie, pod którą dzwoniła stalowa koszulka i szczyrzyło zęby nacinane ostrze półmiecza. Słyszał, że ci ludzie potrafią czerpać moc prosto z Pasm, używać jej wedle swojej woli. Starzec jednak, choć mądry i, jak na swoje lata, bardzo silny, żwawy, na pewno nie rozporządzał żadną wyjątkową mocą. Nie zamierzał pomóc Karenirze, którą nazywał córką, gdy pobięła walczyć ze skrzydlatym stworem o życie. Potem rozbójnicy omal jej nie zabili – a mogli zabić wszystkich troje. Jeśli nawet jakieś reguły zabraniały mędrcom Szerni używania swej potęgi do spraw małych, to śmierć przecież nie była sprawą małą. Tymczasem człowiek, którego nazywano Wielkim Dorlanem, broniąc życia, wywijał pirackim półmieczem. A każdego ranka wykonywał swoje śmieszne podskoki i przysiady, chyba na wypadek, gdyby przyszło mu się z kimś barować.

Baylay przypomniał sobie słowa, które Starzec skierował do Króla Gór: „Przyjęty dawno umarł”. Pojmował, że nie trzeba brać tego dosłownie. Ale co właściwie Starzec chciał powiedzieć? Że istotnie był kiedyś Przyjętym, lecz w jakiś sposób przestał nim być? Sam mówił, że przekazał kiedyś Karenirze oczy innego człowieka, a ona to potwierdziła. Więc dokonał rzeczy dla zwykłego śmiertelnika niemożliwej. Co stało się potem?

I skąd on, Baylay, znał to imię: Wielki Dorlan? Czy słyszał je z ust Golda? A może wcześniej, jeszcze w Dartanie lub Armekcie? Nie był pewien.

Idąc, obejrzał się na Karenirę. Chciał zapytać... ale nie zapytał. Napotkał jej spojrzenie, ponure, nawet trochę wrogie. Od pamiętnej nocy, gdy wielki kot pokazał trójce ludzi ich miejsca, Armektanka stała milcząca, obrażona, a może zrezygnowana. Były chwile, gdy pragnął zatrzymać się i wziąć tę kobietę w ramiona, całować gojącą się ranę na szerokiej brwi, dotykać palcami i wargami jej małych ust, drobnego podbródka, pieścić. Nie mógł, nie wolno mu było. Chociaż rację miał kocur. Kochał ją.

Lecz miał żonę. Ilarę.

Czuł do niej niechęć, prawie już nie była dlań człowiekiem; raczej przykrym wspomnieniem, a zarazem niestety obowiązkiem, który musiał spełnić. Nie potrafił wyobrazić sobie, jakie będzie ich spotkanie. Miał przedziwną pewność, że dopnie swego, że odnajdzie ją. Nie wiadomo dlaczego, złowrogi Brul-Przyjęty wydawał się zupełnie nieważny; Baylay miał wrażenie, że Ilarę trzeba po prostu zabrać z jakiegoś miejsca. Klęski u celu w ogóle nie brał pod uwagę, nie przyjmował do wiadomości, że teraz coś jeszcze mogłoby mu przeszkodzić. Byłoby to... głupie, zbyt głupie. Głupie jak śmierć znamienitego rębajły, któremu ktoś strzelił z łuku w plecy.

Ale naraz zdał sobie sprawę, że nie mniej głupie, a ponadto niehonorowe było to, iż korzysta z pomocy kobiety, którą kocha – i którą będzie musiał zostawić dla innej, gdy tylko spełnią się wszystkie plany.

Zagłębiając się w myślach, ponury, szedł przed siebie, nie mącąc powszechnego milczenia. Długo trwało, nim zdał sobie sprawę, że słyszy... daleki śpiew. Być może słyszał od dawna, najpierw bardzo cichy, powoli narastający. Nie potrafił powiedzieć, w której chwili naprawdę usłyszał.

Przystanął i szybko rozejrzał się dokoła. Brzmiało to jak chór męskich głosów... ale może nie, być może nie było śpiewu, a tylko bardzo odległy szum oceanu... Przekrzywiwszy głowę, Baylay próbował zrozumieć, czym właściwie są odległe dźwięki, które słyszy.

Karenira przystanąła także. Baylay dosłyszał niewyraźny, dochodzący jakby zza ściany głos Starca:

– Co słyszycie? Prędko!

– Burzę... – odparła. – Burza nad Wielkimi Równinami...

– Jak się czujesz?

– Dobrze... Normalnie.

– A ty, chłopcze? Co słyszysz?

Baylay chciał odpowiedzieć – i nie mógł. Karenira potrząsnęła go za ramię. Chciał uspokoić ją gestem, lecz wyszło na jaw, że nie umie wykonać najprostszego ruchu. Starzec zbliżył się spieszenie i zajrzał mu w oczy.

– Uderz go! – rozkazał. – Słyszałaś? Uderz go, natychmiast!

Spojrzała z lękiem, zbyt przestraszona, by zrozumieć, czego od niej żąda. Starzec nie czekał, sam wymierzył Baylawi siarczysty policzek. Poprawił z drugiej strony. Głowa Dartańczyka chwiała się bezwładnie; szeroko otwarte oczy nie miały żadnego wyrazu.

Karenira także trzasnęła go w twarz. Starzec zachnął się.

– A co to miało być? Uderz go! – zawołał, biorąc Dartańczyka pod ramię i siłą ciągnąc za sobą. – Od kilku dni marzysz, żeby mu przyłożyć, a kiedy masz okazję... Ma go boleć!

Idąc obok, zamachnęła się i chlasnęła tak, że Baylay jęknął i ślamazarnym ruchem przyłożył dłoń do policzka.

– Bardzo dobrze, o, jak ładnie! Chłopcze, słyszysz mnie?

Próbował odpowiedzieć, lecz tylko skinął głową.

– Śpiew, czy to jest śpiew?

Uzyskawszy potwierdzenie, Starzec zacisnął usta.

– To źle – rzekł. – Chodźmy, chodźmy szybko!

Trzymając mężczyznę z obu stron, pociągnęli go za sobą. Sztywno stawiał kroki, zaczął powłóczyć nogami i holowali go z coraz większym trudem. Wreszcie kolana załamały się pod ciężarem ciała.

– Postaw go! – rozkazał Starzec.

Chwyciła mężczyznę pod pachy i postawiła na nogach. Lecz stał tylko dlatego, że nadal trzymała; było jasne, że upadnie natychmiast, gdy przestanie go wspierać.

– No! – krzyknęła, bardziej jednak ze strachem niż z gniewem. – Długo jeszcze będę ci matkować?!

– Uderz go! – zawołał Starzec, szukając czegoś w swojej torbie. – To nie są żarty, ma go boleć! Ból czasem pomaga!

Wyciągnął jakiś flakon i otwarty podsunął nieprzytomnemu pod nos. Nie dało to żadnego efektu.

Dziewczyna, wciąż trzymając mężczyznę pod pachami i nie mogąc puścić, odchyliła głowę, a potem trzasnęła go czołem w twarz. Wykrztusił coś chrapliwie, z nosa pociekła krew... jednak Armektanka poczuła, że wsparł się nieco na nogach.

Poprawiła czołem jeszcze raz.

Baylay ryknął, wyrwał się i zatoczył.

– Dobrze, łap go! – rzekł Starzec. – Łap i prowadź. Niedaleko jest Martwa Plama, powinniśmy zdążyć... – dorzucił niejasno.

Lecz tamten, chycony pod ramię, znów zwiotczał i osunął się na ziemię. Rozwścieczona dziewczyna kopnęła go w żebra. Stęknął głucho, lecz tym razem nie oprzytomniał. Kopnęła raz jeszcze, a widząc, że to na nic, pochyliła się nagle, poderwała bezwładne ciało szarpnięciem i stęknąwszy z wysiłku, zarzuciła sobie na ramię.

– Gdzie?! – wykrztusiła.

Starzec pokazał kierunek. Z miejsca ruszyła ciężkim truchtem, a potem prawie biegiem. Bezwładne ramiona mężczyzny tłukły ją po biodrach i nogach. Starzec podążał za nią. Biegając, zaczęła stękać, a potem jęczeć z wysiłku. Była silna jak wilczyca, ale ciało mężczyzny ciążyło jak ołów i zsuwało się z ramienia, traciła wiele sił, przytrzymując, by nie spadło. Ciemniało jej w oczach, potknęła się raz i drugi, a potem runęła na kolana. Półprzytomna ze zmęczenia, oddychając chrapliwie, pochwyciła bezwładną głowę Dartańczyka i z całej siły przycisnęła do piersi.

– Ocal... słyszysz, ocal go... Jesteś Przy...jętym... Słyszysz? Ocal, słyszysz... ocal mi go...

Pochwyciła dłonie Baylaya, wiotkie, zimne.

– On umiera. Na Szerń, ojczy... Słyszysz mnie?

Rozplakała się nagle i krzyknęła przez łzy:

– Jesteś Przyjętym, ty przeklęty staruchu! Jesteś nim czy nie?! Co ci się... co zaległo w chorym mózgu, że nie chcesz... że nie używasz swojej siły? No co?! Ja cię zabiję, słyszysz mnie?! Jak on umrze... to ja cię zatłukę, zatłukę...

Zaczęła szlochać.

– Ojczy, przecież ty jesteś Dorlan-Przyjęty, Wielki Dorlan... Możesz

wszystko, kiedyś oddałeś mi oczy... A teraz?

Gdy milczał, powtórzyła z rozpaczą i bólem:

– A teraz?...

Pokiwał głową i odsunął ją na bok.

– Dobrze, daj go – rzekł cicho.

Pochylił się, lekko podniósł nieprzytomnego mężczyznę, powiedział coś niewyraźnie – i, jak kula wystrzelona z bombardy, pomknął przez powietrze.

o o o

Baylay zakrztusił się i otworzył oczy. Poraził go blask wynurzającego się zza łagodnych wzniesień słońca. Szybko zacisnął powieki na powrót, ale zdążył jeszcze zobaczyć twarz pochylonej nad nim dziewczyny. Poczuł na ustach krople wody, zaczął pić z podetkniętego bukłaka.

– Jak się czujesz?

Odsunął bukłak i skinął głową. Znów otworzył oczy.

– Co to było? – zapytał dość pewnym, prawie normalnym głosem.

– To? – zażartowała, unosząc wór z wodą, którego wylot zawiązywała właśnie rzemieniem. – Gdy piję, to sama nie wiem... Worek z wodą. Ale śmierdzi kozłem albo nie wiem czym.

– Wiesz... przecież wiesz, o co pytam.

Pomacał ręką, wyczuwając pod potylicą swoją torbę z kłopotami i resztkami prowiantu. Przekręcił głowę w bok i patrzył na kolana siedzącej na podwiniętych nogach dziewczyny.

– Bardzo kształtne – powiedział. – Jesteś ładną kobietą, Łowczyni.

– Powinieneś częściej słyszeć śpiewy – oceniła zarumieniona.

Przypomniał sobie nagle.

– Nie wiem, co działo się ze mną...

– Zew Strażników – powiedziała nieco niepewnie. – Na morzu tak śpiewają syreny... trochę podobnie. Ale nie kobiety, bo to bajka. To są wielkie ryby, tak mówi Dorlan.

– Dorlan?

Skinęła głową.

Przyjęty stał nieopodal, wyprostowany... i młodszy. Skinął głową i uśmiechnął się do młodego Dartańczyka, jakby mówiąc: „Dobrze, już wszystko dobrze”. Baylay przez długą chwilę badawczo, a nawet nieco natarczywie wpatrywał się w znajomą twarz Starca, nie mogąc zrozumieć, na czym polega zmiana.

– Jesteś, panie, Przyjętym – powiedział, siadając.

Przyłożył ręce do czoła, czując nagły ból głowy.

– Nie wiem, chłopcze. Być może.

Karenira potrząsnęła głową, uśmiechając się znacząco. Wiedziała swoje. Ale Dorlan zniecierpliwiał się nagle. Podeszedł i przysiadł na ziemi

obok młodych.

– Nie uśmiechaj się, córeczko, bo nie jesteś mądrzejsza ode mnie. Różne sztuczki można obejrzeć nawet na jarmarkach, a po całym Szererze biegają setki durniów z Porzuconymi Przedmiotami za pazuchą. Dość znać Formułę, by za sprawą tych Przedmiotów wyprawiać różne głupstwa. Twój koci przyjaciel łązi po skałach jak mucha, wspomagając się siłami Geerkoto zwanego Srebrnym Piórem. Ciemne Pasma, którego odbiciem jest ten Przedmiot, było najważniejszym spośród wszystkich, które wyłoniły z nicości pierwszy szererski rozum, ludzki rozum... Używa się sił tego Pasma, by chodzić po największej kupie kamieni na świecie, i oby tylko do tego! A już tutaj, w Romogo-Koor, każdy, kto coś wie o Szerni, może używać i nadużywać jej sił bez Porzuconych Przedmiotów. Czy to wszystko są Przyjęci, twoim zdaniem? Czy to wszystko są Przyjęci? Ci, co wynieśli stąd Przedmioty, żeby łązić po górach, albo ci, co chcą wydawać na jarmarkach ku uciesze gawiedzi niemożliwe i zabawne dźwięki? Jakby sztuki linoskokców same nie były dość ciekawe!

Spojrzała na Baylaya i przygryzła lekko dolną wargę, bo Dorlan gniewał się wcale nie na żarty.

– Po raz drugi w swoim życiu czynię coś, czego czynić nie powinienem. Za pierwszym razem... nie upilnowałem swoich pragnień. Ktoś taki jak ja nie ogląda na co dzień młodziutkiej dziewczyny, która nigdy już nie przejrzy na oczy... Ani nie słucha najszczerzych, płynących prosto z serca słów żołnierza, który przybiegł jej na ratunek i nie zdążył. Litość! Ludzka słabość... Nie umiałem, nie mogłem... ale bardzo w głębi duszy czegoś zapragnąłem, wbrew wszystkiemu, co miałem za słuszne. Lecz dzisiaj gorzej: świadomie pofolgowałem swym pragnieniom. A tymczasem twoje oczy, córeczko, i nawet twoje życie, mój chłopcze, wcale nie są ważniejsze od Szerni i jej świata. Ludzie tracą wzrok i umierają, bo tak zbudowany jest ten świat, zbudowany przez Pasma Szerni. Szerer znaczy „świat Szerni” i warto o tym pamiętać. Nie mów mi, córeczko, że jestem Przyjętym, bo „przyjęty” to nie znaczy „taki, co sam się przyjął”, gdzieś albo do czegoś. To nie ode mnie zależy, czy Pasma uznają mnie za swoją część. A czynię wręcz wszystko, żeby nie uznały. Żeby nie uznały.

– Kiedyś mówiłeś, że tutaj można odwoływać się do Pasm. Takiej łuny – powiedziała nieśmiało.

– Tak. Ktoś, kto rozumie Szerni, może to robić. Ale ja jej chyba nie rozumiem.

Wstał.

– Pójdę teraz porozmawiać z Brulem.

Otworzyła usta, gotowa zaoferować pomoc, jednak nic nie powiedziała. Jak mogła pomóc w rozmowie dwóch... takich ludzi?

W ciszy patrzyli, jak odchodzi, kierując się w stronę pasma niewysokich wzniesień. Trzymając się za ręce, milczeli długo, bardzo długo, bo aż do momentu, gdy sylwetka wędrowca skryła się za grzbieciem pagórka.

Karenira westchnęła.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Baylay, z niejakim zdziwieniem oglądając dość znaczną kolistą przestrzeń, porośniętą trawą, a nawet krzewami, między którymi wił się wąty strumień. W innych miejscach Obszaru roślinność należała do rzadkości.

– Przyjęci mówią o takim miejscu: Martwa Plama. Słyszałam o czymś takim. Powinien wiedzieć o istnieniu takich miejsc każdy, kto idzie do Obszaru. Ty nie słyszałeś?

– Czy to jest to samo, co Dobry Krąg?

– Tak.

– Mówił mi o tym Gold. Tu nie działają siły Złego Kraju, żadne siły.

– To samo powiedział Dorlan.

Odruchowo wrócili spojrzeniami do miejsca, gdzie zniknął ich towarzysz.

– Dorlan-Przyjęty – rzekł Baylay.

– Tak, Dorlan-Przyjęty – powtórzyła jak echo. – Choćby gniewał się na mnie, to ja swoje wiem. Przyjęty, najpotężniejszy, największy ze wszystkich Przyjętych, jacy kiedykolwiek żyli. Boi się go cały Obszar, krążą o nim legendy. Tyle ich słyszałam w Armekcie! Widywano go w moim kraju już wtedy, gdy trwało Kocie Powstanie. Nic nie słyszałeś?

– Tylko imię. Nie wiem, kiedy ani od kogo.

– Dartan to dziwny kraj.

– To najpiękniejszy kraj na świecie – rzekł z powagą. – Widziałem Armekt i znam niebo nad Równinami, Kareniro. Ale nic nie jest piękniejsze niż miasta i lasy Dartanu.

– Przecież wy nie umiecie kochać swego kraju. Oddaliście go. Kochacie tylko swoje rody, ważne jest dobro Domu... – powiedziała z powątpiewaniem, wydymając usta. – Areny. Wasze rycerstwo...

– To tak, jakby powiedzieć o Armekcie, że wszyscy tam chodzą nago.

– Nie chodzą. Każdy wie, jak wygląda nagi człowiek, więc nie trzeba tego zawsze ukrywać, nawet podczas kąpieli, bo to głupie... Ale nie chodzimy nago.

– Ależ chodźcie – zaoponował. – Choćby żołnierze.

– Żołnierze, zanim ruszą do bitwy, zwierzają się ze swoich kłopotów i zmartwień, przebaczą sobie nawzajem. Wtedy nagość ma znaczenie...

– Urwała, bo uśmiechał się lekko.

Przecież dobrze wiedział, jak to jest.

– Rozumiem – powiedziała. – Pokazujesz mi, że inni widzą Armekt tak, jak niektórzy Dartan? Powtarzają tylko to, co zasłyszane? Ale macie

przecież te swoje areny, bardzo dużo znaczą dla was rody, ceremonie...

– Tak było. I nadal tak jest, to prawda. I tak być powinno. Ale Armektańczycy, którzy przywlekli do nas swoje prawa... czasem głupie prawa, pokazali też coś, o czym w Dartanie nikt kiedyś nie miał pojęcia. Wielką dumę z tego, że można zwać się Armektańczykiem albo Dartem.

– Dartem?

– Dartańczyk to każdy, kto urodził się i mieszka w Dartanie. Ale ja jestem i jednym, i drugim, Kareniro. Najpierw Dartem, a więc kimś, kogo przodkowie zawsze żyli w tym kraju. Znikąd nie przybyli. Gdy Szerń nadawała ludziom rozum, pierwsza świadoma myśl moich ojców zrodziła się gdzieś na Żółtych Wzgórzach, które wtedy jeszcze nie nosiły żadnej nazwy.

– Nie wiedziałam o Dartach.

– A u nas nie pamiętano, bo liczyły się Domy i linie rodów. Byle pastuch także wyrósł z ziemi dartańskiej, mienić się Dartem oznaczałoby zrównać się z nim pod jakimś względem. W armektańskich plemionach wszyscy byli wojownikami i wszyscy byli sobie równi, mogli więc wspólnie zwać się Armektańczykami. U nas zawsze było inaczej.

– Skąd wiesz o tym wszystkim? Bardzo dużo wiesz – powiedziała zdziwiona. – To jakbym słuchała Dorlana. I nie boisz się już porównywać z waszym chłopem?

– A czy ty się porównujesz z kimś takim? Nie jestem chłopem. Mój ród należy do najświetniejszych, moi przodkowie okryli się wielką chwałą i położyli ogromne zasługi, pozostając w królewskiej służbie. Nie boję się żadnych porównań i z nikim. Ale właśnie dlatego mogę ci powiedzieć: tak, jestem Dartem, podobnie jak mieszkańcy moich wsi. Różnica polega na tym, że ja jestem kimś, oni zaś nie znaczą nic. Ich krew niewiele jest warta, to tylko śmierdzący płyn. Nikt w tych wioskach nie miał wielkiego przodka, który umiałby zasłużyć sobie na stanie się człowiekiem ważnym i znaczącym.

– Tak to widzisz... – szepnęła.

– Co robili moi przodkowie, gdy otrzymali rozum? Siedzieli pod drzewem albo i na drzewie. Przodkowie wieśniaków też. To nie było tak, że jednym od razu dano pałac, a drugim tylko lepiankę. Jest krew i krew, Kareniro.

Myślała o tym, co powiedział.

– Małżeństwo z Armektanką – rzekł z niechęcią – uczy niejednego. Najbardziej uczy nienawiści do pogardy, którą okazujecie całemu niearmektańskiemu światu. Ale uczy też dumy z bycia tym, kim się jest. Kiedyś zapłacicie za tę rozbudzoną dumę.

Zamilkł.

– Ilara – rzekł nagle. – Przecież on poszedł spotkać się z Brulem. Uwolni ją!

Zerwał się z ziemi.

– Uwolni ją, słyszysz?

– Słyszę. Usiądź.

– Przyszedłem tu po swoją żonę! Twój Dorlan...

– Poszedł dokądś, nie wiadomo dokąd. Porozmawiać o czymś, nie wiadomo o czym. Wiadomo tylko z kim. Z innym Przyjętym. Pobiegniesz tam ze swoim mieczem i zaczniesz rąbać tego Przyjętego? – zapytała, zaskakująco chłodna i opanowana. – Nie przyszedłeś tu, żeby uwolnić żonę, bo to niemożliwe. Przyszedłeś zginąć. Ale nie zginiesz, bo spotkałeś Dorlana i mnie.

Zaczerpnął tchu.

– Przestań – ostrzegła. – I nie mów więcej przy mnie „moja żona”. Jeśli chcesz, możesz mówić „Ilara”. Ale nie mów „moja żona”, bo mnie boli, bo to ja powinnam nią być.

ROZDZIAŁ 18



Brul-Przyjęty stał na galerii otaczającej wielką salę. Patrzył na drobną postać idącą po splekanych taflach posadzki. Szła tym swoim serdecznie zabawnym, statecznym i rozkołysanym krokiem, uważnie patrząc pod nogi. Bicz włókł się po ziemi.

– Jestem tutaj – powiedział niegłośnie, żeby nie przstraszyć dziewczyny.

Spojrzała w górę i się rozpromieniła.

– Panie?

Uśmiechnął się, machnął ręką, żeby zaczekała, i zszedł po szerokich stopniach.

Niebywały rozmach, z jakim budowniczowie Shergardów stawiali swe gmachy, wciąż go zadziwiał. Powody, dla których ten potężny naród skarłał i przepadł, może rozplynął się w innych ludach Szereru, stanowiły jedną z największych zagadek w dziejach świata.

Podszedł do Ilary, przytulił ją lekko i pocałował w czoło. Ujął w palce podbródek i uniósł jej głowę. Zmarszczyła śmiesznie nos i, zupełnie jak rozkapryszone dziecko, powiedziała:

– Nudzę się, pobaw się ze mną.

Z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. Musnął palcem różowy policzek. Ośmielona, złapała palec zębami i ugryzła. Nie puszczała, śmiejąc się i mrużąc zielone oczy. Perswadował żartobliwie, odgrażał się, kręcił palcem, ale była uparta. Zmusiła go do zabawy.

– Co więc mam z tobą zrobić? – zapytał wreszcie.

Pokręciła głową.

– Nic? Zupełnie nic? No to będziesz mnie tak trzymała całe wieki!

Spoważniała nagle i patrząc mu w oczy, skinęła powoli. Wzruszyło go to. Wiedziony dziwnym kaprysem powiedział:

– Widzę, dziecko, że dzisiaj jest twój dzień. Proś, o co chcesz. Zrobię wszystko dla twojego kaprysu.

Puściła palec i patrzyła z tak niezmierną powagą, jakiej jeszcze u niej nie widział.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Pochyliła głowę i cicho, bardzo cicho powiedziała:

– Żeby... już nigdy nie bić psów.

Spoglądał zaskoczony.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Co? Dziecko!

Pochylony podbródek zadrżał.

– Ja wiem, że trzeba je bić... Wytłumaczyłeś mi, panie. Ale wytłumacz teraz, że już nie trzeba. Proszę.

Zmarszczył brwi, bo działo się coś niezwykłego. Czyżby Formuła Posłuszeństwa osłabła? Było to niemożliwe. Ale skąd w takim razie... jakim sposobem dziewczyna mogła zrozumieć, że od niego zależy, czy coś jest konieczne, czy nie? Że to nie jakaś nadrzędna przyczyna, lecz jego wola stwarza konieczność bicia psów.

Spojrzał na pochyloną głowę. Czyżby płakała?... Poczł bolesny skurcz serca i uświadomił sobie oczywistą prawdę, od której dotąd uciekał: darzył to stworzenie uczuciem, być może ojcowskim, może tylko podobnym – bo nie wiedział przecież, jak wygląda uczucie ojcowskie... Lecz na pewno nie była mu obojętna. Dawno już przestała być tylko narzędziem, potrzebnym do wykonania pewnej pracy. Z całą mocą rozbrzmiało mu w uszach stale odsuwane na później pytanie: co pocznie z tym bezbronny małym człowiekiem, gdy już mu nie będzie potrzebny? Czy przez resztę życia będzie się opiekował półświadomą niewolnicą, zbędną, uciążliwą, powodującą nic więcej jak tylko wyrzuty sumienia? Czy też raczej uwolni ją i odeśle gdzieś, pozbawiwszy najpierw pamięci? Czy miał na to czas?

Oczywiście nie miał. Czasu brakowało mu najbardziej.

– Tak, dziecko – powiedział. – Pomyliłem się. Psów nie trzeba już bić.

Przerażona zgodą, długo patrzyła mu w twarz.

– Naprawdę?

– Tak, dziecko. Naprawdę.

Przytuliła się do niego tak mocno, że prawie stracił dech. Uśmiechnął się znowu, lecz tym razem był to uśmiech już nie do końca szczerzy. Wróciły wątpliwości. W jaki sposób zniewolona Formułą dziewczyna mogła prosić o zaniechanie czegoś, co w jej pojęciu powinno być równie nieodwołalne jak oddychanie albo jedzenie?

– No dobrze – powiedział. – Nie ma za co dziękować.

Pogładził piękne czarne włosy, skażone wąską smuzką siwizny. Znak szczególny, symbol drugiej, obcej Potęgi, zawieszzonej nad rubieżą świata.

Base-kregheeri, władczyni świata, Armektanka. Miała to od zawsze. Jej błogosławieństwo, a może raczej: jego błogosławieństwo, bo dla niej raczej przekleństwo.

Delikatnie odsunął ją od siebie i jeszcze raz pocałował w czoło.

– Idź już – rzekł. – Powinienem teraz być sam.

Chciała się schylić po leżący na posadzce Bicz, ale nie pozwolił. Sam podniósł go i wcisnął w jej małą dłoń.

– Idź.

Został sam.

Przez długą chwilę stał, zamyślony, potem zaczął chodzić wzdłuż ścian. Działo się coś dziwnego. Uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu... drży wokół dziwna, obca aura. Cóż to miało oznaczać? W pewnej chwili przystanął, uniósł wzrok... i zobaczył wyjaśnienie. Opuściwszy głowę, chodził dalej.

Formuła Posłuszeństwa nie osłabła, bo nie mogła. Została po prostu odwołana. Ilara miała wkrótce uwolnić się zupełnie.

– Dorlan-lah’agar – powiedział niegłośnie. – Odtrącony mędrzec wrócił do Szerni. Powinienem być się domyślić. Witaj, Dorlanie, w moim domu.

Dorlan powoli zszedł z galerii, korzystając z tych samych stopni, które wcześniej nasunęły gospodarzowi myśli o Shergardach.

– Witaj, Brul – powiedział. – Nie wróciłem do Szerni. Nie wiem, czy przyjęła mnie na powrót.

– To niemożliwe, mistrzu. Musisz to wiedzieć.

– I ja tak uważałem. A jednak nie wiem. Zdaje mi się, że zostałem przyjęty warunkowo. Coś musi się wydarzyć. Albo może czegoś muszę unikać.

– Przyjęty warunkowo? O czym mówisz, mistrzu? Czy można być żywym warunkowo? Lub martwym warunkowo, Przyjętym warunkowo?... Jest się tym wszystkim albo nie.

– Wydaje ci się, mój chłopcze, że rozumiesz, na jakich zasadach Szerń uznaje nas za swoją żywą część?

Sens słów nieomal umknął uwagi Brula – bo Dorlan nie zauważył, że nazwał go chłopcem. Stary nauczyciel zapomniał na krótką chwilę, że w Szererze, poza Romogo-Koor, minęły dwa wieki od chwili, gdy pokazywał swemu uczniowi pierwsze Prawa Całości.

– Jestem starcem, mistrzu – rzekł łagodnie. – Zechciej, proszę, nadal mówić do mnie „mój chłopcze”, bo to przywołuje wszystkie najlepsze wspomnienia, jakie mam. Lecz pamiętaj, że to tylko słowa, bo jestem dziś starcem, jak ty. A teraz odpowiem: tak, wydaje mi się, mistrzu, że rozumiem, na jakich zasadach Szerń przyjmuje nas za symbol swoich treści. Założenie, że jesteśmy jak ona, to fundament, na którym opieramy wiedzę o naszej tożsamości. Bez tego nie wiadomo w ogóle, czym lub kim jesteśmy. Czy powiesz mi zaraz, że nie wiadomo w istocie, czy ludzie są ludźmi, bo być może w ogóle ich nie ma, a istnieją tylko świadome emanacje pozbawionych świadomości Pasm?

Dorlan usiadł na jednym z kamiennych stopni Shergardów.

– Przyszedłem porozmawiać, lecz nie o tym – rzekł zmęczonym głosem. – Ale oto na samym początku rozmowy uświadomiłeś mi, że wybrałem się do niewłaściwej osoby. W samej rzeczy, Brul, jesteś starcem, jak ja.

Zaległo krótkie milczenie.

– W czym to przeszkadza?

– Przyszedłem, by przekazać ci mój dorobek. Mój wkład do Księgi Całości dawno już jest ukończony i wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek. Lecz przez ostatnie lata zajmowałem się historią Szereru, a ściślej: tą jej częścią, która jest oderwana od Szerni. Przyszedłem, by powiedzieć dawnemu swemu uczniowi, gdzie znajdzie wszystkie moje zapiski. Chciałem usiąść z tobą i przedstawić kilka odkryć, których dokonałem. Lecz zapamiętałem właśnie ucznia, a znalazłem podobnego do siebie starca, który może umrzeć nawet wcześniej niż ja. W jaki sposób możesz zostać wykonawcą mego testamentu? Czy każdy nauczyciel – zapytał z gorzkim humorem – do końca swoich dni pamięta ucznia jako urwisa, do którego zwykł mówić „mój chłopcze”?

– Być może tak właśnie jest. Nigdy nie uczyłem o Szerni, Dorlanie, bo powiedziałaś mi, żebym tego nie robił.

– Być może myliłem się i był czas, gdy nie ukrywałem przed tobą swych rozterek. Lecz zawsze uważałem, że nauczyciel winien przekazywać uczniom same fakty, pozostawiając możliwość wyciągania wniosków. Ty zaś, mój chłopcze... – Dorlan uśmiechnął się, bo spostrzegł, iż ponownie uległ nawykowi. – Ty, mój najzdolniejszy uczniu, zawsze byłeś zbyt śmiały w stawianiu hipotez, zbyt wiele prawd negocowałeś i choć taki niepokój umysłu jest na drodze poznania bardzo wartościowy, to nie u nauczyciela. Nie u nauczyciela. Przestrzegałem cię więc przed obraniem drogi, na którą, jak uważałem, nie powinieneś wstępować.

– Wiele się zmieniło, Dorlanie. Dzisiaj to ty właśnie przychodzisz do mnie i podajesz w wątpliwość prawdy fundamentalne.

Stary mistrz pokiwał głową.

– Zaiste. Lecz jednak pomówmy o tobie, nalegam. Przesłałeś mi kiedyś notatki, które... powiem to wprost... zdały mi się zapiskami szaleńca.

– Cóż w nich było szalonego?

– Brak spójności. Pisałeś mi zarówno o potrzebie wychowania następcy, który będzie Przyjętym jeszcze w łonie matki, jak i o nadstocie utożsamiającej dwie skłócone Potęgi, Szerń i Aler. To pierwsze jest dość szalone, drugie jeszcze bardziej. Ktoś, kto jest jak sama Szerń, nie może oczekiwać, że powoła na świat istotę będącą tylko jego następcą. Bardzo rzadko zdarza się, że to w ogóle jest człowiek. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Czy znalazłeś może sposób na wyplukanie tego

wszystkiego, czym skaziły cię Pasma? Nie pisałeś mi o tym.

– Znalazłem! – gwałtownie rzekł Brul. – Moja wola! Wiem, że będzie, jak powiedziałem! Nie pytaj, skąd o tym wiem, bo nie zdołasz tego pojąć, mistrzu!

Dorlan milczał przez krótką chwilę.

– Pozwól, Brul, że ci nie uwierzę. Te słowa nic nie znaczą. A jeśli nawet jest, jak mówisz, to zamiar wychowania następcy będącego Przyjętym, więc żywą częścią i symbolem Szerni, stoi w sprzeczności z zamiarem powołania istoty, w której stopią się moce dwóch wrogich potęg. Uważasz więc, że zostałeś powołany do godzenia wody z ogniem, Brul? Ty, właśnie ty sprawisz, że dwie siły zupełnie przeciwstawne sobie przyjmą tę samą istotę i uznają ją za swoją, symbolizującą treści każdej z nich? To szalone. To szalone, nie waham się powiedzieć.

– Powtarzam, że nie zdołasz pojąć, mistrzu, tego, co ja wiem. – W głosie Brula narastał gniew. – Wiem! Tak samo wiem, że żyję i oddycham, myślę, mam świadomość istnienia Szerni, a więc jestem i czuję! Lecz rozumiem, po co przyszedłeś naprawdę, i nie zwiedzisz mnie. Chcesz mi ją odebrać!

– Co lub kogo chcę ci odebrać?

– Base-kregheeri. Armektankę poczętą pod niebem Aleru.

– Więc to dlatego! – rzekł Dorlan, powstając z kamiennego stopnia. – Już rozumiem wszystko. Tak, biedny szaleńcze, odbiorę ci ją, jeśli zdołam. Ale nie dlatego, by pokrzyżować twe plany, które i tak spełzną na niczym. Przyszedł do mnie mąż tej kobiety. Człowiek, który dla jej ocalenia pokonał własne ułomności.

Brul miał stłumiony, niewyraźny głos:

– Powiedz, mistrzu, dlaczego obchodzą cię takie małe sprawy? Mam uwierzyć, że przybyłeś do mnie z głębi Szereru, by odzyskać dla kogoś jego żonę? Nazywasz mnie szaleńcem, lecz szalone jest raczej to, co mówisz! Nie, mistrzu, wiem, po co przyszedłeś! Owszem, chcesz mi ją odebrać, lecz dlatego, by moje dzieło nigdy nie zostało zakończone.

– Zarzucasz mi kłamstwo, Brul, a to już jest czysty obłąd. Po co miałbym kłamać? Czy ze strachu?

– Czy chcesz ze mną walczyć, mistrzu?

– Nie. Lecz będę, jeśli to konieczne. Nie znalazłem tu spadkobiercy mojej historycznej wiedzy, bo straciłem poczucie czasu i znaleźć go nie mogłem. Nie wyleczę też twojego szaleństwa. Więc może chociaż uwolnię tę nieszczęśliwą Armektankę i oddam mężowi, który dla niej pokonał przeciwnika znacznie trudniejszego niż tylko Ciężkie Góry. Własną słabość.

– Jeszcze nigdy w dziejach dwaj Przyjęci nie ruszyli przeciw sobie z takich pozycji – rzekł Brul z nieoczekiwanym spokojem. – Dobrze, zgoda: przyjmijmy, że oszalałem. Lecz w swoim szaleństwie próbuję

zgłębić tajemnicę wiszących nad światem Potęg, do czego, jako lah'agar, jestem powołany. Z drugiej strony ruszasz ty, Dorlanie, gotów użyć mocy Pasm nie dla odkrycia i poznania, lecz wbrew regułom rządzącym światem. Chcesz użyć Szerni do walki ze stworzoną przez nią równowagą? Czy negujesz Prawa Całości?

– Nie wiem, czy jestem Przyjętym – rzekł Dorlan po raz kolejny tego dnia. – By mieć pewność, muszę coś uczynić lub, być może, czegoś nie uczynić. Może chodzi właśnie o sprawę, którą ci przedstawiłem.

– Wybierz zaniechanie!

– Wybieram działanie.

– Proszę, mistrzu, byś nie zmuszał mnie do walki, której nie chcę!

– I ja jej nie chcę. Oddaj mi tę dziewczynę.

– Nie, Dorlanie.

– Więc zmierz się ze mną.

– Nie chcę o to walczyć, mistrzu. Twoje racje nie są warte nawet sporu Przyjętych, nawet sporu! Ty zaś myślisz o walce? To, po co przyszedłeś, to nie jest sprawa Przyjętego, to są sprawy zwykłych ludzi i oni powinni je załatwiać. Niechże mąż tej kobiety upomni się o nią, to jego prawo i będzie miał swoją słuszość!

– Oddasz mu ją wtedy?

– Nie, bo jest mi potrzebna. Lecz uznam jego racje, gdy twoich uznać nie mogę.

Dorlan wyciągnął dłoń.

– Oto moje racje – powiedział. – Niech Pasma Szerni rozstrzygną, czy moja droga jest drogą Przyjętego.

W jego ręku załśniło długie, białe ostrze, broń podobna do miecza Króla Gór.

– Tarsan, stara broń Shergardów – rzekł Brul, cofając się o krok. – Dobrze więc, walczmy bronią Shergardów we wzniesionej przez nich budowli.

Wyciągnął rękę i natychmiast pojawiło się w niej wąskie, czarne ostrze.

– Oto moje racje, Dorlanie. Czy jesteś gotów na swoją przegraną? Więc niech Pasma przyznają słuszość temu, kto ją ma.

Nie udając ciosu, wysunął broń do przodu i pozwolił, by dotknął jej miecz przeciwnika. Biała klinga szerniała w jednej chwili. Brul wyciągnął lewą dłoń; miecz Dorlana wyrwał mu się z ręki, wyprysnął w powietrze i trafił prosto do lewicy gospodarza starej fortecy.

– Gdybyś wiódł ze mną spór z pozycji Przyjętego – rzekł Brul bez triumfu, za to z prawdziwym smutkiem – wynik walki mógłby być inny. Lecz ty postawiłeś się w pozycji zwykłego człowieka i oto Pasma znów cię odtrącają. Nie zostałeś ponownie przyjęty, Dorlanie. Odejdź, proszę.

Upuścił czarne miecze na posadzkę; zadźwięczały wysokim tonem.

Brul przyklął nagle i powstał, po raz ostatni oddając hołd swemu nauczycielowi.

– Być może jestem szalony, lecz szalony jako mędrzec Szerni. Odejdź, mistrzu. Twoje dzieło jest wielkie, lecz zostało raz na zawsze ukończone. Teraz już nie wiesz, czym są Pasma, i nie możesz być żywym symbolem ich nieożywionej treści.

Dorlan skłonił głowę i odszedł.

o o o

Tuliła się do nich z płaczem. Ścisnęła kudłate karki i szyje, drżącymi dłońmi, szlochając, wywijając ogromne uszy. Stały wielkie i nieruchome; nie uciekały, ale też nie odwzajemniały pieśczęt. Dławiąc się łzami, zrozumiała, że już nigdy nie pobawi się z psami – bo zdradziła i teraz oczekiwały od niej niezaskuszonej kary. W każdej chwili znowu mogła zadać ból, bez żadnego powodu, bo przecież nie rozumiały, że wtedy był powód, ważny powód. Stały jak kamienie, zimne i nieporuszone. Nie mogła już tego znieść; ciągle płacząc, zerwała się i niezgrabnie pobiegła przed siebie. Pięścią, kurczowo zaciśniętą na Biczu, rozmazywała łzy na policzkach.

Czuła żal, wielki i straszny żal. Chwytał za gardło i trzymał. Życie znowu okazało się nieprzyjazne i wrogie, tak jak wtedy, gdy...

Z pamięci zaczęły wypływać jakieś strzępy wspomnień, których jeszcze przed chwilą nie było: Dartan i Armekt... jakiś mężczyzna, bliski i daleki... Próbowwała pochwycić te wspomnienia, lecz uciekły spłoszone.

Zatrzymała się, nie mogąc biec dalej. Usiadła na ziemi i pociągając nosem, patrzyła przed siebie. Minęło sporo czasu, nim zobaczyła, gdzie dobiegła, uciekając na oślep. Przestraszyła się. Brul pokazywał jej to miejsce: dziwny, zbudowany z kamieni labirynt, wiele niewysokich, sięgających do pasa ścian. Przykazywał, żeby nigdy tu nie przychodziła. Chciała wstać i odejść, ale nagle zbuntowała się, myśląc, że w końcu nie każde słowo tego starca musi być dla niej święte. Zresztą nie weszła przecież do labiryntu, była blisko, nic więcej.

Zapatrzyła się w niebo, pogodne, jak niemal zawsze nad Obszarem. Ocierając z twarzy ostatnie ślady łez, czuła wzmagający się wiatr, gorący i duszny jak rzadko. Wreszcie znużyło ją beczynne siedzenie, więc ciężko podniosła się z ziemi, chcąc wrócić do ruin, które Brul nazywał domem.

Ale czy to był dom?

Postąpiła tylko kilka kroków...

Wszystko rozegrało się tak nagle, że oprzytomniała dopiero wtedy, gdy zakrwawiony Bicz pieśczętliwie owinął się wokół jej nogi, jakby zapewniając o swej potężnej opiece i prosząc o nagrodę za ocalenie życia. To, co zabił na granicy między cieniem Pasm a światem,

unicestwiało swą śmiercią piasek, porywało kłęby gorącego powietrza, przemieniając je w kule zimnego jak lód ognia. Chciała cofnąć się, zdjeta lękiem, jakiego nigdy dotąd nie czuła, lękiem nieludzkim i nie z tego świata, przekazywanym jej chyba w jakiś sposób przez konającego Strażnika Obszaru. Nie pojmowała, co czuje i widzi... i czy w ogóle TO czuje i widzi. Serce tłukło się w piersi jak oszalałe, było jej duszno... duszno, duszno!

Ciałem targnął gwałtowny skurcz bólu. Zrobiła mały krok naprzód i uklękła powoli, przyciskając dłonie do wzdętego brzucha. W oczach pociemniało, potworny ból narastał. Krzyknęła. Potem jeszcze raz. Skulona, upadła na bok, wijąc się.

– Brul! Bruul! A!...

o o o

Dziecko było martwe.

Baylay i Karenira widzieli na południowym wschodzie błyskawice i kłęby szkarłatnego dymu, ale nie domyślili się w nich strasznego gniewu i rozpaczki Brula. Dziecko było człowiekiem bez żadnych skaz i zniekształceń, zwykłym ludzkim noworodkiem, noszącym w sobie być może moc dwóch Potęg zawieszonych nad światem.

Ale było martwe. I Brul nie zdołał go wskrzesić, bo tylko w połowie należało do Potęgi, która go uznała za swoją część.

Czarne Wybrzeże poznało gniew mędrca Szerni, który nie bacząc na wszystko, co niedawno powiedział swemu dawnemu mistrzowi, używał mocy Pasm do małych, ludzkich spraw: dawał upust nienawiści, rozpaczki i wściekłości. Z hukiem wylatywały w powietrze szerokie nadmorskie wydmy; fioletowy płomień wił się po plażach, roztopiając piasek. Potworni mieszkańcy Romogo-Koor ginęli dziesiątkami – miażdżeni, paleni, rozrywani między cofającym się w skurczach cieniem Pasm a blaskiem świata. Przetoczył się od morza i pobiegł w głąb lądu głuchy, niesamowity krzyk, porywając piasek i kurz.

Dotknięta kataklizmem stara forteca Shergardów, od stuleci trwająca tam, gdzie ją wzniesiono, zaczęła rozpadać się w gruzy. Resztki starych baszt i murów z hałasem znikwały w kłębach kurzawy; pękały posadzki w ciemnych komnatach. Na wspierających sklepienia filarach rysowały się czarne siatki pęknięć.

Potem zaległa cisza. Kurz opadał powoli, pośród jego kłębow zarysowała się niewyraźna sylwetka idącego z pochyloną głową starca.

– Brul! Brul, zostań, błagam! Nie zostawiaj mnie! Brul!

Nie zatrzymał się. Napłynęły nowe kłęby kurzu i zakryły go zupełnie.

– Brul!!

Krańcowo wyczerpana, nie potrafiła już nawet pełznąć jego śladem. Łzy wyślubiły na szarej od pyłu twarzy kręte ścieżki. Jeszcze raz

dźwignęła się na rękach, lecz zaraz potem upadła na zimne płyty posadzki i znieruchomiła.

Kurz opadał, opadał, opadał...

Cisza. Najgłębsza cisza zdawała się opadać razem z kurzem; wraz z nim pokrywała ziemię grubym kożuchem. Milczały powalone mury, pokruszone baszty, popękane płyty dziedzińca... Wraz ze starą fortecą Shergardów milczało całe Czarne Wybrzeże. Romogo-Koor, miejsce, w którym Szerń była najbliżej ziemi, długo miało leczyć rany zadane przez istotę symbolizującą wszystkie treści Pasm.

Ilara leżała bez ruchu, twarzą do ziemi. Jej czarne włosy pokrył szary pył, gasząc błysk pasemka siwizny. Leżała długo. Dopiero wieczorem, gdy mglisty kurz zastąpiony został przez wilgotny zmierzch, ramiona dziewczyny drgnęły lekko.

– Brul...

Ciężko, bardzo ciężko i powoli usiadła. Strząśnięty z ciała kurz zawirował w powietrzu. Zakryła twarz dłońmi i wyszeptala raz jeszcze:

– Brul.

Nikt nie odpowiedział.

Zapłakała znowu. Pieg na małej, pokrytej pyłem twarzy przybladły. Zadarty nos poczerwieniał; wytarła go bezradnie rękawem i ciągle płacząc, wstała. Szła powoli, nierówno, chwiejąc się i zagryzając usta, przytrzymując i czepiając się ścian.

Wydostała się z ruin. Dalej nie szła.

Nie miała dokąd iść.

Nie było nikogo. Ani dziecka, ani Brula... Nikogo. Została zupełnie sama.

Nie miała swojego dziecka.

Rozpacz dławiała ją. Spod opuchniętych powiek wypływały ostatnie łzy. Osunęła się na ziemię, jeszcze raz załkała spazmatycznie i znieruchomiła, walcząc z bólem ciała i szukając w duszy powodu, dla którego miałyby żyć.

Nie znalazła. Nie miała swojego dziecka.

Nie miała nikogo – i nic.

ROZDZIAŁ 19



Starzec umarł wieczorem.

Tej nocy byli ze sobą po raz pierwszy.

Kochał ją jak szaleniec. W tej miłości prawie nienawidził. Za to, że ją kocha, że musi kochać, że podeptała święty cel straceńczej wyprawy, że zabrała mu Ilarę. Nienawidził za spopielenie złudzeń, które w sobie przez tyle czasu nosił, za tę nową, prawdziwą miłość, która zajęła miejsce tamtej, ułomnej. Pragnął jej ciała, pragnął jej całej – z sercem, duszą, umysłem. Było to podle, było niskie, tak podle niskie wobec tamtego nieszczęśliwego, a przez to czystego kochania. Ilara była obowiązkiem. Więc czymś ważnym i wzniosłym. Zaniedbał obowiązek, by dogodzić ciału i sercu.

Pogrzebali Starca i żadne z nich nie zapłakało, choć był ich wiernym przyjacielem, a ona mówiła doń „ojcze”. Gdy wrócił, był mały i sędziwy. Taki żaloszny, bezradny. Nie przyjęli do wiadomości jego śmierci, bo tamten Starzec, który rano poszedł rozmówić się z Brulem, Wielki Dorlan-Przyjęty nie był tym, którego pochowali. Musiał przecież gdzieś żyć, nie mógł wrócić tak po prostu zgrzybiały. Drżący jak liść staruszek, któremu usypali grób, był kimś innym. Nie znali go.

Dali upust swoim żądzom nieomal na tym grobie, z dłońmi jeszcze brudnymi od ziemi. Oszołomieni, prawie przerażeni, spieszyli się, jakby to miał być ostatni raz. Gryzła go w usta, w język, kąsała po twarzy, on zaś ciągnął jej włosy, jakby chciał wyrwać wszystkie wraz ze skórą. Krzyczała z bólu poprzez jego krzyki, bo to, co sobie robili, bardziej było zadawaniem tortur niż czymś innym. Tarzali się po ziemi; szorstki piasek to jej, to znów jemu zdierał skórę z pośladków i pleców; trzymała jego biodra rękami i łydkami, jakby bała się, że mężczyzna zaraz zerwie się i ucieknie. Uniósł ją raz i drugi, by natychmiast znów rzucić na ziemię, przygnieść piersią i dusić całym ciężarem. Gwałtowne zespolenie trwało krótko, zaledwie kilka chwil – i natychmiast zaczęły wszystko od początku. Już nie krzyczeli, oddychali tylko coraz ciężej.

Potem, odrętwiali i wzdychający z bólu, czekali na sen. Zapewne ostatni. Ostatni wspólny sen.

Lecz zasnął tylko Baylay. Ona nie potrafiła.

Leżała z otwartymi oczami, półnaga, w poszarpanej spódnicy, i patrzyła w niebo – takie samo jak nad Armektem. W Grombelardzie nawet podczas najpiękniejszej pogody nigdy nie było całkiem czyste. Tutaj poznawała jasne gwiazdy, pamiętane sprzed lat. Im było obojętne, nad jakim krajem i dla kogo świeciły. Szukała w pamięci nazw gwiazdozbiorów, które kiedyś prowadziły konnych łuczników przez równiny. Topór – końcem styliska wskazujący północ. Rumak... Łuk i Strzała... Wilk.

Wstała i ubrała się cicho.

Śmigłym krokiem pożerała mile. Dla muskularnej górskiej kozicy, pokonującej biegiem stromizny, skaczącej po skalnych rumowiskach, równa i otwarta przestrzeń była jak powietrze po wyjściu z głębokiej wody. Nie stawiała żadnego oporu, pochłaniana niemal bez walki. Łubie rytmicznie obijało biodro, kołczan tłukł się na plecach. Równy, niezmacony cieniem wysiłku oddech rozpląwał się w rzadkiej ciemności.

Uwolni mu ją, tę Ilarę. Odda. I odejdzie.

Wkrótce dotarła do pasma łagodnych wzniesień, za którymi minionego ranka zniknął Dorlan. Osiągnęła szczyt i przystanąła. Bardziej po to, by rozejrzeć się dokoła, niż odpocząć.

Po drugiej stronie pagórków, zalana światłem gwiazd i księżyca, ciągnęła się kolejna równina. Armektanki nie zdołała dojrzeć niczego, co by mogło być siedzibą Brula. Jednak Dorlan poszedł właśnie w tym kierunku.

Może czarna plama, daleko... Czy na pewno było tam coś widać?

Łowczyni wspomniała młodą dziewczynę, która widziała w mroku tak jak nikt, pokręciła głową ze smutkiem i uśmiechnęła się gorzko. Lecz zaraz powiedziała sobie imię starego legionisty, który oddał jej wszystko, co miał. Dzięki któremu zobaczyła dzisiaj Topór, Rumaka i Wilka... a nawet niewyraźne Łuk i Strzałę.

Popatrzyła na niebo i wybrała sobie gwiazdę przewodniczkę.

Nogi poniosły w dół – równo, lekko.

Biegła wytrwale, aż wreszcie już wyraźnie wyłoniła się przed nią, czarna w szarej nocy, olbrzymia pryzma gruzów, która kiedyś była twierdzą Shergardów, a potem domem Przyjętego. Ruiny piętrzyły się przed nią, coraz większe i masywniejsze, w miarę jak zbliżała się do nich. Minęła żalosalne szczątki jakichś zabudowań, które przed wiekami mogły tworzyć przyforteczne miasto albo służebne podgrodzie. Zbudowane z szarej cegły Shergardów domy nie oparły się upływowi czasu tak jak wzniesione z kamieni zamczysko. Lecz ułożona z wielkich

płyt droga wciąż jeszcze była widoczna. Zniszczony trakt wiódł prosto do bramy warowni.

Było cicho, zupełnie cicho. Lecz w tej ciszy obalone baszty i popękane mury zdawały się jęczeć bezgłośnie. Pokonane – były tym straszniejsze, że martwe. Rozkładający się trup olbrzymiej budowli, wstrętny i przerażający. Karenira nie wiedziała, jak wielkich zniszczeń dokonał tutaj gniew Brula, lecz zdawało się jej, że cisza rozwalonej warowni nie do końca jest ciszą, a martwota – martwotą. Czuła, że to nie tylko minione wieki odcisnęły swe piętno na kamiennych ścianach.

Spadły skądś resztki pokruszonej zaprawy, a za nimi jakieś odłamki kamieni. Zamek wciąż jeszcze konał. Przestraszona dziewczyna znieruchomiała, a potem szybko sięgnęła po swój łuk, wyjęła strzałę i nałożyła ją na cięciwę. Nasłuchiwała, a potem, omijając bramę, wolno ruszyła ku wielkiej wyrwie w murze. Oto był dziedziniec...

Serce zabiło jej mocniej.

Cisza. Zupełna cisza.

Ściany rzucały cień; w głębokim mroku łuczniczka nie widziała prawie nic. Pomagał instynkt, wyrobiony w ciągu lat. Obeszła dziedziniec wzdłuż murów, potem zapuściła się w samo serce ruin, wybierając, podobnie jak poprzednio, sporą dziurę w ścianie. Mrok zgęstniał jeszcze bardziej; schowała łuk i wyjęła miecz, bo z tą bronią w rękę łatwiej mogła wybierać drogę po omacku. Potknęła się raz i drugi, omijając jakieś wielkie przyzmy gruzu. Potem zrobiło się trochę jaśniej, bo zawalony strop wpuszczał światło księżycy i gwiazd. Zaczęła forsować schody, ale cofnęła się, gdy wyszło na jaw, że są zerwane w połowie. Zawróciła.

Brodząc w najgłębszym mroku, to znów przemierzając plamy księżycowego światła, mijając komnatę za komnatą, korytarz za korytarzem. Wreszcie zaczęło jej się zdawać, że jest zupełnie niemożliwe, by mędrzec Szerni zamieszkiwał tak zniszczoną budowlę. Nie znalazła żadnego, choćby jako tako zadbanego miejsca... Człowiek nie mógł mieszkać w kupie gruzów. Rozgniewało ją odkrycie, że zapewne przybyła na próżno, lecz zarazem poczuła ulgę, do której wstydziała się przyznać przed sobą.

– Brul! – zawołała z wojowniczą odwagą.

Przystanęła.

– Brul! Pokaż mi się! Jesteś Przyjętym, czyżbyś bał się armektańskiej łuczniczki?!

Żadnej odpowiedzi. Ruszyła przed siebie, co jakiś czas ponawiając wyzwanie. Przeskoczyła przewróconą, pękniętą kolumnę... lecz za tą kolumną nie było kamiennej posadzki. Uderzyła o coś ciałem, spadając, głos uwiązł jej w gardle, potem było jeszcze jedno uderzenie – i być może usłyszała brzęk swojego miecza, który wypadł z ręki i zsunął się

gdzieś po kamieniach.

o o o

Miała rozbitą głowę i skręconą nogę. Cała była mocno potłuczona, lecz kostka spuchła i chodzenie sprawiało trudność, już nie mówiąc o bólu. Ocknąwszy się, dość szybko doszła do siebie, lecz mogła tylko nieporadnie kuśtykać, biegi i skoki przestały wchodzić w rachubę. Oto więc był koniec żalostnej awantury, nieprzemyślanej wyprawy, na którą się udała, powodowana żalem, gniewem i poczuciem, iż traci swojego mężczyznę.

Jeszcze jedna blizna na głowie.

Był już dzień; światło wprawdzie traciło moc i szarzało, przenikając do wnętrza ruin, niemniej widziała wszystko wyraźnie. Nocne przecucie nie zawiodło jej: to była tylko kupa gruzów; na pewno nikt tu nie mieszkał.

Powoli i mozolnie wybierając drogę, unikając wszelkich przeszkód, wydostała się na dziedziniec, a potem za obręb murów. Wspierając się na łuku, mocno utykając, okrążała gigantyczne rumowisko. Po jakimś czasie, zmęczona, przysiadła na pryzmie kamieni. Tępo wpatrywała się w swój stary, wierny łuk, który teraz zastępował laskę. Zaśmiała się gorzko i nagle poczuła, jak wilgotnieją jej oczy.

Żalostna. Była żalostna w podartym i wymiętym odzieniu, z rozbitym nosem i czołem. Przeciwniczka dla człowieka przyjętego przez Szerń... Zdjęty z opuchniętej nogi but wystawał z łubia; poruszyła palcami brudnej stopy. Tam... gdzieś tam spał po miłosnej nocy mężczyzna, który dla swojej kobiety poszedł do Obszaru. Znajdzie ją, oczywiście, że ją znajdzie... Nie miała na imię Karenira. Nie była kimś, dla kogo życie zawsze i zawsze ma tylko pustą sakiewkę; kto musi oglądać tylko grombelardzkie niebo, biegać po największej kupie skał na świecie i patrzeć, jak mija młodość. Uroda.

Uniosła rękę do oczu, przyglądając się stwardniałym od cięciwy palcom, zniszczonym paznokciom... Na pierś przerzucony był warkocz, nieprzeplatany od tygodnia, zakurzony i brudny, że aż przykro popatrzeć.

– No – powiedziała z goryczą i gniewem – ten drugi też cię nie chciał, bardzo łatwo zrezygnował. Dość, że sławetny kocur powiedział jedno słowo. Ale czego chcesz? Wyglądasz jak jeden z jego zbójów, a może nawet gorzej. Umiesz tylko zabijać sępy. Mężczyzna? Nie będziesz miała mężczyzny.

Gorycz i gniew narastały.

– Ale to przecież nie jest wcale dziwne – rzekła, wstając i ruszając dalej. – Nikt nie chce głupiej. Po co tu przybiegłaś? Uniesiona honorem, ach tak...

Stara forteca Shergardów nie była domem Przyjętego – uwierzywszy w to, Armektanka nie od razu zrozumiała, co widzi. Nie oczekiwała już... niczego podobnego. Nieruchome, pokryte kurzem ciało miało tę samą barwę co ziemia, równie zakurzona. Nieomal nastąpiwszy na leżącą, Łowczyni cofnęła się z okrzykiem zaskoczenia. Skręcona noga nie wytrzymała trudnej próby i po raz drugi tego dnia Królowa Gór potłukła się, upadając na nierówne kamienie, a potem bezsilnie zsunęła do zagłębienia, które chyba kiedyś było fosą. Obtarta skóra na dłoniach zaczęła piec; przygryzając usta i walcząc z chęcią wybuchnięcia łzami, Karenira nie czuła nic więcej poza wzbierającym żalem, gniewem i rozgoryczeniem. Nie dotarło do niej w ogóle, że skoro znalazła dziewczynę, to może znaleźć także tego, kto ją porwał. Gramoląc się po pochyłości, obolała, dotarła w końcu do podnóża muru.

Widok ciała martwej kobiety po raz drugi uderzył ją z całą siłą. Pojęła wreszcie, co, a raczej kogo widzi. Podpełznawszy do leżącej, niezdarnie przetoczyła ją na plecy, uważnie, nieomal zachłannie badając spojrzeniem szare od kurzu włosy, brudną koszulę, gołe nogi i bose stopy... Zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, co oznacza śmierć tej kobiety.

– Ach, to ty... – powiedziała ochryple i cicho. – A więc to jesteś... to byłeś ty. Taka, tak wyglądasz. Ilara.

Wydawało jej się naraz, że słyszy ciche westchnienie, raczej jęk. Zastygła w bezruchu i przełknęła ślinę. Ostrożnie i powoli wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć ust leżącej... lecz cofnęła się, przerażona myślą, że być może poczuje oddech.

Ilara westchnęła po raz drugi i słabo poruszyła głową. Łuczniczka spazmatycznie chwyciła haust powietrza.

– Za... zaczekaj... – powiedziała. – Ja...

Pociemniało jej w oczach. Złapała nieprzytomną pod pachami i chciała gdzieś ciągnąć, wlec. Lecz było to ponad jej siły, skręcona noga przypomniawszy o sobie dotkliwym bólem. Łowczyni bezsilnie szarpnęła koszulę leżącej, chwyciła raz jeszcze i oparła się przedramieniem na szyi tamtej. Znieruchomiła. Chciała cofnąć przedramię... lecz było jak skamieniałe.

– Czekaj... – powiedziała obcym głosem. – Ja zaraz... już teraz...

Oddychając ciężko i dygocząc, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Chciała unieść przedramię, gniotące gardło tamtej – zamiast tego opierała się całym ciężarem. Przecież nie miała siły, żeby wstać. Dysząc, mówiła sobie w myślach: „Teraz... teraz...” – i za każdym „teraz” było jakieś następne.

Przygniatała tamtą do ziemi.

ROZDZIAŁ 20



Baylay obudził się, tknięty dziwnym przeczuciem, i natychmiast usiadł na ziemi. Przez chwilę patrzył wprost przed siebie, półprzytomny, potem rozejrzał się dokoła.

– Karo?

Cisza.

– Karenira!

Nie było jej. Matowy świt powoli rozjaśniał połacie Złego Kraju; musiały ją zobaczyć, gdyby była w pobliżu.

Zrozumiał nagle, że stało się coś niezwykłego, coś strasznego. Gdzie jest, dokąd poszła? Na wszystkie Pasma... przecież to Obszar. Zły Kraj!

– Kareniro! – zawołał tak głośno, jak tylko mógł. – Karenira! Kara!

Bał się. O nią, nie o siebie. Chociaż o siebie też. Po raz pierwszy poczuł, jak strasznie samotny i bezradny czuje się człowiek w Złym Kraju, gdy nie ma przy nim żadnej bratniej istoty.

Tylko mogiła. Mogiła przyjaciela, którego śmierci prawie nie zauważył.

Zerwał się z ziemi i chwycił miecz. Bezimienny Obszar, choćby nawet tak cichy i spokojny, stale był przesiąknięty chłodem strachu. Tego strachu, który najchętniej atakuje samotnych.

Lecz znajomy dotyk rękojeści miecza uspokajał. Wyciągnąwszy broń z pochwy, Baylay oparł się na niej jak na lasce. Gold – kiedyś – mówił mu, że nigdy nie należy tego robić. Wbicie miecza w ziemię było armektańskim znakiem oddania się do niewoli, w Grombelardzie zaś uważano, że niepotrzebne ranienie gór może spowodzić nieszczęście.

Lecz tu nie był Armekt, ani nawet Grombelard.

Baylay spojrział na południowy wschód, tam gdzie wieczorem widzieli błyskawice i słyszeli grzmoty. To stamtąd nadciągnął wał kurzawy, z niebywałą prędkością przetaczając się przez równinę – pół mili bliżej, a byłby ich porwał. W tamtą stronę, do pasma wzniesień, skierował się Dorlan. Niebezpieczeństwo, które porwało Karenirę, przyszło stamtąd, na pewno stamtąd.

Zapominając o worku z prowiantem, zapominając w ogóle o wszystkim, Dartńczyk ruszył przed siebie. Pobiegł. Potem, gdy

wschodzące słońce wystawiło brzeg tarczy zza odległej diuny, jeszcze przyspieszył, jakby dojrzał znak naglący do pośpiechu.

Biegł i biegł.

Gdy osiągnął grzbiet wzniesień, natychmiast dojrzał w dali czarną plamę, kojarzącą się ze skalnym rumowiskiem, a może ruinami olbrzymiej budowli. Dalej, w tle owej plamy, rozpościerało się morze.

Odpoczywał przez chwilę, wsparty na swoim mieczu. Uspokoiwszy oddech, jeszcze raz otarł pot z czoła i znów pobiegł. Wkrótce zobaczył, że to, ku czemu zmierza, to istotnie szczątki jakiejś twierdzy. Potężnej – niegdyś. Ze wszystkich wieżyc, obojętne, jak wysokich przed wiekami, pozostała tylko jedna: przetrącony kikut, groźnie wymierzony w błękitne niebo.

Przystanął i znów odpoczywał. Lecz naraz wydało mu się, że usłyszał przeraźliwy kobiecy krzyk, dobiegający od strony ruin. Nie, to nie było złudzenie! Mocniej chwycił miecz i cisnąwszy precz pochwę, pognął z wiatrem w zawody.

Krzyczała kobieta, już nie miał wątpliwości. Przeraźliwe wołanie rozbrzmiało ponownie, lecz tym razem splotły się z nim inne głosy, których złowieszcze brzmienie przeszło Baylaya dreszczem.

Nie wydały tych głosów ludzkie gardła.

– Kaaraa!

o o o

Dysząc ze zmęczenia i bólu, mokra od potu, z jękiem cisnęła na stos ostatni odłam muru i upadła nań całym ciężarem. Oddychała chrapliwie, chwytając powietrze w szeroko otwarte usta. Z przerażenia, wstrętu do siebie i zmęczenia chciało jej się rzygać. Czula wodnistą, rzadką ślinę, nieustannie napływającą do ust. Zakrztusiła się raz i drugi, lecz w żołądku niczego już nie było.

Była przerażona, śmiertelnie przerażona i wstrząśnięta tym, co zrobiła. Zabijała już ludzi. Ale nigdy... nie mordowała.

Wtedy gdy nareszcie oderwała się od Ilary, tamta już nie żyła. Udużona kobieta, zupełnie bezbronna... skulona na ziemi... Ujrawszy, co zrobiła, Łowczyni posikała się, zakrywając dłonią usta, bo żołądek skoczył jej do gardła. Potem chciała uciekać, ale nogi odmówiły posłuszeństwa; na kolanach, podpierając się jedną ręką, bo drugą wciąż zaciskała usta, odpełzła na bok i zwymiotowała. Płacząc, szeptała jakieś słowa bez sensu, bo TO już się stało, jedna z tych straszliwych, nieodwracalnych rzeczy. Nic nie mogło pomóc, nie było odwrotu.

– Ja cię przepraszam, Ilaro! – mówiła z płaczem. – Ja nie chciałam... naprawdę nie chciałam... Ja nie wiem, jak to się stało...

Usprawiedliwienia morderczyni.

Długo trwało, nim zebrała dość sił, by wrócić do martwej dziewczyny.

Lecz ujrawszy ją, omal nie zemdląa. Znów walcząc z mdłościami, zawlokła drobne ciało między gruzy i z sercem w gardle zaczęła pokrywać je odłamkami muru. Trwało to i trwało, a każdy kolejny kamień dołożony do upiornej mogiły przypominał o strasznej prawdzie. O tym, kim była, kim się stała.

Uduśiła bezbronną kobietę.

Rywalkę.

Gwałtownie chwyciła powietrze.

Uduśiła rywalkę. Dziewczynę, której nawet nie znała. A teraz leżała na jej grobie i dochodziła do siebie.

Wstała wreszcie i zagryzła usta, z trudem opierając ciało na skreconej nodze. Z pochyloną głową, nieporadnie ruszyła przed siebie – i zamarła, zalana nową falą strachu.

Stały przed nią dwa ogromne psy. Dzwoniły pozrywane łańcuchy, a w głębi gardzieli narastało złowroge warczenie.

o o o

Widział je z daleka, ale i nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko krzyczeć i biec. Dobiegł w końcu, półprzytomny z przerażenia i zmęczenia. Wszystkie siły, jakie mu zostały, włożył w dwa cięcia miecza; ostrze odrąbało wielką łapę, a potem zgrzytnęło na kręgosłupie. Drugie potworne zwierzę rzuciło się do ataku, ale zdołał nastawić sztych i pies nabił się nań całym ciężarem; ostrze wyszło karkiem. Zmagając się z bestią, która jeszcze w agonii próbowała dosięgnąć jego gardła, przywalony cielskiem przekraczającym wagę dorosłego człowieka, resztką sił wywalczył sobie życie. Zgnieciona kłami ręka krwawiła, lecz nie czuł bólu, spychając ogromne ścierwo na bok. Rzucił się ku płytkiej dziurze w kupie gruzów, skąd wystawała okropnie pogryziona noga w podartym na strzępy bucie. Krzyczał jak obłąkany, wyciągając dziewczynę ze schronienia, które jak sądził, było jej ostatnim. Nie wiedział, jak trzymać pokaleczone ramiona i nogi, jak zatamować krew płynącą z poszarpanego boku. Zapłakał bezsilnie.

– Na Szerń, Karo... Kareńko...

Trzymał bezwładną głowę na kolanach, jak ślepiec dotykał palcami rozbitej głowy i zadraśniętego policzka. Urwany, zduszony jęk i rżenie były najpiękniejszymi dźwiękami, jakie usłyszał w życiu.

– Zaczekaj! – wybełkotał. – Na Szerń, czekaj... Czekaj! Słyszysz?! Już jestem... już... Zaczekaj.

Nie przestając zaklinać, by czekała, dygoczącymi dłońmi zrywał zbroję, potem darł na nierówne pasy koszulę, spódnice, wszystko... Prosił, błagał, przemawiał, obiecywał, że już – i opatrywał jej rany, tak szybko i delikatnie, jakby przez całe życie nie robił niczego innego. Skończył wreszcie i próbował ocucić nieprzytomną, ale bez powodzenia.

Potrzebował wody.

Nie miał nawet kropli. Bukłak, prowiant, wszystko zostało w Martwej Plamie, razem z resztą bagaży.

Wypatrzył inną szczelinę, znacznie głębszą niż ta, w której przerażona kobieta szukała ratunku, bo zabrakło jej czasu, by znaleźć bezpieczne schronienie. Zaniósł tam nieprzytomną i zasłonił wejście dużymi odłamkami, bo nie wiedział, czy w pobliżu nie ma więcej psów. Potem porwał resztki swego przyodziewku i pobiegł szukać studni. W warowni musiała być studnia. Jeśli w tej twierdzy ktokolwiek bywał, choćby Brul-Przyjęty, na pewno nie obywał się bez wody.

Po pewnym czasie wrócił biegiem z kłębem mokrych szmat w rękach i wycisnął trochę brudnej cieczy do jej ust, a potem wilgotnymi strzępami zaczął obmywać krew z twarzy. Wepchnął szmaty za pas, wziął kobietę na ręce i poniósł.

Ku studni.

EPILOG



Ocknęła się w miejscu, które przywodziło na myśl sypialnię szalonego zbieracza rupieci. Sypialnię opuszczoną w największym pośpiechu: z licznych skrzyń zabrano chyba tylko niektóre rzeczy, inne porzucając. Skrzywiona z bólu, który czuła w każdym kawałku ciała, ostrożnie kręciła głowę, rozglądając się po komnatce. Leżała na jakimś szerokim pościu, okryta pyszną wzorzystą tkaniną. Wszędzie wokół było widać skrzynie... jakieś półki... Przy oknie stał stół i fotel.

Przez to okno wpadało światło dzienne. Posłyszała krzyki mew, była więc nad morzem...

Była w twierdzy Brula-Przyjętego.

Wszystkie wspomnienia wybuchły w jednej chwili. Z jękiem zamknęła oczy, chwytając się za głowę. Zachciało jej się płakać; to umiała najlepiej. Usłyszała skrzypnięcie drzwi i poderwała się, przerażona.

– Co robisz! Nie ruszaj się, leż!

Ani głos, ani twarz, którą ujrzała, nie należały do obcego mędrca Szerni. Z westchnieniem wyciągnęła ramiona, lecz nagle cofnęła się i skuliła.

– Nie – powiedziała głucho. – Nie dotykaj mnie... Nie dotykaj.

– Ależ dotknę – powiedział stanowczo. – Dotknę tak samo, jak dotykałem przez tyle długich dni. W zamian żądam tylko jednego: masz leżeć i się nie męczyć. Rany są bardzo głębokie, a co gorsza, poszarpane. Pozszywałem je, ale mogą się otworzyć. Nie chcesz chyba, żeby zostały szpetne blizny?

Patrzyła lękliwie, pokorna i nieszczęśliwa.

– Te wszystkie smarowidła czynią cuda – dodał po chwili z nieco dwuznacznym uśmiechem, pokazując niewielkie gliniane dzbanki. – Użyłem tego nie bez oporów, ale... na szczęście użyłem. Wkrótce będziesz zdrowa.

Przełknęła ślinę i znów zamknęła oczy.

On o niczym nie wiedział.

– Te smarowidła i maści! – znowu rzekł z podziwem i zapalem. –

Widzisz? – Pokazał przedramię. – Po moich pogryzieniach prawie nie ma śladu. Pięć dni!

– Byłam nieprzytomna... pięć dni?

– Właściwie nie wiem. Kilka razy myślałem, że się obudziłaś, ale miałaś taką gorączkę... Raz myślałem, że mnie rozumiesz, ale... Mówiłem ci, że wszystko będzie dobrze, i zdawało mi się, że rozumiesz. Nic nie pamiętasz?

– Nie. Gdzie jesteśmy? – zapytała cicho. – Uratowałeś mnie przed... psami?

– Zdażyłem. Co ci strzeliło do głowy, żeby... Nie, nie opowiadaj – rzekł ze skruchą. – Będzie na to czas później. Odpoczywaj. Wyzdrowiej szybko, tylko to jest ważne.

Poczuła, że wziął jej dłoń w swoje ręce, i choć broniła się słabo, podniósł do ust.

– Bardzo cię kocham – powiedział poważnie i z głębokim spokojem. – I nie mam nikogo oprócz ciebie.

Poczuła ściskanie w gardle.

– Ja też cię... też cię kocham – powiedziała ze łzami; nigdy dotąd nikomu tego nie mówiła. – Ale...

Urwała. Nie potrafiła przyznać się do tego, co zrobiła. Lecz on jednak wiedział, na pewno wiedział.

„Nie mam nikogo oprócz ciebie”...

– Odpoczywaj – rzekł. – Jesteśmy w starej fortecy nad brzegiem morza. To był kiedyś dom Brula-Przyjętego, znajdujemy się w jego komnacie – dorzucił z głęboką zadumą.

– Nie znalazłam go tutaj.

– Wiem. Był tu i rozmówił się ze mną.

Nie mogła uwierzyć.

– Rozmawiałeś... z Brulem?

Pociemniało jej nagle przed oczami. Była jeszcze zbyt słaba, jak na takie wzruszenia.

– Ilara nie żyje – usłyszała i zastygła w bolesnym oczekiwaniu. – Wiem o tym od niego.

Usłyszała własny głos:

– Wierzysz mu? Co ci powiedział?...

– Nie dzisiaj, Kareniro. Odpoczywaj.

– Powiedz mi. Co ci powiedział?

Baylay odetchnął głęboko.

– Przyszedł tu zupełnie otwarcie. Gotów byłem rzucić się z mieczem, ale powstrzymał mnie... powstrzymał mnie jednym ruchem. Nie mogłem walczyć, chociaż chciałem. Powiedział... – Baylay znów zaczerpnął tchu. – Powiedział: „Nie dam się zabić, panie, a ty także nie szukaj śmierci, bo widzę, że masz dla kogo żyć. Zawiniłem, odbierając ci żonę, lecz jej

przeznaczeniem była wielkość. Teraz wszystko nieważne”. Tak powiedział, a ja zapytałem, co się z nią stało. Z Ilarą.

– I wtedy... – poddała samymi wargami, bezgłośnie.

– Najpierw niczego się nie dowiedziałem. Bałem się... – Baylay przełknął ślinę – że zrobi ci krzywdę, bo nie mogłem temu zapobiec, nie mogłem w ogóle nic zrobić, a on najpierw długo patrzył na ciebie, a potem obejrzał pogryzienia. Odszukał maści, te tutaj, i kazał mi ich używać. Dał nić, igły i polecił pozszywać rany. Wtedy jeszcze raz zapytałem o Ilarę. Powiedział... powiedział, że zabił ją pies, królewska suka ze sfory, zazdrosna o względy pana. Lecz, powiedział, ponieważ to tylko pies, winić trzeba człowieka, któremu brakło rozumu i nie upilnował kochających go stworzeń.

Leżąca na łóżku kobieta pobladła i uniosła ręce do czoła.

– Potem zabrał kilka swoich ksiąg i... poszedł. Minęły cztery dni, ale ciągle zdaje mi się, jakby to było przed chwilą. Pamiętam każdy gest i każde jego słowo – rzekł, ze zmarszczonym czołem spoglądając w okno.

Zwrócił wzrok ku dziewczynie.

– Jak się... Głupiec ze mnie! – powiedział przestraszony, schylając się nad posłaniem. – Niepotrzebnie mówiłem...

– Potrzebnie – wyszeptała. – Brul...

Przygryzła usta i po chwili powiedziała:

– Nie, już nic.

Potem się rozplakała, bo to właśnie umiała najlepiej.



Królowa Grombelardu

ROZDZIAŁ 1



Wraciała.

Sępia Przełęcz. O, na wszystkie deszcze! Pogromca, parszywy zajazd, stojący od lat przy trakcie wiodącym z Armektu i Dartanu do serca Grombelardu, był nieśmiertelny i wieczny jak same góry, jak sam Grombelard chyba.

Sępia Przełęcz. Nigdy nie widziano tu skrzydłaka. Nawet jednego. Nawet całkiem małego skrzydłaczka.

Wszystko jedno. Tak czy inaczej, właśnie od tego miejsca, od Sępiej Przełęczy w Górach Wąskich, zaczął się prawdziwy Grombelard.

Tkwiała w siodle pośrodku obszernego podwórcza, otoczonego palisadą. Wzdłuż częstokołu stały wozy kupieckie. Sporo. Duża karawana. Może dwie?

Otworzyła usta – i zamknęła je zaraz, bo nagle zdała sobie sprawę, gdzie jest. Grombelard. Grombelard, na wszystkie chmury świata! To nie Dartan.

– Ty czekasz, żeby jakiś pacholek przybiegł po twojego konia? – zapytała się głośno, ze zdumieniem. – O pani... – mówiła sobie dalej – możesz czekać do wieczora. Nikt nie przyjdzie.

W Dartanie, gdzie podróże ważnych osób zawsze należały do rzadkości, można było znaleźć kiepskie drogi i najgorsze zajazdy Szereru. Lecz zapewne właśnie dlatego, gdy już na podwórzec zajechał człowiek świetnego rodu – czy ktokolwiek zgoła, byle z wypchaną sakiewką – witała go cała służba, na której czele pospieszał sam gospodarz.

Zeskoczyła z siodła i poprowadziła zwierzę do stajni. Rozkulbaczyła, nałożyła siana do czegoś, co miało być żłobem czy korytem, a przywodziło na myśl trumnę, po czym postąpiła jeszcze chwilę, medytując.

Na co jej koń? Może lepiej sprzeda go już tutaj? Karczmarz weźmie. Pewnie, że da grosze, ale weźmie. Chciała wprowadzić jechać aż do Grombu, ale teraz pomyślała, że właściwie trakt już ją znudził. Zwłaszcza taki trakt. Ten trakt. To może od razu iść w góry? A z tą

dartańską chabetą... to chyba lepiej na psie.

„Dartańska chabeta” była pełnokrwistym dereszowatym ogierem ze Złotych Wzgórz. Kosztowała trzy razy tyle co niewolnik. Ale taki koński magnat dobry był do parad po ulicach Rollayny. W górach wolałaby chyba bydlę pociągowe, grubokościste, solidne i nierozpieszczone.

– Nie – znów rzekła na głos. – Miałś jechać do Grombu! I do Grombu pojedziesz. A może do samego Rahgaru? Byłaś kiedyś w Rahgarze? Nie byłaś. To pojedziesz. Obejrzyć „morderców”.

W Rahgarze istniał jedyny w całym imperium oddział gwardii złożony wyłącznie z kotów. „Mordercy z Rahgaru”. Na wdzięczne miano zapracowali.

Zdała sobie sprawę, że wrócił jej nawyk rozmów z sobą... Kiedyś, gdy samotnie wędrowała po górach, czasami całymi tygodniami nie widząc żywej duszy, mówiła do siebie stale. Ale potem, w Dartanie...

Splunęła powolutku na samo wspomnienie. Wizyty i uczyty, i przyjęcia, i goście... „Wasza wysokość, księżę, pozycja twojego Domu... Zechciej, pani. Przyjmij wyrazy, polecam się waszej...” Ceremoniały i formy. Jedyne, czego jej brakowało w Rollaynie, to chwili milczenia, samotności. Na pewno nie rozmów.

No, ale była w Grombelardzie.

Zarzuciła na ramię sakwy podrózne, a na drugie sajdak. Stary, dobry łuk. Raczej duży, oparty o ziemię, sięgał jej do podbródka. Słyszała, że Garyjczycy mieli kiedyś, jeszcze przed wojną z imperium, łuki wzrostu człowieka i większe. Ciekawe, czy też cisowe? Jesionowe, orzechowe? Z wiązu? Musiały mieć wielką siłę. Ale tu, w górach, w wiecznym deszczu, nie na wiele by się przydała taka... katapulta. Łazić z tym po skałach? A jak toto zabezpieczyć przed wilgocią? Już ze swoim łukiem miała kłopoty, łubie było grube i ciężkie jak deska, z potrójnej warstwy skór, byle tylko wilgoć nie przenikała do środka. I kryło całą cięciwę, zamiast sięgać do połowy łączyśka, jak zwykle.

Pogromca był szczególnym zajazdem. Jedynym chyba w całym Grombelardzie, jaki uchował się poza miejskimi murami. Były kiedyś inne gospody, ale spalili je rozbójnicy. Pogromca trwał niezłomnie. Niedaleko był Riks. Komendanci Legii Grombelardzkiej w Riksie bardzo dbali o tę ruderę u bram prowincji. Patrol wojska niemal każdego dnia gościł na Sępiej Przełęczy. A i karczmarz trzymał paru chłopów wiedzących, co to kusza. Mógł sobie na to pozwolić; jeśli zbutwiała buda wyglądała tak, jak wyglądała, to na pewno nie dlatego, że właściciel cierpiał na brak gości i był biedny. O, na Szerń, nie było chyba podróznego, który nie zabawiłby tutaj, jadąc w Ciężkie Góry albo z nich wracając! A już kupcy ze swoimi wozami? Ostatni zajazd na drodze do Riksu, Badoru, Grombu i Rahgaru. Czasem posiedzieli i trzy dni. A ci jadący do Armektu i Dartanu naprawiali tu rozklekotane na górskim

trakcie wozy, podkuwali na nowo muły i konie. Obrotny karczmarzyna miał i kuźnię, a jakże... I kramik ze wszystkim, co w podróży potrzebne. Obszerna palisada chroniła prawdziwy maleński gród, skupiający wcale wielu mieszkańców.

Ciekawe, czy mieli tu jaką dziwkę? Córka oberżysty, ani chybi.

Pewnie, że mieli dziwki. Gdzie nie mieli?

W wielkiej izbie na parterze nie było szynkwasu jak w oberżach armektańskich czy nawet niektórych dartańskich. Były drzwi do izby obok, zasłonięte wyleniałym, psim pewnie futrem. Podchodziło się do tych drzwi i waliło pięścią w ścianę. Wtedy głos zza śmierdzącej skóry pytał: „Czego?!”.

Dobrze to znała.

Izba była zatłoczona jak rzadko. Siedziało czterech żołnierzy (nieco zbójowatych), paru kupców, parunastu kupieckich pachółków, jeszcze kilku podróżnych... Z trudem wyszukała wolne miejsce. Obok draba, śmierdzącego jak świnia, śpiącego z ramionami i głową na blacie. Wokół tego samego stołu siedzieli żołnierze – podchmieleni, nie ma co ukrywać. Rzadkość. O legionistach trochę złego dało się powiedzieć, ale w picciu zwykle umieli zachować umiar. Z prostej przyczyny: za pijaństwo na służbie groziła nawet chłosta. Do wojska nikogo nie ciągnięto na siłę, chętnych było dość. Ale jak już ktoś przyszedł, to musiał zapamiętać sobie, co cesarskiemu żołnierzowi wolno, a o czym nawet myśleć nie powinien.

Położyła sakwy na ławie i zastanawiała się, czy zostawić też łuk, bo chciała zawołać oberżystę, by dał jej coś do jedzenia. Myślała krótko. W końcu obecność żołnierzy, nawet podpitych, gwarantowała chyba nietykalność jej rzeczy.

Ruszyła przez gwarną izbę, ale karczmarz oszczędził jej fatygi. Oto bowiem pojawił się, dźwigając z niezwykłą zręcznością cztery cynowe półmiski wypełnione mięsiwem, a pod pachą jeszcze niemały gąsiorek. Postawił to wszystko na jednym ze stołów, niedaleko od niej.

Podeszła.

– Tam siedzę. – Wskazała palcem.

Uniósł głowę i skinął, widząc nową twarz. Wróciła na swoje miejsce. Jeszcze idąc, ze zdumieniem spostrzegła, że jeden z żołnierzy trzyma jej sajdak, mówiąc coś do pozostałych.

Usiadła bez słowa i patrzyła wyczekująco.

– Łuk? – zagadnął legionista.

Cała czwórka patrzyła z ciekawością.

– Topornicy? – zapytała tak samo, wskazując mocne napierśniki, widoczne spod zielonych tunik.

Legia grombelardzka składała się z żołnierzy dwóch formacji: kuszników i tarczowników-toporników. Topornicy, oczywiście tylko

przy samych mieczach, bez tarcz i toporów, używani byli raczej do służby miejskiej. Góry oraz trakt patrolowali zazwyczaj kusznicy.

Żołnierz zarechotał, nie wiedzieć czemu. Rozbawiła też najwyraźniej jego towarzyszy.

– Z daleka, ślicznotko? – zagadnięto znowu.

Spojrzała pytającemu prosto w twarz. Wiedziała, jak niesamowity jest jej wzrok... Legionista jednak był zbyt mocno podpity, by dostrzec coś więcej niż wyzywające spojrzenie.

– Nie lubisz cesarskich żołnierzy, co, ślicznotko?

– Żołnierze mnie nie lubią – odrzekła spokojnie.

Najwyższy, ale i najchudszy z całej czwórki przesuwiał się po ławie w jej stronę, mrugając i łypiąc do kolegów.

– Napij się z nami, ślicznotko – zachęcił znów ten najbardziej rozmowny.

Odmownie odsunęła podetknięty kubek.

Chudy wyciągnął rękę i ujął jeden z jej warkoczy, jakby dziwiąc się jego grubości.

– Czaarnulka... – powiedział, jękając się nieco. – Pewnie zdrożona?

Zamiast oberżysty pojawił się dziesięcioletni chłopak.

– Czego? – rzekł do niej uprzejmie, ze śmiertelną powagą.

Miniaturka tatusia, nic dodać.

– Piwa – rzekła krótko, bo pomyślała nagle, że zjeść to tu chyba nie zdoła.

– Obrok dla konia był?

– Był.

– Miejsce w izbie?

– Nie.

Żołnierze znów zarechotali. Chudy wciąż miętosił jej warkocz, ale teraz opuścił łapę, dotykając piersi, ukrytych pod łosiowym kaftanem i koszulą. Nie reagowała, pozwalając obmacywać się bezkarnie.

– Maalutkie – jęknął żałośnie chudzielec ku uciesze kompanów.

Gadatliwy sięgnął z drugiej strony, poprzez śpiącego na stole draba.

– Maalutkie – powtórzył za jękałą, wywołując nowe rechoty.

Siedzący przy stołach goście coraz częściej spoglądali w stronę, gdzie coś najwyraźniej się działo. Zauważyła zdziwienie kupców. Taki patrol widzieli, zdaje się, po raz pierwszy.

Ona też.

Teraz już macano ją po brzuchu. Zastanawiała się, czy kościste łapsko dotrze pod spódnicę, zanim chłopak przyniesie piwo.

Piwo było szybsze.

Uniosła gliniany, mieszczący dobrą półkwartę dzbanek i wypła duszkiem. Naprawdę była spragniona.

Żołnierz odgarnął fałdy jej krótkiej, męskiej spódniczki i sięgnął pod

nią, dotykając włosów łonowych.

Rozwalila mu garniec na głowie.

Natychmiast potem chwycila rozbity leb i trzasnęła nim o blat stołu, miażdżąc nos pośród skorup dzbanka, w kałuży gorzałki wylanej z przewróconego kubka. Siedzący naprzeciwko topornicy zerwali się z miejsc, ale zaraz polecili do tyłu, przywaleni stołem, który poderwała do góry, jakby ważył tyle co zydel. Gaduła, siedzący na tej ławie co ona, wyszarpnął miecz. Nie czekała. Pochwycila sajdak, przeskoczyła przez stół i leżących na podłodze żołnierzy. Sakwy zostały – trudno! Roztrącając ludzi, dopadła drzwi; zaraz potem była na majdanie.

W izbie żołnierze pozbiali się dość szybko, poza chudzielcem, ryczącym z bólu poprzez krew, rozmazywaną na twarzy. Trunek, zdawało się, po części wywietrzył im z głów; z mieczami w dłoniach rzucili się w ślad za czarnowłosą. Gdy tylko wybiegli z izby, goście stłoczyli się przy maleńkich okienkach i w otwartych drzwiach; śmielsi wyszli nawet na zewnątrz.

Kobieta w łosiowym kaftanie stała pod samą palisadą, przy kupieckim wozie, niedaleko stajni. Łatwo było zgadnąć, że zabrakło jej czasu na okulbaczenie wierzchowca. Lewą ręką trzymała łuk za łączysko, przytrzymując między palcami nałożony na cięciwę pocisk. Prawą zatykała strzały w ziemię przed sobą.

– Hej! – ryknął jeden z żołnierzy, ruszając naprzód.

Pozostali postąpili za nim. Kobieta uniosła łuk, przyciągnęła cięciwę do ucha i zwolniła ją jakby mimochodem. Rozległ się wyraźny stuk... żołnierz cofnął się, lecz zaraz zarechotał, pokazując strzałę, która przebiła wprawdzie mundurową tunikę, ale ześlizgnęła się po krzywiźnie napierśnika. Miał ją teraz pod pachą.

– Ech, kirys! – zawołała ze złością łuczniczka.

Głos miała lekko zachrypnięty; nie było słychać w nim strachu.

Żołnierze z nastawionymi mieczami ruszyli naprzód, zachodząc ją z przodu i z boków. Zrobili może trzy kroki.

– Gaduło, koniec patrolu – powiedziała.

Strzała przebiła szyję na wylot. Następna, równie niechybna, powaliła drugiego legionistę. Czarnowłosa parsknęła śmiechem, widząc rejteradę ostatniego przeciwnika. Znow miała napięty łuk.

Była w Grombelardzie.

Wróciła.

Ciekawscy podróżni szukali schronienia w gospodzie. Legionista chciał uciec razem z innymi, ale w drzwiach utworzył się zator. W futrynie z ostrzegawczym drzeniem utkwiała kolejna strzała.

– Wojsko precz! Za palisadę, bo zabiję!

Legionista pomknął ku bramie. Jeszcze raz napięła łuk i ugodziła „wojsko” w tyłek, rżąc jak kobyła. Potem pochyliła się, wyrwała z ziemi

ostatnią strzałę, oczyściła grot i schowała. Jeszcze raz pochyliła głowę. Napluła wolniutko na ziemię, patrząc spod oka na opustoszały majdan z dwoma świeżymi trupami.

– Ładnie to zrobiłaś – pochwaliła się.



TPU/T 21

Wracła do izby, przydeptując po drodze zwłoki, żeby wyrwać strzały. Każdą wycierała starannie. Wiedziała, że jest pilnie obserwowana, ale bawiło ją to.

Wkrótce stanęła w drzwiach gospody. Wewnątrz panowała cisza.

– Czy ktoś widział kiedyś takich żołnierzy? – zapytała. – Na wszystko, co paskudne w tym kraju, nie jestem jakąś morderczynią... Pytam: widział ktoś czy nie?

Podróżujący przez Sępią Przełęcz ludzie rzadko należą do rodzaju pożądanego w dobrym towarzystwie, cokolwiek by to miało oznaczać... Kupiec czy kupiecki pacholek musiał umieć pilnować towaru. Szła o zakład, że w całym Pogromcy nie było człowieka, który nie potrafiłby użyć kuszy albo przyłożyć pałką. Z podtatusiałym kupcem człapiącym obok wozu do Grombu lepiej było nie zadzierać bez powodu. Mogło się okazać, że tatuńcio jest niezłym rębajłą i naprawdę wie, co robić z mieczem.

– Nie widziałem – rzekł tłusty do nieprzyzwoitości mężczyzna, oglądając się na innych. – Pijanych nie widziałem.

Poparto go powszechnym pomrukiem.

Wszystkie spojrzenia spoczęły teraz na chudzielcu z pokrwawioną twarzą. Tłumiąc jęki, przesuwiał się w stronę drzwi.

Ale ona ciągle w nich stała.

– Pojedziemy do twojego komendanta – oznajmiła mu. – Ciekawe, co powie.

Pokiwała palcem, by podszedł bliżej.

– Kim jesteś? – zapytał jakiś głos z głębi izby.

– Ciekawski. Dartańską magnatką – odrzekła, wzruszając ramionami.

– Ale rodem z Armektu... A.B.D.Karenira. Podoba się takie nazwisko?

Uznano to za dziwaczny żart.

o o o

Była późna wiosna, czyli oczywiście – chmury, wiatr i deszcz. Choć jak dotąd dzień był po prostu piękny; dopiero teraz, pod wieczór, zaczęło mżyć. Poprawiła płaszcz na ramionach i nałożyła kaptur. Obejrzała się na jeńca. Rozśmieszył ją wypięty tyłek. Ręce i nogi kołysały się przy końskich bokach, związane i połączone sznurem, przeciągniętym pod brzuchem zwierzęcia.

– Wygodnie ci? – zapytała troskliwie, powstrzymując wierzchowca.

– Dziiiiwka... – wyjąkał stękliwie.

– Właśnie nie! – rzekła triumfalnie. – Jakby „dziiiiwka”, tobyś trzymał łapę, gdzie trzymałeś, a łeb byłby cały.

Gdy niosące bezwładny ciężar zwierzę przechodziło obok, wyjęła nogę ze strzemienia i z ogromną przyjemnością kopnęła wystawiony zadek.

Czuła się świetnie.

Ruszyła, znów wysuwając się przed konia jucznego. Pomyślała, że warto by pokłusować. Riks był niedaleko, niemniej w takim tempie

mogła dotrzeć tam rano albo jeszcze później.

Nie martwiła się, czy otworzą jej bramę. Otworzą, nawet w środku nocy. Chyba niecodziennie ktoś przywozi topornika legii z siedzeniem godzącym w chmury.

Ale żeby pokłusować, należało zmienić pozycję bagażu. Inaczej pewnie się zsunie.

Walczyła z lenistwem.

– A może niech się zsunie? – rzekła do siebie, ziewając.

Gdzieś z tyłu na gościńcu rozbrzmiał odległy tętent. Zbliżał się. Zmarszczyła szerokie brwi, z których jedną rozdawiała mała blizna. Pojedynczy jeździec. Na wszelki wypadek poprawiła na biodrach zdobyczny pas z mieczem, odsuwając nieco płaszcz, by łatwiej móc sięgnąć po broń.

W dżdżystej szarówce postać jeźdźca majaczyła niewyraźnie. Dopiero gdy zatrzymał konia i odrzucił na plecy kaptur peleryny, poznała twarz, którą widziała przelotnie w Pogromcy. Mężczyzna miał jasne włosy i zdumiewająco różnobarwne wąsy. Był przystojny, to nie ulegało wątpliwości.

Odchyłona w siodle, cierpliwie czekała, co powie.

– Co za spotkanie! – powiedział.

Popatrzyła w niebo.

– Przypadkowe – podsunęła po chwili.

Jasnowłosy uśmiechnął się. Miał sympatyczne zmarszczki koło oczu i bardzo równe zęby.

– No... prawie. Rzeczywiście zmierzam do Riksu. Najpierw do Riksu. Pomyślałem, że może w towarzystwie?...

Dotarło do niej, że kinen trąci w ustach mężczyzny czymś znanym. Odchyliła się w siodle jeszcze bardziej.

– Dartańczyk – powiedziała niechętnie.

– Dartańczyk – potwierdził ochoczo. – Mało tego, mieszkaniec Rollayny. Halabardnik gwardii u Księcia Przedstawiciela. Były halabardnik.

Patrzyła przez chwilę, aż zaczął potakiwać głową.

– Oczywiście, pani. Widzieliśmy się na dworze. Czy też raczej: ja widziałem. Bo kto patrzy na czerwony, wyprężony szpaler w pałacu? Chyba tylko dowódca wart, czy któryś brzuch nie wypięty za bardzo!

Milczała. Spojrzał na związanego legionistę i znów na nią.

– Ale przyznaję, w tym kaftanie i zielonej spódnicy... najpierw nie poznałem. I warkocze. Tam wasza wysokość miała suknię, wartą cały żołd, jaki zarobiłem w życiu. I kok do samego sufitu. Dopiero to nazwisko, znane w całym Dartanie...

– Kłamałam – przerwała. – Już go nie noszę. Pewnie chciałam wywrzeć wrażenie... albo nawet nie. Z nawyku. I odwal się ode mnie.

Wasza godność.

Przygryzł wargę, zmrożony jej tonem.

– Wybacz, pani.

Zatoczyła koniem i ruszyła dalej, do Riksu. Jeniec postękiwał; nagle zaczęło ją to złościć.

Halabardnik dołączył wkrótce. Wstrzymała konia.

– Gościniec jest wąski – rzekła, patrząc przed siebie. – Ale za to długi. Przodem. Albo z tyłu. Ale lepiej przodem, i z kopyta.

– Wybacz, pani – powtórzył – nie chciałem...

Swoim zwyczajem powolutku napluła na drogę, przechyliwszy się nieco w siodle. Nauczyła się to robić w Dartanie, bo wszystkich aż zatykało. Chcieli mieć dzikuskę, no to mieli.

Udał, że niczego nie widzi.

– Po nocy we dwójkę bezpieczniej – zauważył.

Westchnęła.

– Co trzeba powiedzieć albo zrobić, żebyś mnie zostawił w spokoju? Nie po to uciekłam z Dartanu, by wlec go za sobą do Riksu.

– Ale... uciekliśmy oboje, pani – rzekł jakoś bezradnie.

Jeniec znów zaczął stękać. Uwolniła stopę i uspokoiła go z dużą wprawą.

Koń, posłuszny jej woli, ruszył znowu.

– Grombelard to nie miejsce dla Dartańczyka.

– A dla Dartanki, wasza wysokość?

– Nie jestem Dartanką! – cisnęła, po raz kolejny ściągając wodze. – I nie jestem już wysokością! Odczep się nareszcie. Czego chcesz ode mnie?

– Chcę tylko pomóc.

– Ooo!... – jęknęła.

– Mówiłaś, pani – kontynuował pospiesznie – że to wcale nie żołnierze... Mówiłaś do oberżysty, słyszałem! I ostrzegałaś kupców przed dalszą drogą. Nie przechwalam się, ale służba w Gwardii Dartańskiej to nie tylko parady! Co innego legie, ale nas, gwardzistów, szkolą twardo. Wiem, co robić z mieczem, już tam, w oberży, chciałem pomóc, ale nie było trzeba...

– Oooo! – jęknęła raz jeszcze, kuląc się w siodle.

– Jesteś pani, niezwykłą kobietą, widzę to. Ale ja także nie chcę być dartańskim malowanym wojakiem, przybyłem tu, bo chcę dotrzeć do Złego Kraju. Gdyby jednak wasza wysokość przyjęła mnie na służbę...

Poderwała się jak dźgnięta włócznią w plecy. Zamilkł, bo przez gęstniejący mrok zauważył w jej twarzy coś jakby nadchodzące omdlenie.

– Podobam ci się, panie? – zapytała swym lekko ochrypłym głosem.

Zaraz potem pospiesznie zlązła z siodła.

– Chcesz to zrobić z dartańską magnatką? – pytała, zrzucając płaszcz.
– To mnie weź. Teraz, już zaraz! Tak jak ci będzie wygodnie. Ale potem odjedź, odjedź prędko. Wszystko, tylko nie Dartańczyk w drodze do Złego Kraju.

Patrzył w osłupieniu, ale ona, pośród wieczoru i mżawki, na nierównej grombelardzkiej drodze, rozbierała się naprawdę. Gdy na płaszcz upadł kaftan, a zaraz potem koszula i ujrzał drobne, nagie piersi, rozejrzał się, jakby wyglądając pomocy.

– O... – rzekł tępo.

Koń ruszył, od razu dobrym kłusem. Zaplątana jedną nogą w zdjętą już prawie spódnicę, patrzyła za nim. Oddalał się. Wkrótce pochłonęły go ciemność i deszcz.

– Odjechał, naprawdę odjechał – rzekła z niedowierzaniem i ulgą. – Znalazłaś sposób na odstraszanie natrętów. Zapamiętaj go.

Ubrała się pospiesznie, bo było dosyć zimno.

Popatrzyła na jeńca. Co tam... I tak było już zbyt ciemno, by kłusować po tej drodze.

– Ale – rzekła jeszcze, wskakując na siodło – skoro męczył tak długo, mógł jeszcze te parę chwil... Właściwie jest przystojny. Trzeba patrzeć na halabardników.

Ścisnęła kolanami boki konia.

– Dartańczyk. Dartańczyk w Złym Kraju. Jednak lepiej, że tak szybko pojechał.

Parsknęła szyderczo i gniewnie.

ROZDZIAŁ 2



Pospała trochę w siodle. Cud prawdziwy, że jeniec nie uciekł. Może i dobrze by zrobił. Posikał się ze dwa razy... i chyba nawet jeszcze gorzej, a wiatr dmuchał od tyłu, jakoś tak samo prędko, jak szły konie. Jechała pośród fatalnego odoru, skwaszona i trochę senna. Dartan właściwie miał pewne zalety. Należało do nich łoże tej wielkości, co główna izba w Pogromcy.

– Trzeba było je zabrać – zauważyła półgębkiem.

Gdyby jeniec uciekł, straciłaby pieniądze za konia, wypożyczonego na Przełęczy. Płaciło się jak przy zakupie i oddawało za tę samą cenę w najbliższej stajni miejskiej. Oczywiście potrącano za usługę.

Tutaj nie warto było utrzymywać konia na własne potrzeby. Ale wypożyczanie przynosiło zyski.

Znudzona, długo jeszcze roztrząsała kłopoty związane z niemożliwą ucieczką jeńca.

Nim minęło południe, stanęła przed bramą Riksu.

Riks był zlepkiem Armektu i Grombelardu. Armektańska była nazwa. Cała reszta była grombelardzka.

Oto kraj, w którym istniało jedno miasto z prawdziwego zdarzenia: portowy Lond u bram Wód Środkowych. Było trochę miasteczek w Niskim Grombelardzie i podobno na samym północnym wybrzeżu. Tutaj, w Ciężkich Górach, wielkimi miastami zwano cztery orle gniazda: Riks, Bador, Gromb i Rahgar. Wszystkie te miasta powstały w ten sam sposób: potężniejszy od innych i bogatszy herszt zbójców wznosił w górach warownię. W warowni żyli jego ludzie i konie, trzymano też tam kobiety i wiele innych rzeczy. Pod mury twierdzy garnęli się górale z niskich wiosek pasterskich i rozmaitych sadyb, płacąc daninę w zamian za ochronę przed napadami innych band. Nie mieli zresztą wyboru: siedzący w zamku mordercy nie lubili czekać. Warownia, położona przeważnie dość wysoko w górach, nie sąsiadowała z terenami, na których dało się pasać owce. Górale rzucali więc pasterstwo, zasilając oddziały pana twierdzy albo chwytając się rzemiosła.

I robiło się miasto.

Takimi miastami były szczególnie Gromb, Bador i Rahgar. Dostyc nisko położony Riks znajdował się bliżej świata. Oznaczało to, że Brol, pierwszy pan zamku – miasto zresztą nazwano najpierw jego imieniem – łupił głównie Dartańczyków i Armektańczyków, ale też handlował z nimi: prowincje leżały wprawdzie o sto mil, lecz były wcale bogate. Stąd więc w Riksie-Brolu mniej zajmowano się rzemiosłem, a bardziej kupiectwem. Sprzedawanie Dartańczykom tego, co im wcześniej zrabowano, było nie tylko zabawne, ale i opłacalne.

Poza tym jednak Riks nie różnił się wcale od Grombu czy Badoru. Kamień, kamień i kamień, brunatny i ponury. Oddalona o niecałe trzysta mil Rollayna (prawda, że najwspanialsze miasto Szereru) była jak cudo z innego świata.

Jednak najbardziej wszystkie różnice uderzały w Akali, mieście na Potrójnym Pograniczu, gdzie stykały się Dartan, Armekt i Grombelard. Miasto było dziwne, tak jak i jego historia: zaczęli je wznosić Dartańczycy, zdobyli i uczynili obronnym Grombelardzcy, zamieszkiwali zaś głównie Armektańczycy, odkąd nastąpiło cesarstwo. Stały tam strzeliste, bielone budowle dartańskie, z szybami w oknach – opasane murem z głazów, potwornie brzydkim, jak wszystko, co grombelardzkie, ale także potwornie trudnym do zdobycia – to również po grombelardzku. Pałacyki, kilkupiętrowe białe domy w otoczeniu ogrodów, wyglądały kiedyś wytwornie; cóż, kiedy w każdym parku wyrósł jakiś warowny oktagon, czasem otoczony osobnym murem, bo grombelardzki kupiec (kupiec, nie zbój wcale!) tylko w takim domu czuł się bezpiecznie i dobrze.

Patrząc na bramę Riksu, z zębatą broną u sklepienia, po raz kolejny dostrzegła, że Grombelard od Dartanu dzieli przepaść.

No – dlatego właśnie była w Grombelardzie.

Żołnierze z posterunku przy wrotach patrzyli na przytroczonego do konia półżywego legionistę z niebotycznym zdumieniem. Dojrzała opaskę na ramieniu jednego. Trójkowy, najpewniej dowódca posterunku.

– Daj mi jednego człowieka – powiedziała. – Chcę się widzieć z komendantem garnizonu.

– To nasz? – Pokazał jeńca.

– No co ty? Nie.

Trójkowy, pięćdziesięcioletni kulawy wiarus, z tych, co niejedno w życiu widzieli, szybko otrząsnął się ze zdziwienia. Bez większych ceregieli dał jej żołnierza. Ruszyła stępa za przewodnikiem.

Właściwie koszary znalazłaby łatwo sama. Zwłaszcza że bywała już w Riksie – prawda, że przed laty. Ale nie miała ochoty być zaczepiana przez każdy napotkany patrol na ulicach. Poprzedzana przez człowieka

w mundurze, zdawała się tym samym zaświadczać: spokojnie, wszystko w porządku; wiozę dziwny bagaż, ale już o tym wiecie.

Bez przeszkód dotarli do garnizonu.

Tęgi mur, oczywiście. Twierdza w twierdzy. Trzy czworokątne baszty i stołp. Dom mieszkalny, stajnie, magazyny, spichlerz i różne budynki gospodarcze. Obszerny majdan, a na nim zadaszona studnia z kołowrotem.

Przed bramą żołnierz zatrzymał się i zamienił dwa słowa z wartownikiem. Zwrócił się następnie do niej, ale jednym gestem dała mu do zrozumienia, że wie, zna, rozumie i będzie czekała.

Zsiadła z konia.

Zawsze było tak samo. Jeden wartownik czekał, drugi szedł do oficera służbowego, zwykle podsetnika, czasem dziesiątnika. Ten wychodził przed bramę i pytał. Czasem krótko, ale zwykle długo, bardzo długo i dociekliwie. Tak jakby jego komendant był co najmniej Księciem Przedstawicielem Cesarza.

Inna rzecz, że po Księciu Przedstawicielu, a obok urzędników Trybunału Imperialnego, to właśnie komendanci garnizonów miejskich byli we wszystkich wojskowych okręgach najważniejszymi osobami. A Riks miał status stolicy okręgu wojskowego. W Grombelardzie nie było zwykłych miejskich okręgów.

W masywnej bramie skrzypnęły niewielkie drzwi. Podsetnik. Przyjął zwięzły raport od jej przewodnika i odprawił go.

– W jakiej sprawie? Tej?

– Tak, tej sprawie przewieszanej przez konia.

Miała szczęście, bo to był kolejny stary żołnierz. Popatrzył na toból, który wiozła, a który już nawet nie stękał, potem znowu na nią, obejrzał jej twarz, warkocze i miecz przy boku, a szczególnie sajdak z łukiem przy siodle, po czym zapytał, pozornie bez związku, a tak naprawdę – bardzo rzeczowo:

– Znamy się?

Odetchnęła.

– Znamy. Ale tylko w jedną stronę.

– Jesteś...

– Tak. To ja.

– To chodź, pani.

Wartownicy otwarli bramę. Pomógł jej przeprowadzić konie. Był oczywiście zaintrygowany. Prowadził prosto i bez zwłoki, dlatego nie miała za złe, że po drodze pytał:

– To nasz człowiek?

– Wątpię. Znasz wszystkich?

– Prawie. Prócz trzech czy czterech nowych. Dopiero co doszli.

Obejrzał się na częściowo widoczną, pokrytą zakrzepłą krwią

i świeżymi strupami twarz jeńca.

– Trudno poznać... ale chyba nie od nas.

Skinęła głową.

– Dawno o tobie nie słyszano, pani. I dziwne, że ośmielasz się pojawiać w koszarach Legii Grombelardzkiej.

– To mój kłopot.

Zatrzymali się przed wejściem do budynku. Podsetnik wydał krótki rozkaz wartownikowi, wymieniając przy tym jej przydomek.

– Konie zabiorę – rzekł znów do niej. – A tego...?

– Też. Mam zawlec do twojego komendanta coś, co aż tak śmierdzi? Zabierz i pilnuj go dobrze.

Nawet nie wzruszył ramionami. Powiedziała rzecz oczywistą.

Wzięła swój sajdak i czekała, aż posłany do komendanta żołnierz wróci, by ją wprowadzić. Niedługo to trwało.

Przyjął ją nie komendant, lecz jego zastępca.

– Komendanta nie ma – wytłumaczył krótko. – Słucham.

Opowiedziała o wszystkim. Potem czekała, aż oficer przetrawi wieści. Nie mając nic do roboty, obejrzała go sobie dokładnie.

Był młody. Powszechnym u oficerów zwyczajem nosił najzwyczajszą tunikę legionisty. Taka... pozorna niedbałość, odstępstwo od regulaminu, nieprzywiązywanie wagi do szarży. Lecz w rzeczywistości było akurat odwrotnie. Wiedziała, jak trudno w czas pokoju o awanse, zwłaszcza w prowincjach. Komendanci garnizonów nie nosili swoich tunik, bo co drugi z nich był ledwo setnikiem albo – co najwyżej – nadsetnikiem. W całym swoim życiu widziała tylko trzech czy czterech ludzi w białych tunikach z dodaną barwą prowincji – jednym z nich był zmarły niedawno nadtyśnięcznik R.W.Ambegen, a drugim tyśnięcznik Argen, komendant garnizonu w Badorze. Jej dawny dowódca skądinąd.

Też już nie żył.

Ten tutaj, mężczyzna w jej wieku, a więc trzydziesto-, trzydziestoparoletni, nie bardzo wyglądał na żołnierza z krwi i kości. Ale nie wyglądał też na durnia. Pochwyciła kilka jego spojrzeń, badawczych, może i niechętnych, a nawet nieprzyjaznych, ale nie uwłaczających. Wiedział, kogo ma przed sobą, i zachowywał się odpowiednio do tego.

– Powiedziano mi, kim jesteś... – rzekł właśnie; zawahał się, ale dorzucił: – Pani. Czy rzeczywiście? Od jakiegoś czasu nie słyszano o... tej kobiecie.

– O mnie – powiedziała po prostu. – Jestem tą, o której mówisz, komendancie. I o której myślisz. A.J.Karenira, Łowczyni. Zwiąż mnie czasem Panią, a nawet Królową Gór. Lubię to miano, bo mi się należy.

Patrzył przez chwilę, milcząc.

– Jesteś, pani, ścigana przez Trybunał. A więc i przez legie cesarskie. Wyjątkowo... – pokiwał głową – żołnierze zgadzają się z urzędnikami.

Zaprzeczyła.

– Nie, panie. Ścigana? Posądzono mnie kiedyś o sprowadzenie śmierci na oddział żołnierzy. Ale nikt nigdy nie dowiódł, że tak było. Poszli ze mną dobrowolnie, prowadzeni przez swego dowódcę. Zabiły ich sępy przy próbie uwolnienia kilku pojmanyh wcześniej kuszników. Wyniosłam z tego głowę jako jedyną, jeśli nie liczyć dwóch koniowodnych, którzy zostali w połowie drogi, i dwóch innych, pilnujących rannego. Czy to bardzo dziwne, że tylko ja ocalałam? Chyba nie sądzisz, panie, że nazwano mnie Łowczynią bez powodu?

Patrzyli sobie w oczy. Odwrócił spojrzenie, jak niemal każdy człowiek, z którym skrzyżowała swoje.

– Usprawiedliwiać się więcej nie będę – dorzuciła. – Nie widzę takiej potrzeby. Chcesz mnie, panie, wydać w ręce urzędników Trybunału? Ale ja już z nimi kiedyś rozmawiałam i chociaż zupełnie mi nie wierzą, to zarazem nie mają nawet cienia dowodu przeciw mnie. Wojsko i Trybunał mogą nie wierzyć w cokolwiek. I mogą mnie nie lubić, no trudno. Lecz jestem Armektanką Czystej Krwi i trzeba mi pokazać dowody.

Powstał ze swego miejsca i przeszedł się po komnatce. Wyrzał przez wąskie okno.

– Co mi chcesz powiedzieć, pani?

– Nic. Przywiozłam ci, komendancie, rozbójnika przebranego za żołnierza. Nie wiem, skąd wziął prawdziwy mundur, ale boję się, że któryś z twych patroli nie wróci. Czterej ludzie podający się za twoich legionistów wypytywali w Pogromcy o palisadę, liczbę pachółków, obejrzelikram oberżysty i jego piwnice.

– Nie spieszyłaś się jednak zbyt z tymi wieściami, pani.

– Wątpię, by po tym, co tam urządziłam, od razu wzięli się za napaść.

– Pokonałaś, mówisz, czterech ludzi? W zbrojach i z mieczami, z których, jak mówisz, potrafią robić użytek?

– Potrafią z mieczy, ale nie z rozumu. Topornicy nie noszą tunik na kirysach. Najpierw myślałam, że zmieniły się regulaminy. Ale cały ich ekwipunek, oprócz tunik i hełmów, był tylko podobny do wojskowego. Kirysy też, dlatego je zakryli. Kusz widocznie w ogóle nie mieli albo mieli niepodobne do wojskowych, dlatego udawali toporników.

– Mądrzy czy głupi... Pokonałaś jednak czterech ludzi.

– To furda. Czterej pijacy? Dla mnie to furda, panie. Jestem dość ładna, żeby się podobać, i dość silna, żeby przestać.

– Dość pyszałkowata, chciałaś pewnie powiedzieć.

Wstała, wyjmując miecz. Omal sięgnął po swój, ale ona tylko odrzuciła płaszcz na plecy. Ujrzał nagie, wystające z podwiniętych rękawów muskularne przedramiona, spięte teraz; ujęła miecz za dwa końce i bez trudu złamała na kolanie.

– Niewiele wart – oceniła poprzez wiszący w powietrzu jęk pękniętego żelaza. – Wojskowe są dużo lepsze. No jak: silna czy pyszałkowata?

Upuściła resztki oręża na posadzkę i rozluźniła nieco wiązanie kaftana, patrząc spod oka. Usiadła na powrót.

Skinął głową. Także potrafił złamać miecz, ale był mężczyzną, a ona kobietą.

Znów popatrzył w okno.

– Czego oczekujesz, pani?

– Niczego przecież. Jadę w Ciężkie Góry. Jadąc, spotkałam rozbójników. Nie po raz pierwszy i nie ostatni, jak sędzę. Przywiozłam tu jednego, bo mi było po drodze. Teraz oddam wypożyczonego konia, a potem idę jeść i spać, bo w Pogromcy nie jadłam i nie spałam. Napiłam się piwa, ale tak łapczywie i pospiesznie, że jeszcze mi się odbija.

Wstała.

– Dlaczego to zrobiłaś? Cóż cię właściwie obchodzi ten zajazd, pani? Słyszałam, że widzisz w swoim życiu tylko jedno: sępy.

– Czasem też widzę żołnierzy. Nie zawsze szczególnie bystrych, prawda... Pogromca to jedyny zajazd w tych stronach, mało: jedyny przy całym trakcie, nie licząc tych w miastach. Nocowałam w nim raz i drugi. Może chcę, żeby było to nadal możliwe?

– Jest to jakiś powód. – Skinął głową na zgodę.

Stali, znów mierząc się wzrokiem.

– A jednak, pani, chętnie bym cię kazał zatrzymać. Urzędnicy Trybunału zadali ci swoje pytania, ale jestem pewien, że zadaliby je chętnie po raz drugi. Co się stało, że tak długo Grombelard o tobie nie słyszał?

– Podróżowałam.

W drzwiach zatrzymała się jeszcze na moment.

– Wiesz – powiedziała przez ramię – a może ja po prostu was lubię? Całe to cesarskie wojsko? Słyszałeś pewno, że sama w nim służyłam?

Wyszła, a wtedy uniósł brwi. I nawet uśmiechnął się lekko.

– Wiesz – powiedział po chwili – a może to i dobrze, że wróciłaś? Bez takich jak ty ten przekłety Grombelard... to tylko wiatr i deszcz.

o o o

Znalazła niezłą gospodę przy rynku. Trochę drogą. Ale złota miała dość. Wiele mogła zarzucić swemu byłemu małżonkowi, ale na pewno nie skąpstwo. Dał jej okrągłe dwieście sztuk złota i tego ogiera. Dałby pięć razy tyle, gdyby zażądała. Zupełnie nie dbał o złoto.

„Wrócisz” – powiedział z pogardą.

Wzięła złoto i konia, bo jej się należały.

„Zapłata za usługi, które ci świadczyłam” – powiedziała mu. „Dość

drogo, prawda? Teraz będziesz mógł kupować dużo taniej”.

Pamiętała dobrze, jak krew uderzyła mu do twarzy.

Pojadła solidnie. Znow siedzieli w gospodzie żołnierze, ale prawdziwi tym razem, trzeźwi i uprzejmi. Chociaż podpytywali ją, oczywiście, kim jest, skąd i dokąd zdąży. Tak się składało, że w Grombelardzie żołnierze byli dociekliwi. Zwłaszcza wobec orężnych, samotnych podróżnych. Uzbrojona kobieta nie była w Drugiej Prowincji zjawiskiem szczególnie niezwykłym. Ale jednak, zwłaszcza samotna, zawsze wzbudzała pewną ciekawość.

Wzięła najdroższą i najlepszą izbę. Już stojąc w niej, mówiła do siebie z ironicznym uśmieszkiem:

– Przywykłaś jednak do wygod, co? No, zobaczymy, jak będzie w Górach. Przez pierwszych parę nocy pod gołym niebem nie zmrużysz oka. Zobaczysz.

Rozebrała się do naga, stanęła w szerokim rozkroku, zakładając ręce do tyłu. Pochyliła się mocno w przód, dotykając czołem podłogi. Trwała przez chwilę w tej arcyniewygodnej pozycji, potem przybrała inną, jeszcze dziwniejszą: stanęła na palcach, ugięła mocno nogi w kolanach, wyprostowała tułów. To było tak, jakby siedziała w siodle. Po chwili podskoczyła parę razy i znow: stanęła na palcach jednej nogi, uniosła drugą, zgiętą w kolanie, i zatrzymała poziomo na wysokości biodra, odciągając ręką do tyłu.

I stała tak długo, boleśnie napinając ścięgna. Potem zmieniła nogę.

Przypomniała sobie starego człowieka, który przez wiele lat był dla niej ojcem. Przypomniała sobie jego rady i nauki. Głos, który mówił:

„Nogi, Karo. One są najważniejsze. Stoisz na nich, chodzisz i biegasz. Noszą całe ciało. Ręce wciąż odpoczywają, nogi bardzo rzadko. Są silne. Kilka razy silniejsze niż ręce. Wiedzieli o tym przed wiekami wojownicy Shergardów. Dbaj o swoje nogi. Tylko one mogą sprostać ramionom, które będą chciały cię zabić. Tylko one, córeczko. Tylko one”.

Od dziesięciu lat codziennie niemal stosowała rady swego opiekuna. Nawet w Dartanie. Jakby wiedziała, że to, co potrafi, jeszcze przyda się w życiu.

Z założonymi do tyłu rękami znow stała w postawie nazywanej „pozycją jeźdźca”. Stała długo. Łydki i uda zaczęły drżeć lekko. Na czole pojawił się pot. Gdyby zobaczono ją teraz, niejeden mężczyzna uciekłby ze wstydem. Małe piersi drgały co jakiś czas, jakby były zbudowane z samych mięśni. Przy zgrabnej figurze – wąska w talii, miała okrągłe biodra i dosyć długie nogi – składała się z samych mięśni i ścięgien. Płaski brzuch był jak wojskowa przeszywanica noszona pod kolczugą; mięśnie drgały pod skórą, ułożone w wyraźne redliny. Barki i grzbiet wyglądały aż złowieszczo. Dziesięć lat włóczęgi po skałach, napinania łuku, biegów z górskimi kozicami w zawody, wspinaczek na pionowe

ściany. Dziesięć lat codziennych dobrowolnych tortur, choćby właśnie porannego napinania ścięgien, przysiadów z wielkim kamieniem nad głową...

Pot zaczął kapać na podłogę. Płynął po skroniach, po bokach, między pośladkami i piersiami. Kropelki ściekały po nogach.

– Starzejesz się – powiedziała, stając normalnie.

Podskoczyła parę razy, by dać ulgę zboląlemu ciału. Potem rzuciła się na posłanie, nakrywając pledami, które szybko wypily jej pot. Nie pomyślała o myciu.

Mycie dobre było w Dartanie.

Obudziła się i powiedziała to samo, co tuż przed zaśnięciem:

– Starzejesz się.

Bo było widno. Ranek. Przespała pół dnia i całą noc.

Wyskoczyła spod przykrycia, przeciągnęła się, z zadowoleniem poklepała po okrągłym siedzeniu. Po chwili, już ubrana i z sajdakiem w ręku, szła coś przekąsić.

Opuściła gospodę w strugach deszczu. Lało tak, jak lać w Grombelardzie, zwłaszcza wiosną, powinno. Ulicami płynęły strumienie wody, mknąc ku fosie. Odprowadzony z tej ostatniej nadmiar dżdżu dawał początek wcale ładnej rzeczce, pełzającej między skałami ku niżej położonym terenom. Siła wody była wystarczająca, by poruszyć całkiem spory młyn, będący skądinąd również wartownią Legii Grombelardzkiej. Inaczej szybko splądrowano by go i spalono. Tyle mąki i zboża! To miało ogromną wartość.

Brnąc konno przez błotnistą ulicę, dotarła do Wielkiej Bramy (Riks miał jeszcze Bramę Małą, przez którą wjeżdżała). Wkrótce brama, jak i strzegący podejścia do niej barbakan zniknęły w strugach deszczu za plecami.

Lało coraz potężniej. Jechała pod wiatr i mimo iż pochyliła się mocno, deszcz moczył jej twarz.

– No widzisz, a chciałaś przeczekać największą ulewę w gospodzie – mruknęła do siebie.

Rzeczywiście chciała, ale przyszło jej do głowy, że jeśli bać się będzie w Grombelardzie deszczu, to najwyższa pora wracać do Dartanu.

– Jazda – powiedziała do konia, ściskając go kolanami.

Pokłusowała rażno przez deszcz.

Właściwie nigdzie się nie spieszyła. Miała czas. Jeszcze jakieś trzydzieści siedem lat, bo zamierzała dociągnąć do siedemdziesiątki. Ale czuła dziwne mrowienie w łądzwiach; pragnęła przyspieszyć rytm życia. Powolne człapanie wierzchowca było zwyczajnie nudne. Wlec się tak? Po gościńcu? Jak długo i po co?

Do Rahgaru! Zobaczyć „morderców”. Ciekawa była, jak też prezentuje się pół setki kocich gwardzistów gadba. W lekkich kolczugach

i zielonych tunikach, i w płaskich kocich hełmach z wycięciami na uszy. Hełmach uwieńczonych mocnym żelaznym kolcem, równie morderczym jak grot włóczni.

Przyszedł jej na myśl kocur Rbit, Basergor-Kobał, Książę Gór. Jej przyjaciel (czy jeszcze?). No i jego towarzysz: olbrzymi mężczyzna z krótko przyciętą jasną brodą. Basergor-Kragdob, król grombelardzkich rozbójników. Przypomniała sobie jedno zdarzenie sprzed dwóch lat i zarumieniła się jak czternastolatka.

– Ale byłaś wtedy głupiutka – powiedziała sobie z czułym szyderstwem. – Przeklęty Dartan, nauczył cię jednak życia. To, co znałaś wcześniej, to był tylko świat. Bez ludzi... no i bez mężczyzn. O, znajdę cię, Rbit! Żeby przeprosić, a potem kopnąć zdrowo pod sam ogon. Może lepiej by było, gdyby Glorm wziął mnie wtedy, a Baylay dowiedział się o tym!

Jechała z półuśmiechem na twarzy.

– A może i nie – dorzuciła, przemierzwszy kolejne pół mili.

o o o

Pierwsza noc pod gołym niebem grombelardzkim nie zawiodła jej oczekiwań. Budziła się kilkakrotnie, przemoczona i zmarznięta. Padać przestało dopiero o świcie. Miała dosyć. Wyżęła porządnie warkocze, mrużąc słówka, jakie w Dartanie wystarczyłyby do wywołania omdlenia paru osób. Rozgrzała się, biegając i skacząc do utraty tchu.

– Dlaczego nie wróciłaś do Armektu? – zapytała się z wyrzutem, zdyszana. – Pod najpiękniejsze niebo Szereru? Wiosna. Ty wiesz, jak tam teraz wyglądają Równiny?

Równiny. Pamiętała je jeszcze...

Zjadła co nieco. Wypiła trochę wódki z bukłaka i to było tak rozkosznie rozgrzewające, że najchętniej wychłababy wszystko i walnęła się pijana między skały. Okulbaczyła konia i wkrótce znów była w drodze.

Ujechała może milę, gdy pośród znów wzbierającego deszczu usłyszała za plecami pośpieszne klaskanie końskich kopyt w kałużach i błocie drogi. Spotkania na tym trakcie wcale nie należały do rzadkości, a to z tej przyczyny, że był jedynym traktem w całym Grombelardzie. Ale rzadko ktoś nim galopował, bo konie zbyt często na owym „gościńcu” łamały nogi. Nie każdemu tak mało zależało na wierzchowcu jak jej.

Ujrzała żołnierza. Zdaje się, że dobrego jeźdźca i na dobrym koniu. Wiódł też luzaka.

Obejrawszy z bliska konia i żołnierza, doszła do wniosku, że luzak zaraz będzie potrzebny. Koń, na którym siedział młody wojak, był prawie zajeżdżony. Jeździec zaś ledwie żywy.

– Galopowałeś całą noc? – zapytała ze zdumieniem, oglądając chłopaka od stóp do głów. Nie miał zbroi, a tylko mundurową tunikę wprost na przesywanicy. No i oczywiście pelerynę z kapturem. Był niewysoki i szczupły. Zapewne jeden z gońców garnizonu; jeden z tych, co to gnają nieraz tym gościńcem rzeczywiście na złamanie karku, dniem i nocą. Powszechnie uważano ich służbę za lekką, nigdy bowiem nie brali udziału w zwyczajnych patrolach i właściwie siedzieli bez przerwy w garnizonie, nic nie robiąc. Do czasu. Mało kto wiedział, jak wielu z tych posłańców łamie ręce i nogi, wylatując z siodła, gdy przewraca się koń w jakiejś dziurze; mało kto słyszał, jak wielu przypląca gorączką wściekle galopady.

A ilu takich samotnych jeźdźców zarżnięto po drodze? Dla konia, dla broni, dla zabawy...

Wyżej, w górach, na północ od Grombu poczynając, kurierską służbę pełniły zwykle koty. A dlatego, że gościniec był tam nim już tylko z nazwy. Między Badorem a Riksem telepały się jeszcze, choć z trudem, wozy wypełnione towarami. Ale od Badoru do Grombu i Rahgaru wóz można było dostarczyć w jeden tylko sposób: w częściach, na grzbietach mułów. A i te zwierzęta, choć tak w górach przydatne, zsuwały się czasem z wąskiej i krętej ścieżki, zwanej nie wiadomo czemu – aż gościńcem.

Lecz i tam, bywało, jeździli dwunożni posłańcy na grzbietach swych świętych zwierząt. Kocich gońców w legiach zawsze brakowało. Mało który czworonożny rozumny miał ochotę przyjmować na siebie stałe obowiązki i podlegać jakiegokolwiek dyscyplinie.

W takim Riksie kot w ogóle bywał rzadko. A już w legii całkiem wyjątkowo.

– Pani – rzekł po grombelardzku posłaniec, ledwo dysząc – czy ty jesteś jej godność... – Na próżno szukał w pamięci imienia; ze zmęczenia uleciało mu z głowy. – Jej godność... Łowczyni, Królowa Gór?

Uśmiechnęła się krzywo.

– Pasterka owiec – zakpiła, ale chłopak spieszył się tak bardzo, że zaraz tego pożałowała. – Co tam? Gonisz mnie?

Potwierdził.

– Mam pismo – rzekł. – Ale... czy to na pewno ty, pani?

Tym razem powściągnęła uśmiech.

– Tak. A.J.Karenira.

– Właśnie! – odetchnął z ulgą, usłyszawszy imię, które zapomniał. Wydobył wilgotny zwoik pergaminu, sygnowany pieczęcią Legii Grombelardzkiej.

Rozwinęła go. List był krótki.

Pani!

Był napad na Przełęcz. Zajazd częściowo spalony.

Potrzebuję twojej pomocy. Nie rozkazuję, bo nie mogę. Proszę.

podpisano:

zastępca komendanta wojskowego Riksu

N.V.Egeden, setnik legii

– No i masz! – powiedziała ze złością.

Nie rozkazuje. Prosi. Co miała zrobić z taką „prośbą”? Wojskowi patrzyli na nią krzywo, a właściwie wrogo, od czasu tej historii w Czarnym Lesie. Mogła teraz oczywiście odmówić pomocy. Dać temu szczeniakowi list, żeby się nim podtarł, i tyle. Ale wiedziała, że wkrótce usłyszy o tym cały Grombelard. I już w ogóle nie będzie mogła liczyć na żołnierzy – nigdy i nigdzie.

„No i najwyżej” – pomyślała. „Na co mi potrzebni? Tyle tylko że...”

No właśnie.

Z legionistami lepiej było trzymać. Prawdę mówiąc, trochę jej ciążyła niechęć wojska. Teraz miała okazję, by poprawić stosunki.

– Co wiesz? – zapytała posłańca. – Oprócz tego, że miałeś mi to oddać?

Znów się spieszył.

– Nic, pani.

Westchnęła.

– Jestem twoim jeńcem – oświadczyła. – Zabierasz mnie do Riksu. Tak tu napisano. Możesz zrobić wszystko, nawet zbić mnie i zgwałcić. Ale koniecznie dowieźć żywą.

Patrzył z prawdziwym przerażeniem. Parsknęła śmiechem i rzuciła mu list.

– Czytaj! – poleciła. – No, czytaj, mówię! Przecież to list do mnie, mogę ci pokazać, co tam napisano.

– Nie umiem, pani – rzekł, czerwony, oddając pismo.

Po raz setny pomyślała, że Grombelard to jednak nie Armekt. W jej kraju czytać uczone każde dziecko. Jak inaczej mogłoby pojąć tradycje, zakłute w potędze armeckańskiego języka?

– No dobrze. Twój komendant prosi mnie o pomoc. Coś się stało na Sępiej Przełęcz.

Pokazała, żeby przeniósł siodło na luzaka.

– Pierwsze zadanie? – zagadnęła domyślnie, gdy dźwigał kulbakę. – Czy drugie?

– Drugie, pani – przyznał niechętnie. – Nie powiesz, że zapomniałem...?

Od gońców wymagano świetnej pamięci, bo wiele rozkazów przekazywali ustnie. Ten tutaj zapomniał jej imienia.

– Nie powiem – obiecała. – Zadanie wypełniłeś. Staraj się, pobędziesz trochę trójkowym, potem zrobią cię dziesiętnikiem. A potem naucz się

czytać. Podsetnik Legii Grombelardzkiej to już ktoś.

Odetchnął. Sprężył się wskoczył na siodło. I naprawdę dobrze w nim siedział.

Ruszyli.

– W Armekcie, przed... no, całkiem niedawno – machnęła ręką – zaczynałam tak samo. Byłam kurierką, dopiero później przenieśli mnie do łuczniczek. Był czas, że strzelałam najlepiej w całym garnizonie. W całej Rinie.

Nie dodała, że... tylko w nocy.

– Podziwiam, jak tu jeździecie. W Armekcie – mówiła dalej – drogi są równe jak stół. A w co drugiej wiosce posterunek z rozstawnymi końmi.

Raz i drugi zerknął na jej bardzo mocno skrócone strzemiona. Zauważyła to.

– Kurierzy tak u nas jeżdżą – wyjaśniła. – Przyzwyczaiałam się. Naprawdę nic nie wiesz o Sępiej Przełęczy?

– Pojechał tam oddział – rzekł niepewnie. – Wczoraj... nie, przedwczoraj wieczorem. Potem z Przełęczy przyleciał... – wymienił imię, którego nie dosłyszała. – Zaraz potem dowódca wezwał mnie i dał to pismo. Powiedział, że pojechałaś, pani, przez Wielką Bramę. Znaczy w stronę Badoru. No tom pognał.

„No toś pognał” – skwitowała w myślach. „I o mały włos nie minąłeś mnie w nocy”.

Zamyśliła się.

Czego mogli chcieć od niej? Miała może gonić jakąś bandę po górach? Poprowadzić oddział? No to źle trafili. Wąskie Góry i niskie rejony Ciężkich znała słabo. Sępów szukało się w okręgach Grombu i Badoru. Tam naprawdę znała każdy kamień.

Chłopak jechał w milczeniu, starannie wystrzegając się spojrzeń, które mogłyby świadczyć, że legendarna Łowczyni to ktoś, kto mu imponuje. Zerknęła spod oka na młodą, okraszoną świeżo urodzonym wąsem twarz, która była teraz – a jakże – twarzą starego wiarusa, co to widział w życiu wszystko, a zabił chyba ze stu rozbójników.

– Ile masz lat? – zapytała.

– Yyydwadzieścia... – zająknął się, zaskoczony.

– Mhm... A naprawdę?

– Siedemnaście, pani – rzekł zgnębiony.

Pokręciła głową. Ale właściwie – miała szesnaście, wstępując do legii. Jakoś... nie czuła się wtedy zbyt młoda.

Młoda czuła się dopiero ostatnio. I to coraz pilniej.

Uważała, że czas to najgorszy sukinsyn. Wart strzały.

– Możemy szybciej? – zapytała.

Chłopak właśnie otwierał usta; zamknął je pospiesznie.

– Co chciałeś powiedzieć? Śmiało!

– To prawda, że zabiłaś tysiąc sępów, pani? – wyrzucił szybko.

– Tysiąc? – zdumiała się. – No, chyba nie zarobię na twój podziw... Tysiąc sępów? Tyle nie ma! Żeby zabić tysiąc sępów, musiałabym urodzić jakieś sześćset! Czy ja mogę rodzić sępy? Może razem z jajami?

Pokręciła głową.

– Jakies czterdzieści parę – dorzuciła krótko po chwili... zawyżając liczbę o dobry tuzin.

– Czterdzieści? – rzekł rozczarowany. – Przez tyle lat?

Najpierw ją zatkało.

– Dajmy temu spokój, co? – rzekła ostro. – Możesz pogonić te swoje chabety, legionisto od siedmiu boleści? To je pogoń, bo szkoda mi życia na takie kulawe włóczęgi.

Nim dojechali do miasta, chłopak niemal zajeździł jedno ze zwierząt na śmierć. A i tak nie nadążył. Przybyła do Riksu sama.

ROZDZIAŁ 3



Jego godność N.V.Egeden, zastępca komendanta garnizonu w Riksie, zachowywał się wobec niej dokładnie tak samo jak wtedy, gdy widzieli się po raz pierwszy. Wyczuwała jego niechęć i rezerwę. Ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że ten człowiek wie, czego chce. Od siebie i od niej.

– Jesteś mi potrzebna, pani – powiedział.

– Tyle wiem.

– Odpowiem na wszystkie pytania – zapewnił. – Tego samego dnia, kiedy byłaś u mnie, posłałem silny patrol na Przełęcz. Ale już było po wszystkim. Ograbiono podróżnych, spalono stajnię, zabito kilku pachołków. Moi żołnierze napotkali posłańca, który właśnie pędził do mnie ze skargą.

– To wszystko? – zdziwiła się nieco. – Myślałam, że skoro zajazd zdobyto, zostało tam tylko parę nadpalonych belek na krzyż.

– Chcą wymusić haracz – wyjaśnił Egeden. – To lepsze niż puszczenie z dymem wszystkiego raz na zawsze.

– Nie wątpię.

– Wiem niewiele. Ale to nie jest żadna miejscowa grupa rzezimieszków. To banda z wysokich gór. Bardzo liczna.

Uniosła brwi.

– A co z tym jeńcem, którego przywiozłam? – zapytała. – Nic nie wie?

– Umarł.

– Ze starości? Czy od ran nosa?

– Od urzędników Trybunału.

– Daliście go tym rzeźnikom?

Wstał i zrobił parę kroków, przemierzając kamienną komnatkę w tę i z powrotem.

– Tak jakbym mógł nie dać! – mruknął.

– Powiedział coś?

– Mnóstwo. Aż sklepienie drżało. Tylko nic nie dało się zrozumieć. Co może powiedzieć jakaś ze zmiażdżonym nosem, jeśli odgryzł sobie z bólu język, jeszcze zanim wbito mu zęby do gardła?

Pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Następnym razem, jak wsadzi mi taki łapę między nogi, to jeszcze je szeroko rozłożę – zapowiedziała. – A już na pewno nie będę wlec biedaka przez pół Grombelardu, żeby oddać legionistom. Najwyżej sama mu utnę, co trzeba, i wetknę między zęby. Jeśli nie okaże mi potem samej tylko wdzięczności, to już nie wiem.

– Zdaje się jednak – rzekł oficer – że wiadomo, co to za banda.

– No?

– Był z nimi wielki kot gadba. Nazywali go Kobal.

Wytrzeszczyła oczy.

– Myślisz, komendancie, że to ludzie Basergora-Kragdoba? – zapytała po chwili ze zdumieniem. – Myślisz, że ten kocur to Rbit?

– Na to wygląda.

– To śmieszne! – oznajmiła.

– Czyżby? – Zmarszczył brwi. – Czemu niby?

– Bo, po pierwsze, Kragdob ściąga haracz z tej nory od dziesięciu lat chyba... Ech, od zawsze!

Oficer osłupiał.

– Z tej, jak i z każdej innej w Grombelardzie, łącznie z tymi tu, w Riksie... – ciągnęła.

Prawie rzucił się na nią.

– Co to za łgarstwa?! – cisnął.

– No, komendancie – uspokoiła go. – Opieka wojska oczywiście też jest potrzebna. Przed rzezimieszkami, pijakami... dobrze, ale nie obronicie karczmarza przed Królem Gór. Ani nikogo innego w tym mieście. I w tym kraju. Myślisz, wasza godność, że zwą go królem, bo dowodzi paroma oddziałami zbrojnych? Czemu więc ciebie nie zwą?

Egeden milczał.

– Każdy bogaty kupiec w Grombie i Badorze płaci Kragdobowi. Prawie każdy rzemieślnik... i w ogóle każdy, chyba nawet żebracy. Zwłaszcza oni. Tu, w Riksie, jest pewnie tak samo. Kto jak kto, ale komendant wojskowy powinien chyba o tym wiedzieć? Myślisz, panie, że to zbój jak każdy inny? Taki, co porywa czasem nawet stado owiec pastuchom? By sprzedać za parę sztuk srebra?

Pokręciła głową.

– Ale przede wszystkim – powiedziała – nie widziałeś nigdy, komendancie, jego ludzi. Gdyby to oni przebrali się w mundury, wyglądaliby bardziej na żołnierzy niż ci, których masz pod komendą. Myślisz, że Glorm otacza się durniami?

– Glorm... – powtórzył. – Znasz go pewnie dobrze, co, pani?

– O... – Uśmiechnęła się zalotnie. – Zazdrosny?

Wściekł się. Chyba nie lubił żartów.

– Prawdę mówiąc – rzekła, poważniejąc – wcale dobrze go nie znam. Widzieliśmy się tylko raz, i to krótko. Ale kocur jest moim przyjacielem.

Przede wszystkim jednak znam Góry i w ogóle Grombelard, komendancie. Nocuję w wysokich wioskach, czasem podwożę mnie kupcy na swych wozach, spotykam żołnierzy, rozbójników i obieżyświatów, bywam w miastach... Wiele widzę i słyszę. Mówię ci, że to nie byli ludzie Basergora-Kragdoba.

Opanował się już.

– Ale w takim razie – rzekł, siadając – co to za banda? Trzydzieści głów!

– Aż tyle?

– Aż.

– Jest kilka takich. W okolicach Badoru. Ciekawe to wszystko...

– Oszalałem. – Pokręcił głową i znów wstał ze swojego stołka. – Siedzę tu i rozmawiam z siostrą mleczną tych wszystkich obwiesiów.

– No, wasza godność – wzruszyła ramionami – to nie ja słałam gońca za tobą. Nie jestem, i nigdy nie byłam, rozbójniczką. Mam w górach własne sprawy. Ale chcąc zajmować się nimi, muszę żyć w zgodzie z rozbójnikami, tak samo jak chcę żyć w zgodzie z żołnierzami.

– To nie do pogodzenia! – zauważył gniewnie.

– Godziłam przez dziesięć lat – odparła spokojnie i popukała w stół. – Czas ucieka. Powiedz mi, panie, wszystko, co chcę wiedzieć, a potem pomyślę, czy chcę i mogę ci pomóc. A może mam cię poprosić, byś w ogóle moją pomoc przyjął?

– Nie byłoby to całkiem od rzeczy – potwierdził niespodziewanie. – Mocno ryzykuję, prowadząc konszachty z osobą... jeśli nie wyjętą spod prawa, to w każdym razie o podejrzaną reputacji.

Wstała.

– Obrażam się.

Powiedziała to z uśmiechem, ale ze spojrzeniem tak nieprzyjemnym, jakie mogła rzucić tylko ona. Patrzyły na niego ciemnoszare, starsze o dwadzieścia lat od reszty twarzy oczy, które nigdy nie mogły być oczami kobiety. Znał historię tych oczu; w Grombelardzie znał ją chyba każdy.

Jakie oczy mogła mieć przedtem? Czarne. Pewno czarne albo zielone, wiele Armektanek miało takie. Ale przede wszystkim – kobiece.

– Poczekaj, pani. Przekomarzam się z tobą. Niesłusznie – uznał swój błąd. – Proponuję układ: dobrowolnie, a co więcej, na ochotnika, poprowadzisz moich ludzi za tą bandą. Tak daleko, jak to będzie potrzebne. Znasz przecież góry, wiesz, gdzie takie oddziały mają albo gdzie mogą mieć swoje kryjówki.

Obejrzała go, jakby był sępem, ale bez dzioba i skrzydeł, za to z marchewką czy pietruszką w szponach.

– Czekaj, wasza godność... Przecież ty wierzysz, że ja widzę w życiu tylko skrzydłaki z gołymi szyjami, a żołnierzy wodzę w paszczę śmierci?

A co będzie, jeśli twoje wojsko z kolei wrzucę w przepaść? Albo wypiję z niego krew?

– Pięćdziesięciu ludzi? – zapytał z ironią. – To chyba zbyt wielu, nawet jak dla Łowczyni.

Popatrzyła uważnie. Czyżby jednak był głupi?

– Największy mędrzec Szereru – powiedziała – przez wiele lat był moim opiekunem i nauczycielem. A znał historię świata jak nikt inny. Powiedział mi niejedno.

– Co powiedział?

– Choćby to, że podczas wojny o Grombelard całe kliny i półsetki armektańskiej piechoty przepadały w górach prowadzone przez zdradzieckich przewodników. Tak jak tu stoję – wspięła się na palce i zakolysała – zaświadczam, że to możliwe.

– To byli Armektańczycy. Ludzie zupełnie nieznający gór.

– Prawda. Ale wiedli ich jacyś tam przewodnicy... Nie ja.

– Co mi chcesz udowodnić, Łowczyni? Dobrze: przede wszystkim nie wierzę, że celowo przyczyniłaś się do zguby tych żołnierzy z Badoru. Prawdę mówiąc, ta historia to jedyna skaza na twojej górskiej legendzie. Nigdy nie wchodziłaś nikomu w drogę. Tępiłaś tylko sępy. Twoja rzecz. I nawet godna poparcia.

Jednak był głupi. Może nie do końca – ale był... Pomyślała, jak to jest, że najchętniej wierzy się w to, w co wierzyć akurat wygodnie.

– Kto prowadzi ten oddział? Ty, komendancie?

– To niemożliwe. Jestem tu sam z dwoma podsetnikami. Prawie wszyscy oficerowie wezwani zostali do Grombu... ale to już nie twoja rzecz, pani. Jeszcze raz będę całkiem szczerzy: to pech, że spalono Pogromcę właśnie teraz, kiedy ja dowodzę garnizonem. Rzecz jasna, formalnie nikt mi niczego nie zarzuci. To nie moja wina. Tyle tylko że za miesiąc lub dwa przeniosą mnie na jakieś podłe stanowisko „w celu zaznajomienia z różnymi warunkami służby”... Nie mam nic do stracenia. Ta banda musi zostać rozbita. Zresztą nie tylko dla mojej kariery. Obojętne mi, co sobie o tym myślisz, ale służbę traktuję poważnie. Jestem tu, by zapewnić spokój. A jeśli to niemożliwe, ukarać tych, co go zakłócają. Gdy pomoże mi w tym złodziej, to się z nim sprzymierzę. Jeśli ladacznica, to też. A jeśli ty, to tym lepiej, bo nie mam cię ani za jedno, ani za drugie.

– To miłe – rzekła rozbawiona. – Tym większa szkoda, że układ jest nie do przyjęcia.

– Nie zapytasz nawet, pani, co mam do zaoferowania?

– Zapytam. Co takiego?

– Jeśli wyprawa się powiedzie, zadbam, by we wszystkich garnizonach usłyszano o twoich zasługach. Warto chyba?

– Uuaa!... Wcale nie wiem. W oczach górali będę odtąd szpiegiem

Legii Grombelardzkiej. Mogę zabić dwóch czy trzech rozbójników w gospodzie. Jeszcze ich herszt, jeśli nie jest głupi (a nie jest pewnie, bo głupi rzadko bywa hersztem), przeklnie durniów, którzy się upili, wykonując zadanie, i weszli w drogę Pani Gór. Ale czym innym jest wodzenie legionistów tropem bandy. To nie moja sprawa. Każdy tak powie. I z Łowczyni stanę się zwierzyną. A co będzie, jeśli się nie uda ta wyprawa? Wciągną nas w zasadzkę, wymordują połowę albo wszystkich... a Łowczyni znów wyniesie z tego głowę? Będą mnie ścigać już wszyscy: i żołnierze, i zbóje? Dziękuję, wasza godność. Zaszczyt to dla mnie, ale nie.

– Więc mi nie pomożesz – stwierdził sucho.

– O...! – Zmarszczyła nos, pokazując zęby. – Tego nie powiedziałam. Czemu wojsko nie miałoby mnie chociaż trochę polubić? Skoro ja tak bardzo kocham wojsko?

o o o

Fanfary, bębny i chorągiew Legii Grombelardzkiej rzeczywiście nie były jej potrzebne. Jeśli każdy dziesiętnik zacznie nagle sławić dzieje wyprawy, co to pobiła grupę rozbójników, a pomogła w tym Łowczyni... to już lepiej chyba, żeby wróciła od razu do Dartanu. W czułe ramiona małżonka. W miękkie aksamity. W rozkoszne poduchy. W marmury.

W całe to łajno po prostu.

„To nie może tu wisieć, Karo”.

„Mój łuk? Nie może wisieć w mojej sypialni? To co mam z nim zrobić, powiedz mi. Gdzie w takim domu trzyma się broń?”

„Nie w takim domu. W naszym domu, Karo. Tu broń, wreszcie, nie jest nam potrzebna. Wiesz, że też przywykłem do miecza. Ale nie we własnym domu przecież”.

Poklepała lekko sajdak, zawieszony przy siodle.

– Przepraszam cię za to – powiedziała tkliwie.

Nie zsiadając z konia, załomotała pięścią w bramę. Skrzypnęło małe okienko, odemknięte energicznym szarpnięciem. Ukazała się w nim jakaś twarz, po czym bramę otwarto.

Zajazd wyglądał tak, jak powiedział Egeden. Właściwie nie bardzo ucierpiał. Tyle tylko że stajni nie było.

Z gospody wyszedł na jej spotkanie podsetnik w pełnym uzbrojeniu. Mimo hełmu łatwo poznała w nim starego żołnierza, który wprowadził ją na teren garnizonu. Pozdrowił ją wojskowym skinieniem. Odpowiedziała w ten sam sposób ze śmiertelną powagą. Powściągnął uśmiech.

– Zaraz za mną – powiadomiła go, zsiadając z konia – jedzie czterdziestu dzielnych legionistów. Będą tu wkrótce. Zdaje się, że rozmawiam z dowódcą tej armii.

Popatrzył z powracającą powoli, skrywaną niechęcią.

– Jak to jest, pani, że wiesz o rzeczach, które cię obchodzić nie powinny?

Kiwnęła głową.

– Wyjaśnię. Niech ktoś zajmie się moim koniem, dobrze? Jest tu jakieś miejsce, gdzie można spokojnie porozmawiać?

Niedługo potem oddała mu pismo od Egedena. Przeczytał i bez entuzjazmu, ale wyczerpująco opowiedział jej o wszystkim, o czym chciała wiedzieć.

ROZDZIAŁ 4



No, teraz to już nie było człapanie. Gnała traktem jak kurierka legii. Odpoczęła trochę w Badorze, a potem już nieco wolniej, kłusem i stępa na zmianę, pojechała dalej, do Grombu.

Bandy na trakcie nie spotkała. A mogła. Mało prawdopodobne, by rozbójnicy przedzierali się przez góry od samej Sępiej Przełęczy. Chociaż... nie znała przecież ich planów. To, że byli z wysokich gór, nic nie oznaczało. Mogli zdążać dokądkolwiek. Choćby w przeciwnym kierunku, na przykład na Potrójne Pogranicze.

Ciekawa była, jak wojsko weźmie się do dzieła?

Grombu nie lubiła. Tak naprawdę to nigdy nic dobrego jej tu nie spotkało. Nic złego niby też nie. Chciała czy nie chciała, było to miasto, które odwiedzała najczęściej. W promieniu dwudziestu, trzydziestu mil od Grombu prowadziła zwykle swe łowy.

Znała pewne imię. To znaczy znała je kiedyś. Zapomniała. Ale wiedziała, że człowiek, który je nosi, jest w Grombie znany. Miecznik. Jego ostrza cieszyły się wielkim uznaniem.

No tak. Ale nie była w Grombie od dawna. A i wcześniej nigdy nie szukała okazji do spotkania z tym człowiekiem.

Czy nic się nie zmieniło?

Zapytała w oberży.

– Miecznik? – Oberżysta dziwił się, jakby pierwszy raz słyszał o takiej profesji. – Miecznik... – Dumał głęboko.

Podsunała mu pół sztuki srebra. Nie znała właściciela gospody, a co dziwniejsze, on chyba nie znał jej. Pewno słyszał legendy, ale...

Każdy słyszał; mało kto z nimi gadał.

– Miecznik – powtórzyła wyraźnie. – Taki, co robi miecze. Fach w Grombie zupełnie nieznany. Przy każdej ulicy mieszka przynajmniej dwóch. Nie licząc Żelaznego Zaułka.

Oberżysta poznał, że kobieta zna Grombelard i sam Gromb nie tylko ze słyszenia.

– Nie zrozumiałem, pani... – burknął. – Słabo rozumiem kinen.

Oberżysta słabo znał kinen.

– Miecznik – rzekła tym razem po grombelardzku; miała wyraźny armektański akcent, ale miejscowy język opanowała nieźle, trudno było wątpić. – Potrzebny mi najlepszy miecznik w Grombie. Cóż, teraz powiesz pewnie, że mam złą wymowę?

Cisnęła mu drugą monetę.

– Ale mam też dobry humor... jeszcze. A więc?

– Mieszka tu kilku znanych. – Oblaskawiła go nieco.

– Najlepszy, człowieku. Czy znasz znaczenie słowa „najlepszy”? Powiedz, karczmarzu, czy jesteś taki głupi, czy taki chciwy? Powiedz wprost, a może wreszcie się dogadamy?

– A jeśli chciwy? – zagadnął rezolutnie.

– Lubię to! – ucieszyła się. – To za szczerość...

Wytrzeszczył oczy na widok sztuki złota.

– ...a to za mój stracony czas – skończyła, waląc w pryszczatą gębę z siłą wzbudzającą szacunek i respekt.

Goście (draby jakieś niemiłe) przy pobliskich stołach, od dobrych paru chwil śledzący ciekawie rozmowę, zaczęli wiwatować, gdy karczmarz rąbnął potylicą w ścianę, chwytając się jednocześnie za paszczękę.

– Hej, dziwa! – rzucił jeden, rechocząc. – Idź prosto do ryneczku! A tam pytaj pierwszego gówniarza, z tych, co wszędzie latają. Każdy ci powie. Twój miecznik tam, niedaleczko, ma domek.

Machnęła mu ręką, że dziękuje. Gdy szła do drzwi, izba wciąż rozbrzmiewała wesołością. Ktoś po drodze poklepał ją w plecy, ktoś po siedzeniu. Ale to nie była zaczepka, tylko wyraz uznania.

– Dziwa! – zawołano jeszcze. – Dawaj tu wieczorkiem! Złotko masz, to do kości siądniem!

Wiodąc konia za uzdę, poszła prosto do rynku. Jakiś pokurcz właśnie tłukł w gong. Południe. Proszę, proszę – nauczyli się wybijać pory dnia. Prawdziwa stolica świata.

Między straganami biegała wrzaskliwa dzieciarnia. Pełno tych pluskiew było wszędzie, ale na rynku, gdzie działo się wiele, a dało się czasem co skubnąć, biegały całe zgraje. Podstawiła nogę jednemu z urwisów, a gdy grzmotnął o ziemię, rozbijając nos, rzuciła mu miedziaka, zadając to samo pytanie, co oberżycie. Pokazał palcem, z którego zląził paznokiec, zmiażdżony chyba niedawno czymś ciężkim.

– Prowadź! – poleciła.

Szczeniak sięgnął ręką, chcąc ją pociągnąć za sobą, ale uchyliła się i lekko odepchnęła go butem. W Dartanie wreszcie pozbyła się wszy; nie miała ochoty, by oblaży ją znowu.

– Z daleka, żabo – rzuciła ostrzegawczo.

To był dom przy wąskiej uliczce, trzeci, licząc od rynku. Odesłała gówniarza i najpierw obejrzała budynek, zapamiętując go. Potem ujęła

kołatkę.

Słynny miecznik miał lat pięćdziesiąt pięć do sześćdziesięciu, był krzepkim, zdrowo wyglądającym, chociaż niezbyt wysokim człowiekiem. Przyjął ją uprzejmie, ale od razu dając do zrozumienia, że każdy gość niebędący klientem, choćby nawet był kobietą, i to Czystej Krwi, zabiera mu czas. Przypomniała sobie rozmowę z karczmarzem i pomyślała, że tym razem próżnych pogawędek nie będzie.

– Widzę, że moje armeckańskie nazwisko przeszło bez wrażenia – rzekła po prostu. – Tutaj, w Grombelardzie, nazywam się Łowczyni. Przysłał mnie do ciebie, mistrzu, Książę Gór. L.S.I.Rbit, oczywiście.

Miecznik spojrział badawczo, ale zaraz znowu był spokojny, prawie obojętny.

– Basergor-Kobal? – rzekł powoli, marszcząc czoło. – A ty, pani... Hm, słyszałem te nazwiska, jakże nie? Ale nie znam tych, co je noszą.

Zrozumiała, że nie zna – jej. Był ostrożny. Ba! Powiedziała przecież prawdę Egedenowi: Basergor-Kragdob nie otaczał się głupcami.

Bez słowa wskazała palcem swoje oczy, potem sajdak z łukiem, ujęła w dłonie czarne warkocze i zatrzepotała nimi, wreszcie bez ceregieli podciągnęła kaftan i koszulę, pokazując mu plecy, a na nich liczne ślady szponów.

– Co jeszcze trzeba, żeby cię przekonać, mistrzu? Mam przywieźć zabitego sępa? Dobrze, ale to potrwa.

Skinął głową, uśmiechając się nagle.

– No dobrze, pani. Jego godność Rbit wspominał kiedyś, że wiesz o mnie. Ale minęły lata, a ciebie nigdy nie było. Chodźmy. Mam izdebkę na górze... to taka samotnia. Tam pogawędzimy.

– Mam tylko dwa, trzy pytania.

– To nic. Chodźmy. Tu służba, warsztat... czeladnicy... – Zatoczył ręką. – Są sprawy, w których ostrożność popłaca.

Zgodziła się z tym.

Na ścianach małej izby, którą miecznik nazywał swą samotnią, wisiał oręż wszelkiego rodzaju. Przede wszystkim miecze. Łatwo poznała wojskowe – krótkie i dość szerokie. Pośród nich lżejsze miecze jazdy, dalej miecze piechoty legii, z prostym jelcem, i gwardyjskie, odrobinę dłuższe i z jelcem nieco pochylonym w dół. Te lubiła najbardziej, były doskonale wyważone. Ale dalej wisiały miecze nieco węższe i jeszcze dłuższe, noszone zwykle przez dobrze urodzonych, wreszcie miecze półtoraręczne i dwuręczne piechoty. Słyszała od Dorlana, że kiedyś takich używano.

– Od wieków nikt tym nie walczy. – Wskazała. – Ostatni raz chyba za czasów Królestwa Trzech Portów, podczas wojen o zjednoczenie Armektu. Albo może podczas Wojny Dartańskiej.

– Znasz się na tym, pani – zauważył, przyjemnie zdziwiony. – Bywali

tu ludzie, którzy pytali, gdzie pochwa od tego... i czy to miecze olbrzymów.

Zaśmiała się.

– O! – mruknęła jeszcze. – Ale taki widziałam... Wiesz pewnie u kogo, mistrzu?

– Tarsan.

Zdjął miecz ze ściany i przez chwilę pieścił głównię dłonią. Była niezwykle długa i wąska, przeznaczona właściwie tylko do klucia. Zastawa, zupełnie tępa, za to pogrubiona, mogła jednak przyjmować nawet ciosy nieidące po ostrzu.

– Wiem, pani, u kogo go widziałas. Pomyśl, czy człowiek, który używa takiej broni, może być wrogiem miecznika? Płacę mu daninę, i chętnie... Wiesz, jakiej żąda, pani? Sztuki srebra rocznie. Powiedział, że nie mogą być wyjątkiem. Każdy płaci daninę królowi. Dziwny to człowiek, pani.

– Wiem o tym.

Miecznik delikatnie umieścił oręż tam, skąd go wziął.

– Co myśli człowiek wykuwający ostrza, pokrywające się potem krwią we wszystkich zakątkach Szereru? – zapytała. – One zabijają.

– Miałaś kiedyś w rękę moją broń, pani?

Pokazał gmerk wybity na gwardyjskim mieczu.

– O, poznaję... Tak, miałam.

– A to cecha jakościowa garnizonu Grombu.

– Więc walczyłam twoją bronią, mistrzu. Co myśli człowiek wykuwający zabójczy oręż? – powtórzyła.

– Czy naprawdę zabójczy?

– Oj, naprawdę.

– A więc taki człowiek jest ze swej pracy dumny.

– Dumny?

– A należy się wstydzić uczciwej, dobrze wykonanej pracy? Moje miecze milczą, pani. Nie wołają, że są dobrem, nie wołają też, że są złem. To przecież nie od nich zależy.

Pokiwała głową.

– Jesteś mądrym człowiekiem, mistrzu. Mistrzu, szukam swojego przyjaciela. Kocura L.S.I.Rbita. W okręgu Riksu jest zajazd, na który napadnięto. Zajazd na Sępiej Przełęczy w Górach Wąskich, słyszałeś może o nim, bo to miejsce prawie legendarne, w samych wrotach prawdziwego Grombelardu... Pośród rozbójników był kot. Banda podawała się wszem wobec za oddział Basergora-Kragdoba. Wiem, że to nieprawda. Toczy się jakaś gra. Chcę, żeby Rbit i Glorm o tym wiedzieli.

Popatrzył uważnie.

– Chcesz, bym ci powiedział, pani, gdzie ich szukać?

– Hm... Prawdę mówiąc, mistrzu, sądzę, że sam tego nie wiesz. Co najwyżej znasz kogoś, kto pośle wiadomość dalej. Czy nie tak?

- Oto przenikliwość. Właśnie tyle mogę uczynić.
- Czy jeśli powiem, gdzie mnie szukać...?
- W ciągu kilku dni otrzymasz odpowiedź, pani.
- Wspaniała rozmowa – oświadczyła. – Odprowadzisz mnie, mistrzu, do drzwi? Gdzie tu można godziwie przemocować? I mieszkać przez parę dni? Godziwie – podkreśliła. – Przy samym rynku nie chcę, to najdroższe zajazdy... i najbardziej rzucające się w oczy.
- Przejdź przez rynek, pani. Ulica naprzeciwko. W połowie długości jest oberża.
- Już pamiętam. Nocowałam w niej kiedyś, raz i drugi... No. To tam będzie można mnie znaleźć.

o o o

Wieczorny posiłek zabrała do siebie, do wynajętej izby. Nie lubiła siedzieć ze wszystkimi, w wielkiej, gwarnej sali. Tym bardziej że słynny miecznik chyba dawno do tej oberży nie zaglądał. Kiedyś rzeczywiście było tu znośnie. Ale zdaje się, że właściciel gospody poważnie zaniemógł. Wszystko prowadziła jego żona. Albo była niechlujna, jak to baba, albo po prostu nie dawała sobie rady. No i zrobiła się z tego chyba najpodlejsza knajpa w całym Grombie. Pani Gór nie miała ochoty bić się znowu z jakimiś podszczypującymi ją drabami.

Wynajęta izdebka kosztowała fortunę. Lecz w większości grombelardzkich i dartańskich gospód w ogóle nie było takich pomieszczeń – wszyscy podróżni pospołu nocowali we wspólnej izbie, na sianie. Tutaj dwie izby dla najbardziej wymagających podróżnych utrzymywano chyba jakimś cudem. Lecz wynajęcie każdej kosztowało majątek. Cóż, zawsze znalazł się ktoś, kto zapłacił...

Zjadła ładną pieczeń (chlujna czy niechlujna, karczmarka karmiła bardzo dobrze), wypiła dwa dzbanki tęgiego piwka i przyniosła z dołu jeszcze dwa. I kubek wina na dzień dobry, do przepłukania ust, kiedy już się obudzi.

Leżała na zarwanej pryczy, popijając piwo. Zastanawiała się, na jak długo tu utkwiała. No cóż, próżne dociekania. Nic więcej zrobić na razie nie mogła. Miała może szukać Rbita gdzieś w górach? Dobrze sobie... Mogła szukać i do końca życia.

Odstawiła dzbanek i zaczęła ściągać kaftan. Ale czuła się zbyt ociężała. Zostawiła odzienie w spokoju i wróciła do piwa. Nie chciało jej się dzisiaj robić żadnych przysiadów.

„Kareniro, nie możesz na oczach niewolników robić tych podskoków co wieczór. Nie ma takiej służby, która by nie rozmawiała z inną służbą, czekając przy lektykach, gdy składamy komuś wizytę”.

„O co znowu chodzi? Czy znowu coś źle zrobiłam?”

„Pół Rollayny już wie, Karo, że oddajesz się co wieczór jakimś

podejrzanych zajęciom. Nie wspominając nawet o tym, że wszyscy mówią, że jesteś zbudowana jak szkolony do walki niewolnik”.

„A co w tym złego? Kogo to obchodzi?”

„Kogo... Pół Rollayny, Kareniro...”

„Pół Rollayny! Czekaj, a może drugie pół Rollayny wie już, że bierzesz mnie zawsze od tyłu, jak jakąś parszywą kobyłę?! Co, patrzeć na mnie nie możesz? Pewnie powinnam mieć cycki jak główki kapusty, co? Jak Loyana albo ta w tej złotej sukni, co? Zostaw mnie, na wszystkie moce, zanim cię wyrzucę przez okno! Zobaczysz, co potrafi szkolony do walki niewolnik!”

„Karo. Chciałaś, żebym cię zabrał z Ciężkich Gór. Zabrałem. Czemu nie powiedziałaś, żebyśmy pojechali do Armektu? Pytałem przecież. Powiedziałaś: dokądkolwiek. Teraz chcesz przenieść i Armekt, i Grombelard do Dartanu. Musisz wybrać, żono. Wybrałaś. Wiem, czego chcę: mieć swój dom i ciebie. A ty? Czy wiesz, czego chcesz?”

Gdzieś z głębi gospody doleciał huraganowy wybuch śmiechu, przerywając wątek myśli.

– Wiem, mój mężu, mój... były mężu. Teraz już dobrze wiem – mruknęła, unosząc dzbanek.

Nabrała piwa w usta i plunęła nim na ścianę. Zaśmiała się trochę bezmyślnie i patrzyła, jak ścieka, zupełnie czarne w blasku świecy.

– Chcę być damą grombelardzką.

Podniosła się, czując bulgoczący w brzuchu nadmiar płynu. Wyszła z izby, podciągnęła spódnicę i wysikała się tam, gdzie zwykli to robić goście w prawie każdym grombelardzkim zajeździe: pod ścianą na samym końcu ciemnego korytarzyka.

Lecz przerwała w połowie. Chwiejąc się trochę na nogach, przykucnęła, umoczyła palec w kałuży i napisała na podłodze DARTN... Pomyliła się, ale i tak nie było nic widać.

Dokończyła sikanie i zrobiła kupę.

Wróciła na swoją pryczę i rozplotła warkocze. Włosy były sztywne, a skóra na głowie swędziała. No, pora na coś w rodzaju kąpieli.

– Jutro, wasza godność – obiecała leniwie. – Jutro, jutro...

Położyła się, otulając pledem. Czknęła.

– No, Rbit – rzekła ziewając – długo każesz mi tkwić w tej gospodzie? Mam już dość takich dziur. Chcę w góry.

Wysunęła nogę i kopnęła lichy stół. Świeca przewróciła się i zgasła.

– W góry...

ROZDZIAŁ 5



Mniej więcej w tym samym czasie w Riksie Egeden, tymczasowy dowódca garnizonu, spotkał się z R.W.Sottenem, Drugim Namiestnikiem Najwyższego Sędziego Trybunału. Już początek rozmowy niesłuchanie wzburzył setnika, jednak jego pytania pozostawały bez odpowiedzi.

– Zbyt wiele chcesz rozumieć, panie. – Jego dostojność Sotten był w bardzo złym humorze i nie myślał kryć się z tym przed oficerem. – Tymczasem nie jesteś od rozumienia. Jesteś, panie, wyłącznie od rąbania mieczem. Rąbać zaś masz tego, kogo ja ci wskażę.

Egeden z trudem powściągnął gniew. Jego rozmówca musiał to dostrzegać... zdaje się jednak, że nie bardzo bał się gniewu setnika legii. Założył ręce do tyłu i w milczeniu patrzył na żołnierza.

– Twoje działania, panie, niemal obaliły cały plan. Mogłem przymknąć oczy na to, że miałaś w ręku podejrzaną kobietę i wypuściłaś ją. Ale układów z banitką tolerować nie będę! – Sotten podniósł głos. – I to układów prowadzonych za plecami Namiestnika Trybunału! Cesarskiego Trybunału, panie prawie komendancie!

Egeden milczał.

– Jeżeli Trybunał – ciągnął, znowu cicho, Namiestnik Sędziego – postanawia, że spalony zostanie jakiś zajazd, to widać leży to w interesie imperium. Czy to jasne? I dalej: jeśli Trybunał chce, by legie o tym nie wiedziały, to widać leży to w interesie imperium. Czy rozumiesz, panie?

– Nie – odpowiedział Egeden.

Namiestnik zdumiał się.

– Nie – powtórzył oficer. – Na moich oczach skonał człowiek, którego przesłuchiowano w celi Trybunału. Słyszę teraz, że... służył Trybunałowi! Nie, panie, nie rozumiem.

– Źle służył – skwitował Sotten. – Nie rozumiesz więc? No to i dobrze – skonkludował niespodziewanie. – Byłeś, panie, zastępcą komendanta garnizonu.

– Wciąż nim jestem! – rzekł gwałtownie Egeden, postępując naprzód. – I, na Szerń, może jutro nie będę, ale dziś liczy się, wasza dostojność, ze

słowa!

Sotten spojrzął bacznie.

– Powodowany niewiedzą – rzekł Egeden – pokrzyżowałem, być może, plany Trybunału. Wniosek widzę jeden: moja niewiedza była niewskazana. Poprzez zbędne i szkodliwe utrzymywanie mnie w niewiedzy naraziłeś, panie, interesy Trybunału. Zatem interesy cesarstwa. Czy zanim zostanę zdegradowany, mam napisać obszerny raport? I pchnąć go do Grombu? Książę Przedstawiciel będzie niezmiernie rad.

Sotten mierzył go wzrokiem.

– A wiesz, panie, że jak na żołnierza, to wcale nie jesteś głupi? – rzekł wreszcie. – Usiądźmy. I porozmawiajmy.

Egeden zmarszczył brwi. Potem jednak skinął głową.

– Trybunał zarzucił sieć – zagaił Sotten. – Ale jakże wyobrażasz sobie, panie, sieci Trybunału? To bardzo delikatna plecionka. Gdy wielu zacznie ciągnąć w różne strony, popęka.

– Wasza dostojność wymagaś, by legie pozostały zupełnie beczynne z obawy, że podrą jakies sieci?

– Istotnie, przyznaję, że być może należało bardziej zacieśnić współdziałanie... To jednak nie ode mnie zależy, komendancie. Postawiono nas obu w tej samej sytuacji; czasowo tylko kieruję działaniami Trybunału w Riksie, pod nieobecność Pierwszego Namiestnika. Powinniśmy więc rozumieć nawzajem swoje położenie...

Egeden skrzywił się lekko, słysząc te wyrazy nagłej solidarności.

– W trybach planu utkwilo ziarenko – mówił dalej urzędnik – którego obecności nikt nie mógł przewidzieć. Popatrz tylko: z wielkim trudem znaleziono dwie odpowiednie istoty, człowieka i kota, gotowych za złoto zmierzyć się z największymi bandytami Grombelardu. Śmiałkowie ci zebrali własny oddział i dokonali zuchwałego napadu, krzycząc głośno, że są władcami Gór. Wcześniej jednak pojawia się ta kobieta, przywożąc tu jednego z ich ludzi. Ten człowiek musiał zginąć; trzymanie go gdziekolwiek było ryzykowne. A gdyby tak uciekł? Albo zaczął mówić, choćby do pilnujących go strażników?

– Nie mógł wiedzieć zbyt wiele. Zresztą nawet gdyby...

– Naprawdę mało wiedzą tylko umarli. I tylko umarli na pewno nie uciekają.

– Zbytek ostrożności, a raczej okrucieństwa. Zresztą, musiał umrzeć czy nie musiał... należało powiadomić mnie o wszystkim.

– Kiedy rzecz w tym, panie, że legia miała zadziałać tak jak zawsze.

– Czy ja i legia to to samo? Legia działałaby jak zawsze, ja natomiast zaniechałbym dodatkowych posunięć.

Sotten rozłożył ręce.

– Ba! – rzekł z żalem. – Kiedy to ziarenko! Któż mógł, panie,

przewidzieć, że zawezwiesz na pomoc kobietę ściganą?

– Czyżby była ścigana? Nic jej nigdy nie udowodniono, były tylko różne wątpliwości.

– Otóż, panie, to prawda. Oficjalnie ścigana nie jest i nie wolno słać za nią żołnierzy. Ale jeśli sama przyszła? Wyjaśniłyby się zaraz wszystkie te „wątpliwości”. Znalazłyby się dowody... Jej własne zeznanie, komendancie!

Egeden zmarszczył brwi, bo izba tortur brzydziła go zawsze. Lecz zmilczał, dobrze wiedząc, że Sotten tylko dodaje sobie animuszu. Armektańska kobieta Czystej Krwi nie mogła być męczona ot, tak sobie, przez byle urzędnika Trybunału w zabitej dechami prowincji, niczym przyłapany z bronią w ręku, na gorącym uczynku obwieś.

– Powiedz teraz, panie – ciągnął namiestnik – co by było, gdyby przyjęła twój pomysł? To przecież zawołana przewodniczka, twoi legionieści pochwyciliby moją sieć w kilka dni i podarli, a tym łatwiej, że sieć owa wcale nie ma być ukryta. Tyle tylko że nikt nie powinien widzieć w niej zasadzki.

– Jednak Łowczyni nie prowadzi moich ludzi.

Sotten westchnął z ulgą.

– Za to jej odpuszczam wszystkie dawne winy...

„A odpuszczasz tym łatwiej, że tysięcznik P.A.Argen nie był przez Trybunał kochany, bo zbyt samodzielny” – dorzucił w myślach, z drwiną, Egeden.

– ...może nawet stać się pożyteczna – wyjaśniał dalej urzędnik – gdy poszczuje swoich przyjaciół prosto w naszą pułapkę.

– W czym więc problem?

– A w tym, komendancie, że gdybym od razu dowiedział się o waszym układzie, sprawiłbym może, iż przy pomocy tej kobiety sieć, zamiast czekać na rybę, sama by się na nią rzuciła!

Egeden skinął głową.

– Ale, panie – rzekł po chwili – czy nie nazbyt ufasz swoim najemnikom? Pomyśl, z kim mają walczyć.

Setnik, jak niemal każdy żołnierz Drugiej Prowincji, z równym zapalem ścigał i podziwiał sławną parę. Namiestnik jednak udał, że tego nie dostrzega. Bo też, prawdę mówiąc, mocno nadrabiał miną. Wcale nie był pewien powodzenia ryzykownego i niezmiernie kosztownego planu. Wydarzenia, do których doszło na Sępiej Przełęczy, dały mu wiele do myślenia. Przede wszystkim zdał sobie sprawę, że grupa podająca się za władców Gór składa się z półgłówków, myślących tylko o złocie i awanturach. Miał nadzieję, że przywódcy są choć trochę mądrzejsi od pijanych durniów, których Łowczyni rozdeptała w Pogromcy. Pewności jednak nie miał.

Dlatego natychmiast po tym, jak dowiedział się o układzie zawartym

między setnikiem i Armektanką, posłał do Badoru, Grombu i Rahgaru swoich ludzi. To nie były wielkie miasta, istniała więc szansa, że odnajdą gdzieś łuczniczkę i nie stracą jej z oczu tak długo, aż doprowadzi ich do Basergora-Kragdoba. Gdyby zaś było za późno, może dałoby się tę kobietę zatrzymać i w jakiś sposób skłonić do mówienia.

Sotten nawet nie podejrzewał, jak niezwykle będą konsekwencje podjętych przez niego działań... I jak wysoko posłyszane zostaną wzbudzone przez nie echa.

ROZDZIAŁ 6



O lbrzymi jak skała, okryty grubą peleryną męczyzna, wyłaniający się konno z kłębow targanego przez wiatr deszczu, był niczym posępne widmo. Niósł go gniady koń potężny jak i jeździec, ale małej szlachetności i urody. Uwagę zwracała grubokoścista budowa i potężna klatka piersiowa zwierzęcia. Prawda, że gorącokrwisty, lekki koń nie bardzo przydawał się w górach. Ale znów zwykły szpotawy londer, bo do tej rasy gniadosz należał, był koniem po prostu roboczym, zbyt ciężkim chyba do jazdy wierzchem. Inna rzecz, że jeśli komuś zależało raczej na sile zwierzęcia, choćby nawet kosztem ręczności i zwrotności...

Dosiadając londera, ten jeździec akurat wiedział, co robi. Już samo jego ciało ważyło dość, by pełnokrwisty rumak dartański musiał się ugiąć, a do wagi ciała dochodził jeszcze ekwipunek. Przede wszystkim całe mnóstwo broni. Przy biodrze tkwił, w skórzanej, wzmocnionej żelaznymi okuciami pochwie, długi i wąski miecz; ten sam pas przytrzymał z drugiej strony ciężki nóż, używany zwykle przez myśliwych do oprawiania zwierzyny. Pod peleryną na plecach wyraźnie rysował się kształt innego oręża, zdaje się, że zwykłego wojskowego miecza. Oprócz tego przy siodle wisały: z jednej strony topór, z drugiej zaś – częściowo okryta pokrowcem – mocna kusza wraz z zapasem bełtów. Całości uzbrojenia dopełniała kolczuga, wyraźnie widoczna spod niedźwiedziego, czarnego od wilgoci kaftana.

Męczyzna wyglądał jak legendarny, srogi Basergor-Kragdob, Król Ciężkich Gór i grombelardzkich rozbójników.

Był nim.

Jego wierzchowiec wyglądał zaś jak zwyczajny londer. I to też była prawda. Tyle tylko że ów londer zrodzony został w Złym Kraju, a imię jego brzmiało, jak kazała tradycja: Galvator.

Większość ludzi sądziła (całkiem bezpodstawnie), że nieśmiertelne konie zrodzone w Złym Kraju to jakieś ogniste rumaki o niebywałej urodzie, i do tego... koniecznie kare. Trudno powiedzieć, skąd się wzięło owo błędne mniemanie. Nieśmiertelny był każdy koń poczęty i zrodzony

w Złym Kraju. Jednak Królowi Gór nie mogło zależeć na zwalczaniu przesądu o karych ogierach. Ani innych bajek. „Nieśmiertelnego” konia można było zabić. Nawet ciężkie rany zadane temu zwierzęciu goiły się łatwo i szybko – o ile ich skutkiem nie był natychmiastowy zgon. Ponadto nieśmiertelne wierzchowce mogły się obywać bez jedzenia i wody, a być może i bez powietrza.

Ale tylko w Romogo-Koor. W cieniu Pasm.

Prawdą było natomiast, że starzały się bardzo, bardzo wolno, osiągając niesłychaną długowieczność.

Tutaj, na trakcie między Rahgarem a Grombem, dojsć miało, zdaje się, do jakiegoś spotkania olbrzymów. Oto bowiem wielki jeździec zatrzymał swego potężnego konia, patrząc na drogę. Pojawiła się na niej właśnie sprężysta, stopiona z deszczem sylwetka kocura gadba, o którym każdy Grombelardczyk powiedziałby, że jest największym kotem, jakiego oglądały Ciężkie Góry.

– Rbit – rzekł spokojnie Król Gór, zsiadając z konia – nie mogłeś posłać Ranera?

Wezwany uniósł łapę w kocim Pozdrowieniu Nocy.

– Glorm, przyjacielu – rzekł niskim, mrukliwym głosem – jakbym mógł, tobym posłał. Raner leży pobity.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Jakież kłopoty?

– Żadnych. Grał w kości i wygrał.

– Dureń...

– Dureń. Chciałem, żebyś mi zostawił Delena.

– Delen był mi potrzebny. Zresztą to drugi narwaniec. Uwiódłby wszystkie kobiety w Grombie.

– Ale nie dałby się pobić.

– To prawda.

Ruszyli. Rozbójnik nie zatroszczył się o konia, jakby wiedząc, że może mu zaufać. Istotnie, wierzchowiec uniósł garbonosą głowę, popatrzył przez chwilę za oddalającą się dwójką, po czym podążył jej śladem.

– Sto razy mówiłem – rzekł Rbit – że zbyt wyraźnie pokazujesz, kim jesteś. Twój wzrost wystarczy. Cała ta zbrojownia zwraca uwagę, a już ten twój rozeń...

– Sto razy mówiłem, że to tarsan – odparł mężczyzna, przystając. – Nie kpij z mojej broni. Chcesz być zbyt chytry, Rbit. Wystarczy koń, z którego wszyscy się śmieją. Żaden legionista nigdy nie uwierzy, że tak wygląda słynny Galvator Króla Gór. Na trakcie zawsze obwieszam się bronią, i dobrze wiesz dlaczego. A skądinąd, rano napotkałem patrol.

– I co?

– Zwrócili na mnie uwagę, rzecz jasna. Zapytali, kim jestem, więc odpowiedziałem. Ubawiło ich to i pojechali dalej. Rbit, naucz się

wreszcie, że człowiek to nie kot. Legionista uwierzy we wszystko, oprócz tego, że Basergor-Kragdob jeździ traktem z tarsanem przy boku i opowiada się swym przydomkiem każdemu, kto zapyta.

– Dobrze. Ale w Grombie schowasz ten oręż?

– Rzecz jasna.

Szli przez chwilę w milczeniu.

– A teraz, Rbit, co słyhać w stolicy?

– Niemało. Przede wszystkim niepotrzebnie umawialiśmy się na trakcie. Znalazłbyś nas łatwo.

– U Koniarza?

– Wyzdrowiał.

– Dobrze zrobił.

– Raner się wylize za dzień albo dwa – mówił dalej Rbit. – Arma sypia z dwoma setnikami. Nie poznałbyś jej... Ta dziewczyna potrzebuje sukni, Glorm. I klejnotów.

– Czy ja zabraniam jej chodzić po górach w sukni? A klejnoty mogę dostarczyć, jeśli mało ma swoich. Nie chciałem jej w górach. Lepiej, że znów siedzi w Grombie i zajmuje się tym, co potrafi.

– Nie cierpię, gdy tak mówisz o Armie, Glorm. W górach była z twojego powodu. Kochał cię ktoś wytrwalej?

– Kocha mnie wiele kobiet, Rbit. I nienawidzi całe mnóstwo mężczyzn. Mam się tym wszystkim przejmować? Znowu stary temat. Myślałem, że już wyczerpany?

Kocur zatrzymał się i usiadł z ogonem w kałuży deszczówki.

– Dobrze – mruknął. – Zdaje się, że to nie Trybunał i nie starsi cechów są teraz najważniejsi... Co się stało, Glorm? Zamieniliśmy parę słów, z tego połowa to twoje utyskiwania. Zamierzasz bezustannie mnie karcić?

Mężczyzna pokiwał głową, po czym przykucnął i splótł dłonie, opierając łokcie na udach.

– Masz słusność, rzecz jasna... Daruj, Rbit. Od paru dni coś mnie nęka... jakieś przecucie. Jedno z tych, które czasem miewamy. Miałem takie, zanim Rabisal zabił Ayanę. I wtedy w Londzie, pamiętasz? Ty takie coś czułeś, o ile wiem, na Przełęczy Mgieł. Może to za sprawą Pióra? Moje nie jest tak kapryśne jak twoje, ale... dzieje się coś paskudnego.

– Stąd te narzekania?

– Stąd, Rbit. Nie jestem w dobrym nastroju, przyznaję. Wybacz, że odbiło się to na tobie.

– Przywykłem – rzekł kot z czymś, co w ludzkiej twarzy byłoby krzywym uśmiechem. – Dobrze, przyjacielu. Chodźmy, jeśli chcemy zanocować pod dachem.

Koniarz był człowiekiem cieszącym się w Grombie wielkim poważaniem. Leczył konie. Jakaś tajemna, z niewiadomego źródła pochodząca wiedza pozwalała mu rozpoznawać końskie dolegliwości. Miał różne maści i mikstury, stosował okłady i setki różnych przedziwnych zabiegów, które im bardziej były przedziwne, tym większy zjednywały mu szacunek. Ponoć wyleczył wiele koni. Glorm nie wątpił, że tak było w istocie. Do swego Galvatora jednak prędzej dopuściłby rzeźnika niż Koniarza. Leczony tasakiem, Galvator mógłby jeszcze wyzdrowieć.

Ostatnio Koniarz zaniemógł. Ozdrowiał szczęśliwie; być może stosował swoje mikstury. Skoro stawiały na nogi konia, czemuż by nie Koniarza?

Rbit jednak zgadzał się z Glormem, że najprędzej to właśnie cuchnące wyziewy owych mikstur były przyczyną dolegliwości.

Koniarz był biednym, pracowitym człowiekiem, mającym ledwie nędzną chałupkę na przedmieściu. Ubierał się skromnie, trochę jak drobny kupiec, trochę jak rzemieślnik. Nie każdy wiedział, że dwupiętrowy dom, dość daleko co prawda leżący od rynku w Grombie, też jest własnością biednego Koniarza. Biedny Koniarz, poprzez swą biedną matkę w owym domu mieszkającą, ściągał od najemców izb czynsze niesłychane. Na tyle jednak rozsądne, by najemcy nie pomarli mu z głodu albo też nie poszli sobie dokąd nogi poniosą, byle dalej od domu Koniarza.

Drugie piętro owego domu jednak nie było zamieszkane. Izby na drugim piętrze, do których wiodły osobne, wąskie schody, zawsze czekały na przyjęcie specjalnych gości. Taki był haracz płacony przez Koniarza Królowi Ciężkich Gór.

Właściciel domu własnoręcznie posługiwał swoim gościom, donosząc na stół coraz to nowe potrawy i trunki. Nikt nie poznałby w tym energicznym, dostatnio ubranym człowieku końskiego znachora z przedmieścia. Wyrażał się inaczej, inaczej poruszał, nie nosił czapeczki, skrywającej zwykle zaskakująco bujne, przetykane dostojną siwizną włosy.

Glorm jadł i pił na miarę swego wzrostu; Rbit – na miarę swego rozsądku.

– A zatem – rzekł Król Gór, popuszczając pasa i z niejakim żalem patrząc na resztki wieczerzy – powtórz to, co najważniejsze, Rbit. Nie słuchałem, bo jadłem.

Kocur, posilający się przy stole z elegancją godną swych rodowych monogramów, zostawił płaski półmisek, próżny już, i umoczył wąsy w srebrnej czarce z winem. Spojrzał na gospodarza. Ten natychmiast opuścił izbę, traktując to najwyraźniej jako rzecz oczywistą.

– Spór przerodził się w wojnę – rzekł kot. – Mocno wątpię, by

wynikało z tych obrad coś naprawdę niepomysłnego dla nas... a już niebezpiecznego? Dowódcy garnizonów po starym żądają ograniczenia wpływu Trybunału na wojsko. Urzędnicy wołają, że legie bez nich są ślepe, mogą patrolować ulice miast i niewiele więcej...

Glorm pokiwał głową.

– Specjalny wysłannik cesarza skłania się wyraźnie ku racjom urzędników, chętnie rozszerzyłby ich wpływy, zamiast ograniczać. Odwrotnie Książę Przedstawiciel, który twierdzi, że wojsko stale ma związane ręce, nie mogąc przedsięwziąć właściwie nic poza rutynową służbą patrolową... Naprawdę jednak Przedstawicielowi bardzo cięży wszędobylskość wywiadowców Trybunału, wywierających rozmaite naciski. Wypłynęła sprawa tych szpiegów, pamiętasz, których legionieści zarabali bez żadnych ceregieli...

– Tak, pamiętam.

– Namiestnicy Trybunału twierdzą, że wiedza pozyskiwana dzięki tym ludziom była bezcenna. Żołnierze wskazują ogromne nadużycia, których różni wywiadowcy, urzędnicy i szpiedzy dopuszczają się stale, wyposażeni przez Trybunał w pełnomocnictwa, dające zbyt dużą władzę. Wojna, Glorm. Nic nie zmienia, to pewne. Pokłóć się jeszcze przez tydzień, po czym rozjadą: komendanci do swych garnizonów, namiestnicy do swych gmachów.

– A co z obławą?

– Nie będzie.

– Rzecz jasna. – Glorm skinął głową. – Ale zdaje się, że w Rahgarze zastępca komendanta otrzymał jakieś... hm, nieoficjalne wskazówki.

– To możliwe – zauważył Rbit. – Tutaj jest podobnie. Zarówno wojsko, jak i Trybunał nasiliły działalność. Każdy sukces, Glorm, o którym ci lub tamci zameldują teraz w Grombie, może być poważnym argumentem w sporze.

Mężczyzna wstał i okrążył stół.

– Gdzie jest Arma?

– Wkrótce tu będzie. Może coś ją zatrzymało. Niełatwa sztuka być kochanką dwóch znających się mężczyzn jednocześnie.

– Nie wątpię.

Arma pojawiła się, jakby sprowadziły ją ich myśli. Kocur spojrział tylko i natychmiast wiedział, że zatrzymało ją nic innego jak starania, by ukazać się Glormowi piękną. Miała na sobie brązową suknię, przy której ciepłóżółte włosy, będące bez wątpienia najpiękniejszymi włosami w Grombelardzie, wydawały się jeszcze bardziej słoneczne niż zwykle. Gdyby twarz mogła dorównać urodzie włosów, byłaby Arma najwspanialszą kobietą, jaką nosiła ziemia Szereru. Cóż... Za duże usta i trochę zbyt szeroko rozstawione oczy psuły wiele. Nie wszystko przecież. Arma miała dobrą, może nieco zbyt kręłą figurę, ale wysokie

koturny (dartański wynalazek, w Grombelardzie znany dotąd tylko w kręgu przedstawicielskiego dworu) wybornie tuszowały ten mankament. Przede wszystkim jednak Arma była serdeczna i czuła, swych towarzyszy z Gór traktowała jak rodzinę. Ta serdeczność promieniowała z niej zawsze, gdy była w gronie przyjaciół. Jedynie obecność Glorma przywoływała lekki, prawie nieuchwytny cień.

Rbit umiał nazwać ten cień. To był smutek, płynący z niemożliwych do spełnienia marzeń.

Glorm uściśnął ręce kobiety i zaprosił ją gestem, by usiadła.

– Mówimy o twoich legionistach – zagaił bez wstępów.

Skinęła głową. Wkrótce Król Gór wiedział tyle, ile ona.

– Nie wiem najważniejszego – przyznała pod koniec. – Legioniści rzeczywiście pragną się wykazać. Zdaje się, że planują jakieś porządki w Grombie. Nie wiem kiedy.

– W ogóle niewiele wiesz.

Kobieta zamilkła.

– Posłuchaj, Glorm – powiedziała po chwili – robię, co mogę. Ale oficerowie legii nie są wcale głupi. Z tych dwóch tylko jeden jest gadułą. Na dodatek zaraz wyjedzie. Może powinnam... poszukać trzeciego? Może urzędnika?

Jeśli miała nadzieję, że olbrzym zaoponuje, przeliczyła się.

– Znajdź, Arma.

Odwróciła wzrok.

– Nie – rzekł krótko kocur, wykazując godną podziwu odporność na wino, które spijał bez żadnego, zdawałoby się, umiaru. – Pozycja Army jest delikatna. Przez miesiąc czyniłem starania, by ją umieścić gdzie trzeba. Ale wystarczy cień podejrzenia, wystarczy, że ktoś zacznie dociekać, czy naprawdę jest kuzynką doradcy Księcia, i wszystko może runąć. Ten człowiek bierze masę pieniędzy za opowiadanie bajek o swoim z nią pokrewieństwie. Ale to dureń. Złoto nie zastąpi mu rozumu.

Glorm chodził po izbie, zamyślony.

– Gromb to dziura, tu wszyscy wszystkich znają – dorzucił jeszcze gadba. – I dobrze o tym wiesz. Arma może tu siedzieć nawet rok, pod warunkiem, że będzie nikim, czyjąś tam kuzynką. Nie może spać z całym Grombem, bo się doigramy.

– Może powinienem sam zająć się wszystkim – mruknął Kragdob. – Książę Przedstawiciel nie lubi pewnie, jak odwiedza go mężczyzna w sypialni. Zwłaszcza jeśli ten mężczyzna zaczyna dusić.

– Nie, przyjacielu. Co było, już nie powróci. Mogłeś trzymać za gardło tego starca, który rządził Grombelardem rok temu. Ale teraz mieszka w pałacu inny człowiek. Młody, odważny, ambitny i... mądry.

Olbrzym milczał.

– A może... pora? – rzekł wreszcie niejasno.

Arma i kocur wymienili spojrzenia.

– Pora – odrzekł sam sobie Glorm. – Myślę, że pora wynieść się stąd na zawsze.

Zaległa cisza.

– Mówisz to poważnie? – zagadnął Rbit, strosząc wąsy.

– Na Szerń, mówię o tym od trzech lat! – padła niemal groźna odpowiedź. – Myślisz, że jakikolwiek dowcip wart jest powtarzania przez trzy lata? Miło to słyszeć, że miałaś moje słowa za pijackie majaki!

– Naprawdę uważasz, że dartańska Rollayna uczyni cię szczęśliwym? – nie dowierzał Rbit.

– Naprawdę uważam, że grombelardzkie góry nie uczynią mnie takim. Mam prawie czterdzieści lat. Namachałem się mieczami i przesiąknęłam deszczem na wylot. Teraz chętnie kupiłbym dom i dziesięć młodych niewolnic, żeby drapały mnie po plecach.

– Zdajesz sobie sprawę, jak naiwnie to brzmi?

– Rzecz jasna. To naiwne, że nie chcę umrzeć w jakiejś górskiej jaskini czy w domu Koniarza, mając lat sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt. Czas płynie. Kości sztywnieją. Za dwadzieścia lat legendarny Basergor-Kragdob będzie bezdomnym starcem z kosturem w dłoni. Będzie siedział i cieszył oczy zgromadzonym za młodu złotem. Będzie przesypywał je lubieżnie z kupki na kupkę. Czy tak?

– Glorm – rzekła cicho milcząca dotąd Arma – nie uwierzę, że twoje życie służyło tylko gromadzeniu złota.

– A twoje, Armo? Twoje, Rbit?

– Przyjacielu, najlepiej urodzony kocur imperium nie musi łązić po górach, by zdobyć zaszczyty i majątek – rzekł z niejaką wyniosłością, ale i pogardą Rbit. – Idąc w góry, nie szukałem bogactwa. Idąc w góry, ja z niego zrezygnowałem. Ty mnie pytasz o moje złoto? Weź je sobie! I daj pierwszemu spotkanemu pastuchowi.

– Weź i moje – dorzuciła krótko Arma.

– Na Szerń – powiedział Kragdob – od trzech lat zamierzam opuścić Grombelard. Nie robiłem z tego tajemnicy przed wami. Wiem, że to samo planuje Delen. I Tewena. Czas nadszedł, to moja ostatnia wiosna w Ciężkich Górach.

– Ale najpierw trzeba ją przeżyć – zauważył po długiej chwili Rbit. – Czy może chcesz zaraz siodłać konia i jechać do Rollayny?

– Prawda, trzeba zakończyć wszystkie sprawy – zgodził się Glorm, puszczając mimo uszu złośliwy ton przyjaciela. – Chcę wiedzieć wszystko o tych „porządkach” w Grombie. Nie obchodzi mnie, Armo, czy znajdziesz sobie trzeciego ogiera, czy też jeszcze trzech. Na razie wszyscy zawiedliście. I ty, i Raner, i Rbit.

– Ty za to jesteś jak zwykle niezawodny! – rzekła ze złością kobieta. –

Zawsze wiadomo, co można od ciebie usłyszeć! Tak. Jedź do Rollayny.
Czas najwyższy, byś pozostawił mnie w spokoju!
Wyszła, z hukiem zamykając drzwi.

ROZDZIAŁ 7



Następnego dnia wieczorem Koniarz przyniósł wiadomość. Przyjął go Rbit (Glorm położył się już w sąsiedniej izbie).

– Nie do wiary! – rzekł z zadowoleniem, ale i zdziwieniem kocur, wysłuchawszy gospodarza domu. – Gdzie?

– W oberży, wasza godność, w Górskim Wietrze. Czy mam sprawdzić...?

– Nie, to niepotrzebne.

– A więc doprowadzić do spotkania?

– Także nie. Wiem już wszystko, co trzeba. Reszta to nie twój kłopot, zacny morderco koni.

– Wasza godność, mój fach...

– Nie męcz mnie, człowieku. Wiem już wszystko, powtarzam.

Koniarz przeprosił, uklonił się, przeprosił raz jeszcze, podziękował, przeprosił i wyszedł. Rbit polazł do drugiej izby.

– Nie do wiary! – powtórzył sobie z drżeniem wąsów.

o o o

Na stole walały się ogarki świec, skórzany but z wysoką cholewą, stała też miska z resztką kaszy i kilka pustych dzbanów po piwie. Wielka kałuża zalała stół i część podłogi. Pośrodku tego wszystkiego kopcił nadpęknięty, podły kaganek.

– Ładnie tu – rzekł rozbójnik, stając w drzwiach izby.

Rbit siedział pośrodku pomieszczenia.

– Popatrz tutaj – rzekł.

Królowa Gór leżała na prycy półnaga, z odrzuconą w tył głową, zwieszoną ku podłodze. Glorm uniósł brwi.

– No cóż... Ile piwa na raz wypić może kobieta?

– Ale żeby się aż tak upić?

– To się zdarza, Rbit. Inna rzecz, że nie bardzo wiem, co teraz można z nią zrobić.

– Zdaje się, że cokolwiek.

Popatrzyli po sobie.

– Zrób to „cokolwiek”, o którym myśli ten kawał futra, a utnę ci wszystko, co tam nosisz – rzekła chrapliwie kobieta, nie otwierając oczu, za to pokazując rękę, w której lśnił mocny nóż. – Na Szerń, oszukałam kota... Jestem wielka!

Kocur i mężczyzna patrzyli to na nią, to po sobie z prawdziwym zdumieniem.

– Ale poleżę jeszcze trochę, bo mi dobrze – podjęła wciąż z zamkniętymi oczyma. – Lubię piwo, a w Dartanie picie go uchodzi za nietakt. Wczoraj ktoś odwiedził mnie w nocy, było ciemno i narobił hałasu. Zdaje się, że to go spłoszyło, no to dzisiaj zostawiłam mu światło. Ale piwo piłam, przyznaję, czemu miałabym nie pić?

Rozwarła powieki, patrząc na nich niemal z poziomu podłogi. Łeb kocura znajdował się niewiele wyżej. Nastroszone wibrysy drgały w kocim śmiechu.

– Kobieto – powiedział – naprawdę mnie oszukałaś.

Jednym ruchem zmieniała pozycję na siedzącą i oparła dłoń na karku kocura. Potem wstała, wyciągając ręce do Glorma.

– Ale ciebie się nie spodziewałam.

Uścisnął jej dłonie z uśmiechem.

– No, Królowo. Co robisz w tej norze?

– Nora – potwierdziła, sięgając po przewrócony dzban; było w nim jeszcze sporo piwa. Pociągnęła tęgi łyk i oddała naczynie mężczyźnie. – Czekam na was. To jedyne, co mnie trzyma w Grombie. Chciałam do Rahgaru.

Usiadła na pryczy, potrząsając rozpuszczonymi, potarganymi włosami.

– Dopiero co stamtąd przyjechałem – rzekł rozbójnik. – Ubierz się, Armektanko. Wasze zwyczaje są tutaj, w górach, zupełnie nie na miejscu. Przyznaję, że nie umiem rozmawiać z gołą kobietą. A szczególnie kobietą niebrzydką.

– Co za miasto! – mruknęła szyderczo. – Od lat, zawsze tutaj słyszę to samo! Chociaż nie, to było w Badorze, nie w Grombie... Ale wciąż to samo.

– Widać nie bez powodu. Zbyt wyzywająco pokazujesz, skąd pochodzisz. I bez armektańskich zwyczajów wszyscy wiedzą, że to Armekt rządzi Szererem. Po co więc to wyzwanie?

Zamyśliła się nagle.

– Tak... – powiedziała z zadumą.

– Mniejsza – wtrącił kot, rzeczowy jak zwykle. – To niedobre miejsce do rozmowy. Pozbieraj swoje rzeczy, a ja sprowadzę szynkarkę. Niech nas wypuści tak, by nikt nie widział. Tylnym wyjściem – dorzucił wyjaśniająco – tak jak weszliśmy. Glorm zwraca uwagę, a i ja nie lubię, gdy jakiś pijak szarpie mnie za ogon, sądząc widać, że brak oczu uczyni

go szczęśliwszym.

– Poczekaj, Rbit – przerwała – a więc nikt nie wie, że tu jesteście?

– Chyba nie.

– To wynoście się tą samą drogą, co przyszedliście. Chcę wiedzieć, kto wczoraj mnie odwiedził. Może jeszcze przyjdzie. Gdzie was szukać?

Rbit wyjaśnił, jak trafić do domu Koniarza.

– A może lepiej zaczekamy? – rzekł na koniec.

Glorm potrząsnął głową.

– Ty czekaj. Ja nie zdołam schować się dość dobrze.

– Nie potrzebuję pomocy – zauważyła łuczniczka.

– Wierzę ci, pani – zapewnił olbrzym, kładąc dłoń na sercu. – Toteż wcale jej od Rbita nie otrzymasz... jeśli nie będzie potrzebna. Teraz pozwól, by twój niegodny sługa odszedł, zabierając przy tym twego konia w jakieś lepsze miejsce.

– Deresz – powiedziała. – Pełnokrwisty dartańczyk.

Skinął ręką i wyszedł.

– Czy i ty nie potrafisz rozmawiać z nagą kobietą? – zapytała ironicznie Armektanka, spoglądając na kota. – Zdaje się jednak, że nikt zdrowy na rozumie nie sypia w odzieniu? Jeśli zasadzka ma się udać... Schowaj się w ogóle.

– Zaufaj mi – rzekł przekonująco kot. – Usłyszę tego człowieka, choćby szedł powietrzem. Stawy skrzypią, oddech świszczę, a kapota szeleści. Tak to już jest na tym świecie.

Zaśmiała się cicho, kładąc na łóżku.

– Ale ty rzeczywiście bądź gotowa – zaaprobował. – Wiesz, że to może potrwać? Nie jest jeszcze wcale tak późno.

– Nie uwierzysz, ale potrafię być cierpliwa jak kot.

– Uwierzę. Ktoś, kto zabija sępy, musi znać sztukę bycia cierpliwym.

Rozmawiali dalej po cichu.

– Ciężkie Góry tęskniły za tobą.

– Słyszałam.

– Gdzie byłaś?

– Zostałam żoną Baylaya, kocie. Żoną Dartańczyka.

– Jednak. I co dalej?

– Co dalej... Nic. Znowu jestem tutaj.

– Na długo?

– Na zawsze, Rbit.

Wydało jej się, że słyszy coś w rodzaju westchnienia. Popatrzyła zdziwiona. Nigdy nie spotkała się u Rbita z czymś takim.

– Rbit?

– Czy byłbym dobrym pomocnikiem w zabijaniu sępów, Łowczyni?

Ze zdumienia aż uniosła się na łokciu.

– Ty, Rbit? Moim pomocnikiem? Na Szerń, co się stało?

Pochylił łeb z nagłym znużeniem.

– Niepotrzebnie zacząłem – rzekł po długiej chwili. – Starzeję się, Królowo.

Wciąż patrzyła, nie rozumiejąc.

Położyła się na powrót.

– Czemu nie jesteś mężczyzną, Rbit? – zapytała po długiej chwili. – Jak byś wyglądał, gdybyś był człowiekiem?

– Nie wiesz? – zapytał całkiem poważnie. – Znasz kogoś, kto jest mną, nie będąc kotem.

– To prawda – szepnęła.

Przez chwilę milczeli.

– I co? – zapytał, ale tak, że nie mogła odebrać tego źle.

– I chyba go chcę – powiedziała odważnie, uśmiechając się lekko.

o o o

Oczekiwany gość pojawił się nieprędko. Karenira, chlubiąca się swoją kocią cierpliwością, musiała złożyć jej dowody tej nocy, przybysz bowiem był niezwykle ostrożny. Ukryty pod pryczą Rbit świetnie słyszał oddech przyczajonego przy szparze w nieomkniętych drzwiach człowieka. Domyślił się, że tamten pragnie zyskać całkowitą pewność, iż kobieta śpi dostatecznie twardo. Jednak Karenira udawała doskonale.

Drzwi skrzypnęły cicho. W marnym świetle kopącego kaganka pojawił się niezbyt wysoki mężczyzna. Znowu zastygł na moment, patrząc na łuczniczkę, po czym przesunął się zręcznie do ściany pod oknem, gdzie złożone były jej rzeczy. Pochylił się nad podróżnymi sakwami.

Prycza zatrzeszczała. Mężczyzna drgnął i odwrócił się szybko. Armektanka mierzyła go wzrokiem, zagradzając drogę do drzwi.

– Przez ciebie, mój dobry człowieku, straciłam całą noc – powiedziała ponuro. – Ale moja wściekłość nie dorównuje ciekawości. Dlatego zanim rozbiję ci głowę o ścianę, powiedz prędko: czego szukałeś?

Mężczyzna milczał, czujnie patrząc jej w oczy.

– Hejże – mówiła dalej – czemu milczysz, przyjacielu? Cóż to wzbudziło twoje pożądanie w bagażach ubogiej podróżniczki? Złoto oddałam w depozyt, bo nie mogłabym wyjść z tej izby. Ktoś trzyma pieniądze w takiej norze?

– Pozwól mi odejść, pani.

Spokój nieznanego uderzył leżącego pod pryczą kocura. Zwykły opryszek przyłapany na gorącym uczynku reagował zupełnie inaczej. Rbit zastanawiał się, czy nie przerwać niedorzecznej pogawędki. Tym bardziej że Karenira najwyraźniej zaczęła się bawić, zapominając, że całe zajście jednak zabawą nie jest.

– Odejść? Nie, mój drogi gościu... Jeśli trzeba, spędzimy razem całą

noc – rzekła z sarkazmem, zbliżając się ku niemu.

– Z tobą, pani, nie spędziłbym dobrowolnie nawet jednej chwili – odrzekł surowo mężczyzna.

Łuczniczka osłupiała.

– Wyjaśnij mi to, ty ścierwo – zażądała wreszcie, tracąc panowanie nad sobą. – Cóż to nie podoba się nocnemu złodziejowi w Pani Gór? Cóż to za prawdy usłyszałeś o mnie, śmierdzący rzezimieszku?

– Nie podchodź, pani – padło ostrzeżenie.

– Nóż?! – syknęła zdumiona. – Ty pluskwo...

Rbit usłyszał bojowy wrzask Armektanki i wyskoczył na środek izby w samą porę, by ujrzeć, jak mężczyzna wylatuje przez okno. Pchnięte okiennice trzasnęły po obu stronach futryny i przymknęły się na powrót.

– Ugryzł mnie! – zawyła łuczniczka, pokazując skaleczoną nożem dłoń. – Zabiję go na śmierć, gdzie on jest?!

Skoczyli oboje do okna, ale w tej samej chwili budynkiem wstrząsnęło potężne uderzenie. Wyjrżeli. Nożownik leżał pod ścianą gospody; najwyraźniej ciśnięto nim o ścianę.

– Długo was nie było, więc wróciłem – wyjaśnił Kragdob, zadzierając głowę. – Zamknij drzwi, wasza godność – rzekł do kobiety – zaraz będzie tu zbiegowisko. Zmykajmy.

Wkrótce Rbit i Karenira wyskoczyli przez okno na tyły gospody. Kobieta wzięła swoje sakwy podróżne, rozbójnik podniósł bezwładne ciało. Stał przez chwilę, po czym z powrotem złożył je na ziemi.

– Hm...

– Bierz go i chodź – ponaglił kocur.

– Trup – wytłumaczył zwięźle mężczyzna. – Mam brać trupa?

– Bardzo pięknie. Chodźmy.

W zajeździe płonęły już liczne światła, gdy chyłkiem, pospiesznie przemykali ku domowi Koniarza.

ROZDZIAŁ 8



Karenira z namysłem wodziła palcem po blacie stołu. Napiła się wina, dostarczonego przez gospodarza.

– Nie rozumiem – rzekła wreszcie. – Nie rozumiem – powtórzyła. – Nie obchodzi was, że ktoś, podszywając się pod was... Przecież w końcu... Pogromca płacił daninę? Myślałam, że każdy, kto to robi, jest niejako pod waszą opieką?

– Nie, Karenira.

Spojrzała na Basergora-Kragdoba. Ten – dziwnie milczący – pokazał gestem, że Rbit przemawia w imieniu ich obu.

– Każdy, kto płaci haracz, może być pewien, że zostawimy go w spokoju – wyjaśnił kocur. – Tylko tyle. Aż tyle. Mielibyśmy bronić wszystkich grombelardzkich kupców, karczmarzy i rzemieślników? Od tego są legie!

– No dobrze, ale jeśli okaże się nagle, że ograbiacie tych, którzy płacą... wieść rozejdzie się szybko. Kto zapłaci daninę, jeśli w niczym mu to nie pomoże?

– Masz rację. Bywało, że ten czy inny rzezimieszek podawał się za posłańca Króla Gór, licząc, że wywrze odpowiednie wrażenie. Ścigaliśmy takich ludzi.

– A zatem?

– Teraz, Karenira, jest inaczej. Władcy Gór porzucają swoje królestwo.

– Nie rozumiem. Co masz na myśli?

– Wyjeżdżamy, Karenira. Na zawsze.

– Wyjeżdżacie? Dokąd, na Szerń?

– Do Dartanu. Może do Rollayny?

– Nie – powiedziała. – Glorm?

– Wyjeżdżamy – potwierdził chmurnie.

– Do Rollayny?

– Być może.

– Ale... Góry? Grombelard?

– Bez nas – odrzekł krótko Rbit. – Ktokolwiek przybrał nasze imiona,

prędzej albo później wpadnie w ręce żołnierzy. Może poskowyczy w piwnicach Trybunału...

Basergor-Kragdob wyrznął dłonią w stół.

– Posłuchaj mnie, Rbit – powiedział spokojnie, a nawet z czymś w rodzaju uśmiechu. – Przyjąłem do wiadomości, że przeciwny jesteś mojemu wyjazdowi do Dartanu. Ale przecież ty możesz zostać w Grombelardzie. Choć przyznaję, że łatwiej przyjdzie mi rozstać się z Ciężkimi Górami niż z tobą. Myślałem, że się nie rozstaniemy.

Armektanka patrzyła, milcząc.

– Ale proszę – ciągnął Glorm – nie próbuj grać na moich ambicjach. Wiesz doskonale, że nie chcę, by jakiś dureń, obojętne, ludzki czy koci, zszargał naszą sławę. Zastanówmy się wspólnie, czy można temu zapobiec. Czy warto próbować. Kiedyś odejdziemy z Ciężkich Gór. Obojętne, czy do Dartanu, czy tam, gdzie odchodzą wszyscy. Odejdziemy, pozostawiając naszą legendę, i ktoś na pewno ją splugawi. Czy to, że teraz zarżniemy fałszywych władców Gór, może temu zapobiec?

– Nie wiem. Ale jeśli już tak musi być, że pierwsze z brzegu ścierwo z ogonem przybierze sobie bezkarnie moje imię, i może ośmieszy je jeszcze, to uwierz: wolę, by moje oczy były wtedy zamknięte, a uszy nie słyszały już nic.

Spojrzał na kobietę, a potem znów na olbrzyma.

– Glorm – powiedział – nie mogę pogodzić się z twoją decyzją. Ale możliwe, że to ty masz rację.

Rozbójnik zmarszczył czoło. Rbit, jak każdy kot, w ogóle nie potrafił przeproszać. Ale przyznał się do wątpliwości. Król Gór zdał sobie sprawę, że jego przyjaciel przeżywa decyzję opuszczenia Grombelardu bardziej nawet, niż dotąd okazywał.

– Wiem, Rbit, że moje dobro leży ci na sercu.

Wyciągnął rękę i oparł ją na twardym barku kocura.

– Mam nadzieję, że obaj jesteście pijani – powiedziała Łowczyni. – Odeśpicie swoje i żaden nigdzie nie wyruszy... A teraz zacznijmy od początku: co z tą bandą na Sępiej Przełęczy? Chcę wiedzieć, czego się trzymać.

Rbit pochylił uszy do tyłu.

– Jedna rzecz jest dla mnie niejasna – powiedziała jeszcze Karenira. – Jak to możliwe, że jakikolwiek kot, obojętnie, głupi czy mądry, podszywał się pod twoje nazwisko? Nigdy w życiu nie słyszałam o czymś takim!

– Karenira – rzekł Rbit – pomyśl: jeśli coś jest dla jakiegoś plemienia czy rodzaju najwyższą wartością, to nie znaczy, że dla wszystkich i zawsze. Czy każdy Armektańczyk szanuje wszystkie tradycje? Czy nikt się im nie sprzeniewierzył? Wasze przywiązanie do zwyczajów ojców

jest powszechnie znane i omal przysłowiowe. Lecz co z tego? Obalajmy mity, Karenira.

– Ale ja uważałam, że wy... że koty po prostu nie potrafią zmyślać. Kłamać.

– Werk. Potrafią jednak milczeć. Ja także milczałem, gdy moi podkomendni chępnili się zwycięstwem na Przełęczu Mgieł. Zwycięstwem, które odniósł ktoś inny.

Przez chwilę trwała cisza.

– Co ty właściwie obiecałaś temu legioniście? – zapytał Rbit. – Że mu pomożemy?

– Nic mu nie obiecywałam – zaoponowała. – Powiedziałam tylko, że mogę powiadomić prawdziwego Basergora-Kobala o tym, co się stało. Powiedziałam też, że powiadomię was, przeciw komu wyruszyła ekspedycja karna z Riksu. Spytał, czy mogę sprawić, żeby jego ludziom nic nie groziło ze strony waszych grup. Powiedziałam, że to nie ode mnie zależy.

– Bardzo słusznie – pochwalił Glorm.

– Jakie są twoim zdaniem szanse tych legionistów? – zapytał Rbit.

Wzruszyła ramionami.

– Na przychwycenie tej grupy? Takie same jak zawsze. Jeden do dziesięciu albo do piętnastu... Góry są duże. Jest gdzie się schować.

– Cóż, Glorm?

Basergor-Kragdob uniósł brwi.

– Ci żołnierze poszli w stronę Badoru, w Ciężkie Góry, mówisz? Można powiadomić Mavalę, ona ma tam swoją hołotę. Ale Mavalą i tak wypruwa flaki z każdego obcego, którego złapie na swoim terenie. A nasze oddziały?

Rbit rozważał głośno:

– W Badorze siedzi Tewena. Może uda jej się porozumieć z Kaga. Jeśli Kaga dowie się o tym, że ktoś udaje Basergora-Kobala... Ale kto wie co przyjdzie do głowy Kadze?

– Czy to ta dziewczyna, która wtedy...?

– Tak, Karenira, ta sama. Ale Kaga... zmieniła się bardzo. Prawdę mówiąc, od dwóch lat właściwie nam nie podlega. Dogadała się jakoś z Mavalą, przynajmniej na tyle, że nie wchodzi sobie w drogę. Do czasu. Może już za rok Kaga będzie dość silna, by nie bać się w górach nikogo. Szczególnie jeśli nas już nie będzie. Właściwie, Glorm – skonstatował niespodziewanie – może ten wyjazd do Dartanu będzie miał też swoje dobre strony? Jeśli zdecydowalibyśmy, że zostajemy, to jeszcze w tym roku należałoby pobić wszystkie oddziały, które podlegają Kadze, a ją samą... Lubilem i lubię tę wojowniczkę. Zdaje się, że Ciężkimi Górami będą rządzić kobiety – zauważył z lekkim rozbawieniem. – Odkąd wojsko złapało starego Hageną, oprócz nas liczą się w górach właściwie

tylko Mavala i Kaga. No i przecież, Królowo, będziesz jeszcze ty. Ciekaw jestem, jak dogadasz się z Kaga.

– Czy dobrze rozumiem, że nie zamierzacie sami ruszyć w góry? – zapytała Karenira, wracając do tematu.

Glorm i Rbit wymienili spojrzenia.

– Nie, Karenira. Prawdę mówiąc, mamy sporo różnych kłopotów nawet tu, w samym Grombie. Kiedy indziej pewnie byśmy poszli. Ale teraz nie.

Rozmowę przerwało dobiegające z dołu, z głębi domu, energiczne łomotanie w drzwi. Glorm zmarszczył brwi.

– Kogo przyniosło?...

Łomotanie powtórzyło się, potem znowu. Wreszcie drzwi otwarto. Glorm i Rbit poznali głos Koniarza. Odpowiedział mu drugi, obcy. Po chwili rozmowa przerodziła się w kłótnię. Gospodarz wzywał pachółków.

Glorm nachmurzył się jeszcze bardziej. Wyszedł do sąsiedniej izby i wrócił po chwili, dopinając pas z mieczem.

– Sprawdź, co się dzieje – rzekł kot, ruszając ku drzwiom.

Zbiegł po ciemnych schodach i zajrzał do przechodniej izby. Inne schody wiodły stąd na pierwsze piętro kamienicy. Kiedyś szło się po nich także i wyżej, ale na żądanie (i za złoto) Basergora-Kragdoba Koniarz dom przebudował.

Gdy Rbit dotarł na dół, z izb na parterze wybiegali właśnie dwaj służący Koniarza, każdy z tęgim kijem w garści. Gospodarz szamotał się w drzwiach z wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Na widok służby intruz sięgnął po miecz.

Kocur nie bardzo chciał się pokazywać, wyglądało jednak na to, że za chwilę przed domem dojdzie do paskudnej bijatyki, jeśli nie rąbaniny. Jakikolwiek szum wokół tego budynku był niepożądany.

Schody zaskrzypiały.

– Na Szerń – powiedziała zdziwiona Karenira – znam tego człowieka.

– To go zaprosz lub przepędź, tylko szybko.

Koniarz cofnął się, by dać miejsce pachółkom. Ale skorzystał z tego nieproszony gość. Wtargnął do izby i natychmiast zamknął za sobą drzwi. Zaraz jednak oberwał kijem w ramię.

– Wasza godność! – zawołał gospodarz na widok łuczniczki. – Ten człowiek...

– Znam go – przerwała.

Mężczyzna z mieczem rozepchnął zdezorientowanych służących i podszedł do niej, rozmasowując bolące ramię. Schował broń.

– Wasza wysokość, musimy porozmawiać – powiedział, zupełnie ignorując gospodarza domu. – To bardzo pilne i ważne.

Patrzyła z namysłem.

– Bez brody byłeś przystojniejszy, mój dartański halabardniku – zauważyła.

Z pierwszego piętra po schodach złądzić zaczęła jakaś wystraszona hałasem para w nocnych koszulach. Koniarz skinął na służbę, by pogoniła ciekawskich.

– Wasza wyso... godność – ponowił prośbę Dartańczyk – mam ważną sprawę. Proszę o krótką rozmowę, nic więcej.

– Gdzie możemy porozmawiać, gospodarzu? – zwróciła się do Koniarza, nie chcąc prowadzić obcego do Glorma i Rbita.

Wskazał drogę.

– A choćby w izdebce służby, wasza godność.

Wziął ze stołu kaganek i podał Armektance.

Poszli, gdzie powiedział. Zamknęła za sobą drzwi i chciała pytać, ale halabardnik uprzedził ją.

– Wasza godność – powiedział – człowiek, którego twój przyjaciel zabił na tyłach gospody, był szpiegiem Trybunału. I nie działał sam. Drugiego zarząłem dopiero co przed tym domem i zaniósłem w ciemną ulicę. Ale jeśli każesz mi przysiąc, że nie było trzech, to nie przysięgnę.

Zaniemówiła.

– Oszalałeś, panie? – wykrztusiła wreszcie, osłupiała. – Kim ty jesteś właściwie? Dlaczego chodzisz za mną?

– Wolalbym nie mówić. Ale zrobię to, jeśli będzie trzeba. Teraz najważniejsze, że widziano cię wchodzącą do tego domu w towarzystwie mężczyzny i kota. Nie chcę wiedzieć, kim są. Ale jeśli przypadkiem byli poszukiwani przez Trybunał, to znaczy, że właśnie ich znaleziono. Że może im grozić niebezpieczeństwo, a tobie razem z nimi.

Otrząsnęła się trochę. Spostrzegła, że wciąż stoi z kagankiem w ręku. Postawiła go na stole.

– Dobry panie – powiedziała – pojawiaasz się w środku nocy nie wiadomo skąd i opowiadasz mi jakieś historie. Nie. Obawiam się, że musisz wyjaśnić mi wszystko.

Powoli, by nie wzięła tego za atak, wyjął miecz i podał jej, trzymając za ostrze.

– Dobrze, pani – odparł. – Ale teraz czas nagli, za chwilę może być tu wojsko. Weź tę broń, jeśli mi nie ufasz, zwiąż mi ręce i zostaw pod strażą tych dwóch drabów z pałkami. Potem idź do swoich przyjaciół, jeśli ci na ich bezpieczeństwie zależy, i skłoń, by wynieśli się stąd dokądkolwiek. Pójdę z wami. I wszystko wyjaśnię.

Zważyła miecz w dłoniach, przygryzając wargę.

– Właściwie... dlaczego nie?

Odwróciła się i wyszła.

– Pilnuj go – poleciła Koniarzowi.

Rbit czekał na schodach.

– Spotkałam tego człowieka na trakcie – wyjaśniła. – To Dartańczyk, zna mnie z Rollayny.

Powtórzyła kocurowi treść rozmowy.

Rbit namyślał się krótko.

– Idę po Glorma – oznajmił. – Powiedz gospodarzowi, żeby sprzątnął po nas izby. Jak zwykle. Wynosimy się.

Pobiegł na górę. Obejrzała się na Koniarza, ale ten skinął na znak, że słyszał słowa kota.

Glorm miał już na sobie kolczugę, wciągał właśnie kaftan. Zabrał swoją broń i wskazał łuczniczce jej sakwy. Podał sajdak.

– Gdzie idziemy?

– Na przedmieście, do chałupy Koniarza.

– Brama jest zamknięta – przypomniała.

– Rzecz jasna. Ale, Królowo, gdybym znał z tej dziury jedno tylko wyjście, które zamknąć i obsadzić może pięciu chłopca, tobym nigdy tu nawet nie zajrzał.

Wkrótce zbiegali po schodach.

Glorm zamienił parę słów z gospodarzem. Karenira wywołała Dartańczyka. Oddała mu miecz.

– Przeszkadza mi – rzekła sucho. – I bez tego mam co dźwigać.

Bez słowa wziął jej sakwy.

Rbit wyrzwał na ulicę i ruszył pierwszy. Podążyli za nim. Starannie wystrzegając się spotkania z nocnym patrolem i w ogóle z kimkolwiek, szli przez uśpione miasto. Rbit wciąż prowadził, bezszelestnie przemykając wzdłuż murów kilkadziesiąt kroków przed pozostałą trójką. Uważnie przepatrywał kolejne ciemne przecznice, nim dał znak, że droga wolna.

Zatrzymali się w nieprzyjemnym zaułku. Kocur gdzieś przepadł. Karenira dotknęła ramienia rozbójnika, ale ten uspokajająco poklepał ją po dłoni.

Czekali dość długo.

Rbit wrócił, prowadząc jakiegoś człowieka, którego sylwetka niewyraźnie majaczyła w mroku.

– Słyszałam, że zebrałeś cięgi – odezwał się Król Gór. – Jak to było?

Nie czekając na odpowiedź, ciągnął:

– Rbit powiedział ci już pewnie to i owo. Bez paniki. Ale zadbaj, by twoja siostra nie szukała nas. Bez imion – ostrzegł. – Nie jesteśmy sami. Słyszałeś? Ma nas nie szukać. Niech robi, co robiła, ale ostrożniej. Dwóch wystarczy. Powtórz jej to, będzie wiedziała, o co chodzi.

Okryty mrokiem mężczyzna przytaknął.

– Szewcy – rzekł. – Co z nimi?

– To teraz mało ważne. Chociaż... właściwie dlaczego? – zreflektował się Glorm. – Dobrze. Nie chcą płacić?

– Nie.

– Postraszyłeś?

– Tak. Dalej wierzgają.

– Starszy cechu ma dzieci?

– Czwórkę. Najstarszy ożenił się właśnie. Też ma warsztat.

– Czyli już nie chłopiec. Dobrze. Utop go w studni, blisko domu ojca.

Na studni napisz jego imię, a trochę dalej imiona pozostałej trójki. Stary powinien zrozumieć. Wszystko?

– Tak.

– To wracaj pod pierzynę, do swojej lubej. Kup jej jutro ode mnie coś ładnego. Rozliczymy się przy okazji.

Klepnął mężczyznę w ramię i pchnął lekko w mrok.

– Widzisz, panie – rzekł do stojącego obok Dartańczyka, ujmując go pod rękę – teraz będziesz musiał udowodnić, że naprawdę jesteś szczerym przyjacielem Łowczyni. Jeśli okaże się inaczej, to okaże się także, że słyszałeś dzisiaj zbyt dużo.

Ruszyli ku murom miejskim.

ROZDZIAŁ 9



W domu uzdrawiacza koni znaleźli się o świcie. Przysadzisty pacholek, pomocnik Koniarza, najwyraźniej upił się wieczorem straszliwie, korzystając z nieobecności pryncypała, bo zwleczony z brudnego barłogu, wyglądał zupełnie jak świnia. Glorm przekazał mu wiadomość od znachora, ale równie dobrze mógł nie powiedzieć ani słowa, pacholek bowiem obejmował tylko głowę i śmierdział jakąś trucizną, odbijającą mu się nieustannie. Zniecierpliwiony rozbójnik kopnął go wreszcie i zostawił w spokoju.

Znaleźli trochę sera i czerstwego chleba oraz gigantyczną, nadgryzioną co prawda, kaszankę. Popijali winem, skrzywieni, bo było równie zacne jak pacholek.

– Wszyscy – zagał wreszcie Król Gór – niewiele spaliśmy ostatnio. Szkoda zatem czasu. Mów, panie, co masz do powiedzenia.

Dartańczyk skinął głową.

– Jestem A.A.Vilan, halabardnik gwardii Księcia Przedstawiciela w Rollaynie.

– Były halabardnik – wtrąciła złośliwie Karenira. – Jadący do Złego Kraju.

– To nieprawda – zaprzeczył.

Pokazała gestem, że wie.

– Wtedy na gościńcu poprosiłem, pani, byś przyjęła mnie na służbę. Nie było to całkiem uczciwe, bo służę już komuś innemu.

– Komu?

– Jego wysokości A.B.D.Baylayowi.

Rbit i Basergor-Kragdob wymienili spojrzenia. Armektanka siedziała nieruchoma, z rozchyłonymi ustami. Sprężyła się nagle i Glorm już sięgał, by pochwycić ją, zanim rzuci się na Dartańczyka. Kobieta jednak pozostała na miejscu.

– Czy to żart? – zapytała.

– Nie, pani – odparł powoli Vilan. – Proszę, nie gniewaj się na mnie. Jestem tylko narzędziem, najemnikiem. Zapłacono mi więcej, niż zarobiłem dotąd przez całe swoje życie, wykonuję więc sumiennie swoją

pracę. Tylko tyle.

– Tylko... tyle? – zapytała z niebotycznym zdumieniem. – Jesteś płatnym szpiegiem... i mówisz „tylko tyle”?

– Nie jestem szpiegiem – zaprzeczył Dartańczyk. – Nie mam obowiązku powiadamiać księcia, twojego małżonka, pani, o czymkolwiek. Mam cię chronić, pani. Najlepiej jak umiem.

– Halabardnik? Chronić?... Łowczynię?! – pytała urywając, z coraz większym zdumieniem i gniewem. – Nie, na Szerń... To jakaś kpina! I ON cię wysłał?!

Wstała.

– Wasza godność – Dartańczyk wciąż mówił spokojnie, jakby nie wiedząc, że spokój mężczyzny jest tym, co najbardziej rozjusza zdenerwowaną kobietę – jestem... czy też raczej byłem...

Skoczyła na niego. Glorm, czujny i przygotowany, przechwycił ją zręcznie. Dostał za to w szczękę, a potem łokciem w brzuch, równie dobrze jednak mogłaby rąbnąć kolejno podkowę i kirys topornika.

– Puść mnie, na wszystkie moce! – zawyła. – Zabiję go! Ooooo! Zabiję!

– No dlatego trzymam! – huknął na nią tak potężnie, że znieruchomiała. – Dajże mu powiedzieć do końca!

Nie puścił. Wydyszała się i uspokoiła.

– Byłem – podjął Vilan na wezwanie kocura – wywiadowcą Trybunału Imperialnego w Rollaynie.

Wiadomość wywarła wrażenie.

– Halabardnikiem także – uzupełnił, kierując słowa do Rbita, jakby bał się nowego wybuchu Armektanki. – Ale jednak przede wszystkim tajnym wywiadowcą Trybunału. Może to tłumaczy, dlaczego bez większego trudu rozpoznałem „opiekunów” jej godności. W Górskim Wietrze byliście bardzo nieostrożni. Gdy przyłapie się nocnego złodzieja, może warto nie tylko go zabić... ale jeszcze obszukać.

Glorm, raczej obejmujący już niż trzymający Karenirę, po raz drugi wymienił spojrzenie z przyjacielem.

Dartańczyk sięgnął w zanadrze.

– To są pisma, oczywiście fałszywe, które miały być podrzucone jej wy... godności. Wynika z nich, że działała na szkodę imperium. Rzekomy złodziej nie dość, że nie chciał nic zabrać, to próbował jeszcze zostawić. Gdyby się udało, rano albo jeszcze w nocy przyszliby żołnierze. Dowód znaleźliby w sakwach... Przekazano by jej godność w ręce Trybunału. Co chciano usłyszeć, nie wiem. Wątpię, żeby sprawa skończyła się naprawdę źle, to słabe dowody, a jej godność jest dartańską magnatką...

– Nie jestem.

– ...i Armektanką Czystej Krwi, ale zatrzymano by ją z całą pewnością. Może by gdzieś przewieziono, wielokrotnie przesłuchiowano. Śledziłem człowieka, który szedł za wami – kończył Vilan. – Jednak

w ciemnościach nie miałem żadnej pewności, że sam nie jestem śledzony. Mało prawdopodobne, by tak było. Ale możliwe. Jakim sposobem – zapytał, znów zwracając się do kocura – nie dostrzegłeś, panie, że ktoś idzie za wami?

– No właśnie – zamyślił się Rbit. – Gdyby nie ta drobna niejasność, uwierzyłbym pewnie, panie, w twoją historię...

– Jesteś nieomylny i zawsze tak samo czujny, wasza godność?

Rbit stulił uszy.

– Obalajmy mity – rzekł z ponurą ironią do łuczniczki. – Nie jestem. Zresztą biegłem przodem – dorzucił – wypatrując raczej patroli wojskowych niż wieczornych pijaczków czy włóczęgów.

Dartańczyk uniósł trochę brwi i skąpym gestem rozłożył ręce.

Przez chwilę trwała cisza.

– Te pisma, których jeszcze nie czytałam – powiedziała wreszcie Karenira, spokojnie już oparta na obejmujących ją ramionach olbrzyma – nie mogą być dowodem, że mówisz prawdę. Kto zaręczy, skąd naprawdę je masz? I do czego miały ci służyć?

Wydobył pierścień, zawieszony na łańcuszku na szyi.

– Poznajesz, pani? Wiele takich widziałaś?

Zacisnęła usta, rozpoznając wielki szmaragd Baylaya.

– Czy ukradłem go z palca twego męża? A może kupilem?

– Nie mów do mnie tym tonem, Dartańczyku! – zaperzyła się znowu. – Tak czy owak, jesteś dla mnie tylko JEGO szpiegiem! I przestaniesz nim być, jak tylko puści mnie to drzewo! – Powtórnie wpadła we wściekłość. – Na Szerń, to małżeństwo wygasło zgodnie z prawem! Oddałam mu jego rodowe monogramy i wolność! A odzyskałam... odzyskałam własną! – Aż się zachłusnęła. – Odzyskałam! Nie po to, żeby jakiś halabardnik i szpicel ją zohydził!

– Dlaczego ludzie Trybunału nie czekali, aż Łowczyni doprowadzi ich do nas? – zagadnął Glorm, pragnąc rozwiązać ostatnie wątpliwości, ale przede wszystkim odwrócić uwagę Armektanki.

– No? Dlaczego? – podjęła wojowniczo.

– Dość długo wasza godność tkwiła w tym zajeździe, nic nie robiąc. Ja sam myślałem, odnalazłszy cię tam, że jedynym twoim celem jest, pani, picie piwa... A ci ludzie, oni odnaleźli cię jeszcze później. Skąd mieli wiedzieć, że przyjechałaś do Grombu, by spotkać swoich przyjaciół?

Sposepniała nagle.

– Chyba wiem skąd... Na Szerń, uwierzyłam w układ z żołnierzem, myślałam...

Pokręciła głową.

– No, komendancie, tym razem legia będzie miała naprawdę duży powód, żeby mnie nie lubić.

– Podoba mi się ten człowiek – rzekł niegłośno Glorm, gdy Dartańczyk i Karenira zasnęli. – Jak mówisz? Kłamie?

– Wątpię – odparł kot.

– A może dopiero teraz wpadliśmy w zasadzkę, Rbit? Może to jest prawdziwy i jedyny szpieg Trybunału?

– Dartańczyk? I z tym pierścieniem? Zresztą tym razem na pewno nikt nas nie śledził. Miałby działać samotnie? Wystarczy nie spuszczać go z oczu, by udaremnić mu wszelkie wrogie zamiary. Co zrobi? Otruje nas? Zadusi?

– Prawda.

– Śpij, Glorm. Będę czuwał. Potem cię obudzę... na wartę.

Olbrzym uśmiechnął się lekko, położył ramiona na stole, a głowę na ramionach.

– Rbit? – powiedział cicho. – A pamiętasz nasze pierwsze warty w górach?

Zamknął oczy.

– Ależ się wtedy bałem...

ROZDZIAŁ 10



Był środek lata. Dzień, ponury, jak to w Grombelardzie, miał się ku końcowi. Dokuczliwy deszczyk padał od południa, nie słabnąc ani nie przybierając na sile. Niesiony na ramionach jednostajnego wiatru, szeleścił monotonna, pokrywając górski trakt wilgocią.

Tętent kopyt łatwo przebił się przez szum wiatru i szmer deszczu. Coraz wyraźniejszy i bliższy, umilkł nagle. Potem rozległo się rżenie wierzchowca i nowy tupot kopyt, ale teraz w jego tle rozbrzmiały, niewyraźne jeszcze, odgłosy galopu innych koni.

Był niewielki lasek – właściwie parę drzew – między którymi przebiegała droga. Smutne rośliny, zwane tutaj góorskimi brzozami (tylko dlatego, że miały białawą korę), nie nadawały się na opał i dlatego przetrwały. Ich gałęzie nie pozwalały dostrzec jeźdźca – aż wypadł nagle spoza nich. Koń zarżał znowu, boleśnie. Jego krok nie był już galopem ani nawet klusem. Zwierzę potknęło się i zatrzymało. Jeździec obejrzał się, jeszcze raz uderzył piętami ciężko pracujące boki wierzchowca, po czym zeskoczył z siodła. W tej samej chwili koń klęknął ciężko, zachwiał się i padł.

– Ty bydlę! – wrzasnął jeździec, odskakując na bok i dobywając miecza.

Śpiewny język słonecznego Dartanu tutaj zdawał się zupełnie nie na miejscu. A przecież miał chyba moc Formuły, bo oto z za zakrętu drogi, wijącej się serpentynami ku północy, wypadł oddział złożony z ośmiu lub dziewięciu jeźdźców. Samotny człowiek z mieczem nie widział ich jeszcze i nie słyszał, chłonąc o wiele bliższy łomot kopyt pomiędzy brzozami. Jeszcze chwila – i wyłoniło się spoza nich kilka koni, dosiadanych przez ludzi w hełmach i szarych płaszczach. Dartańczyk przygotował się do walki, ale żołnierze wstrzymali wierzchowce, w osłupieniu patrząc poza jego plecy. Właściciel zajeżdżonego zwierzęcia obejrzał się i krzyknął z radości, uciekając pod skalną ścianę na poboczu drogi.

Nadciągająca gromada przewaliła się obok niego i wpadła na

legionistów, próbujących zbiec między drzewa. Ktoś wrzasnął przeraźliwie, zadźwięczało raz i drugi żelazo, potem jeszcze jeden krzyk – i wszystko umilkło.

Jeźdźcy pozeskakiwali z siodeł. Wszyscy byli znakomicie uzbrojeni, w kolczugach i z mieczami; przy każdej kulbace wisiała też kusza. Kilku ludzi, odrzuciwszy na plecy szare i brunatne peleryny, takie jak u żołnierzy, ruszyło ku cudem ocalałemu mężczyźnie.



TRUST 24

– Naprawdę w ostatniej chwili! – powiedział Vilan, chowając broń do pochwy i ruszając naprzeciw.

– Co ty powiesz?! – krzyknęła Karenira. – Na wszystkie moce, czy potrafisz coś więcej, jak doprowadzać mnie do wściekłości? Bohaterze?

– Nie gniewaj się na mnie, wasza godność...

– Ja oszaleję – powiedziała Armektanka. – Obojętne, co zrobi, zawsze i zawsze „nie gniewaj się”!

– Czy ja też mam się nie gniewać? – zapytał sucho Basergor-Kragdob. – Jesteś nieobliczalny, Vilan. To nie ty miałeś jechać do Riksu.

– Wasza godność – powiedział Dartańczyk – poniosę taką karę, jaką uznasz za właściwą. Złamałem rozkaz. Ale jeszcze przez jakiś czas pozostaję na służbie jego wysokości Baylaya. I będę brał na siebie każde niebezpieczeństwo, jakie zagrozi pani Karenirze.

– Jesteś nieobliczalny, Vilan – powtórzył rozbójnik.

– Nieobliczalny? – złościła się Karenira. – To pomylenie!

– Może – zgodził się niespodziewanie Dartańczyk. – Dobrze, że przysłiście mi z pomocą.

– Rbit został pod Badorem – rzekł Kragdob – a ja wziąłem paru ludzi i wyskoczyłem na trakt, jak tylko stało się jasne, że pojechałeś na ten... samotny rekonesans. Więc jednak miałem rację, mówiąc, że samotny uzbrojony człowiek nie przejedzie tym gościńcem spokojnie. Delen – powiedział do milczącego mężczyzny, najwyraźniej z trudem tłumiącego wesołość, stojącego dwa kroki z tyłu – wyślij silne rozpoznanie w stronę Riksu. Twój przyjaciel, być może, ściągnie tu cały garnizon. I nie ciesz się tak bardzo.

Mężczyzna mrugnął do Vilana, po czym odszedł.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytała Karenira, bardziej już z ciekawością niż gniewem.

Dartańczyk wzruszył ramionami.

– Całe miasto to jedne koszary. Z dziesięć razy opowiadałem się patrolom. Prawda jest, że na każdego, kto nosi przy sobie choćby nóż, patrzą tam teraz jak na szpiega z gór. Krzyczysz na mnie, pani, ale przecież nikt nie chciał, żebyś ty jechała. Kobieta z łukiem... czy nawet bez, za to tak zwracająca uwagę jak ty... Natychmiast odstawiono by cię do gmachu Trybunału. Na wszelki wypadek.

Pokręciła głową.

– Co jeszcze? – pytał Glorm, którego żywo obchodziło sprawozdanie zwiadowcy.

Vilan zaczerpnął tchu.

– To samo co w Badorze – powiedział. – W garnizonie nie bardzo, zdaje się, wiedzą, co oznacza ta wojna w górach. Niemniej duże siły gotowe są do wyjścia z miasta. Trybunał dolewa oliwy do ognia. Boję się, wasza godność, że tam gdzie się wybieramy, pójdzie cała Legia Grombelardzka.

Glorm zamyślił się. Karenira, zerkając nań spod oka, wcale się temu

zamyśleniu nie dziwiła.

Przedziwna wojna wybuchła zupełnie nagle, omal z dnia na dzień. Zbagatelizowana sprawa fałszywych władców Gór z Sępiej Przełęczy wypłynęła wkrótce po zakończeniu sławetnej narady urzędników i żołnierzy w Grombie. Tewena, badorska rezydentka Króla Gór, donosiła, że... oddziały Basergora-Kragdoba zaatakowały w okolicach Cięcia grupy Mavali i Kagi. Mavala odpowiedziała natychmiast, wyrzynając w jednej z górskich kryjówek oddział Kagi, nominalnie podległej Kragdobowi; nie wiedziała jeszcze, że Kaga także została napadnięta. W to wszystko wplątali się legionieści, wysłani przez Egedena tropem bandy, która spaliła Pogromcę. Dali komuś łupnia, zaraz potem sami zebrali tęgie baty i pchnęli do Badoru gońców, prosząc o posiłki. Nim rzecz wyjaśniono, pośród szczytów i grani trwała już w najlepsze dzika, niekontrolowana przez nikogo wojna, w której wszyscy walczyli ze wszystkimi.

Rbit spotkał się w Badorze z Teweną, po czym wrócił do Grombu. Sytuacja była poważna. Już kilka dni później wojskowi komendanci Badoru i Riksu otrzymali listy, sygnowane znanym w całym Grombelardzie wojennym przydomkiem. *Wasza Godność* – pisał Basergor-Kragdob do każdego z nich – *proszę wstrzymać się z jakimikolwiek działaniami w Górach. To, co się w nich dzieje, nie jest sprawą Legii. Zaprowadzę spokój w kilka tygodni, ale jeśli wojskowe oddziały pozostaną w Górach, mogą zostać zmiecione razem ze wszystkimi innymi. Zbędny przelew krwi, nieuzasadniony żadnymi interesami Wiecznego Cesarstwa.*

W Badorze jednak apel Króla Gór pozostał bez odpowiedzi. Komendant garnizonu, naciskany mocno przez Trybunał, po prostu nie mógł, choćby nawet chciał, siedzieć beczynnie. Urzędnicy udowadniali, że waśń między rozbójnikami niezwykle sprzyja działaniom legii cesarskich. Było akurat odwrotnie: po pierwsze, wojska Drugiej Prowincji w ogóle nie były przygotowane do podjęcia – z dnia na dzień – operacji na tak dużą skalę; po drugie, ich interwencja mogła przyczynić się łatwo do zażegnania sporu między Kragdobem, Kagą i Mawalą. Bez względu na wszystko wojska imperialne były wrogiem głównym i najważniejszym, na dodatek takim, z którym rozbójników nigdy nie łączyły (i łączyć nie mogły) żadne interesy. Tak więc badorczycy szykowali się do wymarszu w Góry z duszą na ramieniu, bojąc się nawet zgadywać, co będzie, jeśli wszystkie bandy z okolic Paszczy dogadają się nagle i, wsparte siłami Basergora-Kragdoba, skoczą im do gardeł.

W Riksie działano z większą ostrożnością i rozwagą, bo górska wojna toczyła się w okręgu Badoru, nie Riksu; jednak i tam, jak powiadał Vilan, żołnierze byli gotowi do wymarszu.

Z czysto wojskowego punktu widzenia należało pozostawić

zwaśnionych górali samym sobie, pozwalając, by wykrwawili się nawzajem – i może dopiero później wygnieść osłabionych zwycięzców. Najwyraźniej jednak Namiestnicy Trybunału nie umieli myśleć w podobnie dalekosiężny sposób; może dlatego, że prostota żołnierskiego rozumowania wydawała im się co najmniej podejrzana. Nastawieni byli na natychmiastowe działanie, choćby jego efekt miał być tylko doraźny.

Tak czy inaczej, obecność wojsk w górach oznaczała kłopoty dla wszystkich. Kragdob mógł ściągnąć w rejon Badoru właściwie dowolne siły, jednak otwarta wojna z Legią Grombelardzką była ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Z całą pewnością mógł odnieść teraz zwycięstwo, choćby nawet drogo okupione. Jednak oznaczało ono nic więcej jak gigantyczną obławę w przyszłym, a może jeszcze tym samym roku.

Karenira widziała wszystkie te kłopoty zupełnie wyraźnie. Doprawdy Król Ciężkich Gór miał powody, by popadać w głęboką zadumę.

– Glorm – powiedziała – ile to już trwa? Pogromcę spalono dwa miesiące temu. Od tego czasu jest coraz gorzej. Może warto rozpocząć poważne układy?

Pokiwał głową.

– Może warto. Ale, Kareniro, komendanci legii nie zależą tylko od siebie. Gdyby tak było, wystarczyłyby same moje listy. Ci ludzie nie są głupi, ale mają związane ręce.

– Dlaczego więc chcesz rozmawiać z komendantami?

– A z kim? Z Trybunałem?

Spojrzał bacznie.

– O czym myślisz?

– O rozmowie z kimś, kto może wszystko. Kto nie boi się Trybunału... ani nikogo innego.

– Niezwykłe miewasz pomysły.

Znów się zadumał.

– Chociaż jego wysokość Ramez to podobno człowiek rozsądny... Tylko kto pójdzie do niego? Ja?

– Nie, Glorm. Ja.

Zaskoczony, zrobił nieokreślony gest ręką.

– Chcesz prowadzić rozmowy w imieniu herszta rozbójników? To cię zniszczy, Królowo. Zamierzasz przecież pozostać w Grombelardzie? Będiesz odtąd dla wszystkich zwykłą rozbójniczką!

– „Prowadzić rozmowy”... „w imieniu”... – Wyduła wargi. – Po prostu gotowa jestem pośredniczyć. Nigdy nie ukrywałam, że dogaduję się z przebiegaczami Gór. Poradzę sobie.

– To może być niebezpieczne – wtrącił Vilan.

– Nie gniewaj się na mnie, wasza godność – przerwała, naśladując jego sposób mówienia – ale jeśli zaraz nie zamilkiesz, poproszę, by cię

zakneblowano.

Glorm odwrócił się i skinął na paru swoich ludzi.

– Nie musisz prosić – powiedział. – Jego godność Vilan jest zbyt wrażliwy na twoje bezpieczeństwo, by pozostawić mu jakąkolwiek swobodę. Poczekaj w sznurach, aż wrócisz. Zwiążcie go!

Vilan chciał protestować, ale draby, które go pochwyciły, nie podjęły pertraktacji.

– A ty się o mnie nie boisz? – zapytała kpiąco.

– Czasem tak. I co z tego?

ROZDZIAŁ 11



I znów była w Grombie.

Najpierw zobaczyła się z Arma. Do spotkania doprowadził Raner – siłacz, którego pałka zostawiła swego czasu trwałe ślady na głowie Pani Gór. Raner mieszkał u swojej kochanki, niebrzydkiej mieszczki; jej sypialnia może nie bardzo nadawała się do takich spotkań, ale była miejscem bezpiecznym.

Karenira słabo знаła Armę. Trudno powiedzieć, żeby się lubiły. Jednak sprawy, które czekały na załatwienie, nie pozostawiały czasu na wzajemne niechęci.

– Jeszcze dziś – zagaiła Armecka – a najpóźniej jutro muszę zobaczyć się z Księciem Przedstawicielem.

Arma, choć żądanie było co najmniej zaskakujące, nie okazała zdziwienia.

– Zobaczyć się z Księciem Przedstawicielem... – powtórzyła. – Nie będzie to proste. O co chodzi?

Karenira przedstawiła sytuację.

– Dobrze. – Blondynka skinęła głową. – Rozumiem, że najlepiej, gdyby było to spotkanie poufne? Zresztą na oficjalne posłuchanie czekać można i tygodniami. Prawda, że ciebie, Łowczynię, pewnie by przyjęto...

– Zastanowiła się.

– Nie. Chcę widzieć się z jego wysokością w cztery oczy.

– Mam kilka pomysłów. Ale, mówisz, chcesz wiedzieć, jakim człowiekiem jest książę?

– To i owo słyszałam. Jednak powiedz mi wszystko, co wiesz.

Arma uśmiechnęła się leciutko.

– Nie jem darmo chleba, wasza godność. Rzeczywiście jestem tu po to, żeby wiedzieć wszystko. A w każdym razie jak najwięcej. Jeśli zacznę wyklądać ci całą moją wiedzę, to z pewnością nie skończę do jutra... Co cię interesuje? Zalety księcia? Wady, przyzwyczajenia?

– Armo – powiedziała chłodno łuczniczka – nie interesuje mnie dzieciństwo Rameza ani to, jak dobrze jeździ konno. Jeśli nie umiesz wybrać tego, co może się przydać, to szkoda naszego czasu. Wasza godność.

Blondynka nie obraziła się.

– No dobrze. Ale najpierw muszę uprzedzić, że nie za wszystko, co powiem, mogę ręczyć. Książę Przedstawiciel nigdy mi się nie zwierzał. Połowa mojej wiedzy to pogłoski i plotki. Weź to pod uwagę. Wasza godność.

– Wezmę z całą pewnością. Wasza godność.

Nawiązały pierwszą, wątłutką nić sympatii.

– Jego wysokość N.R.M.Ramez, Książę Przedstawiciel Cesarza w Grombie, to oczywiście Armeктаńczyk.

– Co ty powiesz.

– Niestary, bo trzydziestoczoletni. Nigdy jeszcze Grombelardem nie rządził tak młody człowiek. Owdowiał przed dwoma laty, ale wszystko wskazuje na to, że wkrótce zostanie cesarskim zięciem, może już tej jesieni. Pochodzi z jednego z najświetniejszych armeктаńskich rodów...

– W prostej linii wywodzącego się z książęcego rodu Sar Soa. Rozmawiasz z Armektanką, pani – przypomniała nieco uszczypliwie Karenira. – Takich nazwisk jest w Armeckie ledwie kilka. Armektanka Czystej Krwi nie może o nich nie wiedzieć. Ramez jest...

Chciała dodać coś jeszcze, ale zrezygnowała.

– Tym lepiej – skwitowała Arma. – Wiesz więc, że sam cesarz musi liczyć się z człowiekiem o takich wpływach, którego ród dzierży majątek niemal równie wielki jak dobra cesarskie w Armeckie. Mówi się po cichu, że zaręczyny z cesarżówną zostały omal wymuszone przez ojca naszego Księcia, pragnącego, by jego nazwisko błyszczało jeszcze świetniej. Nikt nie wróży szczęścia temu związkowi, bo krótko mówiąc, Ramez cieszy się opinią dziwaka i despoty, nieznoszącego sprzeciwu i niesłuchającego nikogo oprócz siebie.

– Czy to prawda?

Arma pokręciła głową z boku na bok: tak i nie.

– Prawdą jest, że poprzedni Książę Przedstawiciel pozostawił tu po sobie istną armię zramolałych durniów, gotowych radzić przez tydzień o niczym. Jego wysokość Ramez i tak długo wytrzymywał ich głędzenie, dopiero niedawno przegnał wszystkich na cztery wiatry. Ale zdaje się, że wybrawszy sobie nowych doradców i nowy dwór, nadal nikogo nie słucha.

– Mhm.

– O niełatwym charakterze Księcia Przedstawiciela mówi się teraz szczególnie dużo, ale ja widzę pewną przyczynę. Ramez dopiero co musiał się ugiąć przed najpotężniejszą instytucją cesarstwa, Trybunałem Imperialnym mianowicie. Jego wysokość nienawidzi urzędników, widząc w każdym chyba szpiega swego przyszłego teścia; szpiega, który nic, tylko będzie węszył wokół jego małżeńskiej sypialni. Najchętniej by

ich wszystkich z Grombelardu wyrzucił.

– O widzisz... – szepnęła słuchająca uważnie Armektanka, przygryzając lekko paznokieć.

– Jednak mimo natury despoty – podjęła Arma – jest to człowiek bardzo wykształcony i mądry. Zna doskonale grombelardzki i dartański, podobno rozumie też po garyjsku. Zna się wybornie na wojsku, zreorganizował garnizon Grombu, oficerowie do dziś kręcą głowami, wspominając jego niebywałą znajomość rzeczy. Rozmawiał z trójkowymi i dziesiętnikami tak, jakby sam był jednym z nich. Wiedział, dlaczego buty cisną żołnierzy i co trzeba poprawić w przeszywanicach, żeby kolczugi układały się dobrze. Równocześnie jednak wydaje się, że on... jak by tu rzec... bardziej kocha wojsko niż wojnę. Chciałby mieć pięknych żołnierzy, pięknie uzbrojonych i wyposażonych, ale myśl, że coś tak ładnego i udanego może zepsuć się w bitwie, pobrudzić, zdekompletować, jest mu szczerze przykra. Co nie znaczy wcale, że on sam jest jakimś tchórzem... Nie wiem, czy mówię dość jasno?

– Bardzo jasno – mruknęła zachwycona Karenira. – Więc Legia Grombelardzka to zabawka, tak? Błyszcząca zabawka?

– Właśnie tak. A najbardziej garnizon Grombu.

– No, to chyba dogadam się z księciem.

Grombelardka sposepniała.

– Nie wiem. Gdyby to było takie proste, Rbit już dawno wszedłby z nim w układy. Rzecz w tym, pani, że w stosunku do tego człowieka wszelkie rachuby zawodzą. Przedstaw mu podczas oficjalnego posłuchania propozycję, prośbę czy cokolwiek, a on zaraz skrytykuje ją, nazwie nedorzeczną i odrzuci, czasem chyba tylko dlatego, żeby postawić na swoim. Ale może oceniam go niesprawiedliwie. To człowiek nietuzinkowy, o którym z jakichś powodów powiada się wiele złego. Może po prostu „nie robi tego, co powinien”? Podobno cesarzówna Werena naprawdę szczerze go kocha. Jak to się ma do pogłosek o „wymuszeniu zaręczyn”? Nie potrafię powiedzieć.

– Co lubi? – zapytała Karenira. – Jakie przyjemności? Rozrywki?

– Kocha stare roczniki, czytuje je często do późnej nocy.

– I co jeszcze?

– Jeszcze... hm, jeszcze krzyżące kobiety.

– Nie rozumiem...?

– Rozumiesz.

– Ou... – zmarszczyła się Armektanka. – No nie wiem... Mój entuzjazm dla spotkania z Księciem słabnie.

– Prawda? – stwierdziła sarkastycznie tamta.

– Ech, nie wierzę... – mruknęła jednak po chwili Karenira, znów przygryzając paznokieć. – Wiesz na pewno?

Arma zachnęła się.

– Myślisz, że wziął mnie do swojej sypialni? Mówię ci, jakie krążą plotki.

Przez chwilę milczały.

– Zdaje się, że masz jakiś plan?

– Tak – potwierdziła Arma.

– No więc? – ponagliła Armektanka, bo cisza znów się przedłużała.

– Najpierw... Słuchaj, powiedz...

Łuczniczka ze zdziwieniem zobaczyła lekki rumieniec na policzkach Army.

– Karenira – rzekła blondynka, pierwszy raz po imieniu – ten twój Dartańczyk... Co z nim?

Ten JEJ Dartańczyk. Armektance zachciało się śmiać.

Vilan i Arma poznali się w Grombie. Blondynka najwyraźniej wpadła halabardnikowi w oko, ale któż by mógł przypuścić... że i w drugą stronę.

– Hej – powiedziała. – Mój Dartańczyk? Miałam już jednego. Wystarczy.

Kiwnęła głową.

– Ma się dobrze – powiedziała z uśmiechem. – Pytał mnie o ciebie.

– Pytał o mnie? – miało to zabrzmieć obojętnie.

– Pytał – przytwierdziła Karenira, trochę ubawiona nieoczekiwaną, dziewczęcą wstydlivością wywiadowczyni Kragdoba, która ponoć w bardzo różny sposób zdobywała potrzebne wiadomości. – Ale słyszałam, że ty zarzuciłaś sieć na Glorma?

– Tak mu powiedziałaś? – przeraziła się blondynka. – Vilanowi?

– No... prawie. Powiedziałam, że jesteś jak twierdza.

– I co on...?

– Myślę, że będzie oblegał.

ROZDZIAŁ 12



W Rollaynie zdążyła przywyknąć, że pałac Księcia Przedstawiciela Cesarza jest wielki jak cały Gromb. Tym trudniej było jej się odnaleźć w ponurej, starodawnej warowni zbójcekiej, w której rezydował Przedstawiciel grombelardzki. Stale miała wrażenie, że jest raczej w komendanturze miejskiego garnizonu niż w domu pierwszego człowieka prowincji.

Arma, wciąż jeszcze – i zbyt długo, zdaniem Rbita – będąca krewniaczką doradcy Rameza, bez żadnych kłopotów wprowadziła na zamek nową służącą. Miało to być jej ostatnie zadanie, dalsze ciągnięcie gry wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem. Jeszcze tego samego dnia wyjeżdżała (dla wszystkich) do Rahgaru i dalej do Londu. Prawdę mówiąc, nie obchodziło to nikogo, podobnie jak sama osoba średnio urodziwej kuzynki tytularnego doradcy, którego opinii Książę Przedstawiciel nie słuchał i słuchać nie zamierzał.

O ile wejście do książęcej rezydencji było całkiem łatwe, o tyle dotarcie w pobliże apartamentów Przedstawiciela – niesłychanie trudne.

W Grombie działo się akurat tak samo jak wszędzie, gdzie dostojna osoba oblepiona była tłumem dworaków. Posępna warownia, pewnie dość duża dla herszta rozbójników, była dziesięć razy za ciasna dla wicekrólewskiego dworu. Choć kilkakrotnie przebudowywana, twierdza w żaden sposób nie mogła pomieścić tych wszystkich, którzy przy osobie Księcia powinni lub po prostu mogli się znajdować. Pomieszczenia mieszkalne utworzono wszędzie, nawet w dawnych magazynach i spichrzach; już dworacy średniej rangi byli uszczęśliwieni, jeśli mieli do dyspozycji ciasną izbę w czworokątnej baszcie. Albo dawną celę w piwnicy.

Istny tłum mieszkańców rezydencji, urzędników i petentów, żołnierzy i służby, pozwalał na ukrycie się niczym w gęstym lesie. Tym bardziej nieliczne, z trudem wygospodarowane, nie dla wszystkich dostępne pomieszczenia strzeżone były nieustannie.

Arma łatwo wynalazła miejsce, gdzie jego wysokość książę bywał sam: komnatkę w kilkakrotnie podwyższanym, ponurym donżonie.

Niemal każdego wieczoru Ramez udawał się tam, by czytywać, czasem do białego rana, jakieś zapomniane roczniki, zapoznawać się z treścią wiekowych, stęchłych kronik.

Należało jednak do owej komnatki dotrzeć. Nie dość, że zamknięta – była jeszcze strzeżona.

Arma pokazała swej czarnowłosej służącej, jak dojść do samotni Księcia Przedstawiciela, i wyjaśniła, na czym polega trudność. Armektanka przyjęła rzecz do wiadomości.

– Masz dzisiaj wyjechać – powiedziała. – Więc wyjedź. Rbit ma słuszość: pora, żebyś stąd zniknęła. Cokolwiek dziś załatwię albo nie załatwię, jego wysokość może zacząć się zastanawiać, kto mnie wprowadził na zamek.

– Poradzisz sobie?

Karenira potwierdziła, uśmiechając się lekko.

o o o

Była noc. Wiatr, wpadający wraz z deszczem przez wykute w grubym murze okienko, chygotał płomieniami dwóch dużych kaganków, właściwie zniczy umieszczonych przy masywnych, okutych miedzią drzwiach. Wtulona we wgłębienie przy okienku, zmarznięta, czekała cierpliwie. Od czasu do czasu wychylała lekko głowę z cienia, ale żołnierzy tkwiących u drzwi nie widziała. Siedzieli na ławie i dostrzec mogła tylko znicze, migoczące nad ich głowami.

Kto pierwszy: Ramez czy zmiana warty?... Mogła sobie powróżyć, licząc spojone zaprawą kamienie. Ramez, warta, Ramez...

Była już północ, gdy na krętych schodach poniżej rozbrzmiały kroki, a zaraz potem zajaśniał poblask pochodni. Wkrótce minął ją żołnierz, zaraz za nim drugi. Ten był uważniejszy. Włócznia natychmiast schyliła się ku jej piersi.

– Wasza wysokość!

Pierwszy żołnierz od razu zawrócił. Oświetlił niszę przy okienku.

Ubrany w czerń mężczyzna, przystojny, średniej tuszy i średniego wzrostu, nadszedł śladem żołnierzy i patrzył badawczo.

– Kim jesteś i co tu robisz? – zapytał niegłośnie, ale tonem niedopuszczającym najmniejszej zwłoki w odpowiedzi.

– Zdumiewającą kobietą, wasza wysokość – odparła leniwie po armeктаńsku, nie unosząc wzroku. – Trochę Armektanką... trochę Grombelardką... – dodała w miejscowym języku – a trochę Dartanką – zakończyła po dartańsku.

Odczekał krótką chwilę.

– Za to na pewno nie służącą – stwierdził chłodno. – Zadałem dwa pytania. Szybko, nie mam czasu.

– Wasza wysokość – zapytała – co ze mną zrobisz? Każesz pojmać

i wtrącić do lochu?

– Zuchwała – zdziwił się.

Zmarszczył brwi i popatrzył baczniej, postępując pół kroku naprzód.

– Oczywiście, wasza wysokość, że już mnie widziałeś, i to z bliska. – Skierowała nań swoje niezwykle oczy. – Mój pan i małżonek zaraz po tobie wręczał ślubne podarki pewnej młodej parze w Rollaynie... Wiedziałaś już wtedy, że utkwisz w Ciężkich Górach?

Mężczyzna w czerni postąpił jeszcze krok naprzód, rozsunął żołnierzy i sam ujął pochodnię.

– Najczarniejsze włosy w Dartanie – szepnął. – Księżna...

– A.B.D.Karenira – potwierdziła. – Najbardziej opłotkowana kobieta Rollayny. Już zapomniałeś, książę? Widać zbyt rzadko gościłeś pod moim dachem.

– Co robisz na tych schodach, wasza wysokość? Co robisz w Grombelardzie?

– Marznę, książę.

– Ależ... chodź!

Zwrócił się do swojej eskorty:

– Grzane wino, miód. Płaszcz podbity futrem. Natychmiast.

– Grzane piwo – szepnęła błagalnie.

– Grzane piwo – potwierdził i roześmiał się. – No przecież, że tak...

Znów patrzył na kobietę.

– Chodź ze mną, wasza wysokość.

Zimna, kamienna komnatka przypominała pracownię jakiegoś dziejopisarza. Był w niej stół, wygodne krzesło, wojskowa prycza pod ścianą i pulpit do pisania. Oprócz tego parę ksiąg, trochę zwojów, jakieś poczerńiałe ze starości pergaminy, przybory do pisania i wiele czystych kart.

Wskazał pryczę.

– Zapomnij, że tu jestem, pani – powiedział. – Te futra są ciepłe i miękkie. Skorzystaj z nich, nie chcę widzieć, jak drżysz.

Nie dała sobie powtarzać dwa razy. Zsunęła trzewiki i usiadła na łożu, podwijając nogi pod siebie. Owinęła się futrem.

– I mów, mów! – ponaglił. – Co tu robisz? Skąd tutaj? W nocy, na tych schodach... W takiej szatce! Jakże możesz się dziwić, że cię nie poznałem? Czy coś się stało? Na Szerń, czemu nie przyszłaś, wasza wysokość, za dnia? Na sam dźwięk twojego nazwiska wyrzuciłbym wszystkich i poświęcił ci tyle czasu, ile byś zażądała. W całym tym mieście nie ma nikogo, kogo musiałabyś przepuścić w drzwiach.

Otulona futrami, zaczęła bezradnie kręcić głową na znak, że nie zdoła odpowiedzieć na wszystkie pytania jednocześnie.

– Wasza wysokość – powiedziała – wiem, że spotkanie jest niecodzienne. Ale po prostu nie chciałam, by zbyt wielu ludzi widziało

nas razem. A już w ogóle nie życzę sobie, by wyszło na jaw, że znamy się z Rollayny.

– Czy coś ci grozi, pani? – spytał niespokojnie.

– Nic.

– A zatem? Wybacz, księżno, moje nagabywanie... ale naprawdę spodziewałbym się ujrzeć wszystko, tylko nie ciebie stojącą w tej zimnej i ciemnej niszy.

Usiadł na krześle, ale zaraz rozejrzał się po komnatce i widząc, że płonie tylko jedna świeca, wziął ze stołu dwa kandelabry. Wkrótce zrobiło się jasno.

– Jej godność A.B.D.Karenira – powtórzył, nie dowierzając. – Jedna z pierwszych kobiet Dartanu!

– No, no, wasza wysokość! – zaśmiała się. – Przede wszystkim największy skandal Rollayny, z tym się zgodzę. Nie mów mi, że nie słyszałeś, książę? Grombelardzka dzikuska, która „owładnęła jego wysokością Baylayem” dla nazwiska, pozycji, majątku...

– Nie chcę tego słuchać! – rzekł stanowczo. – I niczego podobnego nie słyszałem... ani nie słuchałem. Ale, ale. Twój małżonek, pani? Czy i on bawi w Grombie?

– Mój małżonek – powtórzyła. – Nie uwierzysz, książę, jaki z niego nudziarz! Nazwisko A.B.D. i skandal to w Rollaynie dwa słowa używane wymiennie. Najpierw małżeństwo z armektańską dziewczyną takiego sobie rodu, jej odejście, jego zniknięcie, porwanie i niejasna śmierć jego siostry, wyprawa do Grombelardu i drugie małżeństwo, znowu z Armektanką i znowu nie najlepiej urodzoną... Same skandale. A pomimo tego był i pozostał nudziarzem. Porzuciłam go.

Powiedziała to tak nieoczekiwanie, że potrzebował chwili, by zrozumieć.

– Co zrobiłaś, pani?

– Jestem Armektanką – przypomniała. – Wolno mi chyba oddać mężczyźnie list rozwodowy? Zgodnie z prawem. Nawet nie musiałam tego robić, po prostu nie przedłużyłam małżeństwa. Że w Dartanie prawo to istnieje tylko na piśmie, bo rozwody, a nawet małżeński okres próbny, są nie do pomyślenia, to już zmartwienie Baylaya. Ja jestem wolna.

– Nie może być! – zdumiewał się. – Ale... nie przedłużyłaś małżeństwa? Lepszy byłby rozwód! Mogłabyś procesować się wtedy o nazwisko, majątek...

– I tak nie wygrałabym w Dartanie podobnego procesu. Wolałam zostawić mu wszystko.

– Ależ... dlaczego?

– O, książę, chyba oczekujesz niedyskrecji? Pytasz kobietę, dlaczego zostawiła wszystko, byle uwolnić się od mężczyzny?

Zastukano do drzwi. Przedstawiciel Imperatora obejrzał się niecierpliwie.

– Wejść!

Gwardzista przyniósł żądane trunki i płaszcz.

– Przepraszam, żołnierzu, że kazałem ci usłużyć w ten sposób. Jutro otrzymasz zadośćuczynienie za dyshonor.

Żołnierz uderzył się w pierś, salutując, i wyszedł.

Wygrzebała się z futer.

– Wasza wysokość – powiedziała, podchodząc i biorąc płaszcz – jak widzisz, nie jestem już jedną z pierwszych dam Dartanu.

– Jesteś Armektanką Czystej Krwi i nikt nie ma prawa stanowić o twoim prywatnym życiu – orzekł.

– Ty zaś, panie, jesteś Armektańczykiem i dlatego rozumiesz to bez trudu. W Dartanie zostawiłam tylko niektóre tytuły – powiedziała. – Przypomnij sobie, proszę, co mówiono o mnie w Rollaynie. Wiem, wiem, że nie słuchałeś... Ale jednak przypomnij sobie. O dzikiej łuczniczce, która... I połącz to z grombelardzkimi opowieściami o pewnej kobiecie z Ciężkich Gór.

Zmarszczył brwi.

– Co to za zagadka?

Umilkł.

– Czy dobrze rozumiem? Prawda, że obejmując urząd, chciałem wiedzieć, o kim i o czym mówi się w mojej prowincji... Ale to chyba legendy?

– Hm, nie.

– Więc te miejscowe historie... Królowa Gór to ty?

– Tak, książę.

– Łowczyni. Samotna łuczniczka – przypominał sobie kolejne szczegóły. – Ale podobno od jakichś dwóch lat...

Policzył w myślach.

– Prawda. Dwa lata...

– No cóż: byłam w Dartanie, więc nie mogłam być tutaj, to proste.

Patrzył zaintrygowany.

– Niebywałe. I niezwykle. Ale nie stój tak, jeszcze bosy! – rzekł z dezaprobatą. – I powiedz wreszcie, co cię do mnie sprowadza o tak... hm, dziwnej porze. Dlaczego nie przyszłaś za dnia? – zapytał znowu. – Obojętne, jej wysokość A.B.D.Karenira czy Łowczyni, takich osób nie odprawia się od drzwi!

Poprosiła wzrokiem o piwo. Podał naczynie, zwykły cynowy kufel. Grzał dłonie. Skinęła głową, bezceremonialnie przysiadając na stole.

– Nie odprawia się od drzwi... No, chyba nie. Ale jak już mówiłam, nie trzeba, żeby widziano mnie w twojej rezydencji, książę. A już w ogóle nikt nie powinien wiedzieć, że się znamy, i to znamy dość dobrze. –

Przygryzła wargę, powściągnąjąc wesołość, bo uroczystości ślubne Księcia Przedstawiciela w Rollaynie trwały bez mała dwa tygodnie... i zdarzyło się wiele.

Zgadł, co miała na myśli.

– To prawda – mruknął zakłopotany.

Znakomitych gości podejmowały kolejno największe Domy stolicy. Był wieczór w pałacu Baylaya, gdy wina okazały się zbyt mocne... Armektańscy i dartańscy nosiciele świetnych nazwisk wymiotowali zgodnie pod stołami, całowali i obejmowali niewolników. Karenira, zupełnie pijana, jeździła na oklep na swym mężu, polując na wilka. Zwierzę to wyobrażał, dość wiernie, jego wysokość Ramez.

– Lepiej, by nikt o naszej znajomości nie wiedział – powtórzyła. – Nawet moi przyjaciele. Szczególnie moi przyjaciele. Postawiłoby mnie to w bardzo kłopotliwej sytuacji, wasza wysokość.

– Twoi przyjaciele?

Skinęła głową.

– Tak, książę. Właśnie w ich sprawie przyszedłem do ciebie. A ściślej: w twojej i ich sprawie.

– Słucham, wasza wysokość. – Odsunął nieco krzesło od stołu i oparł się wygodnie, wyciągając nogi.

– Już tylko: pani.

– Tak, wybacz.

– Chyba szykuje się wojna w prowincji. Czy nie tak, wasza wysokość?

Patrzył wyczekująco. Uniosła kufel i napiła się piwa.

– Grombelard – powiedziała. – Pięć miast, trochę miasteczek i sporo wiosek przy dartańskiej i armektańskiej granicy, jeszcze przed Górą Wąskimi, i trochę po drugiej stronie. Właściwie cała reszta to góry. Ciężkie Góry. Nie chcę pomniejszać twego znaczenia, książę, ale zarządzasz w imieniu Imperatora prowincją, która przynosi niesłychanie małe zyski, chyba nawet mniejsze, niż potrzeba na pokrycie kosztów utrzymania grombelardzkiej armii i floty oraz siedzących tu urzędników. No i przedstawicielskiego dworu. Armekt rządzi tymi pięcioma miastami i tyle. Całe to bieganie legionistów po górach trudno nazwać roztaczaniem kontroli. W Ciężkich Górach po staremu królem jest ten, kto najmocniej trzyma miecz w ręku i ma dość rozumu i sprytu, by narzucić swą wolę ludziom tego samego pokroju.

– Czy ty jesteś kimś takim?

– Wcale nie – zaprzeczyła. – Ja, książę, jestem najbardziej zdumiewającą kobietą Szereru, to wszystko. Dla mnie Grombelard jest pusty. Nie ma w nim nikogo. Od nikogo nic nie chcę, nikogo nie potrzebuję... Mogę przyjść do ogniska żołnierzy tak samo jak do ogniska rozbójników. Jedni i drudzy powitają mnie bez entuzjazmu, ale zwykle z ciekawością i szacunkiem. Wiesz już, dlaczego jestem Królową, Panią

Gór? Bo stoję obok wszystkich i ponad wszystkim. Robię coś, czego nie robi nikt inny, nikt ze mną nie konkuruje, nikomu nie przeszkadzam. Są dwa Grombelardy, wasza wysokość, i ten drugi należy do mnie, tylko i wyłącznie do mnie. Nawet ty, nawet sam Imperator nie ma tak dobrze; ciągle ktoś wam staje na drodze, chce tego, czego i wy chcecie: bo władzy, bo złota, bo takich, a nie innych porządków. Ja nie. Jestem królową Grombelardu.

Niespodziewanie uśmiechnął się.

– Bardzo buńczuczne zapewnienie – rzekł z lekką ironią. – To rzeczywiście wyżej niż ja. Gdy włączono Grombelard do imperium, miał status wielkiego księstwa, a i to bardzo na wyrost. Wielkiemu księciu bądź jego namiestnikowi przysługuje tytuł królewskiej wysokości, ale od dawna się go nie używa, bo brzmi... śmiesznie. Ty, pani, słyszę, tak nie uważasz? Prawda, wytłumaczyłaś, że nie jesteś władczynią pięciu miast, tylko raczej całych Ciężkich Gór.

W skupieniu patrzyła na swą bosą stopę, kołyszącą się nad posadzką.

– Ty naprawdę bijesz kobiety, panie? – zapytała. – W swojej sypialni? Wiele dziwnych rzeczy usłyszałam dzisiaj...

Zdumiał się.

– Że co robisz? I w ogóle... co to za pytanie?

Rzeczywiście palnęła bez sensu. Poniewczasie ugryzła się w język.

Nie bił kobiet. Ale gdyby to robił, to dalszą rozmowę właśnie miałyby z głowy.

– Hm... – powiedziała. – Wasza wysokość – podjęła z całkiem innej beczki – garnizony w Badorze i Riksie postawione są w stan najwyższej gotowości. Czy wyruszą w góry?

Milczał.

– Wasza godność, a może: wasza królewska wysokość – odezwał się wreszcie, dość chłodno – cenię sobie bardzo naszą znajomość... ale naprawdę nie rozumiem, dlaczego mieszasz się do tych spraw? Sądzę, że to, co robią legie cesarskie, nie należy do ciebie, lecz do mnie.

– Wasza wysokość – odparła tym samym tonem – nie bez powodu mówiłam tak długo o Królowej Gór. Znam je. Wiesz przecież dobrze, książę, że ani ty, ani nikt inny nie zdoła zaprowadzić w Grombelardzie takiego ładu, jaki jest w Dartanie. Po co więc ten konflikt z największymi rozbójnikami Szereru? Oboje wiemy, że ich poczynania są w gruncie rzeczy pożyteczne. Wszelki występki w Grombelardzie został ujęty w cugle; Basergor-Kragdob ma bardzo twardą rękę i boją się tej ręki wszyscy pomniejsi rozbójnicy, nie mówiąc już o drobnych rzezimieszkach. Kragdob ściąga haracz od każdego, kto ma złoto, ale nie robi tego już właściwie nikt inny, bo wszystkich, którzy by mieli na to ochotę, zdołał sobie podporządkować. Różne grupki niespokojnych duchów siedzą w górach i marzną, częściej tłuką się między sobą, niż

czynią cokolwiek innego. A dlatego, że mają udział w zyskach Kragdoba, więc nie opłaca się im podstawianie łbów pod miecze twoich żołnierzy. Czasem spalą coś na pograniczu i uciekną w góry z powrotem. Dzięki temu w miastach takich jak Gromb żyje się wcale znośnie, a karawany kupieckie dość spokojnie przemierzają trakt w obie strony.

Wypiła resztkę piwa.

– Chcesz, żeby to się zmieniło? – podjęła. – Jeśli twoje wojska przeszkodzą władcom Gór w zaprowadzeniu porządku i zbójckie imperium się rozpadnie, to co z tego wyniknie? Kupcy, zamiast raz do roku wykpić się niezbyt znaczną w końcu sumą, szarpani będą stale przez najrozmaitszych obwiesiów, zbyt głupich, by zachować umiar. Kragdob wie, że nie można wydoić krowy na śmierć. Inni o tym nie pomyślą. Kupcy, rzemieślnicy i kto tam jeszcze, wszyscy podniosą lament i rzucają się do Grombu szukać sprawiedliwości i obrony u Księcia Przedstawiciela Cesarza. Co zrobi Książę Przedstawiciel? Wielką obławę w górach? Do tego trzeba zwiększyć liczebność i sprawność wojsk, mało tego, trzeba też rozbudować wpływy Trybunału... Jakież to wydatki! Mówiliśmy już o tym, że podatki ściągane z Grombelardu ledwie pokrywają potrzeby prowincji, a już wcale nie wzbogacają imperialnej szkatuły. Chcesz je zwiększyć? Kto zapłaci? Ograbiani przez różne bandy rzemieślnicy i kupcy? Zrzuć ich, a jak zrzuć, to Druga Prowincja przestanie obsługiwać już nawet własne swoje potrzeby... Koło się zamyka. Wygląda na to, że za twoją wojnę z góralami zapłacić będzie musiał Kirilan. Czyli armektańscy i dartańscy podatnicy. Co ty na to, wasza wysokość? Przysporzy ci to popularności? A o ile wiem, tytuł Księcia Przedstawiciela Cesarza wcale nie jest nadawany dożywotnio... Masz w swoim otoczeniu wielu wrogów. Zdumiewająco niepochlebne są niektóre plotki rozsiewane o twojej osobie. Przebac mi, że przytoczyłam jedną z nich.

Miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

Nalała miodu do kubków, po armektańsku drewnianych. Przez chwilę nie była gościem, a tylko kobietą, która usłużyła mężczyźnie.

– Wysłuchałem cierpliwie – powiedział. – Gdybyś próbowała udzielać mi podobnych pouczeń na oficjalnej audiencji... ba! na zebraniu mojej Rady... – Nie dokończył.

– Taka głupia nie jestem. Dlatego marzłam w niszy przy oknie.

Wstał i z kubkiem w ręku przechadzał się po komnatce.

– W Sali Posłuchań – rzekł, pozornie bez związku – stoi krzesło, na którym zasiadam. Takie samo stoi w Sali Rady. Ci, co tam przychodzą, mówią do tego krzesła, nie do mnie. Mówiliby tak samo, gdyby siedział na nim ktokolwiek, choćby nawet dartański błazen, odpowiednio odziany... a niechby i goły. Dla nich na tym krześle siedzi tytuł. I nic więcej.

Zatrzymał się przed nią.

– Ty też dzisiaj mówiłaś do tytułu, wasza godność?

Wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, że tak, książę. Pragnę zrobić u twojego boku karierę. Albo nie: rozbójnicy mnie przekupili. Musisz bowiem wiedzieć, że pożądam złota. Uciekłam z Dartanu, pomyślawszy, że tutaj znajdę go więcej.

Roześmiał się nieoczekiwanie.

– Co za ton! Na Szerń, sam nie wiem, dlaczego pozwalam ci, pani, na podobną arogancję... Czy to jedyna sprawa, o której chciałaś ze mną mówić?

– Nie wiem, książę.

– Jak to?

– Bo nie wiem, jak załatwiłam pierwszą.

– A ja nie wiem, czy dość dobrze oceniłaś zapasy mojej cierpliwości i pobłażliwości, wasza godność. Powiedz mi: twoim zdaniem, duże są jeszcze?

Przez chwilę zdawał się czekać na odpowiedź.

– Więc jakie są te pozostałe sprawy?

Po krótkim namyśle opowiedziała o swoim układzie z Egedenem i o tym, jak nadużyto jej zaufania.

– Chcę, żeby ten człowiek odpowiedział za swą zdradę – zakończyła po prostu.

Uniósł brwi.

– Cóż za niskie pobudki! Zwykła, mała zemsta. A więc jesteś jednak prawdziwą kobietą, wasza godność, wcale nie do końca niezwykłą!

– Usuniesz go z legii, książę, czy też ja mam usunąć go z grona żywych? – zapytała sucho.

– Jesteś taką groźną wojowniczką, wasza godność? – indagował, znowu rozbawiony.

– Jestem.

Zrozumiał w końcu, że kobieta nie żartuje.

– A jednak, pani – powiedział już poważnie – twój sąd w tej sprawie jest zdumiewająco powierzchowny. Zwolnię go. Zadowolona?

– Dziękuję, książę.

– Dobrze. A teraz chcę ci powiedzieć, że ten oficer nie jest niczemu winien. Oszukano go, może bardziej niż ciebie. Ten oddział z Sępiej Przełęczą jest narzędziem Trybunału, o czym w garnizonie nie wiadomo. To jeden z namiestników Riksu posłał swoich ludzi za tobą, bez wiedzy tego żołnierza. Myślę, że bez wiedzy kogokolwiek zresztą.

Patrzyła zaskoczona.

– Ano tak – skwitował jej minę. – Cała ta wojna to dzieło Trybunału. Wracając do poprzedniej sprawy: żołnierze nie wyruszą w góry. Czas

najwyższy udowodnić, że poczynania cesarskich urzędników przysparzają doprawdy więcej kłopotów, niż przynoszą pożytku. Chętnie pchnę gońca z obszernym raportem do Kirlanu. I odpowiednio naświetlę całą sprawę.

Skinęła głową, przygryzając wargę.

– Trybunał... – Urwała. – Ale w takim razie... Egeden dotrzymał słowa.

– Oczywiście. Mimo to na twoją prośbę, pani, zwolnię go. Nie będę zmieniał słowa co chwila.

– Wasza wysokość...

– Zostanie zwolniony. Skończyłem.

Jego ton nie dopuszczał cienia sprzeciwu. Zrozumiała, że dał jej nauczkę. I jeśli poprosi raz jeszcze... to w następnej chwili Egeden zostanie skazany na rok ciężkich robót.

– Udzieliłeś mi lekcji, wasza wysokość – szepnęła, gryząc usta. – Zapamiętam ją.

– Oby.

Znów usiadł na swoim krześle. Odchylił się, przecierając twarz.

– Zmęczony jestem – powiedział. Popatrzył na ciężki tom leżący na stole i dotknął go lekko. – Jestem człowiekiem zajęтым. Okradam własny sen, by na parę chwil oddać się swoim słabostkom. Zabrałaś mi, wasza godność, jedyną właściwie rozrywkę, jaką mam. Prawda, że nie nudziłem się tej nocy! – dorzucił zaraz. – Bardzo kocham te książki – zwierzył się nieoczekiwanie.

– Wasza wysokość – powiedziała nagle – czy będę mogła osobiście zawieźć do Riksu rozkaz zwolnienia tego setnika?

– A to znów co ma znaczyć? – zapytał niezadowolony.

– Wasza wysokość – zsunęła się ze stołu i stanęła przed nim – jest coś, o czym wiem, a co nie powinno pójść w zapomnienie. W okolicach Badoru – kontynuowała pospiesznie – mieszkał pewien uczony mędrzec, człowiek przyjęty przez Szerń. Był moim opiekunem. Teraz... nie żyje, od dwóch lat.

– Tak? – ponaglił bez zbytniego entuzjazmu.

– W górach – wyjaśniła – ukryty jest dorobek całego jego życia. Setki zapisanych stronic, roczniki, kroniki z trzech er, podania, legendy i baśnie ze wszystkich krain Szereru. Opatrzony komentarzami, opisane.

– W górach? – nie tał zdziwienia, zaintrygowany. – Ale przecież to wszystko może ulec zniszczeniu! – zaniepokoił się szczerze.

– Nie od razu, książę, książki, pliki i zwoje są dobrze zabezpieczone. Ale z czasem... tak, to przepadnie. Zaopiekuj się tym skarbem wiedzy, książę! To spuścizna po największym człowieku chodzącym po ziemi Szereru.

– Cóż to za mędrzec, o którym nigdy nie słyszano? – pytał z powątpiewaniem.

- Ależ słyszano, wasza wysokość... Słyszano o nim wszędzie, a ty, skoro czytujesz historyczne dzieła, będziesz znał go na pewno.
- A więc któż to taki?
- Wielki Dorlan-Przyjęty.

ROZDZIAŁ 13



Arma czekała u Ranera.
– Niepokoiliam się – powiedziała.

Karenira obejrzała blondynkę. Suknia i wysokie koturny zniknęły, także po złotych zausznicach, pierścieniach i naszyjniku nie został nawet ślad. Arma miała na sobie skórzany strój do konnej jazdy. Kłęby włosów ujarzmiła rzemykami.

– Też tak chcę – rzekła Armektanka.

Rzuciła na stół kilka rulonów pergaminu rozmaitej wielkości. Niecierpliwie zaczęła pozbywać się sukni. Odetchnęła z ulgą, ciskając zmiętą szmatę w kąt.

– Nie gap się – powiedziała Arma do brata.

– A niech się gapi, ja lubię.

Raner wolał posłuchać siostry. Wziął do ręki jeden z ruloników i obejrzał pieczęć.

– Zostaw, braciszku – powiedziała Arma. – Treść tych pism z całą pewnością mocno cię przerasta. Twoja rzecz to wyduszanie z kupców złota.

– Ale małą pieczęć Księcia Przedstawiciela potrafię rozpoznać – mruknął Raner.

– Dwa jednobrzmiące rozkazy dla komendantów garnizonów w Riksie i Badorze – relacjonowała Karenira, sznurując spódnice. – Ich treść sprowadza się do trzech słów: nic nie robić. Nie my je dostarczymy, to jest tylko nieopieczetowany odpis tych rozkazów, do wiadomości Glorma.

Sięgnęła po kaftan.

– Drugie pismo bez pieczęci, też dla Glorma. To – wzięła jeden z mniejszych zwoików – jest nakaz wydalenia ze służby pewnego oficera. – Podarła zwoik i rzuciła na podłogę.

– Co robisz? – zdumiała się Arma.

– Ten, kto podpisał ten rozkaz, wie doskonale, że w Riksie nigdy go nie dostaną.

Wzięła do ręki najmniejszy rulonik, przewiązany czerwonym sznurkiem.

– A to moje – mruknęła, chowając do jednej z sakw.

Uśmiechnęła się lekko, gdy Arma i Raner wymienili spojrzenia.

Schowany pieczołowicie pergamin zawierał ledwie kilka słów i podpis:

Okazicielka tego pisma ma prawo widzieć się ze mną zawsze i wszędzie, o dowolnej porze dnia i nocy.

N.R.M.Ramez

Przedstawiciel Cesarza w Grombie

EPILOG



Świt okryty chmurami nie rozjaśnił ciemności, przyniósł tylko nową falę deszczu i silniejsze porywy wiatru. Z futra Rbita można by wycisnąć dobrą stągiew wody, jednak kot był w całkiem dobrym humorze.

– Jak długo już tu siedzą, mówisz?

Kobięcy głos z ciemności odpowiedział krótko:

– Trzy dni.

– Nie próbowali się przebić?

– Próbowali.

Kocur znów zwrócił spojrzenie ku – niewidocznej dla nikogo innego – czarnej gardzieli jaskini, ziejącej w skalnej ścianie.

– A w nocy?

– Też próbowali. Ale w nocy nikt nie zejdzie po tej ścianie. A dolne wejście zamknęliśmy skalnymi złomami.

– Dobrze, Kaga. Jak zawsze dobrze. Czy nigdy nie popełniasz błędów?

– Popełniam – odrzekła ponuro. – Rbit, czy wiesz, ilu ludzi wybiła mi Mavala? Oto właśnie błąd: powinnam była wykończyć tę dziwkę przed rokiem, była wtedy taka dobra okazja...

– Nie bądź dzieckiem, Kaga. Góry są duże. Ale za małe, byś mogła nimi rządzić razem z Glormem. Po śmierci Hagena pozostałyście tutaj tylko ty i Mavala. Poważnie myślałem wtedy, czy nie pobić was obu. Zrezygnowałem tylko dlatego, że żadna nie była dość silna, by przejąć w tych okolicach pełnię władzy. Gdybyś przed rokiem, jak mówisz, wykończyła Mavalę, ja natychmiast wykończyłbym ciebie.

– Domyślałam się tego – oznajmiła gorzko. – Władcy Gór...

Deszcz wciąż padał.

– A co teraz? – zapytała po chwili. – Po rzezi, jaką urządziła moim Mavala, a potem ci legioniści, nie mogę nawet marzyć o rozejmie z nią. Tylko wasze oddziały trzymają to zwierzę na smyczy. Gdy je zabierzecie, Mavala złapie mnie w parę tygodni i wiesz, co zrobi? Wepchnie włócznię prosto w moją śliczną, ciasną dziurkę. I ta dziurka tego nie wytrzyma.

– Mavala już się nie liczy. Dostaniesz tylu ludzi, ilu będzie trzeba,

żeby skończyć z nią raz na zawsze.

Dziewczyna zdumiała się.

– A co potem? Nie mów mi, już wiem: będę dość silna, by przejąć pełnię władzy w okolicach Badoru. Wykończysz mnie osobiście? Czy poprosisz tego osła Ranera?

– Nie wykończę cię, Kaga. O nic więcej nie pytaj, bo wszystko powie ci Glorm. Już niedługo.

Ciemności zszarzały. Rbit rozejrzał się bacznie. Wszędzie wokół, śpiąc twardo mimo wilgoci i zimna, leżeli ludzie. Każdy pod ręką miał kuszę. Kilku czuwało, nie spuszczać wzroku z widocznego już otworu jaskini.

Kocur obejrzał się do tyłu.

– Glorm powinien już być. Zrobiłem im pobudkę na długo przed świtem. Już jedli, kiedy tu pobiegłem.

– Skąd ten pośpiech?

– Mnóstwo spraw czeka na załatwienie. Naprawdę, Kaga, dla nas liczy się teraz nie tylko każdy dzień, ale i każda chwila.

Znów wrócił spojrzeniem do jaskini.

– Ilu ich?

– Kilkunastu. Były dwie grupy: jedną dowodził kot, ta jest druga. Pierwszej grupy już nie ma.

– Wiem. Słyszałem, że kota też dostaliście.

– Tak. Dziwi cię to?

– Trochę.

– Był odważny. Nie zostawił swoich, chociaż mógł. Jednak, Rbit, jest w tym jakaś tajemnica... Chciałabym ją kiedyś poznać.

– Jaka tajemnica?

– Ten kot chciał śmierci. Nie walczył. Ale przede wszystkim był niemy. Wzięliśmy paru jego ludzi i wszyscy powiedzieli to samo.

Rbit zamyślił się.

Po jakimś czasie znów spojrzął do tyłu.

– Już idą – powiedział, nasłuchując.

Glorm prowadził blisko stu ludzi.

– Twoje wojsko – wyjaśnił kocur, spoglądając na Kagę. – Zostawimy ci ich wszystkich, jeszcze dziś. Można było przyprowadzić więcej, ale nie widziałem potrzeby.

Patrzyła oszołomiona.

Podkomendni Kagi, obudzeni przybyciem oddziału, powstawali z ziemi. Niektórzy witali znajomych, ten i ów wziął drugiego w ramiona.

Glorm, w doborowym towarzystwie Kareniry, Army, Ranera, Vilana i Delena, podszedł do Rbita i Kagi. Przez chwilę przypatrywał się uważnie zgrabnej, dwudziestodwuletniej czarnulce, po czym skinął głową i wyciągnął dłoń. Podała mu obie swoje.

W szeroko otwartych oczach miała dziecięcy podziw. Prawie zachwyty. Był dla niej półmitycznym bohaterem, olbrzymem – i nie chodziło o wzrost.

– Gdzie są? – zapytał bez żadnych wstępów.

Pokazała jaskinię. Uniósł brwi.

– Jak ich tam zapędziłaś? I dlaczego ciągle tam siedzą?

– Bo nie mogą wyjść – odpowiedziała. – A ja przyrzekłam sobie, że nie dam im już życia żadnego z moich ludzi. Głodem wezmę. Albo wystrzelam wszystkich, jeśli wychylą choć czubki... – powiedziała czego.

– Trudno zabić, celując w te czubki – zauważył z humorem. – Nie będę czekał tak długo.

Popatrzył w stronę jaskini. Coś mignęło w czeluści, widać nagły gwar zwrócił uwagę osaczonych.

– Trzeba ich wyciągnąć z tej dziury – mruknął w zamyśleniu.

o o o

Stu trzydziestu ludzi, kryjących się za skałami, czekało na odpowiedź z jaskini. Raner spojrzał na Glorma, potem zwinął dłonie koło ust i zawołał raz jeszcze:

– Stań do walki! Basergor-Kragdob chce z tobą walczyć!

– Jeśli wygram? – nadeszła wreszcie stłumiona odległością odpowiedź.

– Odejdiesz wolny!

Po krótkiej chwili:

– Nie wierzę!

– To zdychaj z głodu!

Raner usiadł; Glorm udzielił mu poparcia skinieniem.

– A moi ludzie? – padło po jakimś czasie z pieczary.

Raner znów się podniósł.

– Z tobą!

W czarnym otworze pojawiła się sylwetka rosnącego, jasnowłosego mężczyzny.

– Niech będzie!

W milczeniu spoglądano, jak ostrożnie schodził po pionowej ścianie, szukając pęknięć i uchwytów dla dłoni. Wreszcie stanął u jej podnóża, odpoczął krótko i przeprawił się przez skalne rumowisko, wychodząc na środek półkręgu utworzonego przez przyczajonych ludzi Kragdoba.

– Czekam – rzekł, wyzywająco opierając dłoń na mieczu, bardzo długim i wąskim.

Glorm wstał i wyciągnął rękę do leżącego obok rozbójnika. Po chwili spojrzał zniecierpliwiony.

– Kuszę, durniu – powiedział.

Mężczyzna pospiesznie podał broń. Król Gór uniósł ją lekko; na

twarzą stojącego o pięćdziesiąt kroków wielkoluda odbiło się nieopisane zdumienie i niedowierzenie. Zaraz potem bełt uderzył go w pierś i powalił. Leżący targnął się, wyprężył – i skonał.

W głuchej ciszy zabrzmiał wyraźny, spokojny głos Kragdoba:

– Wygrałem, ale powiadam wam: tęgi to był rębajło!

Cisza trwała jeszcze przez mgnienie oka...

Pierwsza parsknęła śmiechem Kaga. Zawołała coś do Glorma, lecz istny huragan śmiechu zagłuszył jej słowa. Rozbójnicy wypuszczali z rąk kusze, opierali czoła na kamieniach lub ramionach towarzyszy i zarykiwali się do łez. Ktoś kaszłał, ktoś walił pięścią w ziemię, inny charczał, chwytając się za plecy i brzuch. Kragdob stał, wyczekująco patrząc w stronę jaskini, jakby ciekaw, kiedy pomkną ku niemu bełty z kusz. Nikt nie strzelił, choć cel był niemały, więc rozbójnik zniechęcił się wreszcie, wzruszył ramionami i usiadł.

Karenirę przepełniały mieszane uczucia, w końcu jednak zagryzła usta, prychnęła nozdrzami i też zachichotała.

– A co z tamtymi? – zagadnęła po chwili, wskazując wejście do jaskini. Zaśmiała się znowu.

– Co ma być? Parunastu głodnych obdartusów, niepotrafiących już nawet strzelać. To zajęcie dla Kagi, ja wracam do Grombu. Czekają sprawy. Kago – zwrócił się do dziewczyny, ocierającej łzy z policzków – kiedy się zjawisz w Badorze? Jak tylko tam dotrzesz, daj znać do stolicy. Mam ci bardzo wiele do powiedzenia.

Skinęła głową.

Śmiechy milkły powoli. Jeszcze czasem odzywały się tu i ówdzie, wzbudzając na nowo powszechną wesołość. Nim nadeszło południe, była już gotowa piosenka o walce Króla Ciężkich Gór z uzurpatorem.

o o o

– Jaka była treść tego listu, o którym wciąż mówicie? – zapytała Kaga, odprowadzając Glorma i jego mały oddziałek.

Kragdob bez słowa podał jej rulonik.

– Nie umiem czytać – powiedziała zmieszana. – Nie wiedziałeś?

– Naucz się – rzekł poważnie. – To bardzo potrzebna umiejętność. Choćby ten list. Jest on właściwie do ciebie, nie do mnie.

Rozwinął pergamin, mimo że znał treść.

– Księżę Przedstawiciel napisał zaledwie dwa słowa:

TYLKO RAZ

– I myślę, Kago – dorzucił po chwili – że ten człowiek dotrzyma obietnicy. Panuj więc nad Górami całkowicie i bez reszty, niech nigdy nie powtórzy się to, co teraz. Serce Gór musi bić tylko dla ciebie. Zresztą

jeszcze o tym pomówimy, Basergor-Krehiri... Pierwsza w dziejach.

Uśmiechnął się.

– Idźcie. – Machnął ręką. – Kareniro...

Patrzyli za oddalającą się grupką.

– Wygląda na to, że Vilan się odczepił – skonstatowała. – Zdaje się, że chroni teraz kogoś innego. Co mu powiedziałeś, że porzucił służbę u Baylaya?

Olbrzym lekceważąco machnął ręką.

– Więc nie idziesz z nami? – zapytał.

– Do Grombu? Nie. Koło Paszczy jest schowane coś, co komuś obiecałam. Chcę zobaczyć, czy leży, gdzie leżało. Niedaleko stąd. – Wskazała ruchem podbródka.

Najwyraźniej nie słuchał.

– Twój były małżonek... w Rollaynie. Co z nim począć? Uparłem się jechać właśnie tam – rzucił z roztargnieniem.

– Baylay? To nudziarz i tyle – oświadczyła. – Pewnie, że cię rozpozna, jak tylko zobaczy. A na pewno zobaczy, bo nie będziesz chyba żył na przedmieściu? Ale możesz być pewien jego milczenia jak tego, że deszcz pada. – Wystawiła grzbiet dłoni i pokazała krople. – Zaręczam za niego, Glorm. Ten człowiek ma dużo zalet. I tylko jedną wadę: to Dartańczyk. Pozdrów go ode mnie.

– Kochałaś go?

„Czy kochałam? Mordowałam dla niego” – pomyślała.

– Tak, Glorm.

– I...?

– I już mi przeszło – powiedziała ze śmiechem, obejmując go w pasie.

Całowali się zachłannie, tak jakby można było odrobić stracony czas. Objął ją potężnymi ramionami tak ostrożnie i czule, jakby bał się, że kobieta zniknie niczym kłęb mgły. Całował ją we włosy i znów w usta – delikatnie i mocno zarazem.

– Czy zgodzisz się... Czy zostaniesz moją... towarzyszką? – zapytał wreszcie, niezręcznie i cicho. – Moją... żoną?

– Czy pojedziesz do Dartanu? – zapytała równie cicho jak on.

Uniół ręce i opuścił je zaraz, cofając się o pół kroku.

– Tak, Karo.

– A więc nie, Glorm.

Starł deszcz z twarzy, uściskał jej dłonie i poszedł.

Stała w deszczu – wreszcie poszła i ona.

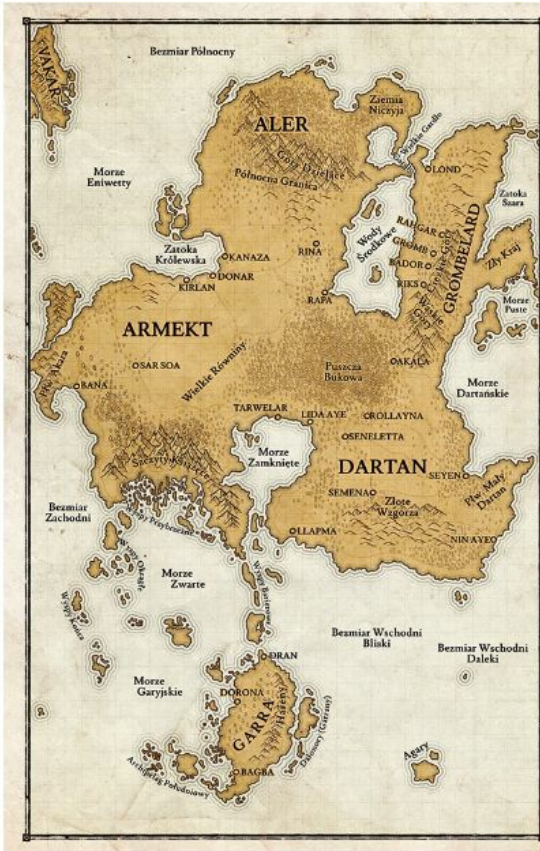
– Karenira – rzekł kocur, pojawiając się jak spod ziemi – jesteś cierpliwa, ale czy potrafisz czekać?

Uśmiechnęła się smutno.

Uniół łapę w Pozdrowieniu Nocy.

– Więc czekaj. My tu jeszcze wrócimy.







Feliks W. Kres

Urodzony 1 czerwca 1966 r. w Łodzi.

Debiutował w 1983 r. opowiadaniem „Mag” nadesłanym na konkurs miesięcznika „Fantastyka”.

Od tego czasu opublikował kilkadziesiąt opowiadań i 13 dłuższych form, zyskując oddane grono wiernych wielbicieli.

Czytelnicy pokochali jego opowiadania i powieści o Szererze, ale zanim doczekali się ukończenia Księgi Całości, autor ogłosił w 2010 r., że zawiesza działalność na czas nieokreślony. Był to długi urlop, niemniej właśnie się skończył i niebawem autor powróci z dwiema zupełnie nowymi książkami, które zamkną cykl, a Księga Całości wreszcie stanie się kompletna!

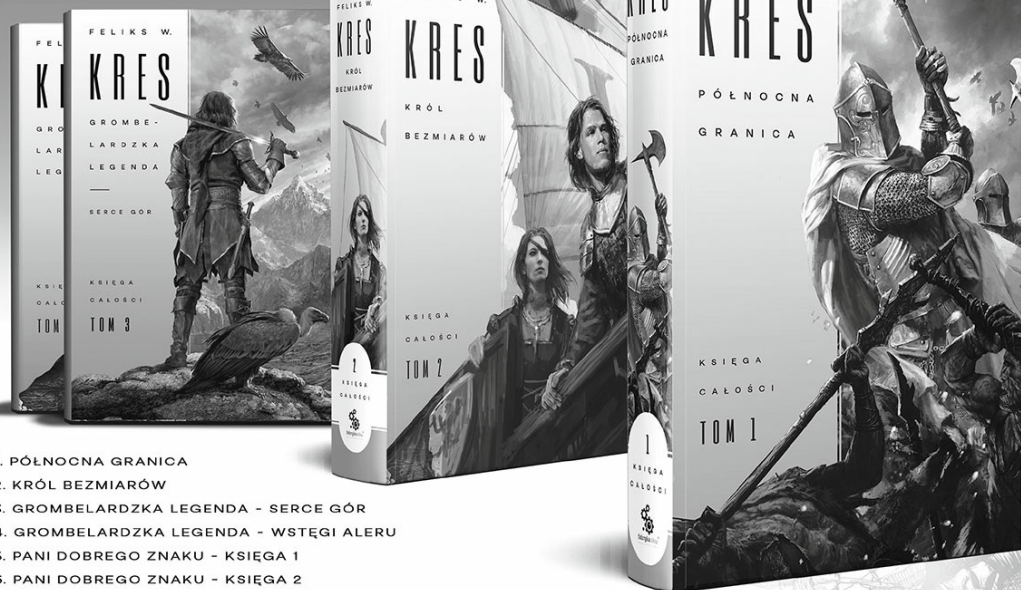
Wieszczymy, że przyniesie to autorowi wiele satysfakcji, gdyż jak sam o sobie mówi, jest porządnym rzemieślniczym majstrem i tak też podchodzi do swojej twórczości: „Byłem uczniem, potem czeladnikiem, teraz, po dwudziestu latach, mam już własny warsztat. Gdybym był krawcem, to na ścianie domu wisiłby szyld o treści: „Krawiectwo lekkie. Mistrz Feliks W. Kres”. Taki profesjonalizm został wielokrotnie doceniony przez krytyków i czytelników, przynosząc autorowi szereg nagród, w tym Nagrodę im. Janusza A. Zajdła dla Najlepszej Powieści Roku za powieść „Król Bezmiarów” (1992).

A co później? Może kolejny tom z serii „Piekło i Szpada”, którą Feliks stworzył z tęsknoty za klasyczną powieścią awanturniczą? Może kolejny tom znakomitych felietonów nonfiction?

Tego jeszcze nie wiemy, ale wiemy jedno – już nie możemy się doczekać!

Masz pytanie do autora? Pisz na www.felixkres.pl

KSIĘGA CAŁOŚCI W CAŁOŚCI



1. PÓLNOCNA GRANICA
2. KRÓL BEZMIARÓW
3. GROMBELARDZKA LEGENDA - SERCE GÓR
4. GROMBELARDZKA LEGENDA - WSTĘGI ALERU
5. PANI DOBREGO ZNAKU - KSIĘGA 1
6. PANI DOBREGO ZNAKU - KSIĘGA 2
7. PORZUCONE KRÓLESTWO
8. ŻEGLARZE I JEŻDZCY
9. TARCZA SZERNI
10. SZERŃ I SZERER



Srogie dodatki
do Twoich
ulubionych
lektur



Kupuj na
steelhog.pl

COPYRIGHT © BY Feliks W. Kres
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2021

WYDANIE I
ISBN 978-83-7964-672-2

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski
Robert Łakuta

GRAFIKA NA OKŁADCE
Vladislav Shikin

PROJEKT OKŁADKI
Szymon Wójciak

ILUSTRACJE
Przemysław Truściński

MAPA
Paweł Zaręba

REDAKCJA
Dorota Pacyńska

KOREKTA
Agnieszka Pawlikowska, Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

www.fabrykaslow.com.pl

e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

www.facebook.com/fabryka

[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

FELIKS W.

KRES

GROMBELARDZKA

LEGENDA

—
SERCE GÓR

Przed wiekami Szerń stoczyła morderczą walkę z wrogą Potęgą – Alerem. Nad Grombelardem obie Potęgi ponosiły klęski, okaleczały się, gubiły Pasma i Wstęgi. Wreszcie jedna z nich odniosła zwycięstwo. I nakryła całą krainę całunem wiecznych chmur. Bo Grombelard jest pobojoziem.

Grombelard to mokry kamień. Odwieczne, nieprzebyte Ciężkie Góry. Kilka miast-warowni i kilka wiosek zamieszkałych przez zdziczałych rozbójników, gotowych mordować za garść srebra albo po prostu dla rozgrzewki. Wieczny deszcz i nieśmiertelny wiatr. To jest Grombelard. Ale wiatr może być też Oddechem Gór, rozbójnik może być ich Królem, a skała, gdy przyłożyć do niej rękę, może pulsować w rytmie bicia serca. Na szlaku spotkać można tuczniczkę o szarych, niepasujących do twarzy oczach. Życie stracić z ręki nieszczęśliwej kocicy uwięzionej w ciele człowieka. Oszaleć i powoli nadziać się na własny miecz tylko dlatego, że sęp rozkazał. Tak, to wszystko legendy. Ale bez legend Grombelard to tylko deszcz i wiatr.

FELIKS
KRES
.PL

3

KSIĘGA
CAŁOŚCI



fabrykaslow.com.pl